

# Furia białekitna jak ogień

Zgasły dla nas  
nadziei  
promienie  
I zorza nie  
świeci nam blada  
We krwi wrogów  
utopmy pragnienie  
Jak łaknących  
upiorów gromada

Andrzej W. Sawicki

RW2010

ANDRZEJ W. SAWICKI  
FURIA BŁĘKITNA JAK OGIEŃ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016  
Redakcja: Joanna Śłużyńska  
Korekta: Maciej Śłużyński  
Redakcja techniczna: zespół RW2010  
Copyright © Andrzej W. Sawicki 2016  
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016  
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016  
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-183-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)  
Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

*Zgasły dla nas nadziei promienie  
I zorza nie świeci nam błada.  
We krwi wrogów utopmy pragnienie,  
Jak łaknących upiorów gromada.*

Wł. Wolski, *Marsz Żuawów*, 1863 r.

## **14 marca 1863**

Tropy nie zdążyły się nawet rozmazać w błocie, nie przysypał ich śnieg ani nie zatarł deszcz.

Major Michaił Aleksandrowicz Ebeling poprawił się w siodle. Jako wytrawny piechur nie przepadał za konnymi przejażdżkami, szczególnie w taką paskudną pogodę i w dodatku gdy wycieczka ciągnęła się w nieskończoność. Uganianie się po pustkowiach za polskimi buntownikami to robota dobra dla kozaków, a nie carskiego żołnierza. Obrócił się w tył, by spojrzeć na swoją rotę piechoty z kieleckiego garnizonu. Żołnierze z zaciętymi minami maszerowali podwójnym krokiem, a ich buciory energicznie rozbryzgiwały błoto zmieszane ze śniegiem. Wiedzieli, że przeciwnik jest blisko i wkrótce wreszcie będzie okazja, by podziękować mu za wysiłek całonocnego marszu.

Za piechurami jechał szwadron dragonów, który dziś też podlegał Ebelingowi. Prócz tego w lesie powinien znajdować się półszwadron Dońców. To kozacy zlokalizowali buntowniczą formację, o której wcześniej dawali znać miejscowi konfidenti i carscy lojaliści. Polskich buntowszczyków trudno było wytropić w wyludnionych lasach kieleckiego. Powstańcze partie pojawiały się i znikwały bez śladu, a po rozbiciu rozpierzchały się, by znów, niczym feniks z popiołów, się uformować, dlatego zdaniem Ebelinga każdy złapany powinien zostać na miejscu pchnięty bagnetem lub powieszony. Taką taktykę popierał również głównodowodzący radomskim okręgiem generał Uszakov i zgodnie z nią postępowano wobec buntowników.

Niespodziewanie las się skończył i kolumna wojska wymaszerowała na

otwarte pole, przykryte pojedynczymi łachami topniejącego śniegu. Zbliźali się zatem do ludzkich siedzib, gdzie z pewnością ukryły się dziś polskie oddziały. Zapewne powstańcom wydawało się, że mogą swobodnie panoszyć się po terenie i są tutaj względnie bezpieczni. Może rozłożyli się obozem we wsi, szukając w niej prowiantu i chwili wytchnienia. Nic z tego, panowie. Za chwilę runą na was dwie formacje carskiego wojska.

Ebeling nie zamierzał bawić się w wysyłanie podjazdów i oskrzydlenie wroga. Wpadnie do wioski z marszu i rozbije bandę, a wyłapaniem niedobitków zajmą się kozacy. Potem szybko wróci do Radomia, do ciepłej kwatery, w której czeka chętna do dzielenia się własnym łóżem rumiana gospodyni.

Folwark wyłonił się spomiędzy drzew już po paru minutach marszu. Jego sercem był sporych rozmiarów szlachecki dworek, z charakterystycznym gankiem z kolumnami, a po bokach tkwiły rozrzucone chaotycznie chałupy i budynki gospodarcze.

Ebeling odwrócił się do maszerującego za nim podporucznika.

– Rozwińcie rotę do ataku na bagnety – rozkazał krótko młodemu oficerowi. – Ja wpadnę z dragonami do dworu i wypłoszę buntowników, wy zajmiecie się resztą. Co macie taką minę, Konczacki? Wreszcie się doczekaliście okazji, by posmakować wojny! Przeciwnik jest gównem warty, ale lepsze to niż nic. W Petersburgu będziecie mogli się chwalić, że prowadziliście wojsko do bitwy.

Podporucznik skinął nerwowo głową. Młokosowi wąż ledwie się sypnął, bitwy i potyczki znał jedynie z książek i opowieści, ale marzył o prawdziwej walce i czekał na nią, odkąd postanowił rozpocząć karierę żołnierza. Okazało się jednak, że uśmierzanie polskiego buntu sprowadza się głównie do czekania w koszarach i nieskończonych przemarszów. Ku rozżaleniu Konczackiego nadwiślańska kampania nie miała za grosz epickiego rozmachu i nie dawała szans na zdobycie chwały i sławy.

Major Ebeling spiął konia i pognął na czoło szwadronu dragonów. Zamienił kilka słów z ich porucznikiem, a ten skinął trębaczowi i sięgnął po szablę. Po chwili rozległ się głos trąbki, wzywający do ataku. Konczacki oparł dłoń o rękojeść pistoletu i machnął do feldfebla.

– Bagnet na broń, ustawić się w tyralierę!

Kolumna piechoty rozsypała się, przeformowała w błocie i śniegu. Zachręściły przypinane bagnety. Dragoni minęli ją galopem i pobrzękując szablami, pognali w kierunku dworu. Prowadził ich major Ebeling.

Oficer wreszcie poczuł, że krew zaczyna mu żwawiej płynąć w żyłach, i uśmiechnął się pod wąsem. Wyciągnął rewolwer. Zaraz wpakuje pierwszą kulkę w jakiegoś przerażonego oberwańca lub robiącego w gacie chłopca z kosą osadzoną na sztorc. Śmierci i krwi! Tego mu trzeba po nieprzespanej nocy, by poczuć, że żyje.

Kilka rozgdakanych kur rozpierzchnęło się w popłochu, gdy wjechali na podwórze przed dworem. Błoto i kałuże rozpryskiwały się pod kopytami, lecz buntownicy nie zorientowali się jeszcze, że nadeszła ich zagłada. Nie wybiegali z budynków w panice, nie uciekali jak kury na wszystkie strony. Na ganku dworu stała samotna postać – drobna, ruda dziewczyna w kożusku i zbyt wielkich męskich buciorach. Major spojrział na nią zdumiony. Czyżby jednak się pomylił i buntownicy ruszyli dalej, ominąwszy folwark? Ściągnął wodze i schował rewolwer do kabury. Dragoni zwolnili, lecz część z nich nadal trzymała w ręku szable lub karabinki kawalerii gotowe do strzału.

Ebeling zmierzył groźnym spojrzeniem pannicę, stojącą nieruchomo na ganku. Dziewczyna, nie dość, że ogniście ruda, była w dodatku potwornie piegowata. Jasnymi oczami patrzyła wyzywająco na oficera. Ręce trzymała w kieszeniach kożuszka.

– Gdzie są buntownicy? – spytał krótko major. – Wiem, że weszli do wsi.

– Nie ma tu żadnych buntowników – odparła po polsku.

Głos jej drżał i słowa zdawały się z trudem przeciskać przez zaciśnięte gardło.

„Boi się” – pomyślał z zadowoleniem major. Jej strój niestety zdradzał, że jest członkinią partyzanckiego oddziału. Pewnie została we dworze z rannymi powstańcami, kiedy reszta oddziału ruszyła dalej.

Oficer zazgrzytał zębami. Prawdziwa zdobycz się wymknęła. W łapy wpadła mu jedynie sanitariuszka i pewnie kilku pokiereszowanych buntowników. Zakłuje się ich bagnetami, chłopcy zabawią się z dziewczyną. Można jeszcze złupić i spalić dwór w ramach represji za udzielanie pomocy

i schronienia buntownikom. Dobre i to. Pościg za bandą trzeba będzie odłożyć do jutra, teraz żołnierzom należy się trochę zabawy. Pozwoli im pomęczyć rannych i ograbić dwór.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni zaciśnięte pięści i zamknęła oczy.

Wanda Szczurówna rzeczywiście była sanitariuszką, jedyną w oddziałach majora Jana Jemioły, oficera specjalnego, wykonującego w świętokrzyskim tajną operację na zlecenie powstańczego Naczelnika Warszawy. Pochodziła z ubogiej rodziny żydowskiego szewca, a do buntowników przyłączyła się po tym, jak ci na jedną noc odbili z rosyjskich rąk jej rodzinne miasteczko. Niepozorny wygląd Wandy mógł wprowadzać w błąd, ale choć liczyła ledwie siedemnaście lat, a w walce brała udział raptem od dwóch miesięcy, była weteranem.

Bardzo groźnym weteranem.

Zacisnęła powieki, pozwalając, by tętent buzujący w umyśle wdarł się do świadomości i wypełnił jej krew mocą. Chlupot końskich kopyt w błocie, dzwonienie rynsztunku, rosyjskie przekleństwa, pomruk nadciągającej roty – wszystkie dźwięki zlały się w jedną kakofonię, która narastała, pięła się i cisnęła do gardła strumieniem energii.

Wanda otworzyła oczy i wrzasnęła.

Ryk uderzył w skłębionych na podwórzu dragonów. Ebeling poczuł potworne, wywracające wnętrznosci uderzenie w pierś. Kurczowo uchwycił się lęku i skulił, mrużąc oczy. Wierzchowiec zarżał z przerażenia, nogi się pod nim załamały i runął na bok, w lodowate błoto.

Światem wstrząsnęło wyładowanie mocy. Krzyk poderwał strumień wody i śniegu, cisnął wprost w żołnierzy. Dragoni spadali z siodeł, konie przewracały się z kwikiem.

Nim nieziemski dźwięk zdążył przebrzmieć, wszystkie okna w dworze się otworzyły i wysunęły się z nich lufy karabinów. Zagrzmiała salwa, przedłużając huragan dźwięku. Kule wgrzyły się w ludzkie i końskie ciała. Bryzgała krew.

Z drzwi dworku wybiegli powstańcy: mężczyźni w różnym wieku, ubrani w kozuski lub robotnicze kapoty, w chłopskie sukmany i długie, zimowe płaszcze. Większość dzierżyła wojskowe karabiny, kilku miało myśliwskie

strzelby. Wanda odsunęła się i usiadłaby ciężko na ziemi, gdyby w ostatniej chwili nie złapał jej młody lekarz – doktor Loewenhardt. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego blado. W jej oczach płonęło uwielbienie, kiedy medyk wciągał ją do środka i sadzał pod ścianą.

Powstańcy, którzy wypadli z dworu, ustawili się w dwuszereg. Pierwszy rząd uklękł. Z boku kolumny strzelców stanął niepozorny osobnik w przekrzywionej konfederatce. Major Jemioła nosił rozpięty płaszcz, a pod nim amerykańską, skórzaną kamizelkę. Na biodrach miał pas z nabojami i kaburami coltów Paggy i Daisy – dwóch ślicznotek, które awanturnik przywiózł zza oceanu.

– Cel! Ognia! – zakomenderował.

Gruchnęła kolejna salwa. W krwawe błoto na podwórzu padły następne ciała, kapiąc i drgając w agonii. Dragoni wrzeszczeli, gdy przebijały ich polskie pociski, ktoś wył z przerażenia i bólu. Kilku rzuciło się pieszko do ucieczki, naprzeciw nadchodzącej rocie piechoty, żadnemu bowiem nie udało się zapanować nad wierzchowcem – konie wpadły w popłoch po uderzeniu mocy i większość ocalałych zwierząt pogalopowała w dal. Tylko te ranne i pokiereszowane pociskami kwiczały upiornie.

– Ładuj! – rozkazał Jemioła.

Nie chciał prowadzić ludzi do walki wręcz, skoro mógł po prostu wystrzelać Moskali. Wszyscy powstańcy, zarówno ci zgromadzeni na podwórzu, jak i ci tkwiący w oknach dworu, zabrali się do sypania prochu w lufy.

Major Ebeling poderwał się z ziemi. Ostrzał przetrwał bez draśnięcia, schowany za swoim powalonym wierzchowcem. Bolała go kostka, przygnieciona w chwili upadku, ale nadal trzymał się na nogach. Rozejrzał się po poboju i przeklął wściekle. Co za pech, że nadziali się akurat na polską wiedźmę! Ruda pannica była odmieńcem, to nie podlegało dyskusji. Gdyby nie ona, zmasakrowaliby tę bandę oberwańców bez kłopotów, a teraz pół jego szwadronu konało w krwawej brei na podwórzu, podczas gdy drugie pół uciekało w popłochu.

– Stać! Do mnie! – ryknął, wyciągając rewolwer. – Szwadron, do ataku!

O dziwo, dragoni, którzy nie zdołali daleko odbiec, zawrócili. Kilku nawet

wystrzeliło z karabinków. Z błota podnieśli się lżej ranni i sięgnęli po broń.

Major się uśmiechnął. Nie tak łatwo pokonać carskich żołdatów. Nie wystraszy ich jedna wiedźma i dwie salwy. Wypatrzył wśród mocujących się z bronią buntowników ich dowódcę. Spotkali się wzrokiem i przez sekundę lub dwie mierzyli spojrzeniami. Ebeling wycelował broń w przeciwnika.

Jemioła sięgnął do kabur szybciej, niż zdołało to uchwycić oko. Wystrzelił z obu luf, nie celując ani nawet nie unosząc broni. Palił z biodra.

Major Ebeling nie zdążył pociągnąć za spust. Dwa pociski trafiły go w pierś, trzeci przeorał skórę na skroni i ześliznął się po czaszce. Broń wypadła mu z ręki. Straszliwa niemoc pociągnęła go w dół i cisnęła w błoto.

– Kompania, ognia! – rozkazał Jemioła.

Kolejna salwa zdziesiątkowała szeregi dragonów i ocaleni ponownie rzucili się do ucieczki, porzucając rannych kolegów.

– Szykować bagnety! – zakomenderował powstańczy major.

Szybkim krokiem zbliżała się rota piechoty. Ustawieni w luźną tyralierę, szli rażno z karabinami uniesionymi do ataku. W bezpośrednim starciu moskiewscy piechurzy z pewnością okażą się groźniejsi niż zaskoczeni i ostrzelani dragoni. Jemioła skinieniem przywołał ludzi, tkwiących na stanowiskach we wnętrzu dworku. Powstańcy skakali przez okna, część zakłębiła się przy drzwiach. Po chwili jednak blisko dwustu mężczyzn ustawiło się w szereg na podwórzu. Mieli przewagę liczebną, bo Rosjan pozostała zaledwie setka z okładem.

Podporucznik Konczacki wahał się. Dowódca zabity, porucznik dragonów diabli wiedzą gdzie, a przed dworkiem tkwiła cała chmara buntowników. Co robić, do diabła? Pierwsza jego bitwa, przejął dowodzenie nad oddziałem i miałby tak po prostu uciec? Nigdy! Jego honor, honor carskiego oficera na zawsze zostałyby zbrukany. Nie wycofa się przed bandą oberwańców. Rota z doborowego Pułku Pawłowskiego rozgniecie ich z marszu.

– *Rebiata, wperiod!* – wrzasnął na całe gardło.

Wyszło jakoś cienko i żałośnie słabo, ale przynajmniej podoficerowie posłuchali. Rozkaz podporucznika natychmiast powtórzyli dwaj feldfeble. Ich dudniące, mocne głosy dodały mocy jego słowom i piechurzy rzucili się



biegiem do ataku.

– Uraaaaa! – poniosło się nad polskimi polami.

– Bić skurwysynów! – gdzieś z boku, od strony wsi zagrział złowrogi ryk.

Spomiędzy chałup, prostopadle do szeregów atakującej roty, wybiegła chmara mężczyzn. Większość nosiła chłopskie kapoty i rogatywki na głowach. Niektórzy zamiast karabinków ściskali w rękach osadzone na sztorc kosy. Prowadził ich wielkolud ze zmierzwioną brodą i wyszczerzonymi w szale zębami – porucznik Pliszka, który dowodził kompanią kosynierów, obecnie częściowo uzbrojoną w broń palną.

Chłopi jednak nie strzelali, tylko wpadli na Moskali z boku, zamierzając wybić ich w bezpośredniej walce. Pliszka ryczał i wymachiwał kosą w szalonym młynku. Ostrze broni z gwizdem cięło powietrze, rozmazując się w srebrzystą smugę, aż wreszcie trafiło rosyjskiego piechura, który próbował zablokować je uniesionym karabinem. Kosa przecięła broń i rąbnęła żołdaka na wysokości obojczyka. Cięcie gładko rozrąbało bark nieszczęśnika i krew z przeciętych tętnic trysnęła wprost na twarz wściekłego kosyniera.

– Wolny ogień! – wrzasnął przerażony Konczacki.

Wypalił z pistoletu w nadbiegający tłum. Jego pocisk trafił jednego z chłopów w brzuch i powalił na ziemię. Piechurzy zatrzymali się i obrócili ku nowym przeciwnikom, po czym wystrzelili z karabinów i ruszyli do ataku na bagnety. Nierówna salwa nieco przprzedziła tłum atakujących powstańców, ale ich nie powstrzymała.

W tej samej chwili Jemioła poderwał do ataku swoją kompanię i Rosjanie znaleźli się w kleszczach. Z dwóch stron runęły na nich znacznie liczniejsze oddziały. Piechurzy, ponaglani wrzeszczeniem feldfebli, zbili się w gromadę, opierając o siebie ramionami. Z wyciągniętymi karabinami z bagnetami przypominali stalowego jeża. Konczacki, popchnięty przez jednego z sierżantów, znalazł się w środku szyku. Mogliby się teraz bronić godzinami, a nawet wystrzelać buntowników. Podporucznik już się widział triumfującego z krzyżem świętej Anny, przypiętym do szabli.

– Ogień rotowy! – rozkazał przytomnie.

Żołnierze znajdujący się w środku szyku zaczęli szybko ładować broń. Po

jej nabiciu przekażą ją stojącym bliżej lub w pierwszym rzędzie i odbiorą od nich karabiny do ponownego nabicia. W ten sposób rota mogła prowadzić nieustanny ostrzał wroga, bez przerw na nabijanie.

Jemioła zobaczył, co się święci. Wystrzelił z rewolweru, kładąc trupem trzech Moskali. Nic więcej nie mógł zrobić.

– Pliszka! – krzyknął do wielkoluda. – Uderzaj! Trzeba przełamać szyk!

Porucznik kosynierów splunął wściekle i jeszcze szerzej wyszczerzył zęby. Jego sylwetka zdawała się rosnąć. Oczy straciły naturalną barwę i błysnęły żółcią niczym ślepiec wilka. Ku przerażeniu Konczackiego twarz odmieńca jęła tracić ludzkie rysy, a powietrze wokół jego sylwetki sypnęło snopem iskier. Potężnego chłopca ogarnęła moc, w jednej chwili zmieniając go w bestię.

Kosynier ryknął potężnie, unosząc obie ręce. Teraz jego postać zdecydowanie górowała nad polem bitwy i wyglądał niczym prasłowiański demon, otoczony sięgającymi mu do ramienia wojownikami. Wyszczerzył wilcze kły i runął na oniemiałych ze zgrozy Rosjan.

Podporucznik Konczacki drżącą ręką dobył szabli. Niech to diabli, kolejny odmieniec! Zatem natknęli się na osławioną bandę Jemioły – przeklętych renegatów, sprzymierzonych z ludźmi o zepsutej krwi. To oni rozbili oddziały pułkownika Dobrowolskiego w bitwie o Małogoszcz, a potem zniknęli bez śladu, by pojawić się właśnie tu. Dlaczego, u licha, na początku kariery trafił właśnie na nich?!

Widział podnoszące się i opadające ostrze kosa, które ciągnęło za sobą strumienie posoki. Smugi czerwieni leciały wysoko w niebo, by spadać na Moskali krwawym deszczem. Potworny krzyk mordowanych przez wściekłego odmieńca żołnierzy złał się z trzaskiem gruchotanych kości i łamanych karabinów. Konczacki westchnął, z gardła wyrwało mu się płaczliwe miauknięcie. Potwór mordował jego rotę.

– Strzelajcie do bydlaka! Na co czekacie?

Ciasny szyk zaczął się łamać. Piechurzy rozpierzchli się, by uniknąć skapanego we krwi potwora. Jeden z odważniejszych pchnął go bagnetem, trafiając w udo, ale rana nie zrobiła na Pliszce najmniejszego wrażenia. Rąbnął przeciwnika i trafił w jego karabin. Tym razem ostrze kosa zazgrzytało o żelazną lufę i zamiast ją przeciąć odłamało się przy samym drzewcu.

Kosynier cisnął bezużyteczną broń i rycząc, ruszył przeciw żołdatom z gołymi rękoma.

Konczacki wyczuł moment. Teraz może stać się bohaterem! Może własnoręcznie usiec odmieńca! Z krzykiem ruszył na olbrzyma i ciął go szablą. Wielkolud wygiął się w tył, w niemożliwym uniku. Ostrze rozplątało tylko poję jego kapoty i otarło się o pierś. Ułamek sekundy później wielka łapa spadła na ramię oficera i zablokowała je w uścisku. Drugą ręką Pliszka złapał Moskala za udo. Konczacki poczuł, jak potężna siła podrywa go w powietrze. Spadł z impetem, uderzając kręgosłupem o wysunięte kolano odmieńca. Przeszywający ból pchnął podporucznika w ciemność.

Pliszka odrzucił przełamane na pół trupa Konczackiego i splunął krwią na ziemię. Powstańcy ostatecznie rozbili wrogie szyki i teraz bez litości mordowali piechurów. Krzyki i chrzęst bagnatów wdzierały się do umysłu kosyniera. Pachniało krwią, smrodem wyprutych wnętrzności i mokrą ziemią. Odmieniec odetchnął ciężko i pozwolił, by moc go opuściła. Czuł, jak paruje, jak pozbawia sił. W ustach został mu tylko smak migdałów i kurzu. Usiadł ciężko w błocie. Musiał odpocząć.

\*\*\*

Chłopak jechał na oklep, trzymając się końskiej grzywy. Wypadł na półsotnię kozaków w pełnym galopie i mimo prób nie zdołał zawrócić wierzchowca. Przemknął między zaskoczonymi jeźdźcami i pognałby dalej, gdyby nie przytomność umysłu jednego z Dońców. Po prostu pchnął mijającego go młokosa, zrzucając go w ten sposób z końskiego grzbietu. Dowodzący oddziałem esauł Danił Wasilewicz Krasnow nagrodził żołnierza łaskawym skinieniem głowy. Kozak uśmiechnął się z zadowoleniem. Wiedział, że w koszarach będzie mógł liczyć na dodatkową porcję gorzałki.

Złapany miał może czternaście lat, był chudy, ubrany w lichą kapotę i podarte spodnie – ani chybi parobek z folwarku. Jako że z oddali dobiegały odgłosy wystrzałów, esauł domyślił się, że major Ebeling dopadł buntowszczyków i urządził im ogniste powitanie. Szczeniak został zapewne wysłany, by kogoś ostrzegł lub zameldował o ataku Moskali. Czyżby w okolicy znajdowała się jeszcze jedna banda? Krasnow podrapał się po bliźnie na

brodzie. Musiał to sprawdzić, już taki psi los zwykłego kozaka.

Pochylił się nad dzieciakiem i złapał go za kapotę, a potem uniósł. Przerażony szczeniak znalazł się twarzą w twarz z kozakiem wyglądającym niczym stwór z koszmaru. Esauł miał gębę poznaczoną bliznami, a na oczodole po utraconym oku nosił czarną przepaskę. Wysoka bermyca przekrzywiła mu się na głowie, jedyne oko, bystre i błyszczące lodowatym złem, łypało na ofiarę z uwagą.

– Dokąd to jechałeś, chłopczyku? – spytał po polsku.

– Do mojej chorej babuszki, panie oficerze – wydukał dzieciak.

Krasnow cisnął go ze złością, chłopiec poleciał z krzykiem przerażenia w krzaki. Esauł zeskoczył z siodła niczym błyskawica, dopadł malca i kopnął go wściekle w brzuch. Złapał jęczącą ofiarę za włosy i postawił na nogi.

– Gdzie buntownicy? – syknął. – Gadaj, bo poczujesz, co potrafią kozackie nahajki! Szybciej, szkoda mi czasu!

– Nic nie powiem. – Chłopiec się rozplakał.

Krasnow skinął jednemu z kozaków i odwrócił się ze złością. Żołnierz wyciągnął nahajkę i nie schodząc z siodła, wymierzył nią kilka ciosów wrzeszczącemu dzieciakowi. Esauł wetknął w usta zwinięty liść tytoniu i zaczął żuć nerwowo. Powinien szybko skończyć przesłuchanie i pognać do folwarku, by wyłapać uciekające niedobitki buntowników. Naprawdę nie miał czasu na zabawy. Jeśli się spóźni, major Ebeling z pewnościąłoży na niego raport. Ci nadęci paniczykowie nie przepadali za kozakami. Nie rozumieli potrzeby wolności, drzemiącej w każdym Dońcu, oraz tego, że posłuszeństwo regulaminom, punktualność i wierne wypełnianie rozkazów kłóci się z naturą kozaka.

Poza tym Krasnowowi od dawna należał się awans, a nie dojdzie do niego, jeśli rozgniewany majorłoży skargę. Trzeba będzie zatem darować sobie przesłuchanie i poszukiwania drugiej buntowniczej bandy. Strzyknął przez zęby śliną i uniósł dłoń, przerywając bicie.

– I co, chłopcze, przypomniałeś coś sobie? – spytał szczeniaka.

– Jechałem do babuszki – wycedził chłopak, ocierając nos i załzawione oczy.

Krasnow dał sugestywny znak, przejeżdżając dłonią po gardle. Niemal

natychmiast na szyję młodego Polaka spadła pętla. Dońcy wozili sznury przy siodłach, bo często przydawały się przy spotkaniach z buntownikami. Odpowiednio zawiązana linka błyskawicznie zacisnęła się na szyi szczeniaka, a jej drugi koniec został przerzucony przez konar najbliższego drzewa. Obsługujący sznur kozak pogonił konia. Dzieciak nie zdążył nawet pisnąć, gdy lina szarpnęła i poderwała go w górę. Po chwili bujał się kilka stóp nad ziemią, bezskutecznie próbując poluznić pętlę. Jego twarz zrobiła się czerwona, a po chwili purpurowa.

Esauł znów splunął czarną od nikotyny śliną i wskoczył na siodło. Już miał wydać nietypowy rozkaz wykonującemu wyrok kozakowi, by szarpnął liną i skrócił cierpienia małego gnojka, ale zanim zdążył coś powiedzieć, jego wzrok padł na samotną postać, która wychynęła z lasu. Wysoki, postawny mężczyzna w polskim krótkim kozuchu podbitym futrem i w robotniczym kaszkiecie jak gdyby nigdy nic szedł ku nim zdecydowanym, szybkim krokiem. U pasa nosił oficerską szablę, pewnie zdobytą na Moskalach. Gdyby nie gęste, czarne bokobrody, przystrzyżone na rosyjską modłę i ewidentnie wojskowa postawa, wyglądałby jak typowy dowódca buntowników. Dezerter, który przyłączył się do powstańców? To się ponoć zdarzało.

Krasnow sięgnął po pistolet i rozejrzał się czujnie. Wokół rozciągał się rzadki liściasty las, o tej porze roku zupełnie łysy. Nie mogła się w nim ukryć żadna grupa buntowników, przybysz był więc sam. Jakby wyczuwając obawy kozaka, buntownik uniósł uspokajająco rękę i się zatrzymał. Kilku otaczających esauła żołnierzy zdjęło karabinki z pleców, reszta chwyciła mocniej spisy, gotując się do szarży.

– Nie radzę, dobrzy ludzie – przybysz odezwał się nienagannym rosyjskim.  
– Przybywam rozmawiać, nie chcę walki. Mam dla was propozycję, atamanie. Dla ciebie i twoich chwatów. Nie będziecie stratni, obiecuję.

– Porozmawiam z miłą chęcią, ale na moich warunkach – warknął Krasnow. – Brać go!

Sześciu kozaków spięło konie i runęło na przybysza. Kilku uniosło karabinki do oka, pozostali pilnie się rozglądali, szukając wzrokiem ukrytych buntowników. Rosjanin przebrany za polskiego powstańca uśmiechnął się groźnie. I znikł.

Konie pod pierwszymi dwoma jeźdźcami nagle runęły na ziemię. Ich sierść w jednej chwili poszarzała, naprężone mięśnie skurczyły się i zwiotczały, skóra napięła się na kościach. Zwierzęta nawet nie zakwiliły. Padły na ziemię jako dwa zmumifikowane trupy. Dosiadający ich kozacy jednym głosem wrzasnęli z przerażenia. Ich wierzchowce zmieniły się w mające setki lat truchła.

Krasnow zaklął pod nosem. *Oboroten!* Odmieniec! I to cholernie potężny.

– Opuśćcie broń, a ty, atamanie, wysłuchaj, co chcę ci zaproponować.

Mężczyzna znów się pojawił. Teraz stał kilka kroków od esauła, w niedbalej pozie i z rękoma splecionymi na piersi. Opierał się ramieniem o pień starej topoli. Kilka kroków obok młody buntownik bujał się na stryczku i kopał nogami powietrze, walcząc o życie. Odmieniec nie zwracał na niego uwagi.

Krasnow odciągnął kurek w pistolecie, sprawdził kciukiem, czy kapiszon leży na kominku broni. Strzelić? A jeśli ten demon okaże się szybszy? Kozak już zgadł, kim jest ów jegomość. To Teofil Teofilowicz Pustowójtow, sztabskapitan piechoty z radomskiego garnizonu. Zdezercerował ponad miesiąc temu, a za jego głowę wyznaczono nagrodę, będzie z tysiąc rubli. Okazja nie do pogardzenia, tylko że ponoć Pustowójtow należał do odmieńców najgorszego sortu – skrajnie niebezpiecznych. Walka z nim mogła naprawdę źle się skończyć nawet przy stosunku sił pięćdziesięciu na jednego.

– Czego chcesz, sztabskapitanie Pustowójtow? – spytał esauł.

Teofil zaklął w myślach. Słyszał o tym, że odmieńcy z formacji Jemioły stali się sławni po swoich wyczynach w bitwie o Małogoszcz, ale nie spodziewał się, że aż tak bardzo. Było mu to trochę nie na rękę. Ciągłe jeszcze nie zdecydował, czy na pewno chce poprzeć polską sprawę. Wolałby zachować możliwość manewru i w razie czego wrócić w szeregi carskiej armii, zwłaszcza że po prawdzie przyłączył się do powstańców jako szpieg, wysłany przez naczelnika Urzędu Przemian Pawła Iwanowicza Tichona. Miał za zadanie inwigilować szeregi wroga i neutralizować polskich odmieńców, ale zamiast tego dał się porwać polskiej wolnościowej euforii i zaprzyjaźnił się z prostymi żołnierzami powstańczych oddziałów. Ciągłe jednak się wahał – porzucić polskich kompanów czy ryzykować dla nich życie?

– Chcę złożyć ci intratną propozycję, Krasnow. – Teofil uśmiechnął się nieznacznie.

Też rozpoznał swego rozmówcę, choć wcześniej nigdy go nie spotkał. Słyszał o groźnym atamanie, który ze względu na pochodzenie nie robił należytej kariery w armii. W tym się właściwie nie różnili, Pustowójtow był bowiem synem polskiej hrabianki i rosyjskiego generała, któremu domieszka polskiej krwi spowalniała awanse i zapewniała najgorsze możliwe przydziały. Nieszczęścia dopełniła jego nawiedzona siostrzyczka Henia, która w kilka lat stała się najbardziej znaną polską awanturnicą, walczącą z caratem. Skandale w wykonaniu siostry ostatecznie zamknęły Teofilowi drogę do wysokich szlifów i stołka w petersburskim sztabie. Mógł jedynie dalej służyć jako podrzędny oficer i szpiegować dla Urzędu Przemian lub walczyć za polską sprawę, z góry skazaną na przegraną.

Kozak łagodnym ruchem wymierzył w niego pistolet. Poza tym kilkunastu kozaków mierzyło do Pustowójtowa z karabinków, a pozostali nieznacznie rozsuwali się i przesuwali, by oskrzydlić intruza.

– Jaka to propozycja, sztabskapitanie? Niezwykle ciekawym. – Esauł strzyknął śliną.

– Przybywam tu jako reprezentant Tymczasowego Rządu Narodowego – skłamał gładko Pustowójtow. – Przejdźcie na naszą stronę, wypowiedzcie wierność carowi. Niech Dońcy walczą ramię w ramię z Polakami. Po zwycięstwie dostaniecie pełną autonomię, niezależne państwo na Ukrainie. Na czas starcia z Imperium otrzyma pan stopień generała kawalerii i obejmie dowództwo nad całą powstańczą jazdą, a po podpisaniu pokoju zostanie feldmarszałkiem armii ukraińskiego państwa, hetmanem kozackim.

Krasnow wybuchnął śmiechem. Zawtórowały mu rechoty części półszwadronu.

Kozacy nieznacznie zbliżali się do Pustowójtowa. Chłopak dyndający na gałęzi przestał się miotać i już tylko drgał w agonii.

– Pańska oferta jest niepoważna – odparł esauł. – Zastanowiłbym się, gdyby poparły ją jakieś naprawdę znaczące argumenty. Niestety nie mam zamiaru popełniać samobójstwa, walcząc o coś niemożliwego.

Teofil skinął głową. Zapanował nad falą złości. Czuł przemożną chęć, żeby

sięgnąć po moc i wyssać z tych durniów cały ich czas. Zanim który by mrugnął, zamieniliby się w klekoczącą kupę starych kości.

– Ile? – spytał wprost.

– Chce nas pan przekupić? Chce, żebyśmy za garść złotych złamali wojskową przysięgę, wyrzekli się cara i ruszyli do samobójczej walki z regularną armią? I to ramię w ramię z Lachami? Ha!

– Pięćdziesiąt tysięcy rubli żołdu na sotnię – oznajmił zimno Teofil. – Miesięcznie.

Krasnow zamrugał nerwowo. Nie należał do najszybciej myślących, słabo też radził sobie z rachunkami, ale potrafił z grubsza oszacować, że wypadało po kilkaset rubli na żołnierza. To tyle, ile zarabiał carski oficer w ciągu roku! Cała fortuna.

– Skąd niby weźmiesz taką forszę, Pustowójtow? – wycedził.

– Nie martw się o to, esaule. Powiedz, ile sotni zdołasz przeciągnąć na naszą stronę, a ja przygotuję pieniądze. Przypominam, że Rząd Narodowy dysponuje skarbami pamiętającymi czasy potęgi Rzeczypospolitej. Słyszałeś pewnie, że obraduje pod samym nosem księcia Konstantego w podziemnym pałacu. Polacy dysponują potęgami, o jakich carowi się nawet nie śniło. Dowodem mogą być losy carskich oddziałów, które przed paroma chwilami zaatakowały folwark. Właśnie przestały istnieć. Wracajcie do koszar, nic tu po was. Zameldujcie, że piechurzy i dragoni zniknęli bez śladu, wpadli w turbulencję rzeczywistości lub inną anomalie.

– Chcę zobaczyć ten pierwszy żołd – odparł Krasnow i powoli opuścił kurek pistoletu. Schował broń do kabury. – Jeśli faktycznie możesz tyle płacić, propozycja jest godna przemyślenia.

– Wezwę was, gdy będziecie potrzebni. – Odmieniec skinął głową. – Czekać w gotowości.

Wyciągnął dłoń i pozwolił by z przedramienia wypełzły mu srebrne i czarne węże mocy, niewidoczne dla zwykłych ludzi. Sięgnął nimi do duszącego się chłopca, pozwalając, by wpiły się w jego ciało. Węże pochłoneły resztę czasu, która została wisielcowi i uderzyły nim w Pustowójtowa. Przyjął ukradzioną moc w swoje ciało. Trwało to mgnienie oka i kozakom nawet na myśl nie przyszło, że odmieniec zaczyna „czarować”.



Nie wiedzieli, że skrócił cierpienia umierającego dziecka.

Przed oczami Teofila świat wyblakł i pociemniał. Ucichł szum wiatru, szelest gałęzi, prychnanie koni wyciągnęło się, przeszło w basową nutę. Czas chłopca spalał się, wytwarzając wokół odmieńca sferę szybszego upływu. Mógł teraz poruszać się niczym błyskawica, mógł kolejno poderżnąć każdemu kozakowi gardło, zanim ten choćby mrugnął. Odwrócił się jednak i po prostu odszedł.

Oczywiście skłamał, mówiąc o potędze Rządu Narodowego i jego niezmiernych bogactwach. Buntownicy dysponowali tylko pieniędzmi ze składki narodowej, którą pilnie powtarzali od wybuchu powstania. Zbierali po miasteczkach i dworach podatek lub w ostateczności co łaska, nie mieli też żadnych podziemnych pałaców, jak wierzyli Rosjanie.

Krasnow potrząsnął głową. Sylwetka odmieńca w jednej chwili się rozmazała i zniknęła. Kiedy esauł zamrugał i się rozejrzał, po Pustowójtowie nie było śladu.

– Co robimy, dowódco? – spytał któryś z kozaków.

– Wracamy do Radomia – odparł Krasnow. – Każdy ma trzymać gębę na kłódkę. Wierzę odmieńcowi w sprawie naszych oddziałów. Nadziali się na formację polskich oborotenów, bandę takich jak ten demon. Major Ebeling i jego chłopcy już nie żyją. Nic tu po nas.

Zmierzył ponurym spojrzeniem żołnierza, który opuścił trupa dzieciaka z gałęzi i zdejmował mu z szyi pętlę, by odzyskać sznur. Krasnow poczuł dziwny niepokój. Wiedział, co odmieniec chciał mu przekazać, ignorując śmierć dziecka. Nie poświęcił konającemu chłopcu najmniejszej uwagi, okrucieństwa nie robią na nim wrażenia. To znak, że sam zdolny jest do rzeczy znacznie gorszych.

Kozak przypomniał sobie złe czarne oczy Pustowójtowa i poczuł przebiegające po grzbiecie ciarki.

\*\*\*

Doktor Stanisław Loewenhardt rzucił mokre od krwi szarpie sanitariuszce i zaczął owijać ramię ранego kosyniera pociętym w pasy płótnem. Potężny chłop tylko trochę się krzywił, choć przestrelona na wylot ręka z pewnością

bolała jak diabli. Pocisk przeorał mięśnie i wyleciał, nie uszkadzając żadnej arterii, nie trzeba też było dłubać w przestrzelinie, wystarczyło przemyć, powstrzymać krwotok i zabandażować. Jeśli nie prowadziło się operacji, niebezpieczeństwo ropnej gorączki gwałtownie malało. Stanisław zauważył już jakiś czas temu tę prawidłowość i podejrzewał, że gnicie ran i zakażenia po operacjach powodowało coś, co krążyło w powietrzu lub znajdowało się na ostrzu skalpela i szczypiec. Skażona moc? Morowe powietrze? Drobinki niewidoczne gołym okiem? Na wszelki wypadek młody lekarz zawsze starannie wycierał narzędzia, czasem nawet między poszczególnymi operacjami. Raz na tydzień kazał Wandzie myć je wodą, płukać alkoholem i wycierać do sucha.

– Wszyscy zdrowi? Nikt więcej nie oberwał? – Wychylił się zza drzwi i krzyknął w głąb korytarza.

Izba, pełniąca na co dzień funkcję buduaru gospodyni dworu, służyła od godziny za szpital polowy. Powstańcy wnieśli tylko do środka ławę, by zastępowała stół operacyjny, i gotowe. Wanda płukała szarpie w misie, postawionej na blacie gotowalni – masywnego mebla pamiętającego czasy napoleońskie. Pełna szufladek i szufladeczek komoda zaopatrzona została w owalne zwierciadło w grubej ramie, rzeźbionej w kwietne girlandy. Ruda sanitariuszka, tnąc płótno na bandażę i przepakowując zwitki szarpi, spoglądała w zwierciadło.

Odbicie jednak jej nie zachwycało. Twarz miała pobladłą z wysiłku po użyciu mocy, przez co piegi odznaczały się jeszcze mocniej. Pod oczami pojawiły się wory ze zmęczenia i niewyspania, włosy sterczały na wszystkie strony. Fryzura aż ruszała się od wesz i pcheł, a tygodniowy brud wżarł się już niemal na stałe w skórę dziewczyny. Wyglądała teraz jak prawdziwa wiedźma. Nic dziwnego, że Stanisław ani raczył na nią spojrzeć. Na nic zdawały się powłóczyście spojrzenia i zalotne trzepotanie rzęsami. Doktor nie dostrzegał swojej pielęgniarki.

„Za to gdyby tylko pojawiła się tu Henia Pustowójtówna – pomyślała gorzko Żydówka – od razu zagotowałyby się z miłości”. Co miała w sobie ta cholera, że mężczyźni świata poza nią nie widzieli? Jak znaleźć to coś w sobie?

Na szczęście Heni, legendarnej już bojowniczką o Polskę, tu nie było. Służyła w stopniu adiutanta w armii generała Langiewicza i to jego aktualnie czarowała swymi głębokimi jak otchłań czarnymi oczyma. I okazałym biustem.

Wanda krytycznie oceniła swoją wiotką, dziewczęcą sylwetkę. No nie, od powabu Heni Pustowójtówny dzieliła ją przepaść.

– Jest jeszcze jeden, panie doktorze! – rozległo się w sieni.

– Na co czekacie? Dawać go! – zakomenderował Loewenhardt. – Wandziu, obmyj, proszę, nożyce i skalpel. I w czystej wodzie, dziewczyno, nie w tej brei z krwią! Rusz się! Nie masz sił iść do studni czy co? Mam kogoś zawołać?

– Dam sobie radę. – Wanda zacisnęła zęby.

Właściwie ledwie już powłóczyła nogami. W uszach jej szumiało, usta wypełniał smak kurzu i ohydna słodkość migdałów – smak parującej ciągle mocy. Powinna teraz w spokoju usiąść i odbyć medytację, by jak nauczał major Jemioła, uspokoić umysł, a potem porządnie się wyspać.

– Co za cholerny pech! – rozdarł się Muniek Węgorzewski.

Krępy i niewysoki chłopak, niewiele starszy od Wandy, został wprowadzony przez dwóch kosynierów. Chłopi podtrzymywali strzelca wyborowego pod ramiona, ten zaś podpierał się jedną nogą, drugą trzymając podkurczoną. W rękę ścisnął swój ulubiony karabin, belgijski sztucer, z którego potrafił ustrzelić Moskala z odległości pół wiorsty. Nie zdecydował się odłożyć broni, nawet gdy kładziono go na ławie.

Wanda załamała ręce. Muniek, jako jedyny w partii nieudolnie próbował zabiegać o jej względy, co trochę łechtało próżność dziewczyny. Lubiła chłopaka, jego toporne zaloty poprawiały jej humor. Węgorzewski był zdolnym i odważnym żołnierzem, od jakiegoś czasu pełnił nawet funkcję sierżanta w kompanii kapitana Pustowójtowa. To, że został ranny w potyczce, w której poległo tylko trzech powstańców, faktycznie zakrawało na cholerny pech.

– Wyobraźcie sobie, trafili mnie zupełnie przypadkowo! – oburzał się Muniek. – Pobiegłem z kilkoma chłopakami ścigać niedobitki z rozbitej rot. Jakies dwie wiorsty od folwarku dopadliśmy czterech uciekinierów. Jednego położyłem trupem, zanim się zorientował, że depczemy im po piętach, dwaj

pozostali zostali zakłuci przez chłopców, trzeci próbował się poddać. Uklęknął i rzucił karabin. I na świętą Barbarę, broń wystrzeliła. Dostałem prosto pod kolano, coś takiego!

– Jak to na wojnie. – Loewenhardt wzruszył ramionami, pochylając się nad chłopakiem. – Zabłąkane kule, pomyłkowe ostrzały, bywa. Zdejmuj spodnie.

– Przy Wandzi? – obruszył się strzelec. – Mowy nie ma!

– Jestem sanitariuszką – dumnie odparła dziewczyna. – Widziałam ciekawsze rzeczy niż twoje gołe nogi i jakoś żyję.

Wreszcie Loewenhardt pomógł chłopakowi i zdarł z niego spodnie oraz kalesony, po czym obejrzał dziurę wlotową od kuli i skrzywił się, kręcąc głową. Wanda spojrzała ponad ramieniem lekarza. Nie studiowała medycyny, właściwie nigdy nie chodziła do szkoły, ale domyśliła się, że sprawa jest poważna. Kula strzaskała kość piszczelową i utkwiała pod kolaniem.

Zapowiadała się długa i skomplikowana operacja, a szanse na to, że Muniek przeżyje leczenie, nie były wysokie. Przy uszkodzeniach kości często dochodziło do gangreny lub ropnej gorączki. Poza tym ciężej rannych powstańców po prostu się zostawiało, licząc, że zostaną wykurowani przez dobrych ludzi lub przynajmniej oszczędzeni przy wzięciu do niewoli.

– Chyba będę musiał odciąć – oznajmił ponuro Loewenhardt. – To daje największe szanse na przeżycie.

– Co odciąć? – Muniek zbladł. – Moją nogę? Jak to odciąć?

– Panie doktorze, ech, Stasiu – bąknęła przerażona Wanda. – Nie mamy już ani kropli eteru.

Butelka z cudowną substancją usypiającą została opróżniona jakiś czas temu i aktualnie w zasobach polowego szpitala nie znajdowały się żadne inne specyfiki uśmierzające ból. Muniek zrozumiał, że chcą mu odpiłować nogę na żywca i podpierając się karabinem, próbował wstać i uciec.

Loewenhardt oparł się oburącz o jego ramiona i posadził go siłą z powrotem. Odwrócił się do Wandy:

– Idź do kuchni, niech zagotują trochę wody. Przyrowadź dwóch silnych chłopów do przytrzymania pacjenta i znajdź jakiś gruby patyk. Muniek musi mieć w co wbić zęby, gdy będziemy amputować.

– Co to znaczy amputować?! – ryknął strzelec. – Nie zgadzam się! Puść

mnie pan, do jasnej cholery!

Wanda, zataczając się z wrażenia, wyszła na korytarz. Tak jej było szkoda sympatycznego strzelca. Przywykła do jego adoracji i traktowała go jak kogoś z rodziny, powiedzmy – niesfornego, ale wesołego kuzyna.

Wparowała do kuchni, gdzie zastała właścicielkę dworku, starszą, dystygowaną damę, w towarzystwie kucharki i pokojówki. Wszystkie trzy piły herbatę z samowara, pobladłe i wystraszone niedawną strzelaniną. Poderwały się na równe nogi, gdy Wanda chaotycznie wyrecytowała listę żądań. Dziedziczka osobiście pobiegła do drewnutni szukać klina do gryzienia dla operowanego, kucharka zabrała się do rozniecania żaru w piecu, by nastawić gar wody, a pokojówka pobiegła po nici do podwiązania żył po amputacji.

Wanda wybiegła przed dwór szukać silnych mężczyzn do przytrzymania strzelca. Na samym ganku wpadła jednak wprost w ramiona Pustowójtowa. Rosjanin akurat wchodził do środka w towarzystwie majora Jemioły. Dziewczyna odbiła się od jego piersi i Rosjanin odruchowo ją przytrzymał.

– Łapy precz, bydlaku! – wrzasnęła, natychmiast sięgając po moc.

Jej głos zadźwięczał w uszach Teofila niczym dzwon. Oficer odepchnął rudą wiedźmę i zasłonił uszy, krzywiąc się z bólu. W jego czarnych oczach błysnęła złość. Wysłano go jako szpiega, by zabił między innymi tę przekłętą Żydówkę; miał ku temu już tyle okazji, ale się wahał. I po co? Powinien już dawno skrócić tej cholery kark. Powtarzała tylko o nim paskudne historie, plotkowała o jego napadach szału i popełnionych zbrodniach. Wstrętna, mała jędza.

– *Pax!* – zakomenderował uśmiechnięty Jemioła. – Pogodzicie się kiedyś czy będzie się nieustannie szarpać i popychać? Co się dzieje, Wandzia?

– Muniak oberwał, Staś chce mu urznąć nogę! Potrzebujemy kogoś do pomocy.

Jemioła obrócił sanitariuszkę, pchnął z powrotem do środka i kazał się prowadzić do lazaretu. Wszyscy w oddziałach dobrze znali i lubili Muńka, łącznie z dwoma dowódcami. Nawet Pustowójtowa mocno zmartwiła informacja o fatalnej kontuzji strzelca. Węgorzewski był doskonałym snajperem i nieraz już pokazał, co potrafi. Nikt w partii Jemioły nie zabijał tak

precyzyjnie. Szkoda byłoby stracić dobrego żołnierza.

– Nieee! – Muniek odpychał karabinem czerwonego ze złości Loewenhardta.

Obaj siłowali się na operacyjnej ławie. Na widok dwóch dowódców wchodzących do buduaru natychmiast przerwali starcie. Doktor wyprostował się i poprawił kamizelkę, piorunując Węgorzewskiego wzrokiem. Nie miał w zwyczaju bić się z pacjentami, ale ten rozwrzeszczany cwaniak z sandomierskiego grał mu na nerwach. Jeszcze chwila i ranny dostałby w zęby.

– Uspokój się, Muniek – zakomenderował krótko Jemioła. – Nie mamy czasu na przepychanki, lada chwila ruszamy w dalszą drogę. Musimy stąd zniknąć, bo po dzisiejszej bitwie w okolicy zaroi się od Moskali. Generał Uszakow z pewnością wyśle cały pułk, by nas upolować.

– Nie zostawicie mnie tutaj!

– Nie marudź.

– Dokąd ruszamy?

– Lepiej, byś nie wiedział.

– Czyli jednak mnie zostawicie! – ryknął Muniek. – Nie chcecie, bym coś wygadał, gdy zgarną mnie Rosjanie. Idę z wami.

– Doktorze? – Jemioła zwrócił się do Loewenhardta.

– Amputacja jest konieczna, by pacjent przeżył. W innym wypadku musiałbym przeprowadzić długą operację, ale nie mamy na to ani czasu, ani środków medycznych. Bez znieczulenia zabieg jest niemożliwy. Musimy ciąć, nim dojdzie do gnicia.

Pustowójtow podszedł do strzelca i spojrzał na niego spod krzaczastych brwi. Muniek natychmiast się uspokoił. Teofil był jedną z niewielu osób, które budziły respekt w Węgorzewskim. Rosjanin przyglądał mu się, jakby rozważał przydatność żołnierza i szacował, czy jakikolwiek wysiłek dla niego ma sens. Muniek zorientował się, że ważą się jego losy. Usiadł prosto i wypiął pierś, by wyglądać na dzielnego i cennego wojaka.

– Mógłbym mu pomóc, ale potrzebuję źródła czasu. Potrzebuję ofiary. – Teofil spojrzał kolejno na obecnych.

Wszyscy, nie wyłączając Jemioły, poczuli się nieswojo. Wzrok Rosjanina

kojarzył mu się ze spojrzeniem drapieżnika, który szuka czegoś do pożarcia. Wanda zacisnęła pięści, poczuła, jak głosy cisną się jej do głowy i proszą, by je wykrzyczała, najlepiej prosto w twarz przeklętego odmienca, którego nikt nie lubił, za to wszyscy się go bali. Przyłączył się do powstańców niby jako dezertier z carskiej armii, ale i tak od początku podejrzewano go o szpiegostwo. Wanda zawsze była pewna, że Pustowójtow to drań i zwyrodniały morderca.

– Może użyje pan mojego czasu, kapitanie? – nieśmiało spytał Muniek.

– Dobry pomysł, chłopcze. Spróbuję pomóc, ale wiedz, że spalę część twojej energii życiowej. Nie dożyjesz późnej starości – ostrzegł oficer. – Niech wszyscy się odsuną.

– Nie rób tego, Muniek! – ostrzegła Wanda. – Zdaj się na umiejętności Stasia.

Strzelec spojrział na nią i uśmiechnął się niepewnie, potem przeniósł spojrzenie na oficera. Skinął twierdząco głową. Pustowójtow pchnął go lekko w pierś, zmuszając, by ponownie położył się na ławie. Chłopak miał niepewną minę. Nagle zastygł w połowie gestu, z oczami wbitymi w oficera. Pustowójtow wodził chwilę dłońią nad ciałem Muńka. Wanda poczuła znajomy zapach mocy, kiedy powietrze zaiskrzyło wokół odmienca i jego ofiary.

– Bierz się pan do roboty, panie doktor – wycedził przez zęby Teofil. – Wyjmij kulę, szybko.

Loewenhardt nie zadawał pytań, już kiedyś zetknął się z mocami przywoływanymi przez Pustowójtowa. Wiedział, że ten potrafi objąć jakąś osobę lub obszar energii mutatio i zmieniać wewnątrz upływ czasu. Muniek wyglądał właśnie na dramatycznie spowolnionego. W tej chwili czas dla niego płynął setki razy wolniej i w jego spowolnionym czasie operacja zajmie nie długie minuty, lecz ułamek sekundy.

Lekarz złapał za skalpel i szybko poszerzył ranę, by móc w nią włożyć szczypce do wyciągania kul. Wanda podała mu je bez słowa. Loewenhardt mruknął pod nosem z wrażenia. Przecięta tkanka zupełnie nie krwawiła, a pacjent nie czuł bólu. Jego organizm nie zorientował się jeszcze, że coś się dzieje. Władając tak potężną mocą, jakże wiele dobrego mógłby uczynić

rosyjski odmieniec, gdyby zgodził się asystować przy operacjach! Jak wielkie możliwości otworzyłoby to przed światem nauki! Dałoby się nawet prowadzić operacje na otwartym sercu, otworzyć brzuch kobiety w ciąży bez szkody dla płodu lub dokonać zabiegu na mózgu. Niesamowite!

Wydobyta nie wiedzieć kiedy kula brzdąknęła o dno blaszanej misy. Loewenhardt, zadowolony z siebie i tego, że miał okazję przeprowadzić tak niezwykle zabieg, uśmiechnął się do Pustowójtowa. Po czole odmieńca spływały krople potu. Oficer nieustannie wodził dłonią nad operowanym. Wszyscy obecni wiedzieli, że splata węże upływającego czasu, ujarzmia je i zmusza do zmiany rzeczywistości. Wanda, porwana jakimś niezrozumiałym dla niej odruchem, wytarła szmatką czoło Rosjanina.

– Mam zszywać ranę? – spytał Loewenhardt.

Pustowójtow tylko odmownie pokręcił głową. Skupił się na niezwykle splocie. Czuł, jak bystry srebrny wąż mocy przepływa mu między palcami. Zdusił go i pchnął w ranę. W punktowo wybranych miejscach nogi operowanego czas zaczął gwałtownie przyspieszać. Krew wpięrow trysnęła z przeciętych tkanek, by po sekundzie zakrzepnąć w strup. Na oczach zachwyconego lekarza, Wandy i majora Jemioły rana zaczęła się zblizniać. Tkanki łączyły się ze sobą, strup odpadł, odsłaniając gojącą się, różową bliznę, która po chwili ściemniała i zastygła. Pustowójtow westchnął z ulgą i odsunął się w tył.

Węgorzewski nagle ożył. Ryknął na całe gardło jak oszalały. W jednej chwili poczuł, jakby ktoś wetknął mu w ranę rozpalony pręt. Mięśnie całego jego ciała spięły się i zadygotały w szoku. Jemioła i Loewenhardt doskoczyli do chłopaka i oburącz go przytrzymali.

– Co się stało?! – wysapał Muniek.

– Jesteś zdrowy – odparł Pustowójtow. – Noga będzie cię rwała, szczególnie przed zmianą pogody, ale możesz chodzić, a nawet biegać. Zabieg pożarł kilka dobrych lat twego żywota, mnie zaś przyprawił o ból głowy. Muszę się napić.

Jemioła uśmiechnął się promiennie i serdecznie uściskał zaskoczonego tą wylewnością Teofila.

– Cieszę się, że mam takich ludzi w oddziale. Wszyscy jesteście



wspaniali. – Major wręcz promieniał. – Wódkę dostaniesz dopiero wieczorem, Teofilu. Teraz pora zbierać ludzi do wymarszu.

Muniek zeskoczył z ławy i zrobił kilka kroków. Doskoczył do Pustowójtowa i uściskał mu dłoń. Teofil, ku własnemu zaskoczeniu, mimo wyczerpania i mdłości, poczuł się dobrze. Ogarnęły go dziwna euforia i poczucie spełnienia. Poczochnął czuprynę chłopaka i odpowiedział uśmiechem.

– Dokąd ruszamy, Janku? – zwrócił się do Jemioły.

– Na południe, odnaleźć armię generała Langiewicza – odparł dowódca. – Muszę złożyć mu pewną propozycję. Propozycję wzięcia udziału w operacji, od której będzie zależał dalszy przebieg tej wojny. I los nas wszystkich.

**19 marca 1863 r.**

Nocą znów chwycił przymrozek. Chmury szczelnie zasnuły niebo i nawet odrobina księżycowego blasku nie przebijała się przez ich ciężkie zwały. Tylko resztki śniegu, zalegające wzdłuż traktu, pozwalały zorientować się, gdzie właściwie jest droga. Konie potykały się na nierównościach zrytej koleinami powierzchni, chwilami ocierały się o siebie. Pliszka kłął pod nosem, wyraźnie niezadowolony z nocnej podróży. Okazało się, że wielki chłop ledwie potrafi utrzymać się w siodle. Przyznał z niechęcią, że właściwie konno zdarzyło mu się jechać tylko kilka razy w życiu. Zwierzęta go nie lubiły, płoszyły się, skoro tylko podszedł bliżej. Zdarzało się, że ogiery go po prostu gryzły i kopały, gdy próbował ich dosiąść, a spokojniejsze koniki potrafiły zrzucić, ledwo wgramolił się im na grzbiet. Pewnie wyczuwały zepsutą krew, która zmieniała go w bestię.

Jeźdźcy nie dostrzegli mrocznej sylwetki na konarze starego dębu. Ich przejazd śledziły błyszczące ślepia strzygi, wczepionej pazurami w gałąź. Potwór miał postać wysokiej kobiety o skołtunionych i posklejanych krwią jasnych włosach, ubranej w poszarpany kir. Spojrzenie upiorzycy przesuwalo się po sylwetkach powstańców, aż spoczęło na potężnej postaci Pliszki.

Strzyga poruszyła się niespokojnie, skrzydła na jej plecach rozłożyły się, jakby bestia zamierzała skoczyć w dół i zaatakować jeźdźców. Powstrzymała się jednak. Znała tych ludzi za życia, pamiętała ich zapach, widziała otaczającą ich aurę. To nie wrogowie. Powinna ich chronić i walczyć razem z nimi. W strzępach jej pamięci migaly pojedyncze sceny: marsze, walka, śmiechy i rozmowy, gorące uściski największego samca, a wreszcie pchnięcie w pierś kozacką spisą. Potem widziała swoje ludzkie ciało nad rzeką promieniującą mocą i uderzenie kolumny światła, które przywołało ją z tamtej strony i na powrót wepchnęło w odmienione ciało. Nie mogła jeszcze odejść i spocząć w powstańczej mogile. Wezwano ją, by wzięła udział w niedokończonej walce. Obca moc napełniła ożywione ciało wściekłością, dała siłę i wysłała na powrót do realnego świata. Strzyga musiała zapanować nad

zwierzęcą furią i czekać na swój czas, by znów się ujawnić.

– Czujecie? – Pliszka przestał burczeć pod nosem i wyprostował się w siodle. – Jakby ktoś używał mocy!

Jemioła wciągnął nosem zimne nocne powietrze. Oprócz zapachu wilgotnej ziemi i potu własnego wierzchowca nic nadzwyczajnego nie zarejestrował.

– Coś jakby dym? – mruknął.

– Dym z kominów też – odparł kosynier z irytacją. – Przed nami stoi mała wioska, chyba Wełecz. Ino kilkanaście chałup, a czuję kupę luda. Czułem jednak jeszcze odmieńca, coś takiego znajomego. Nie, wydawało mi się, dyc mniejsza z tym. We wiosce stoją moskiewskie oddziały albo...

– Wreszcie znaleźliśmy Langiewicza – dokończył major.

Najwyższa pora, Jemioła szukał jego wykrwawionych zastępów już od sześciu godzin. Generał znów pokazał, co potrafi i niedaleko stąd, pod Grochowiskami stoczył bitwę, po czym, jak miał w zwyczaju, po prostu zniknął, i to razem z niemal trzema tysiącami powstańców. Langiewicz potrafił kluczyć, prowadząc kolumny wojska tak, że za nic w świecie nie mogły go zlokalizować kozackie podjazdy, choćby przeszedł im przed samym nosem.

Wjechali do wioski, niezaczepiani przez nikogo. Jemioła pokręcił głową. Odkąd niemal miesiąc temu opuścił zgrupowanie generała, nic się nie zmieniło, sztab Langiewicza nadal zaniedbywał tak podstawowe sprawy jak rozstawienie wart. Gdyby Rosjanie uparli się dopaść buntowników, otoczyliby Wełecz i przed świtem wybili całą partię do nogi. Ludzi Langiewicza usprawiedliwiała jedynie, że w ciągu ostatnich dni stoczyli dwie wyczerpujące, krwawe bitwy. Upuścili sporo rosyjskiej juchy i odparli Czengierego, niestrudzenie nękającego ich od dwóch miesięcy. Moskale cofnęli się w stronę Jędrzejowa, żeby lizać rany i czekać na wsparcie. Powstańcy natomiast znów próbowali zniknąć i nieco odetchnąć.

Przybysze jechali przez wioskę, patrząc na skrajnie wykończonych buntowników, którzy kulili się przy ogniskach. Większość z nich schroniła się w chałupach i stodołach, ale dla wszystkich nie starczyło miejsca w małej miejscowości; zalegali więc wzdłuż płotów, owinięci w kapoty i burki, cisnęli się do ognisk, przysypiali na siedząco. Żaden nie zwrócił uwagi na kilku

jeźdźców.

Jemioła domyślił się, że generał zajął na kwaterę największy w okolicy budynek. Kiedy podjechali do dworku, porucznik kosynierów jako pierwszy z westchnieniem ulgi zsunął się z siodła. Major rzucił mu wodze, na co Pliszka zmierzył dowódcę groźnym spojrzeniem.

– Zostajecie – rozkazał niezmieszany Jemioła. – Spróbujcie zorganizować koniom coś do żarcia.

– Nam też w brzuchach burczy, panie majorze – odezwał się któryś z jego przybocznych.

– W tej bidnej wiosce raczej się nie najemy – z wyrzutem zauważył Pliszka. – Pewnikiem chłopaki Langiewicza już wszystko wyżarli.

– Trudno, musimy zacisnąć pasa – oświadczył oficer. – Oni wcześniej nie jedli od kilku dni, a i tu pewnie brzuchów nie napełnili. Nie macie na co narzekać, wczoraj zeżarliście ciepłe porcje, a wcześniej objajaliście się w obozie. Macie jak w raj w porównaniu z nimi.

Odwrócił się na pięcie i wszedł przez niewielki ganek do dworku. Musiała już wybić trzecia w nocy. Wymęczeni wędrówką i licznymi bitwami powstańcy Langiewicza leżeli pokodem gdzie popadło, nawet w ciągnącej się przez budynek sieni. Drzwi po lewej prowadziły do dużego pomieszczenia z kominkiem, w którym pełgał ogień. Kwaterowało tu chyba ze trzydzieści osób, z czego większość spała jak zabita. Jedynie kilku mężczyzn siedziało na krzesłach i gadało cicho, lecz nikt nie zwrócił na wchodzącego uwagi.

– Jemioła? – odezwał się żeński głos.

Jedno z zawiniątek się poruszyło i spod koca wyjrzała głowa krótko ostrzyżonej, bo z włosami ledwie sięgającymi ramion, brunetki. Oficer uśmiechnął się szeroko. Henia Pustowójtówna usiadła w posłaniu, patrząc na niego podkrążonymi ze zmęczenia, ale mimo to hipnotycznymi oczyma. Na piersi adiutantki dyktatora błyszczał ciepło srebrny krzyż, jej znak.

– To ty! – syknęła oskarżycielsko. – Myślałam, że nie żyjesz. Wszyscy mówili, że pochłonęła was Wierna Rzeka.

– E tam, pochłonęła! Musiałem się ukryć i przeorganizować swój batalion. – Jan wzruszył ramionami. – Gdzie jest Marian?

– Lepiej nie rzucaj mu się w oczy, bo rozkaże cię rozstrzelać za dezercję i

za to, co zrobiłeś pod Małogoszczą – ostrzegła dziewczyna.

– Przecież osłoniłem odwrót i ryzykując życie, odepchnąłem Rosjan – odparł, zaskoczony atakiem.

– Gównu prawda – warknęła. – Omal nas wszystkich nie pozabijałeś, wariacie cholerny. A idźże do Mariana, niech cię wyśle na stryczek. Jest w ostatnim pokoju, na końcu korytarza. – Odwróciła się na bok, ale po chwili znów usiadła. – Przez wzgląd na dawne czasy poważnie ostrzegam, że właśnie trwa zebranie sztabu, Marian nie jest w humorze do dyskusji o odmieńcach i twoich szalonych mrzonkach. Straciliśmy dziś kilkuset ludzi, było bardzo ciężko, wszyscy są wyczerpani i źli. Jeśli tam wejdiesz i zaczniesz roztaczać swoje chore wizje o Wielkim Przemienieniu, Marian naprawdę może się wściec. Dla własnego dobra lepiej stąd zniknij, nikt nie potrzebuje twoich odmieńców i wariackich pomysłów.

Mimo brudu na twarzy i wyraźnego zmęczenia wyglądała ślicznie nawet w rozedrganym świetle z kominka. Oczy panny Pustowójtówny błyszczały, aż chciało się dla nich skoczyć w ogień. Nic dziwnego, że ponoć kochała się w niej już cała powstańcza armia, a o losach adiutantki dyktatora przeczytać można było nawet we francuskich i angielskich gazetach. Henia stała się prawdziwą gwiazdą.

– Wszystko u ciebie dobrze, Michałku? – spytał z głupia frant.

Zmarszczyła groźnie brwi, ale po chwili wahania jej twarz się rozjaśniła. Pokiwała głową z rezygnacją i nawet uśmiechnęła się nieznacznie.

– W jak najlepszym – odparła swoim niskim głosem. – Co z Wandą i moim bratem, są cali i zdrowi?

– Wandę widziałem rankiem i wyglądała na zdrową. – Oficer uśmiechnął się w odpowiedzi. – Razem z Loewenhardtem są służbą medyczną w moim obozie. Wandzia jest też kucharką, szwaczką i szewcem w razie potrzeby. To świetna dziewczyna, jeden z moich najcenniejszych żołnierzy. Teofil również ma się wyśmienicie, nieustannie ćwiczy naszych chłopców, często dla rozrywki rusza z podjazdami na zwiady i szuka prowiantu. To dzięki niemu mój oddział przedstawia coraz większą wartość bojową. – Ściszył głos, spoglądając na śpiących pokotem powstańców. – Błąkałem się trochę z chłopakami po sandomierskim i wreszcie zatrzymałem się w puszczy w

świętokrzyskim. Szykujemy dużą operację. Utrzymuję ścisły kontakt z Warszawą, naczelnik miasta osobiście koordynuje przygotowania. Na razie dysponuję niewielkim, bo ledwie dwustuosobowym oddziałem, znaczy mam tylko dwie kompanie piechoty, ale za to świetnie uzbrojone i doświadczone w boju. Wczoraj się dowiedziałem, że Langiewicz objął dyktaturę, chcę więc przedstawić mu mój plan i skłonić do pomocy...

– Wybij to sobie z głowy – mruknęła. – Ledwie udaje nam się wymykać z okrążeń i odpierać Czengierego, sami potrzebujemy pomocy.

– Nie oczekuję pomocy w zaopatrzeniu czy czegoś takiego. – Jemioła niecierpliwie machnął ręką. – Chcę pomocy taktycznej, wsparcia w działaniach. Wiem, że Marian miota się bez pomysłu po krakowskim. Przyjechałem zaproponować mu udział w mojej operacji, wielkim czynie, który odmieni losy wojny. Dam mu cel i plany jego realizacji.

Henia znów spochmurniała. Z westchnieniem pokręciła głową.

– Nic się nie zmieniłeś. Marian pogoni cię precz, kiedy tylko zaczniesz pleść o swoich pomysłach i operacjach. Lepiej stąd zniknij, dobrze ci radzę.

Machnął ręką ze złością i odwrócił się w stronę wyjścia do sieni.

– Czekaj – syknęła. – Przekaż pozdrowienia Wandzi i mojemu braciszкови, powiedz im, że wszystko u mnie dobrze. Może niedługo znów się spotkamy, oczywiście jeśli Langiewicz zdecyduje się poprzeć twoje plany.

– Liczę na to. Trzymaj się, Michałku.

Przez uchylone drzwi gabinetu sączyła się blada smuga światła. Zebrani oficerowie ledwie mieścili się w środku. Generał-dyktator siedział przy stoliku, na którym stała kopcąca łojowa świeczka. Z pochyloną głową, jakiś skulony i jakby skurczony, mówił cicho, nie patrząc na zebranych.

– Żołnierz jest zdemoralizowany. Siły oddziału znacznie się zmniejszyły przez straty poniesione w bitwie i ucieczkę pułku piechoty Czachowskiego oraz kawalerii Czapskiego. Pojęcia nie mam, gdzie mogą być. Możliwe, że dostali się w okrążenie i zostali wybici. Zważywszy na te okoliczności, postanowiłem oddalić się na jakiś czas od oddziału i starać się o środki, którymi mógłbym zasilić powstanie...

– Co takiego? – głośno oburzył się chudy jegomość z cienkimi wąsikami,

Bentkowski, szef sztabu generała. – Jakże to tak? Zamierzasz opuścić swoje wojsko, generale? Ty, dyktator, głowa całego zrywu?!

– Muszę to zrobić, nie ma wyjścia. – Langiewicz westchnął. – Mieliśmy wyzwolić skrawek Królestwa, by z niego zaprowadzić rządy nad powstaniem. Nic z tego nie wyszło i nie wyjdzie. Amunicja się kończy, ludzie są zmęczeni i głodni, znikąd pomocy, za to Rosjan przybywa z każdym dniem. Udam się do Galicji, do Krakowa, gdzie urzęduję interesów dyktatorskich i rządowych. Nie zdołam kierować powstaniem z pozycji polowego oficera, który jest nieustannie ścigany i dręczony.

– Nie wolno ci! – uniósł się Bentkowski. – Nie możesz porzucić oddziałów! Musimy się bić. Bić się do końca, i choćby dać się zabić!

W pomieszczeniu zawrzało. Stary oficer o grubych siwych wąsiskach i wydatnym brzuchu – pułkownik kosynierów Śmiechowski – zaczął coś głośno mówić, gestykulując przy tym gwałtownie. Generał Jeziorański w zamyśleniu szarpał brodę, spoglądając to na Langiewicza, to na wygrażającego mu Waligórskiego. Któryś z młodszych oficerów próbował uspokoić towarzystwo, ale wrzawa wybuchła jeszcze większa. Do kłócących się dołączył Francuz ze szpiczastą, kozią bródką, ubrany w charakterystyczny czarny mundur z białym krzyżem – pułkownik Rochebrune. Szybko się okazało, że świetnie klnie po polsku. Jemioła patrzył na to wszystko oniemiały.

– Dość! Cisz! – uciał dyskusję dyktator. Powoli wstał od stołu i wreszcie uniósł głowę, piorunując swój sztab groźnym spojrzeniem. – Wypiszę teraz ostatnie rozkazy i odezwę do żołnierzy. Wyjeżdżam za dwie godziny w absolutnej tajemnicy, zabieram tylko niewielką eskortę. Przygotujes ją pan, Bentkowski. Mogą się ze mną zabrać oficerowie, którzy chcą towarzyszyć mi w Krakowie przy urządzaniu gabinetu dyktatorskiego. Dowództwo nad oddziałami przekazuję panu Śmiechowskiemu, którego niniejszym mianuję generałem. A teraz proszę się rozejść.

Jemioła poczuł, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Natychmiast dotarły do niego łatwe do przewidzenia skutki decyzji dyktatora. Słynny na całą Europę dowódca, od dwóch miesięcy wodzący Rosjan za nos, ucieka na granicę. Wybuchnie potworny skandal. Żołnierze i właściwie cały kraj potraktuje to jako porzucenie własnych oddziałów. Co gorsza, po dezercji

dowódcy w rozsypkę pójdzie ponad dwa tysiące powstańców z jego słynnej partii. Mało prawdopodobne, by oddali się pod rozkazy Śmiechowskiego. Większość z nich, jeszcze rankiem, kiedy tylko dowiedzą się o postępku generała, rzuci się do ucieczki. W osłupieniu patrzył na wychodzących oficerów. Co teraz? Zabierać się stąd w diabły, zanim w obozie wybuchnie panika?

– Janek? O Jezu, myślałem, że ujrzałem ducha. Mówili, że nie żyjesz. – Langiewicz zauważył go wreszcie.

Major uśmiechnął się do niego i wyciągnął rękę na powitanie. Ku uldze oficera generał uścisnął ją i odpowiedział słabym uśmiechem. Jemioła spytał nieśmiało, czy poświęci mu odrobinę czasu. Wiedząc, że dyktator opuszcza Królestwo, Jan nie zamierzał już zdradzać szczegółów swoich planów, chciał jednak ugrać choć trochę dla swoich ludzi. Musiał zatem na poczekaniu wymyślić jakieś kłamstwo i ani słowem nie wspominać o odmieńcach czy eksperymentach z turbulencjami, nad którymi od dawna pracował. Nie zamierzał denerwować dyktatora wizjami przemian rzeczywistości i sposobów wykorzystania mocy odmieńców dla odzyskania niepodległości; wyjaśnił tylko mętnie, że leczył się po ciężkiej chorobie i ranach odniesionych w Małogoszczy, zebrał też grupę ocalonych z tej pamiętnej bitwy.

– Pojawiliś się zbyt późno – powiedział generał. – Przydałbyś się pod Chrobrzem i Grochowiskami. Za chwilę wyjeżdżam. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Przydziel mi pod dowództwo jaką kompanię, zabiorę ją w świętokrzyskie i poczekam na dalsze rozkazy – odparł Jemioła. – Nie dopuszczę do rozproszenia oddziałów, podszkolę je, utrzymam w działaniu.

– A mutatio? Nie wyślesz ludzi w jakąś turbulencję, nie będziesz kombinował z tymi swoimi odmieńcami? – mruknął z powątpiewaniem generał.

– Ależ skąd! – oficer skłamał bez mrugnięcia. – Po masakrze pod Małogoszczą zupełnie zrezygnowałem z tych spraw.

Langiewicz chwilę przeszywał majora wzrokiem, wreszcie usiadł przy stoliku i sięgnął po leżące na blacie kartki. Umoczył pióro w kałamarzu.

– Awansuję cię do stopnia pułkownika – powiedział. – Bardzo się teraz



przydasz, bo pewnie razem ze mną odjedzie większa część sztabu. Dostaniesz jeden z batalionów, przydzielili ci go Śmiechowski. On obejmuje po mnie schedę i z pewnością ucieszy się z doświadczonego oficera. Będziesz działał w porozumieniu z nowym generałem. Możesz iść, muszę w spokoju wypisać ostatnie nominacje. Rochebrune i Śmiechowski do stopnia generała, ty do pułkownika. Chcesz jakieś awanse dla swoich żołnierzy?

– Pustowójtow do stopnia majora, Pliszka i Wierciński do kapitana.

– Dobra, zaraz wypiszę rozkazy. A teraz idź, zajmij się czymś. Nie mam dla ciebie więcej czasu.

Jemioła niepewnie zamknął za sobą drzwi. Miał nadzieję na wsparcie całego zgrupowania, tymczasem zdołał zaledwie przejąć jeden z oddziałów. Też dobrze. Trzeba uratować z tego tonącego okrętu, ile się da.

Wyszedł przed dworek i sięgnął do kieszeni po papierośnicę. Tytoń udało mu się kupić jakiś tydzień temu od wędrownego żydowskiego handlarza. Na wojence stanowił niebywały rarytas, niemal na wagę złota. Chwilę klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek, przypomniał sobie jednak, że ostatnie spalił wczoraj. O zapalki było jeszcze trudniej niż o papierosy, pozostawało zatem przypalenie od żagwi z jakiegoś ogniska. Nie zdążył rozejrzeć się za najbliższym, kiedy tuż przed jego nosem pojawił się płomyk o mocno błękitnym zabarwieniu, jakby palił się nieczyszczony gaz. Ogień unosił się nad zwiniętą w pięść dłońią świeżo mianowanego generała Rochebrune'a.

Mimo zaskoczenia Jemioła przypalił papierosa, lecz zamiast zapachu tytoniowego dymu usta wypełnił mu smak migdałów. To nie jakaś kuglarska sztuczka z płomykami – Francuz posługiwał się mocą, był odmieńcem!

Major, a od kilku chwil właściwie pułkownik, z trudem zapanował nad zaskoczeniem. Spojrzał uważnie na profil generała, oświetlony żółtymi blaskami ognisk. Pociągła twarz o ostro zarysowanych kościach policzkowych, czarne szpiczaste wąsy i bródka kojarzyły się z zachodnią, nieco archaiczną modą. Oficer uśmiechnął się do niego ponuro, wykrzywiając kąciki ust ku dołowi.

– Poczęstuj pan tutką – poprosił po polsku, choć z mocnym francuskim akcentem.

Jemioła wyciągnął papierośnicę; Rochebrune przypalił sobie w identyczny

sposób, materializując niebieski, niemal fioletowy płomień z wnętrza zwiniętej dłoni. Stali chwilę w milczeniu, delektując się dymem.

Franciszek Rochebrune rozślawił się w Królestwie jako świetny żołnierz, prawdopodobnie zdolniejszy w dowodzeniu niż wszyscy oficerowie Langiewicza razem wzięci, łącznie z samym dyktatorem. Wcześniej walczył jako podoficer francuskiej armii w wojnie krymskiej. Zęby zjadł na wojaczce i wiele przeszedł, zanim znalazł się w polskim wojsku. Przed powstaniem ponoć prowadził w Krakowie szkołę wojskową pod płaszczykiem prywatnego nauczania fechtunku. Potem zorganizował i wyszkolił słynnych Żuawów Śmierci, najlepszą jak dotąd formację walczącą w zrywie. Jego powstańcy podlegali surowej dyscyplinie, nosili jednolite, chociaż dość dziwaczne umundurowanie wzorowane na oddziałach francuskich pochodzących z Algierii, z orientalnymi, bufiastymi spodniami i czerwonymi czapkami przypominającymi tureckie fezy. Do tego przysięgali nigdy nie cofnąć się z pola bitwy ani nie poddać.

Jemioła od razu poczuł do niego sympatię.

– Przydatna sztuczka – odezwał się do zamyślnego oficera. – Jednak chyba nie tylko papierosa potrafisz w ten sposób przypalić, generale?

– *Oui*. – Skinął głową. – Jeśli trzeba, mogę puścić z dymem coś znacznie większego. Mam tak od urodzenia. Nie boisz się mnie pan? Wszak odmieńcy, tacy jak ja, nocami pożerają ludzi.

– Słyszałem, że tylko niemowlęta, a do tego czasem zrywają śpiącym pannom wianki. – Parsknął śmiechem w odpowiedzi. – Są krwiożerczy i jurni, a najbardziej ci, którymi dowodzę.

Francuz spojrzał na niego uważnie.

– Czekaj, pan! Słyszałem o tobie. Ty jesteś Jemioła, wariat, który sprowadził piekło na wioskę *au nom bruissant*<sup>1</sup>. – Uśmiechnął się szeroko. – Chłopaki często o tobie opowiadają, przeszedłeś pan do legendy. Mówi się, że po tym, jak przegoniłeś Rosjan, *diables*, które przyszły na twoje wezwanie, zabrały cię ze sobą do piekła.

– Tak było. – Jan również wykrzywił się w uśmiechu. – I co, nie boisz się mnie pan?

Rochebrune zaśmiał się głośno, stawiając na nogi powstańców

przysypiających przed ogniskiem, i z rozmachem poklepał Polaka po plecach.

– Podobasz mi się, Jemioła, *sacrebleu* – powiedział. – Po kiego diabła tu się pojawiłeś?

– Szukam szaleńców, którzy pójdą ze mną wygrać tę wojnę – odparł szczerze Jemioła.

Czuł, że z tym awanturnikiem najlepiej będzie rozmawiać wprost, bez owijania w bawełnę. Francuz znów się roześmiał, błyskając w ciemnościach białymi zębami.

– To się nazywa pewność siebie! – pochwalił.

Polak wyczuł, że Rochebrune wyraźnie ma ochotę z kimś pogadać, by nieco ochłonać. Wszyscy oficerowie Langiewicza musieli mieć nerwy napięte do granic wytrzymałości. Ostatnimi dniami zbyt często ocierali się o śmierć i coraz bardziej tracili wiarę, że walka ma sens. Oświadczenie Langiewicza z pewnością pozbawiło ich resztek nadziei.

– Za chwilę pójdę do Śmiechowskiego z rozkazem Langiewicza o przydzieleniu mi batalionu. – Jemioła wyjawiał swój plan. – Obudzę chłopaków i zmuszę ich do natychmiastowego wymarszu, żeby zabrać ich stąd jak najdalej, zanim wybuchną chaos i panika. Wie pan, co stanie się, kiedy na jaw wyjdzie ucieczka dyktatora?

– Pewnie, że wiem – burknął Francuz. – Moi żołnierze jednak nie wpadną w panikę, może mi pan wierzyć. Wszyscy mają *bravoure de gentilhomme*<sup>2</sup>!

– Co pan robi ze swoimi piechurami?

Rochebrune potarł czoło nerwowym gestem. Jak wszyscy w obozie był śmiertelnie zmęczony.

– Miałem plan, by przebić się do granicy śladem Langiewicza. Za kordonem złożymy broń i rozpuszczę oddział. Chcę wrócić do Krakowa i poczekać, aż generał rozpocznie nową kampanię. Wtedy znów zbiorę ludzi.

– Nie szkoda? Karabiny przepadną, wyszkoleni żołnierze zostaną aresztowani lub wrócą do domów i zapomną o wojnie – zauważył Jemioła. – Nie żal tak świetnego oddziału? A co będzie, jeśli także dyktator wyląduje w areszcie albo zostanie deportowany do Rosji? Co jeśli nie będzie drugiej kampanii Langiewicza?

– Wszystko pójdzie na marne – mruknął generał.

Jemioła zorientował się, że ze zmęczenia oficer nie może się skupić. Stali chwilę w ciszy.

– Dołączcie do mnie – zaproponował pułkownik. – Mam obóz ukryty w puszczy, szkole w nim ludzi. W okolicy nie ma żadnych osad, żadnych Rosjan. Można tam spokojnie odsapnąć i przeorganizować oddziały. Naszykować się...

– Do czego? – spytał Francuz z roztargnieniem.

– Do zadania miażdżącego ciosu – odparł pewnie Jan. – Do rzucenia Rosjan na kolana. Wiem, jak zmienić losy wojny, potrzebuję tylko pomocy odmieńców. Pomożesz mi, generale Rochebrune?

Generał zamrugnął, zwalczając zmęczenie. Spojrzał uważnie na Polaka.

– Co ty właściwie chcesz zrobić, Jemioła?

– Zdobyć Warszawę.

Usta Francuza wykrzywił paskudny uśmiech, ale tym razem oficer nie wybuchnął śmiechem. Patrzył prosto w oczy rozmówcy, aż dotarło do niego, że ten nie żartuje. Pstryknął niedopałkiem w powietrze. Papieros, wirując, zapłonął wściekłym ogniem, na moment zmienił się w kulę żaru i rozsypał w proch.

– Ilu żołdatów stacjonuje teraz w mieście? – spytał generał rzeczowo.

– Nie wiem dokładnie, dwa miesiące temu było ich coś z piętnaście tysięcy, teraz ponoć jest co najmniej dwadzieścia, może więcej – odparł lekko Jemioła.

– A ty iloma powstańcami dowodzisz?

– Dwustoma.

Pokiwał głową. Zastanawiał się krótką chwilę.

– Kiedy ruszamy? – spytał.

**21 marca 1863 r.**

Do Nowej Słupi przemknęli się lasem, tylko raz przecięli polną drogę. Unikali otwartych przestrzeni. Pustowójtow nie chciał korzystać nawet z leśnych duktów. Nieustannie poganiał czterech towarzyszy, bo przed zachodem słońca miał coś pilnego do zrobienia w okolicach miasteczka. Jednakże mimo nagabywań Muńka nie zamierzał wyjawić szczegółów, w ogóle stał się jeszcze bardziej milczący, niż to miał w zwyczaju. Sierżant Węgorzewski, wprost przeciwnie, gadał na okrągło, a kiedy kompani mieli już dość rozmów, zaczął śpiewać. Wreszcie Pustowójtow uciszył go krótkim warknięciem.

Początkowo wybrał na wyprawę czterech ułanów, posiadaczy ostatnich w obozie wierzchowców. Dawniej służyli pod komendą Ulatowskiego, u jego boku przeszli cały szlak bojowy i świetnie się znali, a sam Pustowójtow odbył z nimi już kilkanaście patroli i zdążył wejść w przyjacielską komitywę. Nie chciał rozbijać tego zgranego, choć małego szwadronu dla rozrywki nudzącego się w obozie sierżanta. Węgorzewski musiał błagać jednego z ułanów o rezygnację z wycieczki i użyczenie wierzchowca. Udało mu się to dopiero po łapówce w postaci skórzanych rękawic i rogu na proch. Pustowójtow zaś zgodził się na udział Muńka, kiedy ten przypomniał mu, że jest najlepszym strzelcem w całej partii i może się przydać w razie spotkania wrogiego podjazdu.

Trzej ułani nie sprawiali wrażenia zachwyconych towarzystwem gadatliwego piechura, ale nie okazywali mu niechęci. Najstarszy z nich, blisko pięćdziesięcioletni Piotr Poznański, odsłużył piętnaście lat w rosyjskiej armii, jako dragon walczył na Kaukazie i tłumił powstanie węgierskie. Niemal całe życie spędził w siodle. Dwaj pozostali, Trąba i Biedroń, pochodzili z Litwy. Mówiąc, zaciągali śpiewnie, i znali masę kresowych piosenek, które niezwykle podobały się Muńkowi.

Wyjechali z lasu na wysokości Nowej Słupi, nie tak dawno złupionej przez Rosjan w zemście za przegraną bitwę na stokach Łysej Góry. Pustowójtow kazał objechać miasteczko, by nie zostali dostrzeżeni. Chociaż od obozu w

głębi puszczy dzieliło ich ponad dwadzieścia wiorst, nie chciał, by ktokolwiek podejrzewał, że w okolicy znajdują się powstańcy. Szpicli i donosiciele nie brakowało nawet na świętokrzyskich pustkowiach.

Kiedy wjechali na rozjeżdżoną, błotnistą drogę za miasteczkiem, zaczął się śnieg zimny deszcz. Po niebie wiatr przewalał ciężkie szare chmury. Powoli też zbliżał się wieczór i za godzinę lub dwie zapadnie ciemność. Biedroń spytał, czy nie wypadałoby poszukać jakiegoś noclegu. Może w okolicy znajduje się karczma czy zajazd. Przydałoby się też nakarmić konie.

Pustowójtów zawiódł ich jednak bez słowa na rozstaje dróg, gdzie stała koślawa kapliczka, przechylona i poczerniała ze starości. Tam zeskoczył z konia, odpiął od siodła zabraną z obozu krótką łopatkę piechoty i włożył w krzaki za kaplicą. Zaczął odgarniać ubiegłoroczne liście i błoto, mamrocząc przy tym coś pod nosem. Ułani patrzyli na niego w milczeniu.

Po chwili łopaska zadudniła o wieko drewnianej skrzyni. Pustowójtów westchnął z ulgą – nikt nie podprowadził cennego łupu. Zdobył go jeszcze jako carski oficer udający dezertera. Musiał wkupić się w łaski powstańców i udowodnić im, że stoi po ich stronie. Zbiegiem okoliczności buntownicy akurat stracili w bitwie wóz sztabowy z cennymi dokumentami, prywatnymi rzeczami i powstańczą kasą. Teofil dostał zatem zadanie odbicia straty z rąk niedawnych kompanów. Bez wahania pozabijał Rosjan pilnujących skarbu i uprowadził wóz. Dokumenty i pamiątki oddał buntownikom, zdobywając zaufanie Langiewicza, ale kasę z podatkiem narodowym i dobrowolnymi ofiarami polskich patriotów zakopał na rozstajach dróg. Potraktował skrzyneczkę z forszą jako formę zadośćuczynienia za zmuszanie go do niegodnych czynów. Zresztą szczerze uważał, że skarb mu się należał.

Machnął na Muńka, by ten pomógł wyciągnąć skarb z błota, i we dwóch sprawnie się z tym uporali; całe szczęście skrzynia była niezbyt duża i w dodatku zaopatrzona w klamry, przy pomocy których dało się ją przywiązać za siodłem kapitana. W dalszą drogę ruszyli powoli, bo skrzynia tarła koński zad, płosząc i denerwując zwierzę. Pustowójtów nie chciał jednak słyszeć o tym, by ciągnąć ją po ziemi czy opróżnić i rozdzielić zawartość w juki całej piątki.

Już po półgodzinie dotarli do leżącego na uboczu gospodarstwa. Chałupka miała zarwany dach, okna ziały pustymi futrynami, a przechylony płotek zdążył

zbutwieć i porosnąć mchem. Obok stała częściowo spalona stodoła i czarne kikuty jej desek ponuro mierzyły w szarzące coraz mocniej niebo.

Pustowójtow zapamiętał opuszczone gospodarstwo ze swojej podróży tym traktem jakieś dwa miesiące temu i świadomie wybrał je na nocleg.

– W chałupie jest piec, w którym można napalić. Zasłonimy okna rupieciami, by nie dmuchało, trochę się ogrzejemy i wysuszymy. Muniek nazbiera zaraz drew na opał, mogą być deski stodoły – komenderował Pustowójtow. – Piotr poszuka studni, trzeba napoić zwierzęta.

– Pójdziemy spać głodni – zauważył ze smutkiem Węgorzewski.

– Jutro dojedziemy do Kielc, tam zjemy – obiecał kapitan i wszedł do chałupy.

Z deskowanego sufitu kapało w kilku miejscach, na klepisku błyszcząły kałuże. W drugiej izbie Piotr znalazł kupę słomy, pewnie służącą jakimś włóczędze za poślanie. Chałupa uchroniła ją przed zamoknięciem, zapewniając furaz dla buntowników.

Kapitan przytargał skrzynię i postawił ją w drugiej izbie. Zasłonili okna połamanymi resztkami łóżka i stołu, zapalili łożówkę, którą Pustowójtow miał w jukach, i rozniecili ogień w piecu. Spać kładli się z burczącymi brzuchami i mimo zmęczenia głód długo nie pozwalał im zmrużyć oczu.

Kiedy oddechy ułanów i Węgorzewskiego się uspokoiły, Pustowójtow wziął dogasającą świeczkę i poszedł z nią do izby, w której stała skrzynia. Odwiązał sznurek oplatający wieko i zajrzał do środka. Jedwabne banknoty i asygnaty nie zamokły, leżały powiązane w grube zwitki. Woreczki ze złotymi imperiałami, srebrnymi rublówkami i złotówkami o najróżniejszych nominałach również znajdowały się na swoim miejscu, tak jak i biżuteria. Czterdzieści tysięcy w gotówce i jeszcze trochę w kosztownościach – powstańcza kasa Langiewicza w pierw zdobyta przez Rosjan w czasie bitwy pod Świętym Krzyżem, a potem skradziona przez Pustowójtowa.

Teofil uśmiechnął się do siebie, pieniądze zdawały się odpowiadać uśmiechem. Kusiły. Weź nas, przecież należymy tylko do ciebie. Zdobył tę forszę, mordując rosyjskich żołnierzy i ostatecznie tracąc honor oficera carskiej armii, chociaż wtedy uznał, że należała mu się ona za wszystko, co wycierpiał, za lata poniżeń i niepowodzeń. Zawartość skrzyni pozwoliłaby mu zmienić

tożsamość, kupić kamienicę w Petersburgu i do końca życia odpoczywać, utrzymując się z najmu. Oferowała łatwe życie, które mógł wybrać nawet teraz. Wystarczyłoby zamordować tych czterech buntowników lub jutro w Kielcach wydać ich w łapy żandarmów. Mógłby też wrócić do służby w Urzędzie Przemian, gdzie ciągle uważano go za czynnego agenta. Pieniądze odłożyłby na spokojną i dostatnią starość.

Tyle przecież wycierpiał. Wpierw męczył się w Carskiej Akademii Wojskowej w Petersburgu, gdzie jako syn carskiego generała i polskiej hrabianki był szykanowany przez kolegów i niemal wyrzucony z uczelni przez fałszywe oskarżenia. Potem służył na Syberii, w najbardziej paskudnej guberni, użerając się z Kirgizami i innymi dzikusami. Nawet udział w wojnie krymskiej nie dał mu upragnionych awansów i poważania. W okopach Sewastopola zaprzyjaźnił się tylko z pewnym polskim saperem, z którym później stracił kontakt. Najbardziej dopiekła mu jednak siostrzyczka, piękna Henia, polska patriotka, która podpadła samemu carowi. To przez nią utracił jakiegokolwiek szanse na wojskową karierę. Przyjęto go za to do Urzędu Przemian, by dla tej tajnej służby śledził buntowników i niszczył polskich odmieńców. Niestety okazało się, że polubił cholernych Polaków i miał poważne problemy z ich zdradzeniem. Tak czy inaczej należała mu się sowita odprawa i spokojna emerytura.

Otarł spotniałe czoło, jakby chciał odepchnąć od siebie wspomnienia.

Ciułanie na starość nie miało sensu. Przecież nigdy nie dożyje podeszłego wieku. Był odmieńcem, który prędzej czy później oszaleje i zamieni się w potwora lub szcześnie z umysłem wypalonym falą mocy. Dlatego musiał żyć chwilą. Liczyło się tylko tu i teraz. Kasę najlepiej przehulać, roztrwonić na uroki kosztownych „aksamitek”, przepić i przerznąć w karty.

Potrząsnął głową. Ciągle nie mógł się zdecydować, co zrobić ze swoim życiem. Kim właściwie jest: Polakiem czy Rosjaninem? Buntownikiem czy carskim szpiegiem? Czyżby Wanda miała rację? Pustowójtow to tylko nic niewarty zdrajca i morderca?

Zacisnął w pięść dłoń przeciętą blizną. Okaleczył się kiedyś, szarpany szaleństwem mutatio, by ból przyćmił chorobę umysłu i odsunął szal. Może wszystkiemu była winna zatruta krew? To ona powodowała, że nie mógł sam



sobie zaufać. Przez moc stawał się potworem, chorym i złym.

Zatrzasnął wieko skrzyni i obwiązał je sznurkiem. Dość tego! Nie może ciągle się mazgać i uzalać nad sobą. Pokaże im wszystkim, kim jest naprawdę! Pokaże, jakie jest prawdziwe oblicze Teofila Teofilowicza Pustowójtowa.

Już miał położyć się na podłodze obok skrzyni i zdmuchnąć świeczkę, kiedy niespodziewany zimny podmuch mało sam jej nie zgasił. Teofil osłonił płomyk dłonią i wyężając wzrok, spojrzął na drzwi chałupy. Ktoś otworzył je bezgłośnie i stał w sieni. Wysoka czarna sylwetka zlewała się z ciemnością, niemal niewidoczna w nocnym mroku. Pustowójtow wiedział jednak, że tam jest. Czuł ją każdym porem skóry. Usta wypełnił mu smak migdałów i kurzu, w nozdrza uderzył zapach krwi i stęchlizny. Wstał z klęczek, wolną ręką chwycił rękojeść szabli, choć wiedział, że ta broń nie zda się na wiele. Strach rozpełzł mu się po piersi, sięgnął gardła i zacisnął przełyk. Uniósł wysoko świecę, oświetlając jej rozedrganym płomykiem sień.

W drzwiach stał trup. Hanna Żelazo we własnej osobie. Jasnowłosa szlachcianka, która skonała mu na rękach w czasie bitwy o Małogoszcz. Nie żyła od miesiąca i na taką też wyglądała. Twarz miała trupio bladą, z czarnymi plamami wokół ust, włosy w nieładzie, posklejane błotem i Bóg wie, czym jeszcze. Ubrana w postrzępiony, śmierdzący trupem kir, stała i patrzyła na niego, przekrzywiając głowę. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Znam cię – powiedziała chrapliwie.

Pustowójtow poczuł, że kolana się pod nim uginają. Z przerażenia wstrzymał oddech.

– Czego chcesz, Hanko?

– Tak się nazywałam? – Umarła poruszyła głową w dziwny, ptasi sposób.

– Przyszłam do ciebie, byś wiedział, że czuwam. Nigdy nie śpię. Nie pozwalają mi na to...

Pustowójtow nerwowo przełknął ślinę.

– Kto ci nie pozwala?

– Pamiętam o tobie, teraz sobie przypominam – wycharczała. – Będę cię strzec, będę strzec was wszystkich.

Jej usta w niemożliwy dla człowieka sposób otworzyły się w groteskowej

parodii uśmiechu. Błysnęły dziesiątki ostrych jak igły zębów. Zapach krwi i zgnilizny wionął tak mocno, że Pustowójtow aż się zachwiał. Dziewczyna odwróciła się gwałtownie. Podmuch powietrza zdmuchnął świecę. Teofil zastygł w ciemności. Nie śmiał nawet drgnąć. Serce tłukło mu się w piersi, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że upiór odszedł.

Drżącą ręką zamknął drzwi, po omacku założył rygiel. Wrócił do izby, w której spali czterej powstańcy, i skulił się w kącie. Siedział w ciemności i próbował się uspokoić. Zmęczenie wzięło górę dopiero po dwóch godzinach nasłuchiwania szmerów na zewnątrz. Nie wiedział nawet, kiedy zapadł w niespokojny sen.

**22 marca 1863 r.**

Jemioła wrócił do ukrytego w lesie obozu powstańczego wczesnym popołudniem. Przeprowadził ze sobą nowy batalion i kompanię Żuawów Śmierci. Żołnierze Rochebrune'a wzbudzili prawdziwą sensację wśród obozujących. Wszyscy chcieli osobiście przywitać się z członkami słynnej formacji, poklepać ich po plecach lub uściskać. Razem z żołnierzami przyjechał jaszczyk z prowiantem ze złupionej po drodze karczmy. Powstańcy nie mieli innego wyjścia, jak po prostu obrabować przydrożną austerię, choć Jemioła w ramach rekompensaty wypisał właścicielowi weksel, który Rząd Narodowy miał spieniężyć zaraz po zwycięstwie powstania.

W taborach przyjechała też Maria Konarska, sanitariuszka z oddziałów Langiewicza. Drobną, niepozorną kobietą w nieokreślonym wieku została gorąco przyjęta przez Wandę, która zaprosiła nową „siostrę” na swoją kwaterę. Udostępniła jej nawet swój siennik.

Do wieczora trwała rozbudowa obozowiska. W lesie rozlegał się łomot siekier i trzask łamanych sosnowych konarów, z których budowano dwuspadowe daszki. Jednocześnie kopano ziemianki i równano ziemię, a potem wytyczono miejsca na szałas, które Jemioła kazał ustawiać w okręgi, by w ich środku można było bezpiecznie rozpaść ognisko.

Powoli nadchodziła wiosna i noce robiły się coraz cieplejsze, przez co życie w środku lasu stało się nieco mniej dokuczliwe. Zresztą spora część wojska wywodziła się z biedoty przywykłej do spartańskich warunków: chłopskie chałupy i ciemne nory, w których mieszkali robotnicy, nie różniły się zbyt od ziemianek. Niewygody nie stanowiły zatem specjalnej przykrości dla powstańców. Największym problemem pozostawał głód. Braki w zaopatrzeniu coraz dotkliwiej dawały wszystkim w kość.

Zmęczeni powstańcy zjedli skromną wieczerzę z prowiantu ukradzionego po drodze i obozowisko, zaraz po zmroku, zapadło w sen. Jedno z nielicznych ognisk paliło się jeszcze przed szałasem Jemioły. Pułkownik siedział przy nim w towarzystwie kapitana Wiercińskiego – niskiego, brodatego artylerzysty w

czzerwonej czapce. Zadowolony z owocnego dnia, Jemioła przyjął z rąk Wiercińskiego kubek wódki. Zanim jednak zdążył umoczyć usta, przysiadł się do nich kapitan Pliszka, od którego już zalatywało gorzałą.

Wielkolud wyjął z kieszeni pogięty blaszany kubek i wyciągnął go do Wiercińskiego. Artylerzysta spojrział na niego spode łba, ale Jemioła uspokajająco machnął ręką. Niech się chłop napije. Pewnie dręczyły go koszmary, jak to odmieńca, wódka pozwoli nieco uśmierzyć kotłujący się w umyśle kosyniera szal i da mu się spokojnie przespać. Podczas narad jego chłopskie mądrości i tak nie będą potrzebne.

Z ciemności wyłonił się Rochebrune. W pierwszej chwili zgromadzeni ujrzeli tylko biały krzyż na jego piersi, dopiero potem pojawiła się cała sylwetka. Francuz wyglądał na solidnie zmęczonego, prawdopodobnie od dwóch nocy nie zmrużył oka. Pułkownik zaczął się zastanawiać, czy nie przełożyć zebrania na rano, ale nim zdążył się zdecydować, do ogniska dołączyli Loewenhardt i Wanda. Po drugiej stronie ognia przysiadła pani Konarska, nie wiadomo jakim prawem, bo nie była oficerem i nie piastowała istotnej funkcji. U Langiewicza służyła jako sanitariuszka, krawcowa i kucharka, miała więc podobne obowiązki jak Wanda.

Jemioła otworzył usta, by spytać o powód jej obecności, ale jakiś błysk w ognisku przyciągnął jego wzrok, a kiedy uniósł go z powrotem, Maria gdzieś znikła. Oficer przez chwilę siedział w bezruchu, nie wiedząc, co chciał powiedzieć i do kogo. Położył to na karb zmęczenia i skupił się na czymś innym.

– Witam wszystkich – powiedział, odstawiając nietknięty kubek. – Pora przedyskutować kilka spraw. Przede wszystkim trzeba ułożyć z grubsza plan działań na najbliższe dni i rozdzielić zadania. Musimy się zorientować, jaką siłą dysponujemy. Na początek stany i uzbrojenie. Do tej pory dowodziłem batalionem piechoty, składającym się z dwóch stuosobowych kompanii. Kompanią strzelców dowodzi nieobecny major Pustowójtow, a kompanią kosynierów kapitan Pliszka. Na opuszczonym przez wroga polu bitwy pod Małogoszczą i po potyczce w folwarku zebraliśmy sporo sprzętu, dokładnie dwieście dziesięć karabinów piechoty i siedemdziesiąt krótkich karabinków jazdy. Taka ilość broni pozwoliła nam przekształcić kompanię kosynierów w

kompanię strzelecką i już tylko z przyzwyczajenia nazywamy podwładnych Pliszki kosynierami. Obecnie w naszym magazynie znajduje się wolnych sto sześćdziesiąt sztuk broni palnej. Możemy uzbroić w nią batalion, który otrzymałem od Langiewicza. Jak z karabinami w pana oddziale, generale?

– Każdy żuaw uzbrojony jest w austriackiego Lorentza M1854 – rzeczowo zameldował Rochebrune.

– Cholera, inny kaliber – mruknął Wierciński.

– Słucham? – Jemioła spojrział na artylerzystę.

– Karabiny Lorentza są nowocześniejsze i lepsze od rosyjskich – wyjaśnił kapitan. – Wymagają mniej prochu, są donośniejsze i celniejsze, ale jednocześnie mamy problem, bo różnią się kalibrem i kształtem naboju. Trzeba będzie skądś sprowadzić lub fabrykować do nich specjalną amunicję.

– Jak u was z nabojami? – spytał pułkownik.

– *Maigrement*<sup>3</sup>. – Potarł się po czole. – Średnio po pięć sztuk na żołnierza. Prochu też tyle, co kot napłakał.

– Musimy się zastanowić, czy nie przejść całkiem na rosyjskie uzbrojenie – mruknął Jemioła. – Dyktator przekazał mi dwustu pięciu ludzi, z czego tylko trzydziestu zaopatrzonych w broń palną, zresztą głównie myśliwską, pozostali to kosynierzy. Tak czy inaczej ponad czterdziestu chłopów zostanie nam bez sztuców<sup>4</sup>. Przejdą pod dowództwo Wiercińskiego, który spróbuje przeszkolić ich na artylerzystów.

– Bez armat? Mamy sobie pukawki wyciąć z drewna?

– Jeśli trzeba, to czemu nie? Jeśli się nie da, najwyżej będzie ich pan szkolił teoretycznie.

– Jasne. Teoretycznie – burknął pod nosem brodac.

– Osiemdziesięciu uzbrojonych w ruskie karabiny przydzielimy do żuawów generała Rochebrune'a, a resztę do moich dwóch kompanii – zdecydował pułkownik. – Dzięki temu będziemy mieli do dyspozycji właściwie pełne dwa bataliony piechoty i baterię artylerii.

– Bez armat – dodał Wierciński, unosząc w niebo palec, jakby w oskarżeniu.

Francuz parsknął śmiechem.

– To prawie pułk – zauważył. – Możemy śmiało ruszać na Warszawę,

*vouloir, c'est pouvoir*<sup>5</sup>.

Wszyscy zgodnie zarechotali, a najgłośniej już ewidentnie wstawiony Pliszka. Po chwili spojrzął smętnie w pusty kubek. Jemioła szturchnął go w ramię i oddał mu swoje naczynie.

– Ruszymy na Warszawę, mam nadzieję, że niedługo – powiedział poważnie. – Ale najpierw należy przygotować ludzi. Potrzebują solidnego szkolenia.

– Walkę w mieście ćwiczyliśmy już na żywo – zauważyła Wanda – w czasie obrony Małogoszczy.

– Nie chodzi mi tylko o walkę na ulicach. – Jan pokręcił głową. – Zresztą Małogoszcz trochę odstaje rozmiarami, a co za tym idzie warunkami, od Warszawy. W dużym mieście, obsadzonym potężnymi siłami wroga, musimy działać nieco inaczej niż w Małogoszczy.

– Nie wiem – prychnęła Żydówka. – Nigdy nie byłam w dużym mieście. Raz tylko na targu w Kielcach.

Rochebrune zaśmiał się i mrugnął do dziewczyny.

– Warszawy nie znam, ale Kraków z chęcią bym panience pokazał – powiedział. – A tam, Kraków! Zabiorę was *à Paris*.

Mimo zmęczenia francuski awanturnik się ożywił. Jemioła spojrzął na niego spode łba. Coś musiało być w tych historiach o kochliwości żabojadów. Jak tu uchronić dziewczynę, ostatnią wiedźmę w oddziałach, przed tym ogierem? Kto go tam wie, może roznosi francuską chorobę? Jeszcze rozkocha dziewczuszkę i złamie jej serce, a co gorsza zmałduje dzieciaka.

Do kompletu kłopotów pułkownikowi brakowało tylko miłostek w obozie.

– Jak najszybciej musimy wysłać do Warszawy posłańca, który utworzy tam delegaturę – powiedział. – Poprowadzi przygotowania do dyslokacji naszych wojsk w porozumieniu z wydziałowymi organizacjami miejskiej i powstańczej intendenturą. Rzecz jasna całość operacji będzie na miejscu koordynował naczelnik Bobrowski, z którym jestem w ciągłym kontakcie.

Rochebrune zagwizdał z podziwem.

– Chcesz przerzucić ludzi do miasta? *Tu es tombé sur la tête*<sup>6</sup>. Warszawa jest ponoć niczym zamknięta twierdza. Skąd wytrzaśniesz dla wszystkich

paszporty?

– Potrzebuję ochotnika na delegata. – Pułkownik zignorował uwagę Francuza. – To musi być osoba z głową na karku, najlepiej znająca miasto. Zajmie się także przygotowaniem papierów, oczywiście przy pomocy powstańczej intendenty.

Zapadła cisza. Ludzie spoglądali po sobie.

– Panie doktorze, zdaje się, że studiował pan w Warszawie? – Jemioła zwrócił się do milczącego Stanisława.

– Tylko dwa lata, studia kończyłem w Berlinie. – Skinął głową. – Wróciłem do Warszawy na niedługo przed powstaniem i działałem w organizacji. Musiałem uciekać z miasta, niewiele brakowało, a zgniłbym w kazamatach cytadeli. Mam wrogów w stolicy, wolałbym się w niej nie pokazywać...

– Jeszcze trzech moich strzelców pochodzi z Warszawy – mruknął Jemioła.  
– Może któryś z nich pojedzie?

Loewenhardt wbił spojrzenie w ognisko. Zastanawiał się chwilę.

– Ci trzej to prości chłopcy, dwóch było piaskarzami na Mariensztacie, a trzeci służył jako parobek w traktierni na Saskiej Kępie, czyli w wiosce po drugiej stronie Wisły – odezwał się wreszcie. – Na posłańców, by zawieźć listy, może się nadają, ale nie na twórców delegatury. Niech będzie, ja pojedę.

– A ja z tobą, Stasiu! – ożywiła się Wanda. – Będziesz potrzebował pomocy.

– Bezpieczniej będzie, jeśli zostaniesz. Wielkie miasto to nie Szydłowiec, tam się żyje inaczej. W Warszawie do niczego mi się nie przydasz – odparł Loewenhardt. – Musiałbym pilnować, by nic ci się nie stało, zamiast skoncentrować się na zadaniu. Lepiej, żebyś została i zajęła się lazaretem, aż dwudziestu nowo przybyłych jest rannych lub chorych.

– Co zrobię, jeśli któryś z nich dostanie gorączki, a rany podejną ropą? – oburzyła się Wanda. – Przecież nie przeprowadzę amputacji!

– Nie są ciężko ranni, tylko wycieńczeni i poturbowani – uspokajał ją Stanisław. – Do czasu dyslokacji w Warszawie poradzicie sobie bez lekarza, a w razie czego poprosisz o pomoc Pustowójtowa.

– Postanowione! – Jemioła zatarł ręce. – Stanisław jedzie do Warszawy

sam. Do Radomia odeskortują go nasi ułani, i to już jutro. Przed rogatekami udasz się do szynku Żyda Rozencwajga, dostaniesz od niego paszport. Rankiem jeszcze porozmawiamy sam na sam – zwrócił się do doktora. – Zdradzę ci szczegóły kontaktów, przekażę adresy i zamiar na przewodniczącego komisji wykonawczej. Myślę, że będziemy śłali kurierów przez Starachowice, jak dotychczas, ale to jeszcze ustalimy. Teraz może przejdźmy do omówienia planu szkoleń...

Po drugiej stronie ogniska znów spostrzegł drobną sylwetkę pani Konarskiej. Drgnął, zaskoczony. Zdążył o niej całkiem zapomnieć, zupełnie jakby nigdy nie istniała.

– Panie pułkowniku – odezwała się niepewnie. – Zapomniał pan o mnie, ja też znam miasto. Pochodzę z mazowieckiego ziemiaństwa, mam w Warszawie licznych przyjaciół i to także wśród przemysłowców. Moje kontakty mogą się bardzo przydać. Proszę wysłać mnie razem z doktorem. Razem będzie nam łatwiej.

Jemioła spojrział na nią uważnie. Myślał, że pochodzi z Rusi lub Litwy, mówiła zaciągając śpiewnie. Teraz uśmiechała się łagodnie i od całej jej postaci aż biło przyjacielskie ciepło, ale oficer się wahał. Coś mu w niej nie pasowało, coś trudnego do sprecyzowania. Potrząsnął głową.

– Proszę mi zaufać, działałam w organizacji od początku powstania. – Konarska domagała się decyzji.

Pułkownik z ociąganiem skinął głową. Każda kobieta w oddziałach stanowiła obiekt wzdychań, powód do awantur, ognisko chaosu i źródło konfliktów w tłumie wyposzczonych samców. Niech jedzie w diabły. Baba z wozu, koniom lżej!

– Dobrze – zgodził się wreszcie. – Będzie pani towarzyszyć doktorowi. Proszę rankiem zameldować się w mojej kwaterze.

Jemioła próbował prowadzić zebranie dalej i skłonić oficerów do dyskusji nad ułożeniem ludzi oraz rozdziałem obowiązków, ale towarzystwo nie płonęło entuzjazmem. W pewnym momencie Pliszka zsunął się z pieńka, głowa opadła mu na bok i zaczął chrapać. Potraktowano to jako sygnał do zakończenia zebrania. Kiedy wszyscy znikli w ciemnościach, zabierając ze sobą po żagwi z ogniska dla oświetlenia drogi, Jemioła pochylił się nad



wielkoludem i szturchnął go mocno w bok.

– Wracaj do szalasu, bo mi tu jeszcze zamarzniesz – powiedział.

Pliszka warknął i oburącz złapał oficera za kożuch pod szyją. Wstał gwałtownie, pociągając go w górę. Jemioła stracił grunt pod nogami i zawisł w wielkich jak bochny łapach kosyniera. Patrzyły na niego żółte wilcze ślepia, a z gardła olbrzyma wydobywało się głucho warczenie. Pułkownik złapał go za przeguby i próbował nimi potrząsnąć, ale były jak z litego żelaza. W desperacji sięgnął po ciemność pełzającą w umyśle i uformował ją w wiązkę, bicz czystego mutatio. Nie używał mocy od incydentu pod Małogoszczą, ale nie musiał długo jej szukać. Nadal tam była.

Nie zdążył uderzyć kosyniera. Pliszka niedbale cisnął nim o ziemię i rozejrzał się, węsząc niczym myśliwskie psisko. Jemioła pacnął z impetem w błoto. Upadek wypchnął mu powietrze z płuc. Przez parę chwil czuł się, jakby spadł z galopującego wierzchowca.

„Tak się kończy obcowanie z odmieńcami. Nigdy nie wiadomo, kiedy i który z nich dostanie szajby” – pomyślał gorzko.

– To Hanka! – wychrypiał Pliszka. – Ona jest tutaj, o tu. Widzisz?

– Tylko ci się przyśniło, baranie – warknął oficer i usiadł z jęknięciem. – Opanuj się, do cholery. Ona nie żyje.

Pliszka stał na szeroko rozstawionych nogach, z pochyloną głową, i wlepiął ślepia w ciemność. Wyglądało, że ma ochotę rzucić się do biegu.

– Żyje. – Rozluźnił się powoli. – Teraz odeszła, ale przed chwilą stała w mroku i patrzyła. Jakaś odmieniona, ale dyć to ona!

– Oczywiście – Jemioła z sarkazmem przytaknął furiatowi.

– Masz mnie za pijanego, co? – warknął kosynier. – Ona tam jest i się waha, pewnikiem nie pamięta doczesnego żywota. Musim ją odnaleźć i wyleczyć!

Pułkownik podniósł obie ręce w uspokajającym geście.

– Dobrze, już dobrze – powiedział. – Teraz i tak odeszła, nie ma jej, prawda? Porozmawiamy o tym rankiem, idź się położyć. Idź spać. No już.

Pliszka po chwili zastanowienia przytaknął ze zboląłą miną. Jego napięte ramiona opadły, wielkolud skulił się, skurczył. Z opuszczoną głową wszedł w ciemność, nie kłopotząc się zabieraniem żagwi dla oświetlenia drogi.

**23 marca 1863 r.**

Sztabskapitan Michaił Bieskow nie stronił od alkoholu, kart i dziwek. Jak przystało na kwatermistrza garnizonu, lubił czerpać z życia garściami i robił to łąpczywie oraz w pośpiechu, jakby trochę z obawą, że dobra passa musi się kiedyś skończyć. Na kwaterę w kieleckiej kamienicy, w której kilka mieszkań wynajmowali oficerowie, wracał o różnych porach i nigdy od razu po służbie. Zwykle pozostawiał gospodarstwo pod opieką ordynansa, niezbyt ruchliwego i niespecjalnie bystrego szeregowca Ignacego.

Przynajmniej tyle na jego temat pamiętał Pustowójtow. W czasie służby w Kielcach mieszkał dobrych kilka ulic dalej, w ponurej norze żydowskiego kamienicznika. Kwatera Bieskowa sąsiadowała z koszarami i była przeznaczona dla wyższych rangą oficerów. Teofila, jako nielubianego przez komendanta Czengierego odmieńca, oficerska kadra ostentacyjnie ignorowała.

W Kielcach Pustowójtow zostawił swoich ułanów w zajeździe leżącym przed rogatkami i, ubrany w pożyczony od karczmarza brudny płaszcz oraz postrzępiony kaszkiet, pomaszerował pod koszary. Po drodze wyjął z kieszeni portek podpisane przez Jemiołę weksle, które miały pełnić funkcję powstańczej gotówki. Teofil miał je wciskać kupcom i przysięgać im, że papierki kiedyś zostaną spieniężone przez Rząd Narodowy. Żałosne. Na te bezwartościowe świstki, pozbawione nawet powstańczej pieczęci, nie nabrałby się żaden głupiec, a już z pewnością ani jeden z kieleckich Żydów, trzymających w garści większość rynku spożywczego. Pustowójtow podarł więc weksle, zmiął i cisnął do rynsztoka.

Pewnym krokiem wszedł do budynku z kwaterami oficerów, dziękując Bogu, że nie musi się wdzierać na teren koszar. Nie chciał używać mocy, by nie prowokować ataków szaleństwa i nocnych koszmarów. Wbiegł po schodach na piętro i zapukał do drzwi Bieskowa. Miał nadzieję, że dobrze zapamiętał, gdzie mieszka kwatermistrz, bo wolałby się nie pomylić i nie wpaść na pokoje do Czengierego. Ten Madziar, służący carowi, był kiedyś dowódcą Pustowójtowa i nie układało się między nimi najlepiej. Wiedział, że

Teofil jest odmieńcem, i złośliwie go za to prześladował, a potem z prawdziwą pasją tropił powstańczą armię Langiewicza i polował na towarzyszącego jej swojego dawnego podwładnego. Wprawdzie Teofil z przyjemnością rozwaliby draniowi łeb, ale niewiele by to dało, a mogłoby ściągnąć na mieszkańców miasta represje, aresztowania, rewizje i gwałty. „Zresztą zamach nie przystoi żołnierzowi, lepiej zabić sukinsyna w bitwie, z honorem”.

Niemal parsknął śmiechem, uświadamiając sobie ostatnią myśl. On, morderca i zdrajca, woli postępować honorowo. Koń by się uśmieł.

Załomotał w drzwi mieszkania tuż pod poddaszem. Mimo popularności i wysokiego stanowiska sztabkapitan mieszkał na samej górze. Pustowójtow nigdy tu nie gościł. Nie zdarzyło się, by został zaproszony przez któregoś oficera na karty czy wódkę, ale widział kiedyś Bieskowa wymiotującego przez okno. Zapamiętał to właściwie przypadkowo, bo podobne widoki czasem się trafiały, choć Czengiery bardzo nie lubił, gdy jego podwładni upijali się jak świnię i kalali niegodnym zachowaniem carski mundur.

– Kto? – odezwał się męski głos.

– Handluję tandetą, wasza wielmożność – koślawym rosyjskim odparł Pustowójtow. – Może potrzebne wam garnki, nożyce do knotów, sznurowadła?

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich Ignacy, niewysoki, młody jeszcze żołnierz z cienkim, rzadkim wąsikiem.

– Kto pozwolił ci tu wejść, chamie!?! – ryknął.

Pustowójtow strzelił go w szczękę krótkim ciosem od dołu. Chłopak z łomotem runął na podłogę. Teofil wpadł do środka, zamknął i zaryglował drzwi. Dla pewności kopnął ordynansa w tył głowy. W myślach modlił się, by żołdat nie miał towarzystwa. Zamarł, oczekując na pojawienie się kolejnych przeciwników. Panowała jednak cisza.

Pochylił się nad ordynansem. Chłopak żył, stracił tylko przytomność. Pustowójtow skrępował mu ręce jego własnym paskiem i wepchnął mu do ust leżącą w sieni szmatkę do polerowania butów. Po chwili wahania związał też nogi żołdata, a następnie ruszył na obchód mieszkania. W sieni dostrzegł dwoje drzwi. Jedne prowadziły do małego pokoiku, pewnie kiedyś składziku na opał. Teraz pełnił jednak inną funkcję, bo niemal w całości zajmowało go

posłanie i z pewnością gnieździł się tu ordynans. Za drugimi drzwiami znajdował się obszerny salon z solidnym łóżem, piecem, biurkiem i znajdującą się za przepierzeniem empirową męską toaletką z jakiegoś egzotycznego drewna i porcelanowym nocnikiem.

Teofil otworzył pięknie zdobiony i wykonany z mahoniu humidor, który znalazł w jednej z szuflad, i wyjął sobie z niego prawdziwe kubańskie cygaro. Położył nogi na blacie i przypalił cygaro specjalnymi długimi zapalkami. Wyglądało na to, że sztabskapitan część tego, co nakradł, wydawał na luksusy. Musiał lubić wygodę i ładne przedmioty. Pustowójtów obejrzał cynowy kałamarz, pięknie grawerowany w tańczące nimfy, i stojącą przy biurku spluwaczkę z czarnego żelaza, wypełnioną białym piaskiem. Długo delectował się cygarem, potem wrócił do sieni i przeniósł przytomnego już ordynansa do jego kwatery. Nie kwapił się do uspokajania przerażonego żołnierzyka, po prostu chwycił go za nogi, przeciągnął do pokoiku i zamknął drzwi. W szafce pełniącej funkcję spichlerzyka znalazł butelkę drogiego koniaku, nalał sobie solidną porcję i wrócił do rozmyślań przy biurku.

Ktoś szarpnął za klamkę. Pustowójtów poderwał się na równe nogi i wyciągnął z kapoty jednostrzałowy rosyjski pistolet. Drzwi się otworzyły i do sieni wszedł Michaił Bieskow. Zdjął czapkę, rzucił ją na wieszak i dopiero wtedy zauważył intruza. Zamarł z ręką uniesioną do rozpinania płaszcza.

Teofil stał w wejściu do gabinetu i mierzył do niego z broni.

– Proszę wybaczyć najście, sztabskapitanie – powiedział po rosyjsku. – Chcę tylko chwilę porozmawiać. Mam propozycję. Odsuń się od drzwi i wejdź do pokoju. Możesz się wcześniej rozebrać, Bieskow, śmiało.

Rumiane policzki grubasa nieco pobladły. Uważnie patrzył na napastnika i chyba się zastanawiał, jakie ma z nim szanse. Teofil poczuł od Rosjanina zapach alkoholu, ale kwatermistrz nie sprawiał wrażenia pijanego, nawet się nie zachwiał, ściągając kurtkę mundurową. Z godnością przeszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Teofil przysiadł naprzeciw na zydelku. W ręku ciągle trzymał pistolet, choć nie mierzył nim w oficera.

– Pamiętam was! – Nagle w małych, świńskich oczach sztabskapitana błysnęły iskierki ozywienia. – Służyliście w moim pułku! Jesteście dezertorem, nazywacie się Pustowójtów. Czengiery wyznaczył nagrodę za

waszą głowę.

– Ile? – zaciekał się Teofil, chowając pistolet.

Skoro kwatermistrz go rozpoznał, nie miało sensu wymachiwać bronią. Bieskow z pewnością słyszał, co potrafi odmieniec, i zdawał sobie sprawę, że nie ma z nim wielkich szans.

– Tysiąc rubli – odparł Bieskow.

Pustowójtow z uznaniem skinął głową. Nieźle, potraktowano go jak niebezpiecznego złoczyńcę. Do prawdziwego asa bandytyzmu nieco mu brakowało, ale kwota była komplementem.

– Czego ode mnie chcesz, Pustowójtow? – Sztabskapitan szybko otrząsnął się z szoku.

– Byś od dziś sprzedawał towar mnie.

– O czym mówisz? Jaki towar?

– Daj spokój, Bieskow. Masz mnie za idiotę? Jakim cudem z kapitańskiego żołdu uzbierałeś na ten sezam? Sam biedermeierowski sekretarzyk musiał kosztować kilkumiesięczne pobory. A reszta? To prezenty od żołnierzy z okazji święta pułku czy nagle Czengiery zdziesięciokrotnił pobory? Proponuję ci interes życia. Chcę brać żywność na znacznie lepszych warunkach niż Żydzi. Płacę z góry, gotówką.

Dla potwierdzenia Teofil położył na biurku gruby zwitek banknotów. Bieskow zamrugał nerwowo. Jego oczy błędziły chwilę pomiędzy Pustowójtowem a pieniędzmi. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Zbyt wielkie ryzyko. Sprzedawać towar handlarzom to jedno, ale buntownikom i dezterom? W razie wpadki za to pierwsze najwyżej stracę posadę, zdegradują mnie, skazą na osadnictwo na Syberii, ale za drugie stanę przed plutonem egzekucyjnym. – Bezradnie rozłożył ręce. – Nie będę ryzykował. Proszę nie mieć mi tego za złe i postawić się w mojej sytuacji. Mam na utrzymaniu rodzinę mego nieudacznego brata, jego głodne dzieci czekają na paczki od stryja. Nie mogę ich zawieść.

Teofil zazgrzytał zębami. Miał ochotę trzasnąć pięścią w pysk tłustego sukinsyna, złapać za gardło i ścisnąć tak, żeby oczy wyszły mu z orbit. Wiedział jednak, że nie powinien go nawet straszyć. Współpraca ułoży się znacznie lepiej, jeśli Bieskow weźmie w niej udział po dobroci. Kolejny plik

gotówki znalazł się na blacie.

– Nikt się nie dowie, gdzie znika prowiant – powiedział. – Domyślam się, że prowadzisz bardzo skrupulatne księgi, w których wszystko się zgadza, zatem niczego ci nie udowodnią. W razie wpadki winę można zrzucić na magazynierów lub szefa którejś kompanii. A to jest premia, dwa tysiące rubli.

Bieskow przełknął ślinę. Na czole perliły mu się krople potu, nabrzmiała twarz znów zrobiła się rumiana, a po chwili czerwona. Na stole leżała równowartość jego czteroletniego oficjalnego żołdu. A to dopiero początek. Na handlu z Żydami nigdy nie dorobiłby się takiej gotówki, targowali się o każdy funt żytniej mąki, jakby zależało od tego ich życie. Nie to co szczodry dezerter. Srał pies, że był odmieńcem i zdrajcą, pieniądze przecież nie śmierdzą, a jeśli interes będzie dobrze szedł, ostrożna współpraca z buntownikami może się okazać błogosławieństwem. Oby powstanie trwało jak najdłużej! W myślach sztabskapitan wygrzewał się już w krymskim słońcu, otoczony dziełami sztuki i śniadymi pięknościami, gdzieś w swojej posiadłości, którą kupi w nieodległej przyszłości.

Kwatermistrz otworzył pierwszą szufladę i zsunął do niej pliki banknotów. Wyciągnął z kieszeni munduru kluczyk i otworzył nim sekretarzyk. Z pietyzmem rozłożył kartki pokryte tabelkami, wypełnionymi drobnym pismem. Założył na nos pince-nez i sięgnął po liczydło. Dłuższą chwilę przesuwiał w tę i z powrotem czerwone koraliki, stukał palcem w tabelki i chrząkał.

– Co z transportem? – spytał.

– Potrzebuję towaru razem z wozami i końmi, ale co tydzień będę z nimi wracał po kolejne dostawy.

Bieskow uśmiechnął się szeroko. Co tydzień! Tysiące rubli brzęczało mu w myślach słodką melodią. Poderwał się, złapał za butelkę koniaku, napełnił pusty kielich Teofila i drugi dla siebie. Zatarł z radością ręce.

– Co tydzień mogę zorganizować dziesięć pudów mąki, tyle samo kapusty i ziemniaków, trochę grochu, dużo rzepy, beczkę wędzonej słoniny... Hm. Wódki ile chcecie, solone śledzie, może trochę wieprzowiny.

– Pociski, kapiszony i proch – dodał Pustowójtow. – I coś jeszcze, za co zapłacę ekstra.

Grubas przestał stukać paluchem w papiery. Mina mu nieco zrzędała.

Kradzieże z magazynu broni wymagały wciągnięcia do spisku majora Sianuszkina. Znali się co prawda dobrze, grywali czasem w karty i major miał nawet niespłacony dług wobec Bieskowa, ale nigdy jeszcze nie robili wspólnych interesów. To nieco komplikowało sytuację i obniżało zysk sztabskapitana, będzie się musiał podzielić z Sianuszkinem. Z drugiej strony major miał wieczne kłopoty finansowe i żadnych szans na dorobienie na boku, zatem ofertę niesamowitego interesu na pewno przyjmie z radością. A prochu i kulek i tak się nikt nie doliczy.

– To się będzie wiązało z dodatkowymi kosztami... – jęknął boleśnie. – Co pan chce jeszcze?

– Mundury dla dwustu ludzi, i to pełne – odparł Teofil. – Z woskowanymi butami, szynelami, tornistrami, nawet z gałstukami.

– O, nie. Wie pan, że to jest ściśle reglamentowane i wydawane tylko w czasie werbunku. – Bieskow oburącz zaparł się o stół.

– Macie więc wyfasowane na brankę, która dwa miesiące temu nie wypaliła. – Teofil wzruszył ramionami. – Zresztą mundury nie muszą być nowe, nawet lepiej, by wszystkie nie wyglądały jak spod igły. To powinno ułatwić sprawę.

Wyciągnął kolejny zwitek banknotów. Tysiąc rubli znów bez śladu znikło w szufladzie. Twarz Bieskowa rozjaśniła się w jednej chwili, uśmiech uwydatnił dołki w policzkach i w brodzie.

– Przygotowanie takiego transportu trochę potrwa – oznajmił. – I jak pan mówił, to była zaliczka, prawda?

Teofil skinął głową.

– Powiedzmy, że dostaniesz jeszcze dwa tysiące w chwili przekazania wozów. A czasu nie mam, muszę dostać towar natychmiast.

Bieskow podrapał się po brodzie i westchnął ciężko.

– Pojutrze rano – odparł. – Wcześniej nie zdążę, choćbym pękl.

– Wyprowadzisz pan wozy za rogatki, spotkamy się w karczmie stojącej przy drodze na Radom. – Pustowójtow dopił jednym łykiem koniak i wstał. – Proszę rozwiązać ordynansa, bo leży tak już od trzech godzin.

Nie bał się, że Bieskow podniesie alarm czy go zdradzi. Zbyt zależało mu na pieniądzach, by choćby pomyślał o wypełnianiu obowiązków i lojalności

wobec cara. Nie różnił się zresztą od innych rosyjskich oficjeli. Urzędnicy wszystkich szczebli i rang oraz oficerowie imperialnej armii z reguły zapominali o honorze, kiedy w grę wchodziły pieniądze. Korupcja i łapownictwo stanowiły w Rosji codzienność. Gdyby Polacy mieli łeb na karku, niepodległość po prostu by sobie kupili.

Teofil ostatniej nocy ostatecznie zdecydował, że pokaże dumnym i kłótliwym Polakom, w jaki sposób należy prowadzić tę wojnę. Pokaże też swym rosyjskim druhom, którzy tak nim pogardzali i pomiatali. Wszystkim pokaże, na co go stać.



**25 marca 1863 r.**

Karawana trzech masywnych kolas z budami, każda ciągnięta przez dwa konie, posuwała się zaskakująco żwawo po grząskich polskich drogach. Jakimś cudownym zrządzeniem losu udało się pokonać dwadzieścia wiorst bez żadnej nieprzyjemnej niespodzianki. Podróżni nie natknęli się na najmniejszy choćby patrol, ani jeden z wozów nie utkwiał w błocie, a po drodze nie widzieli nikogo poza chłopami jadącymi na targ do Kielc.

Pustowójtow poprawił czapkę oficera piechoty i w zadumie podrapał się po brodzie. Dobrze czuł się w carskim mundurze, nosił go niemal od dziecka, od czasów Korpusu Kadetów, do którego trafił w wieku czternastu lat. Ledwie założył jeden z uniformów dostarczonych przez sztabskapitana Bieskowa, a okazało się, że ten pasuje, jakby uszyto go na miarę. Ponieważ ciągle nosił ostrzyżone na rosyjską modłę obfite faworyty, wyglądał jak rasowy carski oficer: wysoki i mocno zbudowany, z groźną miną, krzaczastymi brwiami i bokobrodami, wypisz, wymaluj zły, ruski żołdat. Mijani chłopci kłaniali mu się w pas i zdejmowali czapki. Żadnemu nawet do głowy nie przyszło, że mają do czynienia z buntownikiem.

Trzej ułani i strzelec Węgorzewski zostali przebrani za piechurów i usadzeni na zydlach woźniców. Powozili ułani. Muniek siedział obok Biedronia z karabinem w garści. Teofil jechał przodem konno, czasem wyprzedzał wozy o pół wiorsty, by sprawdzić teren, i wracał po chwili. Szło niezwykle sprawnie i przy odrobinie szczęścia zdarzyć się mogło, że dotrą do Puszczy Iłżeckiej jeszcze dziś, może po zmroku. Na razie zbliżali się do Bodzentyna, czyli pokonali już niemal połowę drogi do obozu.

Powstańcy nie sprawiali wrażenia specjalnie przejętych podróżą, zresztą w ciągu dwóch miesięcy wojny zdążyli przywyknąć do niebezpieczeństwa. Muniek i Biedroń śpiewali półgłosem jakąś piosenkę, Trąba powoził z fajeczką w zębach, a zamykający karawanę Poznański siedział na zydlu z pochyloną głową i przysypiał. Cała czwórka ufała Pustowójtowowi i sama jego obecność dodawała im pewności. Wśród powstańców uchodził za

słynnego czarownika, na którego nie ma mocnych. Chodziły słuchy, że wrogów po prostu pożera żywcem. Teofil jednak od rana wiercił się w siodle trawiony nerwami.

Niespodziewanie na drodze przed nim pojawiła się grupa jeźdźców. Teofil rozejrzał się nerwowo. Z lewej strony miał las, z prawej puste pole. Za opadającą po stoku łagodnego wzniesienia drogą majaczyły zabudowania wsi i pnące się ospale w niebo dymy z kominów. Nie miało sensu wjeżdżać wozami w chaszczę, poza tym jeźdźcy z pewnością już dostrzegli kolasy. Pustowójtow odciągnął kurek pistoletu i położył na kominku kapiszon, potem zaś lewą ręką zmacał rękojeść szabli. Wstrzymał wierzchowca, by wozy go dogoniły.

– Ktoś nadjeżdża – oznajmił. – Jedziemy dalej jak gdyby nigdy nic.

Muniek natychmiast poderwał się na równe nogi i podparł o powiązane sznurami paki leżące na wozie. Zmarszczył brwi, patrząc w dół drogi, po czym w jednej chwili spowaźniał i sięgnął po karabin.

– Widzę bermyce na ich łbach. To Moskale! – krzyknął. – Dońcy! Będzie ich z pół sotni.

– Spokojnie. – Pustowójtow uniósł rękę. – Miejcie broń pod ręką, ale niech nikt za nią nie łapie, jeśli się nie zacznie. Spróbuję ich ocyganić.

Postaci kozaków powiększały się szybko. Po paru chwilach także Pustowójtow wyraźnie widział ich charakterystyczne sylwetki w wysokich futrzanych czapach. Oddział puścił się w kłus na widok wozów. Część jeźdźców oderwała się i zjechała z drogi na pole, chyba po to, by oskrzydlić podróżnych, gdyby ci chcieli rzucić się do ucieczki. Pustowójtow pomachał im przyjacielsko. Na widok oficera na koniu Dońcy zwolnili, a ci, którzy zdjęli karabinki z pleców, na powrót je przez nie przewiesili. Ich oficer, z błyszczącymi jedwabiem obszyciami na pasach z ładunkami skrzyżowanymi na piersi, zasalutował Pustowójtowowi i podjechał do niego wolno.

– Sotnik Furmanow z garnizonu kieleckiego – przedstawił się krótko.

– Porucznik Miest, druga kompania zaopatrzenia Smoleńskiego Pułku Piechoty. Jedziemy z Radomia do Skarżyska.

– Z Radomia? To jakim cudem tu zbłądziliście, u diabła? Skarżysko jest ze dwadzieścia wiorst na północ. – Sotnik był brzuchaczem z czerwonymi

policzkami i długimi wąsiskami. Głos miał mocny i donośny, a do tego nieco chrypiący od morza wypitej wódki. – I co wieziecie aż z samego Radomia?

– To nie wasz interes, Furmanow – warknął Pustowójtow. – Wykonuję rozkazy generała Uszakowa i wiozę jego prywatne rzeczy.

– Mam obowiązek was skontrolować – burknął grubas. – Pokażcie rozkaz i zatrzymajcie wozy. Sprawdzimy, czy nie wieziecie jakiej kontrabandy.

– Mówię przecież, że to prywatne rzeczy generała. Chyba nie chcecie kłopotów?

– Nie chcę i dlatego sprawdzę, co tam macie. Stać, powiedziałem!

– Słuchaj, kozaku. – Pustowójtow odchylił się w siodle. – To rzeczy skonfiskowane buntownikom, które zabezpieczył osobiście generał Uszakow. Osobiście, rozumiecie? Wiozę je w jego interesie do miejsca, w którym mają zostać spieniężone. Nie wsadzajcie nosa w nie swoje sprawy, bo narazicie się dowódcy garnizonu, a tego chyba nie chcecie?

Do kozaka szybko dotarło, co sugerował Pustowójtow – skonfiskowane skarby zostały przywłaszczone przez generała i jadą do jakiegoś pasera, który zamieni je na ruble. Doskonała okazja, by wymusić łapówkę! Dońcowi nawet przez myśl nie przeszło, że może mieć do czynienia z przebranymi powstańcami.

– Proszę o rozkazy. – Sotnik beczelnie wyciągnął łapę po pieniądze.

Pustowójtow przeklął go w myślach i wyjął z kieszeni kilka pięćiorublowych banknotów. Wręczył je Dońcowi bez słowa. Ten uśmiechnął się szeroko i schował pieniądze za pazuchę.

– Wszystko w porządku, poruczniku. Jedziemy, chłopcy! – rozkazał swoim i pogonił konia. – Spokojnej drogi! – Zasalutował na odchodnym i mrugnął do Teofila.

Pięćdziesięciu kozaków ruszyło w dalszą drogę. Pustowójtow w myślach odetchnął z ulgą. Udało się.

– Hej, młody, a co ty masz za karabin? Angielski sztucer? – Jeden z jeźdźców zatrzymał się przy Muńku i wskazał jego broń.

Chłopak rozumiał po rosyjsku, ale nie śmiał odpowiedzieć, by nie wydać się słabą wymową. Wzruszył więc tylko ramionami i wyszczerzył się w uśmiechu idioty. Teofil aż się zagotował ze złości. Cholera, zapomniał

dopilnować niesforne go strzelca! Węgorzewski posługiwał się belgijskim karabinem wykonanym na wzór brytyjskiego Enfielda – bronią, po którą chętnie sięgali buntownicy, bo była znacznie lepsza od rosyjskich karabinów. W armii Langiewicza, w której Muniek zaczynał swoją wojenną przygodę, sztucery wręczano tylko strzelcom wyborowym. Chłopak nie rozstawał się z ulubionym sztucem i zabrał go też na tę wycieczkę. Pech chciał, że obok kolasy przejeżdżał akurat gruby sotnik. Widząc dziwne zachowanie Węgorzewskiego, wstrzymał konia. Zmarszczył brwi, spoglądając podejrzliwie na chłopaka i jego broń.

– Skąd to masz, człowieku? – syknął. – Gadaj!

Jego wzrok padł na pakunki leżące za strzelcem. Niemal od razu dostrzegł charakterystyczne wojskowe skrzynki, w których przechowywano kapiszony i karabinowe pociski. Na pudłach znajdowały się nawet rosyjskie pieczęcie. Nie wyglądało to wcale na dobra zrabowane Polakom. Kozak zeszywniał i po chwili wahania sięgnął po pistolet.

Zbyt późno. Pustowójtów w międzyczasie zawrócił konia i znalazł się za plecami kozaka. Rozpaczliwie sięgnął po płomyk w umyśle, rozniecił go jedną myślą i cisnął w Dońca błyszczące, srebrne i czarne, węże mocy. Teraz wysię cały czas z Furmanowa, ogarnie nim wozy i spróbuje zamknąć je w przyspieszonej sferze. Dla powstańców świat na zewnątrz zastygnie w bezruchu. Będą mogli się poruszać poza głównym nurtem czasu. Objęcie mocą takiej liczby dużych obiektów błyskawicznie spali skradzioną sotnikowi energię, ale może pozwoli im odskoczyć od kozaków choćby poza zasięg wzroku.

Czarne węże wystrzeliły z ramion Teofila i wbiły się w plecy kozaka. Lecz zamiast natychmiast odpowiedzieć znajomym gorącym przepływającej energii, trzasnęły snopem iskier. Pustowójtów wrzasnął z bólu, poczuł w obu rękach ukłucia przypominające ukąszenia os. Furmanow aż podskoczył w siodle i obrócił się w stronę Teofila. Dyndająca na łańcuszku na szyi sotnika mała ikona z Madonną rozżarzyła się jasnym blaskiem. Doniec chwycił ją, a jego oczy zapłonęły strachem, który natychmiast zmienił się we wściekłość.

– Wampir! Odmieniec! – ryknął.

Pustowójtów w lot domyślił się, co zaszło. Ikona była amuletem,

prawdopodobnie namalowano ją na kawałku materiału wyniesionego z turbulencji rzeczywistości. Nasączona mutatio, które ekranowało nosiciela przed wpływami odmieńców, odbiła moc Teofila niczym tarcza. Co za pech!

Setnik wyszarpnął pistolet z kabury. Pustowójtow sięgnął po swój. Jednocześnie wymierzili w siebie broń. Dzieliło ich może pięć kroków, żaden nie mógł więc chybić. Strzały gruchnęły jednocześnie. Teofil poczuł ukąszenia płonących ziarenek prochu na twarzy, owionęła go chmura dymu. Pocisk gwizdnął koło głowy, musnął włosy i skórę nad uchem. Furmanow miał mniej szczęścia. Kula trafiła go w gardło, zmiażdżyła krtań i utkwiała w kręgosłupie. Krew bryznęła z ust kozaka i mężczyzna zsunął się z siodła.

Teofil nie widział efektu strzału, nerwowo przecierał dłońmi zaprószone prochem i zażawione od dymu oczy. Tymczasem wokół rozpętała się strzelanina. Muniek wypalił prosto w łeb ciekawskiego jeźdźca, którego tak zainteresował jego karabin, po czym poderwał się na równe nogi i złapał swoją broń za lufę. Zamachnął się niczym do ciosu maczugą, ale kozak, którego próbował trafić, odchylił się w siodle. Ognia dali także ułani, każdy z zydła woźnicy. Kozacy błyskawicznie otrząsnęli się z zaskoczenia, sięgnęli po szable i karabinki. Poznański jednym susem skoczył z kozła na najbliższego jeźdźca, wysadził go z siodła i razem z nim runął na ziemię. Trąba dźgnął kolejnego bagnetem.

– Wpieriod! Urrraaa! – krzyknął doński podoficer, który po śmierci sotnika natychmiast przejął dowodzenie nad półsotnią.

Rozstrzelona wzdłuż drogi kolumna jeźdźców błyskawicznie zawróciła i otoczyła wozy. Muniek desperacko odbijał karabinem pchnięcia spis, w oczach błysnęły mu łzy, bo właśnie dotarło do niego, że za chwilę zginie. Teofil próbował znów użyć mocy, ale płomień w umyśle przygasł i nie umiał go znów rozpalić. Nie pozostało mu nic innego, jak dobyć szabli i zetrzeć się z dwoma najbliższymi jeźdźcami. Mógł jeszcze spiąć konia i runąć w las po drugiej stronie drogi, miał duże szanse zgubić w nim kozaków i zwiać. Splunął wściekle w gębę najbliższemu Dońcowi i chlasnął go piórem szabli przez policzek. Nie zamierzał zostawiać swoich żołnierzy na zatracenie, nawet jeśli groziła mu śmierć w tej durnej potyczce. Nie potrzebował też mocy, żeby walczyć jak prawdziwy żołnierz. Zaraz to wszystkim udowodni.

Trzasnęły pojedyncze strzały. Biedroń złapał się za pierś przedziurawioną kolejno przez trzy pociski. Muniek zdążył skoczyć z wozu wprost pod kopyta tłoczących się koni i cudem uniknął zastrzelenia. Teofil odbił grot spisy, który omal nie przebił mu brzucha, ale nie zdołał dosięgnąć szablą jej właściciela. Poczuł uderzenie w ramię i promieniujący, tępy ból. Szabla czy kula? Nieważne! Z tyłu! Położył się w siodle, obrócił, ciął na oślep. Ostrze utknęło na chwilę w coś miękkim, jakiś koń kwiknął rozzwierając. Huk i kłęby dymu. Kolejne uderzenie, tym razem w plecy. Ból palący i ostry pulsował już także z nogi, ramienia, pleców. Jeszcze chwila i zarąbia go, zadźgają...

Nagle gdzieś pod lasem zagrziała nierówna salwa. Mierzący w Teofila kozak drgnął i wykrzywił usta w grymasie bólu, wypuścił karabin z rąk i zsunął się z siodła.

– *Wnimanije, zasada! Ko mnie! Wsie ko mnie!*<sup>Z</sup> – wrzeszczał doński podoficer.

Dońcy ściągnęli wodze i po chwili gnali już po polu. Z lasu wybiegła chmara ludzi z osadzonymi na sztorc kosami, za nimi szli strzelcy, w marszu nabijając karabiny do kolejnej salwy. Pojawiła się też grupka konnych. Na czele jechał starszy pan z całkiem siwymi wąsiskami i w przekrzywionej polskiej konfederatce, czyli w miękkiej rogatywce. Pustowójtow machnął do niego, ale oficer tego nie zauważył. Wrzeszczał na swoich żołnierzy i wymachiwał szablą. Kosynierzy przystanęli i karnie ustawili się w zwarty czworobok. Strzelcy deptali im po piętach w luźnym szyku. Teofil puścił wodze i nawet nie zauważył, jak znalazł się na ziemi. Czuł gorący strumyk krwi spływającej po ramieniu, rany łupały i paliły.

O dziwo, kozacy nie uciekli. Zatrzymali się kilkaset kroków dalej, uformowali luźną linię i ruszyli do szarży. Co by nie mówić o tych bydlakach, potrafili okazać niezwykłą odwagę i brawurę. Ich niepełna pięćdziesiątka runęła na blisko dwie setki powstańców. Na szczęście dowodzący buntownikami oficer miał swych ludzi pod pełną kontrolą. Naprzeciw kozakom wybiegli strzelcy, ustawili się w nierówną tyralierę i na rozkaz wypalili, tym razem zgraną salwą. Kilka kozackich koni ścięło z nóg, z siodeł runęło też przynajmniej pięciu jeźdźców. Strzelcy rozbiegli się na boki, a na Dońców ruszył czworobok kosynierów. Błysnęły uniesione wysoko ostrza i

rozległ się basowy śpiew z setki chłopskich gardeł. Linia kozaków rozdzieliła się na dwie części. Dońcy w galopie minęli czworobok i wypalili do niego z karabinków. Wpadli na drogę, znów połączyli się w jedną, nieskładną kupę i pognali w kierunku Kielc.

Pustowójtow zdjął czapkę i pomachał do siwego wásacza dowodzącego powstańcami. Słynny i groźny pułkownik Dionizy Czachowski, do niedawna jeden z najlepszych oficerów armii Langiewicza, jak zwykle groźnie marszczył brwi. Starszy pan zmierzył srogim wzrokiem dryblasa w rosyjskim mundurze, ale po chwili rozpoznał w nim Teofila. Podjechał do niego, zakręcając wása.

– Kogo ja widzę? Znowu w moskiewskiej armii? – spytał groźnie.

Niech to! Miał go za zdrajcę, który ponownie zmienił barwy i walczy po rosyjskiej stronie. Jeszcze gotów od ręki, bez wyjaśnień go powiesić. Stary pułkownik piekielnie nienawidził Rosjan i marzył, by wszystkich wymordować.

– To przebranie. Wieziemy zaopatrzenie dla batalionu Jemioły – szybko zameldował Teofil.

– Janek żyje? Mówili, że piekło go pochłonęło po tym, co zrobił w Małogoszczy. Ha! We wszystkich partiach powtarza się opowieści o tamtej bitwie. Polscy odmieńcy ożywili Wierną Rzekę i zmiotli carskie rotę, kładąc na ołtarzu ojczyzny swoje żywoty! – Czachowski pokręcił głową. – Ale, ale! Co tam macie na wozach? Jakies żarcie?

– Pokarm i amunicję – przyznał Pustowójtow. – Jedźcie z nami, mamy obóz w środku puszczy. Można tam bezpiecznie odpocząć, a Jemioła będzie miał dla pana propozycję udziału w większej operacji.

– Nie wiem, Janek to trochę wariat i niepoprawny marzyciel. Nie widzę go jako organizatora wojennych operacji. – Czachowski wzruszył ramionami. – Jako wyższy stopniem przejmuję transport, moi chłopcy są głodni jak wilki. Otwierać te paki!

Pustowójtow zacisnął zęby ze złości. Poraziła go zupełna bezsilność. W powstańczym wojsku oficerowie właściwie przed nikim nie odpowiadali. Mogli robić, co chcieli, a ich działań nie koordynował żaden sztab czy rząd. Liczyło się prawo silniejszego. Teofil słyszał już o przypadkach, kiedy skłóceniu dowódcy rozdzielali i rozbijali partie, nie udzielali sobie wzajemnie

pomocy w bitwie, a nawet potrafili porzucić miejsce potyczki, by zostawić nielubianego oficera na pastwę wroga. Ten chaos i samowola fatalnie wróżyły dalszym losom powstania.

Wcześniej w podobnych chwilach Teofila nachodziła nieodparta ochota, by rzucić to wszystko i uciec jak najdalej. Wystarczyło machnąć ręką, niech Czachowski ograbia Jemiołę i idzie w diabły. Niestety Pustowójtow dopiero co zdecydował, że ostatecznie kończy z dawnym życiem. Nie zdradzi swoich – a po raz pierwszy mógł z podniesionym czołem nazwać tak towarzyszy broni, przyjaciół z oddziału.

Uniósł szablę i wymierzył ją w siedzącego w siodle Czachowskiego.

– Nic z tego, pułkowniku – warknął. – Odpowiadam za ten transport i zamierzam dostarczyć go na miejsce. Łapy precz od wozów! – ryknął do powstańców kręcących się przy kolasach. – Jestem Teofil Pustowójtow, oboroten w służbie Rządu Narodowego! Słyszeliście o mnie?! Każdemu, kto tknie pakunki, odbiorę czas pozostały do końca żywota. W mgnieniu oka zamieni się w trzęsącego się starca, a potem rozsypie w proch! Wiecie, że potrafię to zrobić jedną myślą.

– Oho! – Czachowski obrócił się w siodle do towarzyszącego mu oficera. – Słyszałeś, Grzmot, jaki pan Pustowójtow jest groźny? I co my z nim zrobimy?

– Słuchaj, człowieku – Grzmot, wysoki mężczyzna o jasnych oczach, położył dłoń na rękojeści szabli i ku zaskoczeniu Teofila przemówił czystym rosyjskim, świadczącym o moskiewskim pochodzeniu lub o długich latach spędzonych w Rosji – zanim zdążysz kogoś skrzywdzić swoimi gusłami, oberwiesz szablą w łeb, a jeśli ja nie zdążę, to któryś z moich strzelców, mierzących ci w plecy, z pewnością na czas pociągnie za spust.

– Starczy, Dobrogojski. – Pułkownik uspokajająco poklepał Grzmota po ramieniu. – Uszanujemy własność Jemioły, a skoro Pustowójtow nas zaprasza, ruszymy razem z nim do tego bezpiecznego obozu. Przyda nam się dzień lub dwa odpoczynku. Zebrać rannych, przeszukać kozackie trupy! Szybko, szkoda czasu!

Pustowójtow odetchnął z ulgą, otarł szablę i wsunął ją do pochwy. Poklepał po plecach trochę tylko poturbowanego Muńka Węgorzewskiego,



który stał nad ciałem Biedronia. Po chwili okazało się, że i Trąba jest w ciężkim stanie; któryś z kozaków dźgnął go spisą w bok. Ułan miał trupio bladą twarz, a czoło zroszone potem. Teofil uściskał mu rękę, uśmiechając się ze smutkiem. Zacisnął powieki i po raz kolejny sięgnął po ledwie pełgający, ukryty głęboko w umyśle płomień mocy. Tym razem ogień drgnął i ospale wypełnił żarem żyły mężczyzny. Pustowójtów dotknął migoczące niemrawo węże czasu pełzające w ciele Trąby i zgarnął je jednym ruchem. Muniek i Poznański stali nad nim. Obaj zdjęli czapki i się przeżegnali, kiedy Teofil zamknął zmarłemu oczy.

**27 marca 1863 r.**

Hrabia Fiodor Berg nie lubił dusić się w ciasnych budach kolasek czy karet, preferował jazdę konno, a w ostateczności przemieszczał się otwartymi powozami. Uważał, że podmuch rzeńskiego powietrza, wiatr we włosach – czy ostatnio w rudej peruce – pęd, ruch są potrzebne aktywnemu mężczyźnie tak samo, jak ciepło kobiecego ciała czy kęs krwistego mięsa. Choć niedawny generał-gubernator Finlandii liczył sobie siedemdziesiątkę, ciągle czuł się jak dwudziestolatek. Wiele miał jeszcze do zrobienia na tym padole łoż i wiele mógł osiągnąć. Car odwołał go z gubernatorskiego stołka i dał mu nowe zadanie nie z powodu dawnych zasług i szacunku dla siwych włosów, ale przez wiarę w niespożyte siły starego oficera. I ten stary oficer nie zawiedzie cara.

Warszawa jeszcze nie zauważyła powrotu swojego dawnego pogromcy. Przechodnie nie kłaniali się starszemu panu w czarnym surducie i bez nakrycia głowy, który jechał powozem pozbawionym jakiegokolwiek eskorty. To się jednak zmieni, niedługo każdy, kto nie skłoni się w pas przed obliczem hrabiego, oberwie knutem w swój niepokorny polski pysk, a potem zegnje kark do samej ziemi i wyszoruje kapeluszem warszawski bruk aż miło. Ale jeszcze nie dziś. Dziś Fiodor Fiedorowicz przybył do miasta incognito.

Koła powozu terkotały po bruku Królewskiej. Po lewej rozciągał się wielki Ogród Saski, perła miasta. Zamykał go imponujący, dwuczłonowy pałac połączony kolumnadą, która jednocześnie stanowiła bramę do parku. Stangret skręcił w lewo i przejechał przed wejściem do pałacu, zajętego obecnie przez dowództwo garnizonu Warszawy. Przestrzeń przed nim niemal w całości wypełniał las namiotów i baraków, bo większość miejskich placów zmieniono w koszary, by widok tysięcy mundurów studził nieco buntowniczy zapach warszawiaków. Pośrodku w niebo mierzył stojący na środku słup – pomnik siedmiu generałów – otoczony mosiężnymi lwami i orłami, przez Polaków zwany pomnikiem hańby. Wokół kręcili się piechurzy. Wzdłuż białych namiotów w równych stosach stały karabiny, na niewielkich ogniskach

grzały się kociołki z zupą.

Hrabia uśmiechnął się pod wąsem. Upłynęło już ponad trzydzieści lat od pamiętnego powstania, które osobiście pomagał uśmierzyć. Jaki był wtedy młody i silny, jak wspaniale się czuł, prowadząc carskie zastępy do szturm na Wolę! Polacy szybko zapomnieli o tym laniu i znów zgrzeszyli, podnieśli rękę na cara. Powinni otrzymać teraz surowszą karę, taką, którą zapamiętają na dłużej niż jedno pokolenie. Już on dopilnuje, by wbić im w pamięć, gdzie ich miejsce.

Stangret zatrzymał powóz przed imponującą bramą z bogato zdobionymi kamiennymi filarami. Pałac Brüchla zamykał jeden z rogów Placu Saskiego i stanowił siedzibę cywilnych władz miasta. To w nim urzędował naczelnik oficjalnego polskiego rządu i wielopiętrowa, skomplikowana struktura jego ministrów, oficjalistów, kancelistów i pisarzy. Przed bramą stało kilku żandarmów, strzegących dostępu na dziedziniec pałacu. Zanim jednak Berg zdążył ruszyć się z siedzenia, do powozu wsiadł niepozornie wyglądający, chudy i niewysoki jegomość w pince-nez na nosie. Hrabia ucisnął mu rękę na powitanie i uprzejmie wskazał miejsce naprzeciwko. Przybysz machnął niedbale żandarmom i szturchnął stangreta w plecy. Powóz wjechał przez bramę na rozległy dziedziniec.

Chudzielec w binoklach nazywał się Paweł Tichon i był twórcą oraz naczelnikiem Carskiego Urzędu Przemian, ponurej organizacji zajmującej się tropieniem odmieńców i odszukiwaniem oraz konfiskatą artefaktów wyciągniętych z turbulencji. Hrabia Berg, jako jedna z niewielu osób w Imperium, wiedział, że działalność tej komórki jest znacznie szersza i obejmuje także wykorzystanie złapanych oborotenów do szpiegostwa i tajnej służby związanej z bezpieczeństwem państwa. Uśmiechnął się promiennie do niepozornego okularnika. Od kilku miesięcy łączyły ich niemal przyjazne stosunki. Berg bardzo o nie dbał. Wszak właśnie on ułatwił Tichonowi objęcie twierdzy w Kurlandii, gdzie obecnie znajdowała się siedziba Urzędu Przemian.

Ta przyjaźń z pewnością się hrabiemu opłaci. Miał do takich spraw nosa i wiedział, z kim należy się przyjaźnić, a w kim można mieć wroga. Tichon należał do tej pierwszej kategorii. Tylko głupca zwiodłyby jego skromny

wygląd i ciche, grzeczne zachowanie. Naczelnik należał do najbardziej niebezpiecznych osób w Imperium, choć jeszcze niezbyt wpływowych. To jednak szybko mogło się zmienić; po kilku sukcesach znajdzie posłuchanie na samym cesarskim dworze. Świadczyła o tym choćby sama jego ranga – tajny radca. Zdobył ją w tak młodym wieku, bo Tichon nie wyglądał na więcej niż czterdziestolatka, rokowało wręcz doskonale na przyszłość. Trzecia ranga urzędnicza odpowiadała stopniowi generała w wojsku, i to generała-lejtnanta, czyli młodzieniec miał identyczny stopień co hrabia Berg. A wszystko jeszcze przed nim!

– Obawiam się, że to spotkanie jest tylko stratą czasu. – Tajny radca wstał, ledwie powóz się zatrzymał i ukłonił się, udzielając pierwszeństwa Bergowi.

– Myślisz, Pawle Iwanowiczu, że Wielopolski nie będzie skory do współpracy? – zdziwił się hrabia. – To przecież jedyna dla niego szansa, by utrzymać się na stołku.

– Jest zbyt dumny i pewny siebie, by pójść ci na rękę, Fiodorze Fiedorowiczu. Poza tym rozmowy z nim są dość trudne, sam zobaczysz.

– Słyszałem, że to gbur, ale mimo wszystko ma wpływ na cara i posłuch na jego dworze, a to o czymś świadczy.

Mężczyźni nawet nie spojrzeli na piękną fasadę rokokowego gmachu i dwa alkierze wznoszące się z obu stron pałacu niczym kamienni wartownicy. Swobodnie weszli przez wysokie wrota, nie poświęcając nawet spojrzenia rozstępującym się przed nimi żandarmom. Jeden z woźnych ukłonił się przybyszom i bez słowa poprowadził ich przestronnym holem z oknami sięgającymi błękitnego sufitu. Dwaj generałowie obojętnie minęli obrazy przedstawiające wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza oraz cara Mikołaja I. Nie przyciągnęły ich wzroku także przysadziste, bogato obite złotem krzesła ani sofy stojące wzdłuż ścian i przeznaczone prawdopodobnie dla interesantów. Ciężkie meble, typowe dla rosyjskiego stylu, zapełniały wszystkie carskie urzędy i pałace zajęte przez moskiewskich oficjeli. Obaj dżentelmeni przywykli do podobnych sprzętów w Petersburgu czy Moskwie, nie zwrócili więc uwagi na zrusyfikowany wystrój jednego z najpiękniejszych warszawskich pałaców.

Margrabia przyjął ich nie w swoim gabinecie, ale w pałacowym ogrodzie,

znajdującym się na tyłach kompleksu i wychodzącym na ulicę. Przy odgradzającym go od miasta parkanie przechadzali się mundurowi policjanci i stało kilku żołdatów. Po dwóch nieudanych zamachach naczelnika rządu cywilnego nieustannie strzeżono, nawet w czasie wypoczynku.

Wielopolski spacerował między pozbawionymi jeszcze liści drzewami, w towarzystwie trzydziestoletniego szczupłego mężczyzny z kozią bródką i cienkim wąsikiem. Berg zmierzył obu uważnym spojrzeniem i ukłonił się grzecznie, gdy Tichon przedstawiał go polskiemu arystokracie. Zgodnie z opowieściami Wielopolski okazał się mężczyzną mocnej budowy, z wielkim brzuszyskiem i twarzą wykrzywioną wiecznym grymasem, jakby niechęci i pogardy do rozmówcy. Mówił niskim, burkliwym głosem, przez co jeszcze bardziej kojarzył się ze starym, złym niedźwiedziem.

Towarzyszył mu syn, Zygmunt, pełniący w cywilnym rządzie funkcję prezydenta Warszawy. W odróżnieniu od ojca młody Polak kłaniał się i uśmiechał aż do przesady. Berg odniósł wrażenie, że wystarczyłoby na niego podnieść głos, by padł na kolana przed Rosjanami. „Bez specjalnego wysiłku da się go omotać i używać jak narzędzia”.

– Rozumiem, że dopiero co przyjechał pan z Petersburga, generale. – Po trwających parę chwil wymianach uprzejmości margrabia przeszedł do rzeczy. – Ma pan dla mnie jakieś wiadomości od Jego Wysokości?

– Nie mam żadnych, ekscelencjo – odparł Berg. – Odwiedziłem pana, że tak powiem, prywatnie.

– Prywatnie? A czegoż to pan ode mnie prywatnie chce? – burknął Wielopolski.

– Sprawa jest dość delikatna, jeśli byłby pan tak miły i potraktował naszą dzisiejszą rozmowę poufnie...

– Nikt się o niej nie dowie, skoro panu na tym zależy. – Niedźwiedź wzruszył ramionami.

– Oficjalnie pojawię się w Warszawie dopiero za tydzień, jako nowy adiutant wielkiego księcia. Prawda jest taka, że mam być nie tylko doradcą Konstantego Mikołajewicza, ale także egzaminatorem.

– Będiesz go pan badał, czy nadaje się do dalszego pełnienia funkcji namiestnika królestwa? – Bystre oczy margrabiego rozbłysły. – Przybywa pan

zatem jako szpieg samego cara, ha! Mogłem się domyślić.

– Trafił margrabia w sedno. – Berg pogładził wąsy. – A tak między nami, obaj wiemy, że nie na darmo wielki książę nazywany jest przez rodzinę Niezdarnym Saszą. Wynik moich obserwacji jest więc łatwy do przewidzenia. W tak trudnej sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Królestwo Polskie, na stanowisku namiestnika potrzebny jest ktoś bardziej zdecydowany i stanowczy.

– Co ja mam z tym wspólnego? – Wielopolski zatrzymał się, złożył ręce z tyłu i wypiął brzuszysko.

– Nowy namiestnik będzie potrzebował silnego polskiego ramienia, na którym mógłby się wesprzeć. Nadal ma pan spore poparcie u cara, do tego posłuch u polskiej burżuazji i arystokracji. Podoba mi się też pana stanowczość w zwalczaniu buntowników. – Berg się uśmiechnął. – Ponoć nalegał pan, by złapanym i osądzonym nie łagodzić kary, ale wieszać ich bez zmiłowania.

Wielopolski zmarszczył brwi i popatrzył na hrabiego groźnie spode łba.

– Kiedy oficjalnie przybędę do miasta, będę zmuszony nieustannie towarzyszyć Konstantemu, dzisiejsza rozmowa jest więc jedyną okazją na swobodną i szczerą wymianę myśli – kontynuował Berg. – Nie zdołam drugi raz powtórzyć tej propozycji. Chciałbym widzieć w panu lojalnego i pracowitego towarzysza. Kiedy zostanę namiestnikiem, bo innego kandydata na to stanowisko nie widzę, zakończę powstanie najdalej w tydzień. Dzięki pomocy pana Tichona mogę w ciągu jednego popołudnia zwinąć cały ten ich Rząd Narodowy. Mamy agentów, którzy rozpracowują warszawską siatkę spiskowców. Ale po kolei! Najpierw musimy jak najszybciej usunąć Konstantego. To ważne dla dobra Królestwa i całego Imperium. Jego nieudolność nazbyt już nam zaszkodziła, a przedłużające się powstanie stanowi niepotrzebne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Musimy je jak najszybciej zakończyć, ale do tego trzeba się pozbyć Niezdarnego Saszy. Potrzebuję dowodów indolencji wielkiego księcia, najlepiej dokumentów z błędnymi rozkazami, przykładów zaniechań i zaniechań, zbytniej łagodności i pobłażania buntownikom. Szczegółami przekazania materiałów zajmie się pan Tichon.

Tajny radca ukłonił się grzecznie naburmuszonemu niedźwiedziowi.

– Będzie pan przekazywał dokumenty i stenogramy z zebrań i rozmów z księciem przez moją agentkę, która jeszcze dziś pana odwiedzi. To porucznik Maria Pietrowna Stołpin, oboroten w carskiej służbie mający unikatową umiejętność...

Wielopolski odgonił go niczym natrętną muchę.

– Raczą panowie żartować – zadudnił. – Mam szpiegować i donosić na Konstantego? Ja?!

– Spokojnie, panie margrabio. – Berg uniósł rękę. – Chyba wszyscy oczekujemy jak najszybszego uśmierzenia buntu. Panu, jako patriocie miłującemu ojczyznę, powinno jak nikomu zależeć na sprawnym uspokojeniu powstańców, tych szaleńców szkodzących nie tyle Imperium, co własnemu krajowi. Wielki książę będzie tylko utrudniał nam zadanie! Trzeba czym prędzej odsunąć go od władzy, bo z każdym dniem przynosi więcej szkody. Musi mi pan pomóc, jeśli nie dla dobra własnej kariery, to chociaż dla ojczyzny!

– Poszli won! – ryknął niedźwiedź i wskazał ręką wyjście.

– Ojczy, co robisz? – Zygmunt chwycił go za ramię. – Opamiętaj się. Panowie raczą wybaczyć, tatko ma dziś nie najlepszy nastrój.

Berg groźnie zmrużył oczy. Jego czernione wąsiki zdawały się prostować ze złości. Radca Tichon opuścił wzrok i wtulił głowę w ramiona, jakby się bał, że margrabia strzeli go w ucho niczym niesforenego uczniaka.

– Podpisałeś na siebie wyrok, Wielopolski – wycedził Berg. – Jesteś skończony. Skończony, rozumiesz? Zapamiętaj moje słowa, dokonasz żywota na banicji jako znieawidzony przez wszystkich staruch, w dodatku noszący piętno zdrajcy.

– Nikogo nie zdradziłem i nigdy nie zdradzę – zahuczał niedźwiedź, biorąc się pod boki. – W przeciwieństwie do ciebie, podstępny szcurze, jestem honorowym szlachcicem, zawsze wiernym carowi i ojczyźnie. Nie będę na nikogo donosił, nie będę szpiegował i knuł za plecami wielkiego księcia. A teraz wynoś się stąd, chytry staruchu, zanim każę woźnym wywalić cię na pysk i obić kijami. Won, powiedziałem.

Hrabia odwrócił się na pięcie tak energicznie, że aż peruka mu się przekrzywiła, i ruszył przed siebie, trzaskając wściekle obcasami. Tichon

obrzucił szybkim, lodowatym spojrzeniem dwóch Polaków i dołączył do swego kompana.

– Ojczy, na miłość boską, co cię opętało? – jęknął Zygmunt po polsku. – Zrobiłeś sobie wrogów z dwóch największych drani w Imperium.

– Mam to w nosie – burknął Wielopolski. – Przynajmniej pozostanę w zgodzie z własnym sumieniem. Co za bezczelne typy, zaproponowali mi coś tak ohydneho i nielicującego z honorem szlachcica. Powiniennem naprawdę kazać ich wybatożyć. Zapamiętałiby Wielopolskiego do końca życia.

– Sam mówiłeś, że czasem trzeba umieć ugiąć kark i się ukorzyć. To wszak polityka. – Syn hrabiego pobladł ze strachu. – Z honorem możemy się obnosić, kiedy jesteście silni, a w sytuacji, w jakiej się znajdujemy, trzeba trzeźwo myśleć i pozostać giętkim. Tego mnie przecież uczyłeś, tato.

Stary Wielopolski ze smutkiem pokiwał głową. W jednej chwili jakby zmałał, skurczył się. Znikł olbrzymi, zły niedźwiedź, a pojawił się schorowany, borykający się z kłopotami urzędnik.

– Jestem zmęczony, chłopczy – powiedział. – Mam dość całej tej polityki, przymilania się i zawierania sojuszy po to, by przy nadarzającej się sytuacji zdradzić niedawnego towarzysza. To zabawa dla was, młodych. Pamiętaj tylko, byś się w niej zbytnio nie zatracił.

– Mieliśmy spróbować uratować coś z powstańczej pozogi, ocalić, ile się da, z pogrążającego się w upadku kraju – kontynuował Zygmunt. – A ty co robisz? Obrażasz kandydata na namiestnika królestwa?

– To jeden z salonowych szczurów, dorobkiewicz i karierowicz. – Wielopolski wzruszył ramionami. – Rozdeptałem setki takich jak on w czasie swej drogi na górę. Berg jest tak zaślepiiony żądzą władzy, że nie widzi już, po jak cienkim lodzie stąpa. Jeden błąd i spadnie na samo dno. Skoro Berg sięga po pomoc czarownika i łowcy wiedźm, jest zupełnie zdesperowany. Pazerne czepianie się każdej okazji, byle ugrać coś dla siebie, i zabawy zakazaną mocą mutatio to fatalny błąd. Hrabia może wyrządzić szkody, namieszać, może nawet wygryźć księcia Konstantego, ale szybko popełni błąd i marnie skończy. Wiem, co mówię, synu.

Młody Wielopolski pokiwał głową, choć nie był przekonany.

– Obyś się nie mylił, ojczy. Oby sprawdziła się twoja przepowiednia, a



nie jego – powiedział. – Inaczej to my dwaj marnie skończymy.

**29 marca 1863 r.**

Promienie wiosennego słońca ślizgały się po ognieście rudych włosach Wandy, rozświetlały je i zamieniały w czerwonozłotą lunę. Piegi pokrywające całą jej twarz, szyję i dłonie jeszcze bardziej kontrastowały z jasną skórą.

Przyglądający się Żydówce Muniek Węgorzewski aż wstrzymał oddech z zachwytem. Jaskrawo błękitne oczy dziewczyny błyszcząły olśniewająco, a na jej szczupłej, pociągłej twarzy malowało się skupienie, zmieniając podlotka w dojrzałą kobietę. Wanda siedziała przed swoją ziemianką i cięła nożycami białe płótno na pasy, by potem zwijać je w podręczne bandaże. Mimo że nosiła męskie spodnie i buciory, wyglądała delikatnie i kobieco, a z tym złotem płonącym we włosach wręcz zjawiskowo.

– Czemu się gapisz jak sroka w gnat? – spytała, nie podnosząc oczu na strzelca.

– Zmieniłaś się przez te dwa miesiące – zauważył chłopak i usiadł obok. – Gdzie się podziała wiewiórka w bucikach z cienkiej skórki i w żydowskim chałacie, biegnąca za kosynierami z lekarską torbą na ramieniu? Gdzie jest skromna dziewczuszka płonąca rumieńcem po każdym spojrzeniu doktora Loewenhardta?

– Nie ma jej. – Wanda wykrzywiła usta, hamując zniecierpliwienie. – Już dawno dorosła.

– I to jak! Zapomniałaś jak bardzo nienawidzisz Pustowójtowa, nawet przyjęłaś od niego chustę, którą przywiózł ci z Kielc.

– Po pierwsze nie chustę, a kaszmirowy szal. Z prawdziwego indyjskiego kaszmiru, o! A przyjęłam dlatego, bo przysiągł, że go nie ukradł ani nie zdarł z jakiejś nieszczęsnej kobiety. Potraktowałam ten prezent jako symbol zawieszenia broni między nami. Nie będę już go więcej obgadywać za plecami i przypominać wszystkim, jakim jest sukinsynem. Po raz setny powtórzę, że pamiętam, z jaką pasją prześladował Polaków, gdy był carskim oficerem, znałam też dziewczynę, którą niby w szale mutatio pohańbił i poturbował. Trudno mi uwierzyć, że nagle stał się patriotą i porządnym

człowiekiem. Myślę jednak, że przywożąc zrabowane pieniądze i zdobywając cały tabor z zaopatrzeniem, dostatecznie udowodnił swoją dobrą wolę. Odkładałam więc niechęć do tego człowieka i od dziś zacznym traktować go z zimną obojętnością. Stara się, to przynajmniej zostawię nieszczęśnika w spokoju, choć i tak nie spuszczę go z oka. Jeśli zacznie knuć, pierwsza się o tym dowiem.

– Groźna jesteś! – Muniek się uśmiechnął. – Może zostawisz te szmatki i pójdziesz ze mną na spacer brzegiem strumyka?

– Jeszcze czego! – prychnęła. – Znów zbijasz bąki, zamiast przygotować się do wymarszu! Cały obóz się pakuje. Powinieneś zająć się swoją drużyną, panie podoficerze.

– Tak jest, pani porucznik, ale wszystko w swoim czasie. Nie ma sensu się śpieszyć, jeszcze trwają obrady sztabu. Ponoć Pustowójtów nalega, by wyruszyć jutro, a Jemioła chce przynajmniej kilka dni posiedzieć. – Muniek przysunął się do Wandy i spróbował objąć ją w pasie.

Boleśnie dźgnęła go w ramię ostrzem nożyczek.

– Jemioła przestaje twardo stąpać po ziemi i znów kombinuje z turbulencjami – powiedziała. – Całymi dniami znika w lesie, ostatnie dwie noce spędził poza obozem. Chłopaki słyszeli jego krzyki i jakieś dziwne trzaski i zgrzyty rozlegające się po całej kniei. Martwię się, że stoi na krawędzi szaleństwa.

– Pliszka mówi, że pułkownik Jemioła próbuje sondować umysły anomalii i grzebie im w pamięci. Ponoć uczy się ich języka, by objąć nad nimi władzę – zdradził Muniek. – Nie wiem, jak się to skończy, ale na razie Pliszka go pilnuje i próbuje nie dopuścić, by widowiskowo ze sobą skończył. Oddziały mogłyby pójść po czymś takim w rozsypkę.

– Właśnie! I co byśmy zrobili? – przejęła się Wanda. – Kto poprowadziłby nas do zwycięstwa? Tylko Jemioła ma pomysł, jak nie dopuścić do upadku powstania. Ponoć generał Langiewicz porzucił oddziały i uciekł do Austrii. Nie ma już dyktatora, a Rząd Narodowy siedzi w Warszawie i nad niczym właściwie nie panuje.

– Nie, to nie tak. – Strzelec pokręcił głową. – Langiewicz był tylko uzurpatorem, który ogłosił się przywódcą po podszeptach burżujów z

Krakowa. Tych niby „białych”, którzy boją się Mierosławskiego i wszystkiego, co nazbyt czerwone, zbyt śmierzące władzą ludu. Wrobili go w to dyktatorstwo, oszukali i omamili, by zwiększyć chaos i odsunąć „czerwonych”. Faktycznie Langiewicz niczym nie kierował. Dokonał tylko tego, że Rosjanie dostawali szału, słysząc o dyktatorze Langiewicz, i uwzięli się, by go wykończyć. Zmusili go do ucieczki i rozpuszczenia oddziałów. Gdyby tego nie zrobił, już dyndałby na gałęzi, a wszyscy jego chłopcy gniliby w zbiorowej mogile.

Wanda spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– A kiedyś ty się zrobił taki mądry, co? Kto ci nagadał tych rewelacji?

– Mówi się o tym w obozie, słuchałem rozmów Rochebrune’a,

Czachowskiego i Pustowójtowa. Wczoraj przyjechał kurier, przywiózł listy ze świata. Już wszyscy o tym gadają. Ponoć naczelnik Warszawy wystosował odezwę, którą podpisał własnym, prawdziwym nazwiskiem.

– To ten kompan Jemioły, Bobrowski?

– Ten sam. Ogłosił, że po upadku Langiewicza władza pozostaje w rękach Rządu Narodowego. Powstanie trwa dalej, wciąż są ludzie, którzy nim kierują. Pustowójtow mówi, że jedynym rozsądnym wśród tych ludzi jest właśnie Bobrowski i to on ciągnie całą administrację zrywu.

– Ale się zrobiłeś wyszczekany od tego ciągłego kręcenia się wśród sztabowców. – Wanda przewróciła oczami.

Muniek uśmiechnął się promiennie i przysunął jeszcze bliżej do dziewczyny.

– Muszę się wdrażać. Ponoć mamy stanowić dowództwo przyszłej wielkiej armii narodowej. Już niedługo zostanę kapitanem, a potem kto wie, może i generałem? – Ręka chłopaka znów zbłądziła za plecy dziewczyny. – To jak, pani porucznik, pójdiesz na spacer z przyszłym przywódcą i bohaterem?

Jego usta znalazły się blisko policzka i ucha dziewczyny. Płomiennorude włosy łaskotały go w nos, kiedy obejmował Wandę w pasie. Żydówka odłożyła nożyczki, położyła dłoń na twarzy chłopaka i pchnęła z całych sił. Strzelec poleciał w tył i ciężko pacnął tyłkiem w wilgotną ziemię.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Pójdę, kiedy przyjdiesz do mnie w mundurze z oficerskimi epoletami i z

pękiem kwiatów w garści.

– Wiedźma. – Muniek pokazał jej język i wstał energicznie.

Zachwiał się, gdy nagle nogę przeszył mu ból po cudownie wyleczonym postrzale. Rwanie niemal natychmiast znikło, niczym pamięć o złym śnie. Strzelec ostrożnie ugiął nogę w kolanie, jakby chciał sprawdzić, czy rana nagle się nie odnowiła. Nic mu jednak nie było. Pustowójtow naprawdę go uleczył.

Derka zasłaniająca wejście do pobliskiej ziemianki Jemioły odsunęła się i ze środka wyszli oficerowie. Zebranie sztabu właśnie się zakończyło. Pierwszy wyskoczył Czachowski, zakręcając węża i pobrzękując szablą u pasa. Energiczny starszy pan natychmiast wydarł się na swego adiutanta Grzmota. Kazał mu kulbaczyć konie i zbierać ludzi do wymarszu. Rochebrune, nic sobie nie robiąc z podniecenia pułkownika, spacerowym krokiem ruszył w kierunku szałasów swoich żuawów. Wierciński podtrzymał w wyjściu z niskiej nory kulejącego Pustowójtowa, który natychmiast podziękował mu i niedbałym machnięciem zbył ofertę dalszej pomocy.

Teofil zauważył Wandę oraz Muńka i ruszył w ich stronę. Dziewczyna szybko zwinęła pocięte bandażę i upchnęła je do torby. Zauważyła, że mężczyzna jest mocno blady i krzywi się z bólu przy każdym kroku. Rany z niedawnej potyczki wciąż dawały mu się we znaki. Tylko Muniek wyszedł ze starcia bez jednego draśnięcia. Wanda niemal współczuła poszkodowanemu, ale przeszkadzał jej wygląd oficera. Pustowójtow przebrał się w znieawidzony rosyjski mundur, do którego nawet przypiął pagony majora, kiedy dowiedział się o awansie podpisanym przez Langiewicza. Obnosił się z tym ohydny uniformem, jakby był z niego dumny. Faktycznie wyglądał przystojnie, ale kojarzył się z tym Pustowójtowem, którego Wanda pamiętała z dawnych czasów. Znów wyglądał jak furiat, gwałciciel i morderca mszczący się na Polakach za wszystkie swoje życiowe i służbowe niepowodzenia.

– Sierzancie, trzeba przygotować ludzi do wymarszu. Ruszamy z samego rana. Cały batalion ma się przebrać w carskie mundury. Trzeba rozdzielić ładunki i dopilnować, by chłopcy schowali je w ładownicach i nie zamoczyli. Dziś mają się nie schlać. Spakować plecaki, broń ma lśnić jak psu jajca. Zresztą sami wiecie, co będzie, jeśli znajdę błoto lub rdzę na karabinach –

powiedział, kuśtykając w stronę chłopaka. – Dopilnuj, bym jutro z samego rana nie musiał się wściekać. Już, zjeżdżaj.

Muniek uchylił czapki w imitacji salutu i oddalił się bez słowa. Mimo że żołnierze lubili Teofila, wszyscy wiedzieli, że w pewnych sprawach nie ma z nim żartów. W kwestii dyscypliny i wojennych obowiązków był szczególnie wymagający. Słynął ze srogości, do tego nie wahał się strzelić nieposłusznego żołnierza w pysk. A rękę miał ciężką.

Obrócił się i skierował do swego szałas, nie obdarzając Wandy choćby spojrzeniem.

– Czekaj, majorze! – powiedziała. – Proszę tu pozwolić, nie wyglądadacie dobrze. Muszę zobaczyć pańskie rany.

Pustowójtow przykuśtykał z powrotem i ciężko usiadł na pieńku przed ziemianką sanitariuszki. Ściągnął płaszcz i kurtkę mundurową. Wanda złośliwie kazała mu jeszcze opuścić spodnie, by obejrzyć ranę na udzie. Po chwili groźny oficer siedział więc w samych gaciach i koszuli. Zęby mu dzwoniły z zimna, ale nie skarżył się ani słowem. Sanitariuszka rozwiązała bandaż, oplatające prawy bark majora, i usunęła przesiąknięte krwią szarpie. W potyczce oberwał karabinowy postrzał, ale pocisk przeszedł na wylot i całe szczęście, bo w obozie nie mieli chirurga, który wyciągnąłby kulę. Dziewczyna przemyła małą dziurę wlotową i paskudną, poszarpaną ranę wylotową.

– Wygląda, jakbyś oberwał jakiś miesiąc temu – zauważyła sanitariuszka.

– Używałeś mocy, zgadłam? Robiłeś coś z upływem czasu w swoim organizmie, tak jak w czasie operacji Muńka.

– Zgadłaś – burknął. – Muszę się szybko poskładać do kupy, czekają nas ciężkie przemarsze.

– Komu ukradłeś czas, by się wyleczyć? – spytała groźnie.

– Nikomu. Spaliłem swój własny.

Wanda uniosła brwi w grymasie zaskoczenia. Coś takiego, Pustowójtow poświęca się dla sprawy! Koniec świata.

Zmieniła mu opatrunek na nodze, gdzie miał brzydką i głęboką ranę po pchnięciu kozacką spisą. Obejrzała kilka niemal całkiem zaleczonych rozcięć po ciosach szabel. Major stoczył ostrą potyczkę. Miał szczęście, że wyszedł z

niej z życiem.

– Są jakieś wiadomości od Loewenhardta? – spytała po chwili wahania.

Pustowójtow darował sobie drwiny z jej niespełnionej i nieszczęśliwej miłości do obozowego lekarza. Odparł, że owszem, Stanisław przesłał pierwszy meldunek. Stworzył delegaturę, pracuje z naczelnikiem miasta i wydziałowymi. Otrzymał pomoc z powstańczej intendenty i nawet zamierza założyć biuro, by koordynować z niego przygotowania do przyjęcia oddziału w mieście. Na razie doktor stanowczo i krótko oświadczył, że tajna dyslokacja batalionów piechoty w obrębie rogatek Warszawy wydaje mu się zupełnie niemożliwa. Miasto jest strzeżone niczym twierdza i roi się od szpiclów. Przygotowanie takiej liczby paszportów i innych fałszywych dokumentów to niezwykle trudna operacja, a co dopiero wwiezienie broni i ukrycie sześciu setek ludzi.

– Do mnie nic nie napisał? Ani słowa? – dopytywała się dziewczyna.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Obawiam się, że nie miał czasu o tobie rozmyślać. – Pustowójtow podciągnął spodnie i narzucił ciepłą kurtkę mundurową.

– Pewnie to szemrane babsko zawróciło mu w głowie. – Wanda z wściekłością cisnęła brudne bandaże do cebrzyka z wodą. – Pojawiła się nie wiadomo skąd i od razu wepchnęła na moje miejsce u jego boku. Jakby tylko na to czatowała. Stanowisko zwykłej sanitariuszki i kucharki wyraźnie jej nie odpowiadało. Zachciało się być sekretarzem szefa delegatury. Pewnie teraz mami Stasia i go czaruje, już ja znam takie ciche myszki!

Pustowójtow wstał i zarzucił płaszcz na ramiona. Zapiął ostatni guzik kurtki pod szyją i odwrócił się, by podziękować dziewczynie. Coś go jednak tknęło, jakaś nieuchwytna, błędząca gdzieś na skraju świadomości myśl.

– O jakiej kobiecie właściwie mówisz?

– O sanitariuszce z oddziałów Langiewicza, Marii Konarskiej.

Teofil drgnął.

– Konarska była w obozie? – Nieświadomie podniósł głos, doskoczył do Wandy i złapał ją za ramię. – Niepozorna i niewysoka, w średnim wieku, o szarych oczach?

– O pospolitej, nierzucającej się w oczy twarzyczce – przytaknęła Wanda.

– Au, *kholere*, sprawiasz mi ból. Puść. Co cię napadło? Znasz ją?

Pustowójtow z powrotem opadł na pieńki. Twarz mu pobladła, czarne oczy błyszcząły niepokojem i strachem. Wanda pochyliła się nad nim z troską. Dotarło do niej, że stało się coś złego.

– Jemioła wysłał ją razem z Loewenhardtem? – upewnił się Teofil. – Doktor ma kontakt z władzami powstańczymi, chodzi na zebrania Rządu Narodowego... O Jezusie, ona ma przez niego dojście do najwyższego dowództwa powstania, do serca całej organizacji, jej struktur, siatki agentów i współpracowników.

– Kim jest ta kobieta? – Wandę też uderzyła fala niepokoju, która jakby promieniowała od majora.

– Naprawdę nazywa się Maria Stołpin i jest oficerem carskiej armii, a także oborotenem zatrudnionym w Urzędzie Przemian. To szpieg, niezwykle groźny szpieg.

– *Szlimzl!*<sup>8</sup> Wiedziałaś, czułam to! Od początku wydała mi się podejrzana. – Wanda aż podskoczyła. – I co teraz będzie? Trzeba ratować Stasia.

– Doktorek to płotka. Zagrożony jest cały Rząd Narodowy, całe powstanie. – Pustowójtow zacisnął pięści. – Oddziały będą przesuwają się wolno, zanim dotrzemy do Warszawy, będzie po wszystkim. Ktoś musi tam jechać ratować sytuację. Trzeba zneutralizować Marię Stołpin, i to szybko.

– Zneutralizować? Co to znaczy?

Teofil wymownym gestem zademonstrował podrzynanie gardła.

– Ja pojedę! – zapaliła się Wanda. – Mówisz, że ta dziwka jest odmieniec, zatem pokonać ją może tylko drugi odmieniec. Nikt inny się do tej misji nie nadaje, tylko ja. Wstawaj, idziemy do Jemioły. Trzeba mu powiedzieć, co się dzieje.

Major wstał i zaskakująco żwawo pokuśtykał za Wandą.

Zastali Jemiołę skulonego w kącie nad kopcącą łożówką. W jej rozchybotanym świetle pułkownik pilnie zapełniał drobnym pismem pojedyncze kartki. Nie zwrócił uwagi na wchodzących, nadal bazgrał pracowicie, co chwila szybkimi, nerwowymi ruchami maczając pióro w kałamarzu. Wanda zauważyła cały plik stron pokrytych diagramami ze strzałkami, trójkątami i kwadratami. W zapiskach przewijały się kolumny cyfr



i dziwacznych znaczków. Dopiero kiedy Teofil potrząsnął go za ramię, Jemioła przerwał robotę, ale nie wypuścił pióra z dłoni. Spojrzał na przybyłych nieprzytomnym wzrokiem. Oczy miał przekrwione, a policzki dziwnie zapadnięte, jakby od wielu dni głodował.

Wanda westchnęła, widząc dowódcę w tak opłakanym stanie. Pustowójtow szybko wytłumaczył, co go sprowadza, ale Jemioła zdawał się nie słuchać. Zupełnie nie przejął się informacją o carskim szpiegu inwigilującym organizację. Machnął niedbale ręką i kazał im wrócić później, najlepiej za dwa, trzy dni. Kiedy Pustowójtow podniósł głos, domagając się uwagi, pułkownik kazał mu zająć się całą sprawą osobiście.

– Wybaczcie, moi drodzy, nie mam czasu na przyziemne sprawy. Całkiem pochłoneły mnie badania. – Wskazał plik zapisanych kartek. – Widzicie? To jest klucz do panowania nad turbulencjami. Pracuję nad nim nieustannie od kilku dni, od kiedy z Pliszką znaleźliśmy w lesie niewielką anomalię. Zaryzykowałem i wdarłem się do jej umysłu. Nic nie mówcie, wiem, że to brzmi dziwnie. Mało od tego nie oszalałem, ale się opłaciło. Odkryłem, że turbulencje rzeczywistości to żadne boskie przekleństwo, a maszyny z odległej przyszłości. Zwyczajne maszyny, stworzone przez nasze praprawniki! Nie takie, jak na przykład młot parowy, tylko znacznie bardziej wyrafinowane. Trudno mi to wytłumaczyć, ale one nie istniały w materialnym świecie, a w cyfrowej przestrzeni, jako zbiór rozkazów. Zapętlone w algorytmy zespoły poleceń i danych. Niektóre były tak potężne, że osiągnęły świadomość, potrafiły w ciągu ułamka sekundy wykonać niesamowitą ilość operacji na cyfrowych kodach, generować całe widmowe światy i nimi zawiadywać. W gigantycznej katastrofie, która wydarzy się w przyszłości, zostaną, czy właściwie zostały, wyrwane ze swoich eterycznych światów i ciśnięte pod prąd czasu. Moc wpisała je w materialną rzeczywistość, w nasz świat, dla nich zupełnie niezrozumiały i obcy. Można jednak dotrzeć do ich cyfrowych umysłów, wystarczy opanować język maszyn! – Oczy Jemioły błyszczały jak u kompletnego szaleńca. Prychał śliną, a palce nerwowo zaciskał na piórze, aż wreszcie je złamał. – Codziennie sonduję umysł pobliskiej anomalii i wydieram jej tajemnice. Uczę się cyfrowej mowy. Wiem już, jak należy układać rozkazy i zaplatać je w algorytmy. Teraz przekładam tę wiedzę na

ludzkie słowa i próbuję ułożyć system do przekazywania rozkazów do turbulencji. Szyfr, który można będzie łatwo wpisać w źródło mutatio i zmusić je do uległości.

– Świetnie, ale na co on się nada, jeśli nie będzie miał kto go wykorzystać?! – uniosła się Wanda. – Jeżeli czegoś natychmiast nie zrobimy, powstanie zostanie uśmierzone, a nas osaczą moskiewskie pułki. Weź się w garść, pułkowniku, i doradź, co mamy zrobić.

Jemioła wykrzywił usta w grymasie bólu. Pokręcił głową i westchnął ciężko.

– Zajmijcie się tym we dwoje, proszę – powiedział. – Macie moje pełne poparcie. Tu jest pieczętka i papier ze znakiem powstańczym. Wypiszcie sobie stosowne rozkazy. Złapcie tego szpiega sami, a mnie dajcie popracować. Stworzę coś wielkiego i pięknego, coś, co zmieni losy wojny, a może i całego świata.

Odwrócił się do swoich notatek na znak, że audyencja skończona. Para odmieńców znalazła się na zewnątrz, na zimnym wietrze. Zaczynał siąpić wiosenny deszcz. Wśród szałasów kłębili się powstańcy, trwały gorączkowe przygotowania do wymarszu. Po potyczce z kozakami dowódcy spodziewali się rychłego nadejścia większych sił wroga, a nie chcieli ujawniać się i przyjmować bitwy.

– Pojedziesz sama? Ja muszę tu zostać i za wszelką cenę nie dopuścić do rozbicia oddziałów – powiedział Pustowójtow. – Widzisz, co się dzieje z dowódcą, nie panuje nad naszą małą armią. Czachowski już się zawinął ze swoim batalionem, nawet nie chciał słuchać o konieczności przemieszczania się w tajemnicy. Zamierza maszerować od wioski do miasteczka z pełną pompą i bić po drodze każdego spotkanego Moskala. Na szczęście zgodził się nas wspierać i stawić na wezwanie. Rochebrune jest jeszcze posłuszny, ale nie wiadomo, jak długo. Jeśli się zorientuje, że Jemioła kompletnie oszalał, może nas porzucić. Trzeba temu zapobiec i dopilnować, by przemarsz przebiegał sprawnie. Pociągniemy osobno. Żuawi pójdą lasami, a my drogami w rosyjskich przebraniach. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Pojadę, dam sobie radę. – Wanda machnęła ręką. – Potrzebuję konia, pognam na nim do Radomia. Odwiedzę karczmarza Rozencwajga, by

zorganizował mi paszport. Potem steinkellerką<sup>9</sup> do Warszawy.

– Ciągłe masz tego derringera?

Dziewczyna spojrzała na oficera przeciągle. Broń tę odebrała mu, gdy walczył jeszcze po rosyjskiej stronie i zdarzyło im się zewrzeć w walce. Pokonała go wtedy, z czego do dziś była dumna.

– Mam, nigdy się z nim nie rozstaję.

– Ukryj go dobrze, bo spotkani żandarmi lub żołdaci z pewnością cię przeszukają. Ukryjesz też pieniądze, które zaraz ci dam. Zaszuj je w majtkach czy gdzie tam chcesz. W kieszeni miej tylko parę groszy, kilka dziesiątaków – cierpliwie tłumaczył Pustowójtow. – Ukradną je przy przeszukaniu i dadzą ci spokój.

– Odkąd to stałeś się taki opiekuńczy? – Dziewczyna się nastroszyła. – I gdzie mnie ciagniesz?

Teofil chwycił ją pod ramię i kuśtykał szybko w głąb obozu.

– Nie chcę, byś głupio wpadła, wiejska gąsko. Nie zapominaj, że jedziesz do wielkiego miasta, a tam czeka wiele niebezpieczeństw, o których nie masz pojęcia. Idziemy do mojego szafasu, muszę cię przygotować do drogi. Pokażę ci, jak ukryć ten pistolecik, tak by szybko dał się wyciągnąć. I nie pojedziesz do Radomia, a do Skarżyska, gdzie pójdziesz do warsztatu ślusarskiego zaraz za rogatkami. Tam majster Rokowski wypisze ci paszport przechowywany dla kuriera specjalnego na wypadek sytuacji alarmowej. Wsiądziesz w dyliżans pocztowy do Częstochowy, a tam udasz się na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej. Pociągi kursują z granicy dwa razy dziennie, rano i po południu. Złapiesz najbliższy do Warszawy. Tak będzie bezpieczniej i szybciej, niż tłuc się do Radomia i ryzykować, że złapią cię przed rogatkami bez dokumentów, a potem znów ryzykować podróż po pustkowiach steinkellerką.

– Kolejny mądrala – burknęła dziewczyna, ale słuchała uważnie każdego słowa. – Wydaje się wam, że jestem idiotką czy co? Dobra, nie zgrzytaj zębami. Złość piękności szkodzi. I nie ciągnij tak, idę przecież.

Teofil przewrócił tylko oczami i zaciskając zęby, dowlókł się do namiotu. Powierzenie tak ważnej misji temu roztrzepanemu i pyskatemu dziewczęciu zakrawało na szaleństwo, ale nie miał wyjścia. Pozostawała nadzieja, że mimo wszystko ktoś tam na górze będzie się rudą wiedźmą opiekował. Na nic więcej

nie mógł liczyć.

Oboje zniknęli w szalasiu, nie spoglądając w górę na stary buk wciśnięty między sosny. Na jednym z jego najwyższych konarów kuliła się postać odziana w powiewający, postrzępiony kir. Strzyga śledziła ich wzrokiem przez cały czas. Słuchała, pogrążona w bezruchu i zadumie. Kiedy zniknęli, uśmiechnęła się drapieżnym grymasem, odsłaniając palisadę ostrych zębów. Wanda miała opiekuna i to takiego, jakiego Pustowójtów zupełnie się nie spodziewał.

**30 marca 1863 r.**

Mimo wczesnopopołudniowej pory w cukierni Contiego na parterze najlepszego warszawskiego hotelu panował spory ruch. Wszystkie stoliki zajmowali dżentelmeni czytający gazety i dyskutujący nad filiżankami kawy. Wysokie podłużne lustra na ścianach odbijały w zwielokrotnionym obrazie eleganckie surduty i cylindry, a nawet dwa czy trzy mundury lejbgwardii. Gdzieś mignęła ciemna krynolina lub prosta czarna sukienka warszawskiej damy, choć w lokalu zdecydowanie dominowali mężczyźni.

Paweł Tichon jak zwykle zupełnie się nie wyróżniał spośród carskich urzędników przychodzących do Hotelu Europejskiego na przerwę lub po pracy. W nieodłącznym pince-nez, w ciemnoszarym surducie i kamizelce, z niemal całkiem wyłysiałą głową sprawiał wrażenie urzędnika najwyżej dwunastej rangi, podrzędnego sekretarzyny bez znaczenia. Tajny radca sam wymyślił ten kamuflaż i był z niego w pełni zadowolony. Spokojnie sączył kawę i przegryzał półfrancuskim ciastem z powidłami, nieśpiesznie rozmawiając z drobną, niepozorną kobietą. Maria Stołpin siedziała sztywno, z plecami wyprostowanymi niczym struna, mimo że nie nosiła gorsetu. Jadła pracowicie i ze smakiem wpierw ciasto morelowe, potem kruche wafelki z polewą, ciasteczka migdałowe, sernik i na koniec dużą porcję lodów. Słodczyce stanowiły jej jedyną słabość, więc pryncypał nie żałował ich podwładnej. Nie tylko cenił ją jako sprytnego szpiega, ale zwyczajnie lubił i szanował.

Nikt nie zwracał uwagi na niepozorną parę, nawet kelnerzy, więc Tichon musiał kilkakrotnie szarpnąć przechodzącego, by powiększyć zamówienie. Kamuflaż był jedną z niedogodności pracy w tajnej służbie. Gdyby obsługa wiedziała, kim naprawdę jest łysy jegomość, skakałaby wokół niego na paluszkach i na wyprzódki próbowała zgadywać życzenia jego ekscelencji. Radca jednak nie dbał o tego typu dowody szacunku.

– Nasz drogi podpułkownik jest spóźniony już niemal godzinę – powiedziała Maria.

– Nie zapominaj, że jest adiutantem wielkiego księcia, może jeszcze trwa na posterunku u boku Jego Wysokości. – Tichon wzruszył ramionami.

Miał ochotę sięgnąć po jakąś gazetę, cały plik świeżej prasy przypiętej do drewnianych ramek oczekiwał cierpliwie w stojaku. Zlustrował pobieżnie tytuły i wykrzywił usta w grymasie niechęci. Wszystkie pisma wydrukowano po polsku.

– Masz ochotę jeszcze coś przekąsić, Maro?

Kobieta pokręciła głową, uśmiechając się z zawstydzeniem. Jej nieciekawa, szara twarz w jednej chwili rozjaśniła się i odmłodziła. Tichon lubił patrzeć, jak się uśmiecha.

– Łakomstwo mnie kiedyś zabije – powiedziała. – Ach, proszę, oto i nasz spóźniony podpułkownik.

W wejściu stanął trzydziestoletni wysoki mężczyzna o pogodnej twarzy i bystrych oczach. Oberpolicmajster Siergiej Muchanow nosił mundur żandarma ze złotym akselbantem adiutanckim, a u pasa dyndała mu szabla o bogato zdobionej rękojeści. Rozmowy na chwilę przycichły, nawet snujące się ospale smugi papierosowego dymu, zdawało się, zastygły w powietrzu. Żandarm nie miał jednak towarzystwa i nie wyglądało, żeby przyszedł kogoś aresztować. Nie rozglądając się i nie zwracając uwagi na kłaniającego się kelnera, ruszył pewnym krokiem do stolika Tichona. Trzasnął obcasami i ukłonił się damie. Radca wstał i uściśnął mu dłoń.

– Co słyhać, Siergieju Siergiejewiczu?

– Zakochałem się! – radośnie oświadczył żandarm i adiutant wielkiego księcia w jednym.

– Znowu? – Maria się uśmiechnęła. – W kim tym razem?

Tichon zauważył mimowolny grymas na twarzy kobiety. Stołpin wyraźnie lubiła żandarma, co nieoczekiwanie zabolalo tajnego radcę.

– Ciagle w tej samej, pani porucznik. – Oficer błysnął zębami. – W pięknej polskiej hrabiance.

– Tej pianistce Marii Kalergis? Ale w niej się kocha pół Warszawy. – Stołpin machnęła ręką. – Nie szkoda panu czasu na daremne konkury?

– Stary cap, który ją więził, właśnie wyruszył w drogę na tamtą stronę. – Żandarm się rozpromienił na wspomnienie umierającego męża hrabianki. –

Kiedy tylko wyciągnie nogi, natychmiast się oświadczę.

– A co z pracą? – zasepił się Tichon.

Muchanow był najwyżej postawionym odmieńcem służącym w Urzędzie Przemian. Jego odejście mogło się okazać bolesnym ciosem, choć z drugiej strony akurat tej pracy nie dało się tak po prostu porzucić. Podpułkownik mógł zrezygnować ze służby w żandarmerii czy u boku księcia, ale nie mógł się wyrzec swojej zepsutej krwi ani wyprzeć się tego, że jest oborotenem. Zawsze pozostanie na smyczy tajnego radcy.

– Złożę rezygnację. Książę mnie zrozumie, to porządny chłop – oznajmił beztrząsowo Siergiej. – Przejdźmy jednak do rzeczy, skoro jeszcze trwam na posterunku. Jakie macie dla mnie rozkazy?

– Będziesz musiał urobić Konstantego, by zgodził się wreszcie dać mi szansę. Mogę podać mu na tacy zarówno buntowniczy rząd, jak i wystawić wroga na cesarskim dworze – powiedział Tichon. – Lada dzień w Warszawie pojawi się niejaki hrabia Berg, który zostanie kolejnym adiutantem Jego Wysokości. Spróbuje mu jak najbardziej zaszkodzić, by zająć jego miejsce.

– Konstanty w to nie uwierzy, jeśli nie dostanie dowodów. – Muchanow pokręcił głową. – Samo twoje słowo nie wystarczy, Pawle Iwanowiczu. Książę nie przepada za tajną policją, nazywa jej funkcjonariuszy szczurami, ale twoja organizacja budzi w nim jeszcze większy wstręt. Ma cię za wyjątkową kanalię, pastwiącą się nad kalekami. Uważa odmieńców za dotkniętych przez los nieszczęśników, których trzeba leczyć, a nie torturować i wykorzystywać. Nie będzie chciał z tobą paktować. Uważałby to za niehonorowe, niegodne szlachcica.

– Nawet jeśli stawką jest stanowisko namiestnika? Nawet jeśli mogę podać mu na tacy głowy przywódców buntu?

Muchanow pogładził nerwowo wąsy.

– Uważa, że bunt już niemal został zdławiony, a o namiestnikostwo się nie boi. Ufa, że brat ciągle obdarza go łaskami.

– Głupiec – burknęła Stołpin. – Miał zdławić powstanie do wiosny, a tu co? Pstro! Kiedy tylko zrobi się ciepło, w miejsce rozbitych buntowniczych oddziałów powstaną dziesiątki kolejnych. Konstanty nie widzi dalej niż czubek własnego nosa, tak jak margrabia Wielopolski nie sięga poza czubek

własnego brzuszyska. Machnij na nich, Pawle Iwanowiczu, stańmy po stronie hrabiego Berga.

Tichon pokręcił głową w zadumie.

– Berg to świnia, której zależy tylko na karierze. Dobro ojczyzny ma w nosie, gotów jest nawet podsycać powstanie do czasu, aż Konstanty zostanie odsunięty od władzy. Nie chcę popierać tego człowieka, to szkodnik. Pazerny i bezwzględny.

Na bruku Królewskiej zastukotały koła ciężkich wozów. Pojazdy zatrzymały się przed hotelem, rozległo się prychanie koni i okrzyki woźniców.

– Mam pomysł – odezwał się żandarm. – Skoro Konstanty nie chce z tobą gadać, wykonaj wobec niego gest dobrej woli. Wydaj mu kilku ważnych buntowników, a wtedy serce księcia zmięknie. Będę mu tłumaczył, jak ciężką i niewdzięczną pracę wykonujesz, jak wielce się poświęcasz dla dobra Imperium i ile kosztowało nas ujęcie polskich bandytów. On lubi męczenników i ludzi gotowych do ofiar. Może wreszcie się dogadacie?

Tichon pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Jeszcze przed Wielkanocą będzie miał Rząd Narodowy zamknięty w Cytadeli.

Przy wejściu rozległ się trzask i okrzyk bólu. Któryś stolik przewrócił się z hukiem.

– Co tam się dzieje? – prychnęła Maria.

Muchanow uśmiechnął się pobłaźliwie. Ciągle siedział plecami do wejścia i nawet nie odwrócił w jego stronę głowy. Piętno mutatio obdarzyło go niezwykłym, selektywnym i absolutnym słuchem. Między innymi dlatego tak bardzo kochał znacznie starszą od siebie pianistkę – potrafił docenić jej sztukę, odebrać każdy wytworzony przez Marię Kalergis dźwięk i delectować się nim niczym kielichem dobrego wina. Potrafił też z tłumy wrzeszczących przekupek wyłuskać jedną i zrozumieć każde jej słowo albo po trzasku buciorów maszerującego patrolu oszacować, z czego zostały wykonane podeszwy i który z żołdatów ma chore kolano. Huk strzelającego pistoletu mówił mu o wilgotności prochu, skrzywienie piszącego pióra o fakturze papieru i łagodności lub nerwowości piszącego, szepty za ścianą zdradzały najtajniejsze tajemnice, a rozmowy wrogów oddalonych o pół wiorsty



ujawniały ich plany.

– Przed hotelem zatrzymały się trzy więzienne kolasy – powiedział. – Słyszałem rosyjskie okrzyki znajomych żandarmów, łomot ich buciorów w holu, przy drugich drzwiach cukierni. Znaczy, że zablokowali wszystkie wyjścia.

– Po co, u diabła? – zdziwił się Tichon. – Są tu jacyś buntownicy?

– To się okaże. – Muchanow się uśmiechnął. – Za chwilę odbędzie się tak zwana łapanka, to taka nasza nowa metoda poszukiwania podejrzanych. Wypróbujemy ją od kilku dni. Zamykamy wyjścia traktierni, szynku czy burdelu, a potem trzepiemy wszystkich. Jest szansa, że w przypadkowym tłumie trafi się jakiś spiskowiec z obciążającymi papierami lub bronią. Planujemy rozszerzyć łapanki na całe ulice. Zamkniemy ich wyloty i przeszukamy wszystkich, którzy się nawiną. Mniej lub bardziej podejrzani trafią na Pawiak, do więzienia ratusza lub od razu do cytadeli, a tam zajmą się nimi śledczy. Proste, a skuteczne.

– Trochę brutalne – zauważyła Maria. – Dręczycie w ten sposób też zwykłych ludzi, przerażacie niewinnych.

– Nie ma niewinnych. – Muchanow uniósł wskazujący palec. – Każdy Polak jest podejrzany i mniej lub bardziej zamieszany w spisek. Represje są koniecznością, dają sygnał warszawiakom, że dopóki wspierają buntowników, nie ma dla nich zmiłowania.

W cukierni rósł harmider, rozległy się przekleństwa i krzyki. W wejściach zakłębiło się od granatowych mundurów żandarmerii. Wreszcie powietrze przeszył wizg policyjnego gwizdka. Kierujący łapanką oficer rozkazał wszystkim ustawić się w kolejkę i przygotować dokumenty do kontroli.

– Musimy kończyć. – Tichon westchnął. – Zatem postanowione, od dziś zaczynamy operację ostatecznego zakończenia powstania. Maria ustali termin, w którym najdogodniej będzie przymknąć przywódców organizacji. Siergiej natomiast przygotowuje grunt u księcia Konstantego, tak by nasz Urząd jak najwięcej ugrał na tej wojence. Chcę, by car osobiście nadał nam ordery za udział w zwalczaniu buntowników. Liczę również, że gdy wszystko się skończy, Urząd zostanie oficjalnie przekształcony w najważniejszą organizację związaną z bezpieczeństwem państwa i przejmie obowiązki Trzeciego

Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości.

– Masz chrapkę zostać szefem tajnej policji, wywiadu, kontrwywiadu i nawet cenzury? – Muchanow uśmiechnął się zadziornie. – Wysoko mierzysz, ale ponoć do odważnych świat należy. Ja powoli mam tego dość, marzy mi się spokojne życie z ukochaną kobietą u boku.

– Jeszcze jesteś na służbie, Siergieju Siergiejewiczu – mruknął Tichon. – Wracaj do zamku, do swoich obowiązków, i czekaj na dalsze rozkazy.

Muchanow wstał z zachmurzoną miną.

– Przeprowadzić was przez kordon? – spytał, ale widząc wzruszenie ramion Marii i pobłażliwe spojrzenie Tichona, ukłonił się im krótko i odmaszerował.

Radca wyprostował się z godnością, ignorując tłum rozżłoszczonych i przestraszonych klientów. Maria Stołpin również uniosła się z krzesła i poprawiła sukienkę.

– Pora znikać – powiedziała. – Muszę dołączyć do mojego doktorka, by nie nabrał podejrzeń.

– Widzimy się jutro, jak zwykle. – Tichon skinął głową i uniósł swoją laseczkę dżentelmena.

Błyszcząca metalicznie gałka w rękojeści laski rozjarzyła się wewnętrznym blaskiem. Maria poczuła zapach migdałów i kurzu, kiedy radca używał mocy artefaktu. Na oczach dziewczyny w jednej chwili rozpadł się na miliony maleńkich, kolorowych sześciątów, które rozsypały się po podłodze niczym garść piasku. Wyparowały niemal natychmiast. Nikt nie zauważył anihilacji niepozornego, łysego jegomościa. Nikt też nie spostrzegł, jak towarzysząca mu drobna kobieta wchodzi w smugę cienia i znika bez śladu.

**1 kwietnia 1863 r.**

Wanda z ciekawością wyjrzała przez okno wagonu. Pociąg stał właśnie na stacji w Pruszkowie i dziewczyna mogła obejrzeć drewnianą platformę, nazwaną przez siedzącego obok i zaprawionego w jeździe koleją jegomością „peronem”. Podest ciągnął się wzdłuż piętrowego budynku dworca, zbudowanego z lśniącej czerwonej cegły. Pan Artem, jak przedstawił się przemądrzały chudy jegomość, twierdził, że ta stacja to zaledwie kurnik w porównaniu z dworcem w Warszawie. Wandzie jednak wydał się piękny i okazały niczym nowoczesny pałac.

W wagonie czwartej klasy, obdrapanym, brudnym i zaopatrzonym w toporne drewniane ławy, nagle zrobiło się jeszcze ciasniej, choć wydawało się to niemożliwe. Do środka wepchało się kilka obładowanych tobołami grubych bab w chustach na głowach. Wcisnęło się też kilku obdartusów, prawdopodobnie młodych wyrobników, i dwóch dżentelmenów w wytartych surdutach i z dziurami w butach. Potem przeraźliwy gwizd wdarł się brutalnie do umysłu Wandy i przyczaił w nim niczym bomba czekająca na wybuch. Błyszcząca nowością niemiecki parowóz firmy Borsig upuścił jeszcze jeden kłęb pary z gwizdka, a z jego komina buchnął czarny dym, gdy palacze zaczęli żwawo wrzucać do paleniska kolejne łopaty węgla, po czym pociąg wreszcie ruszył z delikatnym szarpnięciem. Pruszków powoli przesunął się za oknem i został z tyłu. Znowu jechali przez pola gęsto przetkane zagajnikami i laskami.

Żydówka skuliła się jeszcze bardziej, bo przez tłum stojących, kuczających i siedzących na podłodze zaczęło się przeciskać kilku żandarmów. Od Częstochowy przechodzili przez pociąg już po raz szósty, za każdym razem uważnie lustrując wzrokiem podróżnych i od wytypowanych żądając dokumentów. W Piotrkowie wyprowadzili jakiegoś spoconego pana z wagonu drugiej klasy i zaciągnęli go na lokalny posterunek. Teraz też szukali kolejnych podejrzanych – hipotetycznych buntowników, spiskowców i przemytników. Wanda starała się zatem wyglądać jeszcze skromniej niż dotychczas. Jadowicie rude włosy starannie ukryła pod ciemną chustą kupioną w

Częstochowie, a maskującego przebrania dopełniały nieco zniszczona czarna sukienka i szary płaszcz. Żaden z żandarmów nawet na nią nie spojrział.

Za to pan Artem uśmiechnął się przymilnie i zaproponował łyk wina porzeczkowego wprost z butelki. Odmówiła. Choć towarzystwo gadatliwego jegomościa z cienkim wąsikiem specjalnie jej nie przeszkadzało, wołała zbyt się z nim nie spoufalać. Pustowójtow przestrzegął ją przed dybiącymi na samotne dziewczyny sukinsynami, oszustami i złodziejami. Artem wprawdzie twierdził, że jest handlarzem starzyzną i wraca z Krakowa, gdzie bywa w interesach, zdążył też opowiedzieć dziewczynie o życiu w licznych krajach Europy, które zwiedził, i dwa razy zaprosił ją na obiad w Warszawie. Postanowiła jednak zniknąć mu z oczu w tłumie, gdy tylko pociąg się zatrzyma.

Przez ostatnie minuty podróży wierciła się niespokojnie. Nie słuchała już paplaniny chudzielca z wąsikiem. Wbiła wzrok w widok za oknem, niecierpliwie czekając na pojawienie się wielkiego miasta. Rozumiała, że się zbliża do stolicy, bo podwarszawskie wsie stały gęsto, jedna przy drugiej. Za oknem co rusz migwały drewniane chałupki, chłopci nawożący pola i dzieciaki przyglądające się pędzącej lokomotywie. Z zewnątrz jednak ciągle dolatywał wiejski zapach, pachniało obornikiem i dymem parowozu. Aż nagle za oknem pojawiły się skupiska piętrowych domów oraz kamienic i pociąg zaczął hamować. Gwizdnął jeszcze na zakończenie podróży i stanął.

Świetnie, raptem pół dnia i pokonała odległość z Częstochowy do Warszawy. Steinkellerką tłukłaby się ze dwie doby. Co za pęd! I jaka wygoda! Maszyny parowe zmieniają świat, to pewne.

Pozwoliła się porwać tłumowi i już po chwili maszerowała z innymi po drewnianej platformie. Nieświadomie otworzyła usta, patrząc na gmach dworca. Pan Artem rzeczywiście miał rację, ten budynek wyglądał nad wyraz imponująco. Trzypiętrowe gmaszysko z mnóstwem wysokich okien, z dwóch stron zamknięte kanciastymi wieżami, przypominało warowny zamek, choć nie było średniowieczną twierdzą, tylko na wskroś nowoczesnym pałacem przyszłości i postępu. Z wrażenia aż się potknęła i niemal runęła na niską, krępa kobietę z tobołkiem. Odruchowo chwyciła mocniej swoją płócienną torbę podróżną i wkroczyła do hali dworca.

– Kto z zagranicy, proszę o paszporta! – wydarł się siedzący przy stoliku

oficer policji w niebieskim mundurze.

Natychmiast ustawiła się do niego kolejka. Wanda ominęła ją z duszą na ramieniu i skierowała się do wyjścia. Za oknami hali widziała placyk z drugiej strony gmachu, wypełniony grupkami ludzi czekającymi na przyjezdnych. Widocznie z powodu stanu wojennego nie wpuszczano ich na peron ani do środka dworca.

Nie zdążyła jednak dotrzeć do wyjścia, kiedy drogę zastąpił jej mundurowy policjant w towarzystwie dwóch stójkowych.

– Paszport panienki proszę i pozwolenie na pobyt w mieście – zażądał.

Wandę ogarnęła fala przerażenia. Stukot żelaznych kół pociągu, gwizdy maszyny parowej i łomotanie wagonów w jednej chwili obudziły się w jej umyśle i naparły na niego z całych sił, żeby stopić się w jeden stalowo-parowy ryk, który błagał o wykrzyczenie. Dziewczyna musiała z całych sił zacisnąć zęby. Czuła, jak jej twarz pokrywa się rumieńcem, a piegi pulsują czerwienią. Podała policjantowi dokumenty, resztkami sił próbując zapanować nad mocą.

– Dobrze, wszystko w porządku. Ester Szrabsztain z Częstochowy, lat dziewiętnaście, szwaczka mająca zatrudnić się w jednej z żydowskich manufaktur na Nalewkach. – Mężczyzna szybko przestudiował papiery. – Gdzie się zatrzymasz, panienko?

– W domu mego wuja, na Gęsiej, pod numerem osiemset dwanaście – odparła bez wahania.

– Jutro proszę przyjść do cyrkułu, wypisać meldunek i wnieść opłatę. – Oddał jej paszport i pozwolenie. – Żydzi niebędący mieszkańcami Warszawy mają obowiązek uiścić dziesięć kopiejek za każdy dzień pobytu. Meldunek jest konieczny, trzeba go stale nosić przy sobie, inaczej przy pierwszej kontroli wylądujesz na odwachu, panienko. Możesz iść, miłego pobytu. Witamy w Warszawie.

Policjant uśmiechnął się lekko i wskazał jej drogę do wyjścia. Wanda w ostatniej chwili powstrzymała się przed głośnym westchnieniem. Jako że zatrzymali ją polscy policjanci, to nawet jej nie przeszukali ani nie okradli. Na upartej mogła wwieźć do miasta, co tylko chciała: nie tylko derringera ukrytego w specjalnej kieszonce wewnątrz lewego rękawa, ale choćby cały

wór amunicji i powstańcze listy. No ale to może następnym razem...

Przystanęła na placu przed dworcem i wciągnęła nosem powietrze. Zatem tak pachnie wielkie miasto, tak pachnie Warszawa! Świeżość niedawnego wiosennego deszczu mieszała się ze smrodem końskiego łajna, dymami z kominów i fetorem unoszącym się nad rynsztokami. Wanda wyobrażała sobie, że stolicę Królestwa czuć będzie stałą i perfumami, a śmierdziała identycznie jak jej rodzinny Szydłowiec. Domy też przypominały te z rynku małego miasteczka, było ich jednak więcej i stały ciaśniej, upchnięte, jak wzrok sięgał, wzdłuż całej Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej. Na skrzyżowaniu tych dwóch ulic kłębił się tłum tak wielki, że aż zapierało dech. Czegoś takiego nie widywała w Szydłowcu czy nawet w Kielcach, gdzie od święta jeździła z ojcem na targ. Na obu ulicach terkotały koła niezliczonych dorożek i najróżniejszego rodzaju powozów: kolas, tarantasów, faetonów, a nawet karet. Ciągnęły chłopskie wozy, łomotały konne omnibusy pełne ludzi, a pomiędzy tym wszystkim przemykali przechodnie ścigani przekleństwami wściekłych lub pijanych stangretów i woźniców. Po chodnikach maszerowały nieprzebrane tłumy, niemal wszyscy w jakimś nerwowym pośpiechu i pędzie. Mało kto przystawał na pogawędkę ze spotkanym znajomym. Warszawiaci jak szaleni gnali gdzieś na łeb na szyję. Wanda poczuła się nagle mała i zagubiona.

Jak odnajdzie tu Stanisława? Musi odszukać go przecież jak najszybciej i ostrzec, nie ma czasu na zadumę. Ruszyła niepewnym krokiem wzdłuż Marszałkowskiej, zostawiając za plecami piękny dworzec kolei wiedeńskiej. Huk przejeżdżających w gorączkowym pośpiechu powozów wbijał się jej do głowy razem z parowo-stalowym wspomnieniem hałasów lokomotywy. Dziewczyna czuła rosnący niepokój i strach. Ktoś ją potrącił, burknął przeprosiny i nie oglądając się, pognął dalej. Stratują ją, wbijają w równy, wielkomięjski bruk i nikt tego nawet nie zauważy.

Westchnęła ciężko i zaczęła przyglądać się przechodniom, by zwalczyć narastający w umyśle ryk. Warszawianki, zarówno wielkie panie, jak i proste dziewczyny, niemal wszystkie chodziły ubrane na czarno lub choćby jakaś część ich garderoby była czarna. Zgadła, że tak wygląda obowiązująca nieustannie od tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku żałoba narodowa. Ponoć widok odzianych na czarno kobiet doprowadzał Moskali do

szалу.

Przez chwilę Wanda poczuła dumę ze swojej zgrzebnej sukienki i ruszyła dalej nieco lżejszym i pewniejszym krokiem. Tylko dokąd teraz? Musiała przed zachodem dotrzeć na Wspólną, do domu numer 1631A, a potem wejść przez bramę na podwórko i zastukać w pierwsze drzwi w oficynie po lewej. Tam miał się znajdować warsztat i mieszkanie blacharza, który pozostawał w służbie organizacji miejskiej. Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś zaprowadzi ją do doktora Loewenhardta.

– Kogo widzą moje piękne oczy? Toż to panienska Ester. – Artem bez ceregieli złapał Wandę pod ramię. – Jaki ten świat mały. Pozwoli panienska, że jej potowarzyszę. Doskonale znam Warszawę, mogę służyć za przewodnika. Dokąd panienska zmierza?

W pierwszym odruchu Wanda wyrwała rękę z uścisku mężczyzny, ale natychmiast ochłonęła. Przydałby się ktoś, kto odprowadzi ją na miejsce, więc właściwie ten gadatliwy jegomość mógł się jej przydać. Podała mu adres i zmusiła się do uśmiechu.

– Wiem gdzie to, idziemy w dobrym kierunku – oznajmił bez namysłu. – Nie ma sensu łapać dryndziarza, przejdziem się, a przy okazji pokażę paniencie kawałek miasta.

Szli wzdłuż Marszałkowskiej aż do Królewskiej. Artem nalegał, by skręcili na chwilę do Ogrodu Saskiego, ale Wanda twardo odmówiła. Nie w głowie jej były spacer. Ale niemal zemdlą, kiedy minął ich chłopak handlujący kiełbaskami „na widelec”, i do smrodu miasta dołączył zapach pieczonej wędliny. Zasady koszerności już dawno odłożyła na bok na okres wojaczki, razem z powstańcami nieraz jadła wieprzowinę i niestety ją polubiła, a w polskiej kiełbasie wręcz się rozsmakowała. W dodatku ostatnio jadła wczoraj wieczorem, niemal dobę temu, więc ssanie w żołądku stawało się nieznośne.

Artem zauważył wygłodzone spojrzenie, którym odprowadziła handlarza. Pociągnął ją w kierunku Placu Zielonego, gdzie do niedawna odbywały się targi, zniesione na czas wojny i zastąpione przez wojskowy obóz. W jednej z bocznych uliczek znajdowała się traktiernia. Wanda nie miała sił się opierać. Po chwili siedziała przy długim stole obok roześmianych wyrobników i

towarzyszących im dwóch dziewczek służebnych. Artem podskoczył do szynkwasu i zaraz postawił przed dziewczyną miskę parującej wołowiny z kaszą polaną sosem, a do tego solidną szklanę wina.

Cienkusza wypła duszkiem, splukując z gardła przeraźliwą suchość i smród miasta. Jadła, bombardowana nieustanną gadaniną Artema, który roztaczał przed nią wizje bogactw, jakie można w Warszawie zarobić, i karier, które stały otworem przed każdym chętnym i zaradnym, nawet przed pochodzącą z prowincji Żydówką. Oczywiście handlarz starzyzną mógłby jej ułatwić drogę na szczyt dzięki licznym koneksjom i znajomościom. Wystarczy, by tylko skinęła.

Ale Wanda nie skinęła. Zapłacił więc za obiad i pociągnął ją w dalszą drogę. Po paru chwilach szli Nowym Światem pełnym sklepów, składów towarowych z przepięknymi, oszałamiającymi witrynami. Minęli rojący się od żołdatów Pałac Namiestnikowski i kościół Świętego Krzyża, a potem Artem znów zaciągnął oszołomioną dziewczynę do jakiegoś szynku „na jednego”. Wypiła podane szybko dwa kieliszki wódki oraz całe piwo i coraz bardziej oszołomiona pozwoliła prowadzić się dalej.

Wśród tych wszystkich pałaców, kościołów, bogatych sklepów i coraz lepiej ubranych przechodniów Wanda zapomniała o hałasie kłębiącym się w umyśle. Alkohol uspokoił ją i rozluźnił. Zaczęła nawet chichotać z dowcipów chudzielca i coraz rzadziej pytała, kiedy wreszcie dotrą na Wspólną. Artem nieustannie trajkotał, że wszystko, co widzi, może należeć do niej, jeśli tylko będzie chciała. On zna doskonale miejsce, gdzie tak zdolną i bystrą dziewczynę błyskawicznie wyuczą zawodu. Parsknęła śmiechem i już chciała odepchnąć wyszczekanego jegomościa, ale jej uwagę przykuła kobieta w oszałamiającej krynolinie. Dama miała również wielki kapelusz udekorowany owocami, a na ręku niosła małego, białego pieska. Dreptało za nią dwóch służących i garderobiana. Pani wsiadła do białej karety zaprzężonej w konie z pióropuszcami i odjechała w siną dal. To było niesamowite.

Nie wiedzieć kiedy Wanda znalazła się w piwnicy pełnej roześmianych ludzi. W ręku znowu ścisnęła kubek pełen aromatycznego, zaskakująco dobrego wina. Ponure wnętrza okazało się słynnymi piwnicami Fukiera, w których podawano najlepszego w stolicy węgryna i Artem twierdził, że



grzechem byłoby go nie spróbować. Po fali alkoholowej euforii i wesołego otępienia Wandę podstępnie ogarnęły znużenie i senność. Jeszcze jakiś czas siedziała, uśmiechając się niemrawo i sącząc wino, aż wreszcie oznajmiła, że ma dość i wychodzi. Na zewnątrz panowała szarówka i na Krakowskim Przedmieściu płonęły gazowe latarnie. Aż kłębiło się od żandarmów, policji i wojskowych patroli.

Zaczęło dżdzyc. Chmura drobnych, zimnych kropelek smagała rozpaloną twarz dziewczyny, a jej usta wypełniła mieszanka cierpkiego wina, dymu tytoniowego i podchodzących do gardła soków żołądkowych. Niepotrzebnie wyciągała rękę po papierosy. Teraz miała wrażenie, że szynkowy odór przesiąknął ją całą. Trzewiami szarpnęły wymiotne skurcze, ale jakoś się powstrzymała.

Nadal pozwalała prowadzić się Artemowi. Nie wiedziała już, dokąd idą, i wcale się tym nie interesowała. Marzyła tylko, by położyć się w jakimś cichym i spokojnym kąciku. Przede wszystkim cichym.

– Zaprowadzę cię do miejsca, gdzie nauczą cię nowego zawodu. – Chudzielec uśmiechnął się, mocno ściskając ją pod ramię. – Słyszałem twoją rozmowę z policmajstrem na dworcu. Posada szwaczki to zupełna strata czasu. Będziesz pracować po dwanaście, czternaście godzin i zarabiać dwadzieścia, góra trzydzieści kopiejek dziennie. Połowę oddasz w cyrkule jako podatek od Żydów, żeby nie wyrzucili cię z miasta. Z czego zatem będziesz żyć? I kiedy? Machnij na to ręką, mówię ci. Chodź, coś ci pokażę. Widzisz tę kamienicę? To słynny Folwark na Freta, inaczej mówiąc Dom Przechodni. Tam dziewczęta ze wsi przyuczane są do zawodu.

– Do jakiego zawodu? – zdumiała się przez mgłę otępienia.

– Do szczytającego się bardzo długą tradycją zawodu, do którego kobiety mają specjalne predyspozycje. – Artem przyglądał oślinionymi palcami swoje cienkie wąsiki.

Weszli w uchyloną bramę i mężczyzna załomotał pięścią w drzwi. Otworzył im mocno zbudowany drab z paskudną blizną na nieogolonej gębie. Artem bezceremonialnie popchnął Wandę w jego ramiona i zażądał widzenia z szefem. Drab burknął coś pod nosem i odepchnął półprzytomną dziewczynę, splunął na posypaną piaskiem kamienną podłogę, kazał im czekać i wyszedł.

Zostali w sieni oświetlonej blaskiem dwóch łożówek wetkniętych w świecznik na stojaku oraz resztkami dziennego światła wpadającymi przez niewielkie okienko. Wanda chwiała się pod ścianą, próbując zebrać myśli, w głowie jednak pulsował jej tylko jednostajny, otępiający szum. Dziwne, nigdy nie czuła się tak podle po alkoholu. Nim Artem zdążył znów się odezwać, na schodach prowadzących na piętro załomotały damskie buciki i energicznie zbiegła z nich wysoka, śniada brunetka.

Nosiła suknię z bufiastymi rękawami i licznymi falbanami oraz imponującym i niezwykle śmiałym dekoltem. Włosy zaplotła w warkocz zwinięty z tyłu głowy w kok i spięty dwiema srebrnymi szpilami. Na widok Artema wydeła z niechęcią pełne, wyzywające usta i groźnie zmarszczyła czoło. Minęła go z wysoko podniesioną głową, ignorując zupełnie. Nasadziła na głowę kapelusz, który do tej pory trzymała w dłoni, i już miała wyjść, kiedy jej wzrok padł na Wandę.

– Coś jej zrobił, gnojku? – syknęła, piorunując Artema wzrokiem.

– Gównu cię to obchodzi, Zośka. Nie twój interes.

– O, nie! Dość tego! Nie pozwolę byś zrobił krzywdę kolejnemu, biednemu dziecku. – Obróciła się i ruszyła w kierunku Wandy. – Daleś biedaczce wódkę naszprycowaną jakimiś świństwami, już ja cię znam. Co to było tym razem? Opium? Eter? Szalej? Chodź, mała, zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Artem zasłonił Żydówkę własną piersią. Okazało się, że jest niższy od cyncatej brunetki, która napała na niego, biorąc się pod boki. Wanda czuła się coraz gorzej, nie wiedziała, co właściwie się dzieje, skąd się tu wzięła i gdzie właściwie jest. Do tego mdłości przybierały na sile.

– Znalazła się obrończyni pokrzywdzonych – burknął Artem. – Sama też przyprowadzasz tu dziewczyny!

– Ale po dobroci, w pełni przytomne i tylko te, które same chcą przyuczyć się do fachu. A ty przyprowadzasz tu pijane gąski, nieświadome i zagubione. Krew mnie zalewa, gdy na to patrzę. Zostaw ją i spieprzaj, pazerny bydlaku!

– Łapy przy sobie, głupia dziwko! – Artem odepchnął Zośkę i sięgnął za pasek na plecach.

W jego dłoni pojawił się nóż o krótkim, hakowatym ostrzu.

– Moje dziwki też chcą nauczyć się pieprzyć, tylko jeszcze o tym nie

wiedzą – syknął. – Tu szybko je szkołą, a gdy nazbyt się stawiają, miękczą różgami i dymaniem od zmierzchu do świtu. Dwa tygodnie i z tej małej będzie kurwa jak się patrzy, lepsza od wszystkich twoich dziewczynek razem wziętych. Jeszcze będzie mi dziękowała za opiekę i wskazanie drogi.

Zośka cofnęła się o krok. Artem uśmiechnął się złośliwie pod wąsem i chwiejąca się pod ścianą Wanda skonstatowała, że chudzielec wygląda teraz jak szczur. Mały, wstrętny szczur. Parsknęła śmiechem i kopnęła go w kolano. Nie trafiła, straciła za to równowagę i usiadła ciężko na podłodze.

Brunetce wystarczyła chwila, gdy Artem przeniósł wzrok na Żydówkę. Wyprowadziła solidnego kopniaka prosto w jego krocze. Jęknął i zgiał się wpół. Dziewczyna zamachnęła się i prawą ręką przyłożyła mu prosto w usta. Głowa Artema odskoczyła, kiedy pięść Zośki z ohydny mlaśnięciem roztrzaskała mu wargi. Mężczyzna zwałił się na bok z ni to łkaniem, ni miauczeniem. Zośka wymierzyła mu jeszcze kilka mocnych kopniaków, po czym złapała Wandę za rękę i pociągnęła za sobą.

Żydówka znów znalazła się na świeżym powietrzu, o ile tak można nazwać miazmaty unoszące się nad okolicami rynku Nowego Miasta. Zwymiotowała prosto pod nogi brunetki, trochę brudząc jej sukienkę. Zośka, o dziwo, się nie wściekła, tylko pogładziła Wandę po plecach i pozwoliła jej spokojnie opróżnić żołądek. Przechodzący żandarmi wyzwali je od pijanych kurew i kazali spieprzać w podskokach. Po paru chwilach dziewczyny skręciły w jakąś uliczkę, potem w najbliższą bramę, za którą trafiły na rozchybotane, strome schody. Jak kamienne schody mogły tak się chwiać? Światło lamp naftowych błysnęło Wandzie w oczy, wokół zawirowały kolorowe tapety, rozmazane twarze kobiet, pióra i krynoliny, w nozdrza uderzył zapach perfum, w uszach zabrzmiały liczne głosy i śmiechy.

Jej głowa znalazła się nagle w lodowatej wodzie. Ktoś zdjął jej z głowy chustę i ściągnął płaszcz. Zamrugła, łapiąc spazmatycznie oddech. Siedziała na taborecie, a nad nią pochylało się kilka wyzywająco umalowanych dziewcząt, w tym dwie ubrane tylko w gorsety. Zośka klęczała przed Żydówką i wycierała jej twarz ręcznikiem.

– Spójrzcie na te włosy, dziewczyny! – mówiła zachwycona brunetka. – Nasza obrzygana gąska jest pięknnością. Ja to mam nosa! I co, mała, już ci

lepiej?

– Tak, lepiej. – Skinęła głową, mrugając i rozglądając się po pomieszczeniu.

Przestronny salon zaopatrzone w wielkie sofy obszyte pasiastym adamaszkiem oraz szynkwasy z lustrami, na którym niczym w jakiejś eleganckiej traktierni stały butle z alkoholami. Za kontuarem barczysty mężczyzna wycierał kieliszki, a drugi drab, wyglądający identycznie, siedział na wysokim stołku, dzierżąc w wielkich, niezgrabnych łapach delikatne skrzypce.

– Dziękuję – powiedziała coraz bardziej przytomna Wanda. – Uratowałam mnie, to bardzo szlachetne z twojej strony.

Zośka parsknęła śmiechem.

– Nie zrobiłam tego bezinteresownie, nie jestem przeoryszą z jakiego klasztoru. Kurwa zawsze będzie kurwą, nie miej złudzeń. Zrobiłam sobie z Artema śmiertelnego wroga i musisz mi to zrekompensować. Odpracujesz swoje, wiesz jak. Nie bój się jednak, nikt cię tu nie będzie bił ani w ramach szkolenia gwałcił. Jakoś się dogadamy. Będiesz grzeczna i chętna, to jeszcze zarobisz cały wór złotych imperiałów. A teraz masz, to herbata. Ten gnojek cię otruił, musisz wypłukać żołądek.

Wanda posłusznie umoczyła usta w gorącym płynie. Ciągłe szumiało jej w uszach, ale zdawała sobie sprawę, że tak po prostu stąd nie ucieknie. Wpadła z deszczu pod rynnę. Chyba Pustowójtów miał rację, mówiąc, że w wielkim mieście kryją się niebezpieczeństwa, jakie nie przysłyby jej do głowy.

– Gdzie jestem i z kim właściwie mam przyjemność? – spytała nieco śmielszym tonem.

– W lupanarze „U Zośki”, o którym już niedługo będzie głośno w całym Imperium. – Zośka uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń do Wandy. – A ja, jak się pewnie domyślasz, jestem jego królową. Sonia Sawicka, nie chwaląc się, najśłynniejsza i najpiękniejsza burdelmama w Warszawie!

**2 kwietnia 1863 r.**

Teofil potarł się po swędzącym barku. Rany wyniesione z potyczki z Dońcami całkiem już się zabiły, ale tak szybka rekonwalescencja kosztowała Pustowójtowa sporo wysiłku. Wanda słusznie się domyśliła, że użył mocy i przyspieszył upływ czasu w organizmie, żeby się wyleczyć. W dodatku spalił własną, bezcenną energię. Po raz pierwszy w życiu okradł samego siebie. Nowy, polski Teofil Pustowójtow potrafił sam siebie zaskakiwać. Postanowił się jednak pilnować i nie popadać w zbytnią przesadę z bohaterszczyzną, poświęceniem i oddaniem sprawie. Trochę rozsądku i rosyjskiej pragmatyczności wszak nie zaszkodzi.

Oddział maszerował od samego świtu i powinien znajdować się już kilkanaście wiorst stąd, ale kurier od Jemioły kazał zwolnić i czekać na wlokących się po chaszczach żuawów. Pustowójtow wiercił się w siodle ze złości. Co za niepotrzebne narażanie ludzi! Stali jak te durnie na środku szosy na Radom, ze trzy wiorsty od Skaryszewa. Mijał czwarty dzień marszu, a przez wybryki Jemioły zdołali pokonać raptem jakieś czterdzieści wiorst.

Pustowójtow zaczynał mieć dość dziwactw pułkownika. Obawiał się, że ten już zupełnie nie panuje nad piętnem zepsutej krwi i zwyczajnie stoczył się w otchłanie szaleństwa. Rozpuszczał podjazdy nie w poszukiwaniu wroga czy żarcia, ale by szukały tkwiących tu i tam turbulencji rzeczywistości. Potem jechał do nich sam i badał znalezione anomalie, co za każdym razem kończyło się tym, że Pliszka siłą odciągał go od obiektu i nieprzytomnego przywoził do oddziałów. A ledwie Jemioła odzyskiwał zmysły, natychmiast siadał na wozie do swoich zapisków, kreślił i darł kartki, bazgrał nowe kolumny znaków i liczb, mazał diagramy i schematy z dużą ilością strzałek i cyferek. Kompletnie ignorował utyskiwania Pustowójtowa i Wiercińskiego. Przez jego zaniedbania stracili już kontakt z pułkownikiem Czachowskim, a jak tak dalej pójdzie, tylko patrzeć, kiedy odłączy się od nich Rochebrune.

– Może byśmy doszli do jakiejś wioski, gdzie znalazłby się kawałek dachu nad głową? – spytał Muniek Węgorzewski.

Chłopaki rozsiedli się wzdłuż drogi, część stała i ćmiła papierosy. Nikt głośno nie narzekał, wszak oddział składał się z samych weteranów, ale rzeczywiście stanie na środku pola, w strugach zimnego deszczu nie było przyjemne ani rozsądne.

– Dobra. – Teofil skinął głową. – Zbieraj ludzi, idziemy dalej. Aha, następnym razem dostaniesz w czapę, Muniek. Ile razy prosiłem, byś mówił po rosyjsku, meldował się i salutował zgodnie z regulaminem?

– Ale przecież tu nie ma żywej duszy! Nikt nie zauważy, że jesteśmy przebierańcami!

Pustowójtow groźnie zmarszczył brwi. Węgorzewski, jak zwykle, miał problemy z dokładnym wykonywaniem rozkazów, okazał jednak trochę rozsądku i zgodnie z poleceniem zostawił w taborach swoją przekłętą belgijkę, a zamiast niej niósł rosyjski karabin. Gdyby znów naraził oddział na rozpoznanie przez swoje widzimisię, Teofil udusiłby go na miejscu.

– To nie zabawa w udawanie – warknął major. – Masz wyćwiczyć w sobie odruchy, byś potem nie chlapanął czegoś po polsku, kiedy w okolicy będą Rosjanie.

Batalion strzelców udawał dwie rotę piechoty ze Smoleńskiego Pułku i pełnił funkcję rozpoznawczą. Dwustu powstańców przebrało się w mundury kupione przez Pustowójtowa w Kielcach i maszerowało drogami od wioski do wioski. Pozostałych stu strzelców z batalionu Jemioły, dla których nie starczyło przebrań, wlokło się razem z samym pułkownikiem i Żuawami Śmierci po bezdrożach i laskach, w pewnym oddaleniu od Pustowójtowa. W razie spotkania Moskali Teofil miał gońcem powiadomić siły główne, by te spokojnie rozwiały się w powietrzu. W ten sposób zamierzali pokonać pół Królestwa Polskiego, przechodząc pod samym nosem Rosjan, co przy odrobinie szczęścia i dobrym zgraniu mogło się udać.

Szli wzdłuż zagajników i nieużytków, mijali stare kapliczki i pochylone, przydrożne krzyże, nie spotykali jednak ludzi. Województwo mocno się wyludniło po zarazie i głodzie w latach pięćdziesiątych. Sporo pól i wiosek porosło młodym laskiem i trudno było uwierzyć, że dwadzieścia lat wcześniej ta okolica pulsowała życiem.

– Słychać tętent, zbliżają się jeźdźcy! – Muniek jako pierwszy

zlokalizował niebezpieczeństwo.

Pustowójtow tym razem lepiej się przygotował na spotkanie kozackiego patrolu i za plecami miał dwustu wojaków zaprawionych w boju i palących się do bitki. Jego samego też ręce świerzbiły. Przydałoby się rozgrzać krew, wygonić z mięśni ziąb i zeszywnienie.

– Założyć kapiszony! I spokojnie, dopóki nie dam znaku! – rozkazał głośno Teofil.

Za kępy drzew na zakręcie wypadła spora grupa dragonów. W środku rozproszonego oddziału pędziła, zaprzężona po rosyjsku w trójkę koni, otwarta karetka. Na widok sporego oddziału piechurów prowadzący kawalerzystów oficer wstrzymał konia i dał ręką znak do zatrzymania. Pustowójtow przeliczył szybko jeźdźców – czterdziestu, do tego prowadzili trzy luzaki. Dwóch dragonów kulilo się w siodłach, jeden trzymał się kurczowo końskiej grzywy i chwiał, ledwie przytomny.

– Bóg nam was zesłał! – z ulgą oznajmił oficer dragonów, podjeżdżając do Teofila. – Czołem, panie majorze! Jestem rotmistrz Roschołski z Piętnastego Pierejesławskiego Pułku! Eskortuję jego ekscelencję do garnizonu, napadli nas buntownicy. Straciłem dziesięciu ludzi.

– Wielu? Ścigają was? – Pustowójtow skinął na Muńka, który ryknął po rosyjsku rozkaz szykowania broni.

Piechurzy nałożyli bagnety. Pierwsza rota zesza z drogi, robiąc miejsce dragonom i karecie, a przy okazji ich oskrzydłając. Druga rota została na szosie, blokując dragonów.

– Nie mam pojęcia, ilu ich było, dali ognia z lasu, spod osłony drzew. Wysadzili mi kilku ludzi z siodeł, odpowiedzieliśmy ogniem właściwie na oślep, a że polscy bandyci nadal strzelali, zdecydowałem się wycofać. – Rotmistrz poprawił przekrzywioną czapkę i pas przecinający czarny mundur. – Moim obowiązkiem jest bezpiecznie odwieźć generała do Radomia.

Pustowójtow po raz pierwszy spojrział na milczącego jegomościa w karecie i zdębiał. Sześćdziesięciolatek o wysokim czole i z grubymi siwymi wąsami patrzył na niego uważnie. Dobrze się wszak znali, choć generał dawno nie widział swego protegowanego i jeszcze go nie rozpoznał. Aleksander Kleonakowicz Uszakov, dowódca wojskowego Okręgu Radomskiego i do

niedawna bezpośredni przełożony Pustowójtowa, był jedynym człowiekiem, który okazał uwagę i życzliwość nielubianemu i pogardzanemu półkrewi Rosjaninowi. To on zauważył szwendającego się bez celu porucznika, po czym wziął go pod swoje skrzydła. Spędzili na rozmowach nie jedną godzinę i Uszakow stał się pierwszym, po widzianym ostatnio w czasie oblężenia Sewastopola saperze Traugucie, mężczyzną, któremu Teofil mógł się zwierzyć. Otworzył się przed generałem i w chwili słabości przyznał do zepsutej krwi. Generał nie oddał go w łapy Urzędu Przemian ani nie wydalil z armii, ale okazał zaufanie. Dał mu szansę, po wybuchu buntu pozwolił służyć w liniowej jednostce i otwarcie używać mocy.

Teraz siedział w karecie i mrużył oczy, przyglądając się wysokiemu majorowi, który wydał mu się znajomy. Teofil zagryzł wargę w nerwowej rozterce. Co teraz? Miał w garści wysokiego oficera wrogiej armii, ale i kogoś, kogo mógłby nazwać przyjacielem. Powinien go wziąć do niewoli czy puścić? Cokolwiek wybierze, narazi misję. Oby przyślepy Uszakow go nie rozpoznał. Daj Boże, by się nie zorientował, z kim ma do czynienia. Niech jedzie do Radomia i siedzi w sztabie. Szkoda starca.

– Czy mnie stare oczy nie mylą? To ty, synu?! – Generał niespodziewanie się ożywił i jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Dlaczego nie dałeś znaku życia? Wiesz, jak się martwiłem, kiedy doszły mnie meldunki Czengierego o twojej dezercji? Musiałem podpisać rozkaz aresztowania i rozesłać za tobą listy gończe, chłopcze. A tu ni z tego, ni z owego pojawiaasz się, i to dowodząc sporym oddziałem. Kiedy wróciłeś? Czemu nie przyjechałeś do mnie, do Radomia?

– Wasza ekscelencja raczy mnie z kimś mylić – bąknął Teofil.

– Jestem już stary i wzrok mnie zawodzi, ale pamięć mam w jak najlepszym porządku. – Uszakow zmarszczył brwi. – To przecież ty, Teofilu Teofilowiczu. Czyżbyś ukrywał swoją tożsamość? Wypełniasz jakąś poufną misję dla Tichona! Mogłem się od razu domyślić, to tłumaczy twoje tajemnicze zniknięcie i niespodziewane pojawienie.

Pustowójtow skinął głową. Skoro został rozpoznany, nie mógł puścić Uszakowa wolno. Pochylił się w siodle w kierunku generała, jakby chciał powiedzieć coś przeznaczonego tylko dla jego uszu. Rotmistrz Roschołski



grzecznie odwrócił głowę i szturchnięciami ostróg popchnął konia w bok. Teofil wyszarpnął pistolet z kabury, jednocześnie odciągając kurek, po czym przystawił lufę do czoła zaniepokojonego generała i pociągnął za spust.

„Którego to już przyjaciela wyprawiam na tamten świat?” – pomyślał zimno.

Huk pojedynczego wystrzału powstańcy potraktowali jak sygnał do ataku. Dragoni nie zdążyli się nawet zorientować, kto i do kogo strzela, nim w ich stronę wymierzono lufy dwóch setek karabinów. Huknęła salwa. Okolicę natychmiast zasnuł dym, kwik ranionych koni zlał się z okrzykami podnieconych buntowników. Kilka pozbawionych jeźdźców wierzchowców wybiegło w przerażeniu ze śmierdzącej siarką chmury. Powstańcy z krzykiem ruszyli dźgać bagnietami konających i rannych Rosjan. Salwa z tak bliska, do zupełnie zaskoczonego przeciwnika, zdjęła z siodeł wszystkich czterdziestu kawalerzystów.

Teofil odwrócił wzrok od patrzącego na niego nieruchomym spojrzeniem generała z osmaloną, krwawą dziurą w czole. Wiedział, że ten obraz zostanie z nim bardzo długo, możliwe, że do końca życia. Niestety w czasie wojny zdarzało mu się mordować nie tylko skończone bydlaki, ale także dzielnych i honorowych żołnierzy, a nawet dawnych przyjaciół.

– Rozebrać trupy! Mundury bardzo nam się przydadzą – rozkazał. – Zebrać broń i wyłapać konie. I nie pastwcie się nad umarłymi, do cholery!

Kilku bardziej krewkich powstańców dźgało trupy bagnietami, okrzyk Pustowójtowa szybko ich jednak ostudził. Muniek zagwizdał na palcach, by uciszyć podniecone głosy i rozdzielić zadania między żołnierzy. Teofil zeskoczył z konia, wspiął się po stopniach karety i kopnięciem zrzucił z zydła martwego woźnicę, który oberwał dwie kule w pierś. Pochylił się nad ciałem Uszakowa, a następnie dokładnie przeszukał mu kieszenie. Obok trupa znalazł jeszcze skórzaną torbę z pieczętkami i plikiem dokumentów. Pogрузzył się w ich lekturze na dłuższą chwilę.

– Co zrobimy z trupami? – Węgorzewski podszedł do majora. – Zostawimy je krukom i wronom do rozdziobania?

– Nie, zakopimy w jakimś jarze, z dala od drogi. – Teofil pokręcił głową. – W miejscu, gdzie nikt ich nie znajdzie. Ci nieszczęśnicy muszą po prostu

wyparować bez śladu. To wprowadzi Rosjan w konfuzję i nieprędko przyjdzie im do głowy, że generał wpakował się na duży oddział buntowników i został zamordowany. Pomyślą, że pilnie gdzieś wyjechał. Zanim się zorientują, minie tydzień albo dłużej.

Muniek pokiwał głową ze zrozumieniem. Po raz kolejny major mu zaimponował, miał chłop łeb na karku. Strzelec uśmiechnął się do zasepionego oficera.

– Piękna bitwa – powiedział. – Żadnych strat, a do tego miażdżące zwycięstwo. I dopadliśmy ruskiego generała!

– To nie bitwa, tylko egzekucja – mruknął Teofil. – A za generała Rosjanie się zemszczą, i to krwawo. Nie zapominaj, z kim toczymy wojnę. Mam nadzieję, że cena, jaką Polacy zapłacą za tę rzeź, jednak się opłaci.

Pustowójtow postukał palcami w klamrę sztabowej torby generała. Prócz rozkazów nowej dyslokacji wojsk na terenie województwa i planu zajęcia nieruchomości pod koszary dla mających przybyć z głębi Rosji kolejnych pułków w teczce znajdowało się kilka prywatnych papierów Uszakowa. Szczególnie zaintrygowało go dziesięć listów zastawnych, każdy na kwotę pięciu tysięcy rubli. Wystawiono je pod zastaw artefaktów zgromadzonych w Urzędzie Przemian, a asygnował je tajny radca Paweł Tichon. Listy miały poręczenie Banku Imperium Rosyjskiego, były więc pewnym i poważnym papierem wartościowym.

Domyślał się, że naczelnik Urzędu Przemian wypuścił te obligacje, by korumpować nimi wysoko postawionych oficerów. Uszakov nie był wszak marnym generałem z prowincji. Przeciwnie, miał powiązania z ministrem wojny Dimitrim Milutinem i szykował się do objęcia jakiejś ważnej funkcji w Petersburgu. Ciekawe, jak wielu oficjeli siedziało już w kieszeni Pawła Tichona? I po co ich kupował?

Pustowójtow zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Cokolwiek knuł tajny radca, i tak nie wróżyło to niczego dobrego sprawie polskiej. Jeśli zdecyduje się zakończyć powstanie, jeśli stanie się dla niego niewygodne, zgasi je w kilka dni. Teofil obawiał się, że nie ma człowieka czy odmieńca, który powstrzymałby Tichona.

Major zorientował się, że dłoń z papierosem mu drży. Bał się.

– W coś ty się wpakował, cymbale? – mruknął do siebie i cisnął niedopałek w krwawe błoto.

\*\*\*

Wandę obudziło wycie maltretowanej kobiety i wściekle przekleństwa. Poderwała się z siennika leżącego na podłodze w małym, ciemnym pokoiku i wyskoczyła na zewnątrz. Sonia Sawicka jedną ręką trzymała za włosy półnągą dziewczynę, a drugą okładała ją wściekle po twarzy, wyzywając na całe gardło językiem tak plugawym, że Wanda na chwilę zamarła w szoku. W głównym salonie lupanaru przebywały jeszcze cztery rozczochrane i wymiętoszone dziewczyny oraz jeden z dwóch identycznych dryblasów, których poznała wczoraj. Żadne z nich nie reagowało. Bez większych emocji przyglądali się, jak Zośka poniewiera chudą ladacznicą. Żydówka otrząsnęła się wreszcie, doskoczyła do burdelmamy i złapała ją za rękę.

– Mówiłaś, że u ciebie nie ma bicia i gwałtów!

Zośka puściła ofiarę i szarpnięciem wyrwała się z uścisku Wandy.

– Tylko gdy ktoś sobie zasłuży – burknęła. – Lepiej nie wchodź mi w drogę, jak jestem wkurwiona, bo sama też oberwiesz. A ta cholerna wywłoka zasłużyła na lanie, i to nie takie. W innych burdelach darliby z niej pasy, a potem ścierwo wrzucili do Wisły. Wiesz, co ona zrobiła? O, patrz. – Podsunęła Żydówce pod nos skórzany pugilares. – Okradła sekretarza kolegiального Koniewskiego, naszego stałego klienta! Obrobiła go w moim domu! Ty głupia szmato, ty pusty łbie!

Kopnęła skuloną na podłodze dziewczynę, aż zadudniło, po czym spiorunowała wzrokiem wszystkich obecnych. Dziewczyny, jak na rozkaz, pospuszczały głowy.

– Odeślę mu to publicznym posłańcem na twój koszt, z wyjaśnieniem, że pugilares wypadł mu z kieszeni – warknęła do maltretowanej dziwki. – Słuchajcie, sikorki. Kraść możecie, ale poza tym domem, nie pozwalam też przynosić tu żadnych fantów, zapamiętajcie sobie wreszcie! A ty, Baśka, zrób jeszcze jeden numer, to odeślę cię do burdelu w Sochaczewie albo na jeszcze większym zadupiu! W ostateczności sprzedam cię do wojskowego zamtuza i wtedy dopiero zobaczysz.

Prychnęła gniewnie jeszcze kilka razy, a potem kazała dziewczętom robić śniadanie. Usiadła w fotelu, zapaliła papierosa i wetknęła go do długiej, szklanej fifki. Wanda nie widziała jeszcze czegoś takiego.

– Wybacz mi moją wczorajszą niedyspozycję, panno Soniu. – Wanda stanęła przed burdelmama z niepewną miną. – I pozwól, że jeszcze raz podziękuję ci za ratunek, teraz jednak muszę już iść. Wzywają mnie pilne sprawy.

– Już o tym rozmawialiśmy – warknęła Zośka. – Do czasu, kiedy nie uznam, że jesteśmy kwita, nie opuścisz tego mieszkania. I nie próbuj brać mnie na litość, bo oberwiesz jak Baśka. Wyrychtuję ci jaką sukienkę, ufryzujemy cię i umalujemy, i będziesz ozdobą mojego zakładu. Cycki masz małe, ale to nawet lepiej, są panowie, którzy takie wolą. Tylko kieckę trzeba zamówić bez dekoltu. Może zrobić cię na skromną i płochą pensjonarkę? Taką zapiętą pod szyję, w sukience do kostek i ze sznurowanymi botkami do kolan.

– Obawiam się, że będzie ci musiała wystarczyć moja wdzięczność, ewentualnie sto złotych. – Wanda czuła rumieniec powoli rozpalający się na policzkach.

– A skąd miałybyś tyle wziąć? – Sonia zmarszczyła brwi.

Żydówka sięgnęła do swojego płaszcza, rozdarła wewnętrzną, ukrytą kieszonkę i wyciągnęła z niej woreczek monet. Wręczyła go burdelmamie, która pazernym ruchem schwyciła miszek i wysypała zawartość na dłoń: dwie złote dwudziestopięciozłotówki z portretem cara i pięć srebrnych dziesięciozłotówek z dwugłowym orłem.

Zosia uśmiechnęła się chytrze.

– Pięknie! Wystarczy, by cię jakoś po ludzku ubrać i jeszcze sporo zostanie. – Monety znikły gdzieś w jej imponującym, falbaniastym stroju. – Ale na wykupienie się to stanowczo za mało. Już minęło południe, muszę lecieć na miasto. Kiedy wrócę, ma błyszczeć. Dziewczyny, zajmijcie się Rudą, tylko żeby mi która jej nie biła, bo dostanie ode mnie w zęby.

Sonia zgasiła papierosa i wstając, splunęła do blaszanej spluwaczki. Wanda złapała ją za rękę.

– Panno Zosiu, wysłuchaj mnie wreszcie. – Odrobinę podniosła głos. – Jestem porucznikiem powstańczej armii, walczyłam pod rozkazami generała

Langiewicza, a potem pułkownika Jemioły. Przybyłam do Warszawy z tajną misją najwyższej wagi. Musicie mi pomóc odnaleźć kontakt z doktorem Loewenhardtem. Zaprowadźcie mnie na Wspólną, do mieszkania członka organizacji miejskiej.

Sonia zamarła na chwilę. Po raz pierwszy na jej nieco topornej i plebejskiej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Szybko się jednak otrząsnęła, złapała Wandę za twarz swą silną, dużą dłonią.

– Jak się nazywasz?

– Wanda Szczur.

– Sprawdzę cię, dziewczyno – wycedziła. – Jeśli kłamiesz, oberwiesz tak, że przez tydzień na tyłku nie usiądziesz. Dam cię w obroty braciom Kowalskim – wskazała na ponurego bliźniaka, który wczoraj siedział ze skrzypcami. – Tak cię spiorą, że zobaczysz.

Pchnęła Wandę w objęcia jednej z dziewcząt, zakręciła się i wyszła do sieni. Wcisnęła na głowę swój wielki kapelusz, burcząc nerwowo pod nosem.

– Złodziejki i buntowniczeki pod moim dachem, do czego to doszło.

Złodziejki oćwiczę, ale co z kurwą politycznie podejrzaną?

Trzasnęła drzwiami, a po chwili jej buciki załomotały na schodach niczym werbel. Dziewczyny odetchnęły, dwie z nich zajęły się łkającą Baską, trzecia ciężko zwała się na fotel szefowej i wydłubała z popielniczki jej niedopałka. Z korytarza prowadzącego do pokoiów wyszły kolejne dwie ładacznicę, obie bose i ubrane jedynie w halki.

– Ale Zocha dziś wkurzona – westchnęła rozczochrana blondynka o podkrążonych, zapuchniętych oczach. – Chyba Stefek znów się wczoraj nie pojawił.

– I nie miał jej kto przeczyścić komina – dodała najbardziej pulchna, o obfitym biuście i żywych, wesołych oczach. – A jak jest niewydymana, chodzi wściekła niczym osa.

– Nie bój się, Ruda. – Do Wandy podeszła wysoka, szczupła dziwka ze znamieniem na policzku. – Zocha nie zawsze jest taką wredną kurwą, choć do aniołka jej daleko. Chłop znów ją puścił kantem i się dziewczyna miota. Ja jestem Helena, gruba i cycata to Ania, a dalej kolejno: Wiesia, Swietłana, Narcyza i Krysia. Braci Kowalskich już pewnie poznałaś, nasz grajek ma na

imię Smyczek, a na jego bliźniaka wołają Piącha. Oto i całe królestwo panny Sawickiej.

– Zocha twierdzi, że kiedy tylko uda się jej wywalić lokatorów z parteru, powiększy zespół o kolejnych dwadzieścia dziewcząt – dodała Wiesia, przecierając zapuchnięte oczy. – A nas zrobi brygadzystkami.

Poturbowana Baśka szybko zaczęła dochodzić do siebie, w czym najbardziej pomogła jej szklaneczka wódki nalanej przez Piąchę. Zataczając się, znikła w swoim pokoiku, by wylizać rany i doprowadzić się do użytku. Dwie dziewczyny ruszyły do kuchni, podczas gdy kolejne zaczęły powoli porządkować salon. Stoliki zastawione były kielichami i pustymi butelkami, po podłodze walały się niedopałki i elementy garderoby, łącznie z przewieszonymi przez oparcie fotela bawełnianymi pończochami wykończonymi koronką. Helena, zarządzająca przybytkiem pod nieobecność szefowej, wetknęła Wandzie w rękę miotłę i kazała wziąć się do roboty. Oznajmiła też krótko, że nie ma co się stawiać, bo bliźniaki i tak nie pozwolą jej wyjść bez rozkazu Zośki, poza tym lupanaru nieustannie pilnują mundurowi stójkowi. Prystaw policyjnego cyrkułu był dobrym znajomym Soni i częstym bywalcem jej przybytku, więc jego podwładni mieli obowiązek słuchać panny Sawickiej jak samego komisarza.

Wanda podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Na Freta tętniło życie, ulicą kolebał się wóz piaskarzy, maszerował wojskowy patrol i biegały rozwrzeszczane dzieciaki. W bramie naprzeciw stał stróż i umundurowany stójkowy. Na upartego mogłaby zastraszyć osiłków Soni derringerem, wybiec na ulicę i uciekać. Tylko zaraz wpadłaby w łapy patrolu. Mogłaby ich powalić wrzaskiem, ale przy okazji ściągnęłaby na siebie uwagę kręcącego się wszędzie wojska i żandarmów.

– Naprawdę walczyłaś u boku Langiewicza? – Niespodziewanie za jej plecami pojawiła się cycata Ania.

– Tak, walczyłam w okolicach Wąchocka, potem w klasztorze na Świętym Krzyżu, w Staszowie i w Małogoszczy. – Wanda się uśmiechnęła.

Ania wręczyła jej miskę pełną parującej jajecznicy z cebulą. Żydówka przełknęła ślinę na widok solidnej, pachnącej porcji i dygnęła grzecznie, przyjmując śniadanie. Dziewczęta usiadły przy oczyszczonym już stoliku,

złapały blaszane łyżki i zagryzając czarnym chlebem, łapczywie rzuciły się na jedzenie. Po chwili przysiadła się do nich nieco już odświeżona Wiesia, która po zmyciu mazideł z twarzy i uczesaniu okazała się zaskakująco ładnym dziewczęciem o delikatnych, szlachetnych rysach.

– Zabiłaś jakiegoś Moskala? – spytała.

– Nie jednego – odparła bez wahania Wanda. – Ale najczęściej pełniłam służbę jako sanitariuszka.

– A jaki jest ten Langiewicz? Ponoć wredny i bitny jak szatan – odezwała się Ania.

– Nie taki straszny i raczej nie bitny, a ostrożny – mówiła z pełnymi ustami Żydówka. – Jemioła twierdzi, że to dobry dowódca, ale brak mu rozmachu i śmiałości.

– Moskałe i tak go już przegnali – włączyła się przechodząca ze ścierą w garści Helena. – Ponoć wpadł w łapy Austriaków i wylądował na odwachu. Złapali go z powstańcą kasą, dokumentami i kochanką. Jak jej tam, z Anną Pustowójtówną.

– Z Henią! – Wanda niemal poderwała się od stołu. – Złapali ich Austriacy? *Kholere!*

– Pustowójtównę też znasz? – z zachwytem spytała Ania. – Uuuu! To ci dopiero. Dziewczyny, trafiła nam się bywalczyni z wielkiego świata, a do tego bohaterka. Chodźcie, Wandzia opowie nam o wojnie! Chodźcie wszystkie!

– Gdzie?! – ryknęła Helena. – Jazda do roboty, bo jak Sonia wróci, da nam popalić!

– Przestań się tak miotać, Chuda – prychnęła Ania. – Zośka nic nam nie zrobi, miała pietra jak cholera, kiedy usłyszała, że Wandzia jest porucznikiem polskiej armii. Pewnie teraz lata po mieście i szuka kontaktów z organizacją, by sobie dziewczynę zabrali. Nic się nie bój, Ruda, nie będziesz musiała odpracowywać długów, rozkładając nogi. Zocha nie podniesie na ciebie ręki i nie będzie miała śmiałości zmuszać cię do dawania, przynajmniej jeśli się okaże, że rzeczywiście jesteś żołnierzem z powstania.

– Bo jestem – potwierdziła Wanda i wepchnęła sobie pełną łyżkę do ust.

– A kogo niby Sonia ma się bać, hę? – Helena groźnie wzięła się pod boki. – Buntowników od siedmiu boleści? Kryjących się po piwnicach

spiskowców? Gdyby byli tacy mocni, już wygoniliby Moskali z Warszawy!

– Boi się tego samego co każdy zdrajca i szpicel: powstańczej policji i Żandarmerii Narodowej – spokojnie odparła Ania. – Ty też lepiej uważaj, co pleciesz, chłopcy z polskich tajnych służb są dość narwani.

– Aha! Zośkę tak pognało w miasto, bo ma pietra, że po Rudą przyjdzie tu osobiście Biały Janek! Ale jaja! – parsknęła Wiesia. – Może nawet pod ramię z Czarnym Jankiem, co nie? O, tym dwóm chyba dałybyśmy za darmo, prawda, dziewczyny?

Wanda patrzyła po twarzach „aksamitek”, nie mając pojęcia, o jakich Jankach mówi Wiesia. Na wszelki wypadek szybko obracała łyżką, opróżniając miszkę.

– I co, partyzantko, nic nie powiesz? – Wiesia zwróciła się do Żydówki. – Nie słyszałaś o tych dwóch? Janek Biały jest legendarnym naczelnikiem powstańczej policji miejskiej, a Janek Czarny jego prawą ręką i głównym siepaczem podziemia. Ci dwaj to najbardziej poszukiwani ludzie w mieście. Ba, w całym Imperium! Są jak duchy, nikt ich nie zna. A oni wiedzą wszystko, nawet jak pachnie piczka wielkiej księżnej! Szpicli załatwiają po kolei, o tak! Chlast, chlast! – Wiesia zademonstrowała blaszaną łyżką, w jaki sposób powstańczy policjanci mordują szpiegów. – Carskim urzędnikom wkładają bomby do nocników i szpuntują cipki ich żonom. Gwardzistów Jego Wysokości wieszają na gazowych latarniach i wyciągają więźniów z cytadeli. Boi się ich nie tylko Sonia, ale każdy, kto w tym mieście ma coś na sumieniu, bo Janek Biały prędzej czy później i tak o wszystkim się dowie i przyśle sztyletników lub osobiście swego druha Janka Czarnego!

– Wypijmy ich zdrowie, dziewczęta! Piącha, nalej po kubku wina! – ryknęła rozochociona Ania. – Co? Odmówisz wypicia za sprawę narodową?! Już nalewaj!

– Nikt nie wie nawet, jak wyglądają? – zdziwiła się szczerze poruszona Wanda.

– Na mieście mówią, że Janek Biały ma grubo ponad sześ<sup>10</sup> wzrostu i bary umięśnione niczym pociągowy koń – wyjaśniła Wiesia. – Do tego bujną płową czupryną. Gołymi rękami może wyrwać bramę cytadeli z zawiasów. Janek Czarny natomiast jest przystojny i piękny jak cygański książę. Ma



błyszczące krucze włosy i oczy głębokie niczym piekło. Zabija z taką gracją, że mordowani ani pisną z zachwyty i podziwu dla jego kunsztu. Moskale w rozpaczy aresztują każdego Jana o jasnych lub czarnych włosach, ale gównu! Nie mogą ich złapać.

– I nie złapią! – pisnęła któraś dziewczyna z głębi kuchni.

– Dość tego, durne cipy! – obruszyła się Helena. – No dobra, wypijemy po kubku sikacza za ojczyznę, a potem do roboty. Trzeba wynieść i wytrzepać dywany, wyszorować podłogę, wyczyścić te plamy z sofy. Któraś tam dawała czy co?

– Chcę posłuchać opowieści Wandzi! – Ania trzasnęła kubkiem w stół.

– Ale najpierw zacerujesz kieckę, którą jakiś cymbał porwał na Narcyzie – rozkazała surowo Helena. – Umiesz dobrze robić igłą? – zwróciła się do Wandy. – Dobra, wy dwie będziecie szyć, reszta do roboty. Ruda może opowiadać głośno, wszyscy będą słyszeć.

Wanda została posadzona na krześle. Wręczono jej pudło z przyborami do szycia, rozdartą krynolinę, przetarte na piętach pończochy i rozpruty gorset. Ania usiadła obok, bezpośrednio na podłodze i również zabrała się do szycia. Lupanar wybuchł radosną krzątaniną, śmiechami i głośnymi kłótniami dziewcząt. Te jednak szybko ucichły, kiedy Wanda zaczęła opowiadać o swoich wojennych losach. Skromnie pomijała swój udział w bitwach, tylko półsłówkami go sugerując. Nie wspominała też, że jest wiedźmą, nosicielką zepsutej krwi. To mogłoby zostać źle przyjęte.

Po paru minutach pojawili się obaj bliźniacy. Draby usiadły na podłodze i wlepiły zażawione ślepia w Wandę. Dziewczyna poczuła się niczym własna babcia, opowiadająca gromadzie wnuków historie z dawnych czasów. Uśmiechnęła się na tę myśl. Minęło jej rozdrażnienie, przecież i tak nie miała wpływu na dalszy rozwój wypadków. Na razie została uwięziona w burdelu i musiała cierpliwie czekać na powrót Soni oraz jej wyrok. Doktor Loewenhardt też poczeka jeszcze przez dzień, może w tym czasie ta suka Maria Stołpin nie wyda go w łapy żandarmów.

Tymczasem za oknem przegalopował oddział kozaków, okładając przechodniów nahajkami, żydowska handlarka owocami pokłóciła się z klientem zarzucającym jej sprzedaż zgniłych pomarańczy, dzieciaki

przywiązały kotu sznurek do ogona i ciągały go po chodniku, a pijany dorożkarz wyzywał nieostrożnego przechodnia. Jednym słowem toczyło się codzienne, wielkomięskie życie.

\*\*\*

Zimny deszcz dzwonił w blaszane rynny i bębnił o szyby. Nad Warszawą zapadła chłodna kwietniowa noc. W rękach nielicznych przechodniów pojawiły się latarenki z palącą się wewnątrz świeczką, a u co zasobniejszych przenośne lampki naftowe. Nakaz poruszania się po zmroku z oświetleniem obowiązywał od jesieni sześćdziesiątego pierwszego, kiedy w Królestwie ogłoszono stan wojenny, a obecnie egzekwowano go z całą surowością. Wystarczyło, by licha świeczka zgasła, a nieszczęśnik niemal natychmiast wpadał w łapy patrolu, który ciągnął go na Pawiak lub do cytadeli. Stamtąd mało kto wychodził, a jeśli już, to najczęściej na szubienicę lub na stację kolei petersburskiej, by w kajdanach odjechać na Syberię.

Nawet czujący się w uliczkach Starego Miasta jak na własnym podwórku Artem pilnował swojej latarki niczym oka w głowie. Godzina policyjna jeszcze nie nadeszła i przynajmniej mógł przejść się bez narażania na groźbę natychmiastowego aresztowania.

Dzisiejszego wieczora planował wyrównać rachunki. Chodziło nie tylko o poczucie własnej godności, ale i o wizerunek. Jego reputacja boleśnie wczoraj ucierpiała, kiedy został publicznie pobity i zeszmącony przez konkurencyjną burdelmamę. Nie doznałby wielkiej ujmy, gdyby poturbowali go jej obwiesie, ale łomot dostał od Zośki. Od zwykłej baby! Całe Stare Miasto pokładało się ze śmiechu, skoro się rozeszło, że wezwał doktora, by obejrzał mu spuchnięte jaja i zaordynował kompresy. Dziwki z Podwala i Mariensztatu otwarcie się z niego nabijały i nawet obdartusy, obrabiające kieszenie frajerom kupującym na rynkowym targu, obrzuciły go jakimiś nieczystościami. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, cała jego kariera legnie w gruzach.

Maszerował pewnym krokiem, jak osoba, która nic nie ma na sumieniu, jest wierna carowi i posłuszna jego urzędnikom. Przystanął dopiero w zamkniętej już bramie na Freta, kilka kamienic od lupanaru „U Zośki”. Modlił się, by nie musiał stać tu, aż świeca w latarce zgaśnie. I nie musiał, przyszli

punktualnie. Pięciu byczków w czarnych mundurach kozaków kubańskich szło środkiem ulicy, gadając głośno i zachowując się nadzwyczaj swobodnie, jakby byli u siebie, w Kubaniu. Oczywiście nie mieli żadnych latarek, mieli za to szable dyndające u pasa i czarne, krótkie bermyce na łbach. Jeden z nich cisnął butelkę po gorzale na bruk, rozbijając ją w drobny mak. Artem przełknął ślinę.

Nie tak umawiał się z wachmistrzem Jermakiem Sohajem. Podoficer miał zabrać kilku swoich chłopców i przyjść z nimi, ale w zwykłych, cywilnych ubraniach. Jeśli ktoś zobaczy, że Artem nasłał na Zośkę Moskali, warszawska ulica mu tego nie daruje. Co innego zrobić wjazd do burdelu na czele bandy miejscowych andrusów i stłuc dziwki, a co innego przyjść z pijanymi kozakami po to, by je pozabijać. No cóż, teraz i tak za późno na rozterki.

Machnął Sohajowi i ruszył jako pierwszy, mając kozaków kilkanaście kroków z tyłu. Szybkim krokiem zbliżył się do bramy kamienicy Soni. W środku trochę śmierdziało moczem, uchylonych dla gości drzwi nie pilnował żaden stróż, by nie peszyć przychodzących panów. Artem wszedł w ciemność i zgasił latarkę. Zostawił ją w kącie, przy koszu z piaskiem. Rozejrzał się po niewielkim podwórku, w mroku dojrzał kanciastą budę wychodka i piętrzące się obok niego odpadki w koszu nad wąskim rynsztokiem. Żywej duszy, a światła na parterze już pogaszono. Świeciło się tylko na piętrze, w oknach burdelu.

Kozacy wkroczyli w bramę oczywiście z rumorem i hałasem. Któryś czknął głośno, inny ryknął śmiechem. Artem syknął, przykładając palec do ust. Jermak na ten widok machnął niedbale ręką. Przecież byli kozakami, nie bali się nikogo, kpili sobie z niebezpieczeństw, a śmierci pluli w kościsty pysk.

– Czego syczysz, Lachu? – zadudnił Jermak po rosyjsku. – Udajesz węża czy co?

– Mają uzbrojonych strażników, lepiej wcześniej ich nie ostrzegać – odparł niepewnie Artem.

– Gadanie. – Wachmistrz wzruszył ramionami.

Śmierdziało od niego wódką i końskim potem. Złapał Artema za kołnierz i pchnął przed sobą.

– Wchodzisz pierwszy – prychnął. – Pokaż, że jesteś mężczyzną. Chyba nie boisz się eunuchów pilnujących jakiegoś zasranego burdelu?

Kozacy zarechotali w ciemnościach. Sutener poczuł falę strachu i obrzydzenia. Masywne sylwetki chłopów, ich nabrzmiałe od wódki gęby, błyskające w mroku białka oczu sprawiały wyjątkowo odpychające wrażenie. Przez mgnienie oka zaczął żałować tego wypadu, ale szybko się otrząsnął.

Ruszył rażno po schodach, czując za sobą krzepiącą obecność pięciu zabijaków. Za chwilę Sonia zapłaci najwyższą cenę za jego wczorajsze poníženie. Załomotał pięścią w drzwi jej lupanaru i stanowczym gestem kazał się kubańcom uciszyć. Tym razem posłuchali. Przyłgnęli nawet do ściany, a ich czarne mundury stopiły się z ciemnością.

Otworzył jeden z barczystych drabów Soni, zwany przez jej dziwki Piąchą. Uchylił drzwi, unosząc nad głową lampę naftową. Jego gębę wykrzywiło zaskoczenie, kiedy rozpoznał Artema. Nie zdążył jednak zareagować, bo Jermak odepchnął sutenera i wymierzył potężnego kopniaka w brzuch ochroniarza. Siła ciosu wepchnęła olbrzyma do środka. Przy drzwiach zakłębiło się, kubańcy ze śmiechem i wrzaskiem wtargnęli do burdelu. Po chwili wahania Artem ruszył za nimi.

Piącha zaskakująco szybko doszedł do siebie. Poderwał się z podłogi i wyciągnął długi nóż. Ryknął coś ostrzegawczo, ale trzech kozacy już wpadli do głównego salonu i doskoczyli do dziwek. Czwarty ruszył korytarzem i kopniakiem otworzył drzwi pierwszego z pokoików, w których dziewczyny przyjmowały klientów. Jermak obrócił się do Piąchy, pchnął go szybkim, wyćwiczonym ruchem, zanim ten zdążył choćby mrugnąć. Szpic długiego kindżału zagłębił się w brzuchu osiłka i wyszedł plecami. Wachmistrz odepchnął umierającego ze śmiechem i strząsnął krew z ostrza.

Artem westchnął z podniecenia i zachwytu. Kubaniec zabijał bez najmniejszego wysiłku czy skrupułów. Jego brutalność zapierała dech w piersiach, budziła respekt i przerażenie. O to chodziło. Niech krew dziwek popłynie strumieniem i zmyje hańbę Artema.

Wbiegł do salonu za Jermakiem. Na podłodze leżał krzyżem drugi osiłek Soni. Stał nad nim jeden z kozaków, przyciskając pióro szabli do szyi powalonego. Dwie dziwki zostały zagonione do kąta, gdzie kuliły się, zasłaniając krzesłem przed śmiejącym się kubańcem. Z kolejnej, przyjemnie pulchnej i biuściastej, trzeci kozak właśnie zdierał ubranie. Sonia stała w

drzwiach kuchni, blada z przerażenia, ale w garści dzielnie ścisnęła tasak do szatkowania kapusty. Za jej plecami rzuciła się w oczy płomiennoruda grzywa chudej Żydówki.

Poganiany kopniakami, przerażony klient wypadł z pokoiku. Goniący go kozak nawet nie pozwolił mu podciągnąć portek, trzasnął go pięścią w ucho i kopnął po raz kolejny, wyganiając za drzwi, po czym pędem wrócił do pokoju i za włosy wyciągnął z niego wrzeszczącą dziwkę. Artem sapał z zadowolenia, choć najlepsze dopiero miało się zacząć. Kubańcy zabawią się z dziewczkami, a potem je zamordują. Sonię jako ostatnią. Tak się umówili. W zamian za poświęcenie wieczoru na załatwienie brudnych spraw Artema sutener wypłacił im po pięćdziesiąt rubli i obiecał darmowe usługi swoich aksamitek przez cały miesiąc. Sądząc po stanie kubańców, sporą część otrzymanych pieniędzy zdążyli już przepić.

– Artem, ty bydlaku! – hardo krzyknęła Sonia. – Zabieraj stąd tych dzikusów!

– Już po tobie, wstrętna kurwo! – Sutener pogroził jej pięścią.

Jermak jednym susem dopadł burdelmamy i umięśnionym, żyłastym łapskiem złapał ją za przegub. Trzasnął dziewczynę w twarz i szarpnięciem wyciągnął z kuchni. Gwałtownie wykręcił jej rękę. Tasak z brzękiem upadł na podłogę. Sonia wylądowała na plecach. Pulchna Ania wyrwała się rozbierającemu ją kubańcowi i skoczyła Jermakowi na plecy. Dwaj kozacy dopali ją natychmiast i ściągnęli z wachmistrza. Dziewczyna oberwała głownią szabli w skroń. Bezwładnie runęła na podłogę. Wokół jej głowy natychmiast pojawiła się rosnąca kałuża krwi.

– Dość! – wysoki wrzask przeszył powietrze.

Wanda przeszła przez próg kuchni. Jasne, błękitne oczy dziewczyny błyszczwały wściekle, a rozpuszczone włosy otaczały jej szczupłą twarz ognistą aureolą. Wszyscy zwrócili się w jej stronę, zaskoczeni groźną i wyzywającą postawą Żydówki. Nawet Artem zamarł, oszołomiony dziwną przemianą niepozornej, wiejskiej gąski. Zrobiła krok naprzód, zaciskając w gniewie pięści i miotając wzrokiem gromy. Najbliższy z kozaków wyciągnął rękę, by złapać ją za włosy.

– Precz! – Słowo zmieniło się w ryk brzmiący jak huk pociągu, dudniącego

łomotem pudów żelastwa.

Dźwięk uderzył kubańca prosto w twarz, jak wymierzony z całych sił policzek. Oczy mężczyzny obróciły się w głąb głowy, z uszu bryznęła krew, a głowa poleciała w tył, jakby oberwał fizyczny cios. Nim ciało dotknęło podłogi, był martwy.

– Wiedźma! – ryknął Jermak. – Zabić ją!

W dłoni Wandy pojawił się maleńki dwulufowy pistolecik. Dziewczyna wypaliła do zamierzającego się na nią rzucić z szablą kozaka, drugą kulę posłała w kolejnego, ale nie trafiła. Salon wypełnił śmierdzący siarką dym. Trafiony w pierś kubaniec usiadł ciężko na podłodze, wypuszczając broń. Wachmistrz skoczył do dziewczyny, w locie wyciągając z pochwy kindżał. Sonia, leżąca dotąd plackiem, niespodziewanie obróciła się i złapała upuszczony tasak. Chlasnęła nim w szerokim zamachu z całych sił. Ostrze wbiło się Jermakowi w goleń. Kozak ryknął z bólu i opadł na kolana, ale zaraz zamierzył się, by pchnąć Zośkę kindżałem.

Smyczek natychmiast po krzyku Wandy przeturlał się, ścinając z nóg stojącego nad nim kozaka. Sił dodał mu widok leżącego w sieni martwego brata. Z wyciem wymierzył kubańcowi kilka ciosów pięścią w twarz, każdy potężny niczym uderzenie młotem. Wreszcie wyrwał mu szablę, złapał jedną ręką za rękojeść, drugą za ostrze i znów runął na ofiarę. Oparł szablę o szyję kozaka i napał na nią oburącz, całym ciężarem ciała. Krew bryznęła obfitym strumieniem, ale Smyczek cisnął, dopóki ostrze nie zazgrzytało o kręgosłup. Bliźniak uniósł głowę, by rozejrzeć się za kolejnym przeciwnikiem. Ten akurat brał na niego zamach szablą, pewny i szybki.

Smyczek zamknął oczy, szykując się na śmierć.

– Neeee! – kolejny krzyk przeszedł płynnie w ryczące połączenie gwizdu pary z łomotem kół dorożek na warszawskim bruku.

Wanda znów sięgnęła po hałas zgromadzony w umyśle przez dwa dni pobytu w mieście i wyrzuciła go z siebie w skoncentrowanym, krótkim wrzasku. Starła się kierować krzykiem, jakby biła biczem. Jermak runął na bok, nie zdążywszy zadźgać Soni. Kozak mierzący w Smyczka opadł na kolana, a jego szabla uderzyła w podłogę. Trzasnęły piękne lustra za kontuarem, wybuchły kielichy i butelki. Szkło eksplodowało tysiącami

kawałków, zafurkotało w powietrzu niczym szrapnele. Zanim krzyk przebrzmiał, wszyscy leżeli pokotem na podłodze.

Żydówka złapała za upuszczony kindżał i dźgnęła nim w bok oszołomionego Jermaka. Napała oburącz, aż ostrze zagłębiło się po rękojeść. Wyszczrzyła przy tym zęby z wściekłości, a na koniec splunęła w twarz konającemu wachmistrzowi. Tymczasem Smyczek doczołgał się do ostatniego kozaka, który przed chwilą o mało nie rozplątał mu głowy, i zacisnął swoje wielkie łapska na jego szyi. Napał tak mocno, że krtań nieszczęśnika trzasnęła zmiądzona.

Artem uskoczył do sieni po pierwszym krzyku Żydówki. Przy drugim oburącz zasłonił uszy i nie czekając na efekty starcia, rzucił się do ucieczki. Zbiegł na oślep po schodach i wypadł na podwórko. Potknął się w ciemności, runął na klepisko. Leżał dłuższą chwilę, nasłuchując. W kamienicy panowała cisza. Przyzwyczajeni do hałasów i krzyków sąsiedzi z dołu i tym razem nie zareagowali na awanturę, a nawet stłumione grubymi murami wystrzały.

Artem odetchnął z ulgą i usiadł, a po chwili wstał i spokojnie otrzepał spodnie. Musiał przełknąć kolejne upokorzenie. Przegrał, teraz Sonia go zniszczy i opowie wszystkim, że przyprowadził Moskali, by ją zamordowali. Trudno, Artem wyjedzie do Kijowa, do swego stryja. Tam zacznie wszystko od nowa. Sutenerów i dziewczek potrzebowano wszak wszędzie.

Odszukał schowaną pieczołowicie latarenkę, wyciągnął z kieszeni zapałki i zapalił świeczkę. Kto by się spodziewał, że ta ruda Żydówka jest prawdziwą wiedźmą? Nawet lepiej, że wyszło to u Zośki, a nie przy próbie rozdzielczenia w Domu Rozdzielczym. Uśmiechnął się do siebie. W tym nieszczęściu miał jednak trochę fartu!

Niespodziewanie poczuł fetor zgnilizny, jakby tuż obok otworzył się grób. Podmuch z rynsztoku i sterty odpadków na podwórku? Odwrócił się w stronę mrocznego dziedzińca i zdębiał.

Kilka kroków od niego stała nieruchomo wysoka kobieta z niemożliwie potarganymi i posklejanymi w strąki włosami. Głowę przekrzywiała w dziwny, ptasi sposób, a twarz miała umazaną czymś czarnym. Ujrzał ją w niemrawym, rozedrganym świetle latarenki, co dodatkowo potęgowało makabryczny efekt.

– Jezus Maria – jęknął. – Skąd się pani wzięła?

Nie odpowiedziała. Artem cofnął się o krok. Strach rozpełzał się po całym jego ciele i cisnął na pęcherz. Jeszcze krok, obróci się i chodu. Byłe dalej od cholernych wiedźm!

– Tacy jak ty są niczym wirusy – powiedziała, poruszając po ptasiemu głową.

– Niczym co?

Skoczyła, wyciągając przed siebie ręce rozczapierzone jak szpony drapieżnego ptaka. Jej usta rozwarły się absurdalnie szeroko. Błysnęły ostre szpikulce zębów. Artem tylko miauknął płaczliwie i jego krew chlusnęła na błotniste podwórze.

Znów zaczął siąpić deszcz.



## 3 kwietnia 1863 r.

Kolumna powstańców, prowadzona przez pułkownika Jemiołę, siedzącego na wozie z Wiercińskim, wyjechała zza kępy drzew wprost na królową polskich rzek. Droga wiodła pomiędzy kilkoma rybackimi budami na niewielki pomost, przy którym na wodzie kiwało się kilka łódek. Spoglądając w stronę Pułtusza, dało się dostrzec imponujący port żeglugi rzecznej. Już z daleka było widać kłębiące się w nim mrowie rosyjskiego wojska. Wśród powstańców rozległy się szумы, mężczyźni zaczęli zdejmować karabiny z pleców i zakładać na nie bagnety.

– Spokojnie! – Pułkownik wyprostował się na koźle. – To nasi, Pustowójtow z pierwszym batalionem! Opuśćcie broń!

– No już, do cholery! – zadudnił Wierciński.

Wóz wjechał między zabudowania portu, długie składy towarowe i wiaty z drewnem. W dokach stało kilkanaście berlinek – żaglowych łodzi o ściętych dziobach, przez wiślanych żeglarzy nazywanych popularnie kogutami. Słynęły ze sporej ładowności i niezwykłej szybkości, nawet przy kursie w górę rzeki. Jemioła nie zwrócił na nie specjalnej uwagi, bo jego wzrok przykuł pojedynczy statek znacznie się od nich różniący. Paropływ „Praga” był długim na pięćdziesiąt kroków i szerokim niemal na dziesięć bocznołowcem. Mógł służyć zarówno jako holownik do transportowania barek z węglem, drewnem lub zbożem, jak i statek pasażerski. Niemal wzdłuż całej burty ciągnęła się nadbudówka, w której znajdowały się kajuty i miejsca dla siedmiuset osób. Mniej więcej w środku kadłuba, na wysokości kół napędowych, w niebo mierzył wielki stalowy komin. Parostatek lśnił czernią i wydawał się piękny oraz groźny niczym pancernik „HMS Warrior”. Prawdziwe cacko zbudowane w Warsztatach Żeglugi Parowej na Solcu.

Pustowójtow zjawił się jak spod ziemi przed wozem z oficerami. Gęste, czarne brwi ściągnął ze złości, a oczy błyszczały mu niemą groźbą. Popatrzył na pułkownika uważnie, szacując, czy ten jest przy zdrowych zmysłach.

– Po co kazałeś mi zająć port? – spytał prosto z mostu. – Rekwirujemy

łodzie i przepławiamy się na drugą stronę?

Jemioła zeskoczył z wozu i machnął ręką.

– Chodźmy.

Na pokład „Pragi” prowadził wąski trap, przed którym stało dwóch chudych marynarzy, uzbrojonych w myśliwskie dubeltówki. Wyglądali na zaskoczonych odwiedzinami buntownika w mundurze carskiego oficera. Pułkownik kazał im zawołać kapitana. Ten się pojawił, zanim zdążyli po niego pobiec – starszy pan w wyświechtanym kaszkiecie na łysej głowie, uśmiechający się szeroko i odsłaniający szczerbate, zepsute zęby.

– Pewnie mam przyjemność z majorem Jemiołą? – Wyciągnął rękę w powitaniu.

– Z pułkownikiem – sprostował Pustowójtow.

– Witam, panie pułkowniku. Jestem Adolf Lewicki i dowodzę tą jednostką w imieniu pana Andrzeja. Zapraszam serdecznie, nie mogliśmy się was doczekać. Właściwie miałem zamiar wydać rozkaz odpłynięcia. Stoimy tu trzy dni i Moskale już zaczynają węszyć.

Gadając, kapitan kłaniał się w pas i wykonywał zapraszające gesty.

– Proszę palić pod kotłem, odbijamy natychmiast po załadunku – rozkazał Jemioła. – Konie da się wprowadzić na pokład?

– Tak, mamy miejsce, natychmiast rozkażę rozłożyć trap towarowy. Ale zmieści się tam najwyżej dwadzieścia wierzchowców.

– Może być, resztę zostawimy z wozami. – Jemioła zwrócił się do Teofila: – Słyszałeś? Zbieraj ludzi, przenosimy prowiant i amunicję. Szybko!

Pustowójtow, zupełnie zaskoczony, spoglądał to na dowódcę, to na imponujący parostatek.

– Dokąd płyniemy? – spytał.

– Do Gdańska, a stamtąd prosto na Wyspy Karaibskie – odparł bez mrugnięcia Jemioła. – Zawsze chciałem zostać piratem.

– Wolałbym na Morze Czarne, służyłem kiedyś na Krymie – jęknął oszołomiony Pustowójtow. – W czasie wojny, w pięćdziesiątym piątym. Piękne okolice, mówię ci.

– Niestety, na razie przybijemy do brzegu przed Warszawą. – Pułkownik machnął ręką Wiercińskiemu, który natychmiast stanął na koźle i tubalnym

głosem zaczął wydawać rozkazy. – Gdzieś w okolicach Góry Kalwarii lub Karczewa. Mam jedno wytypowane miejsce, zobaczymy, czy da się tam przycumować tego potwora.

– Skąd właściwie go wytrzasnąłeś? – Teofil już się otrząsnął.

– Jak wspomniał nasz kapitan, parostatek należy do pana Andrzeja. Tego pana Andrzeja – podkreślił Jemioła.

Pustowójtow, sądząc po minie, nadal nie wiedział, o kim mowa.

– Do Zamoyskiego! Prezesa rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego, rok temu wygnanego z Królestwa – wyjaśnił pułkownik. – Jednego z najbardziej wpływowych i bogatych polskich arystokratów. Stefan, znaczy komendant Warszawy, pisał w tej sprawie do Paryża. Dzięki interwencji Hotelu Lambert udało się uzyskać zgodę pana Andrzeja na użytkowanie tego bocznokołowca. A myślałeś, że co ja robiłem przez cały miesiąc, kiedy ty szkoliłeś chłopców? Pisałem listy, kombinowałem, załatwiałem, planowałem.

Z komina parostatku buchnęły kłęby czarnego dymu. Pustowójtow zagwizdał z podziwem i wykrzywił usta w uśmiechu zadowolenia. Miał się z czego cieszyć. Zamiast kluczyć tygodniami po całym Królestwie, by cudem uniknąć Rosjan, w góra dwa dni znajdą się w pobliżu miasta.

Marynarze rozłożyli szeroki trap towarowy i powstańcy ruszyli rozładowywać wozy oraz wyprzęgać konie. Jemioła nieco niespokojnie spoglądał w stronę miasta. Lada chwila mogli pojawić się Moskale, w Pułtusku stacjonowało przecież kilka carskich rot. Pułkownik popędził żołnierzy, kazał zuawom ładować się do kajut, a przebranym strzelcom Teofila obstawić port. Przy odrobinie szczęścia postronny obserwator mógł pomyśleć, że krząta się tu carskie wojsko i nie ma sensu wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

Kapitan „Pragi” pomachał z mostka na znak, że parostatek jest gotowy. Jeszcze kilka minut krzątania i po trapie zbiegli strzelcy Pustowójtowa. Jemioła wskoczył na pokład jako ostatni, po czym marynarze odczepili cumy i wciągnęli podest. Mechanik pokładowy z gwizdem upuścił nadmiar pary z kotła i biała chmura na chwilę zasnęła widok. Kiedy się rozwiała, powstańcy ujrzeli koła napędowe powoli młójące wodę. Parowiec odbił od brzegu. Po paru chwilach ustawił się z prądem Wisły i wypłynął na środek rzeki. Kapitan

pociągnął za wiszącą dźwignię gwizdka. Znowu chmura pary wystrzeliła w górę. W niebo poleciało też kilka czapek rozradowanych powstańców.

Paropływ ruszył do Warszawy.

**4 kwietnia 1863 r.**

Wczesnym popołudniem na Krakowskim Przedmieściu roilo się od ludzi. Pogoda wreszcie się poprawiła, wyrzało słońce, a w dodatku była Wielka Sobota. Nabożeństwa, w trakcie których święcono koszyczki pełne wiktuałów, okazały się wspianą okazją, by przerwać przedświąteczne przygotowania i wybrać się na rodzinny spacer. Podczas świąt Wielkiej Nocy zwyczajowe wielkomiejskie tempo życia nieco zwalniało. Przechodnie kłaniali się sobie z uśmiechem i przystawali, by zamienić parę słów. Damy założyły odświętne kapelusze i skromne, lecz dystyngowane suknie, panowie wbili się w świeżo wyczyszczone surduty albo redingoty, a niektórzy nawet we fraki. Nad tłum wystawało mnóstwo wysokich cylindrów i meloników o angielskim fasonie. Nawet Moskale, choć sami obchodzili prawosławną Wielkanoc dwa tygodnie później, dali warszawiakom chwilę wytchnienia i trochę zmniejszyli liczbę snujących się po ulicach patroli. Na trzy najbliższe dni zakazano kozakom urządzić galopady po ulicach i dręczyć przypadkowych przechodniów.

Doktor Stanisław Loewenhardt szedł spokojnym krokiem, trzymany pod ramię przez swoją asystentkę Marię Konarską. W skromnym, grafitowym surducie i kapeluszu, w towarzystwie niewysokiej, niepozornej kobiety wyglądał niczym jeden z wielu urzędników lub bogatszych rzemieślników przechadzających się z żoną Krakowskim Przedmieściem. W rękę ścisnął wiklinowy koszyk wyściełany koronkowym obrusem, pod którym krył się mały bochenek, pęto kiełbasy, kolorowo malowane jajka, naczynie z solą, tutka cukru i gałązka bukszpanu. Natomiast na dnie święconki bezpiecznie spoczywały rozkazy wypisane na papierze ze znakiem wodnym w postaci tarczy herbowej z Orłem, Pogonią i Michałem Archaniołem, zwieńczonej koroną Jagiellonów.

Para skręciła w imponującą bramę Szkoły Głównej. Stanisław skinął głową woźnemu, dziś odświętnie ubranemu w niezbyt brudną koszulę, kamizelkę i służbową czapkę z blachą z numerem. Przed pałacem Kazimierzowskim skręcili w prawo, do jednego z licznych pawilonów

uczelni. Przez nikogo nienagabywani weszli na parter jednego z budynków i ruszyli szerokim korytarzem. Znajdował się tu gabinet figur gipsowych, przedstawiających najróżniejsze przyrodnicze okazy i typy ludzkie, głównie mniej lub bardziej czarnych dzikusów z ciepłych krajów. Maria znalazła się tu dopiero drugi raz; Stanisław wcześniej stanowczo nie chciał zabierać jej ze sobą na spotkania spiskowców. Kobieta zdawała sobie sprawę, że w głębi serca młody lekarz jej nie lubi i nie ufa. Musiała się usilnie przymilać i zadrećzać go długimi rozmowami, pełnymi wzniosłych, patriotycznych przemów, by jego serce zmiękło, a niepokojąco bystry umysł został uspiiony. Wreszcie się udało.

Wspięli się po schodach na piętro i zatrzymali przed drzwiami pracowni z tabliczką głoszącą, że jest to królestwo adiunkta Benedykta Dybowskiego. Kiedy zapukali do drzwi, otworzył im przystojny mężczyzna w okolicy trzydziestki, z krótką brodą i długimi, bo niemal sięgającymi ramion, ciemnymi włosami. Uśmiechnął się i wpuścił ich do środka, pocałował przy tym Marię w dłoń i ukłonił się szarmancko.

– Witaj, profesorze. – Stanisław zdjął kapelusz. – Czy Obywatel Jerzy już przyjmuje?

– Tak, sekretariat otwarty. – Benedykt wskazał drzwi prowadzące do gabinetu. – Proszę śmiało wchodzić, a panią zapraszam do pracowni na herbatę.

– Dziękuję, profesorze, ale chciałabym dziś uczestniczyć w odprawie. Mogę się w czymś przydać.

Stanisław zmierzył ją surowym spojrzeniem. Znów przypomniał sobie o nieufności wobec tej kobiety. Nie mógł jej rozgryźć, lecz ciągle dręczyło go przekonanie, że coś z nią jest nie tak. Mieszkali wspólnie w dwupokojowym mieszkanku, udając małżeństwo. Większą część dnia Stanisław spędzał na organizowaniu z pomocą powstańczej intendentury kryjówek dla jak największej liczby powstańców, zamawiał i gromadził dla nich dokumenty, wreszcie prowadził korespondencję z pułkownikiem Jemiołą. W tym czasie Maria zniknęła w mieście, ponoć bywała u swojej tajemniczej ciotki, która była starą, zdziczałą dewotką mieszkającą w samotnym domu, w okolicach rogatek mokotowskich. Co ona robiła z tą ciotką całymi dniami? Pojawiała się w

mieszkanu wieczorem i zadreśla Stanisława pytaniami o postępy w pracach, próbując wyciągać wszelkie możliwe informacje na temat organizacji miejskiej i Rządu Narodowego. Loewenhardt zauważył również, że jego rzeczy, szczególnie papiery, zostały kilkakrotnie przeszukane.

Nie mógł otwarcie oskarżyć Marii o szpiegostwo czy kunszachty z wrogiem, wszak walczyła w oddziałach generała Jeziorańskiego, uczestniczyła w wielu bitwach, służyła wiernie i ofiarnie. Nawet zbytnia podejrzliwość wobec niej wydawała się Stanisławowi niestosowna. Może po prostu cierpiała na chorobliwą ciekawość? Pewnie nudziła się w Warszawie, przywykła wszak do ciężkiej pracy w powstańczych obozach. Tu siedziała cały dzień beczymnie, nie sposób zatem się dziwić jej natarczywości. Loewenhardt obiecał sobie, że wymyśli Konarskiej jakąś robotę, może przekaże ją do kobiecych „Piątek” – żeńskiej tajnej organizacji narodowej. Dostanie od nich takie zadania, że aż jej w pięty pójdzie: szycie gaci dla powstańców, darcie szarpi lub haftowanie sztandarów.

– Odprawa tylko by cię znudziła, kochanie – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Pan profesor z chęcią pokaże ci swoje zbiory i opowie o odkryciach. Ponoć zasłynął w świecie nauki, opisując nowy gatunek skorupiaka.

– Taaak? – Maria zrobiła rozczarowaną minę. – Odkrył pan jakiegoś, hm, owada?

– Doprawdy, interesuje to panią? – ucieszył się przystojny naukowiec. – Jako pierwszy opisałem nie tylko skorupiaka występującego w polskich zbiornikach wodnych, ale też pewien gatunek ryby. Z przyjemnością zademonstruję pani modele.

Złapał ją pod ramię i poprowadził między stołami zastawionymi mikroskopami, otwartymi gablotami z zasuszonymi owadami i szkiełkami zegarkowymi z preparatami. Maria obróciła się jeszcze, by przez ramię dojrzeć Obywatela Jerzego, jednego z bardziej poszukiwanych spiskowców. Carska policja nie знаła jego prawdziwego nazwiska ani nawet wyglądu. Okazało się, że to bezbarwny młody mężczyzna w pince-nez, siedzący w niedbalej pozie za stołem zawalonym papierami. Drzwi się zamknęły i Maria musiała wysłuchać wywodów porwanego pasją naukowca, który

demonstrował jej różne gatunki pszczół i opowiadał o rybach. W ciągu następnych kilkunastu minut do gabinetu weszło jeszcze dziewięciu mężczyzn, kłaniając się z daleka Dybowskiemu. Stołpin vel Konarska starała się zapamiętywać ich twarze i sylwetki, by potem w razie czego móc ich rozpoznać.

Coraz bardziej dręczyło ją zdenerwowanie przechodzące w złość. Cholerny Loewenhardt tak ją załatwił towarzystwem Dybowskiego, że nie miała nawet szansy podsłuchiwać pod drzwiami. Lekarz również działał jej na nerwy. Radca Tichon tracił cierpliwość, ostatecznie obiecała mu Rząd Narodowy na tacy, a dotychczas nie mogła nawet zlokalizować miejsca, gdzie jego członkowie obradowali. Wśród żandarmów i szpicli z tajnej policji krążyła już legenda, że przywódcy buntowników spotykają się w podziemnym pałacu pełnym tajnych przejść, pułapek i niezmiernych skarbów. Jeśli śledztwo potrwa dłużej, Maria będzie gotowa w tę bajkę uwierzyć.

Spotkanie ciągnęło się dobrą godzinę, potem z gabinetu wyszło trzech mężczyzn. Po kolejnej godzinie następnych dwóch. Maria miała ochotę udusić naukowca, który niezmiernie raczył ją wykładem. Co z tego, że opowiadał żywym językiem, sypał anegdotami i zabawiał ją, jak mógł? Zdecydowanie nie był nudziarzem, ale nie miała czasu ani ochoty słuchać jego wywodów.

Niespodziewanie poczuła pulsujące gorąco na piersi. To wiszący na łańcuszku wisiołek, przylegający do skóry między piersiami, rozgorzał alarmowym sygnałem. Podłużną blaszkę nasączono mutatio i przeznaczono do szybkich kontaktów. Samoistne ogrzanie się przedmiotu oznaczało natychmiastowe wezwanie, a ochłodzenie ostrzegało o niebezpieczeństwie.

– Pan wybaczy, ale trochę źle się poczułam. Muszę wyjść na zewnątrz, na świeże powietrze. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Ależ nie puszczę pani w takim stanie. Proszę usiąść w moim fotelu, natychmiast otworzę okno i przyniosę szklankę wody. – Dybowski wyraźnie się przejął.

– To nic takiego, proszę się nie kłopotać. Kiedy wyjdzie mój mąż, proszę mu powtórzyć, że wróciłam do domu. – Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. – I dziękuję pięknie za pasjonujący wykład.



Profesor polecał się na przyszłość, kłaniał w pas i skakał wokół niej, jak przystało na dżentelmena. Przez chwilę Marii zrobiło się go żal. Za udzielanie schronienia spiskowcom i zapewne udział w organizacji miejskiej groził mu stryczek. Teraz, kiedy do rozgryzienia buntowniczej organizacji zabrał się Urząd Przemian, niewielkie były szanse, by młody naukowiec go uniknął.

Kiedy tylko Dybowski zamknął drzwi, Maria – zamiast zbiec po schodach – ruszyła energicznie w ciemny kąt korytarza, prosto w ścianę. Machnęła niedbale ręką, a mrok przed nią rozdarł się w podłużną wyrwę. Kobieta weszła w czerń i znikła.

Szarpięcie mocy, jak zwykle, przewróciło jej trzewia na lewą stronę, a uderzenie krwi do głowy omal nie pozbawiło przytomności. Powstrzymała atak mdłości, choć gorzki smak żółci cofniętej z żołądka wypełnił usta, zapanowała nad bólem rozsadzającym czaszkę i ukierunkowała skok. Wyobraziła sobie punkt wyjścia, który wcześniej napiętnowała maźnięciem mocy, i resztką sił skupiła się na jego obrazie. Przed oczami zamigotało jej wyjście, krystalizując się pulsacyjnie w czerni. Jęknęła z wysiłku, po czym uczepliwszy się rzeczywistości i napinając wszystkie mięśnie, podciągnęła się, by do niej wkroczyć. Coraz częściej chodziło jej po głowie, że pewnego dnia wykona skok w ciemność, z której nie będzie miała siły wyjść. I zniknie, rozwieje się w mroku.

Jednak tym razem się udało. Wyłoniła się w ciemnym kącie za masywną szafą w przestronnym pokoju na piętrze Pałacu Przebendowskich. Znajdowała się w gabinecie i jednocześnie kwaterze głównej radcy Tichona. Naczelnik korzystał z luksusowych wnętrz dzięki uprzejmości generała Lewickiego, komendanta cytadeli, który do niedawna tu stacjonował. Obecnie w pałacu mieszkało jeszcze dwóch wyższych oficerów z rodzinami, ale całe skrzydło piętra zajmował tajny radca.

Maria ruszyła naprzód, zaciskając zęby, by nie zwymiotować na błyszczącą białym marmurem podłogę. Przy kolejnym kroku poczuła, że coś lepkiego i zimnego owija się wokół jej kostek. Skoczyła w tył, oparła się plecami o ścianę i wierzgnęła wściekle, by oswobodzić się z zaciskających pęt. Jedną nogę zdołała uwolnić, ale zimne coś ożyło, smagnęło ją po łydce i popęzło w górę, owinęło się wokół uda i wśliznęło w nogawkę majtek. Maria

zadarła suknię, by zobaczyć, co to takiego. Po jej nodze pełzał długi, niewyraźny kształt grubości damskiego przegubu, kojarzący się z przezroczyстым, galaretowatym wężem. Mdłości i zmęczenie przepełniły czarę, Stołpin zalała zimna wściekłość. Uniosła wolną nogę i z całych sił wbiła piętę w pełzającą ohydę.

– *Eto płocho!*<sup>11</sup> – Wąż cofnął się, drgnął i zaczął rozsypywać w miliony migoczących ziarenek. Zza szafy wychylił się wysoki, chorobliwie chudy mężczyzna z ogonem paskudztwa w ręku. – Zły dzień, Mara, czy w tej smutnej Polsce zupełnie straciłaś poczucie humoru?

– Ty za to ciągle masz kielbie we łbie, Wasilij – burknęła. – Diabli cię nadali, błaznie.

Wasilij Pawłowicz Pawlisziew wyglądał na stojącego nad grobem suchotnika, choć sam siebie wolał widzieć jako poetę, pożeranego porywami i cierpieniami duszy niewyobrażalnymi dla zwykłego śmiertelnika. Maria знаła go, odkąd wstąpiła do Urzędu Przemian. Wasilij razem z nią uczył się korzystania z mocy i panowania nad szkodliwymi efektami mutatio. Pochodził z arystokratycznej rodziny i był najmłodszym synem generała, odszczepieńcem, który wbrew rodzinnej tradycji nie wybrał wojskowej kariery, a zdecydował się na żywot niebieskiego ptaka, dorywczo zajmującego się poezją i pisaniem romansideł.

– Nie diabli mnie wezwali, a jego eminencja, książę tego, co niepojęte i nienazwane, lord mocy, władca potęgi mutatio, jego potężność, mądrość i dobroć Paweł Iwanowicz...

– Precz, cymbale – warknęła kobieta i odepchnęła przyjaciela.

Wyszła wreszcie z regału i znalazła się w wysokim salonie o szerokich i sięgających niemal sufitu oknach. Ściany gabinetu były szczelnie zasłonięte półkami z książkami – kolekcja poprzedniego właściciela pałacu, jakiegoś polskiego arystokraty. Znajdowały się tu też wygodne, biedermeierowskie meble, obite miękkim adamaszkiem oraz wielkie biurko z ciemnego orzecha. Siedział za nim, niemal nikiący wśród stert papierów, radca Tichon. Na widok Marii grzecznie wstał i uśmiechając się, wyszedł z biurka.

– Widzę, że wezwałeś wsparcie – zauważyła zimno Maria, ciągle walcząc z mdłościami.

Na jednej z dwóch sof rozpięta się spocony grubas w kamizelce z niebezpiecznie napiętymi guzikami. Obok na krześle ze skromnie złożonymi kolanami siedziała śliczna blondynka o wielkich błękitnych oczach. Na stoliku posykiwał samowar. Blondynka przyłożyła do ust filiżankę z gorącą herbatą, nic sobie nie robiąc z zamieszania.

Grubasa Maria również poznała podczas szkolenia w siedzibie Urzędu, poza tym współpracowali w trakcie kilku misji. Iwan Mikołajewicz Frołow skinął krótko głową na powitanie. Stołpin wiedziała o nim niemal wszystko, bo pięćdziesięciolatek po pijanemu lubił się zwierzać. Przeszłość miał barwną i burzliwą. Pracował jako urzędnik w magistracie Moskwy, tłumaczył z mandzurskiego, walczył w wojnie kaukaskiej i szpiegował Francuzów na Krymie. Poza tym spłodził chyba tuzin dzieciaków z kolejnymi trzema żonami.

Blondynki Maria nigdy dotąd nie spotkała. Sądząc po jej młodym wieku, dziewczę dopiero zaczynało karierę pod skrzydłami Tichona.

Radca polskim zwyczajem pocałował Marię w dłoń i wskazał jej miejsce na krześle, naprzeciw ślicznego podlotka. Stołpin zauważyła, że radca ma mocno podkrążone oczy, a twarz pobladła ze zmęczenia. Musiał pracować całą noc.

– Poznaj, proszę – wskazał ślicznotkę, która zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się do Marii. – To Daria Fiodorowna Astafiewna, od niedawna nasz pracownik i moja wielka nadzieja. Bardzo zdolna i bystra dziewczyna, ale sporo się jeszcze musi nauczyć. Liczę na to, że się nią zaopiekujesz.

– Wiele o pani słyszałam, Mario Pietrowno. To dla mnie prawdziwy zaszczyt móc uścisnąć pani dłoń. – Blondynka wstała i dygnęła grzecznie. – Bardzo liczę na możliwość pracy z panią.

– Zobaczmy, panienko. – Stołpin uśmiechnęła się z trudem.

Ciągle wirowało jej w głowie. Potrzebowała jeszcze paru minut, by dojść do siebie.

Korciło ją, by zapytać wprost, jaką mocą dysponuje dziewczyna, ale wśród carskich oborotenów takie pytania uchodziły za niegrzeczne i wścibskie. Tak czy inaczej śliczna jak malowanie panienka mogła przydać się w niektórych misjach, ale nie we wszystkich. Zbyt rzadko rzucała się w oczy, była za ładna na szpiega. Do tego fachu nadawali się tacy jak Maria czy Paweł

Iwanowicz – skromni i niepozorni, na których nikt nie zwracał uwagi.

Usiadła i napiła się herbaty. Tichon, mimo że wezwał ją w trybie alarmowym, nie nalegał na pośpiech. Nawet sam nalał sobie filiżankę i usiadł obok, by wypić ze swoimi ludźmi. Wasilij wcisnął się na sofę obok grubego Iwana i zaczął malowniczo opowiadać o swojej podróży do Warszawy. Maria poczuła się znacznie lepiej i skupiła uwagę na wyglądającym na przybitego Tichonie.

– Dzieje się coś złego? – spytała wreszcie.

– Hrabia Berg dowiedział się o moich próbach przypodobania się wielkiemu księciu i uznał mnie za zdrajcę i wroga. Koniec naszego aliansu. – Tichon westchnął. – To nic nadzwyczajnego, normalna sprawa w rozgrywkach polityczno-personalnych, tylko że ten cholerny spryciarz może mocno zaszkodzić naszej organizacji. Wystosował pismo do cara z doniesieniami o moich niepowodzeniach. Chodzi o Pustowójtowa. Przyjąłem do Urzędu niesprawdzonego odmieńca i od razu, bez szkolenia i warunkowania, wysłałem go z ważną misją. Popełniłem błąd. Nie przypuszczałem jednak, że Pustowójtow może okazać się tak głupi i przyłączyć do buntowników.

– Mocno ten łobuz namieszał? – spytał Iwan.

– Mocno. To oboroten o wielkiej mocy, przyczynił się do klęski naszych oddziałów w dwóch bitwach. Poległo przez niego wielu rosyjskich chłopców, a Berg sumiennie ich policzył i doniósł o tym carowi. I zrzucił odpowiedzialność za ich śmierć na mnie.

– Cholera, trzeba dopaść tego Pustowójtowa, i to w pierwszej kolejności.

– Iwan pokiwał głową.

– To nie koniec problemów. – Tichon opadł ciężko na oparcie sofy. – Siergiej Muchanow złożył dymisję.

– Naprawdę się żeni? Pianistka przyjęła jego oświadczenia? – Maria się uśmiechnęła. – Jaka szkoda, taki przystojny mężczyzna. Och, straciliśmy przez to człowieka z otoczenia księcia Konstantego.

– Właśnie – mruknął Tichon. – Muchanow zrezygnował zarówno z funkcji adiutanta, jak i oberpolicmajstra. I dostał zgodę księcia. Przyłazł błagać mnie, bym pozwolił mu odejść również z Urzędu Przemian, ale od nas się nie odchodzi.

– Chyba że na tamten świat – dodał Wasilij.

– Tak czy inaczej udzieliłem mu bezterminowego urlopu, bo i tak nie będzie z niego pożytku. Pod wpływem swej przyszłej żony chce zająć się sztuką. Marzy mu się dyrektorowanie teatrami czy coś takiego.

– Podziwiam i szczerze zazdroszczę – podsumował chudzielec. – Też chciałbym tak się zakochać! Rzucić wszystko w diabły i zostać dramaturgiem, pisać tylko miłosne sztuki dla swojej ukochanej! Wszystkie ze szczęśliwym zakończeniem. – Uśmiechnął się błogo do Darii, ale ślicznotka nie zareagowała na umizgi.

– Miejsce Muchanowa zajmie Berg – zrozumiała Maria. – Tracimy w oczach cara, a wielki książę ma nas za nic. Umyka nam szansa, by wybić się na powstaniu.

– Dlatego musimy natychmiast, póki jeszcze Muchanow jest na książęcym dworze, wykonać ruch. – Tichon wstał gwałtownie i zaczął krążyć po salonie. – Trzeba podać Konstantemu głowy przywódców buntu. Musimy jak najszybciej zakończyć śledztwo i ich aresztować! To ostatni dzwonek. Jeśli nie błysniemy natychmiast i czegoś nie ugramy, skończymy w Kurlandii jako nic nieznaczący, podrzędny urząd.

Gruby oboroten poruszył się po raz pierwszy, odkąd Maria pojawiła się w pałacu. Poprawił opiętą ciasno na brzuszku kamizelkę, a na jego twarzy odmalowało się skupienie i gotowość do działania.

– Jesteśmy w stanie dotrzeć do szefów buntowników? Co o nich wiemy? – spytał.

– Wbrew temu, co staram się przekazać księciu Konstantemu, dotychczas nie udało nam się ustalić, gdzie spotyka się Rząd Narodowy, nie mówiąc o poznaniu jego składu. Maria jest na tropie, ale buntownicy trzymają ją z dala od serca wydarzeń. Zreferuj, proszę, co o nich wiemy, Maro.

Stołpin przełknęła łyk gorącej, aromatycznej herbaty, ostatecznie splukując z ust gorzki smak soków żołądkowych.

– Podziemne państwo polskie jest wewnętrznie skłócone, a dowodzący buntem toczą nieustanną walkę o władzę. Dzieje się to zarówno na poziomie przywódców leśnych band, jak i członków najwyższych powstańczych władz.

– Skąd my to znamy? – wtrącił Wasilij. – Ci Polacy to prawdziwi bracia

Słowianie, niczym się od nas nie różnią.

– Mimo to stworzyli zwartą, zadziwiająco spójną strukturę tajnego państwa. – Maria zignorowała chudego poetę. – W Warszawie funkcjonuje skomplikowana sieć organizacji miejskiej. Dowodzi nią naczelnik miasta, którym obecnie jest Stefan Bobrowski. Podlega mu pięciu wydziałowych, każdy odpowiedzialny za rejon odpowiadający policyjnym cyrkułom. Wydziałowi mają do dyspozycji tysięcy, ci setników, ci z kolei dziesiętników. Każdy z tych ostatnich kieruje zespołem dziesięciu spiskowców, jak łatwo się domyślić. Naczelnikowi Warszawy podlegają jeszcze powstańcza policja, Intendentura i Ekspedytura. Organizacja miejska współpracuje i chyba podlega Rządowi Narodowemu, który z kolei składa się z wydziałów: wojny, spraw wewnętrznych, zagranicznych, skarbu i administracji. Są jeszcze mniej istotne wydziały prasy, kolei i poczty, ale nie wiem, komu podlegają. Całe to towarzystwo nigdy nie spotyka się w jednym miejscu. Sekretarz stanu, którym obecnie jest Obywatel Jerzy, odpowiedzialny za współpracę z organizacją miejską, prowadzi sekretariat. To w jego gabinecie schodzą się przedstawiciele wszystkich wydziałów rządu i przywódcy miejskich cyrkułów. I ten gabinet możemy aresztować w całości.

– Załatwione! – przyklasnął Wasilij.

– Powoli. Do Obywatela Jerzego nie przychodzą członkowie rządu i wydziałowi osobiście, ale ich sekretarze. – Maria wydeła usta. – Jerzy zbiera ich meldunki i dokumenty, wydaje rozporządzenia, a potem udaje się na posiedzenia samego rządu. Nie zdołałam wyśledzić, gdzie się odbywają. Nie znamy prawdziwych członków rządu ani organizacji miejskiej. Możemy zwinąć jedynie Jerzego i obradujących u niego sekretarzy.

– A kim w organizacji jest lekarz, którego uwiodłaś? – spytał Iwan.

– Nie uwiodłam. Doktor Loewenhardt jest delegatem do miasta i reprezentuje interesy pułkownika Jemioły, niebezpiecznego odmieńca. Doktora możemy aresztować w każdej chwili, ale to też tylko płotka.

Zapadła cisza.

– Z tego, co zrozumiałam, wynika, że w wiedzy o siatce spiskowej i tak zdecydowanie wyprzedzamy tajną policję – niespodziewanie odezwała się Daria. – Żandarmeria i ludzie generała-policmajstra Trepowa nawet nie

podejrzewają, z jak rozbudowaną strukturą mają do czynienia. Wykorzystajmy to. Aresztujmy sekretarzy i przyciśnijmy ich porządnie. Odpowiednio potraktowani powinni wyśpiewać wszystko jak na spowiedzi. Nim minie tydzień, będziemy mieli na tacy cały rząd.

Maria spojrzała na ślicznotkę z zaciekawieniem. To malowane dziewczątko faktycznie było bystre, a do tego okrutne i zimne jak gład. Bez mrugnięcia okiem wspomniała o torturowaniu więźniów. Pewnie w potrzebie sama wzięłaby się do chłostania i przypalania.

Tichon zatrzymał się przed oknem i wbił wzrok w drzewa za szybą. Stał nieporuszenie dłuższą chwilę, myśląc intensywnie.

– Zgoda. Aresztujemy ich osobiście, poproszę tylko o wsparcie żandarmerii. Cała chwała przypadnie naszemu urzędowi – powiedział wreszcie. – Zaplanujemy szczegółowo operację, tak by żaden spiskowiec nie miał szans się wyśliznąć. Mario, kiedy odbędą się następne obrady w gabinecie Obywatela Jerzego?

– Jutro jest wielkanocna niedziela, a potem lany poniedziałek. Sekretariat wznawia prace od wtorku.

– Zatem za dwa dni rozpoczynamy operację wygaszania powstania – zdecydował radca Tichon.

Maria spojrzała kolejno w twarze przyjaciół i współpracowników. Mina Darii nie wyrażała niczego, dziewczyna widocznie nie czuła żadnych emocji. Jej oczy jednak spoglądały bystro spod długich rzęs, a umysł nieustannie analizował sytuację. Iwan sapał i ocierał chustką spocone czoło, więc zapewne trochę się zdenerwował lub znów był głodny. Wasilij uśmiechał się głupawo i podziwiał grę światła w błyszczących płowych włosach Darii. Pewnie układał w myślach kolejny wiersz. Natomiast tajny radca sprawiał wrażenie zasmuconego i śmiertelnie zmęczonego. Uśmiechnął się jednak blado, widząc spojrzenie Marii. Odpowiedziała uśmiechem. Miała ochotę przytulić się do tego niepozornego, skromnego mężczyzny, pocieszyć go i wesprzeć.

Sama czuła falę podniecenia i radości, jak zawsze przed nadchodzącą walką.

\*\*\*

Jemioła zacumował bat, jak w Warszawie nazywano niewielkie rybackie łódki z żaglem, w krzakach przy brzegu. Przysiadł w chaszczach, patrząc na pole i pobliski zagajnik. Znajdował się jakąś wiorstę od Góry Kalwarii, sporego miasteczka, w którym od początku wieku stały spore koszary. Obecnie stacjonował w nim batalion saperów, a do tej formacji przyjmowano najbardziej łebskich i silnych żołnierzy. Oficer musiał więc mieć się na baczności.

Kiedy przez pół godziny nic się jednak nie wydarzyło, pułkownik wylaź z krzaków i energicznym, choć nie pośpiesznym krokiem ruszył w kierunku drogi prowadzącej do miasteczka. Miał pietra, bo kieszenie zamiast dokumentów obciążały mu dwa rewolwery. Wolał uniknąć starcia, ale zakładał, że jeśli spotka żołnierzy, niemal na pewno dojdzie do strzelaniny. Narażał przez to całą wyprawę, bo paropływ stał zakotwiczony za zakolem rzeki, jakieś pięć wiorst na północ stąd.

Nie dotarł nawet do opłotków Góry Kalwarii, gdy od strony Warszawy dogonił go wóz zaprzężony w dwie chabety. Na pace stały beczki z daleka śmierdzące rybami. Lejce trzymał stary Żyd, zaskakująco bogato i elegancko odziany. Na głowie nosił kapelusz z szerokim rondem, a długie, wypielegnowane pejsy sięgały mu do piersi. Towarzyszył mu nastoletni chłopak, również porządnie odziany i w kapeluszu. Zwykle handlem zajmowali się biedni Żydzi, a ci dwaj na takich nie wyglądali. Nie wyglądali też na bogaczy, bo ci z kolei starali się upodobnić do gojów, często nawet przyjmowali chrzest. Kim mogli zatem być eleganci zajmujący się przewozem ryb?

– *Gut morgn!* – Pułkownik powitał ich w jidysz, jak uczyła go Wanda, i grzecznie uchylił czapki.

Żydzi odpowiedzieli uprzejmie, ale nie zamierzali się zatrzymać. Młodzieniec przyglądał się ciekawie Jemiole, obracając w rękę książkę. Wykształceni Żydzi zajmujący się zwykłą pracą? Pułkownika olśniło w jednej chwili. To chasydzi!

– Czekajcie, światli mężowie! – zagrzemiał. – Jestem poszukiwaczem boskiego światła błędzącym w mroku. Potrzebuję pomocy.



Starzec zatrzymał wóz i zmierzył intruza srogim wzrokiem.

– O czym mówisz, młodzieńcze? – spytał po polsku.

– Wiem, że w pobliżu miasteczka objawiła się sefira, emanacja Boga – odparł Jemioła, gorączkowo próbując odświeżyć swą nikłą wiedzę o kabale. – Ponoć tkwi w jakimś leśnym wykrocie, unieruchomiona lub pogrążona w modlitwie. Chcę ją zobaczyć.

– Jesteś badaczem kabały?

– Naukowcem i odkrywcą.

– Nie najlepsze czasy dla wędrownych poszukiwaczy wiedzy – sceptycznie mruknął Żyd. – Nie wyglądasz mi na uczonego, raczej na awanturnika. Sefira nie pozwoli się do niczego wykorzystać, nie da się nawiązać z nią kontaktu. Czego naprawdę od niej chcesz?

– Muszę zobaczyć ją na własne oczy i spróbować do niej przemówić. Próbuję znaleźć prawdę. Chcę zbliżyć się do Boga. Wy, Alterzy, powinniście to zrozumieć. – W ostatniej chwili przypomniał sobie nazwisko wielkiego rabina i cadyka, który założył dynastię chasydzką w okolicach Warszawy.

Żyd przeszywał powstańca lodowatym spojrzeniem, jakby próbował wejrzeć w jego duszę. Wyraźnie zastanawiał się, czy intruz jest godny stanąć przed emanacją boskiego światła. Pułkownik liczył na zrozumienie chasydów dla uczonych i się nie zawiódł. Starzec skinął milczącemu młodzieńcowi.

– Mosze zaprowadzi cię do celu, wędrowcze.

Chłopak energicznie zeskoczył z wozu i z szacunkiem ukłonił się woźnicy. Podszedł do przybysza i bez słowa wskazał kierunek marszu. Jemioła uchylił czapki przed chasydem, który pokiwał głową i złapał za lejce, by ruszyć w dalszą drogę. Chłopak wprowadził Jemiołę w rzadki las ciągnący się po jednej stronie traktu. Szedł energicznym krokiem przez chaszczce, aż znaleźli się na ścieżce. Pułkownik nie próbował go zagadywać. Założył, że ma do czynienia z niemową.

Niespodziewanie zeszli z dróżki wprost do głębokiego na półtorej sążnia jaru. Jego dnem wił się niepozorny strumyk. Wokół wędrowców zapadł groźny i ponury półmrok. Z obu zboczy wystawały kamienie polne i drapieźnie rozcapierzone korzenie, zielony mech jaskrawymi plamami pełzał po stromiźnie. Szum wiatru ucichł i do uszu pułkownika docierało jedynie

nienrawe ciurczenie wody oraz oddech szybko maszerującego chłopaka. Zrobiło mu się nieswojo w tym ciemnym dole, który przypominał ciągnący się w nieskończoność grób. Ślizgał się na błotnistych brzegach strumyka, starając się, tak jak przewodnik, brać go między nogi. Wreszcie wpadł po kostki w wodę i zaklął głośno, burząc tajemniczy nastrój.

– Ciii... – Mosze zatrzymał się i położył palec na ustach. – On jest tuż, tuż. Lepiej go nie rozgniewać.

– Jest niebezpieczny?

– Pewnie. Przecież to część Drzewa Życia, absolutna potęga, dla której pojedynczy człowiek nic nie znaczy. Jeśli ktoś ośmieli się zakłócić jego modlitwę lub rozmyślania, anioł jednym gestem zamienia go w kupkę popiołu.

– Anioł? – Jemioła ciągle był zaskoczony niespodziewaną gadatliwością młodzieńca. – Jaki anioł, do stu diabłów? Myślałem, że to sefira.

– Przecież każda sefira ma strażnika, nie występuje sama, niestrzeżona – zirytował się chłopak. – Wyobrażasz sobie, że boska emanacja zstąpiła na ziemię w czystej postaci? Zaraz ktoś by ją sprofanował. A tak strzeże jej boskie ramię w postaci archanioła.

Pułkownik wzruszył bezradnie ramionami. Tak to jest, gdy się próbuje gadać z religijnymi fanatykami ich językiem, w dodatku nie za bardzo mając pojęcie, o czym się rozmawia. Niestety każda poważniejsza turbulencja, która nie jest ogrodzona i pilnie strzeżona przez wojsko, od razu staje się obiektem kultu, religijnych pielgrzymek lub choćby pożywką dla filozofów i myślicieli. O tej z okolic Góry Kalwarii było swego czasu głośno, gdy miejscowi chasydzi ogłosili ją częścią Drzewa Życia. Mówiono, że uprawiają przed nią swe ekstazy i próbują się kąpać w boskim świetle. Korzystając z faktu, że paropływ znalazł się w pobliżu, Jemioła postanowił ją ukraść. Nawet archanioł przyda się w powstańczej armii.

Blask, który niespodziewanie rozproszył mrok, faktycznie mógł się kojarzyć z czymś boskim. Wyglądało to, jakby na dnie jaru zapalono dziesiątki gazowych lamp. Ostre światło zalewało wystające ze zboczy korzenie, które rzucały teraz długie, ostre cienie. Nad strumykiem unosiły się smugi pary wodnej, mech znikł, zastąpiony bujną, zieloną roślinnością i kwitnącymi kwiatami. Oficera owionął podmuch ciepłego powietrza. Mosze przystanął i

ukłonił się przed turbulencją, a następnie zaczął coś mamrotać pod nosem, pewnie modlitwę. Jemioła ostrożnie zbliżył się, by obejrzeć anomalie. Z trudem się powstrzymał od zagwizdania z podziwem. Obiekt miał humanoidalny kształt i blisko dwa sążnie wzrostu. Nie tylko świecił, ale właściwie nieustannie płonął żywym ogniem. Całe ciało olbrzyma spowijały żółte i błękitne płomienie, zacierając zupełnie kontury i szczegóły. Nie dało się również dojrzeć wyrazu jego twarzy. Miał za to cztery ramiona, założone za piersi i stał w rozkroku nad parującym strumykiem. Faktycznie można go było wziąć za ognistego anioła.

– Nasi uczeni ustalili, że to piąta sefira, Gawura, czyli srogość – z nabożną czcią oświadczył Mosze. – Odpowiada za niszczenie form przyjmowanych przez energię. Jej strażnikiem jest archanioł Chamuel i to właśnie w jego postaci schroniła się sefira.

Pułkownik pokiwał z powagą głową, powstrzymując się przed zjadliwym komentarzem. Anomalia oczywiście nie miała nic wspólnego z aniołami i próby przypisania jej do mistycznej filozofii, jaką jest kabała, stanowiły zupełnie chybiony pomysł. Jedynie niektórzy naukowcy domyślali się, czym naprawdę są anomalie, a prawdę znał tylko Jemioła.

Potrzebował teraz spokoju. Podziękował chłopakowi i wcisnął mu w dłoń półimperiał. Kiedy się oburzył i nie chciał przyjąć monety, pułkownik kazał mu spieprzać i nie zwracając na niego więcej uwagi, wybrał sobie suchy kamień wystający ze strumyka. Zrzucił kapotę, bo ciepło tu było jak w letni poranek, i usiadł na głazie w pozycji kwitnącego lotosu.

Olbrzym stał kilka kroków przed nim z lekko uniesioną głową, jakby spoglądał w niebo. Zdawał się ignorować wszystko, co się wokół działo. Jemioła wyciągnął zza pazuchy zwinięte zapiski w języku maszyn i dłuższy czas je wertował, dumając nad „czarem”, który pozwoli mu porozumieć się z turbulencją. Korzystał z własnych opracowań, opłaconych dziesiątkami eksperymentów i latami wcześniejszych badań. Decydujące przymiarki do opanowania języka maszyn zrobił w ostatnich tygodniach, studiując każdą spotkaną anomalie.

Skupił się i sięgnął umysłem po bicz mocy. Owinął nim obiekt i zacisnął, łapczywie wdzierając się w anomalie.

Wpadł w sam środek kipiącego chaosu. Płatanina dyrektyw i porwane algorytmy kłębiły się i gryzły ze sobą, zupełnie paraliżując anomalie. Tkwiły tu także sny prawdziwych ludzi oraz strzępy ich wspomnień, wymieszane z fragmentami kodów. Jemioła poczuł się tak, jakby trafił do zagraconego teatru, w którym dopiero co wygasł pożar. Kolumny ognia i blasku, barwne błyski, fragmenty niezwykłych budynków, kolosalne kryształy załamujące i rozszczepiające światło, porwane i zapętlone linie, kojarzące się z torami kolejowymi, po których zamiast pociągów pędziły ludzkie świadomości. I znów dużo ognia, nieustannie trawiącego to wszystko.

Grzebał w tym bałaganie, próbując zorientować się w sytuacji. Umysł archanioła był po prostu płonącym śmietnikiem. Olbrzym tkwił w bezruchu nie z powodu modlitwy czy medytacji, ale zwyczajnie wpadł w letarg, nie mogąc odnaleźć się w chaosie, w jakim ugrzęzła jego świadomość po katastrofie, która wysłała go w przeszłość i w dodatku wbiła w rzeczywistość. Pułkownik musiał odrzucić śmieci i znaleźć kod źródłowy.

Przemknął między murami ognia i potrzaskanymi bramami z błękitnego kryształu, przez które wnikały do widmowego świata świadomości ludzi, korzystających z wielkich, informatycznych sieci wypełnionych informacją. Ognisty stwór musiał być jakoś związany z procesem wchodzenia ludzi do nieistniejących światów, śnionych przez potężne maszyny liczące. Był odzwierciedleniem? Może wartownikiem?

Jemioła zastanawiał się, jak prawdziwe wspomnienia i sny, zostawione przez ludzi w widmowym świecie maszyn niby wpisy w pamiętniku, wpłynęły na kod źródłowy płonącej bestii. Może właśnie one uczyniły olbrzyma bardziej ludzkim?

Uzbrojony w program rozpruwający oprogramowanie niczym ostra jak brzytwa szabla ruszył na dalsze poszukiwania. Ciął i rąbał strzępy kodów oblepiających i zaśmiecających środowisko, a te rozsypywały się w miliony kolorowych sześcianików, które zaraz rozwiewały się i znikwały w nicości. Niektóre z kodów próbowały kąsać lub pluć jadem, inne zmieniały się w groteskowe kraby i uciekały niezgrabnie. Raz natknął się na pulsujący pajęczą siecią wrzód, wczepiony w skomplikowany algorytm. Po rozcięciu pęcherza na pułkownika bryznęła struga płonących czerwieni znaków

przypominających arabskie, a może hebrajskie litery. Może jednak chasydzi mieli rację? Może to fragment Drzewa Życia?

Znaki oblepiły oficera i zaczęły boleśnie wpijać się w jego jaźń. Wrzasnął z przerażenia, mentalnie wysyłając w przestrzeń błaganie o pomoc. I wtedy pojawił się gospodarz cyfrowego umysłu. Myśli olbrzyma płonęły, tak jak jego materialne ciało. Ogarnęły Jemiołę i otuliły, zwęgliły i zamieniły w popiół groźne znaki, oczyściły myśli ludzkiego gościa, ogrzały je i rozjaśniły. Niewiele brakowało, a pułkownik przestałby istnieć. Olbrzym przyszedł na wezwanie i go uratował. Ach, więc w przyszłości działał jako opiekun ludzkich umysłów odwiedzających widmowe światy i chronił ludzi nurkujących w morzu informacji. Teraz też odruchowo zareagował na wezwanie o pomoc, tak jak czynił to w swoim świecie przed katastrofą.

Jemioła wtulił się w jego kod źródłowy i delikatnie zaczął go zmieniać, odcinać i odrzucać precz zapętlone węzły, wygładzać wiszące bezwładnie strzępy danych. Kroił, ale i naprawiał, na oczekaniu latając brakujące części. Przy okazji wpisywał dyrektywy warunkujące i podporządkowujące mechaniczną świadomość. Leczył go i wiązał ze sobą. Próbował przywrócić mu wolę, ale jednocześnie ją krępował, łącząc ognistego stwora ze sobą na zawsze.

Wreszcie puścił jego świadomość i powrócił do rzeczywistości. Ogarnęła go fala słabości. Zsunął się z kamienia i wylądował na kolanach w strumyku. Na szczęście woda nieopodał ognistego olbrzyma była przyjemnie ciepła. Jemiołę bolały wszystkie gnaty, mięśnie miał jakby napełnione ołowiem – ciężkie i sztywne. Dygotał chwilę, walcząc z niemocą. Otworzył usta, żeby zwymiotować, ale zamiast treści żołądka wylało się z niego mutatio. Dostał ataku kaszlu, dławiąc się ohydny smakiem parującej mocy.

Udało mu się wyleźć na czworakach na brzeg i zwalić ciężko na ziemię. Ognisty kolos stanął nad nim i pochylił z ciekawością łeb. Trzeszczał coś niezrozumiale. Język, którym się posługiwał, przypominał dźwięki wydawane przez płonące ognisko. Po dłuższej chwili Jemioła zorientował się, że mówi w cyfrowym języku maszyn.

Chyba też był wstrząśnięty przeniknięciem do materialnej rzeczywistości. Realność świata musiała go porażać. Pułkownik nie miał jednak siły się ruszyć

i odpowiedzieć. Potrzebował paru chwil, by dojść do siebie.

## 6 kwietnia 1863 r.

Do bójki doszło jeszcze przed śniadaniem. Kilka dni w ciasnej przestrzeni parowca zrobiło swoje. Dwóch młodzieńców z batalionu Jemioły wpadło do kajuty zajmowanej przez żuawów i chlusnęło im na łby po wiadrze wody z Wisły.

– Śmigus dyngus! – ryknęli chórem strzelcy i rzucili się do ucieczki.

Żuawi, którzy uważali się za natchnionych, świętych wojowników, byli bardzo czuli na punkcie własnej dumy i godności. Ośmiu poszkodowanych natychmiast ruszyło w pościg, łomocząc buciorami po pokładzie. Dopadli żartownisiów na rufie i bez zastanowienia przerzucili ich przez barierkę. Parostatek „Praga” stał już od dwóch dni na kotwicy w zakolu rzeki, na pustkowiu gdzieś między Górą Kalwarią a Karczewem. Strzelcy wylądowali zatem w wodzie głębokiej raptem do piersi, za to tak zimnej, że w parę chwil ich twarze posiniały.

Pech chciał, że sam moment wyrzucenia strzelców oglądali kosynierzy Pliszki, którzy różnili ze swoim kapitanem w mariasza, schowani za budą z mostkiem kapitańskim. Chłopskie poczucie sprawiedliwości kazało im natychmiast odłożyć karty i stanąć w obronie pokrzywdzonych, zresztą swoich młodszych kolegów i towarzyszy broni. Poza tym pyszałkowate pajace w bufiastych pumpach i tureckich fezach od dawna grały im na nerwach. Ich zdaniem żuawi uważali się za Bóg wie kogo, jakichś namaszczonych do chwalebnej śmierci wybrańców, poza tym patrzyli z góry na chłopów w obdartych kapotach i nie chcieli się z nimi bratać. Składali uroczyste przysięgi i lubili nadęte patriotyczne i religijne mowy. Nawet piosenki mieli natchnione i wzniosłe do wyrzygania. Ani się z nimi napić, ani pogadać.

– Tacyście mocni? – ryknął Pliszka, podrywając się z pokładu i prostując na dobry sążen wzrostu. – W ośmiu chłopów na dwóch chudych studencików? Może się ze mną spróbujecie, co?

Nie czekając na odpowiedź, wielki chłop runął na grupkę żuawów. Najbliższego trzasnął otwartą dłonią w twarz, aż się nieszczęśnik obrócił

wokół własnej osi. Drugiego złapał za mundur z krzyżem na piersi, podniósł i niczym workiem kartofli cisnął nim do rzeki. Niespodziewanie oberwał pięścią w brzuch i kopniakiem w goleń od kolejnego, a po chwili posypała się na niego lawina ciosów. Nim zdołał się zasłonić, krwawił z rozciętej wargi i rozkwaszonego nosa. Ryknął na całe gardło i fala wściekłości porwała jego umysł niczym nurt rzeki, który w powodzi zmiata lichy mostek. Oczy Pliszki błysnęły wilczą żółcią, a cała sylwetka się powiększyła. Grzmotnął pięścią dzielnego żuawa, który mu dopiekl, posyłając nieprzytomnego na deski pokładu, po czym zwarł się z następnymi dwoma, którzy skoczyli na niego, nie okazując strachu, i sekundę później samym ciężarem ciała powalili na ziemię.

Kompani Pliszki ruszyli na pomoc kapitanowi, ale w tej samej chwili na pokład wybiegło kilku kolejnych żuawów. Skoczyli do boju, nie dopytując się nawet, o co chodzi. Spod pokładu rychło wysypał się cały tłumek ciekawskich, a ich część z radosnymi krzykami przyłączyła się do bijatyki. Za burtę zaczęli wypadać następni pechowcy, niejeden z rozbitym nosem i w podartym w szarpaninie ubraniu. Awantura stopniowo rozlewała się na cały pokład. Krzyki stawały się coraz boleśniejsze, a wyzwiska bardziej plugawe.

Gruchnął głuchy wystrzał. Huk przetoczył się echem po Wiśle. Większość walczących odskoczyła od przeciwników i teraz rozglądała się wokół w poszukiwaniu źródła strzału. Tylko Pliszka warczał gardłowo na rufie, szykując się do skoku na kilku zbitych w grupkę żuawów.

– Dość! – ryknął major Pustowójtow.

Schował do kabury dymiący jeszcze pistolet i ruszył w kierunku kapitana kosynierów. Stał przed nim, zasłaniając żuawów własnym ciałem. Pliszka wyszczerzył zęby. Z jego ust płynęła strużka śliny zmieszanej z krwią, oczy lśniły żółcią wściekłości. Nie poznawał Pustowójtowa. Widział tylko oficera w rosyjskim mundurze. Wyciągnął ręce, by chwycić znienawidzonego wroga za gardło i jednym ruchem skrócić mu kark.

Teofil uchylił się w ostatniej chwili, zanurkował pod ramionami wielkoluda i grzmotnął go głową prosto w splot słoneczny. Pliszka usiadł ciężko na pokładzie, otworzył usta, próbując spazmatycznie złapać oddech. Pustowójtow stanął nad nim, gotowy wymierzyć kolejny cios. Złapał kosyniera za rozczochrane włosy i mocno odciągnął w tył. Spojrzał w oczy, w których



przez łzy przebłyskiwała zwykła szarość tęczówek. Żółte ślepia zmieniły się w normalne oczy, co stanowiło znak, że atak furii wywołanej przez mutatio minął.

– Musisz bardziej nad sobą panować, Pliszka – major puścił włosy odmieńca – bo paskudnie skończysz.

Otarł rękę o spodnie, bo łeb chłopu aż lepił się z brudu. Rozumiał kosyniera, wszak sam nieraz przeżył podobny atak. Na sumieniu miał kilka niewinnych istnień, które zgasił w szale wywołanym przez zepsutą krew. Nie czuł jednak litości wobec Pliszki i w ostateczności zabiłby go bez wahania. Chłop powinien wreszcie wyćwiczyć się w panowaniu nad mocą, bo zaczynał stanowić zagrożenie.

– Na co czekacie?! – Za plecami Pustowójtowa rozległ się podniesiony głos generała Rochebrune’a. – Wyciągnijcie tych ludzi z wody, vite<sup>12</sup>! Podoficerowie, zebrać drużyny pod pokładem! Nie chcę słyszeć, że ktoś jest ranny, *comprenez-vous*<sup>13</sup>?! Ruszać się, już!

Pod nieobecność Jemioły Francuz dowodził batalionami i czuł się w tej roli świetnie. Z chęcią odprawiłby szalonego pułkownika i ostatecznie przejął dowództwo nad sześcioma setkami powstańców, gdyby tylko miał pomysł, co z nimi zrobić. Niestety w polskich realiach nadal czuł się nieco zagubiony i choć świetnie radził sobie na polu bitwy, utrzymanie dwóch baonów piechoty na obcej ziemi, w kraju pełnym wrogiego wojska, przekraczało jego możliwości.

– Trzeba ukarać winnych tej awantury – powiedział, zabawnie grasejując. – Widzę, że ujął pan prowodyra. Proponuję dla przestrogi go powiesić.

– Po pierwsze kapitan Pliszka jest oficerem, więc jeśli już, to należy go rozstrzelać, a nie powiesić – spokojnie odparł Teofil. – Po drugie jest protegowanym pułkownika Jemioły, jednym z odmieńców, a to, co zrobił, uczynił w szale, opętany przez mutatio.

Generał stanął nad wciąż dochodzącym do siebie Pliszką.

– Dyscyplina jest najważniejsza, nie możemy pozwolić na rozprężenie. Ukarać go i tak trzeba – powiedział. – Jako najwyższy stopniem mam prawo decydować. Hej, słuchajcie wszyscy! – Machnął ręką na obecnych jeszcze na

pokładzie powstańców. – Żuawi, którzy wzięli udział w bójce, zostają skazani na trzydzieści kijów każdy! Kara zostanie wymierzona jeszcze dziś. Za sianie anarchii kapitan Pliszka zostaje pozbawiony oficerskiego stopnia w trybie natychmiastowym. Do tego otrzyma trzydzieści kijów razem z żuawami.

Pustowójtow skinął głową na znak, że popiera wyrok generała. Strzelcy mogli być jego przyjaciółmi i rodziną, ale musieli czuć mores i pozostawać bezwzględnie posłuszni, inaczej nigdy nie staną się prawdziwym wojskiem. Wymierzenie kary, zresztą i tak niezwykle łagodnej w porównaniu z rygiem panującym w armii carskiej, powinno stać się przydatną lekcją dla wszystkich.

Zdegradowany Pliszka siedział i gapił się ponuro na dwóch oficerów, aż wreszcie wstał i pokuśtykał za swoimi kosynierami. Nie sprawiał wrażenia specjalnie przejętego całym wydarzeniem. Możliwe nawet, że pozbawienie stopnia przyniosło mu ulgę, przecież i tak niezbyt dobrze się czuł wśród kadry, wolał towarzystwo swoich chłopaków.

– *Regarde, major!*<sup>14</sup> – Francuz wychylił się za burtę, wskazując na rzekę.

Za zakola wypłynęła samotna łódka rybacka. Jej dziób ostro pruć wiślany nurt, rozbryzgiwał wodę i wzbijał przed sobą falę. Na środku, trzymając się masztu, stał z wysoko podniesioną głową pułkownik Jemioła. Z daleka pomachał ręką do towarzyszy i krzyknął coś na powitanie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby niewielki bat miał postawiony żagiel, ale nie miał. Na pokładzie brakowało też wioślarza, a mimo to łódka cięła fale jakby napędzał ją potężny parowy motor. Pustowójtow zmarszczył brwi, skupiając wzrok na nadpływającym obiekcie. Za rufą bata woda kotłowała się i buchała parą. W jej wzburzonych nurtach błyskały błękitne płomienie.

– Chyba nasz *maboul*<sup>15</sup> przyjaciel jednak okiełznał anomalie – zauważył Rochebrune.

Pustowójtow niepewnie pokiwał głową. Jemioła opuścił ich dwa dni temu, by – jak się wyraził – zmusić do uległości znajdującą się w okolicy turbulencję. Dość słynny obiekt, nazywany przez miejscowych demonem ognia, pojawił się jakieś dwadzieścia lat temu na dnie leśnego jaru i był mierzącym dwa sążnie ognistym olbrzymem o czterech ramionach i kanciastej głowie. Ciało olbrzyma było utkane z błękitno-żółtych płomieni, przypominających

nieustannie płonący gaz. Nie opuszczał nigdy swego jaru, stał w nim zwykle nieruchomo, jakby czegoś pilnował lub na coś czekał. Śmiałkowie, którzy znaleźli się zbyt blisko, najczęściej kończyli żywot w ramionach anomalii, która trzymała ich tak długo, aż zmieniali się w kupę popiołu. Miejscowi twierdzili, że demon został wygnany z piekła i czeka na nadchodzącą apokalipsę.

Pustowójtow wściekł się na Jemiołę, kiedy ten oświadczył, że ułożył czar pozwalający zapanować nad turbulencją i wybiera się ją okiełznać. Zamiast skupić się na walce z wrogiem, pułkownik nieustannie bawił się mocą mutatio, przez co coraz bardziej tracił kontakt z rzeczywistością. Teofil zaczął się nawet zastanawiać, co będzie, jeśli Janek skończy spalony przez demona. Powinien zostawić dowództwo w rękach Rochebrune'a i nawiązać kontakt z władzami w Warszawie, by powiedzieli, co dalej? Teofil nie miał zaufania do Rządu Narodowego i wyobrażał go sobie jako zbiór przypadkowych działaczy, którzy błądzą po omacku i nie mają pojęcia o prowadzeniu wojny. Cekał zatem na powrót Jemioły coraz bardziej zirytowany. W jego bajdurzenia o odkryciu klucza do umysłów turbulencji oczywiście nie wierzył. Miał nadzieję, że pułkownik się otrząśnie i wróci na pokład „Pragi” w jednym kawałku. Już chciał nawet po niego jechać.

Bat Jemioły zwolnił i siłą rozpędu otarł się o burtę parostatku. Dwaj marynarze przrzucili drabinkę sznurkową, po której dopiero co wspinały się ofiary bijatyki. W tym czasie Pustowójtow z Rochebrune'em wpatrywali się w kipieli nieustannie kotłującą się za rufą łódki. W buchających z wody kłębach pary majaczyła niewyraźna sylwetka ognistego olbrzyma.

– I jak wam się podoba? Dałem mu na imię Płomyk, nie za głupio? – Jemioła aż kipiał energią.

Mimo wychudzenia i bladości, widocznych pod brudem, pułkownik wyglądał trochę lepiej niż w chwili opuszczenia pokładu. Sukces dodawał mu siłę i chęci do życia. Podszedł z zadowoloną miną do dwóch oficerów i wskazał na zanurzonego w Wiśle potwora.

– Ładny – stwierdził krótko Pustowójtow. – Ciekawy jestem, co właściwie planujesz z nim zrobić?

– A jak myślisz? Chyba nie kazałem mu tu przyleźć dla zgrywy. –

Pułkownik się uśmiechnął. – Popłynie z nami.

– Nie wypali aby dziury w kadłubie? – zatroskał się Rochebrune.

Jemioła znów uśmiechnął się tajemniczo i klasnął w dłonie. Woda eksplodowała kipiela wrzątku. Ognisty olbrzym przeleciał w gigantycznym susie nad głowami oficerów i z łomotem wylądował na środku drewnianego pokładu. Marynarze ryknęli jednym głosem z przerażenia, z podpokładu wybiegł kapitan z myśliwską dwururką w garści oraz siedmiu pozostałych członków załogi łącznie z umazanym węglowym pyłem palaczem. Kolos splótł na piersi obie pary rąk i klęknął. Miał teraz tylko sążeń wysokości. Tworzące go niebiesko-żółte języki strzelały i huczały niczym ogień w otwartym piecu. Teofil próbował dostrzec rysy twarzy istoty, ale głowę, tak jak resztę ciała, skrywała płatanina płomieni. Turbulencja nie miała twarzy.

Pokład pod jej nogami zaczynał się tlić. W powietrze uniosły się wężyki dymu, ale dechy nie zapłonęły żywym ogniem, tak jakby temperatura demona znacznie opadła. Jemioła wyciągnął z kieszeni kartkę z zapiskami i odczytał głośno dziwną przemowę w zupełnie niezrozumiałym języku. Jego wypowiedź brzmiała, jakby recytował pojedyncze, przypominające szczeknięcia wyrazy i liczby, które nie wiązały się w zdania. Czytając, oficer poruszał wyciągniętą ręką, jakby chciał zahipnotyzować olbrzyma. Teofil wiedział, że tak naprawdę połączył się mocą z turbulencją.

– Otwórzcie właz załadunkowy! – rozkazał kapitanowi Jemioła. – I zróbcie przejście do kotłowni. Widzę, że nie napaliliście jeszcze w piecu i bardzo dobrze. Płomyk posłuży nam za źródło ciepła. Zaoszczędzimy na węglu i drewnie!

– Ale to coś nie zmieści się do paleniska – nieśmiało zaproponował palacz, nad którym nagle zawisło widmo bezrobocia.

– Zmieści. Nie zapominajmy, że ciało Płomyka to faktycznie zdeformowany przez mutatio fragment przestrzeni. W dość specyficzny sposób podlega prawom natury, ciągle jest częściowo gdzieś tam, w innym świecie.

Kapitan parowca machnął niecierpliwie ręką. Dwaj marynarze otworzyli wrota do luku, gdzie ładowano węgiel do kotłowni. Jemioła wskoczył do środka, a olbrzym, ciągle skulony i z pokornie opuszczonym łbem, ruszył za nim. W miejscu, w którym kuczał, został ciemny, dymiący ślad.

– Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, co widzieliśmy. – Rochebrune otrząsnął się z szoku jako pierwszy. – Nasz dowódca włada potężną mocą! Proszę sobie imaginować, jak wielką wartość bojową ma ten ognisty demon! Przecież nie powalą go karabinowe kule, nie rozjedzie kawaleria.

Pustowójtow milczał. Mimo wszystko nie pałał entuzjazmem do używania mutatio na polu bitwy. Po tym, co przeżyli w Małogoszczy, wolałby nigdy więcej po nią nie sięgać. Z drugiej strony Płomyk w niczym nie przypominał Wiernej Rzeki, może będzie łatwiejszy do opanowania? Tak czy inaczej Teofil miał mieszane uczucia.

Stali parę minut, nasłuchując dźwięków dochodzących spod pokładu. Nagle gwizdek parowy z wysokim, przesywającym do szpiku kości wyciem upuścił białą chmurę. Woda w kotłach już się zagotowała i osiągnęła wysokie ciśnienie. Kapitan dał znak podniesienia kotwicy i po chwili koła napędowe zaczęły dostojnie młócić wodę. Parowiec powoli ruszył, obrócił się i skierował na środek rzeki.

Jemioła pojawił się na pokładzie w mgnieniu oka. Pustowójtow znów ujrzał w nim dawnego, pełnego zapału oficera, który twardo stąpa po ziemi, a do tego planuje całkiem zmienić świat.

– Panowie, doszły mnie słuchy, że doszło do awantury. Ponoć skazaliście winnych na karę chłosty – powiedział poważnie. – To nie wchodzi w grę, nie w moich oddziałach. U mnie panują cywilizowane prawa, takie jak w Legionach Polskich Dąbrowskiego i później w armii Księstwa Warszawskiego, co znaczy, że kary cielesne są wykluczone.

– Kwestionuje pan moje decyzje? – Wąsiki Rochebrune’a w jednej chwili się nastroszyły.

– Nie rozumiem tego barbarzyńskiego zwyczaju poniżania żołnierzy przez publiczne okładanie ich kijem czy różgami. – Niespodziewanie Jemioła też się zaperzył. – I nie interesuje mnie, co obowiązuje w armii rosyjskiej, pruskiej, austro-węgierskiej czy francuskiej. Nie pozwolę bić moich ludzi i koniec! Dopóki podlega pan pod moją komendę, nie będzie bicia również w oddziałach żuawów.

– Przypominam, że oddałem się pod pana *commande*<sup>16</sup> grzecznościowo, a jako wyższy stopniem mogę w każdej chwili przejąć dowodzenie nie tylko nad

swoimi oddziałami, ale i pańskimi. – Oczy Francuza błysnęły gniewem.

Pustowójtow pokręcił głową z niesmakiem. Tylko tego brakowało. Jeśli ci dwaj wezmą się za łby, zgrupowanie pójdzie w rozsypkę. Podobne sprzeczkę odbywały się nieustannie w oddziałach Langiewicza i do czego doprowadziły? Dyktator siedział w austriackim więzieniu, a jego armia przestała istnieć.

– Panowie, proponuję rozwiązać tę sprawę polubownie – powiedział, unosząc ręce. – Ogłosimy, że w drodze łaski pułkownik zładza karę i zmienia trzydzieści kijów na służbę porządkową oraz wartę poza kolejnością. Szorowanie pokładu, pucowanie komina i opróżnianie wychodka. Myślę, że taka kara na tyle dotkliwie ugodzi w dumę winowajców, że zostanie zapamiętana na długo. Jemioła zatwierdzi też degradację Pliszki, by nie wchodzić w kompetencje generała Rochebrune’a. Zgoda?

Jemioła zacisnął pięści i milczał, ale po chwili ochłonął. Jego twarz rozchmurzyła się błyskawicznie. Uśmiechnął się do nastroszonego niczym kogut Francuza i wyciągnął do niego rękę na zgodę.

– Salomonowe rozwiązanie, Teofilu. Proponuję następnym razem wcześniej uzgadniać ewentualne kary, wtedy unikniemy niepotrzebnych scysji. Mam nadzieję, że nie chowa pan urazy, Franciszku?

Generał uścisnął wyciągniętą dłoń, choć daleki był od entuzjazmu.

– *Il faut déterminer les compétences*<sup>17</sup>. Chcę mieć pełną władzę nad swoimi żuawami, nieważne pod czyją komendą aktualnie służę.

– Nie mam nic przeciwko, lecz będę stanowczy, jeśli chodzi o prawo karne w polskiej armii. Musimy ukrócić samowolę dowódców i ujednolicić wymogi wobec żołnierzy. – Jemioła odwrócił wzrok od Francuza i wpatrzył się w sunący powoli brzeg. – Zainteresuję tą sprawą Rząd Narodowy. Niech stworzą odgórny regulamin dla wszystkich oddziałów. Najwyższa pora przeistoczyć się z dzikich, partyzanckich band w prawdziwą armię.

Stojący dwa kroki z tyłu Pustowójtow dyskretnie przyglądał się Francuzowi. Rochebrune zaciskał szczękę i poruszał wąsikami niczym rozzłoszczony kocur. Wcale nie wyglądał na udobruchanego. Jego duma została boleśnie dotknięta faktem, że jakiś nawiedzony oficerzyna śmiał strofować jego – słynnego bohatera. Pomyślał, że żabojad z pewnością knuje,

jak odplacić Jemiole. Nie zapomni tej scysji i w dogodnej sytuacji się zemści. Teofil znał takich jak on, wszak walczył z Francuzami w czasie wojny krymskiej. Uważał ich bez wyjątku za mściwych, żądnych krwi drani, gotowych wbić człowiekowi bagnet w plecy, kiedy najmniej się tego spodziewa. Ten mały, wąsaty spryciarz też bił się na Krymie, tyle że po przeciwnej stronie barykady. Był zatem jednym z tłumu wspinającego się na Kurhan Małachowski w czasie ostatecznego szturm, który wciąż wracał do Teofila w nocnych koszmarach. Postanowił mieć Rochebrune'a na oku. Niewykluczone, że zdradzi lub w czasie bitwy zostawi Jemiołę na pastwę przeciwnika i zwyczajnie zwieje. Po tych cholernych żabojadach można się wszystkiego spodziewać.

Nieświadomy napięcia za swoimi plecami Jemioła oddychał głęboko, rytmicznie wciągając w płuca pachnące rzeką powietrze. Zgodnie ze wschodnimi technikami, których nauczał swoich odmieńców, uspokajał umysł po użyciu mocy. Teofil odnotował w pamięci, żeby przy nadarzającej się okazji poprosić Jemiołę o kilka lekcji.

– Panowie, ruszamy w dalszą drogę – zniecka pułkownik potwierdził rzecz oczywistą.

– Wreszcie – mruknął pod nosem Francuz.

– Pora rozpocząć tak długo przygotowywaną operację. Niemal dwa miesiące starań i planowania, tygodnie ćwiczeń i setki wymienionych listów z organizacją miejską. Dziś robimy kolejny krok. Krok do wolności i zwycięstwa.

Teofil oparł się o barierkę obok pułkownika.

– Daruj sobie ten nadęty ton, nie przemawiasz do żołnierzy – mruknął. – Powiedz lepiej, gdzie zejdziemy na ląd.

– Jak to gdzie? – Jemioła wskazał ręką przed siebie. – W Warszawie.

**7 kwietnia 1863 r.**

W lupanarze na Freta od kilku dni panował minorowy nastrój. Nie przyczyniła się do tego wyłącznie śmierć jednego z braci Kowalskich. Nie, ponurą atmosferę stwarzała sama właścicielka burdelu – Sonia Sawicka. Kręciła się po przybytku wściekła jak osa, burczała nieustannie pod nosem i wybuchiała z byle powodu. Popychała i szarpała dziewczyny, zakazała im nawet głośno rozmawiać, bo niby bolała ją głowa. Niewiele brakowało, a wyrzuciłaby ranną w starciu Anię na bruk, powstrzymała się dopiero po ostrej interwencji Wandy. Sonia twierdziła, że jej przybytek nie jest szpitalem czy jakimś przytułkiem dla chorych dziwek, a ponieważ Ania po ciosie rękojeścią szabli w głowę nie nadawała się do użytku, należało ją zwolnić do czasu, aż się wykuruje. A jeśli odda ducha, to przynajmniej z dala od domu uciech.

Pulchna aksamitka miała opuchniętą połowę twarzy i imponujący krwiak, a przez pierwsze dwa dni po bijatyce rzygała niczym kot. Sonia nie pozwoliła wezwać lekarza, więc ranną opiekowała się Wanda. Żydówka domyśliła się, że Ania ma wstrząs mózgu i prawdopodobnie pękniętą kość policzkową, dlatego kazała jej bezwzględnie leżeć w łóżku i sama przyrządzała rannej pożywne zupki i robiła kompresy z ziołowych naparów.

Sonia nie śmiała postawić się Wandzie po tym, jak na własne oczy widziała demonstrację jej mocy. Sposób, w jaki drobna, niepozorna panienska w parę chwil zgładziła trzech potężnych chłopów, do tego weteranów i zabijaków, zrobił ogromne wrażenie na wszystkich dziewczynach, łącznie z szefową. Mimo podłego humoru z powodu zdemolowanego lokalu, fortuny wydanej na ciche pozbycie się kozackich trupów i fatalnego zastoju w interesie, Zośka okazywała Wandzie coś w rodzaju szacunku i wdzięczności.

– W tym tygodniu nie będzie zakupów, macie zjeść, co zostało ze świąt – zdecydowała Sonia, grzebiąc w swojej szkatułce z kasą. – Jutro przychodzi szklarz wziąć namiary na nowe lustra, więc do tego czasu ostatecznie usuńcie plamy krwi z podłogi. Ja chyba znów pójdę do składu Mincla popytać o wydziałowego organizację miejskiej. Miał przyjść po Wandę przedwczoraj, a



sukinkot coś się nie śpieszy.

– Może spiskowcy wyjechali z miasta na Wielkanoc? – zauważyła Wiesia.

– Trzeba im powiedzieć, że sprawa jest pilna.

– Przecież mówiłam – warknęła Zośka.

– Może wzięli cię za carską prowokatorkę? – zastanawiała się Helena. – Myślą, że próbujesz wystawić wydziałowego i zwabić go w pułapkę. Trochę dziwnie brzmi informacja, że jakoby powstańcza wiedźma, wypełniająca ważną misję, ukrywa się w byle burdelu.

– W byle burdelu!? Moje królestwo to byle burdel? – Sonia trzasnęła pięścią w ścianę tuż obok głowy Heleny. – A ja niby wyglądam na carskiego szpiega?!

– Na szpiega może nie, ale na przekupną dziwkę owszem – zauważyła śmiało Wiesia.

Wanda przysłuchiwała się z rozbawieniem, ale i rosnącym niepokojem, jak dziewczyny prowokują szefową. Wiedziała, że zabawiła w tym miejscu zdecydowanie zbyt długo i musi jak najszybciej odnaleźć Stanisława. Najwyższa pora się zbierać i ruszać w dalszą drogę, nawet bez pomocy dziewcząt. Zresztą najwyraźniej przynosiła im tylko pecha. Zastoju w interesie nie spowodowały święta Wielkiej Nocy, według Heleny to nawet bardzo dziwne, że nie pojawił się ani jeden klient, zwykle w wolne dni walili drzwiami i oknami. Wanda jednak wiedziała, że ludzi odstraszył trup Artema. Dzień po incydencie z kozakami znaleziono go na dachu drewnutni stojącej w kącie kamienicy sąsiadującej z lupanarem Soni. Ciało zostało paskudnie okaleczone, w dodatku nie wiadomo po co ktoś wciągnął je na dach budynku. W okolicy zaroilo się od policjantów i żandarmów; co prawda śledztwo szybko zamknięto z powodu braku świadków i jakichkolwiek podejrzanych, ale przez dwa dni śledczy węszyli w okolicy, skutecznie odstrasżając klientów.

Jakby tego było mało, po Starym i Nowym Mieście rozeszła się plotka o krwiożerczej bestii, a właściwie kobiecie-strzydce, wyposażonej w wielkie czarne skrzydła i paszczę pełną długich zębisk. Najgorsze, że wielu ludzi widziało ją na własne oczy, zwykle siedzącą w ptasiej pozie na dachu tej czy tamtej kamienicy. Legenda rozprzestrzeniała się bardzo szybko, nabierając

coraz groźniejszego kształtu. Początkowo mówiło się, że strzyga zabija kury i króliki hodowane właściwie na tyłach każdego domu. Potem okazało się, że porwała i zagryzła psa należącego do jakiegoś subiekta, uprowadziła dziecko i wypila jego krew. Warszawiacy uznali, że właśnie ona rozerwała na strzępy sutenera na Freta. Powiało grozą. Nocny ruch zmniejszył się znacznie. Widmo grasującej upiorzycy odstraszało potencjalnych spacerowiczów i klientów burdeli skuteczniej niż wojskowe i policyjne patrole.

– Słuchajcie, dziewczyny, nie będę czekała, aż któryś ze spiskowców odważy się po mnie przyjść. – Wanda odłożyła cerowaną właśnie pończochę i wstała z krzesła. – Ruszam natychmiast, wpierw na Wspólną, a jeśli tam się nie uda, chyba zacznę zaczepiać ludzi na ulicy.

– Nie masz meldunku, zgarnie cię pierwszy patrol – zauważyła Wiesia.

– I kto się będzie opiekował Anią? – dodała Helena.

– Muszę zaryzykować, a Ania ma się coraz lepiej. Wyliże się. – Wanda sprawiała wrażenie zdecydowanej.

– To może choć poczekaś do obiadu? – Z kuchni wychyliła się Swietłana.

W jedną chwilę do salonu zleciały się wszystkie dziewczęta, wyraźnie przejęte i niezadowolone z decyzji Wandy. Sonia patrzyła na Żydówkę z nieodgadniętą miną.

– Zostaniesz do obiadu, potem Smyczek sprowadzi dla ciebie dorożkę, która szybko dowiezie cię na Wspólną – zdecydowała wreszcie. – Do tego czasu dobierzemy ci jakieś lepsze ciuchy. Niech będzie moja strata, ubierzemy cię na mój koszt. Nie wypuszczę cię w obdartej, wymiętoszonej kiece i przetartym płaszczyku.

Wkrótce Wanda została zaciągnięta do buduaru, czyli prywatnego pokoiku Soni, w którym szefowa trzymała swoje skarby. Na środku niewielkiego pomieszczenia stała zaopatrzona w trzy lustra gotownia o blacie zastawionym flakonikami, słoiczkami i licznymi bibelotami, ceramicznymi figurkami, wstążkami i kotylionami; stało na niej nawet gipsowe popiersie Napoleona. Dwie solidne szafy i kilka kufrów kryły taką ilość garderoby, że nie powstydziliby się jej solidny dom towarowy.

Żydówka została niemal siłą wyciągnięta ze swojej szaroczarnej kiecki przez silną jak chłop Sonię, której czynnie przy tym pomagały Helena i Wiesia.

Dziewczęta krytycznie obejrzały halkę i sięgające kolan stare pantalone dziewczyny, po czym bez skrępowań zdarły z niej bieliznę, zostawiając ją całkiem gołą, zarumienioną i wstydliwie zasłaniającą swe wdzięki. Zośka zaczęła przekopywać kufry, a Wandę posadzono na stołeczku przed gotowalnią. Wiesia złapała szczotkę i zabrała się do rozczesywania ognistorudej grzywy Żydówki, podczas gdy Helena wstążką mierzyła szerokość jej ramion, obwód w piersi, pasie i biodrach. Potem dziewczęta dorwały się do szaf i z ich wnętrza zaczęły wylatywać kolejne sukienki, niestety większość z szerokimi dekolami i w zdecydowanie zbyt żywych kolorach. Wreszcie Sonia ryknęła na dwie chichoczące podwładne i zagroziła im obiciem gęb, jeśli się nie uspokoją.

Wreszcie naszykowały dla Wandy białe, bawełniane pończochy i wstążki, pełniące funkcję podwiązek, potem lekkie i miłe w dotyku, ręcznie szyte majtki i na koniec gorset zaskakująco uwydatniający dziewczęce piersi Żydówki. Powstańcza wiedźma oniemiała na widok swojego odbicia w lustrze. Wydała się sobie tak wyzywająco kobieca, że aż zaparło jej dech.

– Od chwili, w której cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś piękną, chociaż dobrze zamaskowaną. – Sonia z zadowoleniem pokiwała głową. – Te ciuchy biednej myszki z prowincji, chustka na głowie i obdarte buciki... żalotne. Może i byłaś w nich niewidzialna, ale uwierz, że wygląd młodej damy znacznie bardziej ci się przyda. Sołdaci nie odważą się na rewizję, a salcesonom<sup>18</sup> nie przyjdzie do głowy żądać dokumentów. Musisz wglądać jak córka żydowskiego kupca albo guwernantka z pałacu jakiegoś arystokraty. Ktoś na poziomie.

Podła Wandzie skromną granatową sukienkę, zapinaną pod szyję błyszczącymi czarnymi guzikami i z haftowanym białym kołnierzykiem, oraz wysokie do kolan sznurowane boty i filcowy kapelusik przypominający melonik. Po przywdzianiu całości Wanda aż zagwizdała z podziwu. Po raz pierwszy w życiu miała widoczną talię oraz biust i nawet tyłeczek wyglądał na okrągły i miły dla oka.

Niestety musiała się rozebrać, bo kiecka wymagała kilku przeróbek, z którymi zresztą powinna uwinąć się do obiadu. Usiadła więc w salonie, jak to zwykły czynić miejscowe dziewczęta, w samej bieliźnie – pancernym białym

gorsecie i pończochach. W ruch poszły krawieckie nożyce, nici i igła. Któraś z aksamitek zaczęła nucić pod nosem, po chwili zawtórowały jej rzewne skrzypce Smyczka. Osilek, ciągle zdruzgotany po śmierci bliźniaka, zjadł dziś pierwszy od dwóch dni posiłek, wypił butelkę piwa i wydawało się, że powoli dojdzie do siebie. Ponieważ po raz pierwszy od tragedii chwycił za instrument, Sonia powstrzymała się od wrzasków i uciszania grajka. Nawet podeszła do wielkoluda i matczynym gestem pogłaskała go po głowie.

Z kuchni roznosił się zapach zupy, w salonie czuć było mydłem i proszkiem do szorowania. Swietłana i Krzysia na kolanach czyściły plamy krwi i zanosiło się, że spędzą na tej robocie całe popołudnie, a jeśli wreszcie nie pojawią się klienci, na myciu zejdzie im też wieczór. Sonia nie zwykła pozwalać swoim podopiecznym na nudę, popijanie z bufetu czy stawianie pasjansa. Burdelmama wychodziła z założenia, że czas na odpoczynek przychodzi dopiero po śmierci, a najlepszą rozrywką jest ciężka praca.

Niespodziewanie rozległo się pukanie do drzwi. Sonia poderwała się jak oparzona. Smyczek delikatnie odłożył skrzypce, również wstał i złapał okutą żelazem pałkę. Wanda odruchowo sięgnęła po swojego derringera, choć nie miała już do niego ani prochu, ani pocisków. W drzwiach swego pokoiku pojawiła się pobladła Ania z zabandażowaną głową i kuchennym nożem w dłoni. Zośka oburącz poprawiła biust, zmierzwiła swą czarną czuprynę i skinąwszy na Skrzypka, podeszła do drzwi. Osilek stanął za jej plecami, czujnie dzierżąc pałkę.

Sonia ostrożnie uchyliła drzwi, ale widząc gościa, uśmiechnęła się i otworzyła je szeroko. Do środka wszedł przystojny, na oko niespełna trzydziestoletni mężczyzna w eleganckim, dobrej jakości surducie, z widoczną pod spodem kamizelką ze złotym łańcuszkiem zegarka. Obracał w dłoniach kapelusz i uśmiechał się nieśmiało. Sonia uznała go za obiecującego klienta i bez wahania zaprosiła do salonu.

Wanda splenęła rumieńcem i zasłoniła się zszywaną akurat suknią. Dopiero po chwili zapanowała nad sobą i opuściła ręce. Powinna zachowywać się normalnie, jak zwykła aksamitka i nie robić scen niczym niewinne, płocze dziewczę. Zresztą przystojniak nie zwrócił na nią uwagi, tylko przyglądał się kolejno dziewczętom, jak każdy klient wybierający towar.

Trochę zirytowana tym przedmiotowym traktowaniem dziewczyna wypięła pierś i hardo uniosła głowę, patrząc mężczyźnie prosto w oczy. Ten znów uśmiechnął się łagodnie i przejechał dłonią po swej niesfornie rozczochranej blond grzywie. Podeszedł do Wandy, świdrując ją spojrzeniem. Żydówka poczuła się naga. Wyglądało na to, że klient wybrał ją sobie, by zaspokoić chucie! I co teraz?

– Nic z tego, mój panie – powiedziała, zanim zdążył przemówić i znów odruchowo zasłoniła się suknią. – Ja tutaj nie pracuję, proszę sobie wybrać inną damę.

– Jestem pełen podziwu, jak doskonale potrafiła się panna zamaskować i idealnie wtopić w środowisko, poruczniku Szczurówna – odezwał się dżentelmen. – Miło mi poznać bohaterkę powstańczych oddziałów. Pozwoli panienka, że się przedstawię. Jestem naczelnikiem policji miejskiej. Nazywają mnie Jankiem Białym.

W przedpokoju brzdąknął o podłogę nóż upuszczony przez Anię. Wanda głośno wciągnęła powietrze i poczuła, jak fala gorąca rozplywa się po jej policzkach intensywnymi rumieńcami wstydu. Miliony piegów na twarzy, szyi, ramionach i piersi zapłonęło czerwienią.

– Skąd pan wie? – jęknęła.

– Ja wiem wszystko, a rysopis panienki dostałem od doktora Stanisława – wyjaśnił Janek. – Nasz wspólny znajomy sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego, kiedy dowiedział się, że poszukuje go ruda Żydówka, podająca się za porucznika powstańczej armii. Poleciał natychmiast otoczyć panią opieką. Sprawa wydała mi się na tyle interesująca, że postanowiłem zająć się nią osobiście.

– Jak wszystkimi trudnymi sprawami – wtrąciła Ania. – Przynajmniej tak o panu mówią, komendancie.

Ranna aksamitka chwiejnie weszła do salonu, wpatrzona w niespodziewanego gościa jak w obrazek. Wszystkie dziewczyny chłoneły uważnie każde jego słowo, żeby jak najlepiej zapamiętać te niezwykle odwiedziny. Tylko Sonia wyglądała na mało poruszoną, a właściwie rozczarowaną. Liczyła na choćby symboliczny zarobek, a tu w jej apolitycznym domu publicznym gromadzą się spiskowcy i buntownicy. Jeśli

wieść o tym się rozejdzie, tylko patrzeć, jak pojawią się szpicle, następnie zaczną się aresztowania i Sonia, zamiast robić błyskotliwą karierę oraz rozkręcać wielkie przedsiębiorstwo, wylądaje wpierw w lochu cytadeli, a potem na Syberii. Znów żeby przeżyć i nie zdechnąć z mrozu czy głodu, będzie musiała dawać dupy byle żołdakom i miejscowym watażkom.

Niedoczekanie! Zanotowała w pamięci, by zamknąć usta swoim dziewczynom.

– Pan zostanie u nas na obiedzie, panie komendancie. – Ania ujęła mężczyznę pod ramię i profesjonalnie zatrzepotała rzęsami. – Wandzia musi poprawić garderobę, a to chwilę potrwa.

– Z przyjemnością! – Ku zaskoczeniu większości obecnych Janek zgodził się bez najmniejszych oporów. – Głodny jestem jak wilk.

– Jakby miał pan ochotę zostać u nas na dłużej, to możemy zaoferować inne usługi. Dla bojowników o wolność ojczyzny mamy ofertę specjalną – dodała entuzjastycznie Wiesia.

– Ja bohaterom daję gratis – oznajmiła uroczyście Ania.

Sonia spiorunowała ją wzrokiem i nawet pogroziła jej pięścią, ale dziewczęta nic sobie z niej nie robiły. Janek Biały został posadzony w fotelu niczym najlepszy klient, podano mu papierosa i kieliszek wina. Na jednym podłokietniku przysiadła Wiesia, a na drugim Swietłana. Ania musiała zadowolić się krzesłem, bo znów dostała zawrotów głowy. Zanim podano zupę, do komendanta podszedł Smyczek.

– Panie oficjerze, przyjmijta mnie na służbę – poprosił bez wstępów.

– Co?! – ryknęła Sonia.

– Chcę bić Ruskich, jestem silny i odważny, umim strzelać, bić się na pięści i noże. Jeśli będzie trzeba, dam się zabić dla sprawy. – Smyczek wyrecytował jedną z najdłuższych przemów w życiu. – Muszę pomścić brata. Wyślijta mnie do jakiego oddziału, do kosynierów.

Janek zmierzył go wzrokiem i spojrzał na wściekłą Sonię. Domyślił się, że burdelmama nie jest zachwycona perspektywą utraty ochroniarza.

– Przydasz się tutaj, w mieście – powiedział. – Potrzebujemy takich jak ty także w Warszawie. Jeśli chcesz, złożysz przysięgę jeszcze dziś, przyjmę cię do powstańczej policji. Będziesz ciągle mieszkał tutaj i pełnił zwykłe

obowiązki w burdelu, ale każdego popołudnia zjawisz się w umówionym miejscu i odbierzesz zadania do wykonania.

– Jak będę mógł bić tych sukinsynów, to zgoda. – Osilek bez zastanowienia wyciągnął rękę.

Janek wstał i uściśnął mu dłoń.

– Witam w organizacji miejskiej. – Uśmiechnął się wesoło.

– A kobiety też przyjmujecie? – zainteresowała się Ania.

Sonia omal nie dostała ataku apopleksji. Zaciskała i rozprostowywała pięści, stojąc bezsilnie na środku salonu. Zrzucają ją, odbiorą wszystkie dziwki i puszcza z torbami. Helena podała szefowej szklanekę wina, którą ta wypija jednym haustem, po czym usiadła ciężko, przyglądając się, jak Wiesia w podskokach przynosi ze swojego pokoiku Biblię. Janek wyciągnął ją przed siebie, Smyczek i Ania położyli na niej lewe dłonie, a prawe unieśli z dwoma wyprostowanymi palcami. W atmosferze skupienia i niemal nabożnej czci, w środku warszawskiego lupanaru, dwójka ochotników złożyła przysięgę i stała się członkami spisku. To przelało czarę. Burdelmama musiała wyjść do kuchni, by nerwowo wypalić w niej papierosa.

Po obiedzie Wanda oznajmiła, że jest gotowa. Ubrana elegancko i schludnie, z ostro rysującą się talią oraz włosami uczesany i modnie spiętymi w kok wyglądała wręcz zjawiskowo. Na jej widok Soni trochę poprawił się humor. Przyglądała się Żydówce z uśmiechem, jakby podziwiała własne dzieło. Kazała dziewczynie kilka razy się obrócić i zasmakowała z zadowolenia. Wanda pożegnała się wylewnie z każdą z dziewcząt, na koniec zaś, stojąc w drzwiach, ucałowała Sonię w oba policzki.

– Uratowałam ci tyłek, a ty mi życie – powiedziała Zośka. – Jesteśmy kwita. Zabieraj się stąd i żebym więcej cię nie widziała. Ech, i uważaj na siebie, głupia gąsko ze wsi.

– Naraziłam cię na koszty. – Wanda sięgnęła do swojej starej, szmacianej torby.

Wyjęła z niej kaszmirowy szal i zarzuciła go sobie na ramiona. Potem znów włożyła dłoń głęboko na dno torby i szarpnęła za materiał. Oddarła pasek płótna, odsłaniając ukrytą kieszonkę.

– Koszty? Nie denerwuj mnie. Jeden zabity, jedna dziewczyna

poturbowana, sto rubli wydane na wrzucenie kozackich trupów do Wisły, zniszczony dywan, potłuczone lustra i butelki, a do tego kompletny zastój w interesie. Ale mnie ta walka o wolność ojczyzny kosztuje! Czym sobie na to zasłużyłam?

– Cała Warszawa jest z panny dumna, panno Soniu – powiedział stojący na schodach Janek.

– Gównu tam dumna – warknęła burdelmama. – Nie wciskajcie mi tu bzdur, nie jestem idiotką.

Wanda uśmiechnęła się do rozgniewanej Zośki i wyjęła z tajnego dna torby plik pieniędzy otrzymany od Pustowójtowa na wszelki wypadek. Nie licząc, wcisnęła je Soni w rękę.

– A co to? – Burdelmama błyskawicznie przetasowała banknoty. – Siedemset złotych i czterysta rubli! Cały czas miałaś tyle forsy? To tyle co dwie roczne pensje kancelisty w biurze magistratu. Fiu, fiu! – Twarz Soni rozjaśniła się, zły humor prysł bez śladu. – Żydowskie nasienie! Siedziałaś na grubszej kasie i nie puściłaś pary z ust. No dobra, jakoś ci to wybaczę. Wpadnij kiedyś, jeśli będziesz w pobliżu. Najlepiej po wojnie. Pa!

Trzasnęła drzwiami, zamykając je Wandzie przed nosem. Janek złapał dziewczynę za dłoń i pociągnął po schodach na dół. Znaleźli się na ruchliwej głównej ulicy Nowego Miasta. Komendant gwizdnął i machnął ręką, a przejeżdżający fiaker ściągnął lejce i zatrzymał przed nimi dorożkę.

– Dokąd jedziemy? – spytała, wsiadając z lekką tremą.

Nigdy nie jechała przez wielkie miasto powozem, nawet jeśli była nim zwykła dorożka.

– Wiozę panienkę do miejsca, gdzie spotkamy doktora Stanisława. – Przystojniak usiadł obok i wyglądali teraz jak młode, zamożne małżeństwo. – Doktor jest na obradach gabinetu sekretarza stanu.

– Nie miałam okazji panu powiedzieć, Stasiowi grozi straszne niebezpieczeństwo! Towarzyszy mu rosyjski szpieg, oboroten Maria Konarska. W każdej chwili może wydać go w ręce żandarmów.

Janek w jednej chwili spowaźniał, a jego twarz się ściągnęła.

– Oboroten? Znaczy wiedźma z Urzędu Przemian! Jasny gwint! Mój człowiek w garnizonie doniósł, że Urząd poprosił na dziś o wsparcie



żandarmerii. Planuje jakieś aresztowania. Ostrzegłem chłopców i przede wszystkim członków rządu, by się mieli na baczności, ale Obywatel Jerzy jak zwykle prowadzi otwarty sekretariat. Musimy się śpieszyć, może jeszcze zdążymy. Panie dryndziarz, jazda ile sił do Szkoły Głównej! Płacę potrójnie! Szybko!

Dorożkarz odwrócił się, prezentując w uśmiechu popsute zęby, i trzasnął lejcami o zady dwóch swoich koników. Koła załomotały na bruku, kiedy dorożka pomknęła w dół ulicy.

\*\*\*

Profesor Dybowski ucieszył się z ponownej wizyty miłej kobiety, towarzyszkę spiskowca nazywanego doktorem Stanisławem. Przedstawiła się jako Maria i znów z ciekawością oglądała okazy owadów, w tym pochodzące z Azji pszczoły olbrzymie i bezcenny egzemplarz ich królowej. Naukowiec z pasją kontynuował opowieść o swoich badaniach i podróżach, a ta czarująca kobieta przytakiwała z uśmiechem i zachwycała się przyrodniczymi ciekawostkami. Kątem oka spoglądała na wchodzących do gabinetu Obywatela Jerzego członków organizacji. W pewnym momencie, gdy razem ze Stanisławem było ich dziesięciu, podeszła niespodziewanie do okna i otworzyła je na całą szerokość. Machnęła komuś na zewnątrz i odwróciła się do profesora z dziwnym, złowrogim wyrazem twarzy.

– Co pani wyprawia, *madame*? – spytał Dybowski. – Znów coś pani dolega?

– Nie tym razem – odparła. – Proszę usiąść i nie utrudniać.

– Czego mam nie utrudniać? – Mężczyzna zerknął przez okno na ulicę.

Dostrzegł dwóch mężczyzn wchodzących do pawilonu, grubasa w zbyt ciasnym surducie i wysokiego chudzielca. Na ich widok poczuł ukłucie niepokoju, zwłaszcza że w okolicy zrobiło się podejrzenie cicho i spokojnie, nawet dozorca gdzieś znikł, pozostawiając miotłę opartą o ścianę. Profesor jednym ruchem wyciągnął z kieszeni blaszany policyjny gwizdek. Wetknął go w usta i nabrał mocno powietrza, ale w tej samej chwili pracownię ogarnęła ciemność, jakby ktoś nagle zasłonił okna. Dybowski poczuł mrowienie na skórze i dziwną wiotkość mięśni. Mrok wdarł mu się do nosa i oczu, napełnił

żyły obezwładniającą słabością. Profesor resztą sił wypuścił powietrze. Gwizdek zapiszczał krótko, zanim Maria wyrwała go z ust słaniającego się naukowca.

Opuściła rękę, a wyrwa w przestrzeni, unosząca się przed Dybowskim i wchłaniająca światło, zamknęła się natychmiast. Maria nieznacznie pchnęła naukowca, a ten runął jak długi. Oberwał dawką czystego mutatio, która co prawda nie powinna go zabić, ale skutecznie ścięła z nóg, i to na kilka dni.

Maria zdołała powstrzymać Dybowskiego przez wszczeniem alarmu, ale i tak narobił potwornego łomotu, tracąc przytomność.

– *W pizdiac!* – syknęła, wściekła na siebie.

Drzwi gabinetu Obywatela Jerzego uchyliły się i ze środka wyjrzał jeden ze spiskowców.

– Co się stało?

– Nic takiego, profesor zasłabł – odparła, pochylając się nad naukowcem.

W tej samej chwili na korytarzu pojawili się Wasilij z Iwanem. Nim mężczyzna zdążył zareagować, doskoczyli do wejścia i wepchnęli pechowca do środka, po czym wpadli do gabinetu, wyciągając z surdutów pistolety.

– *Wsie k stienkie! Wy ariestowany!*<sup>19</sup> – ryknął Iwan i strzelił pięścią w twarz wstającego od stołu mężczyznę.

W pokoju się zakotłowało. Obywatel Jerzy poderwał się zza biurka, złapał krzesło i cisnął nim w Iwana. Kolejny ze spiskowców schwycił Wasilija za rękę z pistoletem i próbował ją wykręcić. Ku jego przerażeniu ramię chudzielca wygięło się i wyciągnęło, jakby było z gumy. Padł strzał i pomieszczenie wypełniło się dymem. Ktoś zaklął wściekle, trzech powstańców skoczyło na Iwana i przewróciło go impetem uderzenia. Grubas ryknął basowo i leżąc, grzmotnął najbliższego przeciwnika w brzuch. Dwóch kolejnych spiskowców przeskoczyło nad powalonym i wybiegło do pracowni. Zatrzymali się w miejscu, kiedy Maria zastąpiła im drogę i uniosła rękę, przed którą w powietrzu zakotłowała się czarna, pożerająca światło chmura.

– Na ziemię! – rozkazała. – Albo wysłę was do piekła.

Na widok miny i groźnej postawy kobiety uciekinierzy zrozumieli, że carska wiedźma nie żartuje i bez wahania wykonali polecenie.

Wasilij oberwał krzesłem w głowę, ale zamiast zwalić się bez

przytomności, uśmiechnął się tylko i wyciągnął do atakującego Polaka rękę. Z dłoni chudzielca wystrzelił półprzezroczysty wąż, będący zestaloną lokalnie przestrzenią, po czym owinał się wokół gardła nieszczęśnika i w sekundę powalił go na kolana. Iwan, przygnieciony przez dwóch mężczyzn, nagle się rozmaszał, jakby się poruszał czy drgał z ogromną częstotliwością. Walczący z nim spiskowcy przeszli przez jego ciało na wylot i uderzyli o podłogę. Grubas tymczasem przetoczył się i poderwał na równe nogi. Znow stał się w pełni materialny. Jednym pchnięciem powalił próbującego go minąć chłopaka i trzasnął rękkością pistoletu kolejnego.

– Przez okno! – zdecydował Obywatel Jerzy.

Doktor Loewenhardt jednym ruchem otworzył na oścież oba okienne skrzydła i wskoczył na parapet. Wahał się tylko chwilę, zanim rzucił się w dół na trawnik pod budynkiem. Jerzy zgarnął z biurka papiery i błyskawicznie dołączył do Stanisława. Kolejny uciekinier nie dotarł nawet do okna. Zestalona przez Wasilija wiązka przestrzeni owinęła się wokół jego nóg i powaliła go na podłogę. Wszyscy pozostali spiskowcy już leżeli lub stali pod ścianą z podniesionymi rękami.

Jerzy ze Stanisławem popędzili w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. W tej samej chwili z wejścia pałacu Kazimierzowskiego wybiegli umundurowani żandarmi, a w bramie Szkoły Głównej pojawiła się czarna policyjna kibitka i kolejna gromada żandarmów. Uciekinierzy skręcili w bok, w kierunku ogrodu, nim jednak go dopadli, drogę zastąpiła im śliczna dziewczyna w kremowej sukience. Uśmiechnęła się do nadbiegających mężczyzn i machnęła ręką, jakby rzucała w nich coś niewidzialnym.

W powietrzu z trzaskiem zmaterializowały się żelazne kule, wielkie jak kurze jaja, i z furkotem pomknęły ku spiskowcom. Jedna uderzyła Stanisława w brzuch, druga grzmotnęła w bark Obywatela Jerzego. Obaj runęli na ziemię, zwijając się z bólu.

– *Wy kuda? Dorogije moi...?*<sup>20</sup> – Daria Fiodorowna zatrzepotała rzesami.

Stała nad powalonymi w niedbałej pozie i złożywszy ręce na piersi, czekała na nadbiegających żandarmów. Gdy tylko do niej dotarli, bez słowa wskazała im leżących Polaków i pomachała wyglądającej przez okno pawilonu Marii Pietrownie. Kiedy złapani zostali podniesieni, okazało się, że

nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Żelazne kule znikły bez śladu. Pojmany poprowadzono, już spokojnym i nieśpiesznym krokiem, w stronę stojącej w bramie kibitki, z budynku wyciągnięto też spiskowców ujętych w pawilonie.

Stanisław spojrzął w słońce przebijające przez korony drzew i westchnął ciężko. Obawiał się, że kolejny raz może je ujrzeć dopiero, kiedy powloką go na szubienicę. Ku własnemu zaskoczeniu, nawet się nie bał. Odkąd jesienią opuścił Warszawę, by wyruszyć w Sandomierskie i później przyłączyć się do powstańczego oddziału, cały czas obawiał się pojmania. Carska policja poszukiwała go od dawna i właściwie pozostawało kwestią czasu, kiedy wpadnie. Kiedy poczuł na ramieniu łapę żandarma, zamiast przerażenia ogarnęła go ulga. Wreszcie jego służba się skończyła. Pora zejść ze sceny.

Kiedy opuścił głowę, by nie uderzyć o niskie wejście kibitki, kątem oka zauważył przejeżdżającą po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia dorożkę. Jego wzrok przyciągała jadowicie ruda barwa włosów pasażerki. Stanisław stanął jak wryty, rozpoznając Wandę. Żydówka w małym kapelusiku na głowie i w eleganckiej sukience wyglądała na panienkę z dobrego domu. Patrzyła na doktora z przejęciem; nagle wstała w zatrzymującej się dorożce i nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Nie – szepnął niemal bezgłośnie. – Nie rób tego.

Wanda jednak nie posłuchała.

– Ucieeeekaaa...! – wrzasnęła, a jej krzyk wzniósł się na niemożliwe dla ludzkiego gardła rejestry, po czym rósł i rósł, robił się coraz wyższy, aż wreszcie zaczął przypominać pisk trącego o siebie szkła: wtedy niczym chłóścicie biczem uderzył w żandarmów – ...aaaj!

Prowadzący Stanisława opadli na kolana, łapali się za uszy, osłaniali głowy, wyli z bólu i przerażenia. Konie kibitki oraz dorożki kwiczały i wierzgały. Stanisław skulił się, wbił głowę w kołnierz surduta, ale utrzymał się na nogach. Doskoczył do klęczącego Obywatela Jerzego, w którym Wanda z daleka rozpoznała członka Rządu Narodowego towarzyszącego Langiewiczowi w Staszowie – Józefa Kajetana Janowskiego. Doktor złapał go za koszulę i szarpnął, zmusił do wstania i pociągnął za sobą, wskazując dorożkę. Teraz musieli tylko przebiec przez ulicę.

Janek Biały wyskoczył z dorożki i pognął im naprzeciw. Niespodziewanie z bramy Szkoły Głównej wybiegła piękna młodziutka Rosjanka. Daria zmarszczyła gniewnie brwi, szacując sytuację, a potem wyprostowała gwałtownie obie ręce, jakby czymś rzucała. Stanisław i Józef vel Jerzy runęli na ziemię zamotani w sieć z żelaznego drutu, która uderzyła ich w plecy i głowy, zawinęła się i teraz chłósnęła po twarzach i piersiach. Wiedźma odetchnęła ciężko, na jej ślicznej buzi odmalował się grymas potężnego wysiłku. Zacisnęła zęby i znów rzuciła czymś niewidocznym, tym razem w kierunku biegnącego Janka i stojącej w powozie Wandy.

Z gwizdem i metalicznych chrzęstem w powietrzu pojawiły się długie i płaskie ostrza wielkości dłoni. Błysnęły polerowanym żelazem i pomknęły niczym czarne błyskawice. Komendant powstańczej policji przytomnie rzucił się płasko na bruk. Ostrza świsnęły nad nim, wbiły się w dorożkę, strąciły czapkę z głowy przerażonego fiakra i zadzwoniły o mur kamienicy. Wanda poczuła uderzenie i tępy ból w boku. Ze zgrozą spojrzała na swój brzuch, w którym tkwił żelazny brzeszczot.

– Aaaaach! – wrzasnęła resztką sił i opadła na siedzenie.

Krzyk Żydówki zagrzemiał jakby na bruku załomotały miliony kół. Darię cisnęło w tył, poleciała w powietrze niczym porcelanowa laleczka i z impetem uderzyła o filar bramy uczelni, po czym osunęła się na ziemię.

Janek poderwał się z bruku i natychmiast skulił. Grzmotnął pistoletowy wystrzał. To jeden z żandarmów odzyskał panowanie nad sobą, a z głębi uczelni nadbiegło kolejnych pięciu mundurowych. Naczelnik powstańczej policji obrócił się i dwoma susami dopadł dorożki. Nie musiał nic mówić fiakrowi. Dorożkarz z rozmachem trzasnął lejcami konie, które z miejsca puściły się w galop. Zagrzmiały pistoletowe wystrzały, w powietrzu świsnęły kule.

– Dostałaś? – Janek pochylił się nad zgiętą wpół Wandą.

Dziewczyna pobladła tak, że jej piegi niemal zapłonęły na białej skórze, ale zacisnęła zęby i wyciągnęła ostrze z boku. Spojrzała na nie ze zdumieniem, bo nie znalazła na nim ani śladu krwi. Po chwili zresztą zaczęło odparowywać i w sekundę później znikło bez śladu. Żydówka obmacała bolący bok i westchnęła z ulgą.

– Miałam szczęście, to cholerstwo utkwilo w fiszbinie gorsetu – powiedziała. – Zarobiłam tylko siniaka.

Uniosła się i obejrzała za siebie. W oddali żandarmi siłą podnosili z ziemi Stanisława, któryś z nich kopnął opierającego się Janowskiego. Obaj mężczyźni zostali wepchnięci do kibitki.

\*\*\*

Za oknem słońce chowało się za dachami Starego Miasta. Cienie namiotów stojących na Placu Zamkowym wyciągnęły się groteskowo, zamigotały też pierwsze ogniska rozpalone przez żołdatów wprost na warszawskim bruku. Nadchodziła kolejna noc w okupowanym mieście. Z ulic znikali przechodnie, kręciły się za to wojskowe i policyjne patrole, które będą pilnować, by warszawiacy nie chwycili za broń i nie zbuntowali się jak trzydzieści lat wcześniej.

Hrabia Berg siedział za masywnym biurkiem z ciemnego egzotycznego drewna. Mimo późnej pory nadal pracował w swoim gabinecie na piętrze Zamku Królewskiego. Pomieszczenie nie było zbyt przestronne ani wystawne, ale tylko takie przysługiwało adiutantowi wielkiego księcia. Stary żołnierz nie zamierzał gnieździć się w tej klitce zbyt długo. W odmianie losu miał mu pomóc kończony właśnie list do cara. Planował zresztą, że w najbliższym czasie napisze ich jeszcze dużo. Złożył zamaszysty podpis, posypał papier piaskiem i dmuchnął w schnący atrament, po czym pieczołowicie odłożył kartkę na biurko.

Drzwi gabinetu otworzyły się cicho i do środka weszła starsza pani o całkiem siwych włosach, zawiązanych w kok z tyłu głowy. Nosiła futrzaną pelerynkę okrywającą ramiona, bo w zamkowych komnatach wiało chłodem, a w jej wieku wypadało dbać o podupadające zdrowie. Orzechowe oczy staruszki zaskrzyły się wesołymi ognikami, a zmarszczki na twarzy odcisnęły się mocniej, kiedy uśmiechnęła się do męża. Na widok ukochanej żony Berg zakręcił czernionego wąsa, jakby znów był młodym podchorążym i w jednej chwili poczuł się o czterdzieści lat młodziej. Choć żyli ze sobą od tak dawna, zawsze radowała go obecność Leopoldyny. Dobrze, że udało się tak szybko ściągnąć ją do Warszawy; wreszcie miał u boku kogoś godnego zaufania,

kogoś, komu mógł powierzyć troski i niepokoje.

– Napisałeś list do siostry, mój drogi? – spytała Leopoldyna.

– Jeszcze nie, nie miałem czasu. – Berg westchnął i ściągnął rudawą perukę. Cisnął ją niedbale na krzesło. – Pisałem do cesarza.

– Och, tak. To pewnie ważniejsze. – Kobieta stanęła za plecami męża i położyła dłonie na jego ramionach. – Nie zapomnij jednak, że chłopcy czekają, aż wezwiesz ich do siebie.

Leopoldyna mówiła o trzech siostrzeńcach hrabiego, którymi Berg opiekował się od śmierci ich ojca. Młodzieńcy darzyli starego żołnierza uwielbieniem graniczącym wręcz z czcią, a on kochał ich jak własne dzieci. Leopoldyna cieszyła się z tej zażyłości, bo sama nie mogła dać Fiodorowi potomka, choć całe życie o tym marzyła. Z czułością pogłaskała męża po policzku, pochyliła się i pocałowała go w czoło. Uśmiechnął się łagodnie, zmęczenie znikło z jego twarzy, zastąpione rzadko na niej goszczącym wyrazem dobroci.

– Sprowadzę ich, kiedy uspokoję miasto i będzie już bezpiecznie – powiedział. – Wtedy też zrobię, co mi radziłaś, duszko. Usynowię chłopców.

Pokiwała głową z aprobatą. Sama wpadła na ten pomysł i nieraz już o nim rozmawiali. Początkowo mąż kręcił nosem, choć w rzeczywistości również o tym od dawna myślał. Ich życie powoli zmierzało do kresu i wypadało zostawić komuś dorobek. Chłopcy odziedziczą nie tylko majątek, ale i hrabiowski tytuł, który Fiodor dostał jeszcze od cara Mikołaja.

Uśmiechnięta Leopoldyna podeszła do okna i wyjrzała na wewnętrzny, zupełnie pusty dziedziniec zamku. Siedziba polskich królów zdawała się wymarła, jakby wraz z odejściem dawnych, prawowitych monarchów opuściło ją życie.

– Smutne jest to miejsce. Wolałabym mieszkać w jakimś pałacu z widokiem na ogrody, może za miastem – powiedziała hrabina. – Czemu nie zamieszkaliśmy w Belwederze lub nawet Wilanowie?

– Przecież lubisz Warszawę. Chciałaś tu przyjechać.

– Lubię, ale nie taką duszną i śmierdzącą wojskiem, zaszczutą i bitą. Wolę ją prawdziwą, wesołą i pełną życia.

– I znów wróci do życia, kiedy skończymy z buntownikami. – Berg złożył

kartki z wyschniętym już atramentem i przejrzał je pobieżnie. – Też lubię to miasto, ale dotychczasowe władze je zepsuły, zmieniły w siedlisko zdrajców i buntowników. Gorczakow, a teraz Konstanty do przesady rozpuścili niepokornych Polaków i pozwolili sobie wejść na głowę. Zupełnie zapomnieli, że miejscowych trzeba trzymać krótko, bez pobłażania. Teraz nie pozostało nam nic innego, jak wybić buntowników niczym robactwo.

– Napisałeś carowi, że wielki książę jest tak naprawdę polonofilem i nie nadaje się na namiestnika? – Leopoldyna oparła czoło o zimną szybę. – Trochę szkoda mi księżnej Aleksandry Józefownej, to miła kobieta, która też kocha to miasto.

– E tam, kocha. Kocha władzę i prestiż. Księżna jest dumna i próżna, przecież porównuje się do cesarzowej Sisi. W Petersburgu mówi się, że marzy o polskiej koronie. Namawiała miejscowych arystokratów, a nawet tego arcybiskupa, by spróbowali odtworzyć Królestwo Polskie pod berłem jednego z Romanowów. Arcybiskup przygotował adres do cara, w którym proponował, by osadzić na polskim tronie Konstantego. Wielki książę zaklinał się przed Aleksandrem, że nie miał z tym nic wspólnego i wcale nie chce być królem, ale ziarno zostało zasiane. Hi, hi. Car mu już nie ufa, boi się, że braciszek go zdradzi i stanie po stronie Polaków. Degradacja Konstantego jest kwestią czasu, choć będzie bolesnym ciosem, nie tyle dla samego księcia, co dla jego małżonki. – Berg uśmiechnął się do żony. – A czy napisałem carowi, że jego brat to poczciwy, łagodny głupiec? Oczywiście nie, duszko, wręcz przeciwnie. Rozpływałem się w pochwałach dla mądrości wielkiego księcia i wśród nich wypunktowałem wszystkie błędy, jakie dotychczas popełnił. Napisałem też, w jaki sposób można je naprawić, nie w formie mądrzenia się, tylko łagodnych i grzecznych rad.

– Jesteś mistrzem w dyplomatycznych gierkach, mój drogi. – Leopoldyna oderwała się od okna i odwróciła do męża.

– Kilka takich listów i Konstanty odjedzie w głąb Rosji jako podrzędny gubernator, może car da mu jakieś mało ważne ministerstwo. Razem z nim degradację musi dostać ten burczący niedźwiedź Wielopolski. Oberwie się też Tichonowi, bo cwany lis próbował mnie zdradzić. Na nic się zdadzą dzisiejsze aresztowania. Moi ludzie już donieśli, że tak naprawdę ujął same



płatki, kilku działaczy organizacji miejskiej i tylko jedną szybę, Obywatela Jerzego, sekretarza stanu Rządu Narodowego. Samego rządu Tichon nawet nie tknął, nie ma też pojęcia, gdzie jest jego podziemna siedziba.

– Och, Paweł Iwanowicz nas zdradził? – zdziwiła się hrabina. – A wydawał mi się tak miłym młodzieńcem.

– Ja też jestem miły, ale prywatnie. W polityce i walce o władzę nie ma miejsca na sentymenty. – Berg podszedł do żony. – Kiedy jest ku temu powód, można, a nawet czasem trzeba zdradzić dotychczasowego stronnika, to część tej gry. I dlatego nie potępiam Pawła, ale muszę go ukarać, by zrozumiał, że popełnił błąd. Może jeszcze wszystko naprawić. Przyjmę ukorzonego Tichona niczym syna marnotrawnego, z otwartymi ramionami, ale jeśli będzie uparcie trwał przy Konstantym, skończy w tej swojej Kurlandii jako hodowca krów. I nic mu nie pomoże, że za państwowe pieniądze korumpuje generalicję. Wydaje mu się, że nikt o tym nie wie i łapówki dadzą mu ogromną władzę, ale się myli. Dobrze znam całą tę klikę i wiem, jak z nimi pogrywać. Nic złego mi nie zrobią.

Leopoldyna westchnęła ciężko i oparła głowę na ramieniu męża.

– Nie jesteś zmęczony tym wszystkim?

– Czym? Kochanie, walka jest sensem mego istnienia. Nigdy nie przestanę się bić, czy to pisząc donosy do cara, czy zawierając dyplomatyczne pakt. Jeśli zostanę odstawiony na boczny tor, wysłany do nic nieznaczącej guberni, z której nie da się uciec, to tak jakby mnie pogrzebano żywcem. – Berg czule pogładził żonę po głowie. – Zostanę namiestnikiem Królestwa i zrobię porządek w tym mieście, a potem w całym kraju. Dla nas, dla cara, dla ocalenia tego nieszczęsnego narodu, nawet jeśli musiałbym go podtopić w jego własnej krwi. Zanim położę się do grobu, zostanę feldmarszałkiem i zgarnę wszystkie możliwe zaszczyty, zobaczysz.

– Obiecuj, że kiedy skończy się wojna, zaczniemy robić jak najwięcej dobrego dla tego umęczonego kraju – powiedziała Leopoldyna.

– Oczywiście. – Generał dumnie wyprężył pierś. – Postaram się ułatwić Polakom rozwinięcie przemysłu, trzeba też poprzeć dalszą budowę kolei, przeprowadzić reformę prawa i administracji. Zmienię Królestwo w najnowocześniejszą i najbogatszą prowincję Imperium, a ty, duszko, będziesz

podawała do chrztu polskie dziatki i sprawowała pieczę nad dobroczynnością oraz opieką nad sierotami. Będziemy dobrymi władcami. Polacy rozumieją, że błędzili i należy kochać zarówno cara, jak i nas, jego przedstawicieli.

Oboje przejdziemy do historii jako opiekunowie i odnowiciele Królestwa.

– Kocham cię, mój ty dobry i potężny władco. – Hrabina uśmiechnęła się i pocałowała męża w policzek.

Niespodziewanie wyraz błogości zniknął z twarzy Berga. Generał wbił wzrok w okno, na jego czole pojawiły się zmarszczki gniewu. Odepchnął żonę i błyskawicznie sięgnął do kabury wiszącej na oparciu krzesła. Leopoldyna ze zdumioną miną podążyła za spojrzeniem męża. Za oknem nadal nie działo się nic ciekawego, wewnętrzny dziedziniec zamku ział pustką. Dopiero po chwili hrabina zauważyła postać stojącą na dachu, obok wieży Władysławowskiej. Czarna sylwetka odcinała się od nieba skąpanego w fioletach i różu zachodzącego słońca. Długie, pozlepiane w strąki włosy powiewały na wietrze. Istota stała nieruchomo z twarzą ukrytą w cieniu, ale Leopoldyna miała pewność, że upiór patrzy wprost na nią.

Hrabina z przerażenia wciągnęła powietrze. Słyszała kilkakrotnie o strzydze grasującej w mieście, ponoć porывała dzieci rosyjskich urzędników i piła krew upolowanych żołdatów.

Berg doskoczył do żony i odciągnął ją od okna. Strzyga rozłożyła wielkie czarne skrzydła, na widok których Leopoldyna aż załkała z grozy. Upiorzyca skoczyła w dół i z furkotem pomknęła wprost w okno gabinetu hrabiego. Stary generał warknął głucho i uniósł rewolwer. Wymierzył nowoczesną, błyszczącą polerowaną stalą broń w okno i pociągnął za spust. Raz, dwa, trzy! Gruchnęły strzały, szyba trzasnęła i posypała się z brzękiem na podłogę. Strzyga w ostatniej chwili zmieniła trajektorię i tuż przed oknem wzbiła się pionowo w górę. Wrzasnęła przy tym wysokim głosem i zachichotała głośno. Berg wychylił się i wypalił jeszcze trzy razy.

– Nic ci nie jest, duszko? – Cofnął się i troskliwie objął żonę.

Leopoldyna mrugnęła, oszołomiona dymem i hukami. Słabe serce trzepotało jej w piersi jak oszalałe. Hrabia pogładził nastroszone wąsy i dmuchnął w lufę rewolweru. Chyba będzie musiał z własnej inicjatywy pogodzić się z Tichonem i poprosić go o ochronę. Z polskimi zamachowcami

sam dałby radę, ale jak walczyć z upiorami?

**8 kwietnia 1863 r.**

Przez bramę Warsztatów Żeglugi Parowej na Solcu przeszło dwóch młodych mężczyzn z elegancko przyciętymi wąsami. Ubrani w wełniane surduty i wyprasowane na sztywno spodnie wyglądali na carskich urzędników celnych i tak potraktował ich stróż, przepuszczając bez słowa i kłaniając się grzecznie. Wyższy z przybyszy, mrugając, wlepił wzrok w budynki, przy których kręcili się cieśle i szkutnicy. Spoza otwartych drzwi dobiegał łomot młotków i rżnięcie pił, a także śmiechy i rozmowy krzątających się robotników. Zapach drewna i gorącej smoły mieszał się z rześką wilgocią znad Wisły.

Zanim przybysze dotarli do największego budynku, w którym znajdowały się biura, wyszedł im naprzeciw szczupły robotnik w postrzępionych spodniach i przekrzywionym kaszkiecie. Chudzielcowi o słabym wzroku wydał się znajomy, ale dzieliło ich kilkanaście kroków, co uniemożliwiało rozpoznanie rysów twarzy. Drugi z wąsaczy widział lepiej, więc uśmiechnął się szeroko do nadchodzącego robotnika i uniósł rękę.

– Janek, stary wariacie, jednak ci się udało!

Przebrany za portowego cieślę pułkownik Jemioła rozłożył ręce i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wreszcie krótkowidz także rozpoznał dawno niewidzianego przyjaciela, po czym wpadł mu w ramiona.

– Kogo widzę? Dwaj jaśniepanowie zaszczycili wizytą moją kryjówkę. – Jemioła poklepał chudzielca po plecach. – Cieszę się, że przyjęliście zaproszenie.

– Jakże mógłbym nie chcieć zobaczyć czegoś takiego! – zahuczał niższy elegant. – Przyjechałem do Warszawy na kilka dni, sprawy załatwiłem, a tu nagle, z głupia frant, Stefan mówi mi, że Janek Jemioła właśnie wprowadził do miasta dwa bataliony piechoty. Zupełnie mnie zatkało. Ten marzyciel, którego podstępem pozbyliśmy się z Warszawy, zrobił coś zupełnie zdumiewającego! Sześciuset ludzi pod bronią, w tym trzystu Żuawów Śmierci. Gdzie ich, do cholery, schowałeś?

– Rozejrzyj się, Zygmunt, otwórz szeroko oczy. – Jemioła wziął krótkowidza i Zygmunta pod ramiona, a następnie poprowadził obu w głąb warsztatów. – Widzicie, ilu mężczyzn pracuje przy burcie tej łodzi? Czterdziestu chłopów. A tam, przy kotłowni? Dwudziestu palaczy ładuje węgiel. To wszystko nasza dzielna armia, w przebraniu rzecz jasna. Musiałem dać im jakieś zajęcie, bo od siedzenia pod pokładem zaczęli dostawać fioła. Ostatnio nawet się pobili.

– Nie wyda się? – spytał krótkowidz. – Sześciuset chłopów to mimo wszystko kupa ludzi.

– Nie opuszczają warsztatów, a teren jest tu dość duży. W magazynach i halach zmieści się pięć razy tyle żołnierzy i nikt nic nie zauważy. Wystarczy trzymać ciekawskich z daleka i rozdać kilka łapówek urzędnikom portowym. Tak czy inaczej dwie kompanie jeszcze dziś znikną z warsztatów. Major Pustowójtów poprowadzi je z ważną misją, ale oto i on! Poznajcie, panowie...

Pustowójtów wyszedł z budynku, prowadząc ze sobą Rochebrune'a przebranego za upapranego smarami wyrobnika oraz kapitana Wiercińskiego, który specjalnie przebierać się nie musiał, bo i tak wyglądał jak pracownik kuźni. Dwaj przybysze przystanęli zaskoczeni widokiem Teofila – wysokiego, barczystego Rosjanina w mundurze oficera piechoty. Jego złe oczy miały spod krzaczastych brwi groźne spojrzenia.

– Panowie, dziś zaszczycił nas wizytą naczelnik Warszawy i przewodniczący komisji wykonawczej Rządu Narodowego Stefan Bobrowski oraz jego poprzednik na tym stanowisku, a obecnie naczelnik wojskowy na województwo płockie, generał Zygmunt Padlewski. – Jemioła promieniał z zadowolenia, prezentując gości.

Grupka powstańczych dowódców minęła warsztaty i suchy dok z rozbebeszonym kadłubem łodzi, by po chwili przejść nadbrzeżem, przy którym na wodzie kiwało się kilka jednomasztowych kutrów, szkuner i rybackie berlinki czekające na naprawy. Oficerowie zeszli trapem na pokład paropływu, przysadzistego w porównaniu z żaglowcami. Jego kapitan czekał na mostku. Na widok wchodzących uklonił się i uchylił czapki, a potem pociągnął za dźwignię gwizdka. Para z przeraźliwym sykiem buchnęła w niebo i dwa boczne koła parostatku zaczęły się obracać.

– Wybierzemy się na małą wycieczkę rozpoznawczą, a przy okazji odprowadzimy oddziały majora Pustowójtowa – wyjaśnił Jemioła. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciw poświęceniu dwóch godzin na ten wypad?

– Jesteśmy do twojej dyspozycji, Janku – odparł Bobrowski. – Bylebyśmy wrócili przed godziną policyjną.

Statek wypłynął na Wisłę i ustawił się równolegle do nurtu. Z komina unosił się niemrawy dymek, ale mimo to koła młóciły wodę z ogromną prędkością. Ukryta w palenisku anomalia okazała się niewyczerpanym źródłem energii. Co prawda marynarze nie śmieli zbliżyć się do pieca i nikt prócz Jemioły nie wchodził do kotłowni z obawy, że potwór wyrwie się spod czarów pułkownika. Dwaj goście nie mieli jednak pojęcia o tym, co znajduje się pod pokładem. Stanęli przed mostkiem na dziobie parowca i spoglądali na rzekę. Pustowójtow zniknął w kajutach, gdzie czekali jego chłopcy, ale po paru chwilach, wyraźnie zadowolony z inspekcji, znów dołączył do oficerów.

– Miałem nadzieję, że pokażesz nam jakieś niezwykłości, Janku – odezwał się Padlewski. – Chodzą słuchy o potężnych mocach, którymi jakoby władasz. Legendy wprawdzie przedstawiały cię jako nawiedzonego bohatera pochłoniętego przez piekło, a teraz jako wskrzeszeńca, co wiedzie armię demonów przeciw carskim zastępom. Na mieście widuje się ostatnio strzygę pożerającą żołdatów i zdrajców. Wszyscy o tym mówią, ponoć zjadła ulubionego psa wielkiego księcia. Poszła plotka, że upiórzyca jest forpoczta nadciągającej armii piekielnej, którą prowadzisz.

– Wojenna propaganda *est une arme puissante*<sup>21</sup>! – zauważył Rochebrune. – Im więcej takich *histoires*, tym lepiej.

– Jest w tych legendach ziarno prawdy. – Jemioła zdjął kaszkiet i wystawił twarz pod wiatr. – Mam coś, co wszystkich zadziwi, potężną broń, która może przechylić szalę na naszą stronę, choć nie wygra za nas wojny. Mogę użyć niezwykłych mocy i zrobię to, kiedy najdzie pora, ale już nie ode mnie zależy, czy mój wysiłek zostanie przekuty w zwycięstwo. Moje dotychczasowe osiągnięcia nie są zasługą jakiejś wymyślonej armii demonów, tylko dzielnych ludzi, którzy mnie otaczają. Teraz wy musicie wykorzystać szansę, którą nam wszystkim ofiaruję...

Pułkownik zawiesił głos. Stał z podniesioną głową, a wiatr malowniczo

rozwiewał jego sięgające ramion jasne włosy. Zapadła cisza.

– Gadanie – burknął Pustowójtow. – Ile razy można wygłaszać takie nadęte i patetyczne przemowy, co? Powiedziałbyś po ludzku, krótko i na temat, że odkryłeś sposób wpływania na turbulencję i jedną trzymasz w piecu na dole. Może uda ci się zmusić ją do ataku na Rosjan, ale i tak nie wiadomo, co z tego wyniknie. Nic dziwnego, że szansa na zwycięstwo spoczywa tylko w naszych rękach.

Kapitan Wierciński zarechotał basowo, biorąc się pod boki.

– Nie masz za grosz dyplomatycznego wyczucia, panie Teofilu!

– Nie jestem dyplomatą, tylko żołnierzem. Lubię jasne sytuacje.

– Ja też – zgodził się generał Padlewski. – Proszę zatem powiedzieć, jak wyobrażacie sobie szturm na miasto.

Parowiec płynął właśnie na wysokości Mariensztatu. Wysoko nad rzeką wesoło błyskały szybami kamieniczki Starego Miasta, przetkane kopułami i wieżami kościołów. Poniżej na skarpie przycupnęły liczne chałupinki z połatanymi dachami i kilkupiętrowe domy biedoty, upchnięte w ciasnych uliczkach jeden obok drugiego. Liczne składziki, kurniki, drewnutnie, przybudówki i nadbudówki obrastały je niczym wrzody ciało żebraka. Po nieutwardzonych drogach biegały bose dzieciaki, z wrzaskiem ścigając przerażone świnię i wychudzone psy. Nad samą rzeką pasły się stada krów i baby pobierały wiadrami wodę tuż obok ujść rynsztoków, spływających licznymi śmierzącymi rzeczulkami ze Starego Miasta. Przy brzegu kiwało się kilka rybackich łódek. Grupa Żydów wyładowywała z berlinki worki ze zbożem.

Oficerowie obserwowali tętniące życiem miasto bez słowa, czekając na odpowiedź Jemioły. Ten milczał, wpatrzony w grupę rozbawionych dzieciaków.

– Głównym naszym celem jest zdobycie cytadeli – powiedział wreszcie. – Twierdza stanowi zaplecze logistyczne dla sił wroga stacjonujących w mieście.

– I przy okazji jest głównym garnizonem artyleryjskim w Królestwie – dodał Wierciński. – W jej kazamatach i magazynach zgromadzono ogromny arsenał.

– Jak ma wyglądać szturm na twierdzę? – surowo dociekał Padlewski.

– Musimy sprowokować Rosjan do wyprowadzenia większej części załogi poza mury. – Jemioła odwrócił wzrok od Mariensztatu i spojrzął w dal, na majaczącą w oddali fortecę. – Pierwszym etapem będą skoordynowane ataki na obiekty w mieście i na przedmieściach. Zmuszą one Rosjan do reakcji...

– Którą będzie ostrzał artyleryjski – dokończył energicznie Padlewski. – Janku, do stu diabłów, już przedyskutowaliśmy te scenariusze. Jako pierwszy wpadł na ten idiotyczny pomysł generał Mierosławski; chciał go przeprowadzić w czasie manifestacji na początku sześćdziesiątego drugiego. Pod pretekstem religijnego pochodu mieszczenie mieli podejść do Zamku Królewskiego, wedrzeć się do środka i wziąć na zakładnika ówczesnego namiestnika, generała Gorczakowa. Ten pod groźbą śmierci rozkazałby załodze cytadeli skapitulować i otworzyć bramy. Nic z tego nie wyszło, nikt się nie podjął kierowania tłumem, zresztą całe przedsięwzięcie i tak skończyłoby się masakrą.

– Były jakieś inne plany ataku? – zainteresował się Pustowójtow.

– Tak, sztabkapitan Dąbrowski miał inny pomysł. Zamierzał zawiązać spisek wśród oficerów rosyjskich stacjonujących w cytadeli i w twierdzy nowogiejorgiewskiej. Latem sześćdziesiątego drugiego chciał podprowadzić po dwa tysiące uzbrojonych buntowników pod bramy obu twierdz, które otworzyłoby rosyjscy współspiskowcy. Wtedy nawet miało to sens, bo rewolucyjne i propolskie nastroje w rosyjskiej armii nie były niczym nadzwyczajnym. Łokietek, jak nazywaliśmy sztabkapitana, nie wziął tylko pod uwagę faktu, że ówczasnie nie dysponowaliśmy kilkoma tysiącami wyszkolonych i uzbrojonych powstańców. Teraz zresztą też nie dysponujemy takimi siłami, szczególnie w okolicy Warszawy. Spisek wśród żołnierzy udało się Łokietkowi zawiązać, ale ktoś zdradził. Kilku oficerów aresztowano i rozstrzelano, sam sztabkapitan wylądował w Dziesiątym Pawilonie, gdzie siedzi do dziś.

– Niewiele brakowało – podsumował Teofil.

– Brałem udział w przygotowaniach do jednego i drugiego szturm. – Generał Padlewski przyglądał węży. – Przy pierwszym chciało mnie uczynić dowodzącym operacji, ale stanowczo odmówiłem i ze wszystkich sił starałem



się wybić ten pomysł z głowy członkom organizacji miejskiej. Walki na ulicach nie mają sensu, pochłoną tylko mnóstwo ofiar, głównie niewinnych cywili. Pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do buntu, szczególnie uczulam na to ciebie, Stefanie. Jako naczelnik miasta nie możesz pozwolić na sprowokowanie rozruchów. To szaleństwo i karygodny błąd.

– Nie przesadza pan? – Wierciński w zamyśleniu mierzwił brodę. – Można tak zorganizować bunt, by zminimalizować starty wśród mieszczan.

– Jest pan, zdaje się, artylerzystą. – Padlewski spojrzął z góry na kapitana. – Ja także. Wie pan, ile armat znajduje się aktualnie w cytadeli? Ja też nie wiem, ale domyślam się, że około pół tysiąca. Nasi ludzie donoszą, że w twierdzy pod gołym niebem piętrzą się piramidy z armatnich kul. Nie mieszczą się już w arsenałach. Są gotowe do użycia w każdej chwili i nie zostały przeznaczone do armat polowych, których ostrzał odczuliście na własnej skórze w niedawnych, powstańczych bitwach. To armaty forteczne, dwudziestotrzy- i trzydziestosześciofuntowe, do tego trzypudowe armaty bombardujące, koronady dwudziestocztero- i dziewięćdziesięciosześciopudowe, a także jednorogi i moździerze.

– I co z tego? – burknął Wierciński. – Co to ma do walk na ulicach? Po co mi pan wylicza wyposażenie fortecy? Przecież nie przeniosą tych armat do miasta!

– Nie ma potrzeby ich przenosić – mruknął Jemioła. – Większość już jest wycelowana w Warszawę.

Tymczasem oczom oficerów ukazała się cytadela w pełnej krasie: wysokie mury otoczone fosą, chorągwie łopoczące nad wysuniętą z pierwszego półbastionu kaponierą i ziejące grobową czernią otwory strzelnicze z rysującymi się wyraźnie lufami armat.

– Działa wycelowano w miasto w czasie budowania twierdzy – spokojnym tonem wyjaśnił Bobrowski. Sięgnął wreszcie do kieszeni i wyciągnął mocne okulary, które wcisnął na nos. Na niewiele się zdały, bo i tak mrużył oczy. – Właśnie po to ją zbudowano. Nie dla obrony miasta, ale po to, by je terroryzować. Rozumiecie, panowie? W chwili, w której warszawiacy wyjdą na ulicę bić żołdatów, armaty przemówią i zamienią stolicę w morze ruin.

– Nie wierzę, że Rosjanie zrobią coś takiego. – Wierciński pokręcił głową. – Kto wydałby rozkaz? Kto wziąłby na sumienie taką zbrodnię?

– Rozkaz już został wydany i zrobił to osobiście car Mikołaj zaraz po postawieniu tego cholerstwa. – Jemioła wyrwał się z zadumy. – Ostrzegł, że albo Polacy porzucą urojenia o niepodległości, albo każe zburzyć miasto i nie on je będzie odbudowywał. Kiedy doszło do awantur wiosną sześćdziesiątego pierwszego i Gorczakow kazał strzelać do tłumu, car Aleksander dał mu burę za zbytnią pobłażliwość, bo namiestnik powinien natychmiast zbombardować Warszawę.

– I wiedząc o tym, planujesz wywołanie starć na ulicach? – oburzył się Padlewski.

– Nie w zasięgu armat cytadeli, a jedynie na obrzeżach, by zmusić stacjonujące w twierdzy wojska do ruchu.

– Nieważne, na której ulicy dojdzie do walki. Konstanty nie zawaha się ostrzelać Warszawy, choćby ze strachu. Przed bratem musi pozować na silnego władcę, przedstawiciela carskiej potęgi. Nie możesz angażować do walki organizacji miejskiej, bo skończy się masakrą! – Padlewski coraz bardziej się zacietrzewiał. – Podobne plany wymyśla nieustannie Mierosławski. Uważam je za zwyczajnie głupie i niebezpieczne.

– A jaki plan ty zaproponujesz, generale? – Niespodziewanie w obronie Jemioły stanął Rochebrune.

Padlewski zdjął cylinder i nerwowo przejechał dłonią po włosach błyszczących pomadą, po czym odruchowo wytarł otłuszczoną rękę w spodnie.

– Ten, który jest właśnie realizowany. Przeworsowałem opcję wyprowadzenia wszystkich oddziałów jak najdalej od miasta i związanie wroga walką z dala od Warszawy. Kiedy uda się opanować pomniejsze twierdze, zająć Płock, Zamość, Radom, Kielce i zebrać silną armię, wtedy nadejdzie czas na szturm cytadeli. Zajmiemy ją w bezpośrednim oblężeniu, nie angażując miasta.

Wierciński wymownie spojrział na Pustowójtowa i Rochebrune'a, a potem cała trójka parsknęła śmiechem. Padlewski spiorunował ich, gniewnie marszcząc brwi, ale oficerowie nic nie robili sobie z jego min. Bobrowski wzruszył ramionami, nie rozumiejąc wesołości mężczyzn. Jemioła pokręcił

głową i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Moi chłopcy, zdaje się, nie podzielają pewności generała Padlewskiego – powiedział. – Zajęcie cytadeli szturmem przez regularną armię wymagałoby zaangażowania dziesiątek tysięcy wojska i przeprowadzenia długiego, uciążliwego oblężenia. Biorąc pod uwagę fakt, że Polska nie dysponuje armią z prawdziwego zdarzenia i długo dysponować nie będzie, ten plan wydaje się równie nedorzeczny, jak pomysły generała Mierosławskiego.

– Doprawdy szturm sprawiłby tak wielkie trudności? – szczerze zdziwił się Bobrowski.

– Mamy tu doświadczonych żołnierzy. – Jemioła wskazał na swoich oficerów. – Wierciński służył w carskiej artylerii, Pustowójtow walczył na Syberii i jako saper w Sewastopolu, Rochebrune był podoficerem francuskiej armii i, jak Teofil, jest weteranem wojny krymskiej. Niech ocenią fachowym okiem.

Francuz wyciągnął z kieszeni teatralną lornetkę i przyłożył ją do oczu. Wierciński wychylił się niebezpiecznie przez barierkę i lustrował twierdzę gołym okiem, cmokając i mrużąc pod nosem. Pustowójtow stał nieporuszenie, w niedbalej pozie, i to on odezwał się jako pierwszy.

– Twierdzę zbudowano na planie zbliżonym do poligonalnego, z trzema bastionami, dwoma półbastionami na krawędziach i kurtynowym murem Carnota ze strzelnicami od strony Wisły. Przed murem, wysokim na dwa sążnie i w dodatku postawionym na wale, znajduje się fosa. Wokół cytadeli roztacza się mająca pół wiorsty długości esplanada, czyli pusty teren zabezpieczający przed skrytym podejściem nieprzyjaciela. Ewentualne podkopy w czasie oblężenia musiałyby zatem zaczynać się w mieście i ciągnąć niemal wiorstę lub przechodzić pod Wisłą. Jedno i drugie jest niewykonalne.

– Do tego esplanadę zamknięto mniejszymi fortami – dodał Rochebrune. – Widzę stąd tylko jeden, ale podejrzewam, że jest ich więcej. Ewentualny szturm musielibyśmy okupić bardzo wysokimi stratami. Nasi chłopcy dosłownie zamieniliby się w *chair à canon*<sup>22</sup>.

– Zgadza się – przytaknął Padlewski. – Przed twierdzą stoją jeszcze dwa małe forty, oddzielające je dwie baszty i bateria ziemna. Spójrzcie także na drugi brzeg Wisły, naprzeciw cytadeli. Tkwi tam kolejny duży fort imienia

Śliwickiego.

– No to klops – burknął Wierciński. – Ogień artyleryjski mielibyśmy ze wszystkich stron. Jako że cytadela stoi na wzniesieniu, zasięg jej fortecznych armat jest bardzo duży. Choćbyśmy mieli armaty i chcieli ją zbombardować, byłby z tym poważny kłopot.

Bobrowski zdjął okulary, przetarł je, założył na nos, wreszcie nerwowym ruchem schował do kieszeni surduta.

– Rozumiem. Szturm nie wchodzi w grę – powiedział. – Jak zatem chcecie ją zdobyć?

– Musimy wdrzeć się do środka, uprzednio wywabivszy większość Rosjan – odparł Jemioła. – Dlatego potrzebuję oddziałów zaczepnych działających na przedmieściach i kilku akcji w samym mieście.

– Po raz kolejny stanowczo odradzam – zaproponował Padlewski. – Chyba że chcecie mieć na rękach krew niewinnych warszawiaków. Pomyślcie, jak spojrzycie potem w oczy matek, których dzieci zostaną zamordowane przez wściekłych kozaków i spalone w ostrzelanych z armat cytadeli domach. Stefanie, zaklinam cię, nie gódź się na awantury na ulicach.

Jemioła zazgrzytał zębami ze złości. Generał nie pozwalał mu rozwinąć myśli i słuchał tylko siebie. Jak pułkownik miał przynieść temu krajowi wolność, skoro zamiast oferować pomoc, powstańczy dowódcy rzucali mu tylko kłody pod nogi?

– Spokojnie, Zygmuncie – mitygował przyjaciela Bobrowski. – Nie zgodzę się na żadne pochopne i nieodpowiedzialne ruchy. Pułkownik Jemioła napisze szczegółowe sprawozdanie ze szczegółowymi planami działań i szacunkami zagrożenia. Dopiero po zapoznaniu się z nim i przedyskutowaniu go w gronie fachowców będziemy podejmować decyzje. Zresztą jutro Zygmunt wyjeżdża w Płockie, by dołączyć do swoich oddziałów, ja też pojutrze opuszczam Warszawę.

– Wyjeżdżasz w takiej chwili? – zdziwił się Jemioła. – Nie możesz nas zostawić, naczelniku. Nie teraz, kiedy szykujemy się do szturm!

– Muszę, to sprawa honorowa. – Bobrowski, wyraźnie zmieszany, unikał jego spojrzenia. – Wrócę tak szybko, jak się da. Do tego czasu masz, Janku, zakaz prowadzenia jakichkolwiek akcji zbrojnych w okolicy Warszawy.

Jemioła krótko skinął głową na znak, że rozumie i przyjmuje rozkaz do wiadomości. Wydukał przeprosiny, usprawiedliwił się potrzebą doglądania uwięzionej turbulencji i zszedł pod pokład. Bobrowski jak gdyby nic zaczął wypytywać Rochebrune'a i Pustowójtowa o żołnierzy ich oddziałów, panujące wśród nich nastroje oraz niebezpieczeństwo dezercji lub zdrady. Rozmawiali o morale w powstańczych siłach zbrojnych dłuższy czas, aż cytadela znikła z widoku.

Niespodziewanie pokładem zatrzęsło, a gwizdek wyrzucił wysoko w niebo syczący strumień pary, który zamienił się w wielką chmurę. Koła napędowe przyspieszyły. Uderzały teraz w wodę z ogromną siłą, wzbijały tumany piany i przyskały wkoło. Przed dziobem parowca wytworzyła się fala i statek przyspieszył, jakby pod kotłem paliło stado wściekłych diabłów. Poblądły kapitan zbiegł z mostku i zniknął pod pokładem.

– Mam nadzieję, że Jemioła nie wysadzi nas w powietrze – mruknął Pustowójtow.

Kocioł parowca okazał się jednak wytrzymały, a koła napędowe porządnie zmontowane. Statek nie rozpadł się na kawałki, ale popłynął przed siebie z ogromną prędkością, co chwila wyrzucając zaworem bezpieczeństwa kłęby pary. Zwolnił jakieś dwadzieścia wiorst za cytadelą, wtedy też na pokładzie pojawił się Jemioła, już w znacznie lepszym humorze. Rękawem otarł krew, która strużką popłynęła mu z nosa, co znaczyło, że używał mocy, zapewne kontaktując się z Płomykiem. Otrząsnął się szybko i dał znak ciągle wystraszonemu kapitanowi. Dziób parowca powoli skierował się w stronę brzegu. Statek manewrował parę minut, wreszcie wbił się w szuwały i utkwiał w piasku kilka kroków od stromego brzegu. Marynarze przenieśli wąski trap, który na szczęście sięgnął ziemi. Natychmiast zbiegło po nim kilku powstańców w rosyjskich mundurach, by sprawdzić okolicę.

– Muszę się pożegnać, panowie. – Pustowójtow skinął głową oficerom.

– Mam nadzieję, że potraktował pan poważnie rozkaz naczelnika Bobrowskiego? – spytał groźnie Padlewski. – Nie zamierza pan podchodzić z ludźmi pod Warszawę bez rozkazu?

– Mam za zadanie uratować kilka tyłków. – Pustowójtow poprawił czapkę z carskim orłem i ruszył w stronę ładowni, by zabrać wierzchowca. – To

chyba nie koliduje z rozkazami Rządu Narodowego?

– Powodzenia, Teofilu! – krzyknął za nim Wierciński. – Liczę, że szybko się spotkamy. Nie zdążyliśmy jeszcze porządnie się napić!

Pustowójtow machnął kapitanowi na pożegnanie i zniknął w ładowni. Tymczasem na ląd schodzili jego powstańcy – rosyjscy piechurzy w szarych szynelach, ze skrzyżowanymi na piersiach białymi bandolierami, z tornistrami na plecach i karabinami przewieszonymi przez ramię. Na widok ich karności i dyscypliny Padlewski i Bobrowski poczuli się nieswojo. Zamiast typowej, pstrokatej bandy buntowników mieli przed sobą dwie rotę regularnego wojska, zachowującego się i wyglądającego niczym prawdziwa carska armia.

Na pokładzie załomotały końskie kopyta. Teofil siedział w siodle – wielki, potężny drab z cesarskimi faworytami na ponurej gębie. Skinął Jemiole, który z powagą zasalutował, i zjechał stępa po chybotliwym, wąskim trapie. Żołnierze skwitowali jego cyrkowy wyczyn westchnieniem podziwu. Ktoś zagwizdał, inny zaczął bić brawo, ale uspokoiły ich okrzyki sierżanta – a tymczasowo carskiego feldfebla – Węgorzewskiego, który wreszcie wczuł się w rolę i wrzeszczał po rosyjsku:

– *Nu riebiata, zakrojcie rot!*<sup>23</sup>

Pustowójtow wskazał ręką kierunek marszu i ustawił się na czele pierwszej kolumny. Ruszyli przez łąkę w stronę ciemnej ściany lasu, ciągnącej się w oddali. Znajdowali się kilka wiorst za Bielanami, tradycyjnym miejscem niedzielnego wypoczynku warszawiaków. Przed nimi roztaczały się pustkowia i nieliczne wsie. Kilku z piechurów odwróciło się w stronę paropływu i pomachało na pożegnanie. Marynarze wciągnęli trap, para znów zagwizdała i koła napędowe zaczęły obracać się do tyłu. Pokładem zakołysało i statek z jęknięciem uwolnił się z mielizny. Zanim paropływ obrócił się dziobem pod nurt Wisły, piechurzy w rosyjskich mundurach znikli w lesie.

**9 kwietnia 1863 r.**

Wanda nie mogła skupić się na ręcznej robótce, którą dostała dla zabicia czasu. Haftowanie kwiatków wydawało się czymś zupełnie bezsensownym, a w obecnej sytuacji wręcz niestosownym. Powinna działać, organizować akcję uwolnienia Stanisława, a nie siedzieć na tyłku i bawić się w wielką damę. Z trudem powstrzymała się przed ciśnięciem robótki na podłogę, bo w sumie panna Ignacja miała jak najlepsze intencje, wręczając jej igły, nici i poszwę do wyszywania. Nie dość, że panny Piotrowskie, nie zadając pytań, przyjęły Szczurównę pod swój dach, nakarmiły i okazały jej serce jak komuś z rodziny, to jeszcze starały się umilić dziewczynie oczekiwanie. Wypadało zatem grzecznie czekać i dziergać krzyżykowym haftem kolejny fikuśny kwiatusek. Tylko jak długo można?

Wanda z westchnieniem wyjrzała przez okno. Parterowy dom stał na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, w miejscu niebywale ruchliwym, niemal w samym Śródmieściu. Dochodziło południe, więc ruch na ulicy aż kipiał. Toporne chłopskie wozy łomotały kołami, turkotały dorożki i powozy, ze skrzypieniem przejechała nieprawdopodobnie obładowana, a do tego oblepiona błotem steinkellerka: wyglądała jak amerykański dyliżans, który dopiero co przejechał pół kontynentu. Co chwila przed oknem migwały sylwetki przechodniów, panów w surdutach, wyrobników i andrusów w podartych i brudnych kapotach, do tego żandarmów, policjantów, żołnierzy i kozaków. Nie zauważyła jednak nikogo choćby podobnego do przystojnego Janka Białego.

Odkąd zostawił ją tu przedwczoraj, już się nie pojawił. Wczoraj pod wieczór przysłał tylko chłopaka z listem, w którym meldował, że nawiązał kontakt z pułkownikiem Jemiołą. Dowódca rozkazywał Wandzie pozostać w mieście i spokojnie czekać na dalsze polecenia, nie wszczynać awantur ani żadnych wariackich prób uwolnienia Stanisława. Sprawą Loewenhardta zajmowała się powstańcza policja, która krok po kroku próbowała ustalić, gdzie właściwie się znajdują doktor i aresztowani razem z nim działacze organizacji miejskiej. Podejrzewano, że są na Pawiaku lub w więzieniu

ratusza. Tam w pierwszej kolejności przewożono więźniów i poddawano ich wstępnemu badaniu.

Może właśnie w tej chwili go biją? Przypalają rozgrzanym żelazem, kłują szpikulcami, zrywają mu paznokcie? Wanda zadrżała. Może prowadzą go na szubienicę lub już zakładają mu sznur na szyję? Kiedyś w Szydłowcu widziała, jak kozacy dopadli jakiegoś nieszczęśnika podejrzanego o spiskowanie. Tłukli go nahajkami do krwi, a potem powiesili na drzewie. Wierzgał i dusił się długie minuty, próbował rękoma rozluźnić węzeł na szyi, ale ten zacisnął się zbyt mocno. Pętla miażdżyła krtań i przepuszczała coraz mniej powietrza, a kozacy śmiali się do łez. Co będzie, jeśli zrobią to samo ze Stanisławem?

Wanda nie mogła spokojnie siedzieć, kiedy groziła mu okropna śmierć. Nie zniesie bezczynności przez kolejny dzień, to wykluczone. Energicznie odłożyła robótkę na stolik przykryty koronkowym obrusem, wstała i poprawiła sukienkę. Siedząca po drugiej stronie panna Ignacja spojrzała pytająco znad swoich haftów.

Zanim Wanda zdążyła coś powiedzieć, do pokoju wpadła Pelagia Pobóg-Zgliczyńska, dwudziestoletnia, drobna i niewysoka blondynka. Doskoczyła do okna i wyjrzała zza zasłony.

– Wreszcie coś się zaczyna dziać!

– Co takiego? – Ignacja poderwała się od stolika. – Znowu rewizja?

Wanda stanęła obok Pelagii i nad jej ramieniem wyjrzała na ulicę. W bramie domu zatrzymał się powóz bez budy. Wysiadał z niego starszy mężczyzna z siwymi bokobrodami, ubrany w mundur oficera żandarmerii. Żydówka wciągnęła oddech ze strachu. Zanim znalazła się w domu panien Piotrowskich, Janek Biały opowiedział jej co nieco o tym miejscu. Mieszkające tu trzy stare panny znano w organizacji jako gorące i odważne patriotki. W ich domu nieraz gościli ukrywający się agenci, przechowywano tu również tajne dokumenty i broń. Najstarsza z sióstr, Waleria, wylądowała na Pawiaku, prawdopodobnie po donosie. Wypuszczono ją po jakimś czasie, ale od tamtej pory dom znajdował się pod obserwacją i systematycznie odbywały się w nim rewizje. Janek twierdził, że dzięki temu jest doskonałym miejscem na przechowanie Wandy, bo jak wiadomo najciemniej jest pod latarnią. Miała podawać się za kolejną siostrzenicę Piotrowskich, których te miały



nieskończoną ilość. Po prawdzie jedyną prawdziwą była śliczna Pelagia. Pozostałe należały do „Piątek”, żeńskiej komórki w organizacji miejskiej.

– Żandarmi – jęknęła Wanda. – Co teraz? Mam papiery na żydowskie nazwisko, nie uwierzą, że jestem waszą krewną.

Do pokoju wpadły pozostałe siostry Piotrowskie: Waleria i Stefania. Wszystkie trzy wyglądały niemal identycznie, różniły się tylko wiekiem, a co za tym idzie liczbą zmarszczek. Były szczupłe, niewysokie, z włosami opadającymi swobodnie na ramiona i w takich samych czarnych sukniach. W jednej chwili znalazły się przy oknie.

– Spokojnie! – parsknęła Pelagia. – To tylko pułkownik Bergmann, mój przyjaciel.

– Przyjaciel? – Wanda z trudem panowała nad łomotem buzującym w umyśle i próbującym wyrwać się w ryku przerażenia. – Rosyjski oficer?

– Nie każdy Rosjanin jest żądnym krwi potworem, są wśród nich porządni ludzie. – Pelagia w podskokach, niemal tanecznym krokiem dopadła do drzwi. – Zbieraj się, Wanda. Pewnie pojedziemy na wycieczkę.

Wybiegła z pomieszczenia i trzasnęła drzwiami. Po chwili szczebiotała po francusku, witając pułkownika w sieni. Wanda ze zmieszaniem spojrzała na gospodynię.

– Cieszy się jak dziecko, kiedy przyjeżdża policmajster Bergmann. – Waleria rozłożyła ręce. – Czasem zabiera ją na widzenia z narzeczonym lub na rozmowy z wpływowymi oficjelami, by mogła zabiegać o uwolnienie Jarka. Dlatego nasz kwiatuszek tak się ucieszył na widok rosyjskiego pułkownika. Sama nawiązała z nim znajomość i owinęła sobie starego żandarma wokół palca. Wpierw przekonała do siebie jego żonę, a potem, po długich rozmowach, udało się jej przekabacić i samego oberpolicmajstra. Ma w nim wiernego przyjaciela, wpływowego i władczego.

Wanda ochłonęła nieco. Rozumiała doskonale Pelagię, dziewczyna walczyła o uwięzionego w cytadeli narzeczonego jak lwica. Szczurówna też była gotowa na bardzo wiele dla Stanisława. Mimo że złamał jej serce, a potem stanowczo odrzucił jej awanse, nadal miała do niego słabość. Próbowwała wybić sobie z głowy przystojnego lekarza i skierować uczucia na kogoś innego, ale serce nie służy. Choć starała się o nim nie myśleć i milion

razy powtarzała sobie, że Staś przecież kocha inną – słynną Henię Pustowójtównę – i tak łapała się na gapieniu na niego i nierealnych marzeniach.

Gorąca miłość najczęściej nawiedzała ją w snach. Brali ślub, ona jako świeżo ochrzczona chrześcijanka, w oślepiająco białej sukience, on w paradnym mundurze z błyszczącymi epoletami. Wchodzili do kościoła, czy raczej cerkwi ze złotymi kopułami, w jakimś słonecznym i gorącym mieście. Potem, śmiejąc się, biegła między wysokimi drzewkami winogron, uginającymi się pod czarnymi kiściami dojrzałych owoców. Rzuciła za siebie wianek, welon, zdierała suknię. Biegła zupełnie nago w dół wysokiego wzgórza z winnicą, a w oddali promienie słońca tańczyły w morskich falach. On był tuż za nią, silny i wielki, pachnący tytoniem, sięgał po nią i dotykał ciepłymi, twardymi dłońmi. Wymykała mu się ze śmiechem. Potem kochali się w pyłe, złani potem, zdyszani. Błyszczeli w słońcu niczym morze szumiące u stóp wniesienia.

Wanda potrząsnęła głową, z trudem wracając do rzeczywistości. Nocna wizja przynosiła fale gorącej błogości i jakąś niezrozumiałą tęsknotę. Dziewczyna nie pamiętała twarzy kochanka ze snu, ale raczej nie przypominał Stanisława. W dodatku sen sprawiał niepokojąco rzeczywiste wrażenie. Wanda wiedziała, że przyniosło go mutatio, że to moc zsyła jej wizje. Zupełnie jak przed bitwą o Małogoszcz.

Weszła do sieni i dygnęła przed żandarmem. Pelagia przedstawiła ją jako córkę kuzynki swego ojca, a straszy pan ukłonił się grzecznie i pokręcił z niedowierzaniem głową. Zdawał sobie sprawę, że jest robiony w konia, jednak nie zareagował, widocznie działa się to nie po raz pierwszy. Odmówił też wypicia herbaty i nie spróbował ciasta panny Stefanii, najmłodszej z sióstr Piotrowskich. Kłaniał się i układnie dziękował za zaproszenie, obiecał zjawić się lada dzień na dłuższe odwiedziny, ale dziś nie miał na nie czasu.

Na zydlu woźnicy siedział mundurowy żandarm, a dwóch konnych towarzyszyło pułkownikowi jako obstawa. Dziewczęta usiadły tyłem do kierunku jazdy, *vis-à-vis* oficera. Policmajster pogładził w zamyśleniu bokobrody i dał znak stangretowi. Powóz potoczył się Marszałkowską w kierunku Królewskiej. Wanda rozglądała się w oszołomieniu. Ona,

buntowniczką poszukiwaną przez tajne służby, jechała policyjnym powozem w towarzystwie wysokiego szarżą rosyjskiego oficera. Mijane patrole salutowały pułkownikowi, warszawiacy spuszczały lub odwracali głowy, lojaliści uchylali kapeluszy.

– Rozmawiałem dziś w sprawie Jarosława z nowym adiutantem wielkiego księcia, hrabią Bergiem – Bergmann odezwał się po rosyjsku.

– I co? Jest jakaś nadzieja?

– To delikatna sprawa, pewnym jest, że łatwo nie pójdzie. – Pułkownik pomasaował skronie. – Generał pytał o szczegóły, a gdy wyjaśniłem, o co chodzi, aż mu się wąsiska nastroszyły. Burknął, że nie przyłoży ręki do pomocy żadnym zbuntowanym oficerom. Wszyscy powinni skończyć na stryczku.

Pelagia pobleadła, ale dzielnie pokiwała głową na znak, że przyjmuje stanowisko hrabiego do wiadomości. Przed aresztowaniem Jarosław pełnił służbę w samym sztabie warszawskiego garnizonu, u boku księcia-generała Bebutowa, komendanta pałacu Saskiego. Zdrada oficera na tak poważnym stanowisku mocno zabolowała wojskowych dygnitarzy. Generalicja domagała się najsurowszej kary, jak najszybszej degradacji i wykluczenia uwięzionego z armii. Wyroku jednak jeszcze nie wydano i nie powieszono sztabskapitana Jarosława Dąbrowskiego, licząc, że uda się z niego coś jeszcze wyciągnąć. Poza tym brakowało przeciw niemu dowodów, a on sam w śledztwie trzymał się dzielnie i dotychczas nie puścił pary z ust. Przesłuchania trwały, a Pelagia pielgrzymowała razem z pułkownikiem Bergmannem po dygnitarzach, zebrząc o łaskę dla buntownika.

– Dokąd dziś jedziemy, pułkowniku? – spytała.

– Udało mi się wyprosić u Berga, by przyjął cię po zebraniu u dowódcy garnizonu. – Pułkownik uśmiechnął się nieznacznie. – Zgodził się też porozmawiać z twoją kuzynką, jakoby narzeczoną jednego z aresztowanych w niedawnej akcji Urzędu Przemian. Macie szansę coś wywalczyć, bo Berg popadł ostatnio w konflikt z naczelnikiem Urzędu, tajnym radcą Tichonem. Hrabia może chcieć zrobić mu na złość i doprowadzić do uwolnienia mniej podejrzanych. Kto wie? Wszystko w waszych rękach.

Powóz skręcił w Królewską i potoczył się dalej wzdłuż parkanu Ogrodów Saskich. Już po chwili dojechał na plac i zatrzymał się przed wejściem lewego

skrzydła pałacu. Wanda, zagryzając wargę, rozejrzała się po przestronnym dziedzińcu, wypełnionym ciasno namiotami i prowizorycznymi drewnianymi domkami. Miasto wyglądało w tym miejscu jak obozowisko prowadzącej oblężenie armii: karabiny poustawiano w kozły, na skrajach stali wartownicy, czworobok piechoty ćwiczył musztrę. Zupełnie jak na wojnie.

Weszli do pałacu pod czujnym wzrokiem wyprężonych wartowników w mundurach gwardii. Żydówka poczuła ciarki na widok wysokich, smukłych żołnierzy w pięknych czarnych uniformach z żółtymi wyłogami, w białych spodniach i czapkach z carskim orłem. Nie przypominali obdartusów w starych szynelach, z którymi Langiewicz bił się pod Świętym Krzyżem i Staszowem. Jak będzie wyglądało starcie chłopców Jemioły z tymi błyszczącymi gierojami? Może i daliby im radę, gdyby siły były wyrównane. Wanda niespecjalnie radziła sobie z liczeniem, ale na pierwszy rzut oka oszacowała, że na samym tylko placu stacjonowało dwa razy tyle żołdatów, ile Jemioła miał powstańców.

Pelagia złapała oszołomioną Żydówkę pod ramię i pociągnęła do jaskini Lwa – pałacu Saskiego. Znaleźli się w przestronnym holu ozdobionym imponującym portretem cara Aleksandra w grubej, ociekającej złotem ramie. Pułkownik poprowadził dziewczęta jednym z korytarzy, po którym kręcili się oficerowie, każdy ważny i dumny, z plikiem poufnych dokumentów pod pachą. Bergmann zatrzymał się przed największymi, dwuskrzydłowymi drzwiami na końcu korytarza i wskazał swoim towarzyszkom krzesła pod ścianą. Sam podszedł do dwóch żołnierzy pilnujących wejścia na salę posiedzeń, zamienił z nimi kilka słów i usiadł obok dziewcząt.

Pelagia uśmiechała się lekko, sprawiała wrażenie spokojnej i pewnej siebie. Wanda miała coraz bardziej mieszane uczucia. Przed oczami migotały jej czarne uniformy lejbgwardii, szare zwykłej piechoty, błyszczące dolmany huzarów, czerwone lub białe kurtki kozackich esaułów, lśniące orderzy, epolety, pasy ze zdobionymi rękojeściami oficerskich szabli. Wcisnęła się głębiej w krzesło, przytłoczona tym miejscem, wypolerowanymi podłogami, połyskliwymi kloszami lamp gazowych, przysadzistymi, obitymi złotym adamaszkiem meblami, stukotem wypucowanych oficerskich butów, szeptanymi konfidencjonalnie rozmowami, ciekawymi spojrzeniami i

uśmiechami rzucanymi spod eleganckich wąsików. Sztab oszołamiał blichтром. Wanda zdawała sobie sprawę, że ogląda tylko podrzędną siedzibę dowództwa okręgu warszawskiego. Jak zatem musiał wyglądać sztab w Petersburgu? I jak przy nim wypadało powstańcze dowództwo? Ci, których miała za wielkich, pięknych żołnierzy – Langiewicz, Jeziorański, Jemioła – okazali się tylko grupką obdrapanych łapserdaków. Na co właściwie buntownicy się porwali? Jakim cudem chcieli pokonać tak ogromną machinę wojenną?

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i ze środka wyszło różnym krokiem kilku młodych, niższych rangą oficerów. Dopiero po dłuższej chwili pomieszczenie opuściło czterech pułkowników, a na końcu pokazali się dwaj generałowie: jeden wysoki i szczupły z wydatną łysiną i siwymi lokami okalającymi głowę, a drugi niski, z czernionym wąsem i rudą peruką.

– Chudy to generał Mikołaj Iwanowicz Korf, komendant warszawskiego garnizonu – wyjaśnił stary żandarm. – Mniejszy to hrabia Berg.

Dziewczęta wstały i jednocześnie dygnęły oficerom. Ci jednak zdawali się ich nie zauważać, gawędzili o czymś, uśmiechając się i przyjacielsko poklepując po plecach. Hrabia Berg najwyraźniej właśnie zawarł nowy sojusz lub nawet przyjaźń, bo jego twarz promieniała szczerą radością. Generałowie rozmawiali kilka minut, stojąc na korytarzu, wreszcie Korf pożegnał się i odszedł w towarzystwie czekającego w oddaleniu adiutanta. Uśmiech w jednej chwili spłynął z twarzy Berga, zastąpiony przez surowość. Ukłonił się czekającym i wskazał zapraszająco wejście do gabinetu, z którego niedawno wyszedł.

– Radzą sobie panie z rosyjskim czy będziemy rozmawiać po francusku? – zapytał życzliwie.

– Obie dobrze znamy rosyjski – bez zastanowienia odparła Wanda.

Przed chwilą miała na wyciągnięcie ręki dwóch najwyższych rangą oficerów w Królestwie, głowy hydry, znaczy, carskiej armii. Jednym wrzaskiem mogłaby urwać je obie. Zastanawiała się nad tym desperackim krokiem, odkąd oficerowie wyszli z zebrania, ale doszła do wniosku, że nie miałyby to sensu. W miejsce urwanego łba wyrosną przecież dwa następne. Niepotrzebnie poświęciłyby życie, bo po takim zamachu marnie wyglądały szanse na ucieczkę. Bardziej się przyda, jeśli pozna wroga i odkryje jego słabe

strony.

– Zapoznałem się ze sprawą sztabskapitana Dąbrowskiego – oświadczył Berg, wskazując kobietom miejsca przy wielkim stole, na którym rozłożono imponującą mapę Królestwa Polskiego i Ziem Zabrzanych. – Jego los spoczywa w rękach sądu, a nie moich. Może kara zostanie złagodzona, ale Dąbrowski wcześniej musi przyznać się do zarzutów i zacząć mówić. Kilka nazwisk mogłoby zmienić szubienicę w piętnaście lat ciężkich robót na Syberii. Wszystko zależy od niego.

– Jarosław nie może podać nazwisk spiskowców, bo ich nie zna. – Pelagia mówiła z przejęciem, przyciskając dłonie do piersi. – Jest niewinny, znalazł się w areszcie, bo przyszedł w carskim mundurze na patriotyczną manifestację. To przez niefrasobliwość, a nie złą wolę. Nie zdawał sobie sprawy, co robi. Proszę przeczytać opinię o nim wystawioną przez księcia Bebutowa. Zresztą orderzy nie kłamią. Jarosław jest świetnym żołnierzem i ma w armii nieposzlakowaną opinię.

– Miał nieposzlakowaną opinię, miał. – Berg pokręcił głową i rozparł się na krześle. – I nadal miałby, gdyby nie przystąpił do spisku oficerów.

– Zaklinam się, że nie uczestniczył w spisku! – Pelagia poderwała się z siedzenia.

– To dlaczego jego nazwisko przewija się w protokołach z przesłuchań? – Berg spojrzał na nią lodowato.

Wanda obserwowała go z ciekawością. Starła się jak najwięcej zapamiętać z zachowania i reakcji generała. Nie sprawiał wrażenia potwora, odnosił się do gości całkiem grzecznie, choć dość stanowczo i surowo. Przygotował się do rozmowy z Pelagią, potraktował ją serio, co świadczyło o niezwyklej skrupulatności. Nie lekcewał przeciwnika, nie lekcewał nikogo, nawet młodej dziewczyny próbującej ratować narzeczonego. Nie wyglądał na zwykłego, tępego i pazerne go carskiego urzędnicznę ani skorego do pijaństwa i przemocy sołdata. Nie, miała przed sobą prawdziwego arystokratę o analitycznym i, mimo wieku, bystrym umyśle. Niedobrze, że tacy ludzie są we władzach wrogich wojsk. Ich obecność czyni je w dwójnasób groźnymi.

– Który z ostatnio aresztowanych jest pani narzeczonem? – Po paru

minutach spierania się z Pelagią Berg nagle zwrócił się do Wandy.

– Doktor Stanisław Loewenhardt – odparła bez zastanowienia.

Berg złapał za pióro stojące w kałamarzu i zanotował na kartce. Wanda ugryzła się w język. „Głupia dziewucho!” – pomyślała w panice. „Co zrobiłaś? Przecież Staś mógł się bronić, milcząc i nie podając nawet swego nazwiska”.

– I pewnie też jest całkowicie niewinny, a na zebraniu spiskowców znalazł się przypadkiem? – mruknął hrabia.

– Nie przypadkiem, ale jest zupełnie nieznaczącą osobą. Służył w powstańczym oddziale jako polowy lekarz, nikomu nie zrobił krzywdy – odparła, czując wzbierający gniew. – Udzielał pomocy także rannym Rosjanom.

– Niewątpliwie sąd potraktuje ten fakt jako okoliczność łagodzącą. – Berg skinął głową. – Proszę mówić dalej. W jakim oddziale walczył ten Loewenhardt? Gdzie znajdują się buntownicy z jego bandy? Jak i po co doktor znalazł się w Warszawie?

– Nie znam odpowiedzi na te pytania, generale. – Pod stołem zacisnęła dłonie w pięści. – Proszę nie wypytywać mnie o takie sprawy.

– Jak mam panience pomóc, skoro odmawia panienka udzielenia odpowiedzi na proste pytania? – Berg przestał zwracać uwagę na Pelagię, wyraźnie zaintrygowany drugą petentką.

– Chcę pana prosić o pomoc w uwolnieniu niewinnego, dobrego człowieka, który znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Nie zdradzę panu tajemnic buntowników, bo nic o nich nie wiem.

Berg pokiwał głową.

– Dlaczego ma mi zależeć na uwolnieniu tego gagatka? Sama panienka przyznała, że włóczył się z jakąś bandą po lasach i napadał na carskich żołnierzy. Jest jeszcze bardziej winny zdrady niż sztabkapitan Dąbrowski. Ten drugi od kilku miesięcy siedzi za kratami i przynajmniej mamy pewność, że nikogo nie zabił.

Wanda zagotowała się ze złości. Po co właściwie tu przyszła? Czego się spodziewała? Że uda się przekupić generała sturublowym banknotem, ostatnim z otrzymanych od Pustowójtowa? Może jednak lepiej ryknąć mu prosto w

twarz i popatrzeć, jak mózg hrabiego eksploduje uszami?

– Mogę wyciągnąć pomocną dłoń nawet do takiej szumowiny – Berg groźnie zmarszczył brwi – ale nie bezinteresownie. Musi panienka wykonać moje polecenie. Proszę natychmiast udać się do buntowników i przekazać im ostrzeżenie. Wszyscy dowódcy i członkowie Rządu Narodowego muszą się na jakiś czas zapaść pod ziemię. Najlepiej niech znikną z miasta i to natychmiast. O ile wiem, pierwsi pojmani zaczęli sypać i lada dzień odbędą się kolejne aresztowania. Urząd Przemian zabrał się do likwidacji zrywu i jeśli mu na to pozwolimy, zgasi go w dwa tygodnie.

– Czemu nas... – zająknęła się Wanda. – Czemu chce pan ostrzec buntowników?

– Zależy mi, by bunt trwał nadal. – Berg się uśmiechnął. – Niech powstańczy rząd zaszyje się na wsi i stamtąd kieruje oddziałami. Niech buntownicy trzymają się lasów i nie pozwolą się wybić.

Zarówno Wanda, jak i Pelagia wstrzymały oddech ze zdumienia. Dziewczęta spojrzały na siebie w poszukiwaniu wsparcia czy wyjaśnienia. Żadna nie rozumiała motywacji generała.

– Potrzebuję kontaktu z buntownikami – powiedział Berg. – Proszę panienki o pośredniczenie w rozmowach, a w zamian spróbuję pomóc waszym narzeczonym. Niestety oba przypadki wyglądają niewesoło. Dąbrowski nie jest byle kim i nie da się go po prostu wyciągnąć z cytadeli jak podrzędnego podejrzanego. Natomiast Loewenhardt został aresztowany przez ludzi Tichona i jest prezentem radcy dla wielkiego księcia. Śledztwo prowadzi osobiście hrabia Rozwadowski, przesłuchania Tuchołko, a sam Konstanty często wypytuje o postępy. Mogę jedynie zabiegać o złagodzenie kar, ale nie w tej chwili.

Wandzie zaświeciły się oczy. Adiutant wielkiego księcia ostrzega i ma chęć na dalsze rozmowy, na pakt z przywódcami powstańców? Toż to niezwykła okazja na skaptowanie wysoko postawionego Moskala. Może da się całkiem przekabacić go na stronę powstańców? Byłby niezwykle cenną zdobyczą!

– Proszę mi wytłumaczyć swoje intencje, generale – powiedziała. – Dlaczego chce pan pomagać buntownikom?



– Nie będę kłamał, że przez sympatię dla Polaków. – Berg pogardliwie wyduł usta. – Chcę udaremnić plany naczelnika Urzędu Przemian. Muszę utrzyć nosa Tichonowi. Spróbuję dowiedzieć się, kto i kiedy zostanie aresztowany, a potem w porę przekażę ostrzeżenie. Proszę podyktować mi swój adres, posłaniec będzie nosił tam listy. Jeśli pojawi się trudniejsza lub pilniejsza sprawa, możemy się spotkać i pomówić w cztery oczy. Proszę wszelkie prośby przekazywać przez tego samego posłańca.

Pelagia posłusznie podyktowała adres domu swoich ciotek. Wanda cały czas świdrowała Berga wzrokiem, zastanawiając się, na ile można mu ufać. Wyszło jej, że na niezbyt wiele.

– Teraz muszę panny pożegnać i pędzić do zamku, by służyć wielkiemu księciu – powiedział i sypnął piaskiem na kartkę. – Będę śledził losy waszych narzeczonych i jeśli pojawi się jakaś szansa... Dam znać.

Dziewczęta wstały posłusznie, dygnęły i wyszły do czekającego pod drzwiami pułkownika. Żadna nie zareagowała na jego pytające spojrzenie. Bez słowa pozwoliły zaprowadzić się do powozu i odwieźć do domu.

Kiedy tylko drzwi za dziewczętami się zamknęły, hrabia uśmiechnął się do siebie. Głupiutkie sikorki! Oczywiście nie zamierzał pomagać powstańcom wyłącznie z chęci dokuczenia Tichonowi. Powstanie musi trwać jakiś czas, na tyle długo, by zniecierpliwiony car odwołał swego nieudolnego brata, tego śmiesznego Niezdarnego Saszę, i nazaczył nowego namiestnika królestwa – Fiodora Berga. Kiedy tylko się to stanie, Berg ostatecznie i bezlitośnie stłumi powstanie. Królestwo zasnują dymy ze spalonych miast, zaroi się od szubienic, a Warszawą wstrząsną nieustanne salwy rozstrzeliwanych buntowników. Nie będzie pobłażania ani łagodnych wyroków. Na szubienicy zawisnie zarówno Jarosław Dąbrowski, jak i ten doktorek Loewenhardt. Jeśli będzie trzeba, Berg osobiście podpisze ich wyroki.

Jednak na razie niech buntownicy wierzą, że znaleźli stronnika w carskiej armii. Zapłacą za te marzenia wysoką cenę. W swoim czasie.

**10 kwietnia 1863 r.**

Rankiem przyjechał transport z powstańczej intendenty. Dwóch przebranych powstańców otworzyło bramę Warsztatów Żeglugi Parowej i na teren zakładu wtoczyły się załadowane wozy, każdy zaprzężony w cztery konie. Paki na wozach przykryto szarym płótnem i związane sznurem. Obserwujący przybycie transportu Jemioła, Rochebrune i Wierciński zachodzili w głowę, jak udało się przeprowadzić coś takiego przez pół miasta, pod okiem policji, wojska i kręcących się wszędzie szpicli.

Pierwotnie sprzęt miał trafić do powstańczej ekspedytury i zostać wysłany dalej, do jednego z oddziałów działających w terenie, ale Jemiole udało się wybłagać przesyłkę u naczelnika Warszawy. Towar został zakupiony w Ameryce z funduszy przekazanych przez Hotel Lambert i powinien dotrzeć do Polski przed wybuchem powstania. Spóźnił się jednak kilka miesięcy, w dodatku część transportu wpadła w łapy pruskich celników, ale to, co najważniejsze, udało się ocalić. Ponoć transport oficjalnie figurował jako części maszyn przeznaczonych dla Warsztatów Kolei Wiedeńskiej i faktycznie tam trafił. Odebrali go pracujący na kolei członkowie organizacji miejskiej, od których w środowisku robotników aż się roiło.

Z jednego z wozów zeskoczyło dwóch młodych ludzi. Pierwszy, ubrany w tanią, wyświechtaną marynarkę, nosił okulary o bardzo mocnych szklach, drugi prezentował się znacznie lepiej i w schludnym surducie oraz meloniku wyglądał jak carski kancelista. Staś faktycznie pracował jako urzędnik komory celnej i to dzięki jego kontaktom oraz sfałszowanym dokumentom towar mógł trafić do portu. Jednak nie on szefował intendencji, a jego niepozorny kompan – Ludwik Okularnik.

Dowódcy uścisnęli sobie dłonie, po czym zuawi i pozostali powstańcy od razu przystąpili do rozładunku. Dwa wozy wjechały do hali warsztatu, by mogli układać towar od razu w magazynie. Kiedy odwiązano sznury i płótno opadło na ziemię, oczom zgromadzonych ukazały się długie drewniane skrzynie o opieczętowanych i zaplombowanych wiekach. Na dwóch

najcenniejszych wozach znajdowały się po dwa wielkie kwadratowe pudła z dech i Wierciński natychmiast doskoczył do nich z żelaznym łomem w garści. Ten ładunek został przeznaczony właśnie dla jego niewielkiego oddziału czterdziestu artylerzystów. Wreszcie będą mieli z czego strzelać.

– Proszę podpisać mi kwit odbioru, pułkowniku Jemioła. – Okularnik wyciągnął z kieszeni kartkę z wypunktowanym spisem towarów i pieczęcią Rządu Narodowego. – Chwileczkę, nie wszystko się zgadza. Dwa wozy z amunicją nie dotarły do Warszawy, pewnie wpadły w łapy Moskali. Ma pan coś do pisania? Muszę wykreślić te pozycje.

– Wszystko się musi zgadzać w pana dziale, co? – Jemioła machnął ręką na snującego się po hali Pliszkę i wysłał go do gabinetu po pióro i kałamarz.

Kosynier nie był zachwycony poleceniem, ale poszedł.

– U nas zawsze się zgadza – przytaknął Staś-celnik. – Z każdego drobiazgu skrupulatnie rozliczamy się przed rządem. Pan wie, ile ostatnio towaru przeszło przez nasze magazyny? Na mieście mamy kilkanaście składów, a w nich żywność, proch, kapiszony, mundury, ciepłe gacie, a nawet sztandary i chorągwie.

– Mundury i jakiś sztandar też by się przydały.

– Proszę złożyć zamówienie – służbowym tonem odparł Okularnik. – Po zatwierdzeniu przez naczelnika miasta, towar zostanie przekazany w umówione miejsce. Długo będziecie tu jeszcze stacjonować?

– Co najmniej tydzień, może dłużej. – Jemioła wzruszył ramionami.

– Nie boicie się zdrady? Wśród zwykłych pracowników warsztatów mogą trafić się szpicle, komuś może się coś wyrwać przy wódce w traktierni. – Szef intendenty mrugał nerwowo i jego oczy wyglądały groteskowo za zbyt dużymi okularami.

– Staramy się uczulić ludzi na podejrzanych osobników i wpoiliśmy pracownikom warsztatów zasady konspiracji – wtrącił się Rochebrune. – Każdy, kto puści parę z gęby, musi się liczyć z nocnymi odwiedzinami sztyletników, którzy urządzają dla niego i jego rodziny prawdziwy *danse macabre*.

– Poza tym warsztatów pilnuje policja powstańcza – dodał pułkownik. – Agenci kręcą się w okolicy, obstawili całe Powiśle i Czerniaków. Nikt

niepożądany tu nie wlezie. Ponoć wczoraj złapali jednego szpicla. Spłynął Wisłą z gardłem poderżniętym od ucha do ucha.

Okularnik skinął głową.

– Mówią, że aresztowani trzy dni temu zaczęli sypać. Dziś żandarmi znów zwinęli kogoś z organizacji – dodał po dłuższej chwili milczenia. – Może się zdarzyć, że któryś z nich wyda też waszą bazę w porcie.

– Niby kto? – parsknął Jemioła. – Prócz naczelnika miasta, kilku osób z intendentury i policji powstańczej, nikt o nas nie wie. Nawet mój człowiek, który wpadł razem z Obywatelem Jerzym, nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy.

– A te kilka osób? Któraś z nich może wylądować na odwachu i zacząć gadać. No dobrze, jestem trochę przewrażliwiony, ale wiecie, co Moskale robią ze złapanymi? Jak okrutnie dręczą ich w Dziesiątym Pawilonie? Postanowiłem, że nie dam się złapać, choćby nie wiem co!

Okularnik zacisnął usta w wąską kreskę. Oficerowie zorientowali się, że chłopak jest na skraju załamania nerwowego.

– *Ça arrive*<sup>24</sup>. – Rochebrune machnął ręką. – Każdy może trafić do niewoli.

– Ja nie. – Okularnik sięgnął do kieszeni i zaprezentował na otwartej dłoni białą pastylkę. – Cyjanek. Połknę go, kiedy po mnie przyjdą.

Tymczasem pojawił się Pliszka z piórem w jednym wielkim łapsku i kałamarzem w drugim, ale zamiast podejść do oficerów, zwrócił się ku artylerzystom wyciągającym swoje nowe cacko ze skrzyni. Wierciński dobrał sobie najsilniejszych i najbardziej wytrzymałych pomocników, samych chłopów i robotników z sandomierskich kuźni. Mimo to w ośmiu mieli problem z wydobyciem armatki i sprowadzeniem jej z wozu po trapie na ziemię. Pliszka wcisnął któremuś z robotników kałamarz i pióro w rękę i rozepchnął kłębiących się wokół wozu mężczyzn.

– Pokażta, łamagi, co tam macie!

Wskoczył na wóz i sam złapał dyszel lawety. Zaparł się nogami i napiął wszystkie mięśnie. Z jego gardła wyrwało się charkotliwe warczenie, uniesione wargi odsłoniły zdrowe białe zęby i mocno przerośnięte kły. Cała jego sylwetka zdawała się rosnąć, koszula napięła się na potężnych barach.

Któryś z artylerzystów przeżegnał się i splunął zabobonnie przez ramię. Na pozostałych widok używającego mocy odmieńca nie robił wrażenia.

Okrzykami zaczęli dopingować Pliszkę.

– Blokada kół, cymbały! – wydarł się Okularnik. – Wyjmijcie kołki spod kół!

Za późno. Dębowe klocki trzasnęły niczym łamane zapalki. Koła zaterkotały po dechach platformy i armatka z impetem zjechała na ziemię. Pliszka musiał zaprzec się i hamować w tumanach pyłu, by zatrzymać rozpędzony sprzęt.

Wierciński doskoczył do swojego nowego cacka i zastygł z rozdziawioną w podziwie gębą. Armata błyszczała naoliwioną, czarną stalą. Pachniała żelazem i olejem, fabryczną nowością. Wyglądała dość dziwnie, co artylerzysta natychmiast zauważył. Łoże miała normalne, z okutymi żelazem kołami jak do trzyfuntówki, za to zamiast prostej lufy spoczywało w nim sześciolufowe ustrojstwo zaopatrzone w masywny zamek z korbą.

– Co to, kurwa, jest? – Wierciński zerwał z głowy swoją ukochaną czerwoną czapczkę i cisnął ją na ziemię. – To nie jest armata!

– Oczywiście, że nie – spokojnie odparował Ludwik Okularnik. – Przecież pokazywałem listy przewozowe. O, tu stoi jak byk: kartaczownica Gatlinga, cztery sztuki.

– Co takiego? – Kapitan artylerzystów zrobił się czerwony. Niewiele brakowało, by zaczął garściami rwać włosy z brody. – Kartaczownica? Janek! Obiecałeś mi armaty!

– Nie armaty, tylko nowoczesną, doskonałą do walk w mieście broń – sprostował pułkownik. – Uspokój się, do cholery. Masz przed sobą szczyt rozwoju techniki wojskowej, broń przyszłości, która zmieni oblicze pól bitew.

– Gównu zmieni! Wygląda niczym nedorobiona śmigownica, jakieś siedemnastowieczne organki! Przyszłość należy do armat, a nie takich dziwacznych zabawek!

Do amerykańskiego cacka podszedł Rochebrune, a po chwili kartaczownicę szczelnie otoczyli ciekawscy.

– Pan pułkownik ma rację – wtrącił Okularnik. – To wcale nie zabawka, tylko bardzo sprytne ustrojstwo. O, tu jest do niego magazynec.

Wskazał na leżący w otwartym pudle miedziany bęben z widocznymi przewodnicami. Podniósł go oburącz, a następnie sprawnym ruchem zamocował magazynek w zamku.

– Można w niego włożyć kilkaset naboji – wyjaśnił. – Kiedy kręcimy korbą, naboje wpadają do obrotowego zamka, który jednocześnie kręci lufami. Iglice uderzają w bok naboju i następuje wystrzał. W ciągu minuty dwieście, nawet do czterystu razy.

– *Combien?*<sup>25</sup> – jęknął zdumiony Rochebrune.

Wierciński uspokoił się w jednej chwili i z zaciekawieniem zaczął przyglądać się maszynie. Zbliżył się do niej niczym pies do jeża i ostrożnie, jakby bojąc się pokłucia, pogłodził lufę, a potem pochylił nad zamkiem z korbą i błyszczącym magazynkiem. Po chwili badał urządzenie, niemal jeżdżąc po nim nosem, wachał je i dotykał. Podrapał, obejrzał paznokiec, a potem go polizał. Wreszcie wsadził paluch do jednej z luf i policzył bruzdy gwintu. Zapanowała absolutna cisza. Wierciński coraz śmielej pieścił swoje nowe cacko, zaczął też cmokać i mruczeć z podziwem. Jemioła odetchnął.

Wierciński zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia. Dobry rosyjski strzelec potrafił nabić karabin trzy razy na minutę, natomiast jedna kartaczownica mogła wystrzelić w tym czasie dwieście do czterystu pocisków. Była niczym dwie rotacje piechoty pukające nieustannym rotowym ogniem. Cztery takie cudenka dawały siłę większą niż batalion strzelców. Ustawione w ciasnej uliczce mogły stać się prawdziwym aniołem śmierci.

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Takie same są na wyposażeniu armii Unii. To naprawdę niezwykle nowoczesna i bardzo groźna broń. – Jemioła przyjaźnie klepnął Wiercińskiego w ramię.

– Może być – mruknął. – Zobaczymy jeszcze, jak się ją obsługuje. Ile mamy amunicji?

– Zostało około dwóch tysięcy sztuk. Niestety część zgarnęli Prusacy jeszcze w Gdańsku i właśnie tę pozycję chciałem wykreślić z listy – odparł Okularnik. – Możemy jednak spróbować sfabrykować zamienniki. Łuska jest miedzianą tulejką, a pocisk nie różni się specjalnie od tych, które robimy do odprzodowych karabinów w tajnych manufakturach. Trzeba szybko przygotować formy o odpowiednim przekroju, łuski da się ciągnąć lub ciąć z

walcowanej blachy w Warsztatach Kolei, w Rządowej Fabryce Maszyn na Książęcej i w fabryce metalurgicznej Evansa. Wszędzie tam mamy ludzi. Kłopotem będzie tylko wyprodukowanie spłonek i odpowiedniej mieszanki prochowej.

– Tym ja się zajmę – powiedział Jemioła. – Jeden z moich dawnych podwładnych z Tajnego Laboratorium Rządu Narodowego jest chemikiem. Ma całą grupę młodych naukowców do dyspozycji i pracownię w Szkole Głównej. Myślę, że podejmie się zadania, ale szczegóły ustalimy później.

W czasie rozmowy chłopcy ściągnęli z wozów pozostałe kartaczołnice i zabrali się do rozładunku podłużnych skrzyń. Na polecenie Rochebrune'a ustawiali je pod ścianą hali.

– To dla ciebie – oznajmił Jemioła Francuzowi.

Wiernicki rzucił mu łom. Generał złapał go z gracją świetnego szermierza i zakręcił grubym prętem młynka nad głową, po czym podważył wieko pierwszej skrzyni i z trzaskiem gwoździ rwących drewno otworzył pokrywę. Wewnątrz, obsypane trocinami i zawinięte w natłuszczone płótno, leżały równo poukładane karabiny. Rochebrune złapał jeden i rozwinął. Zagwizdał z podziwem, oglądając błyszczącą broń o okutej polerowaną stalą kolbie.

– Dwieście dwadzieścia karabinów Spencera – wyjaśnił Okularnik i wyjął wreszcie pióro i atrament z rąk któregoś artylerzysty. – Do tego osiemset magazynków i miedziane naboje. Część też przepadła w drodze, zostało jakieś osiem tysięcy sztuk. Oczywiście da się dorobić, o ile czasu starczy...

– Magazynki? – zaciekał się Francuz. – Ech, ci Amerykanie. Łebskie chłopaki. Jak to działa?

Okularnik ujął jeden z karabinów i zademonstrował. Rurowy magazynek na siedem naboji ukryto w kolbie. Okucie na jej końcu faktycznie stanowiło jego część, wystarczyło ją przekręcić, by uwolnić ładunki. Broń przeładowywało się, prostując osłonę spustu. Można było zarepetować karabin w każdej pozycji, nawet leżąc lub w ostateczności jedną ręką. Intendent pokazał, jak to się robi, wzbudzając pomruk podziwu. Szybkostrzelność i łatwość obsługi pukawki wręcz porażała. Oczywiście ta broń przyszłości kosztowała polską arystokrację z Hotelu Lambert kupę brzęczącej monety. Szkoda, że do kraju docierała dopiero teraz, a nie w styczniu, gdy trzeba było iść w bój bez broni.

Jemioła kazał rozdać karabiny zachwyconym żuawom. Od tej chwili dysponował doborowym, uzbrojonym po zęby oddziałem weteranów, i w dodatku fanatyków, z którym nie mogły się równać najbardziej wymuskane rotylejb-gwardyjskie. Dowodził też niespotykaną nigdzie baterią kartaczownic – ciężkich karabinów korbowych.

Z taką armią można było ruszać w bój.

\*\*\*

Pułkownik Jemioła pisał akurat list do Dionizego Czachowskiego, który ponoć przejął dowództwo nad wszystkimi oddziałami powstańczymi w świętokrzyskim i sandomierskim, gdy dotarła do niego przyjemna woń gotującej się zupy. Wymknął się więc z gabinetu i wyszedł przed budynek. Obiad przygotowywało czterech żuawów, wesołych młodzieńców pochodzących z Krakowa. Prócz Jemioły zapach zwabił Pliszkę i grupę jego kosynierów. Wielkoludy ustawiły się grzecznie w kolejce, każdy z własną blaszaną miską i łyżką w garści. Jako dowódcy pułkownikowi przysługiwał posiłek poza kolejnością, ale nie skorzystał z tego przywileju. Ustawił się na końcu ogonka, uprzednio pobrawszy miskę z leżącej na ziemi kupki. Przesunął po naczyniu rękawem, a brudną łyżkę wytarł w spodnie. Zupa była gęsta od kaszy, pływały w niej marchew, ziemniaki, kapusta i kawałki wieprzowiny, czyli wszystko, co wpadło kucharzom w ręce.

Jemioła usiadł na trawie razem ze swoimi podwładnymi i zabrał się do wiosłowania łyżką. Kosynierzy zachowywali się jak niesforne dzieciaki, przepychali się i żartowali jeden z drugiego. Któryś dopytywał się pułkownika o przydział gorzałki, bo od przybycia do stolicy nawet jej nie powąchal. Tylko Pliszka siedział z ponurym grymasem na gębie, nawet jadł jakoś apatycznie, bez zwyczajowej żarłoczności.

- Coś ci dolega? – Jemioła szturchnął go w ramię.
- Ech, nic – odburknął wielkolud.
- Chyba nie przejąłeś się degradacją?
- Czym?
- Tym, że już nie jesteś kapitanem.
- Mam to w nosie – burknął. Siedział chwilę w milczeniu, zgrzytając łyżką



o dno miski. – Ckni mi się za Hanką.

Jemiola niemal zakrzuszył się zupą. Spojrzał na kosyniera spode łba.

– Jest tu, w Warszawie, a do mnie nie przychodzi – mruknął Pliszka.

– Co takiego?

– Strzyga, o której gadają chłopcy z miasta, to Hanka – wyjaśnił kosynier. – Jeden ją widział na dachu kościoła Świętego Krzyża. Opowiedział, jak wygląda, i jakbym znów ją widział żywą. Moc odmieniła Hanię i chyba przez to nas nie pamięta. Ano trudno, cieszę się, że choć żyje... Pułkowniku, nie dałoby się co zrobić? Przywołać ją do nas? Może uleczyć, przywrócić wspomnienia?

Oficer chwilę trawił rewelacje Pliszki. Słyszał opowieści o strzydze grasującej w mieście i atakującej Rosjan, ale wziął to za bajdurzenie – miejską bajkę, jak ta o syrence. Ale jeśli Pliszka ma rację? Może Hankę przemienił strumień czystego mutatio i nie uległa całkowitemu zniszczeniu, a stała się czymś innym? Może turbulencja wpisała się w jej ciało i umysł? Trzeba to sprawdzić! To może spowodować kolejny przełom w badaniach nad mocą!

Zanim zdążył poderwać się na równe nogi i cisnąć precz miskę z żarciem, drogę zastąpiło mu trzech kosynierów, z których każdy trzymał za ramię po młodym obdartusie.

– Panie pułkowniku, ujęliśmy szpionów! – huknął pierwszy z nich.

Jemiola obrzucił półprzytomnym spojrzeniem złapanych smarkaczy, ich postrzępione, za krótkie spodnie, buty obwiązane sznurkiem, brudne koszule i wyświechtane kamizelki. Gówniarze ani chybi byli andrusami z Powiśla. W okolicy mieszkały setki takich jak oni, nieszczęsnych dzieciaków z najgorszej miejskiej biedoty.

– Francuski generał kazał każdego, kto węszy przy porcie, od razu dźgnąć nożem i wrzucić do rzeki. Mamy wykonać ten rozkaz? – Mina kosyniera sugerowała, że pogardza zarówno barbarzyńskim rozkazem, jak i osobnikiem, który go wydał.

– Czego tu szukaliście, chłopaki? – spytał oberwańców Jemiola.

Żaden nie wyglądał na więcej niż czternaście lat. Mało prawdopodobne, by tajna rosyjska policja wysługiwała się takimi osobnikami.

– Jak Boga kocham, niczego, panie pułkowniku. – Dla podkreślenia wagi wypowiedzi młodzieniec walnął się pięścią w pierś. – Szliśmy tylko na ryby...

– Bez wędek? I do tego chyłkiem przy płocie warsztatów? – Kosynier potrząsnął nim bezceremonialnie.

– A co, nie wolno? Nie potrzebujemy wędek, ryby wybieramy prosto z sieci! – odparował młodzieniec.

Dla Jemioły stało się jasne, że dzieciaki zajmowały się okradaniem wiślanych rybaków, a przy warsztatach węszyły pewnie dlatego, żeby też coś podwędzić. Pułkownik zastanawiał się, co z nimi zrobić. Nie mógł ich przecież zwyczajnie puścić, bo zaraz rozejdzie się po mieście, że w porcie siedzi jakiś pułkownik z bandą podejrzanych typów.

– Jak się nazywacie i skąd jesteście? – spytał.

– Wszyscyśmy tutejsi, z Powiśla – odpowiedział najodważniejszy.

Pozostali dwaj łypali spod spuszczonej głów. – Ja jestem Edek Sierakowski, ten czarny to Karol, a mały to Ferdek. Uwolnijcie nas, wasza ekscelencjo, bo matuś będzie się martwić. Mój tatko nie żyje, tylko ja utrzymuję rodzinę, znaczy matkę i czwórkę rodzeństwa. Muszę im coś przynieść albo pójść spać z pustymi brzuchami. Chłopaki mają niewiele lepiej, ojciec Ferdka wszystko przepija u Żydów, a Karol jest sierotą i mieszka u skąpej ciotki, która ma na głowie ósemkę własnych bachorów...

Tymczasem zeszła się spora grupa żuawów i otoczyła pierścieniem zebranych. Chłopak gadał coś jeszcze, a jego oczy wreszcie zbłądziły na miskę z parującą zupą, którą Jemioła trzymał w dłoni. Szczeniak przerwał przemowę, by przełknąć ślinę. Jego kompani też łypali na michę niczym na prawdziwy skarb.

– Wiecie, kim jesteśmy? – huknął pułkownik.

– Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć. – Edek wzruszył ramionami. – Nikomu nie powiemy ani słowa.

– Jesteśmy buntownikami – powiedział Jemioła. – Polską armią, która przyniesie wolność ludowi Warszawy. Wiecie o czym mówię?

– Powstańcy? – ożywił się chudy i drobny Ferdek. – Pewno, że wiemy, o czym pułkownik gada. Mój stryjasek poszedł do powstania i dwóch chłopaków z podwórka, znajomi piaskarze, kominiarze, służący, pomywacze i

nawet kilku salcesonów z cyrkułu. Wszyscy się biją z Moskalami. Ja też chciałem, ale muszę pracować, by moi nie pomarli z głodu.

– A chcecie się bić o ojczyznę? – spytał oficer.

– O co?

– O Warszawę, o swoje podwórko, o wolność i lepsze życie!

– Pewno, panie pułkowniku! – Ferdek wyprężył się i szarpnięciem wyrwał ramię z uścisku kosyniera. – Tylko kto da zjeść naszym braciom i siostram?

– Pomyślimy nad tym – mruknął Jemioła. – Pliszka, zajmij się młodzieńcami. Dopilnuj, by się najedli, a potem niech Wierciński odbierze od nich przysięgę. Jeszcze z nimi pogadam.

Pomyślał, że w okolicy jest kilkuset takich chłopców. Gdyby udało się ich skaptować na pomocników, Jemioła miałby oczy i uszy w mieście i mógłby poradzić sobie ze szturmem Warszawy bez wsparcia organizacji miejskiej. I gdyby Bobrowski, za podszeptami Padlewskiego, nie zgodził się na rozpoczęcie operacji, pułkownik przeprowadziłby ją o własnych siłach. A kiedy zryw już się zacznie, organizacja będzie musiała wziąć udział w walce.

\*\*\*

Pułkownik ślęczał nad zapiskami o języku, którym posługiwały się turbulencje rzeczywistości, gdy ktoś załomotał pięścią w drzwi kotłowni. Jemioła oderwał się z niechęcią od zapisków i pozwolił wejść intruzowi. Do środka wkroczyło trzech mężczyzn, na widok których oficer z radością poderwał się ze stołka i wyciągnął rękę, by kolejno uścisnąć im dłonie. Praca znów całkiem go pochłonęła i nie zdawał sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Umówił nietypowych gości na osiemnastą, czyli znów cały dzień, nie wiadomo kiedy, przeciekł mu przez palce.

– To jest twój pupilek? – Najmłodszy z przybyszy, niewysoki łysiejący blondyn, śmiało podszedł do pieca i spojrzał wprost w ogniasty pysk Płomyka. – Jasna Anielka, nie mogłem uwierzyć, że to prawda. Ujarzmiłeś turbulencję! Człowieku, to coś niesamowitego!

Blondyn nazywał się Roman Mandor i pracował jako agent handlowy u jakiegoś Żyda rozprowadzającego rosyjskie towary, a dodatkowo zajmował się zakazanym fachem – nurkował w anomaljach, by wyławiać z nich artefakty.

Prawdopodobnie był odmieńcem o nietypowej mocy, pozwalającej mu jednak bez szkód przebywać w strefie wysokiego promieniowania mutatio.

Mandorowi towarzyszyło dwóch starszych panów, ubranych w trochę staroświeckie redingoty i cylindry z mocno profilowanymi rondami; całkiem łyсы, za to z krótką siwą bródką, nazywał się Różewicz i był profesorem medycyny, a Rosenfeld, szczupły jegomość o pociągłej twarzy, był profesorem fizyki. Wszyscy trzej stanowili trzon komórki organizacji miejskiej, którą Jemioła kierował do wybuchu powstania – Tajnego Laboratorium Rządu Narodowego. W trakcie nieobecności pułkownika dowodzenie przejął profesor Różewicz. Pod jego rządami organizacja niemal całkiem zarzuciła badania nad turbulencjami i skoncentrowała się na fabrykowaniu broni dla sztyletników, głównie całkiem konwencjonalnych bomb i amunicji.

– Poczył pan znaczne postępy, kapitanie. – Różewicz pokiwał z uznaniem głową. – To jest... pułkowniku.

– Mniejsza o tytuły. – Jemioła machnął ręką. – Zaprosiłem was, by zapoznać z moimi pracami, a nie popisywać się awansami. Muszę komuś przekazać, co odkryłem, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Mandor zdawał się nie słuchać, oglądał turbulencję. Niemal wsadził głowę przez otwarty włącz pieca, by lepiej się jej przyjrzeć. Nie robiło na nim wrażenia gorąco ani upiorny wygląd anomalii. Ognisty olbrzym sprawiał wrażenie, jakby został ściśnięty potężnym ciśnieniem i z trudem mieścił się w palenisku. Kanciasty, pozbawiony rysów twarzy łeb Płomyka tkwił nieruchomo, wbity w ramiona miażdżone z obu stron ścianami pieca. Nogi anomalii zostały wtłoczone w tułów i w blasku żaru nie dało się ich dojrzeć. Ogniste usta otwierały się co chwila, jak do niemego krzyku, i wykrzywiały w bolesnym grymasie.

Pułkownik rozłożył notatki na stole i zaczął zawiły wykład o maszynowym charakterze wszystkich turbulencji, strukturze ich umysłów i sposobie myślenia, który faktycznie sprowadzał się do zimnego analizowania docierających danych i ścisłego wykonywania poleceń. Sztuczna świadomość anomalii też różniła się od ludzkiej, nie była tak niejednoznaczna, dało się ją opisać serią matematycznych wzorów i uporządkować jak wszystko, co jest związane z maszynami. Jemioła przedstawił naukowcom zapis komend i

przykładową strukturę algorytmów do ich notowania. Pokazał też tabelę z przekładem komend w języku maszynowym i sposoby jego artykułowania, tak by pozostawał zrozumiały dla anomalii.

– Dobra, powiedzmy, że łapię. – Mandor niecierpliwie machnął ręką. – Teraz może zademonstruj działanie tych swoich programów. Pokaż, co Płomyk potrafi.

– Tylko ostrożnie. – Różewicz pozostawał sceptyczny. – Nie róbmy nic głupiego, bo jeszcze ściągniemy na siebie uwagę. Przypominam, że znajdujemy się na obrzeżach miasta.

Jemioła z roztargnieniem pokiwał głową. Wyciągnął ze sterty papierzysk ostatnią zapisaną dziś kartkę z nowym zestawem komend. Pokazał ją naukowcom.

– Planowałem mały eksperyment. Chcę użyć Płomyka jako latarni mutatio, chcę go zmusić, by ściągnął mi tu strzygę, która od jakiegoś czasu grasuje po Warszawie.

– Upiorzyce? – zdziwił się Rosenfeld. – A po co? I jak anomalia ma tego dokonać?

– Ta upiorzyca jest prawdopodobnie moim poległym żołnierzem, który uległ przemianie pod wpływem źródła potężnego mutatio – wyjaśnił pułkownik. – Płomyk wezwie ją w języku maszyn. Korzystając z mocy, po prostu wyemituje jej prawdziwe imię i nakaze stawić się na miejscu. Nie mam pewności, że to zadziała, ale warto spróbować. Zaczniemy od wypuszczenia Płomyka z pieca. To pomieszczenie stanie się pułapką na strzygę, a my dla bezpieczeństwa wyjdziemy na górę. Kiedy upiorzyca się pojawi, sam do niej zejść.

– Sam? – mruknął Mandor.

– Z moimi dwiema dziewczynkami. – Jemioła sięgnął po pas z rewolwerami, wiszący na haku przy wejściu, i przypiął go na biodrach. – Peggy i Daisy dodadzą mi pewności siebie. Stanowią dość mocny argument w każdej rozmowie.

Odchrząknął i wyciągnął jedną rękę w stronę Płomyka, drugą zaś sięgnął do niego wiązkami mocy. Ledwie wyczuł jego umysł, zaczął czytać czar z kartki. Ognisty demon poruszył się niespokojnie. Piec jęknął metalicznie, jeden

z nitów wystrzelił niczym karabinowy pocisk, świsnął i zadzwonił o ścianę. Wielkie płonące łapy pojawiły się w otworze paleniska i stwór zaczął przeciskać przez właz najpierw ręce, potem kanciastą głowę z rzygającą strumieniem błękitnych płomieni rozwartą paszczą. W nozdrza obecnych uderzył zapach rozgrzanego metalu i tłącego się drewna, twarze owiała im fala gorąca. Profesorowie zaczęli cofać się do wyjścia, tylko Mandor stał przy Jemiole twardo, ale z trudem panował nad drżeniem kolan.

Płomyk ryknął głosem przypominającym huk pożaru. Buty uciekających naukowców zadudniły o schody, a pułkownik poczuł, jak strużki potu spływają mu po czole. Stał jednak twardo i nieustannie recytował czar. Demon wylazł z paleniska i znów stał się tak wielki, że musiał klęczeć, by zmieścić się w pomieszczeniu.

– Niesamowite! – Mandor otarł pot z czoła. – Chcę się nauczyć tego języka.

Ognisty potwór pochylił łeb i w pomieszczeniu rozległy się dziwne trzaski i piski, zmieszane z niezrozumiałym szeptem. Obaj mężczyźni cofnęli się bez słowa, mutatio wypełniło powietrze, wdzierало się do płuc, a przez nie do krwi i do umysłu. Jemioła pociągnął nosem. Krew kapała z niego ciężkimi, gęstymi kroplami. Miał wrażenie, że spada prosto w ognistą czeluść, która rozwarła się w miejscu ściany. Szarpnięcie przywróciło mu przytomność. To Mandor ciągnął go po schodach na górę.

Świeże powietrze, zapach Wisły, smarów i smoły z portowych warsztatów pomogły mu powrócić do rzeczywistości, choć niewiele brakowało, by mutatio spaliło umysł Jemioły, bo kiedy Płomyk zaczął wykonywać rozkaz i wysyłać wezwanie do strzygi, wywołał uderzenie mocy o gigantycznym natężeniu.

– I co zrobiłeś, Jemioła? – warknął Różewicz. – Nawet ja czuję pulsujące mutatio. Taka emisja postawi na nogi wszystkich odmieńców w mieście i rozpali wszelkie artefakty. Nie zapominajmy, że na naszym tropie jest Urząd Przemian, który zatrudnia samych oborotenów. Mogą nam się tu lada chwila zwalić na głowę!

Jemioła bezradnie rozłożył ręce.

– Powstrzymaj tę turbulencję, na co czekasz? – Starszy pan naprawdę się

rozniewał. – Chyba przygotowałaś czar blokujący jej działanie?

Pułkownik pokręcił przecząco głową, otarł rękawem ciągle kapiącą z nosa krew i spojrzał w stronę miasta, ale nic się jeszcze nie działo. Różewicz mruknął coś wściekle pod nosem. Rosenfeld wyglądał na spokojnego, oparł się o barierkę i wyglądał na Wisłę, jakby znajdował się na wycieczce. Słońce zniknęło za dachami ruder i rozpadających się chałup Powiśla. Nadchodziła noc i niebawem naukowcy będą musieli wrócić do miasta, by zdążyć przed godziną policyjną.

– Przy okazji mam prośbę o wsparcie techniczne przy fabrykowaniu amunicji – odezwał się z głupia frant Jemioła.

– To znaczy? – Różewicz spojrzał na niego zimno.

– Chodzi o ładunki prochowe do zespolonych naboju. Potrzebujemy ich kilka tysięcy sztuk.

– Macie pruskie „igłówki”? – zaciekał się Mandor.

– Nie, to do amerykańskiej broni, jeszcze nowocześniejszej niż karabiny Dreysego – odparł oficer. – Łuski i pociski wytworzą chłopcy z intendentury, potrzebne są ładunki.

– Proszę wypisać zapotrzebowanie i przekazać je naczelnikowi miasta – warknął Różewicz.

– Panie profesorze, pan też zamienił się w biurokrate? Nie możemy ustalić czegoś bez udziału całej administracyjnej maszyny?

– Przykro mi, pułkowniku, ale pańskie zachowanie wskazuje na rozchwianie psychiczne – odparł. – Obawiam się, że zbyt częste korzystanie z mutatio odciska na panu coraz mocniejsze piętno. Nie umiem ocenić, na ile pańskie plany są mrzonkami popadającego w szaleństwo odmienca, i liczę, że Bobrowski je zweryfikuje oraz podejmie stosowną decyzję. Nalegam również, by powstrzymał się pan od dalszych eksperymentów do czasu zbadania przez biegłego psychiatrę. Wystosuję w tej sprawie pismo do Rządu Narodowego. A teraz już pora kończyć nasze spotkanie. Żegnam.

Profesor zszedł po trapie i ruszył przez port, stukając obcasami o bruk. Rosenfeld uklonił się i uśmiechnął przepraszająco, a potem szybkim krokiem dogonił swego przełożonego. Został tylko Mandor.

– Nie załamuj się, Janek – pocieszył pułkownika Nurek. – Myślę, że

wystarczy nabić te naboje zwykłym prochem, a tego mamy całkiem sporo. Postaram się, by beczki dotarły do intendentury jak najszybciej. No to trzymaj się, brachu!

Uściskał dłoń Jemioły i pognał za oddalającymi się naukowcami. Pułkownik tkwił na pokładzie, pogrążony w czarnych myślach, podczas gdy wokół zapadał zmrok. Słońce całkowicie schowało się za dachami i tylko na zachodzie niebo świeciło jeszcze fioletową poświatą, za to Wisła zaczynała już niknąć w ciemności. Lada chwila zapalą się latarnie, rozciągnięte łańcuchem blasku od niedalekiej gazowni na Solcu aż do Nowego Światu.

Rozmyślania przerwał mu narastający z każdą chwilą szum. Rozejrzał się czujnie, kładąc dłoń na rękojęści Peggy. Nagle poczuł ohydny zapach zgnilizny oraz wilgotnej ziemi i w tej samej chwili kątem oka dostrzegł ruch na niebie. Kucnął odruchowo, kaszkiet spadł mu z głowy, muśnięty przez nadlatujący kształt. Smród uderzył w nozdrza ze zdwojoną siłą, wyciskając łzy z oczu. Strzyga wylądowała miękko na pokładzie. Skrzydła na jej plecach złożyły się w jednej chwili. Obróciła głowę i przez ramię groźnie spojrzała na Jemiołę. Ten ścisnął w dłoni rewolwer, ale bał się choćby drgnąć. Ze zgrozą zrozumiał, że ołowiany pocisk raczej nie zatrzyma upiorzycy.

– Hanka? To ty? – wydukał.

Dziewczyna wyglądała przerażająco. Zdawała się jeszcze wyższa i potężniejsza niż za życia, ale w jej oczach brakło choćby śladu zrozumienia – błyszczały niczym ślepiec bestii gotowej w każdej chwili zaatakować i zabić bez najmniejszych emocji. Jemioła wyprostował się powoli.

– Kto mnie wzywa? – wycharczała niewyraźnie.

Nie słysząc natychmiastowej odpowiedzi, skoczyła w stronę włazu prowadzącego pod pokład. Jemioła przełknął ślinę, bo gardło w parę sekund wyschło mu na pieprz. Po chwili wahania ruszył za upiorzycą. Z kotłowni bił blask ognia. Hanka stała bez ruchu naprzeciw płonącemu olbrzymu. Przechylała głowę po ptasiemu i mamrotała coś niezrozumiale. Płomyk miał rozchylone usta, z których oprócz błękitnych płomieni wydobywały się trzaski maszynowego języka na tle jednostajnego szumu. Dwie istoty połączyły umysły i wymieniały dane. Zapach spalenizny mieszał się ze smrodem otwartego grobu i drażnił coraz bardziej.



Udało się. Płomyk uwięził strzygę. Może z jego pomocą uda się zwrócić Hance pełną świadomość?

Jemioła otarł pot z czoła i wybiegł na pokład.

**12 kwietnia 1863 r.**

Stanisław Loewenhardt szybko nauczył się spać w więziennych warunkach i nic specjalnie nie męciło mu snu. Trzy miesiące wojowania odcuciły go miejskich wygód; zdarzało się przecież, że musiał drzemać na zmarzniętej ziemi lub na klepisku w oborze. Po obozowych niewygodach poduszka wypchana miękkim sianem i taki sam materac wydawały mu się niemal książęcym łóżem. Nic też sobie nie robił z blasku lichej łojówki, która zgodnie z regulaminem musiała się palić na środku celi. Początkowo gorzej znosił nocne odwiedziny wartowników, którzy równo co godzina wymieniali wypaloną łojówkę. Trzask zamka, brzęczenie żelaznych kluczy, szuranie i trzaskanie drzwiami stawiało go na nogi tylko pierwszej nocy. Kiedy się okazało, że wartownicy nie przychodzą, by pastwić się nad więźniem czy wlec go na tortury, po prostu odwracał się na drugi bok, gdy wchodzili, i spał dalej.

Wstał, kiedy strażnik przyniósł śniadanie – kubek mleka, chleb i białe ser. Niewyszukane, ale dało się zjeść. Loewenhardt pałaszował ze smakiem suchy więzienny kołacz, starając się nie rozmyślać nad swoją sytuacją. Zdążył się już z nią pogodzić. Wiedział, że czeka go wyłącznie szubienica. Może, gdyby zdecydował się sypać, zasłużyłby na rozstrzelanie.

Toaletę, czyli przemycie twarzy i dłoni, zrobił w misce stojącej na stołku, podstawowym wyposażeniu każdej celi. Prócz stołka i pryczy znajdowały się tu jeszcze niewielki stół i krzesło z oparciem. Do tego ze ściany wystawał piec i choć nikt w nim nie palił, wprowadzał ciepłą, niemal domową atmosferę. Stanisław znalazł w jego pobliżu liczne niedopałki i mimo że sam nie używał tytoniu, skrzętnie je zgromadził. Zamierzał je podarować siedzącemu po sąsiedzku Jarkowi Dąbrowskiemu. Nie wiedział jeszcze, jak to robi, ale więźniowie przekazywali sobie nie takie rzeczy. Sąsiad niedawno rozproszdził po całych dwóch piętrach małe piłki do metalu. Przemyciła je jego narzeczona Pelagia, której czasem udawało się wyprosić wizytę. Zdarzało się też, że więźniowie spotykali się na korytarzu, i jeśli strażnicy przymknęli oko, mogli zamienić dwa słowa lub podać sobie jakiś drobiazg.

Stanisław siedział chwilę beczynnie na łóżku i patrzył w wąskie, wysoko osadzone okienko. Kontemplację światła na ścianie przerwało mu znajome stukanie. Staś natychmiast przypadł do muru i zaczął wodzić po nim palcem. Stukanego języka więźniów nauczył się dopiero niedawno i musiał skorzystać z notatek, które nabazgrał ołówkiem. Kod podyktował mu Dąbrowski, początkowo zirytowany nowym więźniem, którego wszystkiego musiał nauczyć. Zrobił to, stukając poszczególne litery i wrzeszcząc je na całe gardło. Zdążył przerobić cały alfabet, zanim strażnicy weszli do celi, by go uciszyć.

– D-z-i-ś n-i-e-d-z-i-e-l-a – z wysiłkiem literował Stanisław. – N-i-e b-ę-d-z-i-e p-r-z-e-s-ł-u-c-h-a-ń.

Otarł spocone czoło. Dąbrowski donosił, że liczy na wizytę swojej narzeczonej, a zatem będzie miał wieści z miasta. Kazał nie przejmować się kłamstwami śledczych. Pelagia przynosi książki, w których litery ponakłuwane są szpilką i układają się w długie listy.

Krótki dialog przerwało im chrobotanie klucza w zamku. Stanisław odskoczył od ściany jak oparzony i usiadł na łóżku w niedbalej pozie. Do środka wszedł żołdat z karabinem, a za nim wysoki, mocno szpakowaty oficer z dystynkcjami majora i odpychającą gębą. Loewenhardt wyprostował się natychmiast, intruzem był bowiem komendant X Pawilonu Żuczkowski, przez więźniów zwany Morokiem.

– Znowu stukacie, co? – Uśmiechnął się, w swoim mniemaniu, przyjaźnie. – Pukajcie, pukajcie, a co mi tam. Nie będę takim służbistą, różnie przecież może się zdarzyć. Dziś ja was pilnuję, jutro sytuacja może się odwrócić.

– Czego pan chce, majorze? – Stanisław poprawił spodnie, nieco poplamione i coraz mocniej śmierdzące moczem.

– Osobiście odprowadzić pana na przesłuchanie, doktorku. – Morok położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął mocno. – Zerwano mnie z łóżka w niedzielę o świcie, bo komuś na górze zachciało się jednak mocniej was przycisnąć. Nie chcecie śpiewać, a lada dzień będzie ważne zebranie u wielkiego księcia. Jego ekscelencji Pawłowi Iwanowiczowi Tichonowi niezwykle zależy na przedstawieniu namiestnikowi konkretnych wyników przesłuchań. Postawił na nogi komisję śledczą i nawet przysłał jej wsparcie, zdziwisz się, doktorku, jakie. Co prawda Tuchołko nie jest zachwycony, ale

nie ma wyjścia, musi tolerować nowego śledczego. O, słyszysz?

Morok przyłożył palec do ust, choć Stanisław nic nie mówił, i pochylił się nad więźniem. Poorana bliznami po ospie, czerwonawa gęba majora znalazła się przy samej twarzy Loewenhardta. Komendant pachniał kamfiną i krwią. W oddali rozległ się przeraźliwy krzyk maltretowanego człowieka, stłumiony nieco grubymi murami. Usta żandarma ułożyły się w zimny uśmiech. Wrzask powtórzył się po chwili i przeszedł w wycie. Stanisław poczuł kroplę potu spływającą po plecach; zorientował się, że zaciska pięści i spina się jak do skoku.

– Wiesz, kto to, doktorku? – Morok znów złapał go za ramię. – Obywatel Jerzy, nasz drogi członek Rządu Narodowego. Ładnie wrzeszczy, prawda? Zaraz zacznie śpiewać jak operowa diwa. Posłuchasz tego z bliska, jeśli łaska...

Niespodziewanie szarpnął i postawił Stanisława na nogi. Pchnął go mocno do wyjścia i ruszył za nim. Loewenhardt znalazł się na korytarzu, w eskorcie trzech milczących żołdatów i żandarma. Chciał krzyknąć na pożegnanie do Jarosława, ale strach zacisnął mu gardło tak mocno, że wyrwało się z niego tylko płaczliwe jęknięcie.

„Wstyd” – pomyślał. „Ale co tam, skoro Jerzy tak wrzeszczy, to znaczy, że jest się czego bać”.

Dotarli na parter i przeszli kolejnym korytarzem. Zatrzymali się przed drzwiami, za którymi zwykle obradowała komisja śledcza, ale zamiast do środka, Stanisław został wepchnięty do małego pokoiku z boku. Drzwi się zamknęły i został sam w obskurnej poczekalni. W kącie pomieszczenia stało wiadro z moczącymi się różgami, a jedyny mebel – prosta ława – zabryzgany był krwią. Stanisław zaczął chodzić od ściany do ściany. Cztery kroki w jedną, pięć w drugą. Rozpiął guzik pod szyją i odetchnął ciężko. Za ścianą rozległ się kolejny krzyk dręczonego Jankowskiego.

Po nieskończeniu długim czasie, kiedy Staś nauczył się każdej rysy i plamy na ścianach celi, drzwi wreszcie się otworzyły i dwóch żołdatów poprowadziło go do sali przesłuchań. Usiadł na krześle stojącym na środku przestronnego pomieszczenia, ozdobionego na ścianie imponującym dwugłowym orłem. Pod carskim godłem znajdował się podłużny stół przykryty

zielonym suknem. Tkwił za nim tęgi, stary oficer w mundurze żandarma – okryty złą sławą pułkownik Tuchołko, przewodniczący komisji śledczej. Po jego obu stronach siedziało dwóch Polaków w carskich mundurach: piękny jak Apollo pułkownik Dziegielewski i brzydki jak stary diabeł pułkownik Zdanowicz. Dwaj zdrajcy świdrowali wzrokiem nową ofiarę. Stanisław miał już z nimi do czynienia, wiele się też o nich nasłuchał. Przystojniak potrafił być ujmująco uprzejmy i miły, a brzydał niezwykle brutalny i ordynarny. Uwagę Stanisława przykuła jednak czwarta, niepozorna postać, siedząca obok oficerów – Maria Konarska.

Loewenhardt patrzył na nią oniemiały, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. A więc jednak to ona zdradziła. Tylko co robi w X Pawilonie? Maria patrzyła na niego lodowato, bez śladów emocji, nie mówiąc już o wstydzie. Tuchołko przemawiał burkliwie, ale Stanisław nie słyszał nawet, co mówi stary grubas. Nie mógł oderwać spojrzenia od Marii.

– Wiemy, że przygotowywał pan zaplecze na przyjęcie w mieście buntowniczych band – nagle do Stanisława dotarło, co mówi Tuchołko. – Nie ma sensu zaprzeczać, pani porucznik Stołpin wszystko nam opowiedziała. Teraz chcemy usłyszeć szczegóły. Gdzie znajdują się kryjówki bandytów?

Stanisław zamrugął tylko w odpowiedzi i wzruszył ramionami.

– Czy rozumie pan po rosyjsku, doktorze? – Tuchołko sprawiał wrażenie zmęczonego i niewyspanego. Potarł skronie, widocznie cierpiał na bóle głowy. – Uporczywe milczenie nie ma sensu, pogarsza pan tylko swoją sytuację. Proszę nie zapominać, że jeśli zdecyduje się pan na współpracę, ocali pan życie. Wystarczy okazać dobrą wolę. Wyrok może zostać złagodzony, zamiast szubienicy spędzi pan kilka lat na Syberii i spokojnie wróci do domu. Przecież i tak wszystkiego się dowiemy, jeśli nie od pana, to z innego źródła. Daję panu szansę, wyciągam pomocną dłoń. Proszę jej nie odrzucać i ratować swe młode życie. Gdzie jest obecnie pułkownik Jemioła? Kim są pracownicy tak zwanej powstańczej intendenty? Nazwiska, adresy! Gdzie spotykają się członkowie Rządu Narodowego? Zna pan któregoś?

Loewenhardt z trudem przełknął ślinę. Przez chwilę zamarzył o ocaleniu życia – wystarczy odpowiadać na pytania, nic więcej. Potrząsnął głową i wyrecytował formułkę, którą znał każdy spiskowiec:

– Znat' ja nie znaju, widiet' ja nie widiet'<sup>26</sup>.

Tuchołko spąsował ze złości. Paskudny pułkownik Zdanowicz wstał, z hurgotem odsuwając krzesło. Wyszedł z za stołu i spokojnym krokiem zbliżył się do aresztowanego, po czym stanął za plecami przerażonego Stanisława. Doktor naszykował się na szarpnięcie za włosy, słyszał o upodobaniu Zdanowicza do ich wyrywania. Ponoć drab najchętniej rozszarpywał brody i pejsy aresztowanym Żydom, ale nie gardził czuprynami młodych buntowszczyków. Tymczasem żandarm pochylił się i chwycił Loewenhardta za ucho.

– Może nasz młody konował nie dosłyszał pytania, co?! – Szarpiąc małżowinę, ryczał po polsku. – Może mam powtórzyć albo dać lekcję rosyjskiego?!

Stanisław zacisnął zęby, z trudem dławiąc krzyk. Pałący ból i ciepło spływającej po szyi krwi świadczyły, że brutal naderwał mu ucho. Maria pokręciła z dezaprobatą głową i wymownie spojrzała na Tuchołkę. Ten niedbałym skinieniem ręki odgonił sadystycznego żandarma. Loewenhardt siedział sztywno, nieruchomy wzrok wbił w złotego carskiego orła na ścianie.

– Przygotowany na ból – zameldował po rosyjsku Zdanowicz. – Lepiej niech wiedźma Tichona się nim zajmie.

Tuchołko zatrzasnął otwartą księgę z notatkami oraz protokołem przesłuchania i wstał od stołu. Przystojny pułkownik Dziegielewski szepnął mu coś do ucha i odprowadził go do drzwi. Zdanowicz wyszedł razem z przewodniczącym komisji, ale na odchodnym pogroził Stasiowi pięścią. W pomieszczeniu została Maria i piękny żandarm. Ten ostatni złożył ręce i przycupnął na rogu stołu, tak by w razie czego jednym susem znaleźć się za drzwiami.

– Nie obawia się pan działania mutatio? – spytała go Maria.

– Jestem bardzo ciekaw tych niezwykłych tortur. – Oficer uśmiechnął się promiennie. – Poza tym zdobyłem amulet chroniący przed mocą.

Oficer zademonstrował nieforemny przedmiot wielkości dłoni, zawieszony na srebrnym łańcuszku. Stołpin skinęła głową i nie interesując się więcej żandarmem, podeszła do Stanisława.

– I tak nic ci nie powiem – syknął.

– Powiesz, doktorze, powiesz. – Pokiwała smutno głową. – Wycisnęliby z ciebie wszystko biciem, tylko zbyt długo trzeba by czekać. Skłonię cię do mówienia znacznie szybciej i bez użycia fizycznej przemocy. Pokażę ci tylko, co może cię spotkać, jeśli nie zaczniesz współpracować, zgoda?

– Niech cię piekło pochłonie, moskiewska dziwko!

– Nie bądź niesprawiedliwy, Stanisławie. Jestem żołnierzem takim samym jak ty, też przecież walczysz w przebraniu, w tajemnicy. Obojgu nam leży na sercu dobro ojczyzny, oboje się poświęcamy i ryzykujemy życie. Niczym się właściwie nie różnimy, obrażanie mnie jest zatem nieeleganckie.

Loewenhardt nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy nie złapać wiedźmy za gardło i nie ścisnąć z całych sił. Zanim żandarm ruszyłyby z pomocą, zdołałby ją choć trochę uszkodzić, a może wręcz zabić. Kiedyś, jeszcze przed powstaniem, przyłożył rękę do morderstwa rosyjskiej czarownicy, nie miał więc skrupułów, by zrobić to po raz kolejny. Wiedział też, że nie ma czasu na wahania i rozterki.

Napiął mięśnie i wyciągnąwszy rękę, poderwał się z krzesła. Zamierzał obalić Marię na podłogę i skręcić jej kark lub zmiażdżyć krtań. Stała zaledwie dwa kroki od niego, ale nawet nie drgnęła, poruszyła tylko ręką, jakby odganiała natrętą muchę, a potem powietrze za jej dłonią rozdarło się, uwalniając otchłań. Ręce Stanisława wpadły w wyrwę ciemności między nim a wiedźmą. Odzyskał równowagę w ostatniej chwili i szarpnął się w tył, uwolnił dłonie i spojrzał na nie ze zgrozą. Parowały smugami lepkiego mroku, który zdawał się przywierać do skóry doktora niczym smoła. Niemal materialne mutatio wsiąkało w ciało, przenikało do krwi, z każdym uderzeniem serca wdzierając się coraz głębiej, i nieubłaganie zmierzało do mózgu. Doktora ogarnęła panika, czuł nadchodzące szaleństwo, płynącą żyłami furie. Wrzasnął na całe gardło, po czym runął na podłogę i zaczął się tarzać, jakby chciał zgasić pożerające go płomienie. Nie mógł jednak uciec przez nieuchronnym.

Mutatio uderzyło kaskadą obrazów, uczuć i słów. Runęły na niego wizje z cyfrowych światów, utworzonych w umysłach potężnych maszyn liczących. Czuł ból rodzących się sztucznych świadomości, słyszał słowa recytowane przez tysiące głosów w językach pełnych liczb i znaczeń. W migawkach

widział płomienie na pękających niebach, koszmarne bestie, dziwolągi o kilku parach rąk i zdeformowanych głowach, pozbawionych płci aniołów przesuwających kontynenty i zagubione dusze wyjące w nieskończonej pustce pola informacji.

Momentami Stanisław orientował się, że wije się po zimnej podłodze sali przesłuchań i wrzeszczy na całe gardło, momentami znów wpadał w lawinę strzępów danych z odległej przyszłości. Wreszcie łkał tylko i dławił się łzami, a każdy kolejny obraz niczym bicz smagał jego umysł.

– Rozumiesz już, o czym mówiłam? – spokojnie odezwała się stojąca nad nim Maria Stołpin. – Mogę cię wepchnąć w to piekło całego i przypilnować, żebyś błagał o możliwość powiedzenia wszystkiego, co wiesz, zanim mutatio zmieni twój mózg w dymiącą papkę. Teraz wrócisz do celi i do jutra, może pojutrze, dojdiesz do siebie. Kiedy znów się spotkamy, złożysz wyczerpujące zeznania, bez fochów i nadymania się, jasne?

Odwróciła się i znikła z pola widzenia Stanisława. Doktor bał się poruszyć, by nie stracić kontaktu z rzeczywistością i znów nie wpaść w obce wspomnienia oraz wizje. Dwóch żołdatów musiało wziąć go pod pachy i zaciągnąć do celi, bo nie mógł nawet wstać o własnych siłach.

\*\*\*

W celi czekał na niego obiad – miska barszczyku z kawałkiem żylastego mięsa. Nie w głowie mu jednak było jedzenie. Zwinął się na pryczy i leżał godzinę czy dwie zupełnie nieruchomo, starając się zebrać myśli. Usta nadal wypełniał mu smak migdałów i kurzu, co ze zgrozą rozpoznał jako efekt uboczny działania mutatio. Musiał cały przesiąknąć tym cholerstwem i możliwe, że nigdy nie wróci do siebie. Z drugiej strony już tyle razy miał kontakt z mocą, że powinien wyrobić sobie pewną odporność. Gdyby tak razem z dziewczętami i Pliszką chodził na szkolenia do Jemioły! Ponoć pułkownik wyuczył odmieńców, jak radzić sobie z przypadłościami powodowanymi przez mutatio. Niestety przychodziła mu do głowy jedynie modlitwa. Nigdy nie należał do osób przesadnie religijnych, ale monotonne powtarzanie zdrowaśki faktycznie uspokoiło umysł i przyniosło mu ukojenie. Mamrocząc w kółko modlitwę, Staś zapadł w niespokojną drzemkę, z której obudził się spocony i



roztrzęsiony.

Słyszał ruch na korytarzu, otwieranie i zamykanie drzwi, jakieś głośy. Zastukał do Jarosława, ale odpowiedziała mu cisza. Wreszcie klucz obrócił się z chrzęstem również w jego drzwiach, a chwilę później do środka wszedł sołdat i przystojny pułkownik żandarmerii Dziegielewski.

– Ma pan gościa, doktorze – po raz pierwszy żandarm przemówił po polsku. – Siostra do pana przyjechała.

Siostra? Stanisław poderwał się z pryczy. Niemożliwe, przecież mieszkała z mężem w Księstwie Poznańskim i nawet nie wiedziała o jego aresztowaniu.

Do celi weszła drobna młoda kobieta o włosach ukrytych pod kaszmirowym szalem, założonym niczym chusta. Stanisław mrugał chwilę, z trudem rozpoznając w eleganckiej nieznajomej Wandę. Z twarzy dziewczyny znikły nawet piegi, zamaskowane grubą warstwą pudru.

– Bracie! – Żydówka wpadła w ramiona zaskoczonego lekarza i zawisała mu u szyi. – Wiem, że cierpisz, ale wytrzymaj! Ze wszystkich sił staram się doprowadzić do oczyszczenia twojego imienia i jak najszybszego uwolnienia. Rozmawialiśmy dziś z pułkownikiem Bergmannem, czynimy też pewne zabiegi u adiutanta wielkiego księcia generała Berga. Nasz przyjaciel Czeremcha jest już w Warszawie, niedługo zacznie robotę, po którą tu przybył. Depeszowałam wczoraj do Krakowa, do naszej wspólnej przyjaciółki, może uda się ją tu sprowadzić. Wiesz, jaka jest wpływowa. Jej pomoc bardzo się przyda przy twoim uwolnieniu.

Wanda trajkotała bez ładu i składu, a Stanisław nic nie rozumiał z jej wywodów. Poczuli za to, że dziewczyna wsuwa mu do kieszeni spodni jakiś podłużny, metalowy przedmiot. Nóż? Szpikulec? Niespodziewanie przystojny żandarm oderwał ją gwałtownym szarpnięciem. Ciągłe się uśmiechając, odsunął Wandę na przepisowe dwa kroki od więźnia i pogroził jej palcem, nic jednak nie zauważył.

Oczy Żydówki błyszczały przejęciem. Przyglądała się uważnie Stasiowi, jakby szukając znaków bicia i dręczenia. Przekrwione oczy, zarost i coraz mocniej lepiące się ubranie upodobały przystojnego lekarza do obwiesia z ciemnego lochu. Nie wyglądał teraz jak romantyczny bohater.

– Powiedz naszemu przyjacielowi Czeremsze, by wracał na wieś. Dziś nie

ma warunków na robienie dobrych interesów w Warszawie. – Zebrał się wreszcie, by przekazać dziewczynie jakąś informację. – Jego plany nie wypały, zrobi potworną klapę, całkiem zbankrutuje. Niech lepiej zainwestuje w lasy, byle dalej stąd.

– Zbyt późno, machina już ruszyła – odparła Wanda. – Czeremcha poczynił pewne inwestycje i sprawy zaszły za daleko, by się wycofać.

– Musi to zrobić, musi ratować, co się da. W każdej chwili może nadejść krach, wspólnicy się wycofują, nie wytrzymują im nerwy, brakuje sił. Wszelkie plany handlowe mogą wycieknąć do konkurencji i to lada dzień.

Wanda z powagą pokiwała głową. Zaczęła opowiadać o paczce, którą dla niego przyniosła i którą jeszcze przeglądali żandarmi. Trochę jedzenia i czystej bielizny, tytoń i bibułka. Z pewnością się przydadzą.

– Koniec widzenia – oznajmił krótko Dziegielewski. – Proszę opuścić celę.

Wanda pomachała jeszcze Stanisławowi i przystojniak niemal siłą wyprowadził ją na zewnątrz. Loewenhardt usiadł ciężko na posłaniu. Po chwili wyciągnął z kieszeni cienki brzeszczot do metalu. Spojrzał z zadumą na niewielkie okienko o grubych kratkach. Nawet gdyby je przepiłował, i tak nie przecisnąć się przez otwór, zresztą jeśliby nawet zdołał wyjść, nie miał szans uciec z cytadeli. Dziesiąty Pawilon sąsiedował z koszarami i Placem Gwardii, co znaczy, że znajdował się w sercu twierdzy. Wszędzie roiło się od wojska, a do pokonania pozostawały jeszcze mur i fosa. Ze złością wrzucił piłę pod łóżko i westchnął ciężko. Miał tylko dwa wyjścia: mógł popełnić samobójstwo, i w ten sposób zamknąć sobie usta na zawsze, lub żyć, ale wtedy od jutra stanie się zdrajcą i wszystko wyśpiewa. Sięgnął po upuszczony brzeszczot i przyłożył go do przegubu ręki. Mocniej pociągnie i da radę przeciąć żyły...

**14 kwietnia 1863 r.**

Głuchy, dudniący tętent oderwał Pustowójtowa od obserwacji nieba. Zerwał się na równe nogi z pieńka przed drewnianą na tyłach leśniczówki. Kury rozbiegły się z oburzonym gdakaniem, a prosiak kwiknął wystraszony, gdy Teofil kilkoma susami dopadł płotu i zerwał z niego pas z szablą i kaburą. Zapinając go na biodrach, wybiegł zza budynku i natychmiast zwolnił.

W tumanach piachu, wzbijanego nad leśną drogą, przed gospodarstwo leśnika zajechała właśnie kozacka półsotnia. Prowadziło ją dwóch jeźdźców: Piotr Poznański, dosiadający konia należącego do Teofila, i Agaton, syn leśniczego, jadący na oklep na kobyłce swego ojca. Kozacy zeskakiwali energicznie z wierzchowców, ponaglani przez wysokiego, szczupłego oficera w stopniu esauła. Danił Wasilewicz Krasnow, liczący grubo ponad czterdziestkę weteran, uśmiechnął się szeroko do Teofila i poprawił czarną opaskę zasłaniającą bliznę po utraconym oku. Wyciągnął obie ręce, by uścisnąć serdecznie dłoń gospodarza, i rozejrzał się wokół zadowolony.

Przebrani w rosyjskie mundury powstańcy zdążyli się już zgromadzić przed leśniczówką. Większość z nich ścisnęła w dłoniach karabiny z osadzonymi bagnetami, jakby tylko czekała na sygnał do ataku. Pojawił się też leśniczy i jego żona, oboje trochę wystraszeni zamieszaniem. Kiedy kilka dni wcześniej przyjęli pod dach buntowniczy oddział, nie spodziewali się wizyty kozaków. Położone w głębi Puszczy Kampinoskiej gospodarstwo pozostawało dotychczas zacisznym, sielankowym miejscem. Dwustu buntowników zamieniło je w ruchliwe, pełne harmidru koszary, ale prawdziwą grozą przepajało gospodarzy pojawienie się autentycznego, kozackiego oddziału. Słyszący z okrucieństwa barbarzyńcy w wysokich bermycach nie byli mile widzianymi gośćmi w żadnym polskim domu.

Pustowójtow przywitał się z esaułem i zaprosił go do izby na rozmowę sam na sam. Na odchodnym skinął Muńkowi, powierzając mu dowództwo nad oddziałem. Strzelec wiedział o wizycie i przestrzegł wcześniej kolegów, by trzymali nerwy na wodzy i najlepiej w ogóle unikali kontaktu z Dońcami.

Dwie grupy stały teraz naprzeciw siebie w złowróżbnej ciszy. Kozacy udawali, że zajmują się końmi, ale czujnie łypali na otaczających ich piechurów.

– Niezbyt wyszukana ta wasza leśna twierdza, Pustowójtow. – Esauł bez zaproszenia rozsiadł się na kuchennym krześle. – Dwie stodoły, chlewik i chałupka. Wśród chłopaków w twierdzy chodzą słuchy, że buntownicy mają ukryte w gąszczu całe fortece, a tu coś takiego...

Teofil nie odpowiedział, za to postawił przed gościem kubek i nalał do niego mleka z blaszanego dzbanka. Kozak powąchał napój z grymasem obrzydzenia, ale wypił duszkiem i jeszcze się oblizał.

– Zdecydowałeś się? Przypieczętujemy umowę? – spytał oschle Teofil.

– Tak. Moi sotnicy zgodzili się bez wahania. W umówiony dzień oddamy się pod twoje dowództwo.

– Ilu ludzi z tobą pójdzie? – Pustowójtow znów napełnił kubek kozaka.

– Cały mój dywizjon. – Esauł zamoczył wąsy. – Trzy sotnie z Trzydziestego dziewiątego Pułku Kozaków Dońskich.

Teofil pokiwał głową i uśmiechnął się z zadowoleniem. Dońcy powszechnie uchodzili za najwierniejszą carowi formację i właśnie dlatego tak chętnie używano ich do uśmierzania buntów. Ich przejście na stronę wrogów Imperium nie mieściło się w głowie, pieniądze jednak potrafią zdziałać cuda.

– Teraz kwestia żołądu – mruknął Krasnow.

Pustowójtow sięgnął po leżące na stole papiery i położył je przed kozakiem. Ten wbił wzrok w listy zastawne ze znakami wodnymi, pięknymi carskimi pieczęciami i zamaszystymi podpisami. Chwilę przebierał w dokumentach, wreszcie łypnął jedynym okiem na Teofila.

– Co to ma być, do stu kurew? – warknął. – Była mowa o tysiącach rubli.

– Leżą przed tobą, Danile Wasilewiczu – Pustowójtow wskazał papiery wartościowe. – To listy zastawne asygnowane przez jego ekscelencję Pawła Iwanowicza Tichona, a zatwierdzone przez Bank Imperium. Dokładnie pięćdziesiąt tysięcy rubli. Nie sądziłeś chyba, że włóczę się po lesie ze skrzynią pełną złota? Te papiery wymienicie w każdym banku na brzęczącą monetę, gwarantuje to powaga największego carskiego banku. Zabieraj to i

pieczętujemy umowę.

– I co miesiąc dostanę tyle? – upewnił się nieco uspokojony esauł.

– Chyba że sprowadzisz więcej ludzi, wtedy będzie więcej – przytaknął Teofil.

Kozak zgarnął papiery, pieczołowicie złożył je na pół i schował za pazuchę. Dopił mleko i wstał od stołu. Uścisnął rękę Teofila na znak zawarcia układu i ruszył do wyjścia.

– Spieniężę te świstki, ale jeśli nie dostanę za nie złota, odnajdę cię i wetknę ci w tyłek spisę – obiecał.

Po chwili gramolił się na siodło. Jego kozacy z wyraźną ulgą również wskoczyli na swoje wierzchowce. Zawrócili je i skierowali się na polną drogę prowadzącą z polany w gąszcz.

– Ach, jeszcze jedno! – Krasnow obrócił się w stronę Teofila. – Może cię to zainteresuje, dziś rano generał Kürdener wyruszył z Warszawy, by ścigać buntowników w okolicach wsi Babice i Zaborów. Miejscowi chłopci donieśli o gromadzącej się tam bandzie. Piechurzy dopadną ją pewnie wczesnym popołudniem. Trzymaj się, z Bogiem!

Kozacy pognali w las, jakby czuli na plecach mierzące w nich lufy karabinów. Teofil stał chwilę, trawiąc wiadomość. Jemioła wysłał go w las, żeby zlokalizował partię majora Remiszewskiego, którą chciał wykorzystać w operacji. W Puszczy Kampinoskiej gromadzili się młodzieńcy z miasta, pragnący wziąć czynny udział w walce. Najbardziej chętni do boju trafiali pod rozkazy niejakiego Remiszewskiego, który stworzył z nich doborowy oddział – „Dzieci Warszawy”. Wprawdzie Pustowójtów od kilku dni rozsyłał pikiety, żeby ich odnaleźć, ale wyglądało na to, że Rosjanie dokonają tego wcześniej.

– Zbiórka! – ryknął na całe gardło. – Szykujemy się do natychmiastowego wymarszu! Muniek, zbieraj ludzi, i to na jednej nodze. Jeśli któregoś nie ma, trudno. Wyruszamy najpóźniej za kwadrans, młody Agaton posłuży nam za przewodnika.

– Co się dzieje, szefie? – Muniek podbiegł do dowódcy kilkoma susami.

– Idziemy do boju, chłopaku. – Pustowójtów klepnął go w plecy. –

Wreszcie znów się będziemy bić!

Uśmiechnął się do zaskoczonych powstańców. Potrzebował prawdziwej

walki, widoku i zapachu krwi, krzyku ginących i huku wystrzałów. Położył dłoń na rękojeści szabli i ścisnął ją mocno. Musieli się śpieszyć, by zdążyć przed generałem Kürdenerem. Możliwe, że brakujący czas będą musieli komuś ukraść.

\*\*\*

Szwadron huzarów w niebieskich dolmanach i białych pelisach przegalopował z furkotem tuż obok siedzącego na niepozornym gniadoszu generała.

Dowodzący doborowym oddziałem jazdy z 3. Elisawetgradzkiego Pułku kornet Remer uniósł rękę do czaka i wyprężył się w siodle. Baron Kürdener skinął mu łaskawie i wskazał ręką kierunek ataku. Miło było popatrzeć na młodego, pełnego życia huzara prowadzącego do boju pięknych i dzielnych kawalerzystów. Aż łza się w oku kręciła na widok błyszczących guzików, dwugłowych orłów na czakach, łopoczącego sztandaru pułkowego, szabli i peleryn. Wyglądali niczym rycerze Piotra Wielkiego, czysta zmaterializowana potęga rosyjskiego narodu. Szli galopem prosto na kępę drzew kończącą wąski pas lasu, w którym zbili się w kupę przerażeni buntownicy.

Generał obrócił się w siodle. Za nim znajdowało się wzgórze pokryte szarymi szynelami żołnierzy 1. batalionu Ładożskiego Pułku Piechoty. Strzelcy schodzili właśnie dwiema równymi kolumnami, trzecia zaś dotarła już do kępy i pukała rotowym ogniem do odpowiadających niemrawo powstańców. Kürdener przyjął od adiutanta, gładkoliciego, blond podchorążego Gonczarowa, rozsuwaną lornetę. Uśmiechnął się po ojcowsku do nieco wystraszonego młodzieńca. Miał słabość do takich delikatnych chłopców o głębokich oczach i rzewnych słowiańskich duszach. Po dłuższej chwili kontemplowania delikatnej urody adiutanta przyłożył wreszcie szkło do oka.

Buntowników udało się zaskoczyć w Budach Zaborowskich, maleńkiej wiosce liczącej raptem kilka dymów. Wypłoszeni przez sotnię kozaków, ruszyli wąskim zagajnikiem, długim na dwie wiorsty i otoczonym polami. Po dotarciu do jego końca musieli przebiec dobrą wiorstę otwartą łąką, by dotrzeć do zbitej ściany starodrzewu i zniknąć w lesie. Nie spodziewali się, że na łące już czeka na nich ponad czterystu piechurów i szwadron huzarów. Ku zaskoczeniu generała dowódca buntowników zdecydował się podzielić

oddział i korzystając z chwilowego zamieszania, część buntowuszczyków chyłkiem przemknęła do zbawczej gęstwiny. Główne siły, liczące teraz jakieś dwie setki powstańców, zostały jednak w lasku, gotowe przyjąć bitwę.

Luneta, trzymana pewną ręką krzepkiego pięćdziesięciolatka, przesunęła się po zmierzającej na wprost buntowników tyralierze, musnęła czule pięknych huzarów i zatrzymała się na postaci starszego mężczyzny z pistoletem w jednym ręku i szablą w drugim. Powstańczy dowódca minę miał srogą i zaciętą. Najwyraźniej nie zamierzał się poddać mimo fatalnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Otaczali go krzepcy kosynierzy i wielu młodzieńców o jasnych czuprynach i śmiałych oczach, uzbrojonych w dwururki i stare karabiny. Przez ułamek sekundy baron pożałował ich delikatnej skóry, którą za chwilę podziurawią carskie bagnety. No cóż, taka już była wojna.

Kozacy zniknęli w gęstym lesie w pościgu za szczęściarzami, którym udało się przebić. Jednocześnie dwie rotы piechurów rozdzieliły się, by oskrzydlić buntowników z obu stron, a huzarzy runęli między drzewka, siekając szablami i paląc z pistoletów. Buntownicy nie cofnęli się ani nie wpadli w panikę. Kürdener widział, jak opadają ostrza kos i kłębią się chmury dymu z myśliwskich strzelb, którymi partyzanci powitali carską jazdę. Zakwiczały ranione konie, rozległy się wrzaski i chrzęst zderzających się ostrzy. Generał wstrzymał powietrze ze zgrozy, widząc pięknego korneta Remera bez czaka, za to z okrwawioną twarzą i chwiejącego się w siodle. Po chwili młodzieniec osunął się po końskim barku i spadł na ziemię, pod nogi walczących.

– Ruszamy – zakomenderował generał, oddając lunetę adiutantowi.

Stępa podjechali do opóźniającej się rotы. Pierwsza tyraliera jeszcze nie dotarła do miejsca potyczki, strzelcy przystawali co krok, by załadować karabiny. Generał osobiście wrzasnął na ich dowódcę, niezbyt urodziwego, bo pryszczatego i grubego, porucznika Żdanowa.

– Na co czekacie?! Naprzód, do ataku! Na bagnety!

Odpychający grubas zaszalutował posłusznie i wymachując szablą, z krzykiem pociągnął ludzi do szturm na buntownicze pozycje. Dwie pozostałe rotы znajdowały się już po obu stronach lasku i ustawiały do nich frontami. Kürdener dobył szabli, uniósł się w strzemionach i zaryczał wściekle na dowódców, wymachując bronią w sygnale do ataku. Przeciwnik miał zostać

natychmiast bezlitośnie zmiażdżony.

– Dostał! – radośnie zameldował pobladły adiutant. – Mikołaju Pawłowiczu, spójrzcie!

W podnieceniu zwrócił się do dowódcy po imieniu, jak mieli w zwyczaju czynić tylko wtedy, kiedy znajdowali się sam na sam, w generalskiej kwaterze. Kürdener nie złażał go za nazbyt familiarne zachowanie w publicznym miejscu, dojrzał bowiem wskazywanego przez młodzieńca powstańczego dowódcę, raz po raz przybijanego pchnięciami bagnietów do drzewa. Polski oficer ciągle stał oparty o pień, w garści ścisnął szablę, ale nie był już w stanie jej unieść. Carscy piechurzy dźgali go z pasją raz za razem. Dziesięć, piętnaście razy! Pierś i brzuch nieszczęśnika zmieniły się w jedną krwawą plamę. Jednak pozostałe obdartusy nie cofnęły się, widząc śmierć przywódcy, a nawet z krzykiem ruszyły do ataku.

– Wybić ich, chłopcy! – gorączkował się podchorąży Gonczarow. – Co do jednego!

Niespodziewanie baron Kürdener poczuł w ustach dziwny smak, jakby migdałów i kurzu. Zakłuło go boleśnie w uszach i pyknęło w nich, jak wtedy gdy odkorkowuje się butlę wina. Kątem oka zauważył dziwne drżenie powietrza, jakiś ruch na granicy postrzegalności.

– Co, u licha? – Obrócił się w siodle.

Ze wzgórza zbiegła właśnie chmara rosyjskich żołnierzy, na oko niepełne dwie roty lub jedna rozwinięta. Obok nierównej, poszarpanej kolumny jechał konno wysoki oficer z obnażoną szablą w garści.

– Chyba wsparcie – mruknął adiutant. – Pewnie jakiś oddział z koszar powązkowskich. Może któremuś z oficerów się nudziło i ruszył za nami szukać okazji do bitki?

– Miesiącami siedzą na tyłkach i boją się wyściubić nos z miasta, a teraz nagle wzięło ich na bohaterstwo, kiedy główną robotę wcześniej my odwaliliśmy. – Generał zmarszczył brwi, niezadowolony. – Niedoczekanie. Już ja im powiem do słuchu. Za mną.

Spiął konia i ruszył naprzeciw nadbiegającej kolumny. Z którego to pułku pochodzi wielkolud prowadzący wsparcie? Pewnie z witebskiego, tam najwięcej zapijaczonych gierojów, których nie sposób zagonić do roboty, za to



guza szukają przy każdej okazji. Chcieliby przyłączyć się do bitwy, która i tak już jest wygrana, i zlizać śmietankę. Już on powie tym zasrańcom, co o tym myśli.

Uniósł rękę, nakazując nadbiegającym zatrzymać się. Ich oficer twarz miał pobladłą i wykrzywioną wściekłym grymasem. Szcherzył nawet zęby, mało tego, toczył z ust pianę. Wyglądał paskudnie i jakoś niepokojąco agresywnie. Kürdener wstrzymał konia, wciąż patrząc na nadbiegających piechurów. W większości byli młodzi, jakby świeży pobór, ale o dziwnie zaciętych gębach. Pędzili z wyciągniętymi przed siebie karabinami i wyraźnie nie zamierzali zwolnić. Wyglądało na to, że niczym fala zmiotą generała i jego adiutanta.

– *Stoj!* – ryknął baron, wkładając w krzyk cały swój generalski autorytet.

Pustowójtow widział go jako rozmazaną plamę, drgającą skokowo, pulsującą raz szybciej, raz wolniej. Umysł wypełniała mu jeszcze moc, parująca smugami przyspieszonego i zwolnionego czasu i tworząca wokół Teofila niejednorodną sferę. Odmieniec pozostawał zanurzony w mutatio. Nie był do końca człowiekiem, przypominał raczej mikroturbulencję, lokalną anomalię rzeczywistości. Wyciął z głównego nurtu czasu cały swój oddział i w ciągu godziny przeszedł z nim trzydzieści wiorst z okładem. Potrzebną energię wyssał bezpośrednio z otoczenia, z ziemi, roślin i wszystkiego, co żyje. Nigdy dotąd nie robił czegoś takiego, wcześniej okradał tylko ludzi i duże zwierzęta. Po przemarszu jego oddziału został pas zupełnie zniszczonego lasu, o rozsypanych w proch drzewach, popękanej ziemi, uschniętej na wiór trawie, pełen wysuszonych trupów drobnych zwierzątek.

Nagle świat znów się wyostrzył, kontury przedmiotów i ludzi ustabilizowały się i okrzepły. Teofil dostrzegł przed sobą dwóch konnych. Wpadł między nich galopem, chlasnął starego piórem szabli po gardle, obrócił się i rąbnął w plecy młodego. Poczuł, jak ostrze zgrzyta na pękającym kręgosłupie nieszczęśnika, uwolnił je i jednym ruchem strząsnął krew. Jego oddział gnał na tył środkowej rosyjskiej kolumny, która walczyła z osaczonym z trzech stron oddziałem Remiszewskiego. Plecy żołdatów zbliżały się szybko, zostało do nich nie więcej niż dwadzieścia kroków. Teofil wstrzymał konia i uniósł szablę.

– *Cel! Ognia!* – wrzasnął.

Jego dwustu chłopaków zatrzymało się, przyłożyło broń do oka i wypaliło niemal jednocześnie. Kilka miesięcy partyzanckiej wojny zrobiło z nich dobrych żołnierzy, świetnie radzących sobie z bronią. Kiedy chmura po spalonym prochu się roziała, oczom Teofila ukazały się stosy trupów po niemal zupełnie rozstrzelanej moskiewskiej rocie. Niedobitki Rosjan walczyły wręcz z powstańcami, jeszcze nie do końca świadome tego, co się stało.

– Ładuj! – rozkazał Pustowójtow.

Rozejrzał się już nieco przytomniej. Z prawej strony druga rosyjska rota wypaliła salwę i runęła do ataku. Z lewej trzecia rota uderzyła właśnie na odsłoniętą flankę oddziałów Remiszewskiego, gdzie zderzyła się z kosynierami i warszawską młodzieżą. Ci nie zorientowali się w zmianie sytuacji, oszołomiły ich kłęby dymu i huk wystrzałów. Nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, że tłum Moskali, którzy pojawili się na polu bitwy, to przebrani buntownicy. Szwadron huzarów cofających się po ataku piechoty zataczał właśnie koło i zmierzał do szarży na tyły osaczonych powstańców.

– Muniak, wal do oficerów! – Teofil skinął na grubego porucznika, który na czele swoich piechurów wściekle walczył z powstańcami. – Reszta, wolny ogień!

Wskazał szablą nowy kierunek: bok drugiej rosyjskiej kolumny. Gruchnęły strzały i żołdaci zaczęli padać jeden po drugim. Wreszcie dotarło do nich, że coś jest nie tak. Ich porucznik wydał rozkaz cofnięcia się i zwrócenia przeciw nowemu, znacznie silniejszemu zagrożeniu, ale chwilę później padł z kulą Muńka w czole. Za cofającą się rotą skoczyli kosynierzy i „Dzieci Warszawy”. Teofil uznał, że nadeszła pora na rozstrzygający cios.

– Za mną! Do ataku! – wrzasnął i ruszył stępą przeciw cofającej się kolumnie.

– Huraaa! – ryknęli jego chłopcy i rzucili się biegiem za dowódcą.

Skonfundowani i ciągle oszołomieni atakiem Rosjanie nie byli w stanie stawić skutecznego oporu. Ich szyk rozsypał się w momencie uderzenia przebranych Polaków. Żołdaci przemieszali się z przebierańcami, wybuchła chaotyczna, krwawa i okrutna bijatyka. Teofil wjechał w tłum i siekł szablą na lewo i prawo, jak popadło. Czuł przyjemne gorąco, rozpierającą, nieskończoną energię. Mógłby tak zabijać przez cały dzień. Odbił niemrawe

pchnięcie bagnetem i plując pianą, wychylił się w siodle. Rąbnął atakującego nieszczęśnika w czoło i rzucił się w tył, wymierzając mu jeszcze kopniaka. Kątem oka zauważył wrzeszczącego coś Muńka, który znalazł się twarzą w twarz z trzema kosynierami. Młody sierżant krzychał do nich i uniósł karabin nad głowę, sygnalizując, że nie chce walczyć. Oberwał pchnięcie kosą prosto w pierś i osunął się na kolana.

– Nie! – Pustowójtow wymachiwał szablą, próbując przyciągnąć uwagę wszystkich w okolicy. – Jesteśmy swoi! Polacy, do kurwy nędzy! Przebrani Polacy!

Jego wrzaski podchwycili inni powstańcy, ponad bitewny harmider wzbiły się polskie przekleństwa i nawoływania. Kosynierzy i młodzi partyzanci opuścili broń, nie wiedząc, co robić i z kim walczyć. Z drugiej strony lasu napierali na nich Rosjanie, błyskawicznie zbliżał się też huzarski szwadron.

– Obejmuję dowodzenie! – Teofil rozdarł się na całe gardło. – Słyszycie, durnie?! Wszyscy do mnie! Jestem major Pustowójtow! Obejmuję dowodzenie, kurwa wasza mać! Polacy do mnie! Pierwsza i druga kompania, ustawić się w czworoboki frontem do huzarów! Reszta zebrać się z tyłu!

Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał zapanować nad tym bałaganem, ale mu się udało. Najwyraźniej potężny drab na koniu, górujący nad polem bitwy, budził respekt. Zagubieni powstańcy z oddziałów poległego Remiszewskiego garnęli się do niego, mimo że nosił mundur rosyjskiego oficera. Wystarczyło, że mówił po polsku. Wyszkoleni powstańcy błyskawicznie zbili się w dwa stykające się czworoboki, najeżone karabinami z okrwawionymi bagnetami. Kosynierzy i „Dzieci Warszawy” znaleźli się za ich plecami. Wszystko w ostatniej chwili, tuż przed uderzeniem huzarów i pod nieustannym ostrzałem ostatniej całej moskiewskiej rotty.

Huzarzy brawurowo wbili się w pierwszy czworobok, samym impetem uderzenia obalając i tratując piechurów. Pustowójtow pozwolił, żeby ogarnęła go fala wściekłości, która pojawiała się zwykle po użyciu mocy, i ruszył naprzeciw przystojniakom w dolmanach, kręcąc widowiskowo młynka szablą. Kawalerzyści przebili się przez czworobok i wpadli na kosynierów. Opadły uniesione ostrza, zakwiczały kaleczone konie. Teofil znalazł się między huzarami. Rąbnął jednego przez bark, sparował cięcie drugiego i pchnął go

prosto w twarz. Jeźdźcy okazali się niezłymi szermierzami, większość z nich wywodziła się wszak ze szlachty, ale i tak nie radzili sobie z ogarniętym furją wielkoludem.

Teofilowi zaczęły migotać przed oczami iskry spalającego się mutatio – w szale nieświadomie sięgnął po moc. Uchwycił się jej, wyciągnął przed siebie wolną rękę i poczuł, jak spływa ku niej strumień srebrnych węży czasu wrywanego z ciał huzarów. Blizna na wewnętrznej stronie dłoni rozpałała się ożywczym, pobudzającym bólem. Pustowójtów ścisnął węże mocy i chlasnął nimi jak batem. W strumieniach iskier węże wydzierały z trafionych Rosjan kawały surowego czasu. Huzarzy spadali z koni z fragmentami ciał startymi na popiół. W ich torsach ziały czarne, okrwawione dziury, głowa któregoś eksplodowała chmurą pyłu, inny stracił obie ręce, zamienione w powykręcane, zmumifikowane kikuty. Teofil śmiał się i ryczał, pluł i przeklinał. Ciął, dźgał i chłostał, zupełnie ogarnięty szalem. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Zdawało mu się, że zabija od zawsze, ale wreszcie z amoku wyrwał go chór męskich głosów rytmicznie skandujących jego imię:

– Te-o-fil! Te-o-fil! – wrzeszczeli powstańcy i to zarówno ci w rosyjskich mundurach, jak i do niedawna podwładni Remiszewskiego.

Major rozejrzał się oszołomiony. Niedobitki huzarów galopowały w oddali. Ocalała rota rosyjskiej piechoty cofała się, w pośpiechu zbierając rannych. Łąkę zaścielały dziesiątki, może setki trupów. Pustowójtów wyszczerzył zęby w grymasie ni to wściekłości, ni radości i triumfalnie wznosił szablę.

Okrwawione ostrze błysnęło w słońcu.

Powstańcy ryknęli jednym głosem, zachwyceni.

\*\*\*

Sierżanta Zygmunta Węgorzewskiego znaleziono jakieś pół godziny później, w czasie zbierania rannych i umierających. Żył mimo rozległej i głębokiej rany. Jako pierwszy dotarł do niego kosynier, który omyłkowo go zaatakował. Kajał się, bił w pierś i błagał o przebaczenie, co Muniek skwitował bladym uśmiechem. Powstańcy chcieli zabrać strzelca na wóz z rannymi, ale August Zaleszczyński, student wydziału medycznego Szkoły Głównej, pełniący w

oddziale Remiszewskiego funkcję polowego lekarza, pokręcił tylko głową. Teofil chwycił medyka za kołnierz i potrząsnął, rykiem domagając się pomocy dla Muńka. Major ciągle ledwie panował nad szalem i niewiele brakowało, a skręciłby studentowi kark.

– Pchnięcie ledwie minęło serce, chyba uszkodziło worek osierdziowy i z pewnością przebiło płuco – bronił się przerażony Zaleszczyński. – Nie ma szans na ratunek, chłopakowi zostało najwyżej kilka minut. Już powinien nie żyć.

Teofil zrozumiał, że Muniek ma uszkodzone serce i nawet moc nie zdoła mu pomóc. Punktowe spowolnienie lub przyspieszenie upływu czasu w organizmie chłopaka tym razem nic nie da. Najwyżej szybciej go zabije.

Teofil puścił lekarza, odprawił precz ocierającego łzy kosyniera i usiadł ciężko obok konającego. Milczał dłuższą chwilę, patrząc w trupio blade oblicze przyjaciela. Żywiołowy i energiczny malec od jakiegoś czasu służył mu jako adiutant i jego strata, w dodatku w tak fatalny sposób, była dla majora bolesnym ciosem.

– Wylizę się – oznajmił słabym głosem Muniek.

– Pewno. – Teofil skinął głową.

– Obiecałem Wandzie, że zabiorę ją na schadzkę, może nawet na tańce, i to jako oficer polskiego wojska – ranny mówił powoli, robiąc długie przerwy między słowami. – Taki postawiła warunek, cholerna wiewiórka. Chciałaby się spotykać z generałem. I kto wie, może nim jeszcze zostanę.

Pustowójtow poczuł łzy cisnące się do oczu, obraz nagle mu się zamglił i zaczął rozpływać. To przez mutatio, które robiło różne rzeczy z umysłem żołnierza, pchało go w otchłań szaleństwa, a czasem zamieniało w rozbeczaną babę.

Chłopak oddychał z rosnącym trudem, wyraźnie cierpiał coraz bardziej.

– Pomóż mi wstać, musimy ruszać w dalszą drogę – wycharczał, a na jego ustach pojawiła się krwawa ślina. – Trzeba policzyć żołnierzy, rozdzielić amunicję...

Teofil wyciągnął rękę, by położyć ją na piersi chłopaka i wchłonąć resztę jego czasu. Jednak kiedy oparł dłoń o ciało chłopaka, nie poczuł żadnych wężych mocy. Dopiero po chwili zorientował się, że nie miał już czego mu odbierać.

Muniek nie żył.

**16 kwietnia 1863 r.**

Jemioła czuł się nieswojo, maszerując jak gdyby nigdy nic Nowym Światem. Ciągłe w wyświechtanym stroju robotnika i kraciastym kaszkiecie na głowie, udawał biednego wyrobnika pomagającego przy jakimś remoncie. Na plecach targał powiązane szczoty do malowania sufitów i dyndający na nich poobijany kubeł. Obok szedł przystojny, wysoki młodzieniec o kruczoczarnych, błyszczących włosach i wesołym uśmiechu. Ubrany był podobnie do pułkownika, w ufajdaną kapotę i spodnie o postrzępionych nogawkach. Janek Czarny – prawa ręka naczelnika powstańczej policji – także niósł kubeł, z którego wystawała kielnia.

Pułkownik pamiętał nieco inną Warszawę, przedpowstaniową, pełną radości i patriotycznego uniesienia, przesyconą atmosferą wyczekiwania i nadziei. Kilka razy dziennie odbywały się msze za pomyślność ojczyzny, całe miasto modliło się w intencji odzyskania wolności. Młodzi aż się palili do bitki, otwarcie śpiewali patriotyczne pieśni i ręce świerzbiły im do bicia Moskali. Niejeden żołdak dostał po gębie z byle powodu, z samym policmajstrem Trepowem na czele.

Teraz panowała zupełnie inna atmosfera. Niby życie w mieście toczyło się normalnie, a jednak wszędzie czuło się napięcie i niezadowolenie. Nieustanne aresztowania, łapanki, rewizje, kontrole, godziny policyjne, nachalność i bezczelność żołdatów, bestialstwo kozactwa urządzającego galopady po ulicach i bijącego przypadkowych przechodniów, łącznie z kobietami i starcami – wszystko to robiło swoje. Ludzie mieli dość. Część skoczyłaby Rosjanom do gardła, część coraz bardziej się zniechęcała i wyczekiwała już tylko powrotu do normalności.

Skręcili w bramę jakiejś kamienicy. Stróż bez słowa otworzył drzwi i wpuścił ich na podwórko. Za przykładem Janka Czarnego Jemioła odstawił szczoty i kubeł pod ścianę. Policjant powstańczy uśmiechnął się do niego, jakby przepraszając, i wskazał drogę na klatkę schodową. Pojawił się w Warsztatach Żeglugi bez wcześniejszych ustaleń i zagroził nawet, że jeśli

Jemioła z nim nie pójdzie po dobroci, aresztuje go i zabierze siłą. Jemiole wydało się wręcz zabawne, że przystojniak groził mu w środku jego własnej kryjówki, gdzie miał pod ręką czterystu uzbrojonych ludzi, ale postanowił się podporządkować rozkazowi.

Na korytarzu stał jakiś mężczyzna, który niemal zasalutował Jankowi, a kolejny wartownik czekał przed drzwiami mieszkania na piętrze. Czarny zastukał elegancką kołatką i po raz pierwszy od opuszczenia Solca odezwał się do Jemioły:

– To mieszkanie należy do carskiego generała, który od miesiąca przebywa na urlopie w Szwarzwaldzie. Zabawne, prawda?

Pułkownik pokiwał głową z podziwem. Spiskowcy spotykali się w sercu miasta, o kilka kroków od Dowództwa Okręgu Wojskowego i Pałacu Namiestnikowskiego, a w dodatku w mieszkaniu moskiewskiego oficjela. Niepotrzebne im wcale podziemne pałace, jak to sobie wyobrażają Rosjanie.

Wpuszczono ich do mieszkania, urządzonego nad wyraz wystawnie i bogato. Jemioła stanął brudnymi buciorami na wiedeńskiej posadce ułożonej w czarno-białe rozety. Przedpokój ozdabiała marmurowa żardiniera z palmą i mosiężny stojak na parasole. Janek wziął oficera pod ramię i nieco oszołomionego zaprowadził do salonu, zaopatrzonego we wmurowany w ścianę pękaty berliński piec. Przy ciężkim mahoniowym stole, na fotelach obitych karminowo-złotym adamaszkiem siedziało czterech mężczyzn. Jan zorientował się, że stoi przed legendarnym i tajemniczym Tymczasowym Rządem Narodowym.

Jego przedstawiciele nie wyglądali imponująco, ot, niepozorni członkowie warszawskiej inteligencji. Wąsaty mężczyzna koło trzydziestki, w zamszowym surducie i kamizelce ze złotym łańcuszkiem zegarka, sąsiadował z wysokim chudzielcem z brodą i długimi włosami. Nieco dalej rozpierał się wygodnie niepozorny okularnik, a na końcu siedział kolejny trzydziestolatek, uśmiechając się niepewnie. Kto był kim? Stefan Bobrowski opowiadał Jemiole w tajemnicy o swoich współpracownikach. Domyślał się, że okularnik, przed którym leżały papierzyska i stał kałamarz, może okazać się Oskarem Awejde, prawnikiem z Wydziału Administracji. Wąsacz z zaczerwionymi policzkami zapewne dorobił się odmrożeń na Syberii, więc to Agaton Giller. Długowłosey



brodacz mógł być z kolei Karolem Ruprechtem, odpowiedzialnym za powstańczy skarbiec. A uśmiechnięty jegomość jest ani chybi wspomnianym przez Bobrowskiego dziennikarzem, odpowiedzialnym za Wydział Prasy. Janowski, ostatni członek rządu, został aresztowany razem z Loewenhardtem, a przewodniczący Komisji Wykonawczej Bobrowski kilka dni temu wyjechał z miasta.

– Panowie, oto pułkownik Jan Jemioła – przedstawił oficera Janek Czarny.

– Dziękujemy, proszę poczekać w sieni – odprawił go krótko Giller. – A pan niech siada.

Oficer przycupnął przed wielkim stołem i siedzącym za nim groźnym rządem na wskazanym, irytująco niskim krześle, przez który poczuł się malutki.

– Przejdźmy od razu do rzeczy, bo nie mamy wiele czasu – przemówił Giller, widocznie pod nieobecność Stefana piastujący przewodnictwo Komisji Wykonawczej. – Czy jest pan przytomny i w pełni świadomy, pułkowniku Jemioła?

– Oczywiście – odparł oficer, czując rosnący niepokój. – Moje zmysły są jak najbardziej w porządku.

– W ostatnich dniach wystąpiły pewne okoliczności, które wymuszają na nas zmianę taktyki – kontynuował Giller. – Przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa i z troski o mieszkańców Warszawy postanowiliśmy zdecydowanie odsunąć wszelkie działania taktyczne jak najdalej od miasta. Innymi słowy pański projekt ataku na stanowiska wroga na terenie Warszawy i jej okolicach zostaje odrzucony...

– Powiedzmy, że zamrożony – wtrącił się Awejde – do czasu uzyskania lepszych warunków taktycznych.

– To wpływ generała Padlewskiego, prawda? – Jemioła poruszył się na krześle. – Uparł się, by pokrzyżować mi plany.

– Generał Padlewski został zdymisjonowany i odesłany do mniej ważnych zadań. Nie jest już naczelnikiem płockiego i nie ma najmniejszego wpływu na decyzje rządu – odparł zimno Giller. – W związku z ogłoszoną przez cara amnestią postanowiliśmy złagodzić działania zaczepne, poza tym do zrywu przystępują siły związane z frakcją „białych”, które nie tolerują ruchów nazbyt rewolucyjnych. Atak na Warszawę nie wchodzi obecnie w grę, ale nie tylko z

powodów politycznych. Zwyczajnie uważamy, że przyniósłby więcej szkody niż pożytku.

– Bzdura! – warknął Jan. – Musimy uderzyć jak najszybciej, to ostatni dzwonek. Za miesiąc lub dwa Rosjan będzie w mieście tak dużo, że atak faktycznie byłby szaleństwem. Ale teraz, przy wykorzystaniu moich odmieńców i ostatnich osiągnięć na polu badań nad turbulencjami...

– Do tego za chwilę wrócimy – znów wtrącił Awejde.

– ...uda się dokonać przełomu, który całkiem zmieni sytuację. Uzyskamy możliwość zbudowania armii z prawdziwego zdarzenia i prowadzenia prawdziwej polityki zagranicznej. Stefan doskonale zdaje sobie sprawę z tej szansy, wie, że ryzyko się opłaca. Niech tylko wróci do Warszawy, a...

– Stefan nie wróci do Warszawy – przerwał brutalnie Awejde.

Zapadła cisza. Członkowie rządu wyglądali na zmieszanych, Ruprecht wbił wzrok w stół, Awejde miał ponurą i przejętą minę. Jemioła poczuł falę chłodu.

– Aresztowany?

– Nie żyje – odparł krótko Giller.

– Jak to się stało? – Pułkownik poderwał się na równe nogi.

– Zginął w pojedynku z niejakim Grabowskim – wyjaśnił Awejde. – W sprowokowanym pojedynku, w którym nie miał żadnych szans. Podejrzewam, że do jego śmierci doprowadzili ludzie niechętnie patrzący na „czerwonych” u powstańczej władzy.

Jemioła opadł z powrotem na krzesło. Krew odpłynęła mu z twarzy, o mało nie zemdlął. Śmierć Bobrowskiego stanowiła straszny cios nie tylko dla niego, przyjaciela zmarłego, ale i dla całego zrywu. Odszedł najzdolniejszy przywódca, jedyny mający głowę na karku i radzący sobie z przeciwnościami. Co teraz będzie? Kto poprowadzi zryw? Ci czterej?

– Wracając do pańskich badań nad mutatio... – Awejde nie patrzył na Jemiołę, tylko w papiery leżące na stole. – Mamy tu opinię profesora Różewicza. Mówiąc oględnie, przedstawia pana jako osobę nie do końca panującą nad tym, co robi. Prawdopodobnie długotrwałe zanurzanie się w turbulencjach wpłynęło na pański umysł, Jemioła. Wymaga pan długotrwałego odpoczynku i leczenia psychiatrycznego. Nie nadaje się pan do prowadzenia

jakichkolwiek operacji wojennych, o jakichś nierealnych atakach na Warszawę już nie wspominając.

Każde słowo coraz mocniej wbijało oficera w krzesło. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Niniejszym zostaje pan zdymisjonowany – dobił go Giller. – Zapraszam do środka, generale!

Drzwi prowadzące w głąb mieszkania otworzyły się i do salonu wszedł Rochebrune. Ubrany w schludny surdut z kamizelką i jedwabnym krawatem, ze swoją szpiczastą bródką, wyglądał zaskakująco dostojnie. Skinął Janowi głową z poważnym wyrazem twarzy i usiadł za stołem u boku Gillera, zupełnie jakby był u siebie.

– Dowództwo nad korpusem Jemioły przejmuje generał Rochebrune, który zostaje dziś mianowany naczelnikiem wojskowym województwa mazowieckiego. – Awejde uśmiechnął się do Francuza. – Wyprowadzi pan swoje oddziały z miasta, generale, i zapadnie się w lasy, gdzie będzie pan oczekiwał na dalsze dyrektywy. Jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, istnieje duża szansa, że obejmie pan naczelne dowództwo nad siłami zbrojnymi powstania.

Rochebrune skinął głową z zadowoleniem, a Jemioła poczuł się jeszcze mniejszy.

Sukinsyny przekupiły Francuza awansem i obietnicami dalszych zaszczytów! Wyrwali mu broń z ręki, uczynili bezbronnym i bezsilnym. Stefan zginął, a rząd jest przeciw niemu. To koniec. „Moja walka właśnie się skończyła” – pomyślał z rozpaczą.

– Rząd nie zostawi pana samopas, Jemioła. Zapewnimy panu opiekę medyczną – dodał Giller. – Wywieziemy pana za kordon, może do któregoś kurortu w górach. Odpocznie pan tam na nasz koszt. Ma pan dwa dni na przekazanie władzy generałowi i spakowanie się. Teraz jest pan wolny. Do widzenia.

Jemioła siedział dłuższą chwilę oszołomiony tempem wydarzeń. Wreszcie, nie wiedząc w jaki sposób, znalazł się w bramie kamienicy, trzymany pod ramię przez Janka Czarnego. Miał liczne pytania do rządu. Jak odwołać Czachowskiego, który właśnie przesuwał się na Warszawę? Co zrobić z

Płomykiem i strzygą Hanką? A dwie kompanie dowodzone przez Pustowójtowa? Co z nimi?

Widząc stan, w jakim znajduje się oficer, Czarny zapakował go do dorożki i odwiózł na Solec. Całą drogę pułkownik siedział i tępo patrzył przed siebie.

\*\*\*

Po przybyciu do portu oficer wybrał się do stojącego w doku paropływu, opuszczonego przez załogę: dla marynarzy dwa demony na statku okazały się ponad siły. Obecnie pod pokładem rezydowali tylko Jemioła, strzyga i ognista anomalia.

Mentalny kontakt Płomyka i Hanki przyniósł dość niespodziewane rezultaty. Strzyga wiedziała już, kim jest, odzyskała spore fragmenty pamięci i osobowości, dało się nawiązać z nią kontakt i rozmawiać, ale została całkowicie pozbawiona zdolności odczuwania. Stała się beznamietna niczym maszyna, jakby w środku głowy obracały się koła zębate, a zamiast myśli przesuwwały się karty perforowane, zupełnie jak w maszynie różnicowej Babbage'a.

Płomyk zadomowił się w piecu i przesiadywał w nim zwinięty w ognistą kulę. Po kontakcie z umysłem Hanki też jakby się zmienił. Sprawiał wrażenie pogrążonego w rozmyślaniach. Oddziaływanie ludzkiego umysłu odcisnęło piętno w jego cyfrowej świadomości. Zyskał wzorce uczuć i pogłębionej, wielowarstwowej świadomości. Liznął trochę człowieczeństwa.

Powoli zapadał zmrok. Po Wiśle sunęły rybackie baty i jedna barka z węglem, ciągnięta przez mały holownik parowy. Zachodzące słońce odbijało się jeszcze fioletem od falującej powierzchni rzeki, ale nurt powoli obejmowała ciemność. Woda robiła się granatowa, niemal czarna i zlewała się ze smolistymi burtami paropływu. Na nadbudówce z mostkiem kapitańskim siedziała strzyga, a o budę opierał się potężnym ramieniem Pliszka. Kosynier odzyskał wreszcie swoją Hankę i nie przeszkadzało mu, że dziewczyna jest teraz właściwie kimś – lub raczej czymś – innym.

Jemioła wskoczył energicznie na pokład i machnął do Pliszki. Hanka obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Całe szczęście, że bez gadania wykonywała polecenia i udało się ją namówić do kąpieli w rzece. Co prawda

jej włosy pozostały płataniną dziesiątek kołtunów, grubych na palec, ale i tak wyglądała znacznie lepiej. Zwłaszcza ubrana w ukradziony z magazynu mundur zuawa. Szerokie pumpy i czarna koszula z białym krzyżem nawet pasowały do jej figury, tylko butów nie dało się dobrać, bo dziewczyna zamiast stóp miała ptasie szpony z ostrymi jak brzytwy pazurami. Wreszcie przestała śmierdzieć niczym otwarty grób i prezentowała się naprawdę nie najgorzej.

– Wyleciałem z armii – oświadczył Jan bez wstępów. – Od dziś waszym dowódcą jest generał Rochebrune.

– Żabojad, który chciał mnie okładać kijami? – mruknął Pliszka. – Sram na niego. Ja pod nim służyć nie będę.

Strzyga tylko przechyliła głowę i patrzyła na oficera z ukosa, niczym wielki kruk.

– Przysięgaliście, musicie mu służyć – odparł. – To dla mnie walka się skończyła, wyjeżdżam pojutrze. Pewnie po mnie przyjdą i odwiozą pod eskortą.

– Eskortę można przegonić. – Pliszka wzruszył ramionami. – W nosie mam przysięgi, pójdziemy z tobą, pułkowniku. Prawda, Hanka?

Upiorzyca zeskoczyła z mostka i łopocząc skrzydłami, wylądowała tuż przed oficerem. Cofnął się o krok. Przeraziła go pozbawiona emocji twarz strzygi i jej puste oczy. Opanował się jednak i nie rzucił do ucieczki. Stał bez ruchu, mając dziwne wrażenie, że Hanka go obwąchuje.

– Masz czyste intencje, Jemioła. Nie wyczuwam w tobie brudu ani żądz władzy. Sumienie, kod źródłowy mojej świadomości, nakazuje mi cię poprzecć, tak samo jak dyrektywy wpisane przez Wierną Rzekę. Pozostałe dyspozycje, przysięgi i roty nie mają znaczenia. – Mówiła trochę niewyraźnie, pewnie przeszkadzał jej rozdwójony język i dziesiątki szpiczastych zębisk. – Pozostanę wierna twoim poleceniom.

– Dziękuję wam za poparcie, jest mi bardzo miło, ale obawiam się, że jestem bezsilny. Nie przeprowadzę operacji sam. Muszę mieć poparcie organizacji miejskiej i swoje oddziały.

– Nadal je masz – odparła strzyga. – Wsparcie organizacji też jest do uzyskania i to nawet wbrew woli rządu. Zrób to, Jemioła, uwolnij miasto. Złam dyrektywy i zrób to, co do ciebie należy. To jedyna szansa. Jeśli

pozwołisz się złamać i zrezygnujesz, bunt skończy się klęską. Oboje o tym wiemy.

Pokiwał głową, patrząc na strzygę.

– Dobrze – zdecydował po długim wahaniu. – Zbuntuję się przeciw powstańczym władzom.

– Bunt buntownika – parsknął Pliszka. – To mi się podoba! Zaraz pogadam z chłopami, choć wiem, że i tak wszyscy pójdą za tobą. Gorzej będzie z żuawami. Część z nich to równe chłopcy, ale część to nadęta szlachta, która ma nas za brudną swolocz, a tylko siebie uważa za godnych zaszczytu wyzwolenia ojczyzny.

– Napiszę przemowę i wygłoszę ją jeszcze dziś – zdecydował Jemioła.

Lubił patetyczne i porywające mowy. Wydawało mu się, że jest w nich dobry.

– Przydałoby się również niezależne wsparcie w mieście. Dysponujemy dwudziestoma chłopakami z Powiśla, jutro zwerbujemy kolejnych stu lub dwustu. Ale konieczny jest udział również robotników, kupców, handlarzy, żebraków i arystokracji...

– Nie utworzysz w dwa dni nowej siatki spiskowej. Musimy skorzystać z istniejącej – powiedziała strzyga. – Najlepiej będzie obalić Rząd Narodowy. Wymordować ich i przejąć władzę.

Jemioła pokręcił głową, przerażony wizją wewnętrznych walk.

– To wykluczone. Robiąc coś takiego, tylko zwiększymy tarcia. Odwrócą się od nas „biali”, a bez ich pieniędzy powstanie nie da sobie rady. Wywołam rozruchy w mieście wbrew rządowi, ale nie będę wchodził z nim w otwarty konflikt.

– Popelniasz błąd – powiedziała zimno. – I tak masz już w nich wrogów, więc lepiej zniszcz ich, zanim oni zniszczą ciebie. Jeśli tego nie zrobisz, możesz w przyszłości mieć przez nich kłopoty.

Jemioła machnął niecierpliwie ręką. W głowie już układał przemowę skierowaną głównie do żuawów. Ciekawe, jak wielu da się jej porwać i opowie się przeciw Rochebrune'owi? Odprawił Pliszkę z rozkazami i wrócił do gabinetu w budynku biurowym warsztatów. Jego myśli zaprzętały teraz setki pomysłów. Ocknął się po dwóch lub trzech godzinach nad zapisanymi

kartami, na których wzniosłe, patriotyczne przemówienie mieszało się z maszynowym programem i fragmentami kodów. Bełkot, w dodatku poplamiony krwią. Miał ją także rozmazaną na brodzie i ustach, a głowa ciążyła mu, jakby była z ołowiu. Jak przez mgłę ujrzał zbliżającą się błyskawicznie podłogę i chwilę później uderzył o nią z impetem.

**17 kwietnia 1863 r.**

W domu handlowym „S. i M. Bergson” jaśniały gazowe lampy. Ich blask zwielokrotniał się w lustrzanych kasetonach pokrywających ściany i rozpromieniał wewnątrz wielkiego sklepu. Wanda ciągle mrugała, próbując przyzwyczaić wzrok do jasności potęgowanej jeszcze białą marmurową podłogą, na której tle aż porażały kolorami fatałaszkami, szale i fulary, falbany i materiały wiszące na stojakach, a także piękne kapelusze na półkach regałów. I ten zapach! Perfumy dam, spacerujących między ubraniami z najlepszych materiałów, mieszały się w powietrzu nawilżanym małą fontanną stojącą na środku pomieszczenia. Coś niesamowitego!

Wanda straciła ze wzroku Pelagię i nieśmiało zagłębiła się między manekiny z deliami obszytymi sobolami, staroświeckimi altembasowymi żupanikami, wreszcie modnymi żakietami i jedwabnymi gorsetami. Ośmieliła się nawet muskać dłonią miękkie materiały, podziwiać ich strukturę i obszycie drobnym ścięciem maszynowym. Na parę chwil zupełnie zapomniała, po co tu jest. Sklep przeniósł ją do innego świata – piękna, wygody i bogactwa. Mogłaby oglądać te stroje godzinami, a jeszcze jakby dało się niektóre przymierzyć! Ach, marzenie... W rękawie zaczęła jej ciążyć koperta z pieczętowanym banknotem sturublowym. Lada dzień zacznie się bitwa, Jemioła przysłał jej posłańca z instrukcjami, więc wiedziała, że rozstrzygnięcie nadchodzi. Powstanie może się obyć bez tych stu rubli, a ona kupiłaby za nie wygodną bieliznę, sukienkę i wreszcie własne porządne buciki.

– Tu jesteś! – Pelagia wyrwała ją z marzeń.

Drobna blondynka pojawiła się w towarzystwie nieco starszej, na oko dwudziestopięcioletniej, szczupłej brunetki o mocno semickiej urodzie. Wanda domyśliła się, że to „kuma” z żeńskiej komórki organizacji miejskiej. Augusta Toeplitz, siódma i najmłodsza córka żydowskiego kupca, działała w konspiracji na długo przed powstaniem. Nigdy nie uchylała się przed udzielaniem pomocy i po otrzymaniu liściku od Pelagii natychmiast zgodziła



się na spotkanie. Jako neutralne miejsce wybrała dom handlowy, ale Wandy specjalnie to nie zaskoczyło. Życie spiskowców w okupowanym mieście rządziło się swoimi prawami.

– Poznajcie się, dziewczyny. – Pelagia przedstawiła je sobie krótko. – Augusto, czy zdołasz załatwić to, o co cię prosiłam?

– Aj waj! Co ja mogę? – Żydówka rozłożyła ręce. – Zażyczyłyście sobie, bym wprowadziła was w światek wpływowych warszawskich Żydów, ale ja jestem w nim nikim. Mogę poznać was ze swoimi braćmi, z narzeczonym, w którego sklepie właśnie jesteśmy, ostatecznie z ojcem i rabinem Kramszykiem, gdyby akurat nie siedział w cytadeli. Ale choćbym nawet znała całą starszyznę, kobieta wiele tam nie załatwi, chyba że będą stały za nią pieniądze. I to duże pieniądze.

– Za mną stoi tylko powaga powstańczej armii – odparła Wanda. – Reprezentuję pułkownika Jemiołę i muszę w jego imieniu załatwić wsparcie jednej z największych sił w tym mieście. Pozwól mi z nimi porozmawiać, a zobaczysz, że ich przekonam.

Augusta zmierzyła Wandę od stóp do głów. Wcięta w talii sukienka, nieco frywolna i nowoczesna, oraz modny kapelusik świadczyły, że jest przedstawicielką co najmniej mieszczaństwa lub zasobną prostytutką. Jednak młody wiek i dziewczęca uroda nie dodawały Wandzie ani powagi, ani autorytetu. Augusta wiedziała, że rozmowy z żydowską plutokracją spełzną na niczym.

– Bogaci Żydzi nie dadzą się namówić do zaryzykowania interesów i wzięcia udziału w buncie – powiedziała. – Więcej dałyby rozmowy z biedotą.

– Ale biedni Żydzi nie mają swoich przedstawicieli, a nie mogę namawiać każdego z osobna. – Wanda zmarszczyła brwi. – Nie mam na to czasu.

Arystokracja natomiast dysponuje ogromnymi wpływami, może w jeden dzień ułożyć robotników ze swoich fabryk w regularne oddziały. To Żydzi trzymają miasto w garści, dobrze o tym wiecie. Fabryki, warsztaty, zakłady rzemieślnicze, traktiernie i karczmy, bazy i składy towarowe, wszystko jest nasze. Stanowimy czwartą część mieszkańców Warszawy, co znaczy, że mieszka tu ponad czterdzieści tysięcy ludzi uważających się za Polaków. Co prawda Polaków drugiej kategorii, ale Polaków. Jeśli będzie trzeba, samymi

kupieckimi wozami Żydzi mogą zablokować wszystkie ulice...

– Dobrze, zaprowadzę was gdzieś, ale niczego nie obiecuję – przerwała Augusta. – Poza tym musimy poczekać jakieś trzy godziny, bo jest jeszcze za wcześnie na wizyty.

– Zostawię was, dziewczęta. – Pelagia dygnęła grzecznie. – Jestem umówiona na spotkanie z pułkownikiem Bergmannem. Chyba znów uda mi się uzyskać pozwolenia na wejście do cytadeli.

Żydówki zostały same w błyszczącym bogactwem domu towarowym. Augusta uśmiechnęła się do Wandy i wzięła ją za rękę niczym młodszą siostrę.

– Chodź, obejrzymy sobie towar, może coś dla siebie wybierzesz. – Augusta przeszła płynnie na jidysz, po chwili dodała konfidencko: – Mówiłam ci, że jeden z właścicieli składu, pan Samuel Bergson, jest moim narzeczonym? Powołam się na niego i utarguję ci taki upust, że weźmiesz, co chcesz, za pół darmo. Nam, kobietom, potrzeba czasem jakiegoś luksusowego fatałaszka czy pięknego bibelotu. Jest ciężko, trwa wojna, ale czasem należy odpocząć i zapomnieć o tym, co na zewnątrz. Chodź, pokażę ci coś pasującego do twoich pięknych włosów.

Wanda ruszyła za nią w głąb składu, między bogate rosyjskie damy z mufkami z soboli i wysokie stojaki ze strojami, ale czuła się nieswojo. Miała dziś organizować i działać ile sił, w odpowiedzi na rozpaczliwy list Jemioły, a zamiast tego oddawała się przyjemnościom. Wyrzuty sumienia potęgowało wspomnienie zmalretowanego Stanisława, gnijącego w obskurnej celi, i posłańca, który nad ranem przyniósł jej list od pułkownika. W okno na poddaszu kamienicy panien Piotrowskich zastukał nie kto inny, jak uznana za martwą Hanka Żelazo. Co prawda dziewczyna miała okropne, nietoperze skrzydła, w dodatku zachowywała się sztywno i beznamiętnie, jak przystało na dybuka, ale bez wątplenia była Hanką.

Z początku Wandę oszołomił widok jej silnej i dzielnej przyjaciółki, która nie dość, że nie zginęła, to jeszcze przebywała w mieście i w dodatku czuwała nad nią jako upiór. Potem jednak poczuła przypływ pewności siebie. Nie każdy miał do dyspozycji przyjaciółkę-strzygę, a Wanda wiedziała, że może w parę chwil wezwać dawną siostrę na pomoc. Cieszyła się, że wreszcie nie jest tak bardzo osamotniona w tym wielkim mieście.

Z trudem oderwała wzrok od kosztownych i pięknych sukien, od szali, chust i kapeluszy. Powinna zapomnieć o tych rzeczach i pomyśleć o nadchodzącej bitwie.

\*\*\*

Dorożka powiozła je przez Krakowskie Śródmieście i Starówkę w kierunku Nowego Miasta. Wanda coraz lepiej orientowała się w topografii miasta, poznawała już uliczki, a nawet zlokalizowała wzrokiem lupanar Soni Sawickiej, choć mijali go w sporej odległości. Wyprawy w towarzystwie ruchliwej i wszędobylskiej Pelagii na coś się przydały i Warszawa powoli przestawała się jej wydawać morzem domów i kamienic.

Dorożka przez chwilę jechała w stronę cytadeli, ale nagle zaturkotała i skręciła na Muranów. Tu Wanda jeszcze nigdy nie dotarła. Z zaskoczeniem obejrzała tłumny i gwarny bazar, na którym aż się roiło od żydowskich chałatów i jarmułek. Krzyki i przekleństwa w jidysz górowały nad nielicznymi głosami po polsku. Dziewczyna zorientowała się, że na placu jest bardzo mało gojów. Przed drewnianymi budami oraz czarnymi otworami sklepów z najrozmaitszym szpejem i tandetą kręcili się i awanturowali niemal wyłącznie obywatele wyznania mojżeszowego.

– Co to jest?

– Wołosówka – wyjaśniła Augusta. – Targ, na którym możesz kupić i sprzedać wszystko, choćby repetier ukradziony oberpolicmajstrowi Trepowowi albo papierośnicę wielkiego księcia. Damy się tu nie zaopatrują i lepiej, żeby młoda kobieta nie zapuszczała się w głąb tych straganów. A teraz wjeżdżamy w okolicę, w której zupełnie nie ma ulic egzymowanych<sup>27</sup>. Dlatego mieszka tu tak wielu Żydów.

Dorożka toczyła się powoli ciasnymi uliczkami, mijając tragarzy i liczne wozy. Młodzi żydowscy pomagierzy i wyrobnicy ładowali je lub rozładowywali, obsługując domy i składy towarowe. Wandzie wydawało się, że właściwie każda mijana kamienica czy drewniana chałupa zaopatrzona jest w sklepową witrynę lub choćby wystawioną przed fasadą ławę lub stół pełne najróżniejszych towarów. Po chwili powóz skręcił w Nalewki, ulicę nieco szerszą i jaśniejszą, zabudowaną wyższymi, nawet trzypiętrowymi domami.

Ale i tu handel na chodniku oraz sklepy w każdym domu zdawały się czymś normalnym. Wyglądało to tak, jakby Żydzi nie zajmowali się niczym innym prócz handlu. Kłócili się i targowali, szarpali za brody i wznosili oczy w niebo, złorzecząc morderczym i nieludzkim cenom. Kręciło się tu też sporo gojów, spokojnie robiących zakupy. Cała dzielnica żydowska stanowiła jeden wielki bazar.

Wanda chłoneła atmosferę dzielnicy, pełną życia i energii. Ta część miasta różniła się od pozostałych i nie była tak strasznie wielkomiejska. Mimo tłoku i ruchu kojarzyła się jej ze świątecznym targiem w Szydłowcu.

Wspomnienie rodzinnej miejscowości, domu i bliskich wycisnęło samotną łzę, którą dziewczyna szybko otarła rękawem. „Nie pora na smutek” – pomyślała.

Dryndziarz zatrzymał powóz przed murowanym domem z wielką żelazną bramą. Augusta rzuciła mu kilka monet i dziewczęta stanęły przed kłaniającym się stróżem. Panna Teoplitz skinęła mu łaskawie, widocznie już nieraz tu bywała.

– Co to za miejsce? – spytała Wanda.

– Mieszka tu mój ulubiony kuzyn. – Augusta zastukała kołatką w drzwi. – W piątkowe popołudnie zawsze spotykają się u niego przyjaciele. Kończą zwykle już w szabat, po zachodzie słońca, co niektórych drażni, ale i tak nikt nie śmie zwrócić im uwagi, bo jego przyjaciele to młoda żydowska arystokracja. Jeśli chcesz zyskać szybko wsparcie warszawskich Żydów, właśnie ich musisz przekonać. Obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Ci chłopcy i panowie nie są bandą romantycznych głupców, za jakich mają powstańców... Och, nie chciałam tego powiedzieć.

Wanda wzruszyła ramionami. Nie było o co się obrażać.

Drzwi otworzył im służący w liberii i kłaniając się, wpuścił je do przestronnego przedpokoju. Znikł gdzieś i wrócił dopiero po dłuższej chwili w towarzystwie swego przełożonego: wysokiego, dumnego lokaja ubranego w elegancki frak i białe rękawiczki.

– Pan nie przyjmuje dziś wizyt rodziny – powiedział, zadzierając nosa.

– Przyprowadziłam mu interesantkę, przedstawicielkę władz – odparła pewnie Augusta. – Musi natychmiast porozmawiać z nim i jego gośćmi. Nie

bój się, Franciszek nie będzie się gniewał za wpuszczenie kobiet na jego męskie spotkanie. Jesteśmy tu służbowo, to poważna sprawa. Wagi narodowej!

– Prowadź, człowieku, pókim dobra – dodała autorytatywnie Wanda, prężąc pierś.

– Kogo mam zaanonsować? – Lokaj uniósł brwi.

– Oficera powstańczej armii porucznik Wandę Szczurównę – odparła Augusta. – Z pilną sprawą w imieniu polskiego rządu.

Lokaj obrócił się i poprowadził kobiety korytarzem do dwuskrzydłowych drzwi, za którymi odbywał się zamknięty bankiet żydowskiej arystokracji.

– Mój kuzyn Franciszek Toeplitz to niski i krępy brunet – powiedziała szybko Augusta, kiedy drzwi się otwierały. – Jest członkiem Rady Miejskiej, podwładnym Zygmunta Wielopolskiego. W salonie powinni być także bracia Natansonowie, dosyć podobni do siebie, o, są! Ten z brodą, Jakub, jest profesorem chemii. Drugi jest wydawcą, następny przemysłowcem, pozostali cholera wie, nie pamiętam. Wysoki, w jasnym surducie i pod muchą, to Jan Berson, cukrownik...

– Sprzedaje ciastka?

– Nie, głupia, jest właścicielem dwóch fabryk cukru – wysyczała Augusta. – Grubas to Stanisław Kronenberg, bankowiec. Widzę też Mikołaja Epsteina, przystojniak jest poetą, fajny, prawda? Ale zajęty, ma trójkę dzieci. O, na fotelu siedzi Aleksander Lesser, malarz, a gadający z nim chudzielec to Maksymilian Fajans, też malarz i właściciel pierwszego w Warszawie atelier fotograficznego...

Rozmowy mężczyzn ucichły w jednej chwili. Na ich roześmianych twarzach pojawił się wyraz zaskoczenia i ciekawości. Wanda zastygła w bezruchu. Słyszała walenie własnego serca. Oto ona, biedna Żydówka z zadupia, stoi przed najbogatszymi ludźmi w tym kraju.

W pomieszczeniu unosił się dym z drogich hawańskich cygar, panowie trzymali w rękach kryształowe szklanki z jakimś brązowym trunkiem. Światło zamocowanych na ścianach oliwnych lampek załamywało się na ściankach karafek, wypełnionych kolorowymi płynami. W głowie oszołomionej tą demonstracją bogactwa dziewczyny huczały tysiące głosów. Szum rozmów i śmiechy zlewały się w jeden narastający ryk. Mutatio coraz zwawiej krążyło

w jej żyłach, zachęcało do wrzasku i rozładowania napięcia.

– Porucznik Wanda Szczur – zameldował zebrany lokaj. – Oficer polskiej armii, w imieniu Rządu Narodowego.

Popchnięta przez Augustę Wanda weszła do środka, ale na progu potknęła się o dywan i poleciała do przodu. Złapał ją sam gospodarz i uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

– Co to ma znaczyć, moja droga? – zwrócił się do siostry ciotecznej. – Jakiś żart?

– Nie, kuzynie. – Augusta nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Ta panienska naprawdę reprezentuje powstańcze wojsko. Ma do panów pilną sprawę.

Wanda uwolniła się z objęć milionera i groźnie zmarszczyła brwi. Spojrzała po twarzach zgromadzonych. Większość Żydów uśmiechała się przyjaźnie lub z rozbawieniem, trudno orzec.

– Przeszkadzam panom nie dla zabawy. Chcę nakłonić was do udziału w zrywie – oświadczyła. – Ojczyzna was potrzebuje i to natychmiast.

– Ależ my służymy ojczyźnie – odezwał się cukrownik Berson. – Pracujemy, działamy, pomnażamy majątki i tworzymy miejsca pracy. Budujemy przemysł, który przyniesie Królestwu dobrobyt i wprowadzi je w nową erę: pary i elektryczności.

– Na to też przyjdzie czas, ale w wolnym kraju – odparowała Wanda. – Kiedy sami będziemy w nim gospodarzami. Teraz jest pora na walkę.

– Walka z Imperium jedynie przynosi szkodę. Nie ma sensu poświęcać życia w beznadziejnych zmaganiach – odparł Jakub Natanson – ani bezmyślnie narażać ojczyzny na dotkliwe konsekwencje. Car nie daruje nam tak po prostu tego buntu. Zemści się i doprowadzi kraj do ruiny. Lata zajmie nam odbudowanie tego, co zniszczyliście wy, natchnieni powstańcy.

Panowie pokiwali głowami. Tylko dwaj malarze przyglądali się Wandzie z ciekawością.

– A jak mielibyśmy przysłużyć się ojczyźnie w boju? – spytał Lesser. – Mamy kuć kosy i ruszyć z nimi do lasu? Obawiam się, że niewielki byłby z nas pożytek.

Rozległy się śmiechy, a Wanda poczuła ognisty rumieniec na policzkach. Miała ochotę wrzasnąć z całych sił i potrząsnąć tymi bogatymi łobuzami,

niechby się wreszcie obudzili.

– Lada dzień wybuchną zamieszki w mieście i oczekujemy waszego czynnego udziału – oznajmiła zimno. – Macie dwa dni na zorganizowanie żydowskich rot uderzeniowych. Uzbroicie swoich robotników i służących, przygotujecie konieczne zaplecze. Każdy z panów zostanie rozliczony z udziału, a jeszcze dziś odwiedzą was funkcjonariusze powstańczej policji z rozkazami do...

– Nie strasz nas, ruda ślicznotko – burknął Kronenberg. – Obawiam się, że nie reprezentujesz rządu, z którym akurat mam stały kontakt, a jakieś wywrotowe, rewolucyjne skrzydło. „Czerwoni” zawsze łaknęli krwi, ale tym razem przesadzacie. Prowokować burdy w stolicy i jeszcze nas do tego namawiać? Ręki nie przyłożę do szaleńczych awantur. Dzieweczko, czy zdajesz sobie sprawę, czym może skończyć się rozpętanie powstania w mieście? Chcesz, byśmy mieli na rękach krew niewinnych?

– Młoda i jeszcze głupiutka – wtrącił Jakub Natanson. – Nie bądź dla niej taki surowy, Stanisławie. „Czerwoni” namieszali jej w głowie, a sami wiemy, że są szaleńcami. Wystarczy spojrzeć na tego posłańca. Z misją organizowania buntu wysłali piegowatego podlotka, który nie byłby w stanie muchy skrzywdzić.

Tym razem wszyscy obecni już otwarcie ryknęli śmiechem. Wanda przez chwilę marzyła, by podłoga się rozstała i pozwoliła jej zapaść się pod ziemię.

– Jaką właściwie siłę reprezentujesz, panno Szczur? – parsknął Natanson, najmłodszy z nich, młodzieniec o pociągłej twarzy z cienkim wąsikiem i włosach przylizanych fryzjerską pomadą. – Siostry miłosierdzia czy warszawskie ladacznice? Żydowskie szwaczki czy raczej robotnice z fabryki papierosów pana Kronenberga? Tak czy inaczej, nie sędzę, by reprezentowała panienka znaczące siły. A może powinniśmy nazywać cię nie Szczurówną, a panną Myszka?

Kolejny wybuch śmiechu. Wanda zmrużyła oczy, czując gorąco tak przejmujące, że w każdej chwili groziło samozapłonem. Wciągnęła powietrze nosem, porządkując i wyciszając myśli, a krzyk w jej głowie zebrał się w jedną kulę. Wypuściła powietrze razem z jednym, krótkim wrzaskiem. Młody

Natanson zgiął się wpół, fala dźwiękowa porwała go i cisnęła na stolik z karafkami. Szyby w oknach pokryły się siatkami pęknięć. Mężczyźni skulili się, zasłaniając głowy ramionami.

Zapadła cisza. Mąciło ją tylko łkanie leżącego wśród potłuczonych karafek i w kałużach drogich trunków młodego Natansona. Franciszek Toeplitz z godnością uniósł się z kolan i otrzepał spodnie. Już chciał coś powiedzieć, gdy jedno z okien eksplodowało z brzękiem i do środka wpadła czarna sylwetka. Dżentelmeni cofnęli się pod ściany. Kronenberg próbował schować się za fotelem.

Na środku salonu kuciała strzyga, ubrana w czarny mundur z wielkim białym krzyżem na piersi. Wyprostowała się powoli i w upiornym grymasie rozwarła paszczę, prezentując zebrany cały garnitur ostrych zębów. Któremuś z bogaczy wyrwał się mało męski pisk.

– Wzywałaś mnie, siostrze? – spytała upiorzyca, ignorując przerażonych Żydów.

– Myślę, że wystarczyło samo twoje przybycie, Hanko. Teraz lepiej stąd odejść, bo twoja obecność utrudni rozmowy. – Wanda odetchnęła z ulgą.

W nosie drażnił ją kurz i zapach migdałów, w uszach nadal szumiała moc, ale czuła się znacznie lepiej i zdecydowanie pewniej. Hanka bez słowa obróciła się, załopotała skrzydłami i znikła równie szybko, jak się pojawiła. Pobladli ze strachu mężczyźni stali pod ścianą. Młody Natanson nakrył głowę zadartym surdudem i niczym struś wbijający głowę w piasek wystawił do obecnych tylną część ciała. Wanda nie mogła powstrzymać triumfalnego, złośliwego uśmiechu.

– Widzicie już, panowie, jakie siły za mną stoją. Jestem oficerem w specjalnym oddziale dowodzonym przez pułkownika Jemiołę – wyjaśniła pojednawczym tonem. – Reprezentuję moce, o jakich wam się nawet nie śniło. I mówię po raz ostatni, lada dzień wyzwolimy Warszawę i chcę, by w walce wzięli udział obywatele wyznania mojżeszowego. Wy ich zorganizujecie i poprowadzicie, bo tylko wy macie do tego środki. I bez obaw, nie będziecie musieli ginąć. Zostaniecie użyci w specyficzny sposób, do odciążenia uwagi i związania wroga bezowocnymi przepychankami na ulicach.

– Wydaje mi się, że nie sposób odmówić tak postawionej prośbie. –



Toeplitz uśmiechnął się niepewnie. – Jak pani porucznik dokładnie wyobraża sobie nasz udział?

– Szczegóły przekaże panom jeszcze dziś policja powstańcza. Nie obchodzi mnie, że zaczyna się szabas, jutro w waszych fabrykach i magazynach ma kipieć od przygotowań. Osobiście będę nadzorowała postępy, odwiedzę wszystkie obiekty. Chcę w niedzielę mieć do dyspozycji cały żydowski korpus, gotowy do działań.

Spojrzała na pobladłą Augustę, która ciągle stała w drzwiach, oszołomiona tym, co się stało. Wypadało teraz zostawić burżujów, by się otrząsnęli. Nie powinni jednak mieć zbyt dużo czasu na kombinowanie, bo wymyślą, jak wymigać się od odpowiedzialności. Jeszcze przed północą powinien przyjść tu osobiście któryś z Janków z instrukcjami i dodatkowo ich przycisnąć. Wanda swoją część zadania wykonała, teraz musi zameldować o tym Jemirole, choćby przez posłańca. Złapała Augustę pod ramię i bez pożegnania wyciągnęła ją z salonu.

– Pewnie umiesz pisać i czytać? – zapytała niewinnie.

– Tak, w czterech językach – odparła ciągle wstrząśnięta Augusta. – Nie wiedziałam, że jesteś wiedźmą.

– Co zrobić? – Wanda lekceważąco machnęła ręką. – Wracając jednak do pisania, pomożesz mi wystosować notatkę do dowódcy. Ja z czytaniem radzę sobie bardzo dobrze, ale pisania nie praktykowałam. Ojciec nie chciał mnie wysłać do jesziwy, że niby to szkoła tylko dla mężczyzn, a miejsce baby jest przy garach. Och, która to godzina?

– Czwarta po południu.

– Muszę pędzić na dworzec wiedeński. Za godzinę przyjeżdża pociąg z Krakowa, a w nim ktoś, kto pomoże mi uwolnić Stanisława. – Oczy Wandy rozbłysły podnieceniem. – Idziesz ze mną?

Augusta potrząsnęła głową. Szczerówna śmiertelnie ją przerażała. Z niepozornej konspiratorki nagle zmieniła się w szalejącą wiedźmę, która potrafi przyzywać demony. Lepiej nie mieć z kimś takim do czynienia. Panna z dobrego domu, niedługo żona porządnego kupca, powinna trzymać się od takich indywidualistów jak najdalej.

– Pojedziemy dorożką – zdecydowała niespodziewanie dla siebie samej,

kiedy wyszły przed bramę kamienicy.

Potem wetknęła dwa palce w usta i zagwizdała z całych sił, machając drugą ręką na przejeżdżającego fiakra. Wanda uśmiechnęła się do siebie.

**18 kwietnia 1863 r.**

Lodowate fale uderzały o burty z czarnego żelaza. Wiatr chłostał smagnięciami deszczu i łopotał żaglami, zwijanymi właśnie przez marynarzy. Parowa fregata mozolnie brnęła przed siebie. Stanisław stał na dziobie, tuląc w ramionach ukochaną. Mimo huraganowych podmuchów czuł jej zapach i ciepło bijące od drobnej postaci. Kobieta zwróciła głowę w jego stronę. Spod skórzanego kaptura błysnęły oczy czarne jak węgle. Loewenhardt zanurzył się w nich, pełen szczęścia, pozwolił się im porwać i unieść w powietrze. Wznosił się wraz z ciężkim okrętem. Polecieli prosto w kłębiące się wściekle chmury, raz po raz rozdzierane piorunami.

Morze poniżej szalało coraz bardziej i pogrążało się w mroku.

Stanisław usiadł na więziennej pryczy, oddychając ciężko. Znowu nawiedził go ten sen i za każdym razem stawał się coraz prawdziwszy. Trudno nazwać go koszmarem, bo właściwie wprowadzał młodego lekarza w podniosły nastrój i poprawiał mu samopoczucie. Loewenhardt czuł się po nim pewniej i bezpieczniej. Coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że nawiedza go wizja przyszłości, a to oznaczało, że nie sześcinnie w tej celi, spalony torturami porucznik Marii Stołpin, ani nie skończy na szubienicy pod murami cytadeli. Miał szansę się stąd wyrwać i przeżyć prawdziwą miłość!

Zastukał w ścianę do sąsiada. Nauczył się wreszcie kodu i nie musiał już korzystać ze ściennych notatek. Jarosław Dąbrowski odpowiedział po dłuższej chwili. Nadał, że Kajetan Janowski, zwany Obywatelem Jerzym, torturowany w taki sam sposób co Stanisław, od wczoraj leżał w szpitalu w budynku koszar. Dali go do osobnej celi, bo ponoć znajdował się w strasznym stanie, mutatio zaczęło deformować jego ciało. Stołpin przesadziła, potraktowała go prawdopodobnie śmiertelną dawką mocy. Loewenhardt przytaknął, że to niewykłuczone. Sam zauważył, że kobieta staje się nerwowa i coraz mocniej naciska, byle tylko coś z uwięzionych wyciągnąć.

Dąbrowski spytał jeszcze, czy zgodnie z zaleceniem Stanisław nadpiłowuje otrzymanym brzeszczotem zawiasy drzwi. Łokietek cały czas

planował ucieczkę lub chociaż bunt więźniów. Aresztanci we wszystkich celach na parterze i piętrze pracowicie nadcinali zawiasy, by w odpowiednim momencie wywalić drzwi jednym kopniakiem. Wszystko miało się zacząć od Dąbrowskiego, który bunt zaplanował i koordynował, a od miesiąca znajdował się w posiadaniu rewolweru i garści nabojów. Stanisław przytaknął, choć jeszcze nawet nie zabrał się do roboty. Nie miał na nią sił ani czasu. Kiedy przynoszono go z przesłuchań, zapadał w drzemkę lub gorączkował na skraju przytomności i w półśnie, powoli trawił obce myśli i wspomnienia, wchłonięte przez umysł razem z mutatio.

Po rozmowie z Jarosławem załomotał w drzwi, domagając się śniadania. Choć nigdy dotąd się nie obzerał, a więzienne porcje wcześniej mu wystarczały, ostatnio głód dokuczał mu niemal nieustannie. Zawsze drobny i fizycznie słaby, nagle odkrył w sobie pokłady niespożytej energii. Ledwie poczuł głód, wpadał w gniew, kopał drzwi i ściany, aż tynk leciał. Miał ochotę roztrzaskać krzesło na łbie żołdaka przynoszącego żarcie lub udusić go gołymi rękoma. Wczoraj wieczorem po kolacji, która nie zaspokoila jego apetytu, z rozmachem trzasnął pięścią w ścianę i wybił dziurę w tynku, odsłaniając gołe cegły. Ze zdumieniem odkrył, że nie połamał sobie przy tym ręki ani nawet się nie zadrapał.

Wartownik wrzucił do celi blaszaną miskę z chlebem i kaszą, klnąc więźnia po rosyjsku. Loewenhardt musiał zacisnąć pięści i odmówić w myślach modlitwę, by powstrzymać się przed atakiem. Poczłł gorąco w obu dłoniach. Uniósł je do twarzy i spokojnie patrzył na pełzające po skórze wężyki wyładowań. Potem rzucił się na jedzenie i oczyścił miskę z najmniejszych okruszków. Usiadł na pryczy i czekał. Pora kolejnego przesłuchania nadchodziła nieubłaganie.

Strażnicy pojawili się niedługo później, już bez oficera żandarmerii. Zaprowadzili go do małego pokoiku po przeciwnej stronie budynku niż siedziba komisji śledczej. Od przejęcia przesłuchań przez Stołpin nie miał kontaktu z pułkownikiem Tuchołko ani jego pomagierami. Wiedźma torturowała go osobiście, ale jak na złość nie dowiedziała się od Stanisława zupełnie niczego. Od dwóch dni w ogóle się nie odzywał, dziś jednak postanowił złamać ten zwyczaj i przynajmniej zwymyślać prześladowczynię.

Wrzucono go do celi pozbawionej mebli. Jedyne stołek wczoraj rozsypał się na tysiące drzazg, które wbiły się w posadzkę i utworzyły na niej ornament, przeplatając się z wżartymi w kamień plamami krwi. Ściany popękały i pokryły się bąblami przypominającymi grzyby, a sufit zrobił się całkiem czarny, jakby osmalony. Kraty w oknie niedawno zmieniono, bo poprzednie zakwitły żelaznymi kwiatami i rozsypały się w rdzawy pył. Mutatio, które tu wyzwalano, kaleczyło nie tylko ludzkie ciała i umysły, ale wsiąkało także w ściany, zniekształcając materię. Stanisław usiadł na podłodze i cierpliwie czekał na kata. Maria pojawiła się po jakiejś godzinie. Weszła do celi sama, uzbrojoną obstawę zostawiając przed wejściem.

– Zacznesz mówić, doktorze? – spytała bez wstępów. – Jutro kolejne zebranie u księcia, potrzebuję nowych nazwisk i tropów.

– *Znat', ja nie znaju...*

– Daruj sobie – syknęła. – Dziś wepchnę cię w otchłań na dłużej.

Zobaczymy, może wreszcie rozwiąże ci to język.

– Dopadnę cię kiedyś, Stołpin – wycedził Stanisław. – Kiedyś mi się uda.

Poderwał się z rykiem i skoczył na prześladowczynię. Który to już raz próbował ją zabić? Ale nigdy nie zdołał jej nawet dotknąć. Tym razem był blisko, mierzył w brzuch kobiety, jego zaciśnięta pięść zapłonęła czernią, pomknęła niczym piorun i... Wpadła w otwartą wyrwę w rzeczywistości. Otchłań pociągnęła go. Odruchowo próbował zaprzecić się wolną dłonią, ale ona też zanurzyła się w ciemności. Mutatio w czystej, niemal materialnej postaci oblepiło jego ciało, wpiło się w skórę i zaczęło przenikać do krwi. Nieświadomie załkał, a potem, gdy szaleństwo już docierało do mózgu, ryknął z przerażenia i bólu.

Maria tym razem poszerzyła rozdarcie i pozwoliła, by ciemność ogarnęła także ramiona ofiary, objęła jego głowę i tors, wpełzła na nogi. Stanisław umilkł, pochłonięty przez anomalię, dygotał tylko jak w epilepsji. Nie próbował zamykać umysłu ani wyciszać myśli. Wydawało mu się, że lepiej zniesie szaleństwo, jeśli mu się podda. Po jakimś czasie w chaosie obcych wspomnień i myśli cyfrowych maszyn odnalazł własną jaźń. Odzyskanie świadomości, omywanej nieustannie strumieniami danych, obrazów i myśli, przynosiło niewysłowioną ulgę. Teraz mógł trwać w czystym mutatio całymi

godzinami. Stołpin nie zdawała sobie z tego sprawy, myślała, że nadal cierpi potworne katusze, ale Stanisław tak nasiąkł już mocą, że jego umysł zachowywał się jak umysł urodzonego odmienca. Lekarz stał się nurkiem, mogącym przebywać w turbulencji i nawet w niej funkcjonować.

Oprzytomniał, leżąc na kamiennej posadce. Maria wylała mu na twarz wiadro wody.

– I co, doktorze, zaczniesz wreszcie gadać? – Sprawiała wrażenie mocno zniecierpliwionej. – Rozumiesz, co mówię? Chcę nazwiska agentów intendentury i członków rządu! Co o nich wiesz?

– Wypchaj się, carska dziwko – spokojnie odparł Stanisław, a widząc minę kobiety, parsknął śmiechem.

– *Skatina!*<sup>28</sup> – wrzasnęła i z rozmachem kopnęła lekarza w bok.

Wyszła na korytarz, wściekle szeleszcząc suknią.

– Niech poleży trochę na zimnej posadzce, a potem do celi z nim – rozkazała krótko wartownikom.

Wymaszerowała z budynku X Pawilonu i skierowała się do powozu. Lando, luksusowy pojazd dla czterech osób, miał rozłożoną budę i zapewniał znaczną intymność. Maria skinęła stangretowi, po czym opadła na siedzenie wybite czerwonym adamaszkiem i złapała się za głowę. Ręce jej dygotały, w skroniach łupało uporczywie. Nie miała siły sięgnąć po moc, by błyskawicznie przenieść się tam, gdzie chciała, musiała korzystać z tradycyjnego środka lokomocji. Lando bujało się usypiająco dzięki mocnym metalowym resorom i już po paru chwilach zatrzymało się przy Wrotach Aleksandryjskich. Do środka zajrzał feldfelbel w czarnym mundurze gwardii, ale na widok damy zasalutował bez słowa i znikł. Powóz pomknął w stronę Nowego Miasta.

Przez całą drogę do kwatery radcy Tichona Maria walczyła z fatalnymi efektami użycia mocy. Dopiero kiedy zanuciła pod nosem kołysankę, którą lata temu uspokajała ją matka, kotłujący się we krwi gniew nieco ostygł. Ostatnimi dniami zdecydowanie przesadzała, w dodatku praca oficera śledczego, by nie powiedzieć kata, wcale jej nie odpowiadała. Nie miała jednak wyjścia, Tichon potrzebował wciąż więcej informacji. Udało jej się wyciągnąć z więźniów nazwiska i adresy wszystkich wydziałowych, kierujących buntownikami w pięciu cyrkułach stolicy, ale tylko jeden wpadł w łapy

żandarmów. Tysiącnicy i setnicy organizacji miejskiej też jakby zapadali się pod ziemię tuż przed uwięzieniem. Radca nie miał czym się pochwalić przed księciem, a obiecał Konstantemu, że w ciągu tygodnia rozbije siatkę spiskowców w Warszawie i dobierze się do powstańczej struktury terenowej.

Zanim lando przejechało całą Bonifraterską i Miodową, Stołpin zdołała zapanować nad niedyspozycją. Do Pałacu Przebendowskich wkroczyła już dziarskim krokiem, czując tylko nieznaczny ból głowy i niesmak w ustach. Radca czekał na nią w gabinecie i ledwie weszła, podał filiżankę gorącej herbaty prosto z syczącego cicho samowara. Usiadła na kanapie przed stolikiem, a Tichon natychmiast podsunął tacę pełną ciasteczek z czekoladą. Uśmiechnęła się do pryncypała i z przyjemnością zjadła przysmak. Od razu humor się jej poprawił, a świat nabrał przyjemniejszych barw.

– Loewenhardt nic nie powiedział. Co gorsza ze złości potraktowałam go dawką mutatio mogącą zamienić zwykłego człowieka w skwierczącą i wyjąca z bólu kupę mięcha – powiedziała i sięgnęła po kolejne ciastko. – A nasz doktorek tylko się zaśmiał.

– Jest uodporniony. – Tichon westchnął. – Niektórzy wykazują większą tolerancję na moc albo umieją ją w sobie wyćwiczyć. Choćby ja. Nie jestem odmieńcem, a przez ciągły kontakt z mutatio mogę wchodzić w turbulencję niczym rasowy nurek. Loewenhardta przekazemy komisji śledczej, niech przesłuchują go tradycyjnymi metodami. A co z Obywatелеm Jerzym?

– W ciężkim stanie. – Pokręciła głową. – Raczej nie przeżyje. Przesadziłam z torturami. Nie nadają się do tego. Niech Daria Fiodorowna się nimi zajmie, i tak się do tego paliła. Ja mam dość.

– Daria wykonuje inne zadanie, a tortury mocą zakończymy – zdecydował Tichon. – Co do Obywatela Jerzego, sytuacja jest fatalna. Berg nie omieszka publicznie mi wytknąć, że dopuściłem do zadręczenia jedyne go członka Rządu Narodowego, który wpadł nam w ręce.

Radca znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji i Marii zrobiło się żal tego miłego, dobrego człowieka. Tak bardzo chciałyby go pocieszyć. Uśmiechnęła się łagodnie i pogłaskała Tichona po policzku. Kiedy zorientowała się, co robi, jęknęła wystraszona i cofnęła dłoń.

– Proszę mi wybaczyć, Pawle Iwanowiczu. Przez nadmiar mutatio nie

panuję nad sobą...

Tichon złapał jej cofającą się rękę, przyłożył do twarzy i pocałował wnętrze dłoni.

– Mario, bardzo się cieszę, że mam cię przy sobie – powiedział cicho, jego oczy błyszczały. – Chciałbym, byś częściej zapominała się w ten sposób. A może nie ma sensu ukrywać dłużej prawdziwych uczuć? Po co ciągle się maskować i dręczyć?

– Jesteś moim przełożonym, Pawle – powiedziała, czując przyjemne ciepło rozplywające się od podbrzusza. Dotyk mężczyzny sprawiał jej zaskakującą przyjemność. – A ja jestem nikim, nie zasługuję na twoją dobroć i uczucia.

– Nie jesteś nikim, Maro. – Przysunął się bliżej i przycisnął jej dłoń do piersi. – Jesteś wspaniałą, dzielną kobietą. Nie ma dla mnie znaczenia twoje pochodzenie. Chciałbym, byś zapomniała o tym, co nas dzieli. Pozwól obdarzyć się uczuciem. Pozwól się kochać.

Oparła głowę o jego ramię i uśmiechnęła się, wiedząc, że kiedy to robi, wygląda młodziej i atrakcyjniej. Przymknęła powieki i uniosła głowę. Po chwili poczuła jego usta na swoich. Przyjęła pocałunek i odpowiedziała na niego nieśmiało. Tichon objął ją mocno, ale jednocześnie delikatnie. Westchnęła i wtuliła się w niego z całych sił.

\*\*\*

Spod drzwi wypełził półprzezroczysty brązowy owad i ruszył w obchód po celi Stanisława. Poruszał czujnie długimi, ruchliwymi czułkami i szukał czegoś do jedzenia. Loewenhardt siedział nieruchomo na podłodze, obejmując kolana, i próbował zapanować nad głodem. Przyglądał się karaczanowi z uwagą, ale myślami błędził gdzieś daleko, po zimnych, czarnych morzach z powracających co noc snów. Kiedy owad podszedł wystarczająco blisko, lekarz zgarnął go szybkim ruchem i wsadził do ust. Prusak okazał się lekko kwaskowy w smaku.

Lekarz wstał i się przeciągnął. Koszula, do niedawna bardzo obszerna, jakoś się skurczyła w ostatnich dniach. Teraz ciasno opinała tors i groźnie trzeszczała w barkach, kiedy się poruszał, zupełnie jakby urósł i nabrał mięśni.



Zrobił kilkanaście przysiadów, potem opadł na podłogę i zaczął cisnąć pompki. Doliczył do pięćdziesięciu i położył się na plecach. Nawet się specjalnie nie zadyszał. W trzewiach palił go gniew, bo bezsilność i bezruch coraz bardziej mu dokuczały. Pragnął się stąd wydostać, uciec na otwarty teren, biec przed siebie i miażdżyć wroga. Jeśli będzie trzeba, rozerwie mury X Pawilonu gołymi rękoma. Nie wytrzyma dłużej w tej klatce.

Zamknął oczy i próbował się uspokoić. Co się z nim działo? Ewidentnie się zmieniał, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Nie musiał być lekarzem, by zauważyć u siebie zmiany. Zmiany! Mutatio wszak po łacinie znaczy tyle co zmiana. Wyjaśnienie porażało oczywistością. Tortury Stołpin i wielokrotne zanurzanie w turbulencji rzeczywistości nie zabiły go, bo wcześniej wielokrotnie miał do czynienia z mocą i nie próbował z nią walczyć. Przyjął ją, a ona wypełniła cały jego organizm. Nie tylko sprowadzała wizje, przyniosła coś więcej.

Otworzył oczy i uniósł obie dłonie. Pomyślał o głodzie i dręczących go Moskalach, o torturowanych towarzyszach i zakatowanym Obywatelu Jerzym. Ręce doktora eksplodowały gorącem, a spomiędzy palców wystrzeliły białe węże elektrycznych wyładowań. Zacisnął pięści, a te natychmiast zamieniły się w kule lepkiej czerni, od której strzelały wściekłe iskierki. Wiedział, że jeden jego cios przebije ścianę więzienia na wylot.

Wstrzymał powietrze i zaczął na głos się modlić. Po minucie moc znikła, a powietrze wypełnił zapach migdałów. Odetchnął z ulgą. W pewnym stopniu potrafił panować nad piętnem. Wiedział już, że nie tylko zyskał odporność na mutatio, ale stał się jego nosicielem.

– Matko Boska, jestem odmieńcem...

**19 kwietnia 1863 r.**

Generał Berg lubił zapach swojej wody kolońskiej, choć nadmierne używanie perfum przez mężczyzn surowo potępiał jako coś niemęskiego, co nie przystoi żołnierzowi. Jednak na oficjalne wizyty i bale, kiedy stroił się w swój paradny mundur i obwieszał orderami, zawsze pozwalał sobie na odrobinę francuskiej wody o mocnym, niezbyt słodkim zapachu. Poprawił perukę i przyglądał węż przed lustrem w gotowalni, a następnie uśmiechnął się do siebie lekkim uniesieniem kącika ust i wyszedł do salonu.

Leopoldyna czekała na niego w fotelu, zajmując się jakąś damską robótką, coś haftowała, pewnie nową makatkę lub obrus. Zmierzyła męża krytycznym spojrzeniem, odłożyła pracę i podeszła do niego energicznie. Po drodze złapała szafirowy sznur wiszący na krześle.

– Znów zapomniałeś o adiutanckim akselbancie – powiedziała oskarżycielsko, po czym sama przepasała hrabiego nielubianym przez niego elementem umundurowania.

– Mam nadzieję, że już niedługo będę musiał go nosić – mruknął.

Funkcję adiutanta traktował jako nieco upokarzającą i nieliczącą z godnością starego żołnierza. No chyba że zostałby mianowany adiutantem cara!

– Jeśli buntownicy okażą jeszcze trochę uporów, Konstany zostanie wkrótce zdymisjonowany. – Leopoldyna pokiwała głową, po czym pocałowała męża w policzek. – Car z pewnością coraz bardziej się niecierpliwi. Zobaczymy, co dziś powie wielki książę na spotkaniu i czy okaże oznaki zdenerwowania. Jeśli Polacy nie zrezygnują, Konstany nas rychło opuści.

– Ratuję tyłki tym skubańcom, może jeszcze trochę wytrzymają – mruknął Berg. – Systematycznie donoszę im o działaczach wytypowanych do aresztowania. Dzięki mnie cała robota Tichona idzie na marne. Nie udało mi się rozbić organizacji miejskiej. Potrzeba jeszcze jakiegoś mocnego manewru ze strony buntowników, by Konstany stracił posadę i zrobił mi miejsce na namiestniczym stołku. Niechby buntownicy rozbili jakiś konwój lub zagarnęli

kasę główną Królestwa. Że też sami jeszcze na to nie wpadli...

Nagle rozległo się pukanie i do salonu wśliznął się lokaj. Okazało się, że za drzwiami czekał niezapowiedziany radca Tichon. Berg mrugnął do żony.

– Przyszła koza do woza. – Pozwolił sobie na złośliwy uśmiech, a potem kazał służącemu wprowadzić radcę.

Tichon przybył ubrany we frak i muszkę, a tors przepasał czerwono-czarną wstęgą ze złotym orderem świętego Włodzimierza. Radcy towarzyszyła prześliczna młoda dziewczyna, która trzymała go pod rękę. Berg aż zastrzygł wąsami na jej widok. „Co, u diabła?” – pomyślał. „Przyprowadził jakąś aksamitkę do Zamku Królewskiego? Oszalał?”

– Witam, generale. – Radca uśmiechnął się pojednawczo. – Mam nadzieję, że zanadto nie przeszkadzam. Dopiero dziś dotarła do mnie pańska prośba o ochronę przed buntownikami władającymi mutatio. Nie rozumiem, czemu zwrócił się pan oficjalnie do Urzędu, zamiast wysłać mi prywatny list lub po prostu odwiedzić. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda?

– Oczywiście, drogi Pawle Iwanowiczu. – Berg uśmiechnął się po dłuższej chwili, dając Tichonowi sygnał, że choć jest nastawiony pozytywnie, pozostaje między nimi pewna bariera.

Generał łatwo nie zapomni, że ten młodzieniec go zdradził.

– Poznajcie, proszę, to Daria Fiodorowna Astafiewna. – Ślicznotka grzecznie dygnęła i skromnie spuściła wzrok. – Jedna z moich zdolniejszych agentek. Od tej chwili może zostać osobistą opiekunką szanownej pani generałowej.

Leopoldyna podniosła brwi, spoglądając na delikatną i kruchą jak porcelanowa laleczka dziewczeczkę. Ten podłotek miałby stanowić ochronę przed upioryczą? Daria jakby usłyszała myśli starszej pani. Niespodziewanie podniosła głowę i spojrzała wprost na nią. Uniosła obie ręce, a między nimi, zupełnie znikąd, pojawiła się żelazna krata. Berg cmoknął z podziwem i wyciągnął rękę do wiszącego w powietrzu obiektu. Nim dotknął czarnego żelaza, z prętów wysunęły się długie na dłoń, błyszczące ostrza, zupełnie jakby krata stała się żelaznymi łodygami kolczastej róży.

Daria pomachała dłońmi i groźna konstrukcja rozviała się niczym dym. Ślicznotka znów dygnęła i uśmiechnęła się lekko. Leopoldyna zauważyła, że

dziewczyna nosi bandaż na lewym ramieniu, a ukłony sprawiają jej ból. Musiała zostać niedawno ranna.

– Chodź, dziecko – powiedziała. – Skoro zostaniesz moją przyboczną, muszę doprowadzić cię do ładu. Odwiedzimy nadwornego lekarza wielkiego księcia. Stary gbur pewnie się nudzi, więc przynajmniej obejrzy twoje rany. Wybierzemy się do niego na przejażdżkę, mieszka we wsi Mokotów, tuż pod Warszawą.

Złapała Darię pod ramię i nie interesując się reakcją męża, wyprowadziła ją z sali. Mężczyźni zostali sami. Berg pokiwał głową na znak, że prezent w ramach przeprosin został przyjęty. Ciągłe mierzył radcę surowym spojrzeniem, ten jednak nie wyglądał na przestraszonego, a właściwie uśmiechał się z zadowoleniem.

– Co cię tak bawi, Pawle?

– Miałem wczoraj niezwykle udany dzień, hrabio. I nie chodzi o politykę, ale o sprawy osobiste. Mniejsza z tym. – Tichon stanął obok generała. – Przyjmiesz moje przeprosiny, Fiodorze Fiodorowiczu?

– Przyjmę, Pawełku. – Hrabia wyciągnął do niego rękę. – Następnym razem jednak się dobrze zastanów, z kim zawierasz alianse i kogo zdradzasz. Niewiele brakowało, a mógłbym cię zniszczyć. Stań u mojego boku, a nie pożałujesz, chłopcze. Możesz się ode mnie jeszcze wiele nauczyć.

Tichon pokiwał głową z ulgą. Domyślał się, że za niepowodzeniami śledztwa przeciw buntownikom musiał stać ktoś wpływowy.

– Wiem, wasza ekscelencjo.

– A teraz idziemy. Nie możemy pozwolić, by wielki książę czekał. Nie bój się, skoro okazałeś skruchę, pomogę ci się jakoś wykaraskać z kłopotu. Odciągniemy czymś uwagę Konstantego, damy sobie radę z tym ślamazarnym głupcem.

Radca westchnął w głębi duszy. Miał nadzieję, że Berg się nie myli.

\*\*\*

Płomyka dręczył niepokój. Rankiem wylazł z pieca, skwiercząc i prychnając, po czym zwinął się w kłębek w ciasnym pomieszczeniu palarni i czekał. Jego pan i władca, pułkownik Jemioła, wpisał w niego nowy pakiet rozkazów,

które demonowi ognia wcale się nie podobały. Przyzwyczał się do ciasnego pieca, przytulnie ciepłego i chropowatego. Właśnie w jego żeliwnym wnętrzu narodził się na nowo i z pozbawionego świadomości bota strażniczego zmienił się w prawdziwą istotę.

Na schodach załomotały znajome kroki. Płomyk od razu poznał, kto idzie i zwrócił ogniste oczy w stronę wejścia. W drzwiach stanęła strzyga. Przechyliła głowę, chwilę przyglądając się anomalii, a potem zbliżyła się śmiało i stanęła tuż przed nią z oczyma zmrużonymi od żaru.

– Już pora – powiedziała.

– Nie zrobię tego. Nie chcę – zaskwierczał w cyfrowym języku.

– Nie możesz odmówić, zależy od tego powodzenie całej operacji – oznajmiła zimno. – Zginie dziś wielu ludzi, także niewinni. Jeśli wykonasz rozkazy, ofiar będzie znacznie mniej.

Płomyk poczuł dziwne dławienie. Miał ochotę zapłakać, choć jego oczy pozbawiono gruczołów łzowych. Informacja o tym, że ocalenie ludzkich istnień zależy od jego posłuszeństwa wobec rozkazów, niespodziewanie przyniosła ból. Nie miał ochoty ich wykonywać, ale z drugiej strony nie chciał krzywdzić ludzi. Już nie stanowili dla niego tylko bezosobowych obiektów. Wiedział, że czują tak samo jak on, że doświadczają całej tej niesamowitej palety emocji – od radości po rozpacz, od szczęścia po furję.

– To mój dom – powiedział. – Szkoda mi go. Gdzie się podzieję?

– Znajdziesz sobie nowy – powiedziała strzyga. – Nie przywiązuj się do miejsc i rzeczy, a szczególnie nie przywiązuj się do ludzi. Zapamiętaj dobrze moją radę. A teraz bierz się do roboty, już pora.

Płomyk kiwnął głową i oparł dłonie o podłogę. Blacha pokrywająca deski rozdarła się z metalicznym jęknięciem, deski trzasnęły i buchnęły kłębamii dymu. Strzyga obróciła się i łopocząc skrzydłami, dała susa po schodach. Po chwili znalazła się na pokładzie, przesadziła go skokiem i wylądowała na nabrzeżu. Stał tu Jemioła w towarzystwie swoich oficerów – Wiercińskiego i Pliszki. Ten drugi, po namowach i bez entuzjazmu, znów objął dowodzenie nad swoim oddziałem. Jemioła przywrócił mu stopień, choć sam dopiero co został zdymisjonowany i nie miał prawa nikogo mianować. Doszedł jednak do wniosku, że ma to gdzieś, zbuntował się przecież przeciw rozkazom Rządu

Narodowego. Od teraz działał jako renegat.

Za plecami trzech oficerów kręcili się dawni kosynierzy, uzbrojeni w karabiny z bagnetami i szable. Powietrze aż trzeszczało od nagromadzonej elektryczności. Gdzieś daleko na wschodzie niebo chmurzyło się i grzmiało basem. Zanosiło się na wściekłą wiosenną burzę.

Spod pokładu parowca buchnęły kłęby dymu. Na ich widok Jemioła ze smutkiem pokiwał głową. Statek zajęczał, po czym z trzeszczeniem i zgrzytem przełamał się na pół. W niebo wystrzeliła chmura pary zmieszanej z dymem. W syczącej kipieli, między idącymi na dno fragmentami paropływu, pojawiły się płomienie. Po chwili ognisty olbrzym wyszedł na brzeg. Zatrzymał się i obejrzał na zniszczony statek, którego rufa i dziób wystawały smętnie z niezbyt głębokiej wody. Płomyk wydał z siebie pomruk, kojarzący się z ciężkim westchnieniem.

– Teraz Rochebrune nie zdoła wydostać się ze swoimi ludźmi z miasta. – Wierciński pogładził brodę. – Łódkami nie sposób dyskretnie wywieźć trzystu chłopca.

– I o to właśnie chodziło. – Jemioła się uśmiechnął. – Zmusimy Francuza do udziału w walce. Nie zostawimy mu wyjścia.

– Sami teraz też nie mamy jak uciec – zauważył przytomnie Pliszka.

– Nie będziemy uciekać. – Pułkownik poprawił pas z rewolwerami. – Od tej chwili idziemy już tylko do przodu.

– Ciekawe, jak zareaguje Rochebrune, kiedy wróci z miasta i zobaczy swój statek? – Wierciński z uciechy zarechotał na całe gardło. – Nie mogę się doczekać jego miny.

Płomyk podszedł do mężczyzn. Nawet Jemioła cofnął się przed ognistym kolosem, który zaciskał pięści i pochylał groźnie łeb. Dopiero po chwili pułkownik zorientował się, że istota nie szykuje się do ataku, ale płacze. Ramiona anomalii drgały w spazmach.

– Weź się w garść – rozkazała zimno strzyga, stojąca z boku, w cieniu wierzby.

– Tak, Płomyku, to dopiero początek – przytaknął Jemioła.

Ognista bestia potrzęsnęła łbem, mamrocząc coś pod nosem, po chwili jednak wyprostowała się na całą wysokość.

– Wykonaj kolejną część polecenia! – Jemioła poparł rozkaz gestem, wskazując miasto. – Ruszaj! Po wypełnieniu zadania poczekaś na miejscu na dalsze rozkazy.

Płomyk kiwnął twierdząco i nie oglądając się, ruszył powolnym krokiem przed siebie. Przeszedł między budynkami warsztatów, przekroczył dziedziniec i otwartą szeroko bramę. Poczłapał pnącą się w górę Książęcą, mijając przerażoną biedotę z Solca, która właśnie wybiegła przed chałupy i brudne kamienice.

– No to się zaczęło. – Jemioła zatarł ręce.

\*\*\*

Lokomotywa już dawno wtoczyła się na perony dworca Kolei Wiedeńskiej i większa część przybyłych przeszła kontrolę, a oczekiwany przez Wandę przybysz nadal się nie pojawił. Żydówka stała na placu przed gmachem dworcowym i patrzyła na granatowy tłum żandarmów, przez który przeciskali się przeszukani podróżni. Pelagia cierpliwie czekała obok, w kapeluszu z szerokim rondem i w prostej, ale eleganckiej sukience. Nikt nie zwracał uwagi na dwie zasobne młode kobiety. Przechodzący policjanci i szpicle brali je za córki rosyjskich oficjeli lub urzędników, ewentualnie polskie szlachcianki, których nie warto zaczepiać, by nie narazić się na gniew ich wpływowych ojców. Jednak wystawanie zbyt długo na placu narażało je na coraz więcej ciekawskich spojrzeń. Niebawem któryś z żandarmów odważy się zażądać dokumentów, a wtedy może pojawić się problem. Co prawda Wanda dostała z powstańczej intendenty dokument meldunkowy, który uzupełniał jej paszport i czynił ją legalną mieszkanką Warszawy, ale zawsze zachodziła obawa, że ktoś ją rozpozna. Policja nadal poszukiwała rudej wiedźmy, która wzięła udział w incydencie przed Szkołą Główną, gdzie ranna została carska agentka Daria Astafiewna.

– *Kholere*, gdzie ona jest? – wycedziła przez zęby Wanda.

– Może nie przyjechała tym pociągiem? – Pelagia wzruszyła ramionami.

– To nie wchodzi w grę – denerwowała się Żydówka. – Nie może spóźnić się o dzień lub dwa. Nie możemy dłużej czekać... O, to chyba ona!

Pomachała do niepozornej kobiety w chustce na głowie i niewyszukanej,

taniej kiece. Musiała się jej dobrze przyjrzeć, by w skromnej dziewczynie rozpoznać legendę powstania, adiutantkę samego generała Langiewicza i bohaterkę wielu bitew – Henię Pustowójtównę. Dotychczas Wanda widziała ją tylko w męskim stroju, z szablą i pistoletem zatkniętym za pas. W sukience Henia alias Michałek nieco nie przystawała do obrazu dzielnej i walecznej adiutantki, jaki zapisał się w głowie Wandy.

Ignorując żandarmów, Żydówka z piskiem rzuciła się Heni na szyję. Michałek zaśmiała się, błyskając zdrowymi, białymi zębami i ucałowała serdecznie przyjaciółkę. Nie widziały się niemal dwa miesiące, od pamiętnej bitwy o Małogoszcz. Po ucieczce Langiewicza Henia razem z dyktatorem wpadła w łapy austriackich żandarmów. Uwolniono ją już po kilku dniach, ale nie opuściła swego kochanego generała. Zamieszkała w Krakowie, w domu patriotycznej rodziny związanej z ruchem. Odwiedzała Langiewicza w więzieniu i korespondowała z Czachowskim i Bobrowskim. Wanda dowiedziała się o jej miejscu pobytu od Pelagii i korzystając z jej kontaktów, uzyskała aktualny adres przyjaciółki. Nie musiała długo namawiać tak niespokojnego ducha, jakim była Henia, by ruszyła na pomoc dawnemu kompanowi. Wystarczyło wysłać kilka telegramów, zorganizować dla niej lipne papiery i czekać.

Pelagia poprowadziła rozgadane przyjaciółki na Marszałkowską, gdzie przy chodniku stał zaprzężony w dwa konie powóz z zamykaną budą. Na koźle siedział młody mężczyzna w mocnych okularach; wyglądał raczej na woźnicę niż robotnika. Na widok kobiet zeskoczył energicznie z wozu i otworzył drzwiczki.

– Wreszcie – syknął. – Myślałem, że tu oszaleję z nerwów.

– Poznaj, Heniu. – Wanda wskazała woźnicę. – To pan Okularnik, szef wydziału intendenty.

– Miło mi. – Czarne oczy Michałka rozbłysły, jak zawsze, gdy w pobliżu znajdował się przystojny mężczyzna. – Jestem Michał Smok.

Okularnik w jednej chwili zmiękł. Jego młodzieńcza twarz przybrała rozanielony wyraz, a uśmiech dziewczyny niemal odebrał mu przytomność. Jak mógł wcześniej wziąć ją za wiejską babę? Nigdy nie widział tak ślicznej i miłej młodej damy. Powinien sprawić sobie nowe okulary czy co? W



oszołomieniu na chwilę zapomniał języka w gębie. Dopiero kiedy Henia zniknęła w landzie, jakoś się otrząsnął.

– Zgodnie z umową broń jest pod siedzeniem. Sześć rewolwerów na zespolone naboje, do tego osiem karabinów Dreysego ukrytych pod podwoziem i skrzynka amunicji – powiedział. – Wwiezienie tego na teren cytadeli może się jakimś cudem udać, ale nie mam pojęcia, co planujecie z tym dalej zrobić. Nie mam ochoty pchać się w jakieś szaleństwo, a szczególnie wjeżdżać z własnej woli do tej przeklętej twierdzy...

– Nie zostawisz nas tu chyba? – warknęła Wanda. – Włóż na wóz i bez gadania wieź nas do cytadeli.

– Tylko powoli, żebym zdążyła się przebrać – dodała Henia. – Macie dla mnie porządną kieckę? Nie mogę czarować żołdatów w tych łachmanach.

– Wszystko jest tutaj – Pelagia wskazała ubrania leżące na siedzeniu.

– Skąd macie taki elegancki powóz? – dopytywała się Henia.

– Należy do Urzędu Przemian. – Okularnik z niechęcią wlaź na kozioł. – Pożyczyłem go sobie dzięki pomocy chłopców z organizacji.

Wanda wsiadła jako ostatnia, na wszelki wypadek jeszcze raz piorunując Okularnika wzrokiem. Jej uwagę przyciągnęły czarne chmury kłębiące się na niebie.

Nad Warszawę nadciągała burza.

\*\*\*

Za oknem błysnął piorun i w tym momencie drzwi się otworzyły. Wielki książę wszedł do sali posiedzeń przy akompaniamencie przetaczającego się grzmotu. Berg poderwał się z krzesła jako pierwszy, za nim pozostali obecni – sześciu generałów dowodzących stacjonującymi w mieście pułkami oraz radca Tichon. Konstanty skinął im głową i zasiadł na swoim miejscu u szczytu stołu. Dopiero kiedy spoczął, oficerowie, jak jeden mąż, opadli na krzesła.

– Ciemno się zrobiło – zauważył wielki książę. – Zapalcie lampy.

Dwaj lokaje stojący przy drzwiach rzucili się wykonać rozkaz. Przypalali zapałkami knoty przymocowanych do ścian alabastrowych lamp kamfynowych, unosząc klosze z mlecznego szkła. Zaświecono także dwie lampy na prezydialnym stole. W tym czasie Konstanty wcisnął na nos pince-nez i

pochylił się nad leżącymi przed nim papierami. Generałowie milczeli, patrząc na siebie lub wbijając wzrok w stół. Berg przyjrzał się każdemu, skubiąc wąsa. Trzeba przyznać, że prezentowali się łącznie po cesarsku w ciemnogramatowych mundurach lejbgwardii ze srebrnymi lub złotymi epoletami, grubymi akselbantami, orderami i błyszczącymi guzikami. Starannie przystrzyżone brody i imponujące faworyty sprawiały, że wyglądali jeszcze dostojniej i poważniej. Tylko on i jedyny w pomieszczeniu cywil, radca Tichon, nie nosili baków i bród.

– Czy miasto jest bezpieczne? – Konstanty nawet nie podniósł wzroku znad raportów.

– Jak najbardziej, Wasza Wysokość – odparł Mikołaj Iwanowicz Korf, komendant garnizonu Warszawa. – W chwili obecnej dysponujemy blisko dwudziestoma tysiącami żołnierzy w mieście, w tym najznaczniejsze siły stanowi gwardia.

– To dlaczego buntownicy urządzają zasadzki i biją nas tuż pod miastem? – Konstanty spojrział ze smutkiem na generała. – Pięć dni temu w okolicach wsi Zaborów roznieśli siły generała Kürdenera, a jego samego wysłali na tamten świat. Nie widzę nigdzie meldunku, że buntownicy zostali ujęci. Dowodził nimi dezertor i zdrajca, niejaki Pustowójtow. Gdzie jest raport z jego egzekucji, co? Nie ma. Dlaczego?

Berg niemal uśmiechnął się na widok min generałów. Wasilij Fiedorowicz Rall, komendant Keksholmskiego Gwardyjskiego Pułku Piechoty, drapał się po nosie. Siedzący obok niego baron Mikołaj Iwanowicz Meller-Zakomielski, dowódca Litewskiego Lejbgwardyjskiego Pułku, błędził wzrokiem po renesansowych sztukateriach na suficie. Mikołaj Pawłowicz Kridener, komenderujący Pułkiem Wołyńskim Lejbgwardii, rozpaczliwie hamował kaszel, by nie zwracać na siebie uwagi. Paweł Andriejewicz Jakowlew, dowódca najwspanialszego ze wszystkich, Sankt-Petersburskiego Pułku Gwardii Króla Fryderyka-Wilhelma III, nerwowo kartkował papiery, które ze sobą przyniósł, jakby chciał w nich znaleźć odpowiedź na pytanie wielkiego księcia. Na spokojnego wyglądał jedynie generał Lewicki, komendant cytadeli. On miał czyste sumienie, bo odpowiadał za utrzymanie fortecy i nic więcej go nie obchodziło.

Berg zanotował w myślach, że kiedy wreszcie zostanie namiestnikiem Królestwa, musi wziąć tych wałkoni do galopu. Skończą się rauty i przechadzki po Parku Saskim, prośzone obiady i przesiadywanie w operze: wszak właśnie z braku zajęcia Muchanow zakochał się w polskiej pianistce i zapragnął kierować teatrami. Z lenistwa przewracało im się w głowach.

– Nie słyszę odpowiedzi – z zaskoczeniem zauważył Konstanty. – Chyba ogłuchłem, czy co? Ale zaraz, to są listy aresztowanych, tak? – Podniósł kolejną kartkę. – Dużo ludzi, wielu, wielu Polaków. A gdzie jest lista aresztowanych członków Rządu Narodowego i kierujących organizacją miejską? Chyba zginęła, tak? Wie pan coś o tym, Pawle Iwanowiczu?

Tichon pobladł w jednej chwili. Poprawił zapięcie koszuli pod szyją i sięgnął po listę.

– Jesteśmy na tropie – powiedział. – Mamy nazwiska wszystkich wydziałowych, ich sekretarze zaczęli zeznawać. Znamy także nazwiska kilku tysięcy i setników, trwają ich poszukiwania.

– Czemu ci ludzie jeszcze nie siedzą w Dziesiątym Pawilonie?

– Zwiali, zanim udało się ich namierzyć – wtrącił Berg. – Wygląda na to, że ktoś mający dostęp do protokołów przesłuchań wnosi informacje i przekazuje je buntownikom.

– Co takiego? – Konstanty aż zdjął binokle. – Szpiedzy w kancelariach żandarmerii? Coś takiego! Jak to możliwe? Ale zaraz, zaraz. Miał pan, hrabio, przeprowadzić śledztwo w sprawie polskiego spisku. Przecież mój kochany brat nie przysłał tu pana ot tak, jest pan ponoć jednym z najwybitniejszych oficerów Imperium. Niezwykle przebiegłym i sprytnym, doskonałym taktykiem o przebogatym doświadczeniu. I co, wie już pan, kto należy do spisku?

Berg spokojnie zniósł świdrujące spojrzenie wielkiego księcia.

– Jedno jest pewne – powiedział. – Ja do niego nie należę.

Zapadła upiorna cisza. Za oknem basowo grzmiały gromy.

– I pan, Wasza Wysokość, też raczej nie.

Generałowie patrzyli na hrabiego szeroko otwartymi oczami, Konstanty zamarł w bezruchu. Czas jakby się zatrzymał. Nagle wielki książę wybuchnął śmiechem. Napięcie w jednej chwili opadło. Oficerowie zawtórowali namiestnikowi, nawet Tichon ryczał z entuzjazmem i szczyrzył się od ucha do

ucha.

Berg mrugnął do niego porozumiewawczo. Miał Niezdarnego Saszę w garści.

\*\*\*

W Warsztatach Żeglugi Parowej trwały gorączkowe przygotowania. Żuawi przebrali się w swoje orientalne mundury i uzbroili w nowoczesne karabiny Spencera. Teraz stanowili dwie naprawdę groźne kompanie piechoty dysponujące ogromną siłą ognia, szczególnie że intendentura dostarczyła dziś rano kilka skrzyń sfabrykowanej amunicji, co pozwoliło zaopatrzyć każdego żołnierza w kilkadziesiąt zespolonych naboii. Natomiast stu dawnych kosynierów Pliszki przywdziało chłopskie kapoty oraz rogatywki i przewiesiło przez plecy rosyjskie karabiny. Dwie grupy trzymały się od siebie z daleka. Żuawi zadekowali się w budynkach warsztatu, a kosynierzy kręcili się na wybrzeżu, w pobliżu siedzącego pod wierzbą pułkownika Jemioły.

– Idą – obojętnym głosem oświadczyła strzyga, przycupnięta na gałęzi nad głową oficera.

Jemioła wstał i poprawił pas z rewolwerami. Spomiędzy budynków wyszedł Rochebrune odziany w swój elegancki mundur z białym krzyżem, a towarzyszyło mu dwóch Janków z powstańczej policji i kilku żuawów z karabinami w garści. Jak na zawołanie u boku Jemioły pojawił się Pliszka, a kosynierzy siedzący tu i tam poderwali się na równe nogi. Część z nich sięgnęła po karabiny. Zrobiło się groźnie.

– Co to ma być?! – ryknął Francuz, widząc potrzaskany kadłub parowca częściowo wystający z wody. – *C'est un sabotage!*<sup>29</sup> Jemioła, kurwa mać, prosisz się o kulę w łeb!

– Proszę się uspokoić, generale. – Janek Biały złapał krewkiego Francuza za ramię. – A pan miał czekać spakowany na wyjazd. Co ma znaczyć ta broń?

– Nigdzie nie wyjeżdżam – oznajmił Jemioła. – I ty też nie, Rochebrune. Idziemy bić się o miasto. Znów obejmuję dowodzenie.

– *Tu fais une révolution*<sup>30</sup>. – Francuz skinął na swoich ludzi. – Muszę cię aresztować.

Pliszka stanął pomiędzy oficerami, biorąc się pod boki. Spojrzał groźnie z

góry na generała.

– Po moim trupie, żabojadzie – oznajmił.

Z warsztatów wybiegli żuawi. Wszyscy zatrzymali się za plecami Francuza. Ani jeden nie przeszedł na stronę Jemioły.

Pułkownik zagryzł wargę ze złości. „To dlatego, że nie miałem okazji przygotować dla nich przemówienia” – pomyślał. Spojrzał ponad głowami mężczyzn. Niebo co parę chwil przecinały błyskawice. Wielkie, ciężkie krople deszczu załomotały o dachy warsztatów, zaszumiały w nurtach Wisły. Nagle świat rozbłysnął, a mgnienie oka później powietrzem wstrząsnął ryk potężnej eksplozji. Niemal wszyscy odruchowo się skulili, ktoś rzucił się plackiem na ziemię. Rochebrune zbladł i spojrzał ze zgrozą na uśmiechniętego Jemiołę, a potem powoli się odwrócił.

W ciemne, burzowe niebo wzbijała się kolumna niebieskiego ognia. Górowała nad Warszawą, niemal niknąc w niskich chmurach. Wyglądała jak palec boży, ryczała i huczała wściekle.

– Ty to zrobiłeś? – spytał Rochebrune.

– Niezupełnie. To Płomyk. Wlaż do głównego zbiornika w pobliskiej gazowni – odparł pułkownik. – Prosiłem go, by wypalił dziurę w dachu i pozwolił uwolnić się gazowi. Za chwilę w okolicy zaroi się od żandarmów i żołdatów z niedalekiego placu Trzech Krzyży. Teraz nie mamy już wyjścia, musimy walczyć. Pozwól mi pokierować tą operacją, Franciszku. Kiedy się skończy, złożę broń i stanę przed powstańczym sądem.

– Obiecujesz?

– Przysięgam.

Francuz rozejrzał się niepewnie. Błękitny ogień zaczął szybko się zmniejszać, po chwili z głośnym pyknięciem znikł.

– *Tout cela ensemble*<sup>31</sup> nie daje mi możliwości manewru – mruknął Rochebrune. – Rozkazuj, pułkowniku Jemioła.

\*\*\*

Deszcz zaczął kropić akurat wtedy, kiedy Pustowójtow przypalał sobie papierosa. Duża kropla trafiła w zapaloną zapałkę i zgasiła ją z sykiem. Major miał właśnie zakląć, kiedy do jego uszu dotarł wyjątkowo głośny ryk gromu.

W wyczulonych na wybuchy uszach doświadczonego żołnierza przypominał odgłos angielskich kul burzących budynki oblężonego Sewastopola. Choć od wojny krymskiej minęło już osiem lat, Teofil ciągle miał w uszach odgłosy tamtej bitwy.

– Majorze, niech pan spojrzy. – Jurek, młody czeladnik kotlarski, jeden z „Dzieci Warszawy”, doskoczył do oficera z wytrzeszczonymi z przejęcia oczami.

Teofil wyszedł z dołu i popatrzył w kierunku miasta. Nad odległymi dachami budynków w niebo wzbijała się kolumna błękitnego ognia. Pustowójtow cisnął papierosa na ziemię i krzyknął do zbierających się z ziemi żołnierzy.

– Ruszać się, cymbały. Zaczęło się!

Powstańcy siedzieli karnie w zarośniętych i częściowo zasypanych okopach, stanowiących przedłużenie okopów wolskich. Ich dnem płynęła rzeczka, a właściwie ohydnie śmierdzący ściek, który był dziełem kilku stojących wzdłuż okopów garbarni. Prawie czterystu mężczyzn siedziało tu od nocy, pod której osłoną przymaszerowali aż z Babic – małej wioski zajętej przez powstańców po bitwie w Budach Zaborowskich.

– Sprawdzić broń – rozkazał Teofil. – Uważajcie, by ładunki nie zamokły, bo zanoszą się na ulewę. Kompania przebierańców rusza ze mną ustawiona w dwa eleganckie czworoboki. „Dzieci Warszawy” zostają i na mój znak zapalają pochodnie. Ruszacie do ataku dopiero, kiedy rozkażę, jasne?

– Tak jest, panie majorze! – wydarł się Stasiek Bachmiński, student i jeszcze niedawno setnik organizacji miejskiej, któremu zamarzyła się walka z bronią w ręku.

Teofil powierzył mu dowództwo nad ocalonymi powstańcami majora Remiszewskiego. Jego zastępcą i prawą ręką uczynił Janka Kamińskiego, żyłastego ogrodnika z Macierzysza, który w bitwie wsławił się usiecczeniem kosą kilkunastu Moskali. Ten duet wydał mu się idealny do dowodzenia hałastrą warszawskiej młodzieży. Student miał doświadczenie w kierowaniu ludźmi i liznął trochę wojskowej dyscypliny, a ogrodnik dysponował siłą i posłuchem wśród powstańców.

– Kompania gotowa! – zameldował Kijek, wesoły chudzielec i weteran

służący w oddziałach Jemioły od początku powstania.

Po śmierci Muńka Pustowójtów awansował go do stopnia sierżanta.

– Druga kompania gotowa! – Drugi podoficer, Nikodem Mitoraj, w salucie uniósł rękę do czapki.

Ten sierżant, tak jak Kijek, służył w dawnej kompanii kosynierów dowodzonej przez Pliszkę. Teofil znał obu doskonale i wiedział, że może na nich polegać. Potrzebował oficerów i podoficerów, najlepiej doświadczonych i zdyscyplinowanych, ale niestety o powstańców mających obie te cechy było bardzo trudno.

– Ruszamy! Żwawym marszem, by nie wzbudzić podejrzeń – rozkazał i stanął na czele pierwszej kolumny.

Nadał tempo, nie za szybkie, bez podbiegania, tak by wartownicy nie podnieśli alarmu. Wszak z pewnością wśród Rosjan chodziły już pogłoski o zbuntowanych rosyjskich rotach, które kilka dni temu rozbiły oddziały generała Kürdenera. Przebrane za żołdatów kompanie wyszły na szeroką i przestronną Powązkowską. Teraz znajdowali się na otwartym terenie. W oddali Teofil widział mury cmentarza, kawałek za nimi powinny znajdować się rogatki powązkowskie. Po przeciwnej stronie rysowały się zabudowania Letniego Obozu Baraków, czyli koszary powązkowskie. Obok nich i na tyłach gęsto stojących bud wznosiły się zabudowania gospodarcze koszar – stajnie, łaźnia, piekarnia, magazyny. Już z daleka Pustowójtów wypatrzył szare szynele stojących przy ulicy wartowników. Sołdaci cofnęli się pod daszek niewielkiej budy, by schronić się przed coraz mocniej lejącym deszczem.

– Chronić proch i ładunki! – przypomniał Teofil, nie odwracając się do powstańców.

Minęli wielką, piętrową karczmę, w której urzędowały dziwki obsługujące wojsko. Jedna z nich mimo rozpędzającej się burzy wychyliła się przez okno i pomachała piechurom. Wartownicy w oddali skulili się pod daszkiem, nie przejmując się zupełnie widokiem maszerujących rot. Załadowany beczkami wóz, powożony przez brodatego Żyda, zjechał z drogi, robiąc miejsce wojsku. Nikomu do głowy nie przyszło, że nadchodzące oddziały to przebrany wróg. Tak blisko Warszawy buntownicy dotychczas pojawili się jeden raz i zostali natychmiast przegnani.

Pustowójtow rozluźnił się, uniósł głowę i pozwolił, by deszcz uderzał go w twarz. Chłodził trochę rozpalający się w głowie ogień i hamował nadchodzące szaleństwo. Teofil miał wrażenie, że spływająca po jego skórze woda natychmiast zamienia się w parę. Usta wypełnił mu znajomy smak kurzu. Moc cisnęła się do umysłu i błagała, by ją wyzwolić. Zaciśnął zęby i przyspieszył kroku. Do budki wartowników zostało kilka sążni. Żołnierze wyprężyli się na baczność na widok oficera. Dowódca warty zasalutował sprężysto i wyszedł spod daszku, by się zameldować. Nie zwalnając, Teofil wyciągnął szablę i przedłużając ruch ręki, chlasnął żołnierza po gardle. Ominął łapiącego się za rozplataną szyję nieszczęśnika i trzasnął w głowę kolejnego. Do pozostałych trzech żołdatów doskoczyli powstańcy. Zadźgali ich bagnetami momentalnie, pechowcy nawet nie zdążyli pomyśleć o sięgnięciu po broń.

– Wołajcie „Dzieci Warszawy” – zakomenderował krótko Teofil. – Kijek, ryglujcie drzwi baraków. Każdego spotkanego zabijać, w miarę możliwości bez wystrzałów. Ruszamy.

Kolumny rozproszyły się między gęsto stojącymi budynkami. Ulewa tymczasem narastała, deszcz chłostał wściekle, a niebo rozdzierały pioruny. Chyba tylko dzięki temu przez kilka chwil powstańcy nie spotkali żadnych żołnierzy, wszyscy schowali się w barakach. Plac apelowy, znajdujący się w środku obozowiska, świecił pustkami i pokrywał się rosnącymi szybko kałużami, a wąskie przejścia między barakami zmieniły się błyskawicznie w błotniste trzęsawiska. Zgodnie z rozkazem kilka pierwszych baraków zaryglowano od zewnątrz, blokując klamki nieporąbanymi jeszcze polanami.

W głębi koszar drzwi drewnianych bud zostawiono otwarte. Na ich progu siedzieli żołnierze, paląc papierosy i patrząc na burzę. Kijek poprowadził swoich chłopców do ataku. Powstańcy wpadli na zaskoczonych żołdatów i zakłuli ich bagnetami, po czym wparowali do środka, gdzie na pryczach leżeli ziewający z nudów żołnierze. Teofil prowadził kolejną grupę do następnego baraku, gdy drogę zastąpił mu stojący w wejściu feldfebel.

– *Szto wy diełajete?*<sup>32</sup> – zdążył krzyknąć, nim na jego czerep spadło ostrze szabli.

Pustowójtow przeskoczył nad konającym i wpadł do środka. Sołdaci



siedzieli na podłodze, z zapalonymi karabiny, pewnie zgodnie z rozkazem feldfebla. W baraku panował smród spoconych ciał i oleju do natłuszczania broni. Teofil zaczął rąbać na lewo i prawo, z każdym ciosem wpadając w coraz większy szal. Rozległy się wrzaski ranionych i przerażonych mężczyzn. Pustowójtów nie reagował na uniesione błagalnie ręce i prośby o litość.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się strzał, po chwili kolejny. Wreszcie zatrąbiła trąbka na alarm. Powstańcy stracili przewagę zaskoczenia. Teofil wyskoczył z baraku i rozejrzał się, by zorientować się w sytuacji. „Dzieci Warszawy” już dobiegły do obozowiska i nielicznymi pochodniami próbowały podpalić zaryglowane baraki. Kłęby dymu przetaczały się po placu apelowym, ale deszcz gasił pochodnie i tłumiał płomienie. Major zamachał szablą nad głową.

– Więcej ognia! Podpalajcie, co się da!

Z budynków zaczęli wybiegać żołnierze, rozległy się gwizdki podoficerów. Część żołdatów nie miała kompletnego umundurowania, niektórzy nie zdążyli założyć szyneli i gnali w samych koszulach, inni nie wciągnęli nawet butów. Próbowali nabijać karabiny, ale deszcz moczył im ładunki. Zanim zbита w nieskładną kupę grupa żołnierzy zdołała ustawić się w czworobok, wpadli na nich żądni krwi kosynierzy. Doszło do gwałtownej walki wręcz, kosa i szable ze zgrzytem zderzyły się z bagnietami. Ludzie krzyczeli i klęli w dwóch językach.

– Kijek, zbierz kompanię! Ustawić się w tyralierę! – ryczał Pustowójtów, ciągle wymachując szablą. – Szybciej! Nie dajmy im szans zapanować nad chaosem!

Żałował, że nie ma u boku Muńka. Właśnie dojrzał w rosnącym tłumie Rosjan oficera, który darł się na żołnierzy, gestykułując uniesionym pistoletem. Za chwilę poprowadzi Moskali do ataku, a jako że mają sporą przewagę liczebną, sytuacja w parę chwil zrobi się niewesoła. Przydałby się strzelec wyborowy, by zdjął wrogi dowódcę.

Kijek zebrał mniej więcej połowę kompanii, podczas gdy druga połowa walczyła zaciekle wewnątrz baraków. Teofil stwierdził, że nie ma czasu ich wzywać. Sierżant ustawił żołnierzy w rozproszony, trochę nierówny szereg.

– Cel! – wrzasnął Pustowójtów. – Ognia!

Półkompania wystrzeliła salwę i w błoto runęło wielu próbujących

ustawić się w kontrtyralierę Moskali. Krew zmieszała się z wodą i zabarwiła na czerwono kałuże.

– Za mną! Do ataku! – wrzasnął Teofil i ruszył biegiem przez plac apelowy.

Rozbryzgiwał strumienie wody, sadząc coraz większe susy. Nieświadomie zaczął warczeć z wściekłości i pozwolił, by moc wyrwała się niekontrolowana. Węże czasu wypełzały z jego skóry i trzaskały o ziemię niczym bicze. Wokół oficera utworzyła się niejednorodna czasowo strefa. Wpadające w nią krople zatrzymywały się w miejscu lub przyspieszały i boleśnie uderzały go w skórę. Nie oglądał się, ale wiedział, że powstańcy biegną za nim. Słyszał ich wrzask. Dołączyli do nich kosynierzy i mniejsze grupki strzelców z kompanii sierżanta Mitoraja. Przez plac gnało grubo ponad stu buntowników.

Moskale powitali ich pojedynczymi strzałami, ale większość karabinów stała się bezużyteczna, gdy w pośpiechu nabito je zamoczonym prochem. Teofil miał wrażenie, że jedna z wystrzelonych kul wpadła w szalejące wokół jego postaci węże czasu, po czym owinięta jednym z nich zawisła w powietrzu tuż obok jego głowy. Wdarł się w tyralierę, odpychając ręką wymierzony w twarz bagnet i chlasnął jego właściciela przez bark. Ryknął z wściekłości, czując, jak gorąco mocy wypala mu trzewia, spopiela żyły i zamienia krew we wrzącą smołę. Rąbał na lewo i prawo, nie próbując parować ciosów. Sołdaci cofnęli się przed jego furią. Warczący wielkolud otoczony fontannami iskier i jakąś barierą mocy, w której grzęzły bagnety, z pewnością musiał być demonem wojny, upiorem, a nie przeciwnikiem z krwi i kości.

Powstańcy z rykiem wpadli w przerzedzony przez Teofila szereg, przełamali go i wbili się głęboko w tłum Rosjan. Tymczasem któryś z kosynierów dotarł z pochodnią do wojskowych stajni i cisnął ją na kupę siana, przeznaczoną dla koni. Dowodzący „Dziećmi Warszawy” Stasiek Bachmiński znalazł w jednym z baraków butelkę kamfiny, wylał ją na prycze i ścianę, a następnie podpalił. Ogień buchnął kłębamii czarnego dymu, rozrósł się błyskawicznie i wystrzelił oknem. Mimo deszczu coraz więcej budynków paliło się intensywnie i kolumny gęstego dymu wzbijały się w przecinane piorunami niebo. Wyleciały okna tłących się baraków i uwięzieni w nich dotąd

Rosjanie skakali jeden za drugim wprost na bagnety i pod kosy powstańców.

Teofil dopadł jedyne próbnego zapanować nad chaosem oficera i zwał się z nim w szermierskim pojedynku. Ich szable zderzyły się dwa lub trzy razy, po czym Pustowójtow trzasnął przeciwnika pięścią, a chwilę później rozplątał mu głowę. Soldaci cofali się i coraz więcej z nich rzucało się do ucieczki między baraki.

– Nie ścigać ich, do cholery! – wrzeszczał Mitoraj. – Nie opuszczać koszar! Kompania do mnie!

W błocie zmieszonym z krwią zostały sterty trupów. Teofil oprzytomniał dopiero, kiedy nie natrafił na kolejnego przeciwnika. Rosjanie porzucili broń i zwiali. Deszcz i dym mieszały się ze sobą, grzmoty ryczały niczym armatnie wystrzały. Major czuł, że znowu żyje. Znalazł się w swoim żywiole, na prawdziwej wojnie. Stał dłuższą chwilę, wystawiając twarz i zakrwawione ostrze szabli na deszcz. Wdychał zapach wojny, dym i posokę. Moc stygła w nim powoli, zawirowania czasu wokół jego ciała iskrzyły jeszcze, ale przygasały.

– Panie majorze, melduję, że zadanie wykonane! – Pojawił się przed nim sierżant Bachmiński. – Koszary powązkowskie zdobyte. Przegoniliśmy chyba cały pułk piechoty!

– Odnaleźć magazyn, pobrać z niego amunicję i pistolety – rozkazał. – Potem podpalić, tak jak całą resztę. Zabrać rannych i załadować na jakiś wóz. I ruszać się, do cholery! Musimy stąd zniknąć, zanim Moskale się otrząsną i wrócą!

Uśmiechnął się do siebie, widząc, jak studencik rzuca się biegiem do wypełniania rozkazów. Dobrze byłoby odpocząć chwilę, napić się czegoś na rozgrzewkę, wypalić papierosa. Szkoda, że to nie wchodziło w grę. Musieli się śpieszyć. Bitwa dopiero się zaczęła.

\*\*\*

Okularnik trząsł się i szczął zębami. Deszcz całkiem go przemoczył, poza tym widok rosnącej w oczach twierdzy sprowadzał wizje tortur, którym poddadzą go Rosjanie. Powóz wjechał między półbastion z kaponierą a drugi bastion cytadeli. Mury z ziejącymi otworami strzelniczymi naparły na

przerażonego Okularnika. W boku znajdującego się przed nim redanu tkwiły imponujące Wrota Aleksandryjskie. Koła lando załomotały na bruku i Okularnik ściągnął lejce, zatrzymując koniki. Do wozu podeszło kilku żołdatów z wąsatym feldfeblem na czele. Żołnierz zmierzył woźnicę znudzonym spojrzeniem i bez słowa otworzył drzwiczki pojazdu.

– Kogo widzę! – Ucieszył się na widok Pelagii. – Nasza śliczna panienska znów w odwiedziny do swego narzeczonego?

– Oczywiście, panie oficerze. – Blondynka zatrzepotała rękami. – Oto pozwolenie podpisane przez oberpolicmajstra Trepowa.

– Aktualne? – Feldfebel wyciągnął z kieszeni binokle i marszcząc brwi, obejrzał pismo, chroniąc je przed deszczem wolną dłonią. – A te dwie panienski to kto?

– Siostra doktora Loewenhardta i jego narzeczona. – Pelagia wskazała kolejno Wandę i Henię. – Jest niedziela i też chcą odwiedzić brata i ukochanego.

– Po co nas pan tak dręczy, pułkowniku? – Henia wychyliła się z mrocznego kąta powozu.

Wcisnęła się w sukienkę, która okazała się nieco przyciasna w biodrach i biuście, przez co materiał opinał się na wdziękach młodej kobiety, znacznie je uwydatniając. W dodatku kiecka w odróżnieniu od skromnych, zapinanych pod samą szyję sukien pozostałych dziewcząt miała całkiem okazały dekolt i bufiaste rękawy. Podoficer wbił wzrok w biust Pustowójtówny, a po chwili zapadł w wielkie, hipnotyczne oczy kobiety.

– Muszę panienski skontrolować, to mój obowiązek – wydukał, nie mogąc oderwać spojrzenia od Heni. – Proszę mi wybaczyć, oczywiście, można jechać.

Michałek uśmiechnęła się do niego w nagrodę i zatrzasnęła drzwiczki landa. Okularnik pogonił koniki i powóz potoczył się do wnętrza twierdzy.

– Niesamowite! Nie skontrolował kosza z wiktuałami i nie ukradł jak zwykle butelki wina. – Pelagia spojrzała z podziwem na Henię. – Obyło się też bez zwyczajowej łapówki. Zwykle i tak, mimo pozwoleń, musiałam mu wcisnąć trzyrublowy banknot.

Pustowójtówna wzruszyła ramionami i niedbale machnęła ręką. Wanda

opadła na klęczki i zaczęła wyciągać spod siedzenia owinięte w szmatki rewolwery.

– Najwyższa pora, moje drogie, ukryć to żelastwo – powiedziała i zadarła kieckę.

Jedwabne podwiązki, którymi miała przywiązane pończochy, wydawały się wręcz stworzone do tego celu. Wcisnęła pod nie rewolwery, podczas gdy Pelagia z wyższością schowała dwa przeznaczone dla niej egzemplarze do specjalnych kieszeni ukrytych w sukni, w których cały czas coś przemyślała do celi Jarosława. Henia natomiast wcisnęła pukawki do rękawów swojego krótkiego płaszczyka.

Okularnik przejechał wzdłuż placu Gwardii, łypiąc spode łba na obelisk postawiony ku czci poprzedniego cara za pieniądze warszawiaków. Minął murowane stajnie, pod których dachami schroniło się przed deszczem kilkunastu dragonów, i wreszcie zatrzymał powóz przed X Pawilonem. Zastukał pięścią w budę landa. Wanda nerwowo szamotała się przez chwilę z suknią, aż wreszcie skinęła głową na znak, że jest gotowa, i kobiety kolejno wyszły wprost przed ponurą wartownię, po której bokach znajdowały się dwie bramy prowadzące na dziedziniec więzienia. Ze stojącej na nim kuźni dobiegało głośnie dzwonienie młota, pewnie znów zakuwali jakiegoś nieszczęśnika w kajdany, by go pogonić w nich na Dworzec Petersburski, skąd odjeżdżały transporty na Syberię.

Pelagia śmiało otworzyła drzwi wartowni i weszła do środka jak do siebie. Okazała dokument podpisany przez Tuchołkę oficerowi żandarmerii, pełniącemu dziś służbę jako dowódca warty. Grzeczny i kulturalny żandarm przeprosił panie płynnym francuskim i odmaszerował w głąb budynku do komendanta X Pawilonu majora Żuczkowskiego-Moroka po zezwolenie na wizytę. Usiadły więc na ławie pod ścianą i zastygły w milczeniu. Poczekalnie przecinał kontuar, za którym przy stołach siedziało dwóch kancelistów w mundurach, pilnie wypełniając jakieś papiery. Prócz nich przy wejściu stało dwóch uzbrojonych strażników. Deszcz łomotał o szyby i bębnił o dach, pióra pisarzy mozolnie skrzypiały na papierze, czas włókł się niemiłosiernie. Wanda zaczęła się wiercić, szum wody i dudnienie gromów wdzierały się do jej umysłu i spiętrzały w groźny pomruk. Emocje dawały o sobie znać.

Wreszcie po, zdawało się, nieskończenie długim czasie drzwi z drugiej strony kontuaru się otworzyły i do poczekalni wkroczył Morok we własnej osobie. Zwalisty, o paskudnej gębie, z kraterami po zaleczonych wrzodach lub ospie, prezentował się wyjątkowo odpychająco. Uśmiechnął się do kobiet szeroko, prezentując brzydkie krzywe zęby, i odezwał się czystą polszczyzną.

– Tradycyjna niedzielna wizyta matek, narzeczonych i sióstr. Domowe wiktuały przyniesione do zimnego więzienia, by aresztowany choć przez chwilę pamiętał, że za murami ktoś na niego czeka. Popieram, w pełni popieram! Serce mi się jednak kraje, gdy muszę patrzeć na coś takiego. Cóż jednak robić, taki los wartownika. Nieustannie marzę, by wypuścić tych wszystkich biednych chłopców, ale oni są tak uparci. Nie dbają o złamane serca kobiet, usychających z tęsknoty na wolności. Fantazjują o tych bzdurach, o wolnej Polsce, nie chcą zeznawać, uparcie milczą. Może panie wreszcie przemówią im do rozsądku? A do kogo właściwie? Spójrzmy w papiery... Ach, panna Pelagia oczywiście do sztabskapitana Dąbrowskiego, a panie do doktora Loewenhardta. Dobrze. Proszę teraz postawić tu koszyki z prezentami, zostaną przeszukane w obecności pań i w stosownym czasie przekazane więźniom. Proszę jeszcze siedzieć, to trochę potrwa. Muszę wezwać protokolanta i...

Wanda ponagląco szturchnęła Henię w bok.

– Panie oficerze drogi. – Pustowójtówna uśmiechnęła się olśniewająco i kołysząc biodrami niczym zawodowa ładacznicą, zbliżyła się do oficera. – Proszę dziś zrobić wyjątek i nie przetrzymywać nas godzinami tylko po to, by procedurom stało się zadość. Chciałabym jak najprędzej zobaczyć się z narzeczonym, pan rozumie. Oszczędźmy sobie nawzajem czasu, niech protokolant i strażnicy przeszukają nasze kosze z jedzeniem, a my tymczasem pójdziemy do cel, dobrze? Zaprowadzi nas pan tam osobiście, prawda?

Morok mrugnął kilka razy, bezskutecznie próbując wyzwolić się spod hipnotycznego spojrzenia Heni. Poległ jednak z kretesem. Stał chwilę, trawiony przez moc, wreszcie chrząknął i znów uśmiechnął się obleśnie. Nadstawił ramię dziewczynie i ukłonił się, wykorzystując cały swój arsenał grzeczności naraz.

Henia mrugnęła do dziewcząt i wsunęła rękę pod ramię oficera.

Mamrocząc coś pod nosem, Morok przeprowadził je przez poczekalnię wprost na dziedziniec więzienia. Wanda odruchowo złapała swój mały kapelusik, by wściekle lejący deszcz nie zerwał go i nie cisnął w błoto. Prostokątny dziedziniec z trzech stron zamykał piętrowy X Pawilon, natomiast wartownia i dwie bramy tworzyły jego czwarty bok. Na środku placu stała drewniana kuźnia, z jej komina walił dym, a ze środka nadal dobiegało nieustanne dzwonięcie młota o metal. Obok stała wyprężona z koni czarna kibitka. Wanda zrobiła krok przez kałużę, mrużąc oczy przed zacinającym deszczem. W tej samej chwili poczuła znajomy zapach i gorącą falę mocy. Syknęła ostrzegawczo, rozglądając się wkoło.

– Nie próbuj nawet brać głębszego oddechu, żydowska wiedźmo! – Maria Konarska vel Stołpin stała za ich plecami, na tle wartowni, którą właśnie opuścili. – Jeśli spróbujesz krzyknąć, wyślę cię w otchłań.

Rosjanka wyciągała przed siebie ręce, a przed nimi w powietrzu unosiły się dwie koliste wyrwy w rzeczywistości. Deszcz wpadał w rozdarcia przestrzeni z sykiem, jakby krople lądowały na rozgrzanej blasze. Za plecami Stołpin stało ośmiu żołdatów z uniesionymi do strzału karabinami. Kolejnych kilku wybiegło z Pawilonu i otoczyło kobiety luźnym pierścieniem, mierząc do nich z broni.

Wanda posłusznie wstrzymała oddech. Wpadły w pułapkę.

\*\*\*

Kapitan Grzmot-Dobrogojski jechał na szpicie razem z dwunastoma najlepszymi ułanami z armii Czachowskiego. Sam Krwawy Starzec, jak nazywali wiekowego oficera Rosjanie, ciągnął jakieś pół wiorsty za nimi, prowadząc niemal czterystu jeźdźców w większości uzbrojonych zarówno w lance, jak i krótkie karabinki kawalerii. Po nocy spędzonej w żałości ubogiej wsi Targówek, która ledwo co podniosła się ze zgliszczy po całkowitym zniszczeniu w powstaniu listopadowym, buntownicza kawaleria szykowała się do osiągnięcia celu całej wyprawy. Czachowski nakazał, by pikiety obserwowały niebo nad Warszawą, na którym jakoby miał się pojawić znak od pułkownika Jemioły. Jeśli nic nie wydarzy się do wieczora, ułani mieli natychmiast wyruszyć w drogę powrotną do świętokrzyskich lasów. Stary

pułkownik przeżył spore rozterki, zanim zdecydował się narażać tę świetnie wyposażoną jednostkę, którą stworzył w pocie czoła, w tym idiotycznym rajdzie. Jemioła przekonał go jednak, podkreślając, że atak ma ogromne znaczenie taktyczne i propagandowe.

Grzmot spoglądał podejrzliwie na stojące wzdłuż szosy Radzymińskiej ubogie chałupki, błotniste podwórka i pochylone płotki. Prawobrzeżne przedmieścia Warszawy prezentowały się dość nędznie i właściwie wyglądały jak jedna zaniedbana wioska. Nawet droga dojazdowa do stolicy nie została utwardzona i kopyta ułańskich koni chlapały w błotnistych kałużach, a momentami mozolnie brnęły w pooranej kołami wozów brei. Szarża w tych warunkach, w lejącym deszczu i po grząskim terenie, wydawała się bardzo trudna. Chłopi ciekawie wyglądali z okien chałup lub spod daszków obór i stodół. Kilku bardziej śmiałych wybiegło nawet na drogę, by powitać jeźdźców z biało-czerwonymi kotylionami przypiętymi do kapot. Zdjęli czapki i ukłonili się w pas, a jeden z odważniejszych ośmielił się nawet zagaić:

– Niech będzie pochwalony! – zadudnił. – Niech Bóg błogosławi polską armię! Jedziecie na Warszawę, panie oficjerze?

Kapitan wstrzymał konia, ułani również zatrzymali się posłusznie.

– Daleko do rogatek? – spytał krótko.

– A gdzie tam, będzie ze dwie staje, nie więcej. Za tym pagórkiem już Praga.

– Dużo carskich siedzi w rogatekach?

– Dużo. – Chłop poważnie pokiwał głową. – Żandarmi i celnicy. Z pińć dziesiątków albo i lepiej.

Grzmot miał ochotę sięgnąć po papierosa, ale spojrzał w niskie chmury siekące ulewą i zrezygnował. Skulił się tylko i wcisnął głowę w kołnierz. Czekać na zbliżające się siły główne, zaczął zagadywać ciekawskich chłopów. Włóścianie opowiedzieli, jak miesiąc wcześniej podszedł pod Pragę inny powstańczy oddział, ale został ostrzelany z armat fortu Śliwickiego i wycofał się w lasy. Po kilku minutach z szarej ściany deszczu wyłoniły się sylwetki jeźdźców. Ułani jechali czwórkami niczym zawodowe wojsko. W istocie tylko kilku z nich służyło wcześniej w armii, ale pod surowym okiem Czachowskiego i pod kierunkiem Kononowicza, dawnego carskiego oficera,



wyszkolili się na doborową jazdę, chociaż teraz, w przemoczonych kozuszkach i kapotach nie prezentowali się zbyt groźnie. Na głowach nosili rogatywki, maciejówki i zwykłe kaszkiety, ale kilku wystroiło się w wysokie czaka, pamiętające czasy napoleońskie. Czachowski jechał na przedzie, mokre wąsiska skleiły mu się i opadły niczym staremu sumowi. Wysłuchał meldunku Grzmota i zdecydował krótko:

– Słuchajcie, chłopcy, żadnych jeńców, żadnej litości! Zmieść każdego Moskala, który znajdzie się w zasięgu broni! Jazda, do ataku!

Przeżegnał się z rozmachem i ruszył przodem. Grzmot dołączył do niego natychmiast, a jego dwunastu ułanów utworzyło gwardię przyboczną pułkownika. Kapitanowi nie podobała się ta awanturnicza akcja, właściwie miał nadzieję, że Jemioła nie da żadnych znaków i do samobójczej szarży na miasto nie dojdzie. Jednak ku jego rozczarowaniu tuż przed burzą powietrze przeszył huk i w niebo nad miastem wzbila się kolumna błękitnego ognia. Nie było zatem odwrotu: stary szaleniec przystał na pomysł wariata Jemioły i zaraz pociągnie ku zgubie całą powstańczą kawalerię. Dobrze, że główne siły armii, blisko dwa tysiące buntowników, pozostały w świętokrzyskich lasach pod dowództwem zdrowego na umyśle Kononowicza.

Trzon kolumny wyjechał stępą zza pagórka. Zgodnie z informacją uzyskaną od chłopów tuż za nim ustawiono rogatki: dwa budynki po przeciwnych stronach szosy, okolone niskimi zabudowaniami gospodarczymi, jakimiś szopami i stajniami. Wartownicy nie rzucali się w oczy, widocznie schronili się w środku przed deszczem i na odgłos nadjeżdżającego oddziału tylko z jednej z budek przyklejonych do rogatek wychyliło się dwóch piechurów. Czachowski wyciągnął szablę i rycząc, pogonił konia w galop. W grząskim błocie szło to opornie, ale kolumna powoli zaczęła się rozpędzać. Nad głowami powstańców załopotał sztandar z Matką Boską otoczoną godłami Polski, Litwy i Rusi.

Grzmot przeklął pod nosem i szturchnął konia ostrogami. Musiał się trzymać blisko szalonego starca. Szybko wysforował się na przód oddziału. Czachowski wychylił się w siodle i ciał szablą wartownika, nie dość przytomnego, by schować się w budce. Z rogatki po drugiej stronie szosy wybiegło kilku żandarmów. Kapitan wskazał ich porucznikowi dowodzącemu

pierwszym szwadronem. Część jeźdźców natychmiast odbiła w bok i uderzyła na Rosjan.

– Nie zwalniać! – ryknął Czachowski. – Później się nimi zajmiemy. Teraz wszyscy za mną. Nie zostawać z tyłu!

Niespodziewanie polna droga, szumnie zwana szosą Radzymińską, przeszła w brukowaną ulicę. Nadal stały przy niej wiejskie chałupinki, ale teraz ustawione znacznie gęściej, zaczęły pojawiać się również murowane domy, a nawet obdrapane kamienice. Okolica pozostała jednak wiejska. W pewnej chwili drogę z kwikiem przerażenia przeciął powstańcom wieprz. Kawałek dalej ponurym spojrzeniem odprowadziły ich stojące przy ulicy trzy wychudzone krowy. Ludność nie wiedziała jeszcze, że coś się dzieje, ukryła się bowiem przed burzą i nie wyściubiła nosa z domu, myśląc, że przejeżdżająca kolumna wojska to Moskale. Także sześciu żołdatów z patrolu, schowanych w bramie, nie zdążyło sięgnąć po broń. Zamarli zaskoczeni widokiem setek pędzących buntowników. Tylko jeden uklęknął, błagając o litość, ale jak pozostali zginął od pchnięcia lancą.

– Gdzie jesteśmy, do cholery? – Pułkownik obrócił się do Grzmota.

Kapitan wzruszył ramionami. Miał pogadać z miejscowymi, zapoznać się z topografią miasta i przygotować marszrutę, ale cały wczorajszy wieczór spędził na próbach zdobycia obroku dla koni i rozłokowaniu ludzi we wsi Targówek, tak by choć trochę odpoczęli po wyczerpującej drodze. Rankiem przepytał tylko miejscowych chłopów, którzy wprawdzie nie wiedzieli zbyt wiele, ale zdołał ustalić, że do celu miały prowadzić dobrze widoczne drogi. Tymczasem mijali tylko jakieś boczne uliczki, zabłocone i niewyglądające na ważne rozgałęzienia.

Grzmot ściągnął wodze.

– Muszę zaciągnąć języka.

Czachowski spiorunował go wzrokiem i zakręcił młynka szablą, jakby chciał rozrąbać swego najlepszego żołnierza. Powstrzymał się jednak i wsunął broń do pochwy. Uniósł rękę, by zatrzymać galopującą kolumnę. Stanęli akurat przed wozem węglarza, który na widok chmary buntowników zeskoczył z kozła i rzucił się do ucieczki między chałupy.

Grzmot zsiadł z konia i pognął do najbliższego, piętrowego domu z

szyldem przed wejściem. Nie czytając, z jakim przybytkiem ma do czynienia, oficer wpadł do środka i znalazł się w zadymionym pomieszczeniu z szynkwasem, za którym stał chudy Żyd w jarmułce na łysej głowie. Poza tym karczma pełna była rosyjskich żołnierzy. W jednej chwili ucichły rozmowy i twarze żołdatów zwróciły się w stronę intruza. Kapitan ściągnął rogatywkę i jak gdyby nigdy nic ukłonił się obecnym, a potem doskoczył do karczmarza.

– Którędy na dworzec?

– Jaki dworzec, który? – Żyd pobladł z przerażenia.

– Kolejowy i rzecz jasna Petersburski, cymbale – syknął Grzmot.

– Jakies pół wiorsty w stronę rogatek, potem w lewo przy kapliczce.

Dojedzie pan do Wileńskiej i w nią znów w lewo. A potem już prosto na dworzec. – Wskazywał kierunek trzęsącą się ręką.

Rosjanie patrzyli, ciągle zaskoczeni, na wysokiego mężczyznę z przypiętą do pasa szablą i kaburą z pistoletem. Wciąż nie mogli się oswoić z sytuacją. W Królestwie od dawna funkcjonował całkowity zakaz posiadania broni, a co dopiero mówić o jej noszeniu. W końcu jakiś feldfebel poderwał się ze stołka i ruszył w kierunku Grzmota.

– *Wy kto? Poczemu u was oruzije?*<sup>33</sup> – zagrzmiął.

Kapitan w odpowiedzi wyszarpnął z kabury swój kapiszonowy jednostrzałowy pistolet i modląc się w duchu, by proch nie zamókł, wymierzył w feldfebla. Zaciskając zęby, pociągnął za spust. Huknął wystrzał i do papierosowego dymu wypełniającego karczmę dołączyła chmura palonego prochu. Grzmot obrócił się na pięcie i nie patrząc na skutek strzału, jednym susem wyskoczył na zewnątrz.

– Moskale! – ryknął i pognął do swojego konika, którego wodze trzymał jeden z ułanów.

W wejściu pojawiło się kilku wściekłych Rosjan, którzy w jednej chwili zdębieli, widząc stojącą w deszczu armię buntowników. Czachowski wypalił do nich z pistoletu, a po chwili gruchnęły strzały z ułańskich karabinów. Trzej zabici pacnęli w błoto, dwóch piechurów zdążyło się cofnąć do karczmy i zaryglować drzwi.

– Pies ich jebał! – Czachowski zawrócił konia. – Prowadź na ten dworzec, Grzmocie, bo zaraz mnie krew zaleje!

Kapitan wskoczył na siodło i bez słowa ruszył jako pierwszy. Po chwili cała kolumna gnała z powrotem, dzwoniąc podkowami po bruku i rozbryzgując kałuże. Tym razem na ulicę zaczęli wychodzić mieszkańcy. Ktoś wzniósł radosny okrzyk i rzucił czapkę w niebo, jakaś staruszka zaczęła śpiewać kościelną pieśń i błogosławić pędzących jeźdźców. Przy kapliczce Grzmot skręcił w boczną nieutwardzoną uliczkę, a po paru chwilach znaleźli się na brukowanej Wileńskiej. Konie przeskoczyły tory kolejowe, zdradziecko zalane wodą. W oddali, w strugach deszczu, zamajaczył masywny kształt Dworca Petersburskiego.

Zbliżali się szybko do serca węzła kolejowego łączącego Warszawę z Imperium. Tu przyjeżdżały transporty wojska z głębi Rosji i stąd wysyłano wagony pełne nieszczęśników skazanych na katorgę. Jemioła zdecydował, że zniszczenie dworca i parowozowni będzie doskonałym czynem propagandowym i zada przeciwnikowi dotkliwy cios. Część jeźdźców została zatem zaopatrzona w pochodnie owinięte natłuszczonym płótnem, inni wieźli przy siodłach butle z olejem kamfinowym lub specyfikiem przygotowanym przez Tajne Laboratorium – fosforem rozpuszczonym w siarczku węgla. Te szklane bomby wystarczyło potłuc, by od kontaktu z powietrzem i wilgocią nastąpił wybuch, a przynajmniej tak utrzymywali agenci intendenty, którzy dostarczyli ładunki.

– A co to takiego? – Czachowski wskazał wysokie, otoczone płotem budynki po prawej stronie Wileńskiej.

– Magazyny artyleryjskie. Skład amunicji – wyjaśnił Grzmot.

Stary pułkownik zakręcił węża i po chwili wahania ściągnął wodze.

– Zmiana planów – oświadczył. – To będzie znacznie lepszy cel niż jakaś tam droga żelazna.

Grzmot przywykł do szybkich zmian decyzji, dlatego natychmiast i bez wahania czy protestów wskazał ułanom nowy cel. Czachowski potrafił reagować błyskawicznie i zdecydowanie i właśnie to czyniło z niego tak dobrego partyzanckiego dowódcę. Poza tym nie znosił kwestionowania rozkazów czy niesubordynacji, co rozumieli wszyscy w oddziale. Cóż z tego, że jako konserwatysta i człowiek starej daty nie doceniał znaczenia kolei żelaznej? W bitewnym ferworze i tak nie dało się z nim dyskutować.

Wielką żelazną bramę prowadzącą do składów amunicyjnych zamknięto na głucho, ale przy furcie pod daszkiem stróżówki stało trzech wartowników. Zginęli od karabinowych kul, zanim w ogóle zorientowali się, co im grozi. Kilku powstańców zeskoczyło z koni i wpadło do wartowni. Zasiekli w niej szablami kolejnych dwóch żołdatów, przedostali się na wojskowy teren i w ostatniej chwili otworzyli od środka bramę. Całe szczęście, bo z budynków właśnie zaczęli wybiegać żołnierze ochraniający magazyny.

Powstańcy wjechali na przestronny dziedziniec otoczony sześcioma budynkami, z czego trzy w głębi były niskimi i przysadzistymi magazynami, co najmniej do połowy wkopanymi w ziemię i o ceglanych kopułach zamiast dachów.

– Podpalić koszary! – rozkazał Czachowski. – Magazyny wysadzimy na odchodnym!

Ułan jadący obok Grzmota zgiął się w pół i zsunął z siodła. Po chwili tuż przed nosem kapitana gwizdnął karabinowy pocisk. Rosjanie ostrzeliwali się z okien. Wszystkie pootwierano i wysuwały się z nich lufy niemal bez przerwy rażące ogniem. Artylerzyści bronili się ogniem rotowym, zdejmując z siodła jednego powstańca po drugim. W odpowiedzi w otwarte okna poleciały szklane bomby fosforowe. Szkło tłukło się z brzękiem, do którego natychmiast dołączały głuchoe odgłosy wybuchów. Buchnęły kłęby gryzącego dymu, jakiś płonący żołdat runął z okna prosto pod kopyta pędzących koni.

– Za mną! – Grzmot ruszył stępą do najbliższych drzwi, po czym zeskoczył z konia i otworzył je kopniakiem.

Na szczęście żołdaci nie zdążyli ich zaryglować lub to zaniedbali. Kapitan chlasnął szablą jakiegoś nieuzbrojonego pechowca zapinającego mundur i wbiegł do pierwszego pomieszczenia. W środku znajdowała się pusta kancelaria z biurkami i szafami pełnymi dokumentów.

– Podpalaj! – rozkazał powstańcowi z pochodnią, który deptał mu po piętach.

Ułan wyciągnął zapałki i spokojnie zapalił pochodnię; przykładał ogień tu i tam, a na koniec otworzył szafę z papierami i wetknął do środka płonąca żagiew. Tymczasem kapitan w towarzystwie kilku ułanów starł się w korytarzu z grupą piechurów. W ruch poszły pałasze i bagnety. Powstańcy wycięli sobie

drogę, zostawiając za sobą kilka rosyjskich trupów, i dotarli do klatki schodowej prowadzącej na górę.

– Kamfina, szybko! – Grzmot uśmiechnął się ponuro na widok drewnianych schodów.

Cisnął na nie butelki z substancją wybuchową, tłukąc je w drobny mak, a potem wrzucił w rozlaną naftę kolejną pochodnię. Sołdaci, ostrzeliwujący się z okien na piętrze, za chwilę znajdą się w pułapce. Krztusząc się dymem, ułani wybiegli na zewnątrz i rzucili się do swoich koni. Okazało się, że jeźdźcy z drugiego szwadronu wdarli się tymczasem do ziemnych magazynów z prochem i armatnimi bombami i właśnie je podpalali. Wszystkie budynki koszar już płonęły od wewnątrz. Stary pułkownik wymachiwał szablą, ryczał rozkazy i wskazywał okna, z których jeszcze strzelali Rosjanie. Grzmot ledwie odnalazł swego konia i wspiął się na siodło, kiedy trębacz zaczął grać sygnał do odwrotu. Czachowski gwoli wyjaśnienia wskazał na dym walący z otwartych drzwi magazynów. Za chwilę amunicja zaczęła wybuchać.

Tłum buntowników pognał przez bramę na ulicę, zostawiając za sobą płonące budynki i masę trupów leżących w błocie na dziedzińcu. Nie odjechali daleko, gdy głucha eksplozja wzbijała się ponad cichnące gromy burzy. Ktoś spadł z wystraszonego konia. Z nieba posypał się deszcz pokruszonych cegieł i ziemi. Niemal natychmiast drugi wybuch, jeszcze głośniejszy, wstrząsnął okolicą. Potem następny i jeszcze jeden. Detonowały kolejne magazyny, wyrzucając w niebo kolumny dymu i morze odłamków.

Jeźdźcy znów znaleźli się na Radzymińskiej i pędzili w stronę rogatek. Zadanie zostało wykonane, teraz musieli odskoczyć od miasta i zniknąć w lesie. Grzmot wyjechał na czoło, wokół niego przyboczni ułani utworzyli szpicę kolumny. Cała dwunastka przeżyła rajd i znów prowadziła powstańczą jazdę. Wzdłuż ulicy zaroilo się od ludzi. Większość stała tylko i patrzyła na jadących buntowników, ale wielu też wiwatowało.

Z daleka Grzmot dostrzegł, że przy rogatkach coś się dzieje. W poprzek drogi ustawiono pospiesznie wóz, częściowo blokując przejazd, a za nim stały równe szeregi szykujących się do strzału żołdatów. Kapitan dobył szabli i puścił konia w galop.

– Za mną, chłopcy! Przebijemy się! – wrzasnął z całych sił.

Deszcz siekał go wściekle po twarzy, w uszach huczały wiatr i pulsująca krew. Euforia mieszała się ze śmiertelnym przerażeniem. Twarze strzelców dawały się już rozróżnić. Niemal mógł spojrzeć w czarne wyloty luf. Musi się udać, przełamie szeregi piechoty jednym uderzeniem i zmiotą ich z drogi, inaczej cały oddział znajdzie się w pułapce.

– *Agoń!* – wrzasnął rosyjski oficer.

Gruchnęła salwa. Grzmot kątem oka widział, jak dwóch jego ułanów spada z wierzchowców, a koń trzeciego z kwikiem wali się na bruk. Sołdaci cofnęli się, robiąc miejsce kolejnemu szeregowi. Jeszcze kilkanaście kroków. I salwa. Smród prochu i uderzenie w pierś. Ból promieniujący przez plecy. W jednej chwili kapitan stracił władzę w prawym ręku, szabla wysunęła mu się z dłoni i brzęknęła o bruk. A potem wpadł między żołdatów. Pochylił się jeszcze bardziej, chwycił lewą ręką wodze, wtulił twarz w końską grzywę. Byle nie spaść. Słyszał ryk i chrzęst stali, wrzaski i łomot galopującej kawalerii.

Przeszli. Mieli wolną drogę! Kopyta chlapały w błocie, kiedy opuszczali Warszawę. Kapitan obrócił się z wysiłkiem, zaciskając zęby z bólu. Szwadron jechał za nim bez przeszkód, z tyłu zaś zostało krwawe pobojuwisko i Rosjanie wbici kopytami w bruk. Strzelcy nie zdołali zatrzymać polskiej jazdy.

Grzmot czuł, że niewiele czasu mu zostało. Rozpaczliwie sięgnął za pazuchę i drżącą ręką wyciągnął pomiętą fotografię. Z poważną miną patrzyła z niej śliczna dziewczyna, a po jej twarzy spływał deszcz i krew kapitana. Grzmot ucałował portret ukochanej i zsunął się z siodła. Umarł, nim uderzył o ziemię.

\*\*\*

Wanda zagryzła wargę i rozejrzała się nerwowo. Odruchowo policzyła żołnierzy, którzy mierzyli w nią z karabinów. Dwunastu z tyłu, stojących w półokręgu, i ośmiu za plecami Marii. Pelagia westchnęła z rezygnacją i uniosła ręce. Za to Henia okazała nieco więcej zdecydowania. Chwyciła mocno ramię prowadzącego ją Moroka, który nadal znajdował się pod jej czarem, wyszarpnęła z rękawa płaszczyka rewolwer i przystawiła lufę do szyi żandarma.

– Ani kroku, bo rozwalę mu łeb! – zagroziła.

– Wyobrażasz sobie, że pozwolimy wam odejść czy co? – prychnęła Maria. – Puść majora, opór na nic się nie zda. Nie prowokuj mnie do użycia mocy, panno Pustowójtówna.

– Jeśli ciśniesz w nas mocą, on też zginie – warknęła Henia.

– Ale unieszkodliwię dwie powstańcze wiedźmy, poszukiwane przez wszystkie służby Imperium. Myślisz, że ktoś będzie rozpaczał nad utratą jednego żandarma, w dodatku Polaka? Jego rodzina będzie dumna, że poświęcił życie w walce z buntownikami, dostanie zapomogę od księcia, a major pośmiertnie otrzyma order i awans. Opuść broń, bo nie utrzymam długo mocy i wszystkich was pozabijam.

Dzwonienie młota w kuźni na środku dziedzińca niespodziewanie ucichło. Ze środka wyszedł mężczyzna z wielkim, ciasno opiętym kamizelką brzuszyskiem i dłońmi chronionymi czarnymi rękawicami. Trzymał w nich długi łańcuch, połyskujący niczym żywe srebro. Wanda poczuła bijące od niego dziwne, trudne do sprecyzowania wibracje.

– Poznajcie, proszę, Iwana Mikołajewicza Frołowa, mojego kolegę z Urzędu Przemian. – Stołpin mówiła przez zaciśnięte zęby, najwyraźniej panowanie nad otwartymi wyrwami sprawiało jej coraz większy problem. – Założy teraz pannie Szczurównie łańcuch na ręce. Artefakt wchłania mutatio i zablokuje jej moc, co stanowi jedną z technik pozwalających neutralizować odmieńców bez czynienia im krzywdy. Wyciągnij grzecznie łapki, Wando, inaczej będziemy musieli cię zastrzelić. Szybko, to nie będzie bolało.

Wanda walczyła chwilę z przerażeniem. Czowała na sobie spojrzenia dwudziestu żołnierzy i wycelowaną w pierś broń. Jeśli się nie zdecyduje, za chwilę tu polegnie. Posłusznie wyciągnęła przed siebie złączone ręce. Frołow założył na nie pętlę zrobioną z łańcucha i zacisnął ją jednym, brutalnym szarpnięciem. Dziewczyna zawyla i osunęła się na kolana. Od metalu bił przeszywający chłód, wysysał całe ciepło i wdzierał się w żyły bolesnym zimnem, zupełnie jakby do organizmu wdarł się lodowy robak i pożerał go od środka.

– Tylko żartowałam, że nie będzie bolało. – Stołpin uśmiechnęła się złośliwie i opuściła ręce, likwidując anomalie.

Pelagia kucnęła przy przyjaciółce i położyła dłoń na łańcuchu, jakby chcąc



go zerwać, ale cofnęła się gwałtownie. Usiadła w błocie, masując rękę. Henia nadal z zaciętą miną wciskała lufę w szyję majora, podczas gdy żołdaci zbliżali się do niej krok za krokiem. Morok potrząsnął głową, zrywając czar, ale nie śmiał się gwałtownie poruszyć, czując napięcie gotowej na wszystko dziewczyny. Henia zastanawiała się gorączkowo, co dalej. Jeszcze przed wybuchem powstania car osobiście skazał ją na powolną śmierć w murach monasteru, ale teraz nie zostanie już potraktowana tak łaskawie. W najlepszym razie czekała ją szubienica i to po długich, bolesnych przesłuchaniach.

– A mogłam siedzieć w Krakowie i w spokoju marnotrawić czas na pisanie listów do uwięzionego Mariana – wymamrotała pod nosem, szykując się na śmierć.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i odciągnęła kciukiem kurek rewolweru.

Doktor Loewenhardt leżał na pryczy i tępo wpatrywał się w sufit, błędząc myślami po czarnych morzach, które nawiedzały go we snach. Szum deszczu i dudnienie gromów przetaczających się w oddali jeszcze bardziej potęgowały jego posępny nastrój. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że słyszy znajome stukanie. Jarosław Dąbrowski nadawał w więziennym kodzie, szybko i nerwowo, myląc litery, ale sens wypowiedzi pozostawał zrozumiały:

– ...to Pelagia i jakieś dwie kobiety. Jedna z nich wzięła Moroka jako zakładnika, trzyma rewolwer przy jego głowie. Kilkunastu Moskali ma je na muszce. Trzeba coś zrobić. Natychmiast.

Stanisław poderwał się na równe nogi i jednym susem znalazł przy okienku wysoko pod samym sufitem. Pod ostrym kątem widział tylko fragment dziedzińca, w dodatku deszcz zalewał szybę. Nie miał pojęcia, kim jest drobna kobieta ciągnięta na łańcuchu przez jakiegoś grubasa. Leżała twarzą w błocie, kopiając nogami jakby w drgawkach. Dopiero po chwili zorientował się, że to Wanda. Nadal nie mógł przywyknąć, że z chudej Żydówki w za dużym chałacie, który zabrała ojcu, zmieniła się w śliczną młodą damę. Domyślił się też, że trzymana przez dwóch żołdatów blondynka jest Pelagią, sporo się o niej nasłuchał od Łokietka. Natomiast trzecią z kobiet rozpoznał natychmiast. Mimo że zasłaniała się majorem Żuczkovskim-Morokiem, cofając krok za krokiem w stronę kuźni, a w dodatku nosiła suknię, nie dało się jej z nikim pomylić. Henia

Pustowójtówna, niedostępna i piękna bohaterka, w której kochało się całe powstańcze wojsko, wdarła się na teren cytadeli! Staś wielokrotnie wzdychał do niej w czasie kampanii u boku Langiewicza. Marzył, by choć raz obdarzyła go uśmiechem, pozwoliła się zbliżyć i wyznać sobie miłość. Zawsze jednak dzieliła ich przepaść. Adiutantka generała wołała wielkich bohaterów i nie zauważała niepozornego lekarza.

– Zaczynamy akcję – wystukał szybko. – Przekaż dalej!

Jarosław zajął się stukaniem w podłogę i drugą ścianę celi, więc zaraz całe dwa piętra powinny wiedzieć, że za moment dojdzie do buntu. Stanisław zaczął chodzić po celi, coraz szybciej i szybciej, a z każdym krokiem jego gniew się wzmagił. Wreszcie Dąbrowski-Łokietek zaczął wrzeszczeć na całe gardło, wzywając wartowników. Z pewnością też gotował się z niepokoju o ukochaną.

Na korytarzu załomotały buciory rozzłoszczonych strażników. Zazgrzytał klucz w zamku, a chwilę później rozległ się wystrzał. Gdzieś na korytarzu z łomotem wypadły drzwi. Loewenhardt spojrzał na piłkę, którą dostał od Wandy i którą miał nadpiłować zawiasy drzwi. Nawet nie zabrał się do roboty. Zacisnął pięści, uniósł je do twarzy i wyszczerzył zęby, pozwalając porwać się furii. Na korytarzu padło kilka kolejnych wystrzałów. Łokietek opróżniał bębenek rewolweru. Dłonie doktora zapłonęły czarnymi płomieniami. Stanisław grzmotnął pięścią w drzwi. Okute blachą dwie warstwy drewna przełamały się w połowie, a żelazne zawiasy wykręciły się i rozdarły, jakby zrobiono je z papieru.

Wyskoczył na korytarz. Łokietek stał z dymiącym rewolwerem w garści, a u jego stóp leżało czterech zabitych wartowników. Trzech innych więźniów już wydostało się z cel i doskoczyło do trupów, by odebrać im karabiny. Loewenhardt uśmiechnął się szeroko. Dąbrowski rzeczywiście zasłużył na swój pseudonim, sięgał bowiem niewysokiemu Stasiowi ledwie do brody, a twarz miał łagodną i budzącą zaufanie, ozdobioną krótką, szpiczastą bródką. Odpowiedział salutem i otworzył bębenek rewolweru, by go przeładować. Tymczasem kolejne dwoje lub troje drzwi wypadło z zawiasów, a któryś z uwolnionych wyrwał pęk kluczy z zamku celi Jarosława i rzucił się do uwalniania kolejnych kompanów. Jakichś dwóch więźniów z radością padło

sobie w ramiona, oklepywali się po plecach i śmiali, jakby wyruszali na wesołą wycieczkę, a nie beznadziejną walkę.

– Na dół, szkoda czasu – wycharczał Stanisław.

Potężniająca moc zaciskała mu gardło, przed oczami latały mroczki. Wiedział, że musi działać szybko, inaczej straci przytomność. Nie oglądając się, ruszył biegiem w stronę schodów. Sadził długie susy, a mutatio huczało mu w głowie. Wpadł na jakiegoś żołdaka wbiegającego na górę, w przelocie trzasnął go w twarz i zmiażdżył ją z obrzydliwym chrupnięciem. Kolejny wartownik usiłował dźgnąć go w brzuch bagnetem, ale Stanisław złapał lufę karabinu i złamał ją niczym zapalniczkę. Pchnął Moskala, a ten runął w dół schodów i przewrócił kilku kolejnych żołnierzy nadciągających z pomocą. Staś skoczył w kłębowisko ciał, na oślep zadając ciosy, które przebijały Rosjan na wylot, kruszyły im kości i roztrzaskiwały głowy.

Poderwał się z ziemi i ruszył korytarzem. Drogę zastąpił mu oficer żandarmerii z pistoletem. Po drugiej stronie korytarza odbywały się posiedzenia komisji śledczej, nic więc dziwnego, że w okolicy kręcili się żandarmi. Stanisława dzieliło od przeciwnika kilka sążni. Zbyt daleko, by zdołał go dosięgnąć. Zasłonił się odruchowo ręką. Padł strzał. Kula uderzyła w otwartą dłoń, ugrzęzła w czarnych płomieniach mocy i stopiła się w nich z sykiem. Loewenhardt skoczył na oficera i dopadł go jednym, niemożliwym dla zwykłego człowieka susem. Uderzył od dołu w szczękę. Głowa żandarma eksplodowała i zabryzgała sufit krwią oraz strzępami mózgu. Doktor przeskoczył nad truchłem i skręcił w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec. Grzmotnął w nie pięścią, zamieniając okute drewno w fontannę drzazg.

Droga stała otworem.

\*\*\*

Henia z przerażeniem spojrzała na miotającą się w błocie Wandę. Tłusty knur ciągnął ją na łańcuchu; śmiał się przy tym głośno i błyskał zębami. Co będzie dalej, kiedy ci cholerni Moskale z Urzędu Przemian dostaną więcej czasu na torturowanie polskich wiedźm? O nie, już lepiej zginąć. Tu i teraz. W bębenku tkwi sześć naboí, ciekawe, ile zdoła wystrzelić, zanim żołdaci wpakują jej

kulę w łeb lub zakłują bagnietami?

Rozmyślenia przerwał jej hałas dobiegający z budynku X Pawilonu. Wyraźnie rozpoznawała stłumione grubymi murami wystrzały. Kilku żołdatów zwróciło się w stronę budynku, ignorując pokonane już wiedźmy. Stołpin poruszyła się nerwowo i zmarszczyła brwi, patrząc na wejście do budynku, które w tej samej chwili eksplodowało strumieniami drzazg, jakby od wewnątrz trafiła w nie armatnia kula.

„Teraz!” – pomyślała Henia.

Odsunęła rewolwer od szyi Moroka i wymierzyła we Frołowa, szarpiącego się z Wandą. Wystrzeliła do niego trzy razy. Pierwsza kula chybiła, ale dwie kolejne trafiły grubasa w brzuch i pierś. Nie zdążył użyć mocy, atak zupełnie go zaskoczył. Ze zdumieniem spojrział na ciasną kamizelkę, w której ziały teraz krwawe dziury, po czym opadł na kolana, a potem plasnął twarzą w błoto. Tymczasem z pawilonu wybiegł jakiś barczysty, niewysoki mężczyzna i popędził w kierunku składających się do strzału żołdatów. Stołpin krzyknęła coś wściekle, a potem rozcapierzyła palce i machnęła ręką, otwierając czarną wyrwę w rzeczywistości.

Morok niespodziewanie złapał Henię za ramię i wykręcił je gwałtownie. Dziewczyna wrzasnęła z bólu i poleciała na ziemię, broń wypadła jej z ręki. Szarpanina z żandarmem uchroniła ją od zastrzelenia przez żołnierzy, którzy nie odważyli się otwierać ognia, by nie zranić majora.

Pelagia, chowając głowę w ramionach, podpełzła do Wandy. Zaciśnęła zęby z bólu i znów chwyciła łańcuch, po czym szybko poluzowała pętlę na rękach Żydówki, ściągnęła metalowe więzy i z odrazą cisnęła artefakt w błoto. Dłonie w jednej chwili skostniały jej na kamień, a skóra zrobiła się kredowo biała. Objęła Wandę, która dygotała jak w febrze i rozglądała się nieprzytomnie.

Stanisław rzucił się na żołdatów z gołymi rękoma, zanim którykolwiek wystrzelił. Jego zaciśnięte pięści otaczała sfera pożerających światło płomieni. W przelocie urwał głowę pierwszemu żołnierzowi i runął na następnego. Jednym ciosem posłał go z połamanymi żebrami i zgruchotanym mostkiem na kilka sążni w dal. Bił na oslep, bez wprawy, właściwie wymachiwał rękoma jak ostatni łamaga, ale tam, gdzie trafił, czynił straszliwe

spustoszenie. Żołnierze, których nie zdążył dopaść w pierwszym ataku szалу, cofnęli się. Kilku oddało strzały, ale Loewenhardt poruszał się niczym błyskawica. Dopadał ofiarę i masakrował jednym, potężnym ciosem.

Stołpin cisnęła w niego anomalią. Czarna otchłań, przypominająca chmurę, pomknęła z trzaskiem, prując przestrzeń i syjąc iskrami. Uderzyła jednego z żołnierzy, który nie zdążył się uchylić i wchłonęła go łapczywie. Stanisław pozwolił się jej ogarnąć, na dłuższą chwilę zniknął w ciemności, a potem wyskoczył z otchłani ogarnięty lepkiemi smugami mroku, które ciągnęły się za nim niczym welon. Szczyrzył zęby, a jego oczy błyszczały szaleństwem. Soldaci cofnęli się przed potworem, dwóch wręcz rzuciło się do ucieczki.

W strzaskanych drzwiach X Pawilonu pojawił się Jarosław i kilku innych więźniów. Łokietek od razu zaczął strzelać z rewolweru, podczas gdy towarzyszący mu skazańcy z rykiem ruszyli do ataku na bagnety. Stołpin wykrzywiła się gniewnie na widok pędzącego do niej Stanisława, po czym machnęła ręką, otwierając kolejną wyrwę. Wskoczyła w nią i zniknęła w jednej chwili. Ciemność zamknęła się za nią tak szybko, że Loewenhardt z rozpędu przeleciał przez pustkę, omal się nie przewracając. Zarył nogami w błoto, wbił kurtynę wody, obrócił się i rozejrzał po polu bitwy.

Kilku żołdatów walczyło wręcz z więźniami, reszta Moskali związała lub leżała martwa. Za to kilka kroków obok mężczyzna z paskudną gębą, wykrzywioną teraz grymasem wściekłości, dusił Henię. Dziewczyna klęczała i machała pięściami, ale nie mogła dosięgnąć oprawcy. Staś, rozpoznawszy w nim znienawidzonego Moroka, zacharczał z wściekłości. Doskoczył do żandarma i jednym ciosem połamał mu obie ręce. Major ryknął z bólu i przerażenia, ale Staś zdusił jego wrzask, łapiąc go oburącz za gardło. Morok wybałuszył oczy i wywalił jęzor. Stałowy ucisk miażdżył mu krtań, a czarny płomień mocy wdierał się do krwi i palił czystym szaleństwem. Loewenhardt nacisnął jeszcze mocniej i zgruchotał kręgosłup żandarma. Pchnął jego zwłoki na ziemię i stanął nad nimi w rozkroku, rozglądając się wokół spode łba.

Henia klęczała u jego stóp i patrzyła z przerażeniem, ale i podziwem na wściekłego wojownika, którego pamiętała z powstańczego obozu jako miłego i łagodnego lekarza. Staś zmężniał, odkąd ostatnio się widzieli, jakby urósł i nabrał mięśni. Promieniał mocą i nieludzką siłą. Jego wzrok padł na

dziewczynę i w jednej chwili otaczające go lepkie płomienie mutatio przygasły, a po chwili znikły. Rozwiał się też szaleństwo gorejące mu w oczach, a w jego miejsce pojawiło się znajome ciepło. Loewenhardt uśmiechnął się tak jak kiedyś i wyciągnął rękę do Heni.

– Odebrać broń zabitym! Szwarce, profesorze Dybowski, weźcie kilku chłopców i zaryglujcie bramy. Reszta za mną, zablokujemy wartownię – komenderował Dąbrowski.

– To nie uciekamy? – spytał któryś ze skazańców.

– Jak, człowieku? – zirytował się Łokietek. – Jesteśmy w środku twierdzy, w której siedzi z piętnaście tysięcy Moskali. Nie dotrzemy do najbliższej bramy, przecież kilku żołdatów zwiąło i zaraz podniesie alarm. Zostaniemy tutaj. Mamy zakładników, będziemy negocjować.

– Jakich zakładników? – spytał już zupełnie przytomny Stanisław.

– Całą komisję śledczą łącznie z pułkownikiem Tuchołko i jego przełożonym generałem Rozwadowskim – z dumą odparł Dąbrowski. – W sumie sześciu wysokich rangą oficerów żandarmerii.

– Mamy hrabiego Konstantego Rozwadowskiego? – zdumiał się Stanisław.  
– Co on tu robi?

– Chyba przyjechał w imieniu wielkiego księcia przypilnować przesłuchania jakiegoś ważnego więźnia. – Dąbrowski wzruszył ramionami. – Chłopcy chcieli na miejscu zadźgać go bagnietami, ale ich powstrzymałem. Ten sukinsyn może okazać się bardzo przydatny.

Rozwadowski, dawny żołnierz Wojska Polskiego, słynął jako zdrajca od czasów powstania listopadowego. Jak większość carskich sługusów ze wszystkich sił starał się przypodobać swemu rosyjskiemu władcy i ze szczególnym okrucieństwem pastwił się nad rodakami. Dochrapał się wysokiego stanowiska, przez jakiś czas pełnił nawet funkcję oberpolicmajstra Warszawy, a obecnie kierował pracami komisji śledczej. Stanisław miał ochotę rzucić mu się do gardła, jeszcze zanim stał się odmieńcem, a teraz, kiedy w żyłach buzowała mu moc, aż się palił, by pognać do aresztu i rozerwać drania na strzępy.

Henia stała obok doktora, ciągle podtrzymywana przez niego pod ramię. Poczowała, jak w jednej chwili cały stężał, jakby szykował się do skoku. Złapała

go za dłoń i ścisnęła. Spojrzał na nią trochę zaskoczony, a potem uśmiechnął się i w jednej chwili uspokoił. Henia nie puszczała go jednak. Dotyk Stasia okazał się niezwykle miły.

Dąbrowski z grupą uzbrojonych więźniów pognał do wartowni, skąd uciekła już reszta wartowników i kanceliści. Wystarczyło zaryglować ciężkie drzwi i usadzić w oknach strzelców. Wewnątrz znaleziono magazyn broni, a w nim dwadzieścia karabinów, kilka pistoletów i amunicję. Oczyszczono z wartowników cały budynek, większość na miejscu zabijając, a kilkunastu biorąc do niewoli. Z cel uwolniono ponad dwustu buntowników, w większości chętnych i gotowych do walki. Więźniowie otworzyli na chwilę jedną z bram i do środka wjechało lando powożone przez Okularnika. Szef powstańczej intendenty dygotał z zimna i strachu, ale robił srogą minę. Zeskoczył z kozła i wturlał się pod wóz, by odwiązać ukryte pod podwoziem karabiny. Ledwie zamknięto za nim wrota, zza stajni stojących przed X Pawilonem wybiegli rosyjscy piechurzy. Nie dotarli jednak do wartowni. Powitały ich wystrzały z okien więzienia, więc cofnęli się za budynki.

– Przeniesiemy ją do kuźni, tam jest palenisko, przy którym się ogrzeje – Pelagia komenderowała dwoma skazańcami, którzy podnieśli nadal oszołomioną i trzęsącą się, ale żywą Wandę. – Niech ktoś skoczy do kuchni i zrobi gorącą kawę!

Pelagia w przelocie przywitała się z narzeczonym, po czym jedno natychmiast zajęło się dowodzeniem obroną więzienia, a drugie organizacją zaplecza i opieką nad rannymi. Nie musieli nawet rozmawiać, wystarczył im jeden pocałunek i wymiana spojrzeń. Wyglądało na to, że ta para dobrała się jak w korcu maku. Henia z przyjemnością na nich patrzyła.

Dopiero po chwili zorientowała się, że broda jej dygocze. Przed chwilą żegnała się z tym światem; wpierw zamierzała strzelić sobie w łeb, a tuż potem łapy wielkiego drania wyciskały z niej życie. Ocalenie przyszło w ostatniej chwili. I kto okazał się bohaterem? Wcale nie jeden z wielkich wojowników, których tak wielbiła, ale niepozorny lekarz.

– Nie stójmy na deszczu – odezwał się równie wstrząśnięty ostatnimi wydarzeniami Stanisław. – Chodźmy do środka, trzeba się przygotować. Zaraz zacznie się oblężenie.

Henia potrząsnęła głową, by zapanować nad słabością. Nie mogła się teraz rozkleić, była wszak powstańczą legendą, słynną bohaterką. Musiała znów świecić przykładem i zamienić się w dzielnego żołnierza. Trzymając ciągle Stanisława za rękę, pociągnęła go do wartowni, gdzie właśnie przebywał Dąbrowski. Ktoś musiał pomóc temu malcowi pokierować buntem, a któż mógłby lepiej się do tego nadać niż oni dwoje?

\*\*\*

Spotkanie przeciągało się ponad miarę. Generałowie nie śmieli się nawet poruszyć, bo łagodnego zazwyczaj wielkiego księcia opanowała rosnąca z każdą chwilą wściekłość. Wraz z kolejnymi meldunkami donoszonymi z miasta przez młodszych adiutantów Konstany robił się coraz bardziej zirytowany. Niewiele brakowało, by zaczęły spadać generalskie głowy. Jako namiestnik miał prawo mianować dowódców i ich dymisjonować, więc teraz jednym ruchem mógłby przekreślić wiele karier. Nawet hrabia Berg stracił rezon i nie komentował już kolejnych doniesień, tylko słuchał z uwagą. Radca Tichon wymieniał z nim znaczące spojrzenia. Obaj wiedzieli, że kariera wszystkich obecnych w sali obrad zawisła właśnie na włosku. Ważyły się nie tylko losy buntowników, Warszawy, ale i rosyjskich dowódców. Berg skrupulatnie odnotuje każde potknięcie księcia i doniesie o nim carowi.

Od paru minut panowała zupełna cisza. Konstany podpierał głowę dłońmi i patrzył na meldunek leżący przed nim na stole. Marzył, by znajdować się zupełnie gdzie indziej, najchętniej na ukochanym żaglowcu, gdzieś na środku Bałtyku. Lubił Polskę i Polaków, starał się być dla nich dobrym władcą, ale zupełnie mu się to nie udawało. Zamiast go pokochać, miejscowi odpłacili mu niewdzięcznością i próbami zamachu. Z każdą chwilą coraz bardziej tęsknił za morzem, za wiatrem niosącym kropelki słonej wody i nadymającym żagle. Obiecał sobie, że kiedy bunt się skończy, poprosi brata o jakieś podrzędne stanowisko gdzieś na wybrzeżu i będzie całe tygodnie spędzał na morzu. Na razie musiał jednak wytrzymać jeszcze choćby do odparcia ataku buntowników. Potem natychmiast zadeszkuje do Petersburga i poda się do dymisji.

Pince-nez zsunęło mu się na czubek nosa, włosy potargał sobie w nerwach,



przez co wyglądał teraz jak roztrzepany gryziopiórek, a nie namiestnik Królestwa. Szum deszczu cichł powoli, gromy odzywały się coraz rzadziej i ciszej. Burza mijała, ale wybiła ledwie trzecia po południu i koszmary dzień jeszcze się nie skończył.

– Co my tu mamy... – odezwał się wreszcie grobowym głosem namiestnik. – Atak na koszary powązkowskie, całkowite ich zniszczenie i rozbitcie stacjonującego w nim Pułku Wołyńskiego. – Konstanty zmierzył wzrokiem generała Kridenera, dowódcę tej formacji, który pod spojrzeniem księcia skurczył się i niemal schował pod stół. – Ocaleni z pogromu, bo możemy tu mówić o pogromie, a nie o prawdziwej bitwie, twierdzą, że zostali zaatakowani przez kilka tysięcy żołnierzy ze Smoleńskiego Pułku Piechoty, prawdopodobnie dezertersów, którzy przeszli na stronę buntowników.

– To bzdura – warknął generał Korf. – Nie mamy doniesień o dezercjach na taką skalę, poza tym Pułk Smoleński stacjonuje w garnizonie radomskim. Skąd by się tu nagle wziął?

– Wy mi powiedzcie! – Konstanty trzasnął pięścią w stół. – Słucham! Skąd kilka tysięcy rosyjskich piechurów zabijających swoich rodaków? Wskoczyli spod ziemi?

– Może nie było ich aż tylu? – Berg chrząknął znacząco. – Pokonanym zawsze mnożą się w oczach siły przeciwnika. Podejrzewam, że atakujących było tylko kilkuset, w dodatku nie dezertersów, a przebierańców, tych samych, którzy zniszczyli siły generała Kürdenera pod Zaborowem.

– I ta garstka rozbiła cały gwardyjski pułk?

– Atak z zaskoczenia na bezbronnych żołnierzy stłoczonych w koszarach. – Berg wzruszył ramionami. – Nie ma niczego nadzwyczajnego w tej porażce.

Konstanty pokiwał głową. Kridener dyskretnie skinął Bergowi w podziękowaniu za wyratowanie z opresji. Hrabia uśmiechnął się do niego pobłaźliwie. Zjednany oficer może się teraz przydać, w chwili kryzysu liczy się wszak każdy sojusznik. Dopiero kiedy hrabia zostanie przełożonym generałów, weźmie ich do galopu. Na razie niech mają go za przyjaciela.

– A jak wytłumaczycie mi atak na magazyny artyleryjskie na Pradze? – Konstanty zmierzwił nerwowym gestem brodę. – Zostały całkiem zniszczone przez kilkuset konnych buntowników. W jaki sposób wtargnęli do miasta

niezauważeni? Ale to nic, szczytem jest atak na gazownię miejską i zajęcie przez buntowników Placu Aleksandryjskiego. Kolejne koszary zniszczone, obóz na placu został zmieciony z powierzchni ziemi. Panowie, przecież mamy do czynienia z otwartym buntem.

– Trzy, a licząc gazownię, cztery skoordynowane ataki to jeszcze nie powszechne powstanie – zauważył generał Lewicki. – Ulice na razie nie zareagowały, warszawiacy obserwują wszystko z okien, nie biorą udziału w walkach. To się wprawdzie może zmienić, choćby zaraz, bo burza ucichła. Jeśli więc tak się stanie, proponuję zbombardować miasto ogniem z cytadeli.

– Możemy nim zmieść Stare Miasto, Mariensztat i północną dzielnicę, jak ona się tam nazywa? Fawory – zauważył Berg. – Ale co z Powiślem i okolicami Marszałkowskiej, całą południową częścią miasta? Tam armaty nie mają zasięgu, zatem i tak trzeba będzie wyprowadzić wojsko z cytadeli.

– Mamy do czynienia z trzema zgrupowaniami – odezwał się generał Paweł Andriejewicz Jakowlew. – Z przebierańcami w okolicach rogatek powązkowskich na zachodzie. Ich liczebność wedle różnych szacunków waha się od czterystu do kilku tysięcy. Druga banda to buntownicza jazda w prawobrzeżnej części miasta. Kilkuset powstańców. Na koniec najgroźniejsze ugrupowanie, które zajęło Plac Aleksandryjski, zwany Placem Trzech Krzyży. Od czterystu do dziesięciu tysięcy buntowników, w tym oddziały legendarnych Żuawów Śmierci, kosynierzy, harpie i ogniste olbrzymy. Dwa pierwsze zgrupowania po ataku na miasto wycofały się do lasów, nie stanowią więc bezpośredniego zagrożenia. Powinniśmy się zatem skupić na bandytach, którzy uderzyli na Powiśle. Proponuję wysłać tam dwa pułki z cytadeli, a jazda z koszar Ujazdowskich może uderzyć na nich od tyłu, i to jak najszybciej, zanim powstańcy rozleją się na całe miasto. Będzie dobrze wyglądało, jeśli zgniemy buntowników bez bombardowania Warszawy.

Berg patrzył z niechęcią na wysokiego generała o surowym obliczu. Pomagał Konstantemu wybrnąć z opresji, i to szybkimi, zdecydowanymi posunięciami, co może potem sprawiać wrażenie, że namiestnik świetnie poradził sobie z problemem, a polecany przez cara adiutant do niczego się nie przydał.

– Pułk Wołyński powinien po przeformowaniu zabezpieczyć okolicę

rogatek powązkowskich i wysłać pikietę na poszukiwanie przebierańców Pustowójtowa – powiedział Berg, by jakoś się zrehabilitować i sprawić pozory, że faktycznie stara się pomóc. – Jeśli uda się ich zlokalizować, należy ich natychmiast rozbić. To samo tyczy się powstańczej jazdy. Trzeba puścić za nimi zwiad i uderzyć w nich całą siłą, która znajduje się obecnie w prawobrzeżnej części miasta. Zdaje się, że stoją tam szwadrony huzarów i kozacy, do tego pułk piechoty. Jazdę należy natychmiast rzucić tropem buntowników. Praga powinna też zostać wzmocniona którymś pułkiem z cytadeli.

– Chciałbym prosić waszą książęcą mość o pozwolenie poprowadzenia swoich lejbgwardzistów do ataku na Plac Trzech Krzyży – odezwał się baron Meller-Zakomielski. – Uderzyłbym najkrótszą drogą od strony Nowego Świata. Proponuję, by generał Rall wsparł mnie od strony Hożej lub Wspólnej. Jazda, atakując z kierunku Ujazdowa, zamknie buntowników w kotle. Zepchniemy ich na Powiśle, które proponowałbym spalić w diabły. Te śmierdzące budy i rudery są tylko siedliskiem chorób i wszelkiego plugastwa.

– Dobry pomysł – poparł Rall. – Zniszczenie części miasta będzie sygnałem ostrzegawczym dla warszawiaków, a przy okazji oczyścimy tę okolicę z hołoty. Po pokazie siły Polacy nie odważą się wyjść na ulicę. Proponuję też przeprowadzać doraźne sądy i egzekucje jeńców na warszawskich placach i ulicach, tak by wszyscy dobrze je widzieli.

Książę uśmiechnął się szeroko i wreszcie poprawił okulary. Ożywienie generałów i otrząśnięcie się z początkowego marazmu dobrze wróżyło.

– Doskonale – mruknął. – Ach, a pan, generale Lewicki, pogoni do roboty swojego kata. Jak on się tam nazywa?

– Jeśli chodzi o odpowiedzialnego za wykonanie wyroków śmierci, to pułkownik Marian Dytwald – odparł Lewicki.

– Niech buduje szubienice na stokach cytadeli, dużo szubienic. – Konstanty rozpromieniał się coraz bardziej. – Nie zabijajcie wszystkich jeńców, dla części przygotujemy pokazowe procesy i piękne, publiczne egzekucje. Pana, generale Jakowlew, czynię odpowiedzialnym za sprowadzenie mojej rodziny z Belwederu do Zamku Królewskiego. Tutaj urządzą sztab główny.

– Proponowałbym przeprowadzkę do cytadeli. – Lewicki aż poruszył się

na krześle z emocji. – Przyszykuję dla Waszej Książęcej Mości całe piętro w „domu generalskim” na bastionie Dehna. To piękny pałacyk empirowy. Myślę, że Wasza Wysokość będzie z niego zadowolony.

– Racja – przytaknął Berg. – Proponuję przenieść na teren cytadeli nie tylko sztab, ale także rodziny wszystkich generałów i oficjeli. Jeśli jednak w mieście wybuchną rozruchy, tam będzie bezpieczniej. Poza tym jeśli zostaniesz, książę, ze sztabem w Zamku Królewskim, w razie buntu nie będziemy mieli możliwości ostrzelania Starego Miasta z armat. Od czasu masakry na placu Zamkowym w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim warszawiacy aż się palą, by chwycić za broń.

– Nie boję się tego motłochu, poza tym Zamku strzegą dwa tysiące gwardzistów, ale jeśli uważacie, że naszym rodzinom może przytrafić się coś złego, to zgoda. Przenosimy się do cytadeli. – Książę pogładził brodę w zamyśleniu. – Generał Lewicki pojedzie tam natychmiast i wszystko przygotuje. Panowie generałowie dołączą do swoich pułków i zabiorą się do wykonania zadań. Życzę sobie, by do wieczora buntownicze bandy zostały rozbite. Proszę wykonać. Niech hrabia Berg i radca Tichon jeszcze chwilę zostaną.

Generałowie wstali posłusznie i wymaszerowali z sali posiedzeń. Książę skinął lokajowi i kazał przynieść wino. Krążył chwilę od okna do okna, spoglądając na kolumny dymu wznoszące się w niebo w różnych częściach miasta. Wreszcie zaproponował obecnym zjedzenie obiadu w swoim towarzystwie. Skinął drugiemu lokajowi, który uklonił się i zniknął, by wydać stosowne polecenia służącym.

– Obaj znacie dobrze mojego drogiego brata – powiedział książę, biorąc kieliszek z tacy podawanej przez lokaja. – Będzie wściekły, że dopuściłem do tego ataku i nie obróciłem miasta w perzynę za karę. Nie zamierzam jednak niszczyć Warszawy, chyba że w ostateczności.

– Wszyscy znają twoją dobroć, wielki książę. – Berg umoczył usta w winie. – Polacy jednak jej nie doceniają i przy dogodnej okazji znów któryś do Waszej Miłości strzeli lub pchnie Waszą Miłość sztyletem. Oj, nie znają oni wdzięczności, są grzeczni tylko wtedy, gdy czują knut na plecach. Nie ukrywam, że ja rozkazałbym otworzyć ogień już teraz i zrównać z ziemią

połowę miasta w ramach ostrzeżenia. Ulice zapełniłbym szubienicami i stosami trupów. Ale ja nie jestem dobrym człowiekiem, nie mam tak łagodnego serca, jak Wasza Księżęca Mość.

Konstanty pokiwał głową i poprowadził dwóch gości do sali jadalnej, w której na podłużnym stole przygotowano już zastawę dla trzech osób. Mężczyźni usiedli nad talerzami uchy – tradycyjnej rosyjskiej zupy rybnej. Konstanty nie dowierzał polskim kucharzom i sprowadził sobie obsługę kuchni z Petersburga.

– Pawle Iwanowiczu, co sądzicie o doniesieniach o harpiach i ognistych olbrzymach, masakrujących gwardzistów na placu? – Wielki książę po raz pierwszy zwrócił się do tajnego radcy.

– Harpie to pewnie jedna strzyga, która od jakiegoś czasu grasuje w stolicy Królestwa. Ognisty olbrzym jest dla mnie zagadką, podejrzewam, że to jakiś wyjątkowo potężny odmieniec. Za wszystkim stoi niejaki Jan Jemioła, do niedawna komendant Tajnego Laboratorium Rządu Narodowego. Tropię go od trzech miesięcy, depczę mu po piętach, ale drań ciągle mi się wymyka. – Tichon odłożył łyżkę, zresztą i tak nie był w stanie przełknąć nawet odrobiny. – Próbował utworzyć oddział złożony w całości z odmieńców.

Podejrzewaliśmy, że planuje przeprowadzenie zamachu na życie cara. Jemioła jest nieobliczalnym szaleńcem, niebezpiecznym i kłopotliwym...

– Proszę go wreszcie zlikwidować – burknął książę. – I te jego potwory także. Jest pan w stanie je usunąć?

– Oczywiście. Od miesięcy pracujemy nad bronią wykorzystującą materię wydobytą z turbulencji. Co prawda nadal znajdujemy się w fazie testów, ale myślę, że zniszczenie strzygi i olbrzyma będzie doskonałym, wspaniałym sprawdzianem. Potrzebowałbym tylko wsparcia artylerii, a właściwie chodzi mi o możliwość użycia trzyfuntowej armaty. Potrzebuję też oczywiście lawety i pełnej obsługi.

– Tylko tyle? Ma pan wszelkie pełnomocnictwa. Nie ma na co czekać, proszę natychmiast ruszać i wesprzeć generała Meller-Zakomielskiego. Natychmiast.

Tichon posłusznie wstał i ukłonił się grzecznie. Odmaszerował sprężystym krokiem. Książę odprowadził go wzrokiem.

– Co pan o nim myśli, hrabio?

– Ma ogromny potencjał, może stać się jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych oficjeli w Imperium – odparł hrabia, krzywiąc się nad zupą, która nazbyt mu śmierdziała rybą. – Osobiście wiązę z nim wielkie nadzieje.

Stary generał myślał o swojej żonie, która znajdowała się w odległej części miasta i za jedyne towarzystwo oraz ochronę miała młodą wiedźmę, podwładną Tichona. Berg liczył, że radca dobrze ją wyszkolił. Mimo to czuł palący niepokój i strach kiełkujący gdzieś w trzewiach. Otrząsnął się i uśmiechnął do księcia. Powinien bardziej nad sobą panować.

\*\*\*

Płomyk stał nieruchomo przed schodami prowadzącymi do imponującego kościoła świętego Aleksandra i patrzył na pobożowisko. Żuawi i kosynierzy zbierali jeszcze swoich rannych i zabitych, ignorując konających i martwych Rosjan. Wydzielona przez Jemiołę grupa strzelców gromadziła w pośpiechu zdobytą na wrogu broń i amunicję. Wiele rosyjskich karabinów nadal stało w kozłach, atak powstańców okazał się bowiem niezwykle szybki i część Moskali nie zdążyła się nawet uzbroić. Ci, co stawili opór, zostali wystrzelani w iście ekspresowym tempie, plac zajęto nieomal z marszu, a stacjonujący na nim pułk w jednej chwili rozbito. Jednakże większość carskich piechurów po prostu uciekła na widok powstańczych żołnierzy w czarnych mundurach i krocącego przed nimi wielkiego ognistego potwora. Niezwykle sugestywnie podziałała na nich również obecność strzygi. Hanka przelatywała nad przerażonymi żołnierzami, a raz spadła w deszczowej nawale w sam środek obozowiska, by urwać głowę rosyjskiemu pułkownikowi, który próbował zapanować nad paniką.

Kiedy deszcz przestał padać, z okolicznych kamienic i drewnianych domów wybiegły tłumy mieszkańców. Wielu wiwatowało. Stare kobiety brały powstańców w ramiona i przytulały niczym synów, starcy ocierali łzy wzruszenia, szczególnie na widok sztandarów, które Jemioła dostał dwa dni wcześniej z intendentury, a teraz kazał rozwinać. Biały Orzeł, Pogoń i Matka Boska dominowały na czerwonych i białych chorągwiach, poustawianych tak,

by widać je było z różnych części placu. Zadziały zgodnie z zamierzeniem pułkownika: dodawały otuchy powstańcom i zmiękczały serca warszawiaków.

Płomyk spojrział na gromadę dzieciaków, która gapiła się na niego ze zgrozą i podziwem. Dominowały wśród niej obdartusy z Powiśla w za krótkich spodniach o postrzępionych nogawkach, dzieciaki robotników i rzemieślników, wychudzone i zaniedbane. Nie brakowało jednak i pociech zasobniejszych mieszczan, może urzędników i mistrzów rzemiosł, ubranych w czyste kamizelki lub sukienki i porządne buty. Wszystkie zebrały się przed budzącą najwięcej zainteresowania postacią, choć nie śmiały podchodzić zbyt blisko. Piękni żuawi czy groźni kosynierzy nie wydawali się nawet w połowie tak interesujący, jak niezwykła postać ogarnięta płomieniami i mierzająca dwa razy tyle wzrostu co zwykły człowiek.

Olbrzym obserwował ludzi i chłonał ich zachowania, emocje i sposoby reagowania na środowisko. Starał się spokojnie analizować, co czuli, by uporządkować własne doznania. Nieustannie jednak żal mieszał się w nim z odrazą. Jemioła kazał mu zabijać i niszczyć. Zanim wysadził w powietrze gazownię, Płomyk upewnił się, że pracownicy uciekli z terenu fabryki, a dopiero potem zdemolował budynek i wszedł do ogromnego, owalnego zbiornika wypełnionego gazem. Potem się okazało, że wyrzucone eksplozją odłamki i tak zabiły dwóch przechodniów. Ciągle miał przed oczami ich pokiereszowane ciała, a przecież było to tylko dwóch starszych panów uciekających przed nadchodzącą burzą. Czym zawinili? Czy zasłużyli na śmierć? Jemioła nawet nie chciał o nich słuchać, uznał zabitych za przypadkowe ofiary wliczone w koszty.

Przyglądającym mu się dzieciom również groziło niebezpieczeństwo. Lada chwila Rosjanie otrząsną się z zaskoczenia, a ponieważ nadal mają ogromną przewagę, przygotowują kontratak i uderzą na buntowników. Plac znów stanie się polem bitwy i każdy, kto tu wtedy będzie, może ucierpieć. Dzieci powinny jak najszybciej znaleźć się daleko stąd, tak samo jak reszta cywili. Ci jednak kręcili się między powstańcami, oglądali zabitych Moskali, śmiali się i całowali buntowników. Nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia?

– Panie oficerze, czy można go dotknąć? – Jeden z dzieciaków uczeplił się nadchodzącego Jemioły.

– A ognia w piecu można dotknąć? Można. Tylko po co? – Pułkownik potargał czuprynę malca. – Chcesz się sparzyć, chłopcze? A teraz zabierajcie się stąd, dzieciaki. Jazda do domu!

Żaden z urwisów nie posłuchał, ale Jemioła uznał sprawę za załatwioną i przestał zwracać uwagę na małych gapiów. Stał przed Płomykiem i przyjrzał mu się spode łba. Zastanawiał się, w jaki sposób przełamać opory anomalii. Wyglądało na to, że obiekt osiągnął umiejętność łamania zaprogramowanych dyrektyw, zaczynał okazywać humory, stawiać się i stroić fochy, a przecież bez wątpienia był tylko maszyną. Strzyga Hanka twierdziła, że to dlatego, iż uzyskał świadomość, a co za tym idzie wolną wolę. Najgorsze, że przy okazji zyskał też zdolność empatii. Jemioła drapał się po brodzie, patrząc na maszynę, która okazała się nazbyt uczuciowa i wrażliwa. Może skoro nie da się jej do niczego zmusić, jakoś zdoła przemówić jej do rozsądku?

– Znów zabawiasz się z turbulencją, Jean? – Za plecami pułkownika pojawił się Rochebrune. – Zostaw to *saleté*<sup>34</sup>, nie ma czasu na głupoty. Trzeba przygotować się do walki. Tylko patrzeć, kiedy Rosjanie się otrząsną i skończą się żarty. Chodź, *allons-y*<sup>35</sup>!

Złapał Jemiołę pod ramię i pociągnął na środek placu, gdzie kłębił się największy tłum. Wszyscy schodzili im z drogi, mundur Rochebrune'a robił piorunujące wrażenie na warszawiakach. Ktoś nawet zaczął śpiewać Pieśń Żuawów, coraz modniejszą pieśń powstańczą. Dołączyły do niego kolejne głosy i po chwili nad placem huczał cały samozwańczy chór. Jemioła uśmiechnął się do siebie. Tak samo zachowywali się mieszkańcy Wąchocka, Małogoszczy czy Staszowa, gdy wchodziło do nich powstańcze wojsko. Miasta witały buntowników z entuzjazmem i radością, a potem płaciły za to wysoką cenę. Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy przypomniał sobie, jak skończyło się to dla miast, które wspominał. Zamieniły się w kupę dymiących zgliszczy.

– Z tego, co zrozumiałem z twojego zawiłego wywodu, kojarzącym się z *nœud gordien*<sup>36</sup>, mamy za zadanie związać wroga walką, sprowokować go i ściągnąć na siebie gniew carskiego wojska... – Rochebrune uśmiechał się pod wąsem i chyba w gruncie rzeczy cieszył się, że wreszcie znów może walczyć.



– Tak. Jesteśmy tu, by odwrócić uwagę.

– Musimy się utrzymać, aż druga armia uderzy w innym miejscu i przechyli *fera pencher la balance*<sup>37</sup> na naszą stronę?

Generał przywykł u boku Langiewicza, że otrzymywał najtrudniejsze zadania, więc nawet nie przyszło mu do głowy, by narzekać. Męczyła go raczej ciekawość i próbował się odnaleźć w sytuacji.

– Mniej więcej.

Jemiole nie mogło przejść przez gardło, że właściwie żadnej drugiej armii nie ma. Jest tylko niewielki oddział Pustowójtowa, który ma dokonać cudu. Jeśli mu się nie uda, będą musieli użyć mocy, a konkretnie Płomyka.

– Przyjmujemy bitwę tutaj, na tym placu, czy przesuwamy się dalej?

– Wydaje mi się, że nie ma sensu tu zostawać. – Pułkownik podciągnął pas z rewolwerami. – Do placu dochodzi dziewięć ulic, z jednej strony świetnie, bo jest się gdzie wycofać, a z drugiej fatalnie, bo Moskale mogą zaatakować zewsząd. Proponuję jak najszybciej się przegrupować i ruszyć w dalszą drogę, najlepiej niewielkimi uliczkami, w których trudno będzie przeprowadzić szarżę kawalerii. Musimy się zachowywać jak Langiewicz, kluczyć i zwodzić przeciwnika, uderzać z zaskoczenia w miejsca, w których się nas nie spodziewa.

– *D'accord!*<sup>38</sup> Zatem musimy się śpieszyć, zaraz wydam rozkazy. Ach, mam tu jeszcze interesanta. – Francuz pomachał do żuawów, próbujących bez użycia siły przegnać tłum z placu.

Ku oficerom zbliżył się mężczyzna w surducie i okularach na nosie. Szedł w otoczeniu kilku, zostających nieco z tyłu, robotników w kaszkietach i młodzieńców o wyglądzie studentów. Kiedy stanął przed Rochebrune'em, wykonał coś w rodzaju niezdarnego salutu.

– Panie generale, chciałem się zameldować. Jestem Hipolit Niezabitowski, adiunkt w carskiej Komisji Rządowej Skarbu, w organizacji miejskiej pełnię funkcję wydziałowego – oświadczył poważnie. – Nie zostałem poinformowany o ogólnym powstaniu, mój wydział jest zupełnie nieprzygotowany do rozpoczęcia walki. Na miejscu udało mi się jednak zebrać dwustu członków organizacji, chętnych do natychmiastowego podjęcia walki.

Ponadto zgłosiło się pięćdziesięciu robotników z pobliskiego Młyna Banku Polskiego na Solcu, a także ośmiu uzbrojonych strażników oraz siedemdziesięciu dwóch pracowników Fabryki Budowy Maszyn Kropiwnickiego z Książęcej.

– Prawie trzystu trzydziestu ochotników – ucieszył się Jemioła. – Świetnie! Liczę, że będzie ich przybywało. Generale, każcie przydzielić im zdobyczną broń.

– Na placu zajęliśmy ponad pół tysiąca karabinów. – Francuz skinął głową. – Zaraz wydam stosowny rozkaz. Najpierw jednak uformujmy z ochotników kompanie, trzeba przydzielić im dowódców, najlepiej doświadczonych żołnierzy.

Pan Hipolit spoglądał niepewnie to na jednego, to na drugiego oficera, nie wiedząc do kogo właściwie należy dowództwo.

– Dobrze. – Jemioła nie miał dziś głowy do takich szczegółów. – Mianuję pana Niezabitowskiego dowódcą batalionu warszawskiego. Dostaje pan awans na stopień majora. Jako dowódców kompanii i podoficerów dowodzących drużynami dostanie pan moich weteranów. Przydziałami pokieruje kapitan Pliszka. Proszę się wziąć w garść i ruszać, bo mamy mało czasu. Ja mam inne...

– *Oh, que non*<sup>39</sup>. – Rochebrune położył mu dłoń na ramieniu. – Nie zgadzam się, byś teraz marnotrawił czas na anomalie. Zajmiesz się dowodzeniem naszą armią i póki tu jestem, koniec z eksperymentami nad mocą. Dość tego, *comprendre*<sup>40</sup>?

Pułkownik westchnął ciężko i skinął głową. Świeżo upieczony major Niezabitowski znów zasalutował i oddalił się, by podzielić swych ludzi na oddziały.

Pliszka z zadowoleniem oglądał zdobyczną broń. Osobiście zabił jej właściciela, młodego oficera, prawdopodobnie szlachcica z bogatej rodziny, o czym świadczyła uroda szabli, którą po nim odziedziczył. Miała piękną, solidnie wykonaną rękojeść z połączaną głowicą oraz jelcem. Musiała kosztować naprawdę sporo, tak samo jak znalezione przy zabitym pistolet kapiszonowy z rękojeścią z białego drewna, srebrna papierośnica i złoty

sygnet z herbem. Kapitan przywłaszczył sobie wszystko z beztróskim zadowoleniem, a na koniec, w ramach przeprosin i zadośćuczynienia, przeżegnał się nad trupem i odmówił szybko zdrowaśkę za duszę pokonanego.

– Niech ci ziemia lekką będzie – zakończył.

Strzyga, siedząca na zwieńczeniu portyku podpartego sześcioma kolumnami i tworzącego ozdobne wejście do kościoła w kształcie rotundy, przyglądała się kosynierowi z uwagą. Jego ostatnie słowa odczytała z ruchu warg. Przechyliła głowę.

– Szkoda, że mnie nie życzyłeś spokojnego spoczynku, tylko uparłeś się, by mnie przywrócić do życia – mruknęła na głos.

Poruszyła się niespokojnie, rozkładając skrzydła. Co się z nią działo? Lodowaty spokój, który dotąd gościł w jej duszy, zaczynał się topić i znikać. W jej umyśle co prawda nie szalał już chaos splątanych kodów w języku maszyn, strzępów wspomnień i uczuć. Z tych ostatnich została całkowicie wyprana, większość wspomnień jednak wróciła, niweczając spokój i cyfrowy porządek, identyczny jak w mechanicznych mózgach maszyn z dalekiej przyszłości. Coś znów zaczynało się w niej psuć. Dostała polecenie, by z wysoka prowadzić rozpoznanie okolicy, ale zamiast z kopuły kościoła obserwować uliczki odchodzące od placu lub choćby nad nim krążyć, uparcie wracała spojrzeniem do postaci potężnego, brodatego chłopca. Pamiętała doskonale ich krótki, ale gorący romans, tylko co z tego? Wtedy była żywą kobietą, teraz jest potworem o umyśle wyczyszczonym przez anomalie. Po co więc zaprzęta sobie umysł mężczyzną z poprzedniego życia?

Do Pliszki podszedł pułkownik Jemioła. Stał tyłem do kościoła, tak że Hanka nie widziała, o czym mówił do jej dawnego kochanka. Kapitan kosynierów zrobił zaskoczona minę.

– I to wszystko w kwadrans? Ło matuś, mam uporządkować tę hałastę w trzy pacierze? – Przypiął szablę do pasa, ciesząc przez chwilę oczy piękną, okutą srebrem pochwą. – Niech bydzie. Wyznaczę dowódców, wielu moich chłopów chwacko poradzi se z tą wielkomijską hołotą, ale głowy nie dam, co wyjdzie w boju. Rozdzielmy wszystkich moich chłopów między warszawiaków, w czasie bitki będą dawać przykład i prowadzić ich do ataku.

Jemioła poklepał wielkoluda po ramieniu i wyraźnie zadowolony obrócił

się, by wydać kolejny rozkaz. Jego wzrok błędził chwilę po niebie, wreszcie padł na siedzącą na portyku strzygę. Pułkownik pomachał do niej, wzywając do siebie. Skoczyła w dół, rozłożyła skrzydła i przemknęła nad głowami powstańców oraz gapiów. Kilku cywili rzuciło się plackiem na ziemię, jakiś dzieciak zaczął wrzeszczeć z przerażenia. Pliszka, widząc nadlatującą ukochaną, został przy pułkowniku.

– Potrzebujemy ciągłego rozpoznania, Hanko – oświadczył Jemioła – ale prowadzonego w taki sposób, by nie zdradzać swojej pozycji. Nie możesz krążyć wysoko nad nami, bo z daleka cię widać. Uruchomiłem moich andrusów z Powiśla, cały legion chłopców i dziewcząt rozbiega się właśnie po okolicy, za parę chwil będziemy dzięki nim kontrolować każdą uliczkę, chodnik i rynsztok. Dzieciaki nie poruszają się tak szybko jak ty, ale myślę, że zapewnią nam skuteczny zwiad. Mogę cię zatem zwolnić z czuwania nad nami. Leć odnaleźć Wandę...

Hanka spotkała się wzrokiem z Pliszką. Dziwnie przyjemne ciepło rozpląnęło się w jej piersi. Uśmiechnęła się nieznacznie, a przynajmniej próbowała, bo wyszedł jej grymas, w którym zaprezentowała rząd groźnych zębów. Jemioła cofnął się o krok, nagle pobladył.

– Dyc to niepotrzebne, Janku! – Pliszka w mig znalazł się przy dziewczynie i zasłonił ją własnym ciałem przed pułkownikiem. – Wandzia da se radę, to sprytna dziewczka, córka chytrego Żyda. Hanka bardziej nam się przyda, pomoże mi zaprowadzić dyscyplinę w nowych oddziałach. Warszawiaki będą czuli mores przed moją dziewczyną!

Strzyga oparła głowę o ramię Pliszki. Zrobiła to bez udziału świadomości, w jakimś odruchu zapamiętanym z poprzedniego życia. Ale kiedy się zorientowała, co robi, nie cofnęła się, tylko wsunęła rękę pod ramię wielkoluda. Przyjemne ciarki przebiegły po całym jej ciele. Właśnie tego potrzebowała – kontaktu z drugim człowiekiem, ciepła i czułości.

Pułkownik sprawiał wrażenie zagubionego. Popatrzył podejrzliwie na obejmującą się parę, wreszcie machnął ręką i odszedł. Strzyga podniosła głowę i spojrzała w oczy swojego mężczyzny. Pliszka szczerzył się w szerokim uśmiechu. Zupełnie nie przeszkadzały mu zmiany w ciele ukochanej. Nadal widział w niej swoją Hanke, a nie skrzydlatą bestię o szponach zamiast

nóg i z szeroką paszczą w miejscu ust. Upiorzyca warknęła z przyjemności. Domyślała się, co ją zmienia, co wprowadza niepokój i burzy cyfrowy ład. Miłość. Wielki kosynier naprawdę ją kochał i wierzył, że uczucie pokona każdą przeszkodę, każdy cyfrowy czar czy nawet śmierć.

I nie mylił się.

\*\*\*

Wieś Słodowiec składała się z kilku gospodarstw z wielkimi sadami, leżącymi po dwóch stronach szosy Zakroczymskiej. Roztaczał się z niej widok na przycupniętą na niedalekim wzniesieniu wioskę Marymont, ze starym kompleksem pałacowym, dawno temu będącym letnią rezydencją królowej Marii Kazimiery, zwanej Marysieńką. Pustowójtow oglądał go przez lornetkę raczej z ciekawości niż taktycznej potrzeby. Nie zamierzał pozostawać długo na podwarszawskich pustkowiach, lada chwila musiał poprowadzić swoje oddziały z powrotem do miasta. Znów skierował wzrok na szosę, nic jednak nie dostrzegł. Zdusił w gardle przekleństwo, choć miał ogromną ochotę rzucić klątwę na całe kozackie plemię, tych zdradzieckich dzikusów, którzy nawet po solidnej łapówce nie potrafili dotrzymać słowa.

– Kwadrans do szesnastej – nerwowo oświadczył Stasiek Barmiński, tymczasowy dowódca „Dzieci Warszawy”.

Pustowójtow spojrzał groźnie na studenta, ale nic nie powiedział. Znów wyszedł na środek drogi. Musieli ruszać, nie mieli więcej czasu. Rannych w potyczce o koszary powązkowskie ukryto w chałupach mieszkańców Słodowca, o dziwo, bardzo chętnych do pomocy. W bitwie poległo tylko dziewięciu powstańców, ale ponad dwa razy tylu zostało poranionych tak dotkliwie, że nie nadawali się do dalszej walki. Ku zaskoczeniu Pustowójtowa miejscowy sadownik i jego syn, a następnie czterech parobków zgłosili się jako ochotnicy. Kazał ich uzbroić i dołączyć do kompanii „Dzieci Warszawy”. Ochotnicy, choć niewyszkoleni i niezdyscyplinowani, zwykle nadrabiali zaangażowaniem i zapalem. Przyda się każdy chętny.

– Panie Kamiński, zbierajcie ludzi do wymarszu – rozkazał żylastemu ogrodnikowi, który pomagał studentowi dowodzić kompanią. – Kijek! Nikodem! Gdzie, kurwa, jesteście?! Ruszamy!

Dwaj sierżanci wyskoczyli z pobliskiej chałupy, gdzie zabawiali rozmową śliczne córki gospodarza. Kijek włożył dwa palce w usta i zagwizdał przeciągle, Nikodem za to zaczął wrzeszczeć po rosyjsku. Powstańcy w carskich mundurach odpoczywali w dwóch pobliskich gospodarstwach, gdzie obzerali się ubiegłorocznymi jabłkami, wyniesionymi z piwnicy przez sadownika. Błyskawicznie i bez szemrania ustawili się na drodze w dwie kolumny, pomiędzy którymi znalazła się bezładna kupa „Dzieci Warszawy”. Ich broń – rosyjskie karabiny, myśliwskie dubeltówki i pojedynki, wreszcie kupa kos – leżała na wozie zaprzężonym w chudą kobyłę odkupioną od miejscowego włościanina. Teofil usadowił się w siodle i krytycznie zlustrował swoją armię. Dwustu niezłe wyszkolonych i zaprawionych w boju chłopaków i dwustu młodych warszawiaków. Szkoda, że esauł Krasnow tak haniebnie go wystawił. Na przyszłość musi zapamiętać, by nie ufać kozakom.

Już miał dać znak do wymarszu, gdy rozległ się głos trąbki. To pikietta wystawiona kawałek za wsią, przy drodze na Zakroczym, dawała znak o zbliżającym się wrogu. Pustowójtow musnął dłonią rękojeść pistoletu, odciągnął kurek i wsunął pod niego kapiszon. Oby kozacy dotrzyмали słowa, bo jeśli zdradzili, ich esauł pierwszy oberwie kulą w łeb.

Dońcy ciągnęli w trzech kolumnach, ze spisami w garściach i krótkimi karabinkami kawalerii przewieszonymi przez plecy. Esauł Krasnow prowadził swój dywizjon, jadąc na czele pierwszej kolumny. Z daleka machał do Pustowójtowa i uśmiechał się szeroko. Teofil zauważył, że kozak zmienił opaskę zasłaniającą pusty oczodół i teraz nosił śnieżnobiałą, kontrastującą zarówno z jego śniadą cerą, jak i czarną bermycą.

– Z Bogiem! – krzyknął z daleka. – Jestem zgodnie z umową.

– Udało się spieniężyć kwity?

– Musiałem w tej sprawie jechać do Warszawy, ale rzeczywiście nie było problemów. Pięćdziesiąt tysięcy zostało wypłacone jako żołd. Moim chłopcom bardzo się podoba służba na takich warunkach. Korpus oficerski oczekuje jednak premii po przeprowadzonej operacji. – Doniec wstrzymał konia kilka kroków od Teofila. – Wypowiedzenie służby carowi to nie byle co. W Imperium jesteśmy skończeni i wystawiamy na szwank reputację całego naszego narodu.

– Polska o was nie zapomni. – Pustowójtow miał nadzieję, że tak będzie w istocie, choć szczerze w to wątpił.

Musiał nakłamać jak nigdy w życiu, by skłonić do dezercji tych trzystu śmiałków. W carskiej armii czekała ich wieloletnia, ciężka służba, a po niej klepanie biedy gdzieś nad Donem, dlatego wizja roztoczona przez Teofila i poparta sowitym strumieniem brzęczących rubli niezwykle pobudzająco podziałała na ich wyobraźnię.

Wiedział, że będzie miał poważny problem z przekonaniem Rządu Narodowego, czy kto tam będzie dowodził buntownikami po całym tym zamieszaniu, by uhonorowali Dońców. Polacy pogardzali kozakami i uważali ich za znacznie gorszą, podrzędną nację. Lekceważyli ich przez stulecia, zamiast po bratersku przytulić do piersi. Teraz zaś potrzebowali ich jak nigdy dotychczas. Jeśli te trzy sotnie poprą atamani i nowy alians zostanie zaakceptowany przez kozaków, powstanie wesprze ponad sto pułków jazdy i kilkanaście baonów piechoty, a do tego cały naród, co w jednej chwili zmieniłoby rozkład sił na arenie Imperium czy nawet całej Europy. Wówczas powstanie wreszcie nabrałoby sensu. Tylko jak przekonać ciągle trzymającą władzę polską szlachtę, by uznała kozaków za równych sobie i w dodatku obdarzyła ich przywilejami?

– Jedna sotnia ze mną na przedzie, dwie zamykają pochód – zakomenderował Pustowójtow. – Ruszamy!

Esauł Krasnow jechał teraz u boku Teofila, wyraźnie zadowolony z siebie. Kipiąca energia kozaka i jego świetny humor zaczynały się udzielać Teofilowi. Kiwał się w siodle w rytm kroków brnącego w błotnistej drodze konia i gwizdał pod nosem wojskową rosyjską piosenkę, której nauczył się jeszcze w okopach Sewastopola. Krasnow zawtórował mu mocnym głosem, do którego natychmiast dołączyły śpiewy kozaków. Nad mazowiecką równiną popłynęła rosyjska pieśń i wzbiła się wysoko w przejaśniające się niebo. Gdzieś w oddali majaczyły już czerwone mury cytadeli.

Twierdza na nich czekała.

\*\*\*

Wanda wyjrzała przez okno gabinetu dowódcy straży. Z piętra miała widok

zarówno na zachód, jak i na południe. Widziała budynek warsztatów i stajnię, stojące przed więzieniem oraz wznoszący się za nimi potężny gmach koszar. Nieco w prawo, niemal stykając się rogiem z X Pawilonem, rysował się drugi wysoki budynek, w którym znajdował się szpital oraz biura. Od zachodu okna aresztu śledczego wychodziły na zadrzewiony park.

Wszędzie kłębili się rosyjscy żołnierze. Ustawili się nawet między drzewami, pootwierali okna koszar, robiąc w nich stanowiska ogniowe, widać ich było także w budynku biurowym i przed stajnią. Co parę chwil któryś z nich strzelał w stronę zajętego przez buntowników więzienia, zupełnie nie przejmując się losem zakładników.

Nagle pocisk uderzył we framugę okna, z którego spoglądała Wanda, i strzaskał szybę. Dziewczynie serce podskoczyło do gardła. Cofnęła się pod ścianę, odruchowo kładąc rękę na piersi. Brzęk tłuczonego szkła wstrząsnął nią niczym wymierzony niespodziewanie policzek. Dopiero jakąś godzinę temu w miarę doszła do siebie po kontakcie z narzędziem tortur Urzędu Przemian i nerwy ciągle miała zszargane, a ciało obolałe.

– Do roboty zabrali się strzelcy wyborowi – spokojnym tonem oświadczył Loewenhardt. – Lepiej się odsuń od okna.

Stanisław siedział na ławie pod ścianą w towarzystwie Heni Pustowójtówny. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze Dąbrowski, jego narzeczona i dwóch niedawnych więźniów: Jordan i Majewski. Obaj wyglądali niepozornie, ot dwóch trzydziestoletnich gryzipiórków z jakiegoś podrzędnego urzędu. Chudzi i wymizerowani, z krzaczastymi, niechlujnymi brodami, drastycznie różnili się od kipiącego energią, umięśnionego Loewenhardta. Obaj pochylali się nad stołem, kibicując piszącemu Dąbrowskiemu. Łokietek układał właśnie adres – listę żądań skierowaną do komendanta cytadeli. W zamian za życie sześciu wysokich rangą żandarmów życzył sobie dostarczenia wierzchowców i wozów, którymi więźniowie będą mogli opuścić okolice miasta.

– Bez sensu – mruzczał Karol Majewski, długowłosey niedoszły lekarz, a od trzech lat wpływowy działacz organizacji. – Dwustu ludzi nie zniknie bez śladu. Nie pozwolą nam na to. Pewnie nawet nie odjedziemy na pół wiorsty od cytadeli, gdy dopadną nas kozacy i wytną do nogi.



– Mnie też ucieczka wydaje się niemożliwa – przytaknął Jordan.

– To co mam zrobić, do cholery? – oburzył się Jarosław. – Prosić o łaskę Jego Cesarską Mość?

Majewski, który uważał się za autorytet i osobę na tyle ważną, że natychmiast próbował wejść w rolę politycznego przywódcy buntu, wyprostował się, robiąc natchnioną minę, i nerwowo poprawił przetłuszczone, posklejane w strąki włosy, które opadały mu na oczy.

– To wcale nie jest głupi pomysł! – zagrzmiał mentorskim tonem. – Powinniśmy negocjować nadzwyczajne złagodzenie kary. W geście dobrej woli trzeba uwolnić kogoś z uwięzionych. Może Tuchołkę? To całkiem porządny człowiek, nieprzekupny i szczerzy we wszystkim, co robi. Mógłby w naszym imieniu poprowadzić rozmowy z wielkim księciem i podkreślić, że wszyscy tu obecni są skorzy do współpracy oraz pragną rozwiązać konflikt polubownie...

Stanisław parsknął śmiechem. Wanda pokręciła głową.

– Mamy zupełnie inne zadanie – powiedziała. – Musimy skupić na sobie uwagę obecnych w cytadeli Moskali, by dać niezbędny czas siłom pułkownika Jemioły. Powinniśmy zatem trwać tu i jak najdłużej wodzić wroga za nos.

– Nie odpowiada mi funkcja żywej tarczy tylko po to, by jakiś buntowniczy watażka mógł rozrabiać pod nosem zajętych nami Rosjan. – Majewski spiorunował Wandę wzrokiem. – Poświęcenie dla sprawy owszem, ale wtedy, kiedy ma to sens. Panienska nie powinna wypowiadać się na tak poważne tematy, które zresztą przerastają zdolności intelektualne panienski. Lepiej niech panna nam przyniesie herbaty, zamiast wtrącać się w męskie rozmowy. Panowie, proponuję kapitulację po wynegocjowaniu najlepszych warunków. Pokazaliśmy, iż nie życzymy sobie okrutnego traktowania i brutalnych przesłuchań, pokazaliśmy, że potrafimy się postawić. Teraz okażmy skruchę i zdajmy się na sprawiedliwość i dobroć Jewo Wieliczestwa cara Aleksandra.

– Działasz pan w zмовie z Moskałami czy co? – Henia poderwała się z miejsca. Stanisław natychmiast stanął za jej plecami. – Wszyscy, którzy wzięli udział w buncie, skończą na szubienicy, nieważne, czy się ukorzą, czy nie. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie liczył na to, że Romanow nagle się zlituje. Naszą jedyną szansą na przeżycie jest pułkownik Jemioła. Musimy mieć

nadzieję, że mu się uda i zwycięży. Wzięłam udział w tym ataku, by walczyć, a nie płaścić się przed carem i przepraszać. Propozycja poddania się jest kuriozalna i śmierdzi zdradą.

„Spróbuj tylko znowu nazwać mnie panienką, a zaliczysz taką fangę w nos, że się nogami nakryjesz” – pomyślała jeszcze, ale powstrzymała się przed dodaniem tej uwagi.

Dąbrowski pokiwał głową i znów umoczył pióro w kałamarzu. Stojący obok Jordan uśmiechnął się do Heni przymilnie, bo właśnie znalazł się pod jej czarem i w jednej chwili stał się zwolennikiem bezwzględnej walki do samego końca. Nie musiał nawet nic mówić, wystarczyła sama rozanielona mina. Stanisław zazgrzytał zębami, hamując atak furii. Moc ciągle kotłowała mu się w umyśle i nieustannie musiał się pilnować.

– Napisz ten adres, Jarku – wycedził. – Wyślijmy go do komendanta razem z głową Tuchołki. Niech wiedzą, że nie żartujemy. Będą kombinowali, jak uwolnić pozostałych, z Rozwadowskim na czele, co da nam potrzebny czas.

– Opętał was jakiś demon czy co? – oburzył się Majewski. – To skrajnie nieodpowiedzialne zachowanie. Protestuję, nie pozwolę na żadne bestialskie mordy.

– Zamknij się, tchórze – wycedził Stanisław, zaciskając pięści.

Czarne płomyki mocy popłynęły po skórze doktora, a jego twarz wykrzywiła się w gniewnym grymasie.

– Proszę zaprotokołować moje stanowisko. – Majewski zwrócił się nie wiadomo do kogo. – Jestem zwolennikiem polubownego załatwienia tej sprawy i absolutnie protestuję przeciw zabijaniu zakła...

– Precz – syknęła Wanda tonem wbijającym się w mózg niczym lodowa szpila.

Majewski skulił się, wtulił głowę w kołnierz i wybiegł z pomieszczenia. Dąbrowski nawet nie podniósł wzroku znad listu. Pisał jakiś czas w milczeniu, po czym złożył zamaszysty autograf i sięgnął po piasek, by posypać nim adres. Zastygł w połowie gestu.

– Ktoś jeszcze chce się podpisać?

Stanisław bez słowa wyjął mu pióro z dłoni i pochylił się nad stołem. Potem zrobiły to Henia i Pelagia. Wanda, jako nieradząca sobie z pisaniem,

zrezygnowała. Dąbrowski obserwował je w zamyśleniu.

– Mam nadzieję, że komendantowi zależy na życiu uwięzionych przez nas żandarmów i generała Rozwadowskiego – powiedział. – Jeśli ma ich w nosie i zdecyduje się na atak, nie odeprzemy nawet pierwszego szturm.

Pelagia położyła mu dłoń na ramieniu w uspokajającym geście, choć sama pobladła ze strachu. Wanda zacisnęła zęby i ostrożnie, wzdłuż ściany, podpełzła do okna. Wyjrzała przez nie powoli, starając się nie wystawiać głowy. Na zewnątrz ciągle przybywało żołdatów.

Kamienny obelisk na placu Gwardii mierzył w niebo niczym oskarżycielski palec. Postawiono go ku czci poprzedniego cara za pieniądze wyciśnięte z warszawiaków w ramach kary za powstanie listopadowe. Pomnik tkwił tu jako granitowe memento, by stacjonujące w twierdzy wojska nie zapomniały o zdradzieckiej naturze Polaków. Generał Lewicki stanął na jego cokole, chcąc dojrzeć X Pawilon ponad głowami maszerujących wte i wewte żołnierzy. Zaciskał palce na rękojeści szabli i kipiał ze złości. I co on teraz powie wielkiemu księciu? Najpierw zaprasza go wraz z rodziną do bezpiecznego schronienia, a tu się okazuje, że w niemożliwej do zdobycia cytadeli w najlepsze trwają zamieszki, zaś banda byle łachmytów w łańcuchach zajmuje więzienie. Zgroza! Jeśli natychmiast nie opanuje sytuacji, może sobie od razu strzelić w łeb. I tak będzie skończony, nie ma sensu żyć w hańbie.

Ruszył szybkim krokiem w stronę aresztu. Podreptało za nim posłusznie czterech adiutantów, młodych oficerów, którzy bardziej mu zawadzali, niż pomagali, i których traktował jak powietrze. Nie potrzebował teraz nieopierzonych młodzików, a zdolnych i doświadczonych żołnierzy, wszak znalezienie takich nie powinno stanowić problemu w twierdzy pełnej wojska. I faktycznie, trzech znajomych weteranów stało na rogu koszar, skąd przez lornetki obserwowali X Pawilon. Podszedł do nich żwawo i chrząknął, by dać znać o swojej obecności. Oficerowie natychmiast wyprostowali się jak struny. Najwyższy i najmłodszy z nich, z krótką bródką i w pięknym granatowym mundurze lejbgwardii, był świetnie zapowiadającym się sztabkapitanem, szlachcicem z książęcego rodu; o ile Lewicki dobrze pamiętał, nazywał się Mikołaj Mikołajewicz Oboleński. Towarzyszył mu dość gruby pułkownik

artylerii z wielkimi faworytami i rozczesaną na dwie części brodą – Mikołaj Estaflebiczy Sztaden – oraz brodaty i barczysty elegant w huzarskiej dolmanie – pułkownik kawalerii Mikołaj Stefanowicz Leonow.

Trzech Mikołajów przyglądało się ciekawie Lewickiemu, a w ich spojrzeniu dostrzec się dało pewne pobłażanie: tak patrzy się na nieudacznika zagrożonego degradacją i dymisją. Generał bez słowa wyciągnął do Oboleńskiego rękę po lornetkę, a potem przez parę chwil obserwował okna X Pawilonu.

– Co radzicie, panowie? – spytał krótko.

– Czekać – odparł równie lapidarnie młody książę. – Sami szybko zrozumieją, że są w sytuacji bez wyjścia. Poddadzą się, i to dość prędko.

– Nie możemy czekać. – Lewicki oddał mu lornetkę. – Najdalej za trzy, cztery godziny do cytadeli przeniesie się sztab Konstantego. Kazałem przygotować dla jego rodziny piętro domu generalskiego. Wprowadzą się tu także bliscy najwyższych oficerów z całego miasta, chciałem udostępnić im pomieszczenia w budynku szpitalnym. Zanim w cytadeli stanie noga generalskich krewnych, po zbuntowanych więźniach nie może pozostać nawet ślad.

Pułkownik huzarów zakręcił węża, prychnął pod nosem.

– Nie rozumiem, w czym problem? Jeden szturm i po kłopotach. Jeśli piechurzy nie dadzą rady, mogę wysłać któryś z moich szwadronów. Moi chłopcy poszatkują tych obdrapańców na plasterki. Nie zajmie im to więcej niż pół godziny.

– Mają generała hrabiego Rozwadowskiego. – Lewicki westchnął ciężko. – I kilku żandarmów, w tym pułkownika Tuchołko. Zabiją ich, jeśli zaczniemy szturm...

Do oficerów niespodziewanie podbiegło dwóch żołnierzy, jakiś feldfebel w towarzystwie szeregowego żandarma. Obaj zaszalutowali sprężycie przed adiutantami, którzy zastąpili im drogę. Po krótkiej wymianie zdań na ręce chudego chorążego, przewodzącego świecie Lewickiego, zostało przekazane pismo i pakunek.

– Panie generale, buntownicy uwolnili jednego z pojmanyh żandarmów, to ten obwieś ze szczyrzącą się gębą. Dali mu do przekazania na wasze ręce

adres i ten podarek. – Chorąży z odrazą wykrzywającą twarz wyciągnął przed siebie pakunek, zawinięty w zbrukany krwią mundur.

Lewicki zignorował prezent, rozłożył pismo i przeleciał je wzrokiem. Parsknął ze złością, zmiął adres i cisnął go na ziemię.

– Chcą wozów, koni i możliwości opuszczenia cytadeli – wyjaśnił trzem Mikołajom. – Gdybym pozwolił im uciec, Konstany natychmiast rozkazałyby mnie rozstrzelać.

– Co jest w tym tłumoku? – spytał Sztaden.

Generał skinął chorążemu, a ten, nadal się krzywiąc, rozsuptał rękawy munduru i odsłonił makabryczną przesyłkę. Wypadła mu z rąk i plasnęła w błoto. Zabryzgana krwią głowa jakiegoś człowieka o paskudnej gębie patrzyła w niebo wytrzeszczonymi oczami. Na starych żołnierzach jej widok nie zrobił specjalnego wrażenia, tylko książe Oboleński z niesmakiem wydał usta.

– Kim był ten pechowiec? – spytał.

– To major Żuczkowski, komendant X Pawilonu. Polak, ale wierny carowi. Rodacy niezbyt za nim przepadali, nic dziwnego, że urwali mu łeb – odparł Lewicki.

Co parę chwil padał pojedynczy karabinowy wystrzał, najczęściej z rosyjskiej strony, dlatego oficerowie nie zareagowali na kolejny, który w tej chwili wstrząsnął powietrzem. Dopiero kiedy wysoki chorąży, ciągle stojący nad makabryczną przesyłką, jęknął głucho i opadł na kolana, wszyscy poruszyli się niespokojnie. Zaprawieni w boju pułkownicy pochylili się i chyłkiem przemknęli za róg koszar. Lewicki dołączył do nich jednym susem, a po chwili uczynił to także książe Oboleński. Chorąży tymczasem runął martwy twarzą do dołu. W jego plecach ziała krwawa dziura po karabinowym pocisku.

– To ostatecznie kończy pertraktacje – warknął wściekły Lewicki. – Najchętniej puściłbym ten budynek z dymem, bez brania jeńców i ratowania tyłka Rozwadowskiemu. I tak nie przepadam za tym bufonem.

– Nie widzę problemu – zaproponował huzar. – Mogę poprowadzić szturm.

– Będzie sporo ofiar – zauważył książe. – Bandyci mają broń i, jak się przekonaliśmy, potrafią kęsać. W zatarasowanych korytarzach budynku mogą

bronić się godzinami.

– Pozwólcie, ja się tym zajmę – odezwał się pułkownik Sztaden. – W kwadrans ustawimy w przesmyku między budynkami cztery sześciofuntowe armaty. Kilka połowych dział mamy przecież tam, na placu, wystarczy je przetoczyć. Możemy kolejne cztery armaty rozmieścić na drugim rogu koszar. Do tego na najbliższym nam trzecim bastionie widziałem moździerze na lawetach. Ponad dziesięć sztuk, o dużym kalibrze. Trzeba je jedynie obrócić i spokojnie wycelować. Jeśli dostanę do nich księgi z kąta i tabelami, w kilka, góra kilkanaście minut, ustawię je tak, by precyzyjnie zbombardować Dziesiąty Pawilon bez ryzyka uszkodzenia innych budynków. Najdalej za godzinę, może półtorej, nie będziesz miał pan, generale, śladu po tym nieszczęsnym więzieniu, i to bez strat własnych. Zmieciemy je z powierzchni ziemi.

Lewicki spojrział gniewnie na ciało swego adiutanta, które kilku piechurów układało właśnie na noszach. Czuł wściekłość, pulsującą w skroniach tępymi uderzeniami. Dość tego!

– Pułkownik Sztaden, proszę natychmiast się tym zająć – rozkazał krótko. – Zaraz przydzielę panu rotę artylerzystów z załogi twierdzy. Ostrzał należy rozpocząć, kiedy tylko będzie to możliwe.

– Za artylerzystów dziękuję, mam swoich, z gwardyjskiego pułku artylerii. – Sztaden zasalutował niedbale, przyjmując rozkaz. – Natychmiast zabieram się do roboty.

– A co z hrabią Rozwadowskim? – przypomniał książe Oboleński.

– Z pewnością już nie żyje – lodowatym tonem oświadczył Lewicki. – Buntownicy zamordowali go bestialsko, tak samo jak majora Żuczkowskiego. Wszyscy panowie byliście świadkami, sami napisali mi o tym w adresie z pogrózkami, który zaginął w ferworze walki.

Generał nie czekał na komentarz oficerów, odwrócił się i ruszył w kierunku domu generalskiego. Musiał przypilnować przygotowań do przyjęcia wielkiego księcia. Nie zaprzętał sobie więcej głowy losem zakładników. W zdradzieckich atakach i tak zginęło dziś mnóstwo Rosjan, więc ci pechowcy po prostu dołączają do listy poległych. Taki już los żołnierza.

\*\*\*

Warszawiacy ruszyli tłumem za oddalającymi się szybkim krokiem powstańcami. Na nic zdały się krzyki coraz bardziej rozzłoszczonego pułkownika Jemioły, który próbował przegonić ciekawskich. Chmara gapiów rosła z każdą chwilą; część, co prawda, została na Placu Świętego Aleksandra, ale spora grupa podążyła za powstańcami. Niezdrowa ciekawość i chęć zobaczenia, jak Polacy biją Moskali, całkiem przyćmiła zdrowy rozsądek. Wrzeszcząca hałastrą coraz śmieiej wznosiła buntownicze okrzyki, jakby mogły dodać animuszu idącym na bój.

Kolumny powstańców znów maszerowały w dół Książęcej, w stronę Wisły. Pochód tym razem prowadzili Żuawi Śmierci, a zamykała kompania świeżych ochotników przemieszanych z kosynierami Pliszki. Sam wielkolud asystował pułkownikowi w próbach przemówienia tłumowi do rozsądku. Jemioła od wrzasków zrobił się czerwony. Wymachiwał jednym ze swoich rewolwerów, demonstrując, w jaki sposób Moskale potraktują każdego, kto towarzyszy uzbrojonym buntownikom. Gapie jednak tylko się śmiali, szczególnie dzieciaki i kilku pijanych andrusów, których wyciągnęły z jakiejś meliny odgłosy bitwy. Ograbianie zabitych Rosjan okazało się na tyle intratne, że koniecznie chcieli znaleźć się jako pierwsi na miejscu kolejnej potyczki.

– Ludzie, na miłość boską, idźcie do domu! Błagam was! – Jemioła po raz ostatni próbował rozgonić towarzystwo. – Nie chcę mieć was na sumieniu! Zlitujcie się!

– Może ja spróbuję? – Pliszka rozpiął swoją chłopską kapotę, by mu nie krępowała ruchów.

Miał ochotę strzelić w pysk któregoś z rozbawionych łobuzów. Żaden nie zamierzał przyłączyć się do szeregów, za to robili sobie z całego zamieszania widowisko i tylko czekali, by coś zwędzić. Nie czekając na odpowiedź pułkownika, wielkolud skoczył i złapał za koszulę na karku najbliższego oberwańca. Wyszczrzył zęby i pryskając śliną, ryknął mu w twarz niczym wściekły niedźwiedź. Gapie cofnęli się przed wielkim szaleńcem.

– Oboroten. Odmieniec – rozległy się przestraszone szepty.

Jemioła nie obawiał się, że agresja tłumy skieruje się przeciw powstańcom tylko dlatego, że trafiali się wśród nich ludzie o zepsutej krwi.

Dopiero co warszawiacy bili brawo ognistemu olbrzymowi i podziwiali przelatującą nad ich głowami strzygę. Dopóki odmieńcy i wszelkiego rodzaju pomiot mutatio bili Moskale, tłum stał po ich stronie. Nie wiadomo tylko, jak długo. Strach przed szaleńcami dotkniętymi mutatio szybko przeradzał się w nienawiść i chęć niszczenia tego, co obce i niezrozumiałe. Jeśli Pliszka zrobiłby krzywdę jakiemuś łapserdakowi, miłość tłumowi łatwo mogła przemienić się we wściekłość.

– Jada! Panie oficjerze, Moskale! – Jeden z andrusów wysłanych na zwiady przebił się przez tłum, wymachując podartą czapkę.

Pułkownik doskoczył do chłopaka i chwycił go za rozpięty kubrak.

– Skąd nadchodzą?

– Aleją z Ujazdowa! Kawaleria w granatowych mundurach, całe mnóstwo. Za chwilę będą na placu – oświadczył malec.

– Zjeżdżaj w dół ulicy, chłopcze. – Pułkownik pchnął go mocno, nadając rozpęd do dalszej galopady. – Ludzie, Moskale idą! Uciekajcie!

Na ulicy się zakołowało. Wesołkowie rzucili się w stronę najbliższej kamienicy i wpadli w jej bramę. Kilku bardziej przerażonych przeskoczyło przez płot Parku na Książęcem, który piął się skarpami z jednej strony ulicy. Reszta pomknęła z powrotem w stronę placu. Pliszka zagwizdał na palcach i zaczął basowo ryczeć rozkazy. Kompania ochotników, kierowana poszturchującymi ich kosynierami, rozstawiała się w poprzek ulicy w trzyrzędową formację. Pierwszy szereg ukląkł, dwa pozostałe miały strzelać nad głowami kolegów.

– Wierciński! – Jemioła machał do krępego oficera w czerwonej czapce.

– Zaraz będę gotowy! – Kapitan artylerzystów uniósł rękę.

Jego podwładni natychmiast zawrócili koniki ciągnące lawety z kartaczownicami. Kilku artylerzystów błyskawicznie je wyprzęgło, a trzy korbowe, sześciolufowe karabiny na kołach zostały ustawione na środku ulicy, za plecami piechurów. Czwarta pojechała w dół Książęcej razem z żuawami.

– Nie strzelać bez rozkazu! – Pułkownik przebiegł wzdłuż ciasnego szeregu strzelców. – Tylko jedna salwa! Pamiętajcie, jedna salwa na mój rozkaz. Damy im radę!

Patrzyły na niego twarze członków organizacji miejskiej – inteligentów z



cienkimi wąsikami, urzędników w schludnych surdutach, robotników o surowych, zaciętych obliczach, rzemieślników, wyrobników, parobków i żebraków. Niektóre bardzo młode, inne pokryte siecią zmarszczek. Wszystkie jednak, bez wyjątku, przejęte i skupione. Wyłuskiwał też wzrokiem znajome gęby swoich kosynierów, czasami uśmiechnięte, czasami zaś szczerzące zęby w groźnych grymasach. Byli weteranami, którzy posmakowali już bitewnego pyłu i własnej krwi. Wiedzieli, co ich czeka.

– Jasne, że damy radę! Prawda, chłopcy? – zadudnił Pliszka, który stanął o krok przed pierwszym szeregiem.

Jemioła z zaskoczeniem zauważył, że wielkolud obwiesił się zdobycznymi precjozami – u pasa dyndała mu błyszcząca szabla i kabura z polerowanej skóry, a w rękę trzymał pistolet, który lśnił, jakby wykonano go z czystego srebra. Pułkownik stanął obok i wyciągnął oba swoje rewolwery – Peggy i Daisy, ukochane amerykańskie ślicznotki. Uśmiechnął się do Pliszki, od którego mutatio aż strzelało iskrami. Kosynier wyszczerzył zęby, z gardła wyrwał mu się pomruk. Jego oczy błyszczały żółcią jak ślepia wilka: pewny znak, że zbliża się pora zabijania.

Strzyga z łopotem wylądowała na szczycie schodów prowadzących pod portyk Kościoła Świętego Aleksandra. Stojący u ich stóp Płomyk nawet nie odwrócił głowy. Nieruchomym wzrokiem patrzył na to, co się działo na placu. Powstańcy już się z niego zabrali, za to została cała chmara gapiów i szabrowników, przeczesujących pobojowisko i ograbiających rosyjskie trupy. Nie wiadomo skąd pojawiły się wychudzone psy, nieśmiało kręcące się przy zabitych i zlizujące krew z bruku. Kilka bab modliło się nad poległymi, dzieciaki ganiały tam i z powrotem, wrzeszcząc z podniecenia. Kiedy ktoś wreszcie oprzytomniał i zaczął krzyczeć, że aleją Ujazdowską galopują dragoni, niemal nikt nie zareagował. Dopiero po chwili część gapiów ruszyła do ucieczki, jeszcze bez przekonania, jakby w obawie, że ominie ich widowisko. Dopiero kiedy od drugiej strony, od ulicy Wspólnej, rozległy się wystrzały i krzyki, ludzie rozbiegli się w popłochu.

Dragonie wpadli na plac, pomiędzy uciekających w panice gapiów. Jakiś porządnie ubrany młodzian podbiegł do prowadzącego ich oficera i zaczął coś

tłumaczyć, wskazywać kierunek, w którym wycofali się powstańcy. Natychmiast dołączył do niego starszy pan w cylindrze, gorliwie kiwając głową i dodając swoje trzy grosze. Lojaliści wpełzali jakby spod ziemi, aż po chwili zebrała się ich cała grupka. Żarliwie donosili o liczebności powstańców, relacjonowali podsłuchane rozmowy, plany i taktykę. Dragoni tymczasem wkroczyli na pobojuwisko, ze zgrozą oglądając zabitych Rosjan. W wylocie na Wspólną pojawiła się idąca całą szerokością ulicy tyraliera lejbgwardii w pięknych czarnych mundurach i od razu otworzyli ogień do przemykających gapiów. Palili raz za razem do wszystkiego, co się ruszało, nie patrząc, czy strzelają do mężczyzn, kobiet czy dzieci.

– Zabierajmy się stąd. – Hanka załopotowała skrzydłami. – Musisz dołączyć do oddziału!

Płomyk smętnie pokręcił głową.

– Odejdź – zaskwierczał tylko w języku maszyn.

Strzyga poderwała się do lotu. W powietrzu zabzyczały karabinowe pociski, strzelali do niej zarówno dragoni, jak i gwardziści. Zaśmiała się tylko wysokim, przeszywającym głosem i zniknęła nad dachami kamienic.

Płomyk tkwił dalej bez ruchu, nieustannie walcząc z dyrektywami. Z jednej strony szarpały nim, wbudowane w strukturę umysłu, kody nakazujące posłuszeństwo, a z drugiej – niedawno narodzone sumienie. Nie chciał zabijać. Chciał bronić życia i nieść ratunek.

Jego spojrzenie padło na parę dzieciaków. Chłopiec w brudnych spodniach ciągnął za rękę małą dziewczynkę, pewnie siostrę, sądząc po identycznym kolorze włosów obojga. Próbowali przebiec przez plac w kierunku kamienicy z żelazną bramą, byle dalej od maszerującego muru czarnych piechurów, zabijających wszystko na swej drodze. Dzieciaki jednak nie miały szans uciec przed kulami. Pierwszy pocisk wystrzelony w ich stronę zadzwonił o bruk, drugi świsnął, o włos mijając chłopca. Ten nagle zmienił kierunek ucieczki i pognął w stronę Płomyka.

– Ratujcie! Ognisty panie, ratujcie! – wrzeszczał.

Płomyk drgnął, a po chwili ruszył przed siebie. W jednej chwili pękł zły czar trzymający go dotąd w miejscu. Dyrektywy rozsypały się w strumieniach bezużytecznych rozkazów i algorytmów. Wreszcie mógł sam o sobie stanowić i

wiedział już, czemu poświęci swój byt – ratowaniu ludzkiego życia, jego ochronie i opiece nad potrzebującymi. Poczuł się lekki i szczęśliwy. Zrozumiał też, co to takiego wolność, bowiem właśnie jej doświadczył. Wiedział już, o co walczą powstańcy i dlaczego ten beznadziejny zryw jest tak ważny.

Rozłożył ramiona i uklęknął, pozwalając dzieciom schować się za swoim masywnym ciałem. Pociski pacnęły go w plecy, ołów połaskotał tylko i spłynął na bruk. Płomyk odwrócił głowę i rzygnął fontanną ognia. Do piechurów dotarł ledwie gorący podmuch, ale sam widok kolosa miotającego płomienie wystarczył, by gwardziści z doborowego Keksholmskiego Pułku rozbiegli się, w panice porzucając broń.

Płomyk poprowadził dzieci przez plac, plecami zasłaniając je przed gwardią, a bokiem przed dragonami. Tymczasem w wylocie Wspólnej zadudniły kopyta czterech koni, ciągnących galopem lawetę z armatką. Gwardziści rozsunęli się, robiąc miejsce artylerzystom, którzy błyskawicznie obrócili działo i wpakowali mu do lufy worek z prochem. Chwilę później tuż obok zatrzymała się czarna kibitka, z której wyskoczyło dwóch mężczyzn. Jednym był radca Tichon we własnej osobie. Tym razem wyróżniał się trzymaną w dłoni laseczką, której gałka płonęła oślepiająco białym światłem. Towarzyszył mu wysoki chudzielec o aparycji konającego suchotnika – Wasilij Pawłowicz Pawlisziew. Odmieniec nosił wielkie czarne rękawice z grubej skóry, a pod pachą targał niedużą, ale wyraźnie ciężką skrzynkę. Postawił ją na ziemi i otworzył wieko, po czym wyciągnął ze środka czarny woreczek brzęczący wypełniającymi go kawałkami metalu. Wpakował mieszek do lufy armaty, wyrwał kanonierowi z ręki stempel i osobiście ubił nim pakunek z siekańcami.

Płomyk dotarł do końca placu i stanął przed zamkniętą bramą kamienicy. Znajdujące się w niej masywne drzwi otworzyły się po chwili i dzieci wbiegły do środka. Ocalił je! Uratował! Poczuł, jak szczęście jeszcze mocniej rozpala jego płomienie. Zamruczał pieśń zadowolenia w trzeszczącym języku maszyn i odwrócił się w stronę placu. Jakiś ranny w nogę nieszczęśnik czołgał się między trupami, rozpaczliwie próbując usunąć się z drogi dragonom. Płomyk szybko ruszył ku niemu. Wyszedł zza kościoła, tak że znów stał się widoczny z okolic wylotu Wspólnej. W tym momencie radca Tichon przycisnął

płonącą laskę do otworu lontowego armaty. Grzmotnęło głucho i kolumna dymu wystrzeliła z ognistym podmuchem rozżarzonych siekańców, zrobionych z kawałków metali wyniesionych z jakiejś turbulencji i nasyconych mutatio.

Płomyk poczuł bolesne szarpnięcie, gdy część szrapneli wbiła się głęboko w jego ciało. Obrócił się ze zdumieniem, gdy po porażonym boku rozszedł się lodowaty chłód. W umyśle zaszumiał mu niezrozumiały chór tysięcy głosów mówiących w cyfrowym języku. Z trudem zrobił kilka kolejnych kroków, z przerażeniem uświadamiając sobie, że obce kody wdzierają się w niego głęboko i kaleczą jego kod źródłowy. W miejscach, w które oberwał, wieczny ogień przygasał, stłumiony przejmującym zimnem. Szrapnele przyniosły ze sobą strzępy programów, w tym całe brudne kody oprogramowania wirusowego, które natychmiast zaczęło się rozmnażać. Płomyk zatrzymał się nagle uspokojony. Wiedział, że to koniec. Bez antywirusów nie miał szans. Zaczął gasnąć. Chłód wypełnił jego umysł, a chór głosów zamienił się w ryk, w potępieńcze wycie.

Tichon z zadowoleniem patrzył na poruszającego się coraz wolniej kolosa. Płomienie okrywające jego ciało zgasły, zatrzymał się i wyglądał teraz, jakby wykuto go z błękitnego lodu. Okazało się, że zwykle ukryta pod morzem płomieni twarz olbrzyma jest piękna jak u anioła z kościelnego obrazu.

Nagle lód trzasnął i rozsypał się na tysiące kawałków.

Gwardziści zaczęli wiwatować.

Jemioła odciągnął kurki obu rewolwerów. Kapiszony spoczywały na kominkach bębenków i raczej nie zamokły. Oficer jeszcze raz spojrzął na szereg strzelców. Dwieście karabinowych luf mierzyło w wylot ulicy. Po prawej mieli płot parku, zrobiony z kutych żelaznych prętów, po lewej parterowe domy. Ulica schodziła ostro w dół, w stronę Wisły, powstańcy stali zatem na pochyłości. Wróg zaatakuj z góry, a w dodatku droga w tym miejscu była bardzo szeroka, co pozwoli Moskałom rozwinąć oddział i uderzyć dużą siłą. Jemioła zdawał sobie sprawę, że w takich warunkach nie mieli najmniejszych szans, by zatrzymać atakującą kawalerię. Rosjanie przejadą po powstańcach, nawet nie zwalniając.

Pliszka splunął na ziemię i zaczął mamrotać gardłowo jakieś przekleństwa.

Nagle nad dachami pojawiła się skrzydlata sylwetka Hanki. Strzyga wzbiła się wysoko nad miasto i po paru chwilach zamieniła się w mały punkt. Pliszka śledził ją wzrokiem. Widok ukochanej chyba nieco go uspokoił, bo przestał bulgotać i warczeć.

Powietrzem wstrząsnął huk – bez wątpienia armatni wystrzał. Jemioła modlił się, by żuawi nie wleźli prosto na artylerię. Powinni już skrócić w Smolną, z fabryką maszyn żelaznych na rogu. Oby nie wpakowali się w jakąś pułapkę.

– Jesteśmy gotowi, Janku! – zameldował wreszcie Wierciński.

Pułkownik pomachał mu na znak, że słyszy i przyjmuje do wiadomości. Nie miał pojęcia, ile trwa ładowanie kartaczownic. Wydawało mu się, że wystarczy wcisnąć w nią bęben z nabojami i gotowe. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Artylerzyści krzatali się wokół tych karabinów, jakby co najmniej ładowali Car Puskę<sup>41</sup>.

– Moskale – warknął Pliszka.

Dragoni pojawili się w wylocie Książęcej. Oglądani z dołu wydawali się wielcy i w dwójnasób groźni. Wokół nich roilo się od piechoty w czarnych mundurach. Przez chwilę powstańcy sądzili, że Rosjanie zaatakują całą kupą, ale widocznie oficer dragonów postanowił się popisać i rozbić buntowników jedną szarżą, by gwardia nie zdołała przejąć laurów. Trębacz zagrał sygnał do ataku i szwadron dragonów ruszył. Jeźdźcy, jadąc w dół, rozpędzali się błyskawicznie. Nie przeszkadzał im nawet mokry bruk, kopyta łomotały w niego wściekle, wcale się nie ślizgając.

Moskale widzieli tylko tłum cywili z karabinami i nie wahali się ani chwili. Przecież zawodowe wojsko poradzi sobie z nędną hałastrą bez najmniejszych problemów.

Widok pędzących jeźdźców, błyskających szablami i dwugłowymi orłami na czapkach, zapierał dech. Wielu ochotnikom kolana same zaczęły dygotać i trudno im było utrzymać karabin. Z każdą chwilą nowi żołnierze coraz bardziej tracili zapał.

– Cel! Ognia! – ryknął Jemioła i dla przykładu wypalił z obu luf.

Gruchnęła nierówna salwa. Kłęby dymu zasnuły całą ulicę. Smród z ciągnącego się wzdłuż ulicy rynsztoka znikł, zastąpiony zapachem palonego

prochu. Przez huk przebił się kwik ranionych koni, łomot i chrzęst. Dwieście pocisków, wystrzelonych w jednej chwili do zwartego muru jeźdźców, musiało wprowadzić trochę zamieszania i zwolnić impet.

– Na boki! – wrzasnął pułkownik.

– W tył! I ładować broń! – zawtórował mu Pliszka.

Tego nie musiał powtarzać, buntownicy rozpierzchli się w mgnieniu oka. Jemioła pognął razem z nimi w dół ulicy, minął Wiercińskiego, trzymającego oburącz rękojeść kartaczownicy, i w przelocie pacnął go w ramię.

– Teraz, chłopcy! – rozkazał.

Jeden z artylerzystów zaczął kręcić korbą karabinu, podczas gdy kolejnych czterech, klęcząc, zapierało się o koła, a mały kapitan osobiście celował. Zadudniły wszystkie trzy działa. Lufy zaczęły się obracać, plując ogniem. W powietrze poleciały miedziane łuski. Ich dzwonienie o bruk przebijało się nawet przez jazgot pracującej broni. Szarża załamała się ostatecznie. Setki wystrzeliwanych bez przerwy pocisków masakrowały konie i ludzi, ścinały z nóg pędzące zwierzęta, szatkowały ciała dragonów. Na ulicy w jednej chwili powstał krwawy wał trupów. Prowadzący Rosjan oficer zniknął w bryzgającym krwią huraganie ognia i ołowiu. Szwadron się zatrzymał. Ocalali dragoni rozpaczliwie próbowali zawrócić konie i uciec z tego piekła, ale kule dosięgały ich i zabijały bez litości. Nim kartaczownice opróżniły bębny z nabojami, oddział dragonów przestał istnieć.

– Zabieramy się stąd! – rozkazał Jemioła.

Musieli dołączyć do żuawów i reszty oddziałów, zanim gwardia otrząśnie się z szoku i ruszy śladem powstańców.

\*\*\*

W lupanarze na Freta szorowano podłogi, choć nikt dziś nie spodziewał się gości. Sonia wymyśliła, że robota uchroni dziewczęta przed głupotami niegodnymi warszawskich aksamitek, a za takie uważała udział w patriotycznych awanturach. Praca więc szła pełną parą – czyszczenie garów i talerzy, pucowanie szkła i zastawy, wycieranie nieistniejącego kurzu, cerowanie i poprawianie garderoby, a nawet wymiana piasku w spluwaczkach. Dziewczyny jednak i tak co chwila zerkały w okna. Kolumny

dymów pięły się w niebo w różnych częściach miasta i mimo grubych murów kamienicy do burdelu dobiegały odgłosy wystrzałów oraz huk armat. Sonia z każdą chwilą robiła się coraz bardziej nerwowa.

Znów ktoś załomotał w drzwi. Chłopcy, których wynajmowała ostatnio do ochrony, i dziewczęta z sąsiednich lupanarów kursowali z wiadomościami po całym Podwalu i Nowym Mieście. Przez całe to zamieszanie największy rozmiarami, choć najmniejszy mózgiem, ochroniarz Soni – Smyczek oraz Ania, aksamitka z największymi cyckami w dzielnicy, zwiiali, by przyłączyć się do buntu.

– Znaleźli się spiskowcy. Ciekawe, kto im będzie palił świece na grobach, kiedy skończą na szubienicy, bo z pewnością nie ja – mruknęła pod nosem, wyglądając przez okno na Freta. – Helena! Kto tam znów przyszedł, do jasnej cholery?

Zaufana adiutantka burdelmamy, wysoka, chuda dziwka ze znamieniem na policzku, stanęła w drzwiach z niepewną miną i rozłożyła bezradnie ręce. Chyba bała się odpowiedzieć, by nie dostać w łeb czymś, co Zośka akurat miała pod ręką. Ta zmarszczyła brwi i przeszła z kuchni do salonu. Na widok tego, co się w nim dzieje, wzięła się pod boki, stając w bojowej pozycji.

– Co wy tu wyprawiacie, kurwa mać? – huknęła.

Ania i Smyczek wrócili, w dodatku w towarzystwie przyszczatego złodziejaska i dwóch dziwek z sąsiedztwa. Cała piątka miała przypięte do piersi biało-czerwone kotyliony i była uzbrojona – złodziejasek w nabijaną gwoździami pałę, Smyczek w kuchenne noże powtykane za pas i kij z zamocowanym na końcu tasakiem, zaś jedna z dziewcząt w coś wyglądającego jak garłacz z epoki napoleońskiej. Ania rozdawała właśnie kotyliony podnieconym dziewczętom, a w salonie zebrał się cały personel lupanaru.

– Werbujemy żołnierzy powstańczej armii – oznajmiła Ania, przypinając kotylion Baśce, która znów miała oko podbite za karę po przyłapaniu na kradzieży.

– Nie wyprowadzajcie mnie z równowagi, bo i tak mam nie najlepszy dzień. – Sonia zazgrzytała zębami. – Ile razy mam powtarzać, że burdel zawsze powinien trzymać się z dala od polityki? Co was obchodzi jakieś cholerne bunty? Przez te awantury nie mamy roboty, a kasa świeci pustkami! Co

będziemy jeść? Za co napełnimy miski?

– Zosiu, daj spokój. – Ania podeszła do szefowej i próbowała wziąć ją pod ramię, ale burdelmama stała niczym posąg. – Wydaje mi się, że przesadzasz z tą biedą. Ojczyzna w potrzebie, a ty myślisz tylko o napełnianiu trzosa. Patrz, co się dzieje. Trwają ciężkie walki na Powiślu, ale pułkownik Jemioła i Żuawi Śmierci uparcie przesuwiają się w stronę Starego Miasta i odpierają ataki gwardyjskich pułków. Koszary na Woli zniszczone, na Pradze ponoć wyleciały w powietrze magazyny artylerii. Wiedziano tam tysiące polskich ułanów. Rozmawiałam właśnie z Jankiem Czarnym, jest jeszcze przystojniejszy od Białego, tak jak mówili, zresztą sama zobaczysz. Janek twierdzi, że całe Fawory są zablokowane. Żydzi zbudowali dziesiątki barykad, uzbroili się i czekają. Niby boją się pogromu ze strony szalejących band, ale faktycznie patrzą, na którą stronę przechyli się szala. Na razie nawet Moskale nie mają wstępu na Nalewki i okolice. Na Starym Mieście aż huczy, jest jak wiosną ubiegłego roku...

– Kiedy doszło do masakry? – prychnęła Sonia.

– Ludzie rzucają w Moskali z okien czym popadnie. – Ania zignorowała uwagę. – Lecą cegły, donice, a nawet zapalone butelki z naftą. Kozacy wyciągają ludzi z mieszkań, biją nahajkami, jednych ciągną do cytadeli, innych na miejscu mordują i ograbiają. Sołdaci strzelają do wszystkich, którzy wyjdą na ulicę. Wpadają do mieszkań, gwałcą i kradną. Podpalili kantor na Podwalu i zakłuli bagnetami jego właściciela, pana Kowalczyka. Zdaje się, że twojego bankiera...

Sonia spazmatycznie wciągnęła powietrze i złapała się za serce. Krew odpłynęła jej z twarzy. Dziewczęta rzuciły się, by posadzić szefową na ulubionym fotelu.

– Listy zastawne, akcje, udziały... On inwestował cały mój kapitał, wszystko trzymałam w jego kantorze – jęknęła. – Dajcie wódki.

– Na polecenie Janka organizujemy oddziały. – Smyczek zdobył się na niezwykle długą, jak na swoje możliwości, przemowę. – Jesteś nam potrzebna, Zosiu. Pójdzie za tobą cała okolica, masz szacunek złodziejów i kurew na Starym Mieście.

– Ech, wy durni. – Sonia wychyliła podaną szklaneczkę. – Zesracie się, a



nie zwyciężycie. Ale swoją drogą wkurwili mnie ci Moskale. Okraść uczciwą dziwkę, coś takiego! Tyle pracy, tyle wysiłku i wszystko krew w piach.

Odstawiła gwałtownie szklankę. W tej samej chwili drzwi burdelu otworzyły się z hukiem i dwóch mężczyzn, obwiesi z Domu Rozdzielczego, wniosło do środka mocno poturbowaną i krwawiącą kobietę. Suknia na rannej wisiała w strzępach, krew lała się po nagich nogach wprost na świeżo wyszorowaną podłogę. Sonia wskazała leżankę i błyskawicznie kazała dziewczętom przynieść miskę z wodą i opatrunki. Sama zabrała się za oględziny nieprzytomnej. Od dawna przyjaźniła się z poszkodowaną, wielokrotnie prosiła ją o radę w sprawach sztuki kochania, dzieliły się zawodowymi sztuczkami i rywalizowały w uwodzeniu frajerów.

– Kto to zrobił? – spytała obwiesiów.

– Kilku podpitych piechurów. Zwykłych, w szarych szynelach. Dwóch z nich mówiło dobrze po naszemu. Dopadli ją w bramie na dole, kiedy wyszła sprawdzić, co się dzieje na mieście. Musieliśmy poczekać, aż pójda, bo było nas tylko dwóch.

Sonia zagryzła wargę, oglądając skaleczenia między nogami i na podbrzuszu kobiety.

– Nie wystarczył im sam gwałt, musieli ją jeszcze pobić i pociąć, sukinsyny – wycedziła. – I macie tę swoją walkę o wolność, cymbały i durne cipy. Tego chcecie? Chcecie skończyć tak samo?

Nawet Ania straciła rezon. Dziewczęta pospuszczały głowy, któraś zaczęła głośno chlipać, inna pociągać nosem. Smyczek przestępował z nogi na nogę.

– I tak pójde się bić – powiedział. – Nie pomożesz nam, Zosiu?

– Pomogę? Przejmuję dowództwo, kurwa wasza mać! Helena, spróbuj ją opatrzeć. Urządzisz tu połowy lazaret, dziewczęta będą znosiły rannych. – Sonia w jednej chwili znalazła się w swoim żywiole.

Wybiegła z salonu, wpadła do garderoby, wybiegła w samym gorsecie i wymachując zdjętą kiecką, znów wpadła do gotowalni, po czym wróciła ubrana w prostą sukienkę i kubraczek z dekoltem, ciasno opięty na wyeksponowanym biuście. W rękę obracała niewielki rewolwer.

– Co tak stoicie, durnie? – Obrzuciła krytycznym spojrzeniem swój oddział. – Wiesia i Swietłana pomogą Helenie ogarnąć ten burdel. Zakryć

obicia, by krew rannych nie zniszczyła mebli. Szafę z sieni pieprznijcie przez okno i tak była do dupy, teraz przyda się do budowy barykady. Smyczek, leć skrzyknąć chłopców z Podwala, mają zabrać całą broń, którą chowają po złodziejskich dziuplach. Zbiórka na podwórku naszej kamienicy. Jazda, do roboty. Już ja wam urządzę armię, ja wam wszystkim dam wojenkę o niepodległość. Popamiętacie ją do końca życia.

\*\*\*

Zabudowania wojskowych łaźni i baterii nabrzeżnej zostały z tyłu. Armia Pustowójtowa spokojnie skręciła w zadrzewioną drogę prowadzącą prosto do Wrót Michałowskich. Znajdowali się z północnej strony cytadeli, tuż nad Wisłą. Wiodła stąd droga na Bielany. Twierdza wznosiła się przed powstańcami w całej okazałości, mury bastionów napierały na nich czerwienią cegieł i czernią ziejących otworów strzelniczych. W oddali Warszawa dudniła hukami armat, w niebo nad stolicą pięły się coraz liczniejsze dymy pożarów.

– Dobra nasza. – Esauł Krasnow zakreślił węża. – Założę się, że kolejny pułk opuszcza cytadelę Bramą Konstantynowską i wali przez Joli Bord<sup>42</sup> do miasta. Z każdą chwilą załoga twierdzy maleje. To się może udać, niech mnie wszyscy diabli, to się może udać...

Pustowójtow nie powiedział ani słowa. Zbliżała się najważniejsza chwila tej wojny i cała odpowiedzialność za powodzenie ataku spoczywała na jego barkach. Kto by się spodziewał? Jeszcze niedawno zrobiłby wszystko, by jak najszybciej zgnieść powstanie, dziś w mokrym, poplamionym krwią mundurze, dowodząc garstką obszarpańców, próbował wedrzeć się do wrogiej twierdzy. Ciekawe, co powiedziałyby na to kochany papa? Do końca swych dni pozostał bezwzględnie wiernym carowi generałem. Pewnie osobiście kazałby rozstrzelać syna. Za to babcia Kossakowska, kiedy się dowie, pęknie z dumy.

– Otwierać! Na co czekacie?! – ryknął, zatrzymując konia przed bramą.

Spoglądały na nich lufy wielkich armat z czterech działobitni skierowanych wprost na drogę, którą nadeszli. Kolejne otwory strzelnicze znajdowały się nad wrotami; w nich też tkwiły armaty. Dopiero po paru chwilach żelazne drzwi w bramie otworzyły się ze zgrzytem i ze środka

wyszedł oficer w czarnym mundurze artylerzysty. Towarzyszyło mu czterech kanonierów z krótkimi karabinkami w garści. Porucznik zsalutował, widząc majora i esauła.

– Nie zostałem poinformowany, że jakieś rotty będą wchodziły tymi wrotami – powiedział. – Nie mogę ich otworzyć bez wyraźnego rozkazu z komendantury.

– To co, mam tych złapanych buntowników puścić wolno, do cholery? – zirytował się Pustowójtow. – A może mamy gonić dookoła twierdzy, by znaleźć wrota, którymi łaskawie nas wpuszczą? Nie mamy czasu, człowieka. Nie wiesz, co się dzieje? Otwieraj pan!

– Proszę najłaskawiej poczekać, panie majorze. – Porucznik spłoszył, ale nie zamierzał łamać rozkazów. – Natychmiast wyślę człowieka do sztabu, już za kilka minut będzie z powrotem.

– Chyba oszalałeś, chłopcze – warknął esauł. – Wiesz, kto ja jestem? Danił Wasilewicz Krasnow, bohater wojny na Węgrzech. Nie przywykłem czekać pod drzwiami. Skoro nie chcesz nas wpuścić, każe wysiec tych buntowników i ruszam ścigać kolejnych. Nie będę warował na progu, kiedy tam toczy się prawdziwa bitwa. Będiesz miał pan na sumieniu tych oberwańców.

Porucznik jednak nie sprawiał wrażenia przejętego groźbami kozaka, chyba nie zależało mu na życiu złapanych powstańców. Założył ręce na piersi i patrzył spode łba na intruzów.

– Tych jeńców należy przesłuchać, mogą mieć niezwykle cenne informacje! – teatralnie oburzył się Teofil.

– Trudno. Pan porucznik będzie się z tego tłumaczył, ja nie mam czasu ani ochoty, by beczynn timer sterczeć. Zabijemy ich, potem się powie, że próbowali uciekać. A trupami zajmie się pan porucznik razem ze swymi kanonierami. – Kozak robił groźne miny.

– Proszę mnie w ten sposób nie straszyć, panie Krasnow – burknął artylerzysta. – Proszę o panów nazwiska i nazwy pułków. Kogo złapaliście i gdzie? Kim właściwie jesteście? Muszę zameldować w sztabie, dla więźniów trzeba przecież przygotować odpowiednie cele.

– To potrwa zbyt długo. – Teofil pokręcił głową. – Przeciwnik nam umknie, proszę się zlitować. Wejdziemy szybko i odstawimy jeńców, zaraz nas

tu nie będzie. Przecież niczym pan nie ryzykuje.

Porucznik jednak z każdą chwilą robił się coraz bardziej uparty. Teofil zrozumiał, że trafili na służbistę, który dostał rozkaz, żeby nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać z cytadeli bez stosownych rozkazów z dowództwa, i dopilnuje, by tak się stało. Co do joty. Groźby i prośby niczego nie zmieniają. Krasnow zaczął się pieklić i urągać artylerzyście, co tylko pogorszyło sytuację.

Teofil rozejrzał się bezsilnie. Z otworów działobitni mierzyły do nich gotowe do strzału armaty. Wysoko nad bramą, w otworach strzelniczych, pojawiły się gęby ciekawych wartowników. Gdzieś w oddali na terenie twierdzy zagrzmiały armaty. Czyżby Moskale rozpoczęli bombardowanie Warszawy? Pustowójtow zacisnął pięści, walcząc z rosnącym gniewem. Musi jak najszybciej wdrzeć się do twierdzy, od tego zależało życie wielu ludzi, w tym jego przyjaciół. A tak niewielu mu już ich zostało.

Bomba wystrzelona z moździerza gruchnęła na dziedziniec, a jej odłamki rozbiły w drobny mak większość okien X Pawilonu. Narastający gwizd, głuchy wybuch i brzęk tłuczonego szkła zaboląły Wandę, jakby ktoś okładał ją po twarzy knutem. Wbiła głowę w ramiona i zacisnęła powieki, próbując zatrzymać wzbierającą falę mocy. Miała ochotę wrzeszczeć nie tylko ze strachu, ale też z żalu. Bardziej niż hałasu nie mogła ścierpieć widoku kipiącego energią i szczęściem Stasia, który nie odrywał spojrzenia od rumieniącej się i trzepoczącej rzęsami Heni Pustowójtówny. Miłość doktora do niedostępnej adiutantki generała okazała się czymś więcej niż przelotną słabością i złudzenia Wandy właśnie rozsypały się z brzękiem tłuczonego szkła. Po wybuchu Loewenhardt w ochronnym geście objął Henię, a nie ją. Swoją wierną sanitariuszką zupełnie się nie interesował. Kiedy tylko uznał, że doszła do siebie po kontakcie z pochłaniającym mutatio artefaktem i zupełnie nic jej nie jest, natychmiast pomaszerował do swojej Heni, a na Wandę więcej nie spojrzął.

Stali teraz w kapliczce urządzonej w ciemnej więziennej celi. Przed powieszonym na ścianie krzyżem stał zakonnik – kapucyn w czarnym habicie, który do aresztu przychodził jako spowiednik lub by udzielić ostatniego

namaszczenia idącym na szubienicę. Dziś był świadkiem zupełnie innego sakramentu. Z malującym się na twarzy przejęciem pochylał się nad klęczącą przed nim parą – Jarkiem Dąbrowskim i Pelagią. Wanda stała za plecami dziewczyny jako drużna, choć zasadniczo była wyznania mojżeszowego i jej udział w ceremonii pozostawał dyskusyjny. Zabrakło jednak czasu na drobiazgowy przygotowania.

Pelagia zażyczyła sobie, by ślub odbył się natychmiast, zanim wszyscy zginą pod gruzami bombardowanego więzienia.

– Czy ty, Pelagio, chcesz pojąć za męża Jarosława i przysięgasz mu...

Gwizd znów zaczął narastać, piąć się coraz wyżej i wyżej. Zakonnik przerwał w pół słowa i wbił przerażone spojrzenie w okno. Wanda zacisnęła zęby. Grzmotnęło w dach północnego skrzydła. W powietrzu zafurkotały pokruszone cegły i tumany pyłu. O ściany załomotały odłamki. Rosjanie szybko wstrzeliwali się w cel.

– Tak! – Pelagia nie czekała na zakończenie przysięgi.

– Szybciej, klecho – warknął Jarosław.

– Ogłaszam was mężem i żoną. Amen – dokończył w ekspresowym tempie kapucyn.

Łokietek ucałował żonę. Staś i Hania zaczęli klaskać, doktor ze śmiechem poklepał swego przyjaciela, do niedawna z sąsiedniej celi, po plecach. Tłoczący się w korytarzu więźniowie z rykiem aprobaty przyłączyli się do gratulacji. Wanda czuła, że broda jej dygocze. Miała ochotę wrzeszczeć i płakać jednocześnie. Strach, żal i radość kotłowały się w niej, zmieniając w piorunującą mieszankę. Otaczający ją straceńcy śmiali się i całowali, choć za chwilę wszyscy mieli ruszyć na śmiertelny bój. Atmosfera stawała się coraz bardziej szalona, powietrze aż trzeszczało od przepełniającej wszystkich euforii i jakiegoś wariackiego, samobójczego szczęścia ludzi, którzy są zadowoleni, że umrą wolni i z bronią w ręku. Polskość kipiała w desperatach, dawała im pewność i krzepiła.

– Panowie, już pora! – oznajmił Dąbrowski, ciągle trzymając żonę w objęciach.

Oklaski w jednej chwili ucichły. Twarze obecnych spoważniały.

– Nikogo nie namawiam do udziału w ataku, zresztą wszyscy wiemy, że nie

ma on szans powodzenia. Kto chce, niech zostanie i modli się o ocalenie. Może przeżyje bombardowanie, a Moskale okażą mu łaskę. Ja nie zamierzam pozwolić pogrzebać się żywcem w tym przeklętym miejscu. Wolę polec w walce, jako wolny człowiek.

Oczy więźniów błyszczały szaleństwem. Niektóre twarze pobladyły, ale nie znikła z nich zaciętość. Idący na śmierć żegnali się w myślach z rodzinami i ukochanymi. Spora część z obecnych zdążyła już to zrobić wiele razy w swoich ciemnych celach, czekając na wyrok sądu polowego. Tym było łatwiej.

Gruchnęła salwa z armat stojących na rogu szpitala. Wystrzelone pociski wbiły się w ścianę wartowni i przełamały ją na pół. Część budynku zawaliła się z głuchym łomotem. Chwilę później niebo przeszyły kolejne gwizdy spadających z nieba bomb, miotanych przez ciężkie, fortyfikacyjne moździerze. Wanda znów skuliła się w sobie. Nie miała jej kto objąć, nie miała komu wtulić twarzy w pierś, żeby znaleźć choćby symboliczne schronienie w ramionach mężczyzny. Wszyscy o niej zapomnieli. Staś rozmawiał cicho z Henią, trzymając ją za ręce. Czarne oczy wiedźmy wpatrywały się w niego z uwagą i rosnącą z każdą chwilą miłością. Pelagia spierała się z mężem, chciała ruszyć do ataku u jego boku. Jarosław złapał ją za twarz i pocałował w usta. Ryk kolejnych eksplozji i łomot walących się ścian przerwał im gruchanie i zmusił wszystkich do ucieczki.

W korytarzu czekał na nich blady jak ściana Karol Majewski, który znów próbował protestować. Łokietek wcisnął mu w rękę pęk kluczy od celi, w której trzymano hrabiego Rozwadowskiego, pułkownika Tuchołkę oraz kilku żandarmów, i w przelocie rozkazał uwolnić jeńców, kiedy Majewski uzna to za stosowne. Przy dwóch bramach zebrali się niemal wszyscy więźniowie, ale tylko niewielka ich część miała broń palną. Wszyscy jednak uzbroili się w co się dało, łącznie z młotkami z kuźni czy znalezionymi w kuchni nożami. Wanda niemal wpadła na Okularnika, który nie sprawiał już wrażenia przerażonego, twarz miał umazaną błotem i pyłem, a w rękach kurczowo ścisnął karabin, jeden z przemyconych w landzie.

– Proponuję uderzyć po kolejnej salwie – powiedział do Jarosława. – Może zdążymy do nich dobiec, nim znów nabiją armaty.

– Słusznie! – Dąbrowski klepnął go w ramię i ostrożnie wychylił się przez

dziurę wybitą armatnią kulą w ścianie wartowni.

Ciasny pierścień piechurów otaczał więzienie właściwie ze wszystkich stron. Nawet jeśli udałoby się dobiec do armat i je zdobyć, to co dalej? Z cytadeli wyprowadzono kilka tysięcy gwardzistów, by uśmierzyć rozruchy w mieście, ale na miejscu musiało zostać jeszcze z pięć tysięcy Moskali, z czego większa część otaczała areszt. Jakie szanse miało z nimi dwustu desperatów? Jarosław zamyślił się, zamierając na dłuższą chwilę.

Wanda żałowała, że oddała oba rewolwery, a derringera zostawiła w domu panien Piotrowskich. Pójdzie do ataku z gołymi rękoma, oczywiście jeśli nie liczyć mocy. Mutatio uderzało w jej umysł falami hałasu, podsycane bitewną zawieruchą, strachem i rosnącym gniewem. Kusiło ją, by wrzeszczeć ile sił, niechby cała twierdza zawaliła się w gruzy. Niestety nie władała tak potężną mocą. Może zdołałaby powybijając szyby w koszarach, przewrócić artylerzystów krzątających się przy armatach, spłoszyć konie i ogłuszyć piechurów, ale niewiele ponad to. Tym razem wiedźmie umiejętności jej nie uratują, za to pewnie zwrócą na nią uwagę dziesiątek strzelców czających się w oknach okolicznych budynków. Nim nabierze powietrza do kolejnego krzyku, karabinowe kule rozerwą ją na strzępy.

Strach wyciskał łzy z oczu. Nie chciała umierać przez nikogo niekochana, samotna i opuszczona w tłumie szaleńców. Nie zdążyła jeszcze dobrze posmakować życia, nie poznała świata. Była za młoda, by ginąć w ponurej twierdzy. Poza tym nie czuła tej samobójczej polskiej euforii. Tego pędu do samozniszczenia w imię wolności. Zamiast dumy, że pójdzie w bój z tłumem bohaterów, czuła tylko strach, żal i rosnący sprzeciw. Najbardziej doskwierała jednak bezsilność. Nie przybędzie żaden piękny książę na białym rumaku, by ją uratować.

– Jesteście gotowi? – Jarosław wyciągnął z kieszeni rewolwer.

Więźniowie odpowiedzieli basowym pomrukiem. Stanisław ryknął na całe gardło i uniósł w niebo pięści, które natychmiast zapłonęły czarnym ogniem. Henia stała u jego boku, jak dawniej u boku Langiewicza, trzymając pistolet w garści. Odruchowo sięgnęła lewą dłonią do krzyża, który zawsze nosiła na piersi, ale go nie było. Został w domu jej krakowskich przyjaciół.

– Atakujemy natychmiast po salwie – rozkazał Łokietek. – Powodzenia,

bracia.

Jak na zawołanie rosyjskie działa zagrzmiały jedno po drugim. Kule trafiły w jedną z bram, dziurawiąc ją i masakrując kilku stojących za nią więźniów. Na kucającą przy ścianie Wandę sypnęły się drzazgi z pogruchotanych wrót i bryznęło błoto zmieszane z krwią. Usta wypełnił smród prochu i śmierci. Buntownicy z krzykiem poderwali się do beznadziejnego ataku.

– Gdzie jesteś, mój książę? – jęknęła Wanda i skoczyła za nimi.

Pustowójtow wychylił się w siodle, wyciągając rękę do porucznika. Artylerzysta odruchowo chciał się cofnąć, ale było już za późno. Złote i czarne węże czasu popłynęły strumieniem z jego ciała wprost do ręki Teofila. Przez ułamek sekundy major zawahał się, co dalej zrobić. Początkowo chciał objąć sferą przyspieszonego czasu swoją armię, ale doszedł do wniosku, że selektywne ogarnięcie siedmiuset ludzi wymaga ogromnego skupienia i, przynajmniej w tej chwili, przekracza jego możliwości. Mógłby zamknąć ich w nieruchomej bańce, czasowej inkluzji, ale to nie miało sensu, potrzebował mobilnej armii. Ukradł więc, ile zdołał, energii pechowemu oficerowi i cisnął nią w niego samego oraz widocznych wartowników. W jednej chwili moc ogarnęła pięciu artylerzystów i czterech kolejnych nieszczęśników, których dostrzegł w otworach działobitni. Teofil ukierunkował moc, by spalała się, spowalniając upływ czasu ofiar. Wartownicy gwałtownie zamarli w bezruchu, jakby zamienili się w żywe rzeźby. Ich serca biły teraz w tempie jednego uderzenia na kilka minut.

– Kijek, weź dwudziestu chłopaków i oczyśćcie wartownię – rozkazał, zeskakując z konia. – Tylko nie strzelajcie, załatwcie to po cichu.

Zanim zdążył dodać cokolwiek, Kijek osobiście zadźgał bagnetem dowódcę wartowników, a jego kompani pozostałych czterech strażników. W mgnieniu oka ciała zostały ograbione z broni i zepchnięte z drogi.

Teofil dobiegł do drzwi w bramie jako pierwszy. Pchnął je i odetchnął z ulgą, kiedy się otworzyły. Porucznik-służbista jednak zaniedbał regulamin i nie rozkazał zamknąć za sobą wejścia. Wystarczyło teraz od wewnątrz odryglować bramę i droga do środka stała otworem.

– Szybko, ruszać się! – syknął.



Całe szczęście, że znajdowali się przy najrzadziej używanej bramie i nikt nie interesował się zamieszaniami. Wszyscy kwatrujący na terenie twierdzy zostali wysłani w miasto lub brali udział w pacyfikacji buntu w X Pawilonie. Kolumna wojska wkraczająca na teren twierdzy nie zainteresowała nawet warty mającej patrolować mury cytadeli, a stojącej na blankach i gapiącej się na ostrzał więzienia. Teofil ze zgrozą spojrzął na częściowo zawalony budynek aresztu śledczego, na którego tyłach znajdowały się Wrota Michałowskie. Z okien na piętrze walił dym, zarwany dach ział czarnymi dziurami, a popękane ściany nosiły ślady morderczego ostrzału.

– Hej! Co wy tu robicie?! – Zza budynku szpitala wybiegł brodaty pułkownik artylerii. – Zjeżdżajcie stamtąd, bo który zaliczy odłamkiem! Bombardujemy Dziesiąty Pawilon!

– Nie mogę, mam więźniów! – Teofil wskazał na maszerujące w otoczeniu kozaków Krasnowa „Dzieci Warszawy”. – Wstrzymajcie ostrzał!

– Generał Lewicki nie będzie zachwycony. – Pułkownik pogroził Teofilowi pięścią, ale odwrócił się i dał znak swoim kanonierom, by przestali strzelać z moździerzy. – Szybciej, do diabła! Macie dwie minuty, by się stąd zabrać!

Teofil spojrzął na swoje wojsko. Krasnow narzucił ostre tempo. Piechota leciała biegiem za kozakami. Bramę przekroczyła właśnie ostatnia, zamykająca kolumnę kompania sierżanta Mitoraja. Pustowójtów wskoczył na wierzchowca i pognał za Krasnowem. Mutatio krążyło w żyłach czystym ogniem, kusilo, by znów go użyć. Musiał się powstrzymać. Jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie na szablę.

– Co teraz, *komandir*? – spytał esauł.

Przebrani powstańcy i zbuntowani kozacy znajdowali się na tyłach budynku szpitala, za niewielkim parkiem oddzielającym go od X Pawilonu. Przed nimi znajdował się trzeci bastion z baterią moździerzy, przy których kłębili się gwardyjscy artylerzyści. Teofil wciągnął głęboko przesycone dymem powietrze.

– Zaczynamy! – oznajmił, sięgając po szablę. – Mitoraj z pierwszą kompanią zajmie bastion i wybiję artylerzystów. „Dzieci Warszawy” mają się natychmiast uzbroić i zaatakować szpital. Ja i kozacy obejdziemy budynek

wokół i przez plac Gwardii zaatakujemy od tyłu wojska szturmujące Dziesiąty Pawilon. Kijek, poprowadzisz drugą kompanię za nami i spróbujesz zlokalizować komendanta twierdzy. Masz go wziąć do niewoli.

– Zlokalizować? – zdziwił się chudzielec. – Jak to zlokalizować?

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Teofil pędził już na czele trzech sotni, kozaccy podoficerowie wrzeszczeli, by usunąć się im z drogi. Konie ruszyły z kopyta, prychając nerwowo, jakby czuły nadchodzącą bitwę. Kijkowi nie pozostało nic innego, jak wskazać swoim chłopcom kierunek ataku i pognać na przedzie oddziału za rozpędzającymi się kozakami.

Wanda przeskoczyła nad rumowiskiem, starając się dotrzymać kroku atakującym buntownikom. Zagwizdały karabinowe pociski. Ktoś tuż obok zachwiał się, bryzgając krwią z przestrelonego barku. Kula, która przebiła pechowca, pacnęła w brzuch kolejnego więźnia, ścinając go z nóg. Obaj padli pod nogi gnających na łeb na szyję buntowników, którzy usiłowali jak najszybciej dotrzeć do armat i zewrzeć się z wrogiem. Może czterdzieści kroków, nie więcej. Szybciej! Oby Moskale nie zdążyli ściąć ich salwą, zatrzymać pędzącego tłumu.

Kątem oka Wanda zauważyła grupę rosyjskich strzelców, którzy wybiegli z boku, zza stajni i przystanęli, by złożyć się do strzału. W biegu nabrała powietrza w płuca. Moc uderzyła w jej umysł gwizdem spadających bomb, rykiem eksplozji i krzykiem rannych. Zwolniła, starając się ukierunkować wrzask i zebrać go w jedno smagnięcie. I wtedy wpadła na potykającego się nieszczęśnika, który właśnie oberwał kulkę. Runęła razem z nim na ziemię, uderzenie wypchnęło jej powietrze z płuc i zabrało oddech. Moskale wystrzelili i rzucili się do ataku na bagnety. Wanda przywarła do ziemi, kule ścięły kolejnych kilku buntowników, ale jej nie sięgnęły. Rosjanie tymczasem wybiegali zza rogu stajni całą chmarą, rota za rotą, stu, dwustu, czterystu. Poderwała się z klęczek i znów skupiła na wściekłości buzującej we krwi. Strach i żal minęły, znikły bez śladu. Teraz stała się prawdziwą, bitewną wiedźmą. Krzyknęła.

Fala dźwiękowa wstrząsnęła powietrzem i uderzyła w Moskale niczym potężny, niewidzialny młot. Pierwsze szeregi biegnących poderwało w

powietrze, miażdżąc im klatki piersiowe i gruchocząc kości. Wrzask zmiotł dwie lub trzy atakujące rotę. Część żołnierzy wbiło w murowane ściany stajni lub rozmazało na czerwonych ceglach budynku. Wanda osunęła się na ziemię, ledwie przytomna z wysiłku. Oparła głowę o moką trawę i oddychała ciężko, próbując zapanować nad chaosem w umyśle. Chyba nigdy nie wyrzuciła z siebie tyle mocy naraz.

Dopiero po paru chwilach zorientowała się, że wokół trwa bitwa. Usiadła, rozglądając się w oszołomieniu. Więźniowie walczyli wręcz z tłumem Moskali. Prócz piechurów w szarych szynelach między armatami kłębili się także gwardziści w czarnych i granatowych mundurach z barwnymi wyłogami. Wanda dojrzała Stasia całego umazanego krwią i ogarniętego płomykami mocy. Miotał się wściekle, wrzeszczał i wymachiwał rękoma, w groteskowych susach skakał na przeciwników i rozrywał ich na strzępy lub miażdżył potężnymi ciosami. Henia osłaniała szaleńca, strzelając z rewolweru do próbujących zająć go od tyłu. W drugim ręku trzymała zdobytą jakimś cudem szablę. Krwawiła z rozcięcia na czole, ale trzymała się dzielnie. Nigdzie nie widać było Pelagii ani jej niewielkiego rozmiarami męża.

Wanda wstała z trudem, chwiejąc się od zawrotów głowy. Moc śmierdziała migdałami i kurzem, trzeszczała w zębach i strzelała miniaturowymi piorunami z włosów Żydówki. Spływała do niej z całej okolicy.

Groźny ryk sprowadził dziewczynę na ziemię. Od parku gnała kolejna rota piechoty, by uderzyć na więźniów z drugiej strony. Zbliżali się błyskawicznie, z karabinami błyszczącymi ostrzami bagnatów, groźni i pełni zapалу. Wanda wiedziała, że nie zdąży zebrać mocy, by ich powstrzymać. Stała bezradnie z opuszczonymi rękami, sama i bezbronna przed tłumem pędzących żołnierzy.

I wtedy pojawił się on – jej książę-wybawiciel. Teofil Pustowójtow, wielki mężczyzna w okrwawionym mundurze oficera piechoty, z twarzą zabryzganą posoką, sterczącymi, zmierzwionymi bakami i oczami gorejącymi bitewnym szaleństwem. Gnał na czarnej kobyle, pryskającej z pyska pianą i rzeźącej chrapliwie. Od jego ciała były pioruny rozładowującej się mocy, z ostrza szabli, którą nieustannie wymachiwał, bryzgały krople krwi. Zarówno żołdaci, jak i więźniowie rzucali się na ziemię, byle zejść mu z drogi. Jakimś

cudem wypatrzył Wandę wśród trupów i konających, podjechał do niej i wyciągnął rękę.

– Wsiadasz?

Tłum piechurów, najeżony bagnetami niby wielki jeź, zbliżał się błyskawicznie.

– Jak się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała bełkotliwie, chwytając jego dłoń.

Pociągnął ją, sadzając na końskim zadzie. Musiała objąć go oburącz i z całych sił przytulić się do jego pleców. Poczowała się dziwnie, musnęło ją wspomnienie snów o winnicy nad brzegiem morza i szczęściu w ramionach ukochanego. Potrząsnęła głową. Ta cholerna moc potrafiła mieszać w głowie i wypychać w szaleństwo. Musiała się pilnować.

Okrzyk radości z wielu gardeł wyrwał ją z odrętwienia. Na gwardzistów i strzelców runęła kozacka kawaleria, tratując ich bez litości. Zaskoczeni Rosjanie nawet nie próbowali się bronić. Nadbiegająca rota wpadła wprost pod kopyta i ostrza kozackich szabel. Teofil krzyczał coś po rosyjsku i wskazywał Dońcom kierunek ataku. Ci przegalopowali przed stajnią, objechali ją wokół i znów spadli na niemogących oprzytomnieć z zaskoczenia Moskali. Roty rozbiegły się w nieładzie, rzucając broń. Sołdaci próbowali dotrzeć do budynków, by schronić się w nich przed kawalerią. Najbliżej znajdował się szpital. Wtem w jego oknach pojawiły się postaci w rogatywkach, które zaczęły strzelać od uciekających.

– *Wostancy wozli w cytadiel!* – wrzeszczał jakiś przerażony feldfebel. – *Bratja! Spasajties!*<sup>43</sup>

Książę Mikołaj Mikołajewicz Oboleński stał na szczycie schodów prowadzących do wielkiego, kilkupiętrowego gmachu koszar. Przed nim rozciągał się okolony pasem drzew plac Gwardii, na którym właśnie doszło do czegoś niemieszczącego się w głowie. Doborowe oddziały lejbgwardii wymieszały się ze spanikowaną, liniową piechotą i pierzchały byle dalej od otwartego terenu, po którym galopowało kilkuset kozaków, mordując bez litości. Na domiar złego jakaś rota piechoty zaatakowała cały ten tłum od strony trzeciego bastionu, strzelając równymi salwami i kładąc pokotem spanikowanych żołnierzy.

– Wygląda na to, że mamy do czynienia z buntem – zauważył spokojnie pułkownik huzarów Leonow. – Spójrz na szpital, zajęli go Polacy i walą do naszych chłopców jak do kaczek. A ci tam? Patrz, kolejna rota piechoty strzela do naszych. Ciekaw jestem, które to oddziały przeszły na stronę powstańców? W tym burdelu trochę trudno się zorientować. No dobra, lecę po swoich chłopców, zaraz zrobimy tu porządek.

– Czekaj, za późno. – Oboleński wskazał na dym unoszący się z okolic trzeciego bastionu. – Stajnie płoną. Nie macie już swoich wierzchowców, a pieszo przeciw trzem kozackim sotniom wiele nie zdziałacie.

– Co robimy? Komendant gdzieś zniknął, kto ma wydawać rozkazy?

– Trzeba ratować, co się da. – Sztabskapitan pogładził swoją kozią bródkę. – Każ trąbić do odwrotu. Zabarykadujemy się w koszarach. Ten budynek jest niczym twierdza, możemy się w nim bronić do czasu, kiedy nadejdą posiłki.

– Dobra nasza! – Leonow klasnął w dłonie i pomachał do trzech huzarów stojących opodal i nerwowo patrzących na dowódcę.

Jeden z nich, słysząc całą rozmowę, skinął głową i sięgnął po trąbkę.

Pustowójtow wściekle wbił ostrogi w końskie boki, żeby zmusić biedne zwierzę do jeszcze jednego wysiłku. Wanda przywarła do pleców mężczyzny, ratując się w ostatniej chwili przed upadkiem. Rosjanie zostali rozbici. Wielu z nich kierowało się do pobliskiej Bramy Michałowskiej, a po sygnale zagranym na trąbce część ruszyła w stronę koszar.

– Musimy wdrzeć się do środka, zanim zabarykadują wejście! – wrzasnął Teofil. – *Rebiata*, za mną!

Nikt go jednak nie słyszał, kozacy rozpierzchli się w szale, mordując, kogo popadło. Kompania Kijka pędziła biegiem gdzieś w głąb twierdzy, a Mitoraja, zgodnie z rozkazem, po zajęciu bastionu posuwała się powoli przed siebie, w równym szyku, grząc salwą co parę chwil. Tymczasem w wejściu do koszar Moskale już budowali coś w rodzaju fortyfikacji z wyniesionych z wnętrza mebli. Kilku chwatów ciągnęło połowę armatki, by ustawić ją na schodach. Wkrótce gwardziści zmienią budynek w kolejną twierdzę. Z daleka Teofil dostrzegł, że dyryguje nimi wysoki młodzieniec w pięknym mundurze. Trzeba

dopaść go natychmiast, zanim zdoła zapanować nad chaosem. Jak szkoda, że nie ma już Muńka, który mógłby zdjąć przystojniaka jednym strzałem!

– Potrzebuję czasu! – wrzasnął, rozpaczliwie rozglądając się za ofiarą.

Wokół czołgało się mnóstwo rannych lub umierających, mógł wybierać do woli. Wyciągnął rękę do najbliższego, brodzącego na czworaka we krwi, żołdata.

– Czekaj! – Wanda złapała go za ramię. – Lepiej połączmy moc, tak jak pod Małogoszczą.

Obrócił się w siodle, by spojrzeć na Żydówkę, która przez tych kilka tygodni, kiedy jej nie widział, z chudego podlotka zamieniła się w piękną kobietę. Co za pomysł przyszedł jej do głowy? Może i efekt byłby lepszy, ale przecież wtedy połączyli moc dzięki temu, że znajdowali się w środku turbulencji. Jak mają to zrobić bez niej?

Wanda złapała go oburącz za twarz i pocałowała w usta. Teofil, wraz z jej smakiem, poczuł gorąco mocy. Mutatio wdarło się do jego umysłu szalonym rykiem, huraganem połączonych dźwięków – wybuchów, strzałów, krzyków, śmiechu i płaczu. Omal nie wypadł z siodła. Miał wrażenie, że hałas rozerwie go na strzępy. Dziewczyna ciągle go całowała, czuł ją, ciepło ciała, zapach i myśli – ostre, ale krzepiące. Razem dadzą radę.

Skupił się na krzyku i pchnął go w ogień, który zawsze widział w swym umyśle. Ryk w jednej chwili się skryształizował i nabrał materialnej dla Teofila formy. Mężczyzna ukierunkował go, jak zwykle czynił z węzami czasu, i zmienił w błyszczące błękitem, ogniste bicze. Oderwał się od Wandy i cisnął smugami dźwięku w wejście koszar. Moc uderzyła niczym błyskawica, rozprysła się i błękitnym podmuchem ogarnęła sporą część budynku. W wytworzonej przez Pustowójtowa sferze niebieski ogień pochłaniał wszystkie drgania, przetwarzając je na coraz głośniejszy ryk. Bicie serc żołdatów zamieniło się w basowe dudnienia, ciężkie i przeszywające jak bicie dziesiątek dzwonów. Brzęczenie monet w pugilaresie księcia Oboleńskiego stało się metalicznym jazgotem, od którego wszystkim w okolicy popłynęła krew z uszu. Kołyszające się frędzle na dolmanie pułkownika huzarów wywołały całą szeleszczącą burzę. Porażeni hałasem żołnierze łapali się za uszy, osuwali na kolana, wrzeszczeli, gdy pękały im bębniaki w uszach, ale ich

krzyki nikły w błękitnym ogniu, a potem eksplodowały przetworzone przez moc – jako huk pędzącej lokomotywy czy ryk plującej ogniem armaty.

Sołdaci, którzy pędzili, by schronić się w koszarach, zawrócili i rozpierzchli się po placu. Coraz więcej Rosjan rzucało broń i unosiło ręce, chcąc się poddać. Esauł Krasnow wyłonił się z tłumu, wskazując najbliższych, błagających o litość żołdatów. Kozak nie miałby nic przeciwko wybicciu wszystkich w pień, ale decyzja należała do polskiego *komandira*.

Wstrząśnięty niezwykle kompilacją mocy Pustowójtów przez dłuższy czas nie rozumiał, czego oczekuje od niego Doniec. Ciągłe umysł wypełniał mu szum mocy, przyciągający całą uwagę, wpychający w szaleństwo, w furję. Wanda szturchnęła go boleśnie w bok.

– Ocal ich – powiedziała.

Teofil wyciągnął zaciśniętą w pięść dłoń, wskazując kciukiem do góry.

Generał Lewicki całował w dłoń baronową Annę Istafiewną Korfową, kłaniał się i uśmiechał. Poklepał po główce siostrzeńca komendanta garnizonu Warszawa, a potem oprowadził szanownych gości po pokojach domu generalskiego. Parter został przeznaczony dla rodzin sztabowców, a piętro dla samego wielkiego księcia Romanowa. Ten osobiście jeszcze nie przybył, za to wielka księżna Aleksandra Józefowna rozlokowywała się już na piętrze z całą szóstką swoich pociech. W sumie do cytadeli ściągęło już pięć generalskich rodzin i z każdą chwilą mogły się pojawić następne. Trzeba będzie oddać im budynek oficerski, a oficerów ulokować w koszarach. Co za przekłety dzień!

Wreszcie Lewicki wybiegł przed budynek i zażądał od jednego z adiutantów papierosa.

– Co to za hałasy, drogi generale? – Niespodziewanie na schodach pojawiła się generałowa Korfowa.

Pulchna dama w bogatej sukni z muślinu i z misternie ufryzowanymi loczkami, zeszła dystyngowanie po schodach, jakby wkraczała na salę balową. Generał z westchnieniem schował papierosa, wszak palenie przy damie uchodziło za grubiaństwo. Że też przygnało za nim tę tłustą cholere!

– To tylko drobne zamieszanie z więźniami. Ot, niewielki bunt podnieconych wydarzeniami na mieście bandytów. – Machnął z

lekceważeniem ręką. – Proszę się nie martwić. Lada chwila wystrzały ucichną.

Sam jednak gotował się z nerwów, kiedy do huku armat dołączyły karabinowe pukania, jakby przy X Pawilonie toczyła się regularna bitwa. Adiutant, którego wysłał, żeby zorientował się w sytuacji, jeszcze nie wrócił i generał wściekał się coraz bardziej, w dodatku musiał pełnić funkcję lokaja i bawidamka. Wpatrywanie się w prześwity między budynkami gospodarczymi nic nie dawało. Dom generalski stał na pierwszym bastionie i od placu Gwardii dzielił go spory kawałek, łącznie z cerkwią znajdującą się w niewielkim parku.

– Mam nadzieję, że te hałasorychło się skończy, inaczej grozi mi atak migreny – kategorycznym tonem oznajmiła generałowa.

– Robimy, co w naszej mocy.

– Wielka księżna też nie lubi hałasów, a mały Wieczysław Konstantynowicz jest wyjątkowo wyczulony na te sprawy. Jeśli nie będzie mógł zasnąć, księżna się wścieknie – zagroziła Anna Istafiewna.

Lewickiemu cisnęły się na usta same zjadliwe odpowiedzi, ale się opanował i wszystkie przełknął. Zanim wymyślił jakieś uspokajające kłamstwo, zza sąsiedniego budynku wyjechał galopem huzar.

– Panie generale! – wrzasnął zupełnie nieregulaminowo. – Atak na cytadelę! Powstańcy wdarli się do środka, dołączyli do nich zbuntowani kozacy! Nasze oddziały rozbite, trzeba uciekać!

– Oszalałeś, człowieku? – Lewickiemu krew odpłynęła z twarzy.

Generałowa Korfowa zachłysnęła się powietrzem z przerażenia. Miała ochotę zemdleć, ale w pobliżu nie widziała chętnych, by ją łapać. Zanim huzar zeskoczył z konia i rzeczowo zameldował, co się właściwie dzieje, zza budynku wybiegła równa kolumna piechoty. Żołnierze truchtali zgranym krokiem, trzymając karabiny z bagnetami w rękach, jakby szykowali się do walki. Prowadził ich chudy feldfebel z wąsikami.

– Proszę się nie przejmować, baronowo, widzi pani, że chroni nas wojsko – oznajmił z ulgą Lewicki.

Piechurzy rozbiegli się w półokrąg i wymierzili broń w stojących na schodach Rosjan. Lewicki zbladł jeszcze bardziej.

– Co to ma znaczyć? – warknął do feldfebla.



– Jestem sierżant Adolf Kijek – przedstawił się podoficer. – Cytadela zostaje przejęta przez wojsko polskie, które mamy zaszczyt reprezentować. Wszyscy obecni są aresztowani. Proszę oddać szablę generale, bitwa skończona.

Lewicki zamarł na dłuższą chwilę, nie wierząc własnym uszom. Czarne lufy karabinów mierzyły mu w twarz. Przełknął ślinę. Machinalnie odpiął szablę i cisnął ją pod nogi sierżanta.

\*\*\*

Za oknem szarzało. Cały Nowy Świat opustoszał, jeśli nie liczyć galopujących wte i wewte szwadronów husarii i sotni kozaków kubańskich. Tu i ówdzie leżały trupy przypadkowych przechodniów i gapiów, którzy dostali się pod kopyta moskiewskich koni lub oberwali szablą od wściekłych jeźdźców. Dziś kozacy nie okładali pechowców nahajkami, tylko od razu rąbali pałaszami lub dźgali spisami. Warszawiacy mieli siedzieć w domach, dopóki wojsko nie poradzi sobie z buntownikami. Każdy, kto wyszedł na ulicę, skazywał się na śmierć, a wyrok zostawał natychmiast wykonany.

Tymczasowy przewodniczący komisji wykonawczej Rządu Narodowego Agaton Giller spoglądał zza koronkowej firanki i kręcił z niesmakiem głową. Na miejsce dotarło tylko trzech członków rządu i jeden został już, pod opieką policji powstańczej, odesłany z powrotem do domu. Został tylko Karol Ruprecht – brodaty chudzielec z sięgającymi ramion włosami, odpowiedzialny za wydział finansów. Obaj panowie byli mocno związani z ugrupowaniem „białych” i bardzo sceptycznie nastawieni do otwartej walki, a co dopiero do rozpętywania wojny w mieście.

– Odpowiedzą za to – warknął Giller, zaciskając dłoń w pięść. – Za każdego zabitego cywila, za każde dziecko zdeptane kopytami kozackich koni, za każdą zgwałconą kobietę. Co oni sobie wyobrażali, doprowadzając do powstania w mieście? Jak można było zrobić coś takiego? Postawimy każdego z przywódców buntu przed sądem. Każdego!

– Wszystko przez tego idiotę Jemiołę. – Ruprecht siedział za stołem prezydialnym zawalonym papierami.

Rząd nadal spotykał się w eleganckim mieszkaniu carskiego generała. Na

stole stała karafka z mocną nalewką i zapalona już lampa naftowa. Szef wydziału finansów popijał z głębokiej szklanki z rżniętego szkła. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce, a wszelkie wypowiedzi stawały się coraz bardziej ostre i zjadliwe.

– Mówiłem, że audytoriat polowy powinien wydać na niego wyrok, kiedy tylko Bobrowski wyjechał z Warszawy. A ty chciałeś koniecznie pozbyć się Jemioły zgodnie z prawem – burczał Ruprecht. – No i masz, przekabacił tego francuskiego fircyka i razem rozpieprzą całe miasto w pył. Przez tych cymbałów polegnie masa ludzi.

– Najgorsze, że nic z tego nie będzie. – Giller pokiwał głową. – Nie osiągną żadnych militarnych celów, a sprowadzą na nas wszystkich gniew cara. Kiedy już powstanie zostanie uśmierzone, całe Królestwo poczuje, co znaczy zemsta Romanowa. Prześladowania i represje dopiero się zaczną, mówię ci. Wszyscy za to zapłacimy.

– Nie ma na co czekać. – Ruprecht grzotnął szklanicą w blat. – Trzeba usunąć tych szaleńców już teraz. Jemioła i Rochebrune muszą zginąć. Ich postawa jest zbyt rewolucyjna, zbyt czerwona. Co będzie, jeśli przeżyją dzisiejszą noc i im się powiedzie? Będą chcieli odebrać nam władzę i pchnąć ojczyznę w jeszcze większe tarapaty. Trzeba się ich pozbyć, tak samo, jak zrobiliśmy z Bobrowskim i Padlewskim.

– Nie ma czasu. – Giller zaczął spacerować po salonie, na wszelki wypadek w bezpiecznej odległości od okna. – Śmierć Bobrowskiego szykowaliśmy tygodniami. Zrobimy tak: audytoriat polowy wyda zaocznie wyrok śmierci na Jemiołę, który zostanie zlecony najwierniejszym nam sztyletnikom...

– Bez udziału Janka Białego! – Ruprecht podniósł palec. – Jest zbyt uczciwy, będzie się wahał.

– Tak. Wyrok wykona któryś z młodych wilków, jakiś szczeniak, który nie wie, o co właściwie chodzi. Zaraz takiego znajdę, potem się go po cichu pozbędziemy, by się nie wydało. – Giller podszedł do stołu i złapał za pióro stojące w kałamarzu. Zapisał coś na kartce. – Rochebrune'a załatwimy identycznie jak Padlewskiego. Da się mu zadanie do wykonania gdzieś w terenie, a potem doniesie o ruchach jego oddziału Moskałom. Kilka dni i

wpadnie w zasadzkę, a potem wyląduje na szubienicy!

– My zaś będziemy mieli czyste ręce! I pozamiatane. – Szef finansów klasnął w dłonie, a potem nalał sobie solidną porcję alkoholu. – Jesteś genialny, Agatonie. Władza pozostanie w naszych rękach. Wypiję za to.

Giller pokiwał głową. Tyle pracy ich jeszcze czekało. Będą musieli posprzątać po tej awanturze. Nie będzie łatwo. Przewodniczący Rządu Narodowego podszedł do drzwi i zawołał stojącego na korytarzu funkcjonariusza straży bezpieczeństwa. Wydał mu pierwszy dzisiaj rozkaz.

\*\*\*

Barykada nieustannie rosła. Pęczniała na podwalinie z kilku drabiniastych wozów, ustawionych w poprzek ulicy Browarnej i załadowanych starymi rupieciami, połamanymi krzesłami, szafami, a nawet przeznaczonym na opał drewnem, przywleczonym z podwórka najbliższej kamienicy. Mieszczanie nieustannie donosili kolejne graty i ładowali je na kupę, sięgając już piętra. W sercu barykady błyszczało sześć luf kartaczownicy, wrośniętej w fortyfikację już na stałe. Na szczycie powiewał czarny sztandar z białym krzyżem – chorągiew Żuawów Śmierci. Niczym mrówki na kopcu, po rupieciach wspinali się powstańcy, do których masowo dołączyli oberwańcy z Powiśla i Mariensztatu. Panował gorączkowy harmider, ludzie przeklinali, nawoływali się i śmiali histerycznie, skąpani w rozedrganym, żółtym świetle pochodni i lamp. Na środku ulicy rozpalono kilka ognisk, wokół których migąły sylwetki szykujących się do odparcia kolejnego ataku buntowników.

Jemioła siedział na kamiennym ograniczniku w rogu bramy jednej z kamienic i próbował choć chwilę odpocząć. Cały dzień gonitwy po uliczkach, strzelanin, szarż kawalerii i nieustannych ataków gwardii, która powracała niczym fala, ogromnie dał mu w kość. Nie sposób było zliczyć, ilu żołnierzy poległo lub zostało rannych w ciasnych uliczkach i na podwórkach. Pułkownik widział niezliczone trupy pomordowanych warszawiaków, zabitych w złości lub tylko po to, by osłabić morale buntowników. Widok kobiet z porozpruwanymi brzuchami czy dzieci zakłutych bagnetami wcale jednak nie odbierał zapału walczącym. Wręcz przeciwnie. Wszystkim udzielił się fatalizm żuawów, idących na śmierć ze śpiewem na ustach. Pułkownik

pomachał Rochebrune'owi, gdy ten wyłonił się z tłumu. Francuz szedł w towarzystwie dwóch adiutantów: włoskiego ochotnika Cesara Manary i kaprała Moszyńskiego. Obaj służyli wcześniej w armii austriackiej i na pierwszy rzut oka dało się w nich poznać starych wiarusów. Rochebrune odprawił ich, udzielając krótko rozkazów, a mężczyźni natychmiast pognali w ciemność, nawołując swoich podkomendnych.

– Daliśmy się złapać w potrzask – oznajmił generał. – Będzie ciężko się wyrwać.

Jemioła rozłożył ręce. Nie mieli innego wyjścia. Nie sposób w nieskończoność ganiać uliczkami. Musieli zatrzymać się i odpocząć, więc pułkownik zarządził, że należy zamienić Browarną w fortecę. Uliczkę tworzyły dwie ściśle zabudowane pierzeje, więc nie zachodziła obawa, że wróg podejdzie boczną dróżką czy prześwitem między budynkami. Wystarczyło ustawić dwie barykady: jedną przed skrzyżowaniem z Karową, a drugą przed przecnicą z ulicą Gęstą i bronić tylko tych dwóch punktów.

– Musimy wytrzymać do rana – powiedział Jemioła, modląc się w duchu, by Pustowójtowowi się udało. – O świcie będzie po wszystkim. Damy radę.

– Rankiem Rosjanie odejdą? Tak po prostu? – Francuz grasejował komicznie, ale dziś jakoś to pułkownika nie bawiło.

– Jeśli nie odejdą, będziemy mieli kłopot. – Wyszczrzył zęby w wymuszonym uśmiechu.

Francuz nerwowo pstrykał palcami, za każdym razem materializując na chwilę błękitny płomyk. Wydawało się nieprawdopodobne, by Moskale zwyczajnie zrezygnowali. Buntowników otoczyły przynajmniej dwa gwardyjskie pułki, w sumie ponad sześć tysięcy doborowego wojska. Całe szczęście, że w mieście nie dało się rozwinąć tyraliery i poprowadzić tej masy żołdatów do jednego uderzenia. Starcia w ciasnych uliczkach powstańcy wygrywali dzięki sile ognia nowoczesnych karabinów i niezłomności żuawów. Amunicja powoli się jednak kończyła, a żuawi byli w sumie tylko ludźmi – i robili się coraz bardziej zmęczeni. Pozostawała nadzieja, że Moskale w nocy trochę odpuszczą i z atakami poczekają do rana.

Jak na zawołanie rozległ się grzmot strzelającej armaty. Gruchnęło w barykadę. Wśród trzasku rozrywanego drewna w powietrze wystrzeliła

fontanna drzazg. Ledwie rozwiął się kurz, z drugiego końca ulicy rozbrzmiały wystrzały. Rosjanie atakowali z dwóch stron, zatem koniec marzeń o spokojnej nocy. Jemioła wstał z westchnieniem.

– Którą stronę wybierasz? – W obliczu ataku Francuz jakby się uspokoił.

– Barykadę od Karowej.

– *La victoire ou la mort!*<sup>44</sup> – oznajmił Rochebrune radośnie. – Trzymaj się, Jemioła.

Pułkownik ile sił pobiegł na swoją barykadę. Wspiął się na jej szczyt, gdzie już grzmiała kartaczownica. Wierciński znów obsługiwał ją osobiście i zapamiętane kręcił korbą, pozwalając wodzić lufą jednemu ze swoich artylerzystów. O celowaniu nie było mowy, karabin strzelał w ciemność. Wierciński kiwnięciem głowy wskazał przycupniętą na szczycie barykady strzygę. Obok niej klęczał Pliszka z obnażoną szablą w garści. Wielki kosyner szczyrzył zęby, a jego oczy płonęły żółcią wściekłości.

– Nadchodzą! – oznajmiła Hanka.

Jemioła wbił spojrzenie w ciemność. Przed nim znajdowało się skrzyżowanie. Po prawej powinien rozciągać się przestronny plac Magazynu Karowego. Za dnia zwykle stały tam wozy zbierające nieczystości z całego miasta, teraz pewnie kłębili się na nim Rosjanie. Po chwili w nocnej czerni udało mu się dostrzec pojedyncze płomyki papierosów i błyski odbite w metalu. W mroku zdawało się ruszać coś wielkiego, masywnego i ciężkiego. Jemioła wyobraził sobie czarną poczwarę wielką jak dom, najeżoną lufami karabinów i bagnetów, o cielsku z metalu spojonego z czarnymi mundurami. Pełzła w stronę barykady, szczyząc zębiska. Nic dziwnego, że strzelcy tak zapamiętane pruli w ciemność. Po całym dniu skrajnych emocji zmęczony umysł zaczynał tworzyć dziwne, przerażające obrazy.

Nagle kartaczownica umilkła, choć Wierciński nadal kręcił korbą. Lufy obracały się, a iglice w zamkach trzaskały w pustkę – amunicja się skończyła. Moskale jakby na to czekali: w ciemności wybuchł ryk wściekłości.

– *Uraaa!* – wyrwało się z gardeł biegnących gwardzistów.

Pędzili całą szerokością ulicy, morze czarnych mundurów i wyciągniętych karabinów. Jemioła wyszarpnął oba rewolwery i zaczął palić z nich raz za razem. Powstańcy gorączkowo ładowali broń i strzelali wraz z nim. Na

czarnych mundurach wykwiwały krwawe rany, żołnierze padali pokotem, ale nadal nacierali. Już wspinali się na barykadę.

Pliszka nie wytrzymał, wlaź na szczyt barykady, a potem z rykiem skoczył w dół. Rąbał oficerską, błyszczącą szablą, jakby wymachiwał cepem. Krzesał snopy iskier, odbijał pchnięcia bagnatów, ciął wrogów z taką siłą, że ostrze grzęzło w torsach nieszczęśników, niemal rozrąbując ich na połowy. Strzyga wrzasnęła wysokim, przeszywającym głosem i również spadła na głowy Moskali, ruszając na pomoc ukochanemu. Jej szpony darły ciała niczym papier. Za upiorną parą ruszyli buntownicy. Wpierw pięciu kosynierów, przyjaciół Pliszki, potem cała rzeka ludzi, chłopci i warszawiacy przemieszani w jeden tłum. Pułkownik widział to kątem oka, gorączkowo repetując rewolwery. Wreszcie położył kapiszony na bębenkach i skoczył do walki. Ważyły się losy bitwy.

– Znów nas odparli – powiedział generał Rall. – Mam nadzieję, że baron Meller-Zakomielski nie radzi sobie lepiej. Jeśli jemu się powiedzie, najem się potwornego wstydu. Ten szchwany lis ściągnął do wsparcia artylerię konną, a ja co mam?

Generał spojrział wymownie na Tichona. Tajny radca powstrzymał się przed uszczypliwą uwagą. Nie tak dawno wręczył Rallowi sporą łapówkę w papierach wartościowych w zamian za wsparcie w walkach o wpływy z Trzecim Oddziałem Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, oficjalnie zajmującym się wywiadem. Jak do tej pory Rall nawet palcem w tej sprawie nie kiwnął, za to teraz miał czelność sugerować Tichonowi bezczynność. A kto zgładził ognistego potwora? Kto stał w ciemnej uliczce, by służyć pomocą tym gwardyjskim patałachom?

Trzy rotylejbgwardii wycofały się zdziesiątkowane, zostawiając za sobą sterty trupów. Polacy triumfowali. Wielkolud Pliszka stał na szczycie fortyfikacji i wymachiwał szablą, ubliżając Rosjanom.

– Proszę pchnąć kolejny batalion do ataku – powiedział radca. – Ma pan ogromną przewagę liczebną. Buntownicy wreszcie się złamią.

– Ale ile mnie to będzie kosztowało? Widziałeś pan, co zrobili z pierwszym batalionem? – zaperzył się generał. – Zanim ich pokonam, wybija

mi cały pułk. To przez tych cholernych odmieńców. Dopóki na barykadzie będzie szalał olbrzym z upiorzycą, szturm nic nie dadzą. Niech pan wreszcie coś z tym zrobi! Od czego jesteście, do stu diabłów? Cały ten pański Urząd Przemian to jakieś oszustwo! Oboroteni powinni już dawno gryźć ziemię. Jeśli ich pan nie zlikwiduje, napiszę szczegółowy raport, który trafi do rąk Jego Wysokości...

– Dobrze. – Tichon odrobinę podniósł głos. – Daj mi pan kilka minut, niech przygotuję ludzi. Potem przeprowadzicie kolejny atak, by odwrócić uwagę polskich odmieńców. Wtedy zrobię z nimi porządek.

Nie czekając na odpowiedź generała, Tichon obrócił się i odmaszerował w górę Furmańskiej. Miął siedzących na ziemi piechurów i palących papierosy oficerów gwardii, rozmawiających półgłosem. Maria Stołpin i Wasilij Pawlisziew stali przy czarnej kolasce – ruchomym sztabie Tichona. Na wozie migotały dwie olejne latarnie. W ich świetle Maria wyglądała na śmiertelnie chorą. Radca z troską przyjrzał się jej pobladłej twarzy i przez chwilę walczył ze sobą. Jeśli rozkaże Stołpin wziąć udział w operacji i używać mocy, kobieta może tego nie przeżyć. Starcie z buntownikami w cytadeli i tak ciężko odchoruje; atak słabości po nadużywaniu mocy dopiero ją czekał.

– Wasyl, szykuj graty, ruszamy zrobić porządek z odmieńcami Jemioły – oznajmił bez wstępu. – A ty, Maro, wracaj do pałacu i kładź się spać.

– Idę z wami – odparła buntowniczo.

– Nie ma mowy i bez dyskusji. Wracasz do mojego gabinetu, to rozkaz.

– Nie zostawię cię – powiedziała cicho.

Radca objął ją ramieniem i przycisnął do piersi, nie zważając na zdumione spojrzenie Wasilija. Stołpin uniosła głowę, czekając na pocałunek. Stali tak przez chwilę, tuląc się na oczach żołnierzy i zdumionego Pawlisziewa. Wesoły awanturnik powstrzymał się przed zjadliwym komentarzem i po raz pierwszy, bez ponaglenia i dyskusji, ruszył wykonać rozkaz przełożonego. Włazł do kolaski i uniósł wieko masywnej skrzyni, a następnie zaczął wyciągać z niej prototypy sprzętu z materii nasyconej mutatio, przygotowane w twierdzy będącej siedzibą Urzędu Przemian: pancerze, rękawice z metalowymi guzami, szablę, a nawet włócznię z jarzącym się bladozielonym blaskiem grotem.

– Zobaczymy się później, Maro – nalegał Tichon. – Po raz ostatni zabraniam ci udziału w tym starciu. Wracaj do domu i czekaj na mnie, jak przystało na kochającą kobietę.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się blado.

– Dobrze, ukochany – powiedziała.

Ledwie powstańcy zdążyli zabrać rannych, gdy Moskale znów zaatakowali. Tym razem z pompą i zupełnie otwarcie. Zagrały trąbki i piechota ruszyła do kolejnego szturmu. Jemioła wlaź na barykadę, ślizgając się w kałużach krwi. Hanka i Pliszka już tu tkwili, warcząc i szczerząc zęby. Pułkownik usiadł obok i po raz kolejny zaczął nabijać rewolwery. Dziś grały jak nigdy dotąd i ani razu go nie zawiodły.

– Pliszka, nie szarżuj w pojedynkę, bo wreszcie cię ustrzelą – powiedział.

– Nie atakuj bez rozkazu, zrozumiałeś?

Kosynier spojrzał na oficera żółtymi, wilczymi ślepiami i warknął głucho. Powstańcy gromadzili się wokół niego, ale nikt nie podchodził zbyt blisko. W bitewnym ferworze każdy mógł zostać rozplątany błyszczącą szablą. Hanka miała twarz umazaną posoką, jej blond włosy znów lepiły się od czarnej mazi. Biały krzyż na piersi strzygi znikł pod skrzepami krwi.

Gruchnęła salwa. Pociski zagwizdały w powietrzu, niektóre z trzaskiem wbiły się w rupiecie na barykadzie. Ktoś przewrócił się z jękiem. Pliszka ryknął gniewnie. Kula trafiła go w lewe ramię i przeszła na wylot. Jemioła przykucnął, bo Rosjanie zaczęli walić, aż furczało. Pierwsze szeregi napastników już wspinały się na barykadę po jeszcze ciepłych trupach kolegów.

– Teraz! – krzyknął pułkownik. – Ognia!

Poderwał się i wypalił z obu rewolwerów. Padły strzały, ścinające Moskali jednego po drugim i spychające ich z barykady. I wtedy powietrze za plecami Pliszki rozdarło się w oślepiającym błysku. Wielkolud odwrócił się zaskoczony i instynktownie rzucił w bok. W ostatniej chwili. Z blasku, rozsypującego się na miliony kanciastych iskierek, skryzalizował się wysoki chudzielec, ubrany w dziwaczną, czarną zbroję i hełm wyglądający jak pruska pikielhauba. W rękach trzymał włócznię o grocie przypominającym szkło i



plonącym zielonym blaskiem. Pchnął i broń minęła Pliszkę o włos. Kosynier rąbnął przeciwnika szablą, ale jej ostrze pękło z brzękiem po uderzeniu w czarny pancerz. Sekundę później w pojedynczym błysku obok chudzielca zmaterializował się niepozorny człowieczek w pince-nez na nosie, ubrany w taką samą zbroję i wymachujący laseczką dżentelmena z gałką świecącą białym blaskiem. Ruszył na Pliszkę, ale drogę zastąpiła mu Hanka. Wymierzył jej kilka ciosów laską, poruszając się niesamowicie szybko. Kobieta wrzasnęła boleśnie i cofnęła się, łopocząc skrzydłami.

Jemioła wymierzył z Peggy, ale walczący zwarli się ze sobą. Pliszka dopadł Pawlisziewa i złapał go za nieosłonięte gardło. Rycząc wściekle, zacisnął obie dłonie na szyi przeciwnika, nie zważał na ciosy drzewcem włóczni. Chudzielec wybałuszył oczy i otworzył usta do krzyku. Chrupnął łamany kręgosłup. Pliszka uniósł trupa i cisnął nim w dół, we wspinających się gwardzistów. Radca Tichon doskoczył do wielkiego kosyniera i z rozmachem trzasnął go w tył głowy. Gałka laski eksplodowała z hukiem, wielkolud opadł ciężko na kolana, a po chwili runął bezwładnie między ruskie trupy. Jemioła skoczył w dół, strzelając raz za razem, by żołdaci nie zakłuli go bagnetami. Ruszyło za nim kilku kosynierów i chłopaki z Powiśla, uzbrojeni w zdobyczne szable i karabiny z bagnetami. Tichon zniknął pułkownikowi z oczu.

W morderczej walce twarzą w twarz powstańcy zepchnęli przeciwników w dół. Kiedy wreszcie Jemioła znów mógł spojrzeć na szczyt fortyfikacji, ujrzał Hankę próbującą dopaść Tichona. Ten w międzyczasie podniósł upuszczoną włócznię i dźgał nią raz po raz w uchylającą się strzygę. Twarz Hanki zmieniła się nie do poznania, wykrzywiona dziką wściekłością. Wreszcie, nie zważając na nic, runęła na wroga z wyciągniętymi szponami i szeroko rozwartą paszczą. Niepozorny urzędnik pchnął oburącz i trafił dziewczynę w brzuch. Grot w całości zagłębił się w ciele strzygi. Wrzasnęła tak przejmująco, że zwróciły się na nią spojrzenia wszystkich walczących.

Gwardziści cofnęli się, czekając na wynik starcia. Tichon zapierał się mocno, z całych sił. Hanka zrobiła krok w tył. Stała teraz na krawędzi wielkiej skrzyni. Jeszcze trochę i runie w dół barykady, między trupy. Z twarzy upiorzycy odpłynęła krew, znikły potworne stygmaty i wyglądała teraz jak zwykła dziewczyna. Odchyliła się w tył, wygięła, balansując na krawędzi. I

niespodziewanie rzuciła się w przód, wyciągając ręce do przeciwnika.

Pazury prawej ręki dosięgły jego twarzy i rozharatały ją paskudnie. Tichon krzyknął i uniósł głowę, odsłaniając niczym niechronioną szyję. Lewa ręka strzygi uderzyła niczym błyskawica. Chlusnęła krew z rozprutego gardła. Naczelnik Urzędu Przemian zacharczał i runął w tył, bryzgając obficie ze śmiertelnej rany. Zwinął się w kłębek, drgnął dwa razy i skonał.

Hanka wyszarpnęła grot z brzucha i z trzaskiem złamała drzewce włóczni. Krwawiła z głębokiej rany, ale zdawała się jej nie zauważać. Uniosła połamany oręż nad głowę i ryknęła, jednocześnie rozkładając skrzydła. Gwardziści rzucili się do ucieczki.

\*\*\*

Ulica Freta wychodziła na Zakroczymską, prowadzącą prosto do Wrót Aleksandryjskich. Ukryte w bramach kamienic grupki mieszkańców Nowego Miasta z uwagą obserwowały maszerujące z twierdzy kolumny wojska, a potem galopujących raz w jedną, raz w drugą stronę kozackich gońców, adiutantów w mundurach gwardii lub niewielkie grupki dragonów. Wraz z nadejściem nocy Sonia Sawicka, dowodząca grubo ponad stuosobową zbieraniną dziwek i złodziei, zdecydowała się przejść do działań zaczepnych. Na jej rozkaz rozciągnięto w poprzek ulicy linę, którą napięto, gdy nadjeżdżał liczący kilku jeźdźców oddziałek gwardzistów. Dwa pierwsze konie zwały się z kwikiem, z kolejnych strącono jeźdźców celnie rzuconymi cegłami. Moskale zostali zaszlachtowani rzeźnickimi nożami i zaciągnięci w bramę, gdzie trupy natychmiast ogołococono z całego dobytku, przy okazji zdobywając kilka karabinków kawalerii, pistoletów i szabli.

Powodzenie akcji tak ucieszyło zebranych, że co bardziej krewcy zaczęli się palić do ataku na piechurów pacyfikujących Stare Miasto. Burdelmama doskoczyła do podnieconych wyrostków i strzeliła najbliższego otwartą dłonią w potylicę.

– Jeszcze czego, głupie durnie! – Rozepchnęła młodzieńców. – Posrało wam się we łbach od jednej wygranej potyczki. Co sobie wyobrażacie, że rozbijecie rotę strzelców, rzucając w nich cegłami? Chcecie wszyscy zginać czy co?

– To co, mamy polować na pojedynczych żołdatów? – obruszył się jeden z chłopców. – Co to za walka? My chcemy naprawdę bić się z Moskalami! Te sukinsyny mordują i gwałcą. Plądrują całe Podwale i Nowe Miasto, a lada chwila zaczną walić do nas z armat cytadeli! Trza ich bić, póki czas.

– Uspokój się, chłopcze. – Z mroku wyłonił się duchowny, znany na Starym Mieście jako ksiądz Karol. – Panna Sawicka ma rację, otwarta walka będzie samobójstwem. Musimy bić się jak lisy, kąsać i znikać w ciemnościach.

Zośka zmierzyła wzrokiem niespodziewanego sojusznika. Ksiądz Mikoszewski liczył niewiele ponad trzydziestkę i był przystojnym mężczyzną, a do takich dziewczyna zawsze miała słabość. Wzięła duchownego pod ramię i zwróciła się do młodzieńców.

– Nie stójcie jak te cielęta! – huknęła. – Ukryć się po bramach, czekamy na następny patrol. Wybijemy wszystkich kurierów jadących z twierdzy lub do twierdzy i w ten sposób wprowadzimy bajzel w szeregach wroga. Co jak co, ale burdel to ja umiem robić. Z tym chyba nikt dyskutował nie będzie, no nie?

Jak na zawołanie za plecami szefowej stanął potężny Smyczek z wielkim nożem w garści, jeszcze nieotartym z moskiewskiej krwi. Autorytet Soni umocnił się w jednej chwili, chłopcy pospuszczali głowy i smętnie ruszyli w stronę kryjówek. Mikoszewski próbował dyskretnie się uwolnić, ale dziewczyna trzymała go mocno. Ksiądz, który w dodatku ją popierał, mógł się jeszcze przydać w oddziale.

– Jada! – wrzasnęła pulchna Ania, gnając z podkasaną kiecką środkiem ulicy od strony Nowego Miasta. – Wielka czarna karetka z gwardyjską obstawą!

– Pewnikiem jaki generał – skonstatował któryś z obecnych sutenerów. – Bijemy go, Zośka?

– Jasne. – Sonia klasnęła w dłonie. – Wszyscy się chować. A ty, Karolku, poczekaj. Wspólnie zrobimy Moskalom psikus.

Księdzu zrzędała mina, ale ucieczka nie wchodziła w grę. Został z Sonią sam na środku ulicy. Dziewczyna rzuciła mu się na szyję i kazała udawać pijanego. Mikoszewski zatoczył się, ciągnąc uczeploną kobietę w stronę chodnika. Sonia zaczęła śpiewać na całe gardło przejmującym, mocnym głosem. W oddali pojawiły się sylwetki jeźdźców, niosło się też turkotanie kół karety po bruku.

– Jasna cholera, jest ich zbyt wielu – jęknęła Sonia, mrużąc oczy.

Obstawa liczyła w przybliżeniu pół szwadronu, jakieś pięćdziesiąt konnych. Jechali kłusem, rozglądając się uważnie na boki. Prowadził ich młody porucznik z błyszczącym orderem przypiętym u szyi. Na widok zataczającej się pary machnął ręką, by szybciej zabierali się z drogi. Sonia podstawiła nogę księdzu, a ten runął jak długi.

– *Ubirajties' won otsiuda, polskaja swołocz!*<sup>45</sup> – krzyknął oficer, ale ściągnął wodze i zwolnił.

Sonia wyciągnęła rewolwer, stanęła w szerokim rozkroku, złapała broń obiema rękami i wycelowała uważnie. Wystrzeliła trzy razy do oficera. Trafiła go tylko pierwszą kulą, ale to wystarczyło. Porucznik chwycił się za pierś i przylgnął do końskiej szyi. Sonia wypaliła resztę nabojów, mierząc w czarny tłum gwardzistów. Mikoszewski w tym czasie poderwał się z bruku, złapał dziewczynę za rękę i pociągnął w najbliższą bramę.

Gdy Sonia pierwszy raz pociągnęła za spust, z zaułków wybiegła jej mała armia, rzucając w gwardzistów kamieniami i strzelając chaotycznie. Kilku jeźdźców spadło z koni, bo przerażone krzykiem nadbiegających zwierzęta zaczęły wierzgać, potęgując zamieszanie. Poleciały butelki kamfiny z wystającymi z szyjek szmatkami nasączonymi naftą, ciągnąc za sobą ogniste warkocze. Butle roztrzaskały się o bruk, bryznęły ogniem. Smyczek wraz z grupą drabów wpadł między jeźdźców, wymachując nożem i tasakiem. Stangret, powożący karetą, okładał lejcami końskie zady, chcąc przebić się przez tłum, ale oberwał w bok głowy kamieniem, wystrzelonym z procy przez jakiegoś smarkacza, i runął z kozła na bruk. Gwardziści strzelali do ukrytych w mroku sylwetek, inni sięgnęli po szable i ruszyli do nieskoordynowanego ataku. Grad cegieł i zapalonych butelek jednak nie ustawał, buntownicy nabijali nieliczne sztuki broni palnej i strzelali raz za razem. Dla rosyjskich żołnierzy sytuacja wyglądała coraz bardziej upiornie. Atakował ich wściekły tłum, w tym kobiety i dzieci. Wrzeszcząca hałastrą wybiegała z ciemności i znikwała w niej bez śladu. Z mroku nieustannie leciały pociski, raniąc ludzi i kalecząc konie. Jak walczyć z takim przeciwnikiem?

Ocalała grupka, licząca dwudziestu jeźdźców, zawróciła konie i rzuciła się do ucieczki, porzucając karetę. Pogalopowali w dół Freta ścigani

przekleństwami i rzucanymi kamieniami. Sonia, wymachując rewolwerem, jako pierwsza doskoczyła do drzwiczek powozu i otworzyła je szarpnięciem.

– *Wychadi, jenerał!* – zakomenderowała, mierząc w ciemne wnętrze nienabitym rewolwerem.

Ze środka z godnością wyłonił się potężny stary mężczyzna z wielkim brzuszyskiem.

Ubrany we frak i cylinder, o ponurej twarzy z siwymi bokobrodami, wyglądał niczym stary niedźwiedź. Stał chwilę w wejściu, patrząc spode łba na zgromadzony tłum, a potem ciężko zeskoczył na ulicę. Sonia przyglądała mu się z uwagą. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie już widziała tego starszego pana.

– Kim pan jesteś, do cholery? – warknęła.

– Proszę wybaczyć tej kobiecie, margrabio. – Ksiądz Mikoszewski uklonił się jeńcowi. – Aresztuję pana w imieniu Tymczasowego Rządu Narodowego.

– O co jestem oskarżony, klecho? – burknął Wielopolski.

– O zdradę ojczyzny, margrabio – odparł ksiądz. – I przygotowanie barbarzyńskiej branki, która zmusiła nas do powstania.

Sonia wreszcie zrozumiała, że stoi przed nią sam margrabia Aleksander Wielopolski, najbardziej znenawidzony prorosyjski oficjel, uparcie zwalczający powstanie. Wpadł jej w ręce nie jakiś tam byle generał, ale naczelnik rządu cywilnego, najwyższy sytuowany Polak w całej carskiej hierarchii.

– Zaraz, zaraz – powiedziała, stając między mężczyznami. – To ja aresztuję margrabiego, a nie Rząd Narodowy.

– A kim pani jest, jeśli wolno spytać? – zaciekawiał się niedźwiedź.

– Najważniejszą burdelmamą w tym mieście, łaskawy panie – powiedziała i wydeła dumnie usta. – A teraz włącz pan do budy i dziękuj Bogu, że trafiłeś pod moje skrzydła. Ci nawiedzeni wariaci na miejscu by cię powiesili, panie Wielopolski.

Margrabia posłusznie wszedł z powrotem do karety i usiadł ciężko. Z nerwów dygotały mu dłonie, a w piersi rósł uporczywy ból, promieniując na lewy bark i szyję, aż do szczęki. Obawiał się, że nadchodzi jakiś nerwowy atak, którego nie przeżyje.

Sonia zatrzasnęła za nim drzwiczki i uśmiechnęła się do oburzonego jej ostatnią uwagą księdza. Zdobyła właśnie skarb, który może uda przekuć się na brzęczącą monetę i zrekompensować ostatnie finansowe straty.

– Hej, ludzie! – Od strony Zakroczymskiej gnał jakiś człowiek w rozchełstanej, podartej koszuli. – Ludzie! Cytadela zdobyta!

– Przez kogo? – zainteresowała się Sonia.

– Przez naszych, przez Polaków! – Mężczyzna słał się z przejęcia i zmęczenia. – Powstańcy, setki, tysiące powstańców. Wdarli się do twierdzy i ją zdobyli. Widziałem na własne oczy dymy i ogień, słyszałem armatnie strzały i karabinowe salwy. Przywiozłem ładunek obroku dla koni i czekałem pod bramą. Potem Moskale uciekali, pojedynczo i całymi rotami. Wiali w stronę Modlina. Wszedłem do środka, a tam sterty trupów, wszystko się pali. Tak było, przysięgam na wszystkie świętości!

– Nie bądź pan taki pochopny z przysięgami – uspokoił go Mikoszewski. – Skąd niby wzięli się ci powstańcy?

Chłop nie odpowiedział, bo właśnie ulicą, od strony cytadeli galopował samotny jeździec. Mężczyzna na głowie nosił rogatywkę, a na piersi biało-czerwony kotylion. Pomachał do zgromadzonych i wrzasnął:

– Na Wrotach Aleksandryjskich powiewa biało-czerwony proporzec! Cytadela nasza! Potrzebni ochotnicy do powstającego polskiego wojska! Kto chętny za mną!

Sonia spojrzała z niechęcią na ruszający całą chmarą tłum jej oberwańców. Właśnie straciła swój oddział. Zostały przy niej tylko dziewczęta i ksiądz. Nawet Smyczek pognał do twierdzy. Nie zastanawiając się dłużej, wlała na kozioł woźnicy i chwyciła lejce.

– Na co czekacie, głupie siksy? Wsiadać! Jedziemy do cytadeli.

\*\*\*

Daria Fiodorowna osobiście powoziła dorożką. Blond piękność z ręką na temblaku, który założył jej medyk hrabiny Berg, zdrową dłonią trzymała lejce i chłostała nimi końskie zady. Już sześć razy zatrzymywali ją żołdaci, myśląc, że mają do czynienia z Polką, którą dziś uda się całkiem bezkarnie zgwałcić. Za ostatnim razem nie pomogły rugania pięknym rosyjskim, powoływanie się na

oficerski stopień, który jakoby posiadała i wreszcie na obecność hrabiny Berg, siedzącej w dorożce. Piechurzy byli w sztok pijani i w nosie mieli, kogo właściwie gwałcą, cieszyli się po prostu, że w ręce wpadła im śliczna dziewczyna. Daria musiała użyć mocy i unieruchomić trzech najbardziej bezczelnych gierojów zmaterializowanymi żelaznymi gwoździami, wbitymi w stopy. Wreszcie dotarła na Plac Zamkowy, gdzie okazało się, że wielki książę przeniósł się ze sztabem do Pałacu Saskiego.

– Dlaczego do pałacu? – zdziwiła się Leopoldyna.

Udzielający im informacji sotnik kozacki zakręcił węża i splunął przez ramię.

– Lachy zdobyli czyścidielę, najłaskawsza pani – oznajmił.

– Co takiego? – Hrabina poderwała się z siedzenia.

– Lepiej się stąd zabierajmy – powiedziała Daria i pogoniła konie.

Zewsząd dobiegły strzały i krzyki. Kilka mijanych domów stało w ogniu, na ulicach leżały trupy zarówno mieszczan, jak i żołnierzy. Śmierdziało spalenizną i krwią. Sylwetki przemykające w ciemnościach wyglądały upiornie i groteskowo na tle płomieni. Miasto ogarnął kompletny chaos. Biły dzwony kościołów, jakieś kobiety zawodziły nad ciałami zabitych. Kozacy galopowali jak opętani, klęli i krzyczeli do siebie. Co chwila ktoś strzelał w ciemność lub w okna kamienic. Przejeżdżając przed Pałacem Zamojskiego, kobiety zobaczyły wielkie ognisko na jego dziedzińcu, żołdaci zrzucali do niego z okien meble i książki. Z łomotem i żalosnym brzękiem gruchnął o bruk stary fortepian. Klawisze rozsypały się białą fontanną.

– Szybciej, moja kochana – hrabina ponagliła swoją strażniczkę. – Nie mogę już tego znieść.

Skręciły z Nowego Świata w Królewską i znalazły się na Placu Saskim. Dalej pojechać nie mogły, drogę zagraadzały barykady ustawione przez gwardzistów. Klębił się tu tłum cywilnych Rosjan, próbujących znaleźć schronienie pod skrzydłami armii. Daria złapała starszą panią za rękę i rozpychając się łokciami, pociągnęła ją w kierunku pałacu. Przed jego wejściem, w gniazdach ogniowych ułożonych z worków z piaskiem, tkwiły połowe armatki. Żołnierze próbowali powstrzymać dwie kobiety, ale Daria krzyczała, że prowadzi żonę adiutanta wielkiego księcia i natychmiast musi się

stawić w pałacu. Wreszcie jakiś oficer pozwolił im wejść, a nawet zaprowadził zatłoczonymi korytarzami do sali posiedzeń na ostatnim piętrze.

Pani Leopoldyna słaniała się ze zmęczenia, Daria musiała podtrzymywać ją zdrową ręką. Wreszcie usiadły na krzesłach pod ścianą przed drzwiami, za którymi obradował sztab. Oficer zameldował dowódcy straży, kogo przyprowadził, i po chwili, ku zaskoczeniu Darii, obie zostały wprowadzone do środka.

Leopoldyna wpadła prosto w ramiona hrabiego Berga. Ten ucałował żonę i szepnął jej coś uspokajającego, ale Daria nic nie usłyszała. W uszach dziewczyny huczały jeszcze krzyki i strzały. Nie wiedząc kiedy, znalazła się twarzą w twarz z wielkim księciem. Konstanty miał mocno podkrążone i załzawione oczy, a twarz bladą ze zmęczenia. Podeszedł do dziewczyny i złapał ją mocno za ramiona.

– Ma panienka wieści o mojej rodzinie? Nie spotkałyście po drodze książęcego powozu? – spytał drżącym głosem.

Daria pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Uścisk księcia ją bolał, ale to nic. Widziała dziś prawdziwe piekło, płonące miasto pełne pomordowanych nieszczęśników. Te koszmarnie widoki wstrząsnęły nawet jej żelaznym sercem. Zaszlochała, nie mogąc powstrzymać łez cisnących się całą falą do oczu. Konstanty puścił ją z westchnieniem. Podeszedł do okna.

Nie minęła minuta, a drzwi znów się otworzyły. Do środka wmaszerował któryś z młodszych adiutantów. Zasalutował z rozmachem i wręczył księciu list, mętnie tłumacząc, że przyniósł go posłaniec z cytadeli. Konstanty otworzył nerwowo pismo i poprawił binokle. Berg pomógł żonie usiąść na krześle i energicznie podeszedł do księcia. Zajrzał mu przez ramię. List napisano po rosyjsku, niechlujnym, ale zamaszystym charakterem. Z każdym przeczytanym zdaniem namiestnik coraz bardziej czerwieniał.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Wcisnął pismo w ręce Berga. – Ten sukinsyn ma moją rodzinę i mi grozi!

– Kto taki? – spytała Leopoldyna.

– Major Teofil Teofilowicz Pustowójtow. – Berg głośno przeczytał podpis. – I do tego komendant cytadeli w imieniu Rządu Narodowego. No, no. Przeklęty dezterter robi się coraz bezczelniejszy. Trzeba będzie porozmawiać z



radcą Tichonem, by wreszcie usunął tego odmieńca.

– Żąda, bym natychmiast wycofał wojska pacyfikujące Warszawę i wyprowadził wszystkie oddziały z miasta – powiedział Konstanty. – Inaczej zabije moich najbliższych. Co ja mam robić, na Boga?! Poradźcie, co ja mam robić.

Nieświadomie zaczął szarpać się za brodę. Berg rozłożył ręce. W takiej sytuacji trudno udzielać rad, cokolwiek Konstanty zrobi, i tak wpakuje się w poważne kłopoty. Jeśli posłucha dezertera i wycofa wojska, car natychmiast go zdymisjonuje. Z drugiej strony nie podlegało wątpliwości, że Pustowójtow spełni groźbę. Wystarczyło spojrzeć w jego dossier – był podejrzany o gwałt i morderstwo na jakiejś Polce, potem brał udział w przesłuchaniach złapanych buntowników jako kat. Jak każdego oborotena z pewnością powoli trawiło go szaleństwo i mógł bez zmrużenia oka zaszlachtować wielką księżną wraz z dziećmi.

– Może przeprowadzimy natychmiastowy atak na cytadelę i jeszcze przed świtem ją odbijemy? – zaproponował młody adiutant, który ciągle przebywał w pomieszczeniu.

Księżę spojrział na niego ze złością.

– Chcesz ryzykować życie mojej rodziny, głupcze? – syknął. – Proszę natychmiast przekazać rozkazy dowódcom w mieście, że mają zaprzestać wszelkich działań przeciw ludności i wycofać oddziały w kierunku rogatek powązkowskich. Polecenie wykonać *tout de suite*<sup>46</sup>. A teraz napiszę odpowiedź do tego Pustowójtowa. Oddam mu całe miasto i cofnę pułki do twierdzy Nowogiórgiewskiej, niech tylko uwolni moją żonę i dzieci...

Księżę zdjął binokle i wytarł załzawione oczy. Berg pokiwał głową, ale w duchu się uśmiechnął. Wielki księżę przegrał. Stanowisko namiestnika królestwa lada chwila się zwolni.

## 20 kwietnia 1863 r.

Artyleria konna podciągnęła sześć armat i ustawiła je na skrzyżowaniu Karowej z Browarną. Strzelała nieustannie, zamieniając okrwawioną barykadę w skotłowaną kupę poszarpanego drewna i porozrywanych ciał. Kiedy pobliskie dwa domy runęły w gruzy, powstańcy musieli cofnąć się w głąb ulicy. Jemioła rozkazał budować na niej kolejną barykadę, tym razem z mebli siłą wydartych z mieszczańskich domów. Na ulicę poleciały łóżka i szafy, biurka i regały z ciemnego drewna orzechowego. Ale ta fortyfikacja była niższa i mniej imponująca. Pułkownik przyglądał się jej z rozpaczą. Wystarczy jedna armatnia salwa, by po prostu się rozsypała.

– Do świtu jeszcze ze dwie godziny. – Za plecami Jemioły pojawił się Rochebrune.

Francuz miał twarz umazaną sadzą i zaschniętą krwią, jego czarne wąsiki sterczały nastroszone. Piękny mundur żuawa pokrywały kurz i krwawe błoto, a w oczach oficera błyszczało szaleństwo. Dopiero po chwili Jemioła uświadomił sobie, że musi wyglądać identycznie, jeśli nie gorzej.

Przynajmniej mimo skrajnego wyczerpania obaj trzymali się jeszcze na nogach, w przeciwieństwie do coraz liczniejszych powstańców, którzy z wyczerpania kładli się w bramach lub siadali na bruku.

– Wytrzymamy? – spytał pułkownik.

– Rosjanie uwzięli się, by rozbić nas jeszcze tej nocy. – Generał pokręcił głową.

– Poddajemy się? – spytał Jemioła bez sensu, bo przecież znał credo żuawów: zwycięstwo albo śmierć.

Rochebrune parsknął śmiechem i klepnął towarzysza w ramię.

– Lepiej zaatakujmy, zanim armaty zmielą nas na proszek – powiedział. – Przynajmniej polegniemy w boju. Zabezpieczę drugi wylot ulicy, by nie uderzyli na nas od tyłu. Ruszymy całą chmarą na armaty z Karowej. I pewnie tam wszyscy polegniemy.

Jemioła pokiwał głową i odwrócił się, by wydać rozkazy. Zawahał się

jednak i zatrzymał odchodzącego Francuza.

– Nie masz do mnie żalu? – spytał. – To ja wepchnąłem nas w to bagno.

– Żal mogę mieć jedynie do siebie. – Pokręcił głową. – Zgodziłem się wziąć udział w tej szaleńczej wyprawie zupełnie dobrowolnie. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Dość gadania, chodźmy po tę śmierć.

Jemioła zaczął wykrzykiwać rozkazy. Żuawi i kosynierzy wstawali i łączyli się w kompanie. Zrezygnowani, zmęczeni warszawscy ochotnicy dołączali do ich szeregów. Rannych, niezdolnych utrzymać się na nogach, zebrano na podwórku największej kamienicy. Kładziono ich bezpośrednio na ziemi i okrywano kapotami lub kocami przyniesionymi przez mieszkańców. Pułkownik chodził parę chwil między nimi, ze zgrozą patrząc na konających i okaleczonych. Były ich dziesiątki.

– To przeze mnie – szepnął. – Wszystko przeze mnie. Nie udało się, zginiemy.

– Gównu prawda – wycharczała strzyga.

Hanka siedziała w kucki obok Pliszki. Nieprzytomny kosynier miał głowę owiązaną szmatami, tak samo jak przestrzelone ramię. Nie dawał znaku życia. Po twarzy strzygi spływały strużki potu, a policzki gorzały niezdrowym rumieńcem. Brzuch owinięto jej białym płótnem, które już zupełnie przesiąkło od krwi. Zwykły człowiek dawno zmarłby od tak głębokiej rany, ale upiorzyca nadal się trzymała. We wcześniejszej rozmowie z Jemiołą oznajmiła, że artefakt, którym ją przebito, pochłaniał mutatio i zmieniałby w wysuszoną mumię każdego odmienca, ale dla niej specjalnie się nie różnił od zwykłego kawałka żelaza. Wszak narodziła się na nowo z mocy potężnej turbulencji i nie przypominała innych oborotenów. Wyliże się.

– Przestań jęczeć i się nad sobą użalać – warknęła do pułkownika. – Poprowadź ludzi do ataku i przegońcie wreszcie tych sukinsynów.

Jemioła pochylił się nad Pliszką i uścisnął go delikatnie na pożegnanie. Po chwili wahania pocałował Hanke w czoło i opuścił podwórko.

Ludzie już czekali. Pobladli i słaniający się ze zmęczenia, ale z zaciętymi twarzami. Gotowi na wszystko. Jemioła sprawdził rewolwery i nabił jeden ostatnimi pięcioma kulami. W tym czasie Rochebrune kazał wszystkim odsunąć się w głąb ulicy i w pojedynek podszedł do opuszczonej barykady.

Stanął przed nią, szeroko rozstawiając nogi, i wyciągnął ręce. Z jego dłoni buchnęły jęzory błękitnych płomieni. Generał zaczął nucić pod nosem, a ogień stopniowo się powiększał i po chwili z jego rąk strzelały dwie kolumny płomieni długich na kilkanaście kroków. Twarz Francuza wykrzywiła się z wysiłku. Przesunął smugami żaru po barykadzie, a wszystko, co ogarnął błękitny ogień, natychmiast się zapalało. W minutę cała fortyfikacja gorzała wściekle, trzeszcząc i plując iskrami. Rochebrune skierował ręce na stykający się z barykadą dom. Pożar wybuchł z szaloną gwałtownością, wdzierał się do okien i ogarniał dach. Generał przesunął się i podpalił dom z drugiej strony ulicy.

Okolicę zalał blask szalejącego pożaru. Płomienie wzbijały się wysoko w niebo, a wiejący od Wisły wiatr rozniecał je z każdą chwilą. Obserwujący pokaz mocy zmrużyli oczy i cofnęli się jeszcze bardziej. Rosjanie z drugiej strony Browarnej wstrzymali ostrzał i wszyscy patrzyli oniemiałymi na ogromny, nienaturalny pożar.

Rochebrune wybiegł z płomieni, otrzepując tłący się mundur. Stracił brwi, większą część bródki oraz wąsów. Od całej jego sylwetki strzelały iskry i miniaturowe pioruny. Oczy błyszcząły mu błękitem równie intensywnym, jak płomienie, które wzniecił. Bez słowa wyciągnął szablę i wskazał kierunek ataku. Żuawi ruszyli ze śpiewem i zaczęli szybko wspinać się na barykadę przy Karowej.

– Ruszamy, chłopcy! – rozkazał Jemioła i skoczył biegiem, by dołączyć do atakujących.

Po chwili wszyscy, którzy mogli utrzymać broń, kłębili się na podziurawionej i częściowo zawalonej barykadzie. Znikły podziały między kompaniami. Buntownicy przemieszali się ze sobą – fanatyczni i dumni żuawi, dzielni chłopcy i zdesperowani mieszczanie stali przez moment, a potem ramie w ramie, z jednym rykiem, zbiegli do szalonego ataku prosto na armatnie lufy.

Jemioła pędził na czele, tuż obok ryczącego Rochebrune'a. Odsadzili resztę na kilka kroków i gnali jak na wyścigach, który pierwszy dopadnie ruskich armat. Kanonierzy pewnie już podpalali lonty, za chwilę mordercza salwa zmiecie większość buntowników. Obaj dowódcy woleli zginąć na początku, niż patrzeć na klęskę i masakrę swych oddziałów. Krzyczeli ile sił w

płucach, szykując się na huragan odłamków lub karabinowe pociski. Każdy krok, każde kolejne uderzenie serca było niczym zwycięstwo. Jeszcze trochę, jeszcze jedna sekunda życia. Jeszcze jeden oddech. Teraz!

Armaty jednak nie wystrzeliły. Naraz w szarówce nadchodzącego świtu zobaczyli, jak Rosjanie zapręgają lawety do czwórek i poganiają konie. Nim powstańcy dobiegli do skrzyżowania, działa odjechały Furmańską w kierunku Starego Miasta. Czarne kolumny gwardii truchtały za nimi, jakby chciały nadążyć za pędzącymi końmi. Na placu Magazynu Karowego krzątali się jeszcze rosyjscy sanitariusze, którzy w pośpiechu ładowali nosze z rannymi do kibitek i na wozy. Powstańcy zwolnili, a potem zatrzymali się w miejscu.

– *Sacrebleu!* Co tu się dzieje? Dlaczego uciekają? – Rochebrune dyszał ciężko. Nad jego głową zapalały się i gasły pojedyncze błękitne płomyki.

Jemioła parsknął, a po chwili ryknął histerycznym śmiechem.

– Nie rozumiecie? Zwyciężyliśmy! Pustowójtow wykonał zadanie. Kiedy odciągnęliśmy uwagę Rosjan, zdobył cytadelę. Udało się! Jednak się udało!

\*\*\*

Smród spalenizny przyćmił nawet fetor warszawskich rynsztoków i końskiego gnoju. Rankiem zza chmur wyrzało słońce, ale wiał mocny wiatr, rozniecając na nowo dogasające pożary. Z ulic zupełnie zniknęli Moskale, tak jak w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym, po pierwszych patriotycznych rozruchach. Wtedy ukryli się w zamku i cytadeli, dziś ponoć wymaszerowali zachodnimi rogatkami. Przed świtem ulicami ciągnęły ciężkie wozy załadowane wojskowym dobrem i majątkami cywilnych Rosjan. Wieść o tym, że okupant opuszcza miasto, migiem się rozniosła i bladym świtem ulice zaroily się od ludzi. Zbierano zabitych, gaszono pożary i rabowano mieszkania porzucone przez Moskali. Dotychczasowi wydziałowi organizacji miejskiej próbowali zapanować nad chaosem, werbując do pomocy polskich funkcjonariuszy carskiej policji i agentów żandarmerii narodowej. Rząd Narodowy nie wydał jeszcze żadnego obwieszczenia ani się nie ujawnił, choć wszyscy oczekiwali, że stanie się to jeszcze dziś.

Potem rozeszło się, że Nowym Światem maszeruje polskie wojsko – powstańcy, którzy całą noc bili się z Moskalami. Tłum gromadnie ruszył w

kierunku Krakowskiego Przedmieścia, by przyrzeć się pochodowi bohaterów. W kościołach nieustannie bito w dzwony, księża wyprowadzili procesje, niosąc święte sztandary i krzyże, pojawili się także odświętnie ubrani rabini w otoczeniu młodych, uzbrojonych Żydów.

W tłumie, w którym euforia mieszała się z rozpaczą po zabitych w nocnej masakrze, szedł terminator kotlarski Leopold Zelner. Wyjątkowo mikrej postury i wychudzony, wyglądał na znacznie młodszego niż w rzeczywistości. Ubrany w szare łachmany, przemykał między ludźmi, zupełnie nie zwracając na siebie uwagi. Tak samo wcześniej, jeszcze jako szeregowy działacz „dziesiątki” organizacji miejskiej, prześlizgiwał się między moskiewskimi żandarmami i patrolami wojska, przenosząc podrobione dokumenty i przesyłki dla powstańczej poczty. Ledwie trzy tygodnie temu awansował w podziemnej siatce i to na członka żandarmerii narodowej, a konkretnie na jednego z funkcjonariuszy V Oddziału, których nazywano Sztyletnikami. Dziś nad ranem Leopolda spotkał jeszcze większy zaszczyt. Wezwał go do siebie osobiście przewodniczący komisji wykonawczej Rządu Narodowego i zlecił najważniejsze zadanie – likwidację niebezpiecznego moskiewskiego agenta, ukrywającego się wśród powstańców.

W oszołomionym i podekscytowanym tłumie powinien z łatwością wykonać rozkaz. Wystarczy, że wyczeka na sposobny moment i po cichu podejdzie do celu – bo nie powinien myśleć o nim jak o człowieku, to tylko cel, bezosobowe zło, które trzeba zniszczyć jednym pchnięciem żelaznego sztyletu, ukrytego w rękawie. Mimo że miasto zostało wyzwolone, musiał zniszczyć agenta po cichu, bo ponoć otaczał się switą fanatycznych stronników, przed którymi udawał świętego patriotę. Naprawdę był jednak zwykłym kolaborantem, szcurem kumającym się z Moskałami, który próbował wedrzeć się do powstańczych władz i rozbić je od wewnątrz.

Leopold przystanął na krawędzi chodnika. Powstańcy szli całą szerokością ulicy, witani radosnymi okrzykami co bardziej krewkich młodzieńców oraz milczeniem i smutnymi spojrzeniami starszych mężczyzn. Wyglądali okropnie w porozdzieranych, okrwawionych ubraniach, z poszarzałymi, osmalonymi twarzami, kulejący i potykający się na bruku. Nad głowami powiewały im strzępy sztandarów, w których między dziurami można się było dopatrzeć

wizerunków Matki Boskiej i Białego Orła. Kobiety płakały, podchodziły do powstańców, by im pomóc. Większość z maszerujących żołnierzy odniosła rany i teraz nosiła prowizoryczne opatrunki przesiąknięte krwią. Zdawali się jednak tego nie zauważać. Szli w uniesieniu, nie czując zmęczenia i bólu, ich oczy błyszczały szczęściem i podnieceniem. Każdy z nich wielokrotnie dziś stawał twarzą w twarz ze śmiercią. Ta zwycięska parada, kiedy w promieniach porannego słońca szli ulicami wyzwolonego miasta, była ich nagrodą. Stanowiła spełnienie ich największych marzeń.

Jakub rozpoznał generała Rochebrune'a. Francuz maszerował na czele równej kolumny, ubranej w charakterystyczne mundury i czerwone fezy. Nad głową łopotał mu strzep czarnego sztandaru. Ludność witała go entuzjastycznie, każdy w królestwie słyszał bowiem o wyczynach Żuawów Śmierci i cieszył się widokiem legendarnej formacji i jej dowódcy. Młody sztyletnik zaczął klaskać i wiwatować razem z tłumem. Ludzie ruszyli do żuawów i wymieszali się z nimi, biorąc powstańców w ramiona i całując. Korzystając z okazji, Jakub wśliznął się między żołnierzy i gapiów i przemknął w kierunku kolejnej kolumny.

Oberwańców w cywilnych ubraniach prowadził niewysoki mężczyzna w robotniczej kapocie, wyróżniający się szerokim pasem, u którego wisały kabury z wielkimi rewolwerami. To on! Pułkownik Jan Jemioła. Jego cel.

Jakub przecisnął się między dwiema grubymi babami w chustach i stanął obok dziewczyny, która całowała każdego powstańca po kolei. Odczekał, aż rzuci się na szyję Jemiole i uścisnął mu rękę, starając się wypatrzeć w jego oczach zło i zdradę, ale dojrzał tylko ogromne zmęczenie. Sztyletnik zawahał się na mgnienie oka. Dość! To nie człowiek, tylko cel!

Przepuścił oficera i w sekundę znalazł się za jego plecami. Kiedy zdrajca ścisnął dłoń gratulującemu mu starszemu, Jakub potrząsnął rękawem i pozwolił, by żelazny sztylet o ostrzu zakończonym niczym grot strzały wpadł mu do dłoni. Mocno chwycił surową rękojęść i pchnął z całych sił. Ząbkowany, pokryty strychniną grot wszedł pod prawe żebra Jemioły. Jakub pchnął go ku górze, by wlaź jak najgłębiej, a trucizna rozpuściła się we krwi. Wyszarpnął brzeszczot i cofnął się między podekscytowanych ludzi, niezauważony przez nikogo.

Jemioła poczuł przeszywające uderzenie. Szarpnięcie wstrząsnęło całym jego ciałem. Usta natychmiast wypełnił mu metaliczny smak krwi. Ból zdawał się rozrywać płuca, wypełniał cały tors i promieniował aż do głowy. Pułkownik zrobił krok, walcząc z obezwładniającą niemocą. Zakrzuszył się, przychnął krwią. Chciał krzyknąć, ale nie był w stanie wydać z siebie nawet westchnienia. Zrobił kolejny krok i tępo zwałił się na bruk. Słabość przytępiła mu myśli. Musiał się podnieść, ale nie miał sił, właściwie nawet nie chciał znów się zrywać. Paralizujący ból już minął. Pozostały jedynie niemoc i śmiertelne zmęczenie. Musiał choć przez chwilę odpocząć. Nie miał już sił walczyć. Zamknął oczy.

I skończył.

\*\*\*

Przed domem generalskim zebrał się spory tłum ciekawskich. Pod eskortą złożoną z żołnierzy kompanii Adolfa Kijka, ciągle ubranych w rosyjskie mundury, ale już z przypiętymi biało-czerwonymi kotylionami, przyprowadzono ponad czterystu gwardzistów i piechurów wziętych wczoraj do niewoli. Mieli towarzyszyć jej księżęcej mości Aleksandrze Józefownej w drodze do twierdzy Nowogiejorgiewskiej, do której wycofała się rosyjska armia. Pustowójtow osobiście odprowadził księżną do wielkiej czarnej karety i pomógł jej wsiąść do środka. Kobieta oczy miała zapuchnięte od płaczu, szła jednak dumnie wyprostowana, trzymając na rękach najmłodszego, rocznego synka. Kolejna trójka dzieci dreptała za nią w towarzystwie dwóch piastunek. Księżna jeszcze raz łamiącym się głosem poprosiła Teofila o litość i uwolnienie najstarszego, trzynastoletniego syna Mikołaja i dwunastoletniej córki Olgi, ale major pozostawał nieugięty. Bez słowa zamknął drzwiczki karety. Dwójka księżęcych dzieci miała pozostać w cytadeli jako zabezpieczenie. Włos nie spadnie im z głowy, jeśli namiestnik powstrzyma się przed atakami na Warszawę. Jego pierworodny i najstarsza córka zostaną uwolnieni w stosownym czasie. To samo spotkało również rodziny generalskie, które właśnie ładowano na wozy. Najstarsze dzieci oficerów zostały w opróżnianym budynku, Teofil pozwolił odejść tylko żonom i najmniejszym berbeciom.



– Jak może być pan takim potworem? – gorączkowała się generałowa Korfowa, choć sama miała już dorosłego syna, który zresztą nie dostał się do niewoli, a znajdował się setki wiorst od Warszawy. – Jak może pan oddzielać matki od dzieci? To barbarzyństwo najgorszego rodzaju, zbrodnia!

Pulchna kobieta stała na wozie i wygrażała pięścią Teofilowi, który przechadzał się wzdłuż szeregu jeńców, nic sobie nie robiąc z wrzasków baronowej. Z tłumu wyłoniła się Wanda, która wczoraj wróciła do dawnej funkcji sanitariuszki, ale tym razem występowała jako przełożona wszystkich ochotniczek przybyłych z miasta. Żydówka stanęła przed wozem Korfowej i złożyła ręce na piersi.

– To już nie pamięta pani, że nie tak dawno Moskale łapali dzieci na ulicach Warszawy, wydzielali je z matczyńskich ramion i wysyłali w głąb Rosji, do szkół kanonistów? – spytała głośno. – Wówczas porywanie dzieci i skazywanie ich na okrutną służbę nie było zbrodnią, a dziś chwilowy areszt w komfortowych warunkach to barbarzyństwo?

Baronowa usiadła ciężko na siedzeniu, spiorunowała Wandę wzrokiem, ale nie odpowiedziała. Teofil dał znak Kijkowi i cała kolumna ruszyła w kierunku Wrót Michałowskich. Po drodze jeńcy obejrzą sobie spaloną cerkiew, zalany krwią plac Gwardii i ruiny X Pawilonu, a za murami przejadą obok jeńców, kopiących wielkie doły i wrzucających do nich trupy poległych Rosjan.

– Jestem zdania, że powinno się uwolnić te dzieci i część pojmanych oficerów. – Do Pustowójtowa podszedł Karol Majewski. – Przynajmniej tych rannych. Książę Oboleński całkiem stracił słuch, hrabia Rozwadowski doznał w areszcie kontuzji biodra, a generał Lewicki jest w stanie załamania psychicznego. Powinniśmy ich odesłać, by okazać carowi dobrą wolę.

Teofil spojrział z niechęcią na brodatego chudzielca. Wyjątkowo irytował go ten natrętny osobnik o rozbieganych oczkach. Do wczoraj był więźniem X Pawilonu, ale po przybyciu Rządu Narodowego natychmiast wstąpił w jego szeregi jako zasłużony działacz. Obwołano go przewodniczącym wydziału wojny, co Pustowójtowowi wydało się jakimś ponurym żartem. Od rana drażniło go, że musi znosić tych mądraków, podających się za dowódców zrywu – Gillera, Ruprechta, Awejde i innych, których przybywało z każdą

chwilą. Wydali mu się jacyś śliscy i nazbyt przemądrzali, zupełnie jak carscy urzędnicy. Niby na wszystkim się znali i mieli odpowiedź na każde pytanie, ale faktycznie mądrymi słówkami maskowali tylko własną niewiedzę lub nawet głupotę.

– Dlaczego pan nie dopowiada, majorze? – Majewski domagał się uwagi.  
– Wydaje mi się, że podejmuje pan nieodpowiednie decyzje. Powinien się pan powstrzymać przed pochopnymi ruchami i nie czynić nic bez zgody lub polecenia Rządu Narodowego. Przypominam, że podlega pan bezpośrednio mnie, a ja nie zgadzam się...

– Major Pustowójtow pełni samodzielną funkcję dowódcy tej twierdzy – warknęła Wanda. – Jeśli uważasz, że jest inaczej, człowieku, spróbuj wydać rozkaz któremuś z żołnierzy. Ciekawa jestem, kogo posłuchają.

– Po raz kolejny wtrąca się panienka do rozmów mężczyzn – z wyższością wycedził Majewski. – Ograniczenia umysłowe nie pozwalają panience zrozumieć takich pojęć jak hierarchia służbowa, bo gdyby panienka miała ją na uwadze...

Teofil złapał go za koszulę pod brodą i przyciągnął do siebie. Fala mocy załapała mu umysł tak ognistą wściekłością, że miał ochotę rozedrzeć tego szczura na strzępy, i zapewne zrobiłby to, gdyby nie dotyk Wandy, która uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. Potrząsnął więc tylko przerażonym członkiem Rządu Narodowego i wycedził mu prosto w twarz:

– Zwracając się do panny Szczurówny, pamiętaj, że mówisz do oficera wojska polskiego, który nie tylko przewyższa cię umysłowo, ale także pod każdym innym względem. Nie przeszkadzaj nam w pracy, bo staramy się stworzyć tu załążek prawdziwej armii. I daruj sobie protekcyjny ton, panie Majewski. Porozmawiamy o kompetencjach i hierarchii dziś wieczór na posiedzeniu rządu.

Odepchnął mężczyznę i ruszył w stronę budynku koszar, gdzie urządził sztab. Wanda pobiegła za nim z radosnym uśmiechem. Nie zapomniała o przeszłości Teofila i swojej niedawnej niechęci do niego, ale dziś wszystko wyglądało inaczej. Czuli jakąś niezrozumiałą rzewność, kiedy spoglądała na polskie wojsko w cytadeli, poza tym coraz bardziej się przywiązywała do tego wielkoluda. Czarne oczy Pustowójtowa patrzyły na nią jakoś inaczej, aż błoga

przyjemność rozplywała się od serca. W dodatku okazało się, że Teofil jest niesamowicie przystojny. Że też wcześniej tego nie zauważyła...

– Niech to wszyscy diabli, dlaczego Janek dał się zabić? – syknął. – Czemu mi to zrobił? I to właśnie teraz, kiedy potrzebna jest jego żywiołowość i zmysł organizacyjny. Jak sobie poradzę z politykami? Przecież jeśli pozwolę działać takim Majewskim, zaprzepaszczą cały nasz wysiłek. Ech, zaczyna mnie boleć głowa.

– Chodźmy do szpitala, zrobię ci herbaty albo Loewenhardt da jakiś specyfik – zaproponowała.

– Nie mam czasu. – Machnął ręką. – Muszę się zająć ochotnikami. Ponoć stawilo się ich już pięć tysięcy z samej tylko Warszawy. Głównie biedota robotnicza i różnego rodzaju szemrane towarzystwo, ale też trochę rzemieślników i młodzieży. Spodziewam się, że w ciągu następnych dni ta liczba się podwoi. W dodatku część rosyjskich jeńców jest gotowa przejść na naszą stronę...

– Zajęliśmy cały arsenał. – Wanda wzruszyła ramionami. – Razem z bronią zdobytą w bitwie Wierciński doliczył się ośmiu tysięcy sztuk karabinów. Nie wiemy jeszcze, ile mamy pistoletów i karabinków jazdy. Prochu i amunicji przejęliśmy tysiące pudów, do tego mundury, które można jakoś przerobić. Całe towarzystwo da się też wykarmić, bo w magazynach są zasoby na wypadek wielomiesięcznego oblężenia.

– Wiem, wiem. – Teofil westchnął. – Trzeba tylko to wszystko ogarnąć i zorganizować nie tylko armię, ale i służby pomocnicze. Potrzebuję oficerów, medyków, inżynierów, kucharzy i piekarzy. Sam nie dam sobie z tym rady, jestem żołnierzem, a nie przywódcą. Nie mam pojęcia, komu przekazać obowiązki. Może oddać władzę temu cholernemu Rządowi Narodowemu?

– Lepiej spytaj o radę margrabiego! – Wanda aż podskoczyła z radości, że wpadła na taki świetny pomysł. – Wielopolski co prawda przeszedł w nocy ciężki atak, ale Staś twierdzi, że nic mu nie będzie. Stary niedźwiedź jest wytrawnym politykiem, który zęby zjadł na knowaniach i walkach o władzę. Osobiście zna cara i liczącą się polską arystokrację. Powinien wiedzieć, co zrobić dalej, żeby nie zmarnować tego, co się udało osiągnąć.

Teofil pokiwał głową. Spotkał się wzrokiem z dziewczyną i uśmiechnął do

niej smutno.

– Pomyślę nad tym, właściwie nie miałem pojęcia, co z nim zrobić. Jeśli wydam go Rządowi Narodowemu, pewnie urzędzą mu proces i powieszają. Może rzeczywiście się do czegoś przyda. Tak czy inaczej nie załatwi za mnie wszystkich spraw. Ech, ale mnie ten Jemioła wpakował... A właśnie, czy Loewenhardt oglądał już jego ciało?

Wanda spoważniała w jednej chwili.

– Kiedy tylko go dostarczyli. Staś stwierdził, że został zasztyletowany. Jedno pchnięcie, zginął natychmiast.

– Dziwna sprawa – mruknął Teofil. – Musimy zrobić wszystko, by wyjaśnić to morderstwo. Trzeba poprosić o pomoc powstańczą policję.

– Znam jej naczelnika. Można na nim polegać. – Wanda skinęła głową. – Załatwię z nim tę sprawę.

Dotarli do placu Gwardii, wciąż noszącego krwawe ślady wczorajszej bitwy. Teofil zanotował w myślach, że trzeba skierować więźniów do jego uprzątnięcia. Wysypywanie wiślanym piaskiem i szorowanie powinno załatwić sprawę. A co z rozbiórką ruin X Pawilonu? Tym też trzeba się zająć, w gruzach jest sporo ciał, czekających na pogrzebanie. O czym jeszcze powinien pamiętać? Tyle miał spraw na głowie.

Zatrzymał się na środku placu. Musiał skrócić do koszar, a Wanda szła do szpitala, w którym czekał na nią huk roboty.

– Dziękuję, Wandziu – powiedział, zbyt późno łapiąc się na infantylnym zdrobnieniu. – Dziękuję, że jesteś i mnie wspierasz. Nawet wtedy, kiedy robię rzeczy niezbyt honorowe.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęła się, a jej blade policzki pełne piegów zapłonęły rumieńcem. – Poza tym nie zrobiłeś niczego uwłaczającego! Przynajmniej taką mam nadzieję. Chyba się nie mylę?

– Obawiam się, że nieco cię rozczaruję, ale w ostatniej kampanii bez wahania popełniałem czyny niegodne szlachcica i oficera. Zabiłem dawnego przyjaciela, ograbiłem go, a zrabowane pieniądze wykorzystałem do przekupstwa i skorumpowania kozaków. W obozie powązkowskim urządziłem pogrom bezbronnym Rosjanom, a w cytadeli wziąłem na zakładników kobiety i dzieci. – Teofil spuścił głowę, chwytając się za skroń. – Ponoć zwycięzców

nikt nie sądzi, ale i tak czuję się jak ostatnie bydło.

Wanda stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

– Ufam, że uczyniłeś to, co konieczne. Wierzę, że się zmieniłeś, Teosiu. Wiem, że nie zrobiłeś tego z nienawiści czy okrucieństwa. Nie jesteś złym człowiekiem – powiedziała, ciągle wtulona w ramiona oficera. – A jeśli jednak jesteś, mam to gdzieś. Akceptuję cię i będę wiernie wspierać. Zawsze.

Wymknęła się z jego objęć, odwróciła i odeszła radosnym krokiem, z trudem powstrzymując się od podskoków. Teofil odprowadził ją wzrokiem, uśmiechając się nieświadomie, a potem ruszył do sztabu.

**21 kwietnia 1863 r.**

Dzień zapowiadał się wyjątkowo ciepły i słoneczny. W cytadeli od rana wrzało niczym w ulu. Wrota Aleksandryjskie, obsadzone przez artylerzystów Wiercińskiego, niemal cały czas pozostawały otwarte. Pomiędzy twierdzą a miastem krążyły tłumy ludzi, którzy mieli jakieś sprawy do Rządu Narodowego, chcieli zaciągnąć się do armii lub chociaż na własne oczy obejrzyć zdobyty „Grób Myślących”, jak od czasów powstania listopadowego nazywano cytadelę. Teofil wreszcie rozkazał zamknąć bramy i wpuszczać tylko interesantów z przepustkami podpisanymi przez wydziałowych organizacji miejskiej.

Od rana siedział nad papierami przekazanymi przez Rząd Narodowy. Czytał meldunki komisarzy powstańczych, dowódców oddziałów i naczelników cywilnych z całego Królestwa i Ziem Zabrzanych i rozpaczliwie szukał sposobu na poradzenie sobie z masą obowiązków, a właściwie przerwucenia ich na kogoś innego. Tylko kogo? Jak znaleźć kompetentnego i godnego zaufania człowieka, który w dodatku będzie chętny wziąć na swe barki krzyż, pod którym ugiął się Teofil?

Może lepiej zostawić to wszystko i zwiać? Powstańcy zabezpieczyli przecież depozyt Kasy Głównej Królestwa, kilka milionów rubli, z czego część w papierach wartościowych. Mógłby zagarnąć ten skarb i jeszcze dziś zniknąć. W zamieszaniu przemknąłby przez kordon i spędził resztę życia gdzieś w ciepłych krajach, opływając w bogactwa i luksusy. Po co ma się użerać z tymi cholernymi Polakami? Tylko co pomyślałaby o nim Wanda? Potwierdziłyby się jej wcześniejsze podejrzenia, że jest szumowiną i zdrajcą. Straciłby tę garstkę przyjaciół, którzy mu ufali. A co z chłopcami z oddziałów? Kochali go i poszliby za nim w ogień. Stał się ich prawdziwym dowódcą, mieli go za bohatera, szczycili się służbą pod jego komendą.

Teofil uśmiechnął się do siebie. Oczywiście nie zdradzi ich, nigdy już nikogo nie zdradzi. Dawny Pustowójtow, szalony oboroten, który myślał tylko o sobie i gotów był zabijać najbliższych, już nie istnieje.

List z guberni grodzieńskiej trafił mu do rąk w ostatniej chwili, kiedy już zamierzał zrezygnować z poszukiwań, a zająć się bieżącą robotą. Rozłożył pismo, a jako że czytanie alfabetu łacińskiego szło mu dość opornie, przebiegł je tylko wzrokiem. Był to meldunek o przejęciu dowodzenia nad jedną z powstańczych partii przez emerytowanego pułkownika armii carskiej. Odczytawszy jego nazwisko, Teofil aż skamieniał.

Znał go! W czasie wojny krymskiej spędzili kilka długich tygodni w tym samym oddziale saperskim w oblężonym Sewastopolu. Minęło osiem lat, ale Pustowójtow pamiętał każdy dzień tamtej kampanii, a także człowieka, jedyne go w tamtych czasach, którego mógł nazwać przyjacielem. Romuald Traugutt był chudym, drobnym jegomościem o aparycji nietoperza, który odmawiał picia wódki i rżnięcia w karty, ale i tak inni oficerowie go lubili. Spokojny i opanowany, o niesamowitym, analitycznym umyśle, zrobił na Teofilu spore wrażenie. Nawzajem ratowali sobie życie, walczyli i gnili w śmierdzących okopach pod Kurhanem Małachowskim. Ech, co za czasy, czasy szalonej młodości!

Ktoś taki poradzi sobie z dowództwem powstania i opanowaniem tego ogromnego chaosu.

Teofil złapał czystą kartkę ze znakiem wodnym w kształcie powstańczego godła, a potem zaczął pisać rozkaz. Tylko dwa zdania, bez żadnych wyjaśnień – polecenie natychmiastowego przybycia do Warszawy. Zerwał się od biurka i pomaszerował do dyżurnego gońca, by przekazać pismo powstańczej poczcie. Jeszcze dziś powinno wyruszyć na Litwę.

Potem skierował się do szpitala. Na parterze zaglądał do poszczególnych sal, ale nigdzie nie mógł wypatrzeć Wandy. Poszedł więc do składziku, w którym kurowała się jego siostra. Henia miała drobną ranę na czole i właściwie nic jej nie było, ale Loewenhardt uparł się, by w spokoju odpoczęła, przynajmniej dopóki rana krwawiła. Zgodnie z zaleceniem grzecznie leżała w łóżku, czytając książki. Teofila dziwił niezwykle wpływ łapiducha na niepokorną i niemogącą usiedzieć na miejscu wojowniczkę. Henia słuchała Loewenhardta, wpatrzona w niego jak w obrazek. Kiedy Pustowójtow do niej zajrzał, Stanisław siedział właśnie na jej łóżku i zmieniał dziewczynie opatrunek. Teofil pomachał do siostry, a ta uśmiechnęła się i

mrugnęła do niego zaczepnie. Zamknął drzwi, jakby przyłapał parę w intymnej sytuacji.

Na wyższym piętrze Teofil zgarnął dwójkę swoich doborowych żołnierzy, którzy też lizali rany, i wszedł z nimi na ostatnie piętro budynku, gdzie urządzono lazaret dla najcenniejszych jeńców. Margrabia Wielopolski kwaterował w ostatniej, największej sali. Pustowójtow zapukał i wszedł do środka sam, zostawiając przybocznych przed drzwiami.

Wielopolski siedział w fotelu przysuniętym do okna. Twarz jak zwykle wykrzywił w grymasie niechęci i pogardy. Obrzucił intruza nieprzychylnym spojrzeniem i nie zareagował na powitanie. Ponoć nadal czuł ból w piersiach i mrowienie w lewej stronie ciała, utracił też częściowo władzę w lewym ręku. Loewenhardt skwitował te dolegliwości krótko: wylew i porażenie na tle nerwowym.

– Przemysłał pan moją propozycję? – spytał Teofil.

Wielopolski prychnął ze złością, a chwilę później bolesny skurcz szarpnął całym jego ciałem. Dochodził do siebie przez dłuższą chwilę.

– Miałbym służyć ci jako doradca? Miałbym przyłożyć rękę do tego szaleństwa? Wolne żarty – burknął.

– Woli pan zawisnąć na szubienicy i zostać po wsze czasy okrzyknięty zdrajcą?

Starzec nie odpowiedział. Wlepił wzrok w okno.

– Chciałbym, by stał się pan kimś w rodzaju ministra do spraw zagranicznych w nowym, suwerennym rządzie Królestwa. – Teofil podszedł do margrabiego. – Chcę, by prowadził pan w imieniu Polaków rozmowy dyplomatyczne. Car i inni europejscy cesarze nie przyjmą naszych wysłanników, ale z panem będą rozmawiali.

– Chłopcze, czy ty wiesz, co mówisz? – Wielopolski pokręcił głową. – Żaden polski rząd nie będzie mnie chciał w swych szeregach.

– Przekonam ich...

– Kogo? Mój drogi, nie posmakowałeś dotąd polskiego piekiełka. Jeszcze nie wiesz, jak oni potrafią wszystko niszczyć. Dziś trwa euforia po zwycięstwie, taniec nad powalonym trupem, ale tylko patrzeć, kiedy zbiegną się hieny, które będą chciały capnąć jak największy kawał. Lada chwila zaczną



gryźć się między sobą. Mierosławski i jego wierne psy, Czartoryski i Hotel Lambert, Andrzej Zamoyski i jego ziemianie, do tego czerwoni, miłośnicy chłopów i robotników. Każdy wyciągnie łapy po władzę. Jaki rząd? Czartoryskiemu, tak jak jego ojcu, marzy się korona. Mierosławski liczy, że wymorduje szlachtę i zostanie tyranem samodzielną niczym Napoleon. Czerwoni chcą wywyższyć chłopów i utworzyć republikę ludu. Gdzie między tymi szaleńcami miejsce dla mnie?

– Nie dopuszczę do chaosu i do bezsensownej walki o władzę. Utworzymy wojskowy rząd z silnym przewodniczącym. Zdusimy wszelkie knowania w zarodku.

Wielopolski znów prychnął.

– Knowania już trwają, chłopcze. Pewnie te sukinsyny intensywnie myślą, jak cię usunąć. Nie próbowali wbić ci sztyletu w plecy?

Pustowójtow drgnął. Przed oczami mignął mu trup Janka Jemioły. Czyżby Wielopolski miał rację?

– Niech pan mi pomoże, margrabio – powiedział. – Spróbujemy zrobić coś razem dla Polski.

– Dla Polaków można zrobić wszystko, z Polakami nic – oznajmił Wielopolski. – Twój plan się nie powiedzie, chłopcze.

– Niech pan choć spróbuje, ostatni raz. Ostatnia misja dla ojczyzny. Niech pan stanie po naszej stronie. – Teofil uparł się, by go pozyskać. – Zostawiam panu wolny wybór. Jeśli się pan nie zgodzi, uwolnię pana i dam eskortę, która odprowadzi pana do Rosjan.

Wielopolski spojrzał spode łba.

– Hieny zamordują mnie, zanim zdążę ci pomóc. Nie zniosą mnie w swoim suwerennym rządzie.

Jednakże w głębi serca Wielopolski nie chciał jeszcze zejść z politycznej sceny. Zdawał sobie sprawę, że Rosjanie spisali go na straty, a car już pewnie podpisał dymisję. Mógł pozostać czynnym politykiem, tylko jeśli przyjmie ofertę Teofila.

– Proszę się nie obawiać o swoje bezpieczeństwo. – Pustowójtow uśmiechnął się i klasnął w dłonie. – Oto dwaj moi najgroźniejsi żołnierze. Od tej chwili stanowią pana gwardię przyboczną.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Pliszka w towarzystwie zgrzytajęcej szponami po podłodze Hanka. Margrabia zmarszczył brwi, patrząc na wielkiego chłopca ze zmierzwioną brodą i głową owiniętą bandażem oraz na towarzyszącą mu strzygę, ubraną w czarną suknię z głębokim dekoltem – kreację wyciągniętą przez Wandę z lupanarowych zapasów Soni. Hanka wykonała coś w rodzaju ukłonu, ale w połowie ruchu syknęła z bólu i złapała się za brzuch, po czym zastygła zgięta wzdłuż. Pliszka objął ją z czułością, choć sam mało nie zemdlął od zawrotów głowy. Stali w dziwnej pozie, podtrzymując się wzajemnie.

– Hm. Mówisz, chłopcze, że są groźni? – burknął Wielopolski.

– Nie znajdzie pan groźniejszych w całym Imperium – z pewnością w głosie odparł Teofil. – Odmieńcy najwyższej próby. Agresywni i niepokonani. Ta para stanie się pańskimi aniołami stróżami.

Hanka wyszczerzyła zęby w upiornym uśmiechu i wyciągnęła rękę do starca.

– Witamy na pokładzie, margrabio Wielopolski.

**22 kwietnia 1863 r.**

W Twierdzy Modlińskiej, oficjalnie zwanej Nowogiegoorgiewską, panowała nerwowość i gorączkowe przygotowania. Sołdaci szykowali się do wymarszu. Załoga została postawiona w stan najwyższej gotowości, wszystkie siedemset armat nabito i wycelowano w dal, kwatermistrze wydawali amunicję i prowiant, kawaleria galopowała wokół fortyfikacji, wypatrując wielotysięcznej armii buntowników. Telegraf, łączący główną bazę armii Imperium w Królestwie Polskim z Petersburgiem, stukał nieustannie, domagał się meldunków i wyjaśnień, rozkazywał i groził. Jeszcze wczoraj wieczorem wybił w szalonym rytmie dymisję Konstantego Mikołajewicza Romanowa ze stanowiska namiestnika Królestwa, pozbawiając go jednocześnie tytułu wielkiego księcia. W krótkich słowach depešy czuć było gniew cara, stojącego po tamtej stronie telegrafu i dyktującego rozkazy. Kolejny stukot przyniósł Fiodorowi Bergowi awans i zwierzchnictwo nad wszystkimi siłami Imperium w Polsce.

Rankiem do twierdzy dotarła informacja o mianowaniu niezwykle konserwatywnego i surowego Michała Murawjowa generałem gubernatorem Kraju Północno-Zachodniego, czyli Litwy. W jednej chwili Berg zyskał sojusznika, ale i groźnego konkurenta w zwalczaniu powstania. Murawjow już wcześniej krytykował zbyt dużą pobłażliwość w postępowaniu z Polakami i zapowiadał, że zrobi porządek z buntownikami, paląc miasta i stawiając tysiące szubienic. Hrabia będzie musiał naprawdę się wykazać, by dorównać okrutnemu i bezwzględnemu generałowi. Zanosilo się na naprawdę gorące lato.

Berg podszedł do okna i otworzył je na oścież. Znajdował się w gabinecie z widokiem na przełom Narwi i Wisły, gościnnie udostępnionym przez komendanta twierdzy. Hrabia wciągnął głęboko świeże, wiosenne powietrze. Budynek koszar ciągnął się niemal dwie wiorsty na wysokiej skarpie nad brzegiem rzeki. Widok z ostatniego piętra oszałamiał. Narew i Wisła omywały z dwóch stron Wyspę Szwedzką z imponującym spichlerzem, postawionym

jeszcze przez żołnierzy Napoleona, i łączyły się w wielkie rozlewisko, niknąc w oddali. Hrabiemu wielka rzeka skojarzyła się z Imperium, a jej dopływy przypominały słowiańskie narody. Narew była niczym Polska, łączyła się z wielką Rosją, wpadała w jej nurty i ginęła, ale to dzięki niej Rosja, niczym Wisła, stawała się potężniejsza i piękniejsza. Jeśli odetniemy ten dopływ i Polska odłączy się od matuszki Rosji, stracą na tym oba narody, tak jak Wisła straciłaby, gdyby odciąć od niej Narew. Trzeba zatem uregulować tę rzekę, wyrównać jej brzegi i nie pozwolić się odłączyć, nawet jeśli trzeba ją będzie przy tym okaleczyć.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie w drzwi. Do środka wsunął głowę jeden z adiutantów, młody porucznik, którego nazwiska Berg jeszcze nie pamiętał. Chłopak zameldował się i poprosił o pozwolenie na wprowadzenie wezwanych. Hrabia skinął przyzwalająco i po chwili do środka weszły Maria Stołpin i Daria Astafiewna. Starsza kobieta wyglądała na straszliwie zmęczoną. Cała jej postać poszarzała jeszcze bardziej niż zwykle i zdawała się przyciągać cień, który natychmiast wypełził z kątów gabinetu i ogarnął jej smutną, przygnębioną postać. Patrzyła na hrabiego zapuchniętymi i załzawionymi oczyma, wypełnionymi nieskończonym żalem. Daria natomiast promieniała pięknem i młodzieńczą energią, zupełnie przyćmiewając swoją towarzyszkę. Berg uśmiechnął się promiennie do dziewczęcia, uściskał jej rękę i po ojcowsku ucałował ją w czoło. Doskonale pamiętał, że Daria najpewniej uratowała życie jego ukochanej Leopoldyny, i żałował, że musi ją odsunąć od swojej żony i skierować do innych zadań.

– Mam paniom do zakomunikowania ważne rzeczy – powiedział. – Usiądźcie, proszę, zaraz adiutant przyniesie herbatę. Dostałem dziś rozkazy z Petersburga, właściwie to całą masę rozkazów. Kilka związanych jest z waszymi osobami.

Daria przycupnęła skromnie na skraju fotela, dłonie ułożyła równo na kolanach. Uśmiechała się do hrabiego lekko, nie kusząco, raczej jak młode dziewczę do ulubionego wujaszka. Stołpin opadła w fotel, niemal zupełnie w nim niknąc.

– Na początek chciałbym wspomnieć naszego nieodżałowanego Pawła Iwanowicza Tichona – przemówił Berg, siadając za biurkiem. – Jego strata

dotkliwie nas zabolą. Był wielkim człowiekiem i jestem dumny, że mogłem nazywać go swoim przyjacielem. Jego Wysokość, za liczne zasługi i śmierć na polu chwały, postanowił pośmiertnie nadać mu Order Orła Białego. Ze swej strony obiecuję, że zrobię wszystko, by wysłać na szubienicę jego zabójców.

– Kto zostanie teraz naczelnikiem Urzędu Przemian? – Daria nie próbowała nawet udawać żalu po śmierci swego przełożonego, tylko od razu przeszła do konkretów.

– Nikt. Z dniem dzisiejszym urząd zostaje zlikwidowany – oznajmił Berg.  
– Wszystkie jego zadania, obowiązki i cele, a także nieruchomości i ruchomości przejmuje Trzeci Oddział Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości.

– Co z nami? – Daria poruszyła się niespokojnie.

– Zostajecie wcielone do Trzeciego Oddziału. Od dziś waszym bezpośrednim przełożonym jest generał Wasilij Andriejewicz Dołgorukow. W strukturze dowodzonego przez niego organu tajnej policji zostaje utworzona Szósta Ekspedycja, zajmująca się mutatio i odmieńcami, czyli tym, co do tej pory robił Urząd Przemian.

– Zostajemy więc wcielone do żandarmerii? – ekscytowała się Daria. – I to nie byle jakiej! Do najważniejszego oddziału!

– Tak, zgadza się. – Berg spojrzał na Marię Stołpin, która siedziała z nieruchomą twarzą, jakby to, o czym się mówi, zupełnie jej nie dotyczyło. – Za ofiarny udział w walkach o Warszawę obie zostajecie odznaczone Krzyżem Świętego Stanisława. Maria drugiej klasy, a Daria trzeciej. Gratuluję paniom. Niniejszym chcę przy okazji wręczyć wam awanse. Maria Pietrowna dostaje stopień sztabkapitana, a Daria Fiodorowna porucznika. Jeszcze dziś odjadą panie do Petersburga, by zameldować się nowemu dowódcy. Ze swojej strony chcę podziękować wam za wszystko, szczególnie panience.

Generał poderwał się zza biurka i kłaniając się, pocałował Darię w dłoń.

Stołpin nie zwracała uwagi na szarmanckie gesty hrabiego. Wbiła wzrok w otwarte okno. Miała ochotę podejść do niego i rzucić się w dół. Straciła jedyną osobę, która ją kochała i do której sama czuła coraz gorętszą miłość, ale teraz musiała wziąć się w garść, otrząsnąć z przejmującego, odbierającego siły żalu. Zrobi to. Dojdzie do siebie, a potem odpłaci zabójcom Pawła

Iwanowicza. Dopadnie ich i zniszczy.

\*\*\*

Bicie dzwonów po raz kolejny rozległo się w całej Warszawie. W ośmiu kościołach jednocześnie odbyły się msze w intencji poległych bohaterów, a potem kondukty pogrzebowe wyruszyły w kierunku Powązek. Sznury ludzi, niosących trumny, łączyły się ze sobą i mieszały. Tak jak w czasie pogrzebu Pięciu Poległych, dwa lata wcześniej, szlachta maszerowała ramię w ramię z chłopami, bogaci mieszczenie z biednymi rzemieślnikami, katolicy z Żydami. Nad głowami żałobników łopotały kościelne sztandary. Chóralne śpiewy zderzały się ze sobą, a potem zlewały w jedno ponure zawodzenie.

Wanda szła, trzymana za rękę przez Henię Pustowójtównę, ubraną tym razem w skromną suknię, ale za to w rogatywce mającej zasłonić opatrunek na głowie. Nie ona jedna nosiła ślady walki. Tuż obok Pelagia Dąbrowska podtrzymywała pod ramię kuśtykającego męża. Zarówno ona, jak i Jarosław odnieśli po kilka ran, na szczęście niegroźnych. Sztabskapitan Dąbrowski, którego Pustowójtow uczynił wczoraj odpowiedzialnym za sformowanie batalionu saperów, został dwukrotnie postrzelony w nogę i cięty szablą w ramię. Pelagia musiała podpierać go przez całą drogę, choć sama odniosła kontuzję barku po ciosie kolbą karabinu. Oboje jednak sprawiali wrażenie szczęśliwych, mieli siebie, byli żywi i wolni. Czegoż chcieć więcej?

Pochód minął rogatki powązkowskie, obsadzone przez kilku powstańców, przeszedł obok zgłiszczy carskiego obozu letniego i wreszcie dotarł do cmentarza. Wykopano na nim zarówno pojedyncze groby, jak i obszerne mogiły dla zbiorowych pochówków. Pułkownik Jemioła miał zostać pochowany razem z poległymi żuawami i kosynierami w jednym głębokim dole.

Trumny spuszczano sprawnie, jedna po drugiej. Potem ksiądz zmówił stosowną modlitwę i oddał głos Pustowójtowowi. Wanda patrzyła na wystającego nad tłum przyjaciela i uśmiechała się w duchu. Teofil prezentował się niezwykle elegancko w rosyjskim mundurze z przypiętym biało-czerwonym kotylionem i w wojskowej czapce, w której blachę z dwugłowym carskim orłem zastąpił biały orzeł.

– Ale przystojniak z mojego braciszka, prawda? – Henia szturchnęła

przyjaciółkę. – Dziś rano Rząd Narodowy mianował go generałem i oficjalnie namaścił na dowódcę garnizonu Warszawa. Zasłużył sobie, co, Wandzia? O, mam pomysł! Poproszę Teosia, by pozwolił zrobić sobie fotografię. Poślę ją babci, hrabinie Kossakowskiej.

Wanda otarła dyskretnie oczy. Z jednej strony Pustowójtowa stał doktor Loewenhardt – zupełnie odmieniony fizycznie, nadal niski, ale o szerokich barach i z groźną miną starego zabijaki. Surdut i kamizelka nie maskowały jego postury i zwierzęcej agresji w ruchach. Z drugiej strony Teofila prężył się generał Rochebrune. Kiedy Pustowójtow skończył krótkie i zupełnie pozbawione patosu przemówienie, w żołnierskich słowach żegnając poległych przyjaciół oraz towarzyszy broni, mowę rozpoczął Francuz. Rozgadał się na całego, co chwila wtrącał zwroty w rodzimym języku i w płomiennej przemowie grzmiał o walce o wolność, równość i braterstwo. Potem przypominał sylwetki poległych, których znał osobiście, aż wreszcie doszedł do postaci Jana Jemioły.

– Panie pułkowniku, dlaczego to zrobiłeś? Nie czujesz nadchodzącej burzy? Wieje *le vent de l’histoire*<sup>47</sup>, nie pora jeszcze na odpoczynek. Moc wzywa nas wszystkich, pcha w kolejny bój, a ty kładziesz się do grobu? Kto nas poprowadzi, kto wskaże drogę? Kto teraz będzie naszym bohaterem?

Wanda, nieco zniecierpliwiona przedłużającym się pochówkiem, bo w tradycji żydowskiej trwał on zwykle bardzo krótko, wbiła spojrzenie w niebo i zastanowiła się nad słowami Rochebrune’a. Wszystkie niesamowite plany Jemioły odeszły wraz z nim. Po pułkowniku zostały jedynie dwa rewolwery, które włożono mu do trumny, i gruby plik kartek pokrytych dziwacznymi zapiskami, diagramami, kolumnami liczb i znaków. Na razie Teofil zabezpieczył je razem z kasą zdobytą na Rosjanach, ale jedyne dziedzictwo Jemioły nikomu nic nie mówiło. Co takiego planował? Kto przejmie po nim dowodzenie i zostanie nowym przywódcą władających mocą?

Opuściła wzrok i spotkała się spojrzeniem z Teofilem. Uśmiechnął się do niej smutno nad otwartym grobem. Odpowiedziała mu tym samym.

**29 kwietnia 1863 r.**

Pustowójtow siedział przy biurku w swoim gabinecie i tępo patrzył w okno. Marzyła mu się wolność po tamtej stronie szyby, z dala od komisarzy, wydziałowych i członków Rządu Narodowego, od sztabów, dokumentów, intryg i podobnych bzdur, od polityków i wichrzycieli na wysokich stanowiskach, którzy nieustannie czegoś chcieli i wydawali masę poleceń.

– Panie generale, przyjechał ważny gość, co to go pan ponoć oczekuje – oznajmił Stasiek Bachmiński, którego awansował na porucznika i zrobił swoim adiutantem.

„Ważny gość – pomyślał z niechęcią Pustowójtow – czyli pewnie generał Mierosławski, który zapowiedział, że przybędzie, by przejąć władzę. Jeszcze jeden mąciwoda, który chce spić całą śmietankę”. Teofil miał ochotę nasać na niego kozaków, by pogonili go nahajkami z powrotem do Krakowa.

– Kto, do diabła? – warknął.

– Jakiś pułkownik z Litwy. Mówi, że dostał od pana wezwanie.

Pustowójtow poderwał się na równe nogi i rzucił do drzwi, nieomal przewracając chłopaka. Zbiegł po schodach i wypadł przed gmach koszar. Na placu Gwardii czekało jego wybawienie. Z rykiem wziął w ramiona przerażonego chudzielca w binoklach, który poznał generała dopiero po dłuższej chwili, gdy ten już wyściskał go serdecznie. Zdziwił się, pamiętał bowiem Pustowójtowa jako zimnego drania, niezbyt skorego do okazywania uczuć. Poprawił pince-nez i przyglądał mu się z lekkim, trochę tajemniczym uśmiechem. Od ich ostatniego spotkania wyraźnie zmizerniał, wychudł i wyłysiał, toteż teraz jeszcze bardziej niż poprzednio kojarzył się Teofilowi z nietoperzem.

Generał zaciągnął przybysza do gabinetu, po drodze rozkazując Bachmińskiemu, by przyniósł butelkę wódki i wystawił przed drzwiami uzbrojone straże. Wódka była dla Teofila, bo jego przyjaciel i tak nie pił, a straże, by żaden dureń im nie przeszkadzał. Całkiem serio rozkazał, by otworzyli ogień, gdyby ktoś jednak spróbował.



Gadali parę godzin, trochę wspominając wspólną służbę w czasie wojny krymskiej i walkę w okopach Sewastopola. Teofil wychylił kilka łyków wódki i zasypał gościa masą informacji i dokumentów. Bachmiński kilka razy próbował im przerwać, ale generał pogonił go z wrzaskiem. Wreszcie młodzieniec wykrzyczał zza drzwi, że Pustowójtow jest wzywany na posiedzenie Rządu Narodowego. Czekają sprawy wagi państwowej.

Teofil uśmiechnął się groźnie i kazał wezwać Daniła Wasilewicza Krasnowa, niedawno mianowanego generała polskiej kawalerii.

Na schodach dwaj oficerowie natknęli się na Wandę. Dziewczyna miała włosy modnie rozczesane pośrodku głowy i zaplecione w warkocz, związany z tyłu w kok. Wyglądała poważniej i dostojniej niż zazwyczaj. Teofil uśmiechnął się na jej widok i w przelocie pocałował ją w dłoń. Sanitariuszka spłonęła rumieńcem i zatrzepotała rękami, ale mimo to zastąpiła mu drogę.

– Ponoć wezwałeś kozaków do jakiejś awantury? – Złapała go mocno za rękę, zatrzymując w pół kroku. – Co się dzieje? Dlaczego nie zwróciłeś się o pomoc do mnie?

– Wybacz, Wandziu, ale nie mam czasu na przekomarzanki. Idziemy na poważną rozmowę z Rządem Narodowym – odparł nieco zmieszany Teofil.

– Z tymi zakłamanymi draniami? I nie poprosiłeś o wsparcie przyjaciół? – oburzyła się dziewczyna. – Myślisz, że łatwo sobie z nimi poradzisz? Kilku kozaków i ten pan załatwi sprawę?

Chudy jegomość poprawił okulary i uśmiechając się blado, wyciągnął dłoń do dziewczyny.

– Pani pozwoli, jestem pułkownik Romuald Traugutt – przedstawił się grzecznie. – Nie znam się na awanturach, ale umiem sobie radzić w kryzysowych sytuacjach.

– To prawda! – potwierdził Teofil. – Dobrze wiesz, moja droga, że nie należy oceniać ludzi po pozorach. Romek to nie byle kto. Gdybyś go zobaczyła w okopach w pięćdziesiątym piątym! Nigdy nie spotkałem kogoś równie opanowanego i potrafiącego podejmować trafne decyzje z nożem na gardle.

– Miło mi, nazywam się Wanda Szczur. – Dziewczyna dygnęła.

Łysiejący pan w okularach nie sprawiał wrażenia wielkiego dowódcy, choć faktycznie była od niego jakaś trudna do określenia siła. Uścisk miał

mocny i zdecydowany, postawę wyprostowaną, wręcz sztywną. „Jeśli nie urzędnik, to stary oficer z petersburskiego sztabu” – pomyślała Wanda.

– Co zamierza pan zrobić, pułkowniku? – spytała.

– Wprowadzić porządki – odparł krótko. – Ktoś wreszcie musi to zrobić. Panienska pozwoli, że się tym sami zajmujemy. Miło mi było poznać.

Grzeczne polecenie zostało przekazane w tak dobitny sposób, że Wanda bez gadania cofnęła się o krok, przepuszczając oficerów. Odruchowo też stanęła na baczność. Teofil mrugnął do niej porozumiewawczo i ruszył za pułkownikiem.

Wanda odprowadziła ich wzrokiem, zaskoczona niesamowitą charyzmą Traugutta. Oczywiście nie zamierzała słuchać jego polecenia i skoczyła po schodach na górę, na ostatnie piętro, po czym pognała korytarzem, by zatrzymać się przed kwaterą margrabiego Wielopolskiego.

Do Zamku Królewskiego dotarli jakąś godzinę później. Opuszczone przez Konstantego sale stały się siedzibą Rządu Narodowego. Natychmiast po ucieczce Rosjan straż bezpieczeństwa, złożona z zaufanych powstańców i sztyletników, zabezpieczyła obiekt, nie dopuszczając do jego złupienia przez motłoch. Kilku młodzieńców ubranych w czarne mundury carskiej lejbgwardii, ozdobione biało-czerwonymi kotylionami, pilnowało wejścia do zamku. Nie ośmielili się zatrzymywać Pustowójtowa, którego znała już cała Warszawa, ani towarzyszących mu kozaków. Po drodze do siedziby rządu do dwóch oficerów dołączył bowiem Danił Krasnow i pięciu jego chwatów, na pierwszy rzut oka wyglądających na stare zabijaki.

Weszli do wspaniałej Sali Tronowej o ścianach błyszczących złotem od paryskiej boazerii i z dwoma rzymskimi kominkami z białego marmuru. W jednym przyjemnie trzaskały płonące polana. Karol Majewski, w koszuli z purpurowego jedwabiu i w kraciastej kamizelce, wyciągał dłonie do ognia, Giller siedział za pulpitem niewielkiego biurka zasłanego stosami papierów, a Ruprecht pólleżał na królewskim tronie, obracając w dłoni kielich wina.

Cała trójka niespecjalnie się przejęła, gdy drzwi sali otworzyły się gwałtownie i do środka wmaszerowali kozacy oraz dwóch oficerów. Teofil spostrzegł, że na widok rozpasania i braku szacunku gospodarzy Traugutt

jeszcze bardziej zeszywniał. Zmrużył oczy, co upodobniło go do niedowidzącego nietoperza, choć Pustowójtow wiedział, że to objaw gniewu. Teofil natomiast zachował lodowaty spokój. Zdążył już przywyknąć do pychy członków rządu.

– Wreszcie raczył się pan łaskawie pofatygować, Pustowójtow – burknął Giller. – Mam wrażenie, że przewróciło się panu w głowie po awansie na dowódcę garnizonu. Lekceważy pan polecenia przełożonych i każe nam czekać, a potem wpada tu jak do stajni z grupą obwiesi i jakimś podejrzanym osobnikiem..

Na ostatnią uwagę Traugutt niemal się zagotował. W jednej chwili jednak ostygł i kiedy się odezwał, jego głos brzmiał zimno i spokojnie.

– Jestem emerytowanym oficerem carskiej armii o bogatym doświadczeniu bojowym i sztabowym. W czasie wojny krymskiej służyłem jako adiutant głównodowodzącego, znam się więc nieco na prowadzeniu wojny. Rząd już kilkakrotnie próbował mnie pozyskać i wreszcie zgodziłem się na objęcie dowództwa polowego oddziału, gdy nagle zostałem wezwany do Warszawy.

– Któż pana tu wzywał? – burknął Ruprecht i pociągnął łyk wina. – I po co?

– Ja go wzywałem – odparł Pustowójtow. – A po to, by wsparł nas swoim doświadczeniem i ocenił działania polityczne oraz taktyczne rządu.

– I cóż nam pan powie, panie... – Giller siedział nadal za biurkiem. – Jak się pan właściwie raczy nazywać?

– Pułkownik Romuald Traugutt. Moja ocena jest krótka i niezbyt dla panów pochlebna. Uważam, że wasza działalność jest skrajnie szkodliwa dla sprawy narodowej, a nieudolność w dowodzeniu oddziałami aż prosi się o określenie słowami nieprzyzwoitymi. Działania panów cechuje nieporadność typowa dla neofitów zarówno w fachu wojskowym, jak i politycznym. Podejmowane przez was decyzje swoimi tragicznymi skutkami zahaczają o sabotaż, a nawet, powiedzmy sobie wprost, o zdradę. Nie pozostaje mi nic innego, jak zakończyć tę farsę. Niniejszym przejmuję władzę. Zwalniam panów z brzemienia prowadzenia rządu. Od tej chwili mogą panowie swobodnie dysponować swoimi osobami. Żegnam.

Ton głosu Traugutta był przeszywający. Pustowójtow uśmiechnął się pod

wąsem i skinął głową Krasnowowi. Kozak mrugnął swym jedynym okiem i sięgnął do kabury. Jego kozacy z chrzęstem dobyli szabli.

Ruprecht poderwał się z tronu, a Majewski cofnął w stronę kompanów. Obaj uśmiechali się do Teofila złośliwie, zupełnie bez strachu. Generał poczuł falę niepokoju. Członkowie rządu nie sprawiali wrażenia zaskoczonych czy przestraszonych. Coś było nie tak.

Domyślił się, gdy poczuł zimny dotyk rewolwerowej lufy na skroni. Krasnow odciągnął kurek broni i chrząknął nieznacznie. Dwaj kozacy przyłożyli pióra szabli do szyi Traugutta.

– Wybacz, Pustowójtow – powiedział po rosyjsku Krasnow. – To nic osobistego. Zależy mi na nowej posadzie, a moje powodzenie i fortuna są w rękach tych panów, a nie w twoich. Aha, nie próbuj żadnych sztuczek z mocą, bo pociągnę za spust.

– No i załatwione! – Giller zatarł ręce. – Jednym ruchem pozbędziemy się niewygodnego odmieńca i jego kompana uzurpatora.

– Co zamierzacie z nami zrobić? – spokojnie spytał Pustowójtow, sięgając po ogień mocy w umyśle. – Chyba nas tu po prostu nie zaszlachtujecie?

– A skąd! – oburzył się Ruprecht. – Za dużo zachodu z pozbyciem się trupów. Lepiej wysłać was tam, gdzie wasze miejsce. Do carskiego więzienia.

Giller wysunął szufladę biurka i wyciągnął z niej mieniący się światłem przedmiot: promieniujący mutatio artefakt. Otrzymał go od funkcjonariuszki Urzędu Przemian, która dotarła do niego dwa dni temu. W zamian za współpracę obiecała członkom rządu immunitet i możliwość swobodnego opuszczenia kraju po nieuchronnej klęsce powstania. Poinstruowała też Gillera, że przybędzie, jeśli tylko ściśnie przedmiot i wezwie ją w myślach. Agaton chwycił więc gołymi dłońmi nieforemną bryłę z błyszczącego metalu i zacisnął powieki, w myślach wypowiadając imię szpiona. Poczuł, jak przedmiot ogrzewa się i robi się tak gorący, że trudno go utrzymać.

Pustowójtow drgnął zaskoczony. Artefakt chłonał całą moc z okolicy. Zimno popłynęło po skórze odmieńca i wdarło się w jego żyły. Moc w umyśle odpłynęła gdzieś w otchłań. Teofil zrozumiał, że premier polskiego rządu zwywa carskich odmieńców i zamierza wydać więźniów w ich łapy.

Może jeszcze uderzyć w łokieć kozaka, podbić broń i drugą pięścią

strzaskać mu nos. Potem kopnąć tego z drugiej strony. Spróbować wyrwać Krasnowowi rewolwer. Zabiją go, ale nic innego nie zostało. Teraz!

Nie zdążył. Złota ściana pękła czernią. Otchłań bryznęła smugami mroku na rzeczywistość i rozwarła się, otwierając bramę. Ze środka wyskoczyła Maria Stołpin, blada, z oczami przekrwionymi z niewyspania, ale z pełnymi nienawiści i wściekłości. Wyglądała jak prawdziwa furia. Rozejrzała się po sali i uśmiechnęła groźnie.

– Gdzie reszta? – syknęła do Majewskiego. – Obiecałeś mi wszystkich.

– Musimy zatem poczekać – odparł lekko mężczyzna. – Jestem pewien, że lada chwila przybędą, by ratować swego kompana. Pewnie wyczuwają, że jest w niebezpieczeństwie lub coś takiego. Kto ich tam wie, cholernych odmieńców?

– Bredzisz – burknęła Stołpin i zupełnie ignorując Traugutta, podeszła do Teofila. – Gdzie strzyga i wielkolud? Gdzie Wanda? Wezwij ich natychmiast!

Chciała zatem w jednej akcji zlikwidować wszystkich odmieńców. Pustowójtow musiał przyznać, że miała tupet i odwagę. Lub też działała w szale, nie zważając na konsekwencje. Może dałoby się to jakoś wykorzystać?

– Mogę ich wezwać, ale muszę użyć mocy – powiedział. – Zamknij bramę do otchłani i wygaś artefakt, bo nie jestem w stanie korzystać z mutatio.

Stołpin parsknęła śmiechem, po czym otwartą dłonią trzasnęła Teofila w policzek. Nie była silna, więc generał ani drgnął. To jeszcze bardziej rozgniewało wiedźmę. Spojrzała na Krasnowa.

– Zastrzel go – syknęła. – Może wtedy przybędą.

Kozak spojrział na nią niepewnie. Giller wreszcie wyszedł zza biurka.

– Miało obyć się bez mordowania. Chcieliście ich pojmać i zabrać – bąknął niepewnie.

– Zabij go! – wrzasnęła Stołpin. – Natychmiast!

Krasnow westchnął z rezygnacją.

– Wybacz, generale – szepnął i pociągnął za spust.

Huknął strzał.

Wanda stała przed bramą Zamku, czekając aż Henia poradzi sobie z gwardzistami. Straż przyboczna Rządu Narodowego nie zamierzała wpuścić

kobiet do środka, ale wystarczyło jedno głębokie spojrzenie Pustowójtówny, by młodzi mężczyźni zapomnieli, jak się nazywają i czego właściwie pilnują. Wanda zrobiła pierwszy krok, by minąć oczarowanych wartowników, gdy rozległ się rewolwerowy wystrzał. Czar roztoczony przez Henię prysł. Gwardziści spojrzeli przytomniej na dwie kobiety.

Wanda nie czekała, aż zupełnie dojdą do siebie. Rzuciła się biegiem do środka. To samo chciała zrobić Henia, ale młodzieńcy odzyskali przytomność i złapali ją, zupełnie nie zważając na ciosy rozdawane przez energiczną dziewczynę.

– Biegnij! Zatrzymam ich! – wrzasnęła jeszcze Pustowójtówna i z rozmachem kopnęła w kolano wartownika, który ruszył, by dogonić Wandę.

Młodzieniec runął na ziemię, rycząc z bólu, a Żydówka zniknęła w przepastnych wnętrzach zamku.

Pustowójtow leżał nieruchomo, twarzą na marmurowej posadzce, a wokół jego głowy zbierała się kałuża krwi. Stołpin z satysfakcją popatrzyła na trupa oficera, a potem przeniosła wzrok na Traugutta. Twarz niepozornego chudzielca nic jej jednak nie mówiła. Nie mógł być nikim ważnym.

– Do dziury z nim – rozkazała kozakom, wskazując rozdarcie przestrzeni, nieustannie krwawiące czarnymi smugami mutatio.

Członkowie rządu ze zgrozą patrzyli na zabitego i ogarniętą wściekłością carską wiedźmę.

Krasnow dmuchnął w lufę rewolweru i wetknął broń w kaburę. Skinął głową swoim kozakom. Ci pchnęli niestawiającego oporu Traugutta.

Strzyga zatoczyła koło nad placem zamkowym i usiadła ciężko na dachu wieży. Rana na brzuchu bolała ją jak diabli i utrudniała latanie. Nie zdążyła odzyskać sił po bitwie, a tu znów trzeba zabijać. Jak miała ratować Pustowójtowa, skoro nie wiedziała nawet, gdzie jest? W zamku znajdowało się mnóstwo komnat i w każdej z nich mógł obradować rząd. Nie miała siły fruwać od okna do okna. Mogła wykonać jeszcze jeden lot, a potem zupełnie opadnie z sił.

Pozostawała jej zatem szybka decyzja. Sala Rady czy któryś z bardziej kameralnych gabinetów? Co wybrali ci dławiący się pychą bufoni? Coś

królewskiego i wystawnego. Sala Wielka, w której Stanisław August prowadził dworskie ceremonie i gdzie odbywały się uroczystości oraz bale? Pokój Marmurowy, jeden z najbogatszych, pełen dzieł sztuki i portretów dostojników?

W budynku rozległ się strzał.

Rozłożyła skrzydła i skoczyła w dół.

Pliszka i doktor Loewenhardt dotarli do zamkowej bramy w chwili, gdy strzyga rzuciła się z wieży. Obaj mężczyźni podjechali na plac powozem. Wskoczyli z niego, zanim konie się zatrzymały. Stanisław zagotował się ze złości, widząc gwardzistów szarpiących Henię. Spadł na nich z rykiem.

– Nie zabijaj! – krzyknęła Pustowójtówna.

Jeden z gwardzistów został złapany za kark przez znacznie niższego doktora i ciśnięty w bok. Przeleciał w powietrzu kilka sążni i wylądował, koziołkując po bruku. Kolejny stracił mundur, jednym ruchem rozerwany na strzępy przez doktora. Dwaj pozostali rzucili się do ucieczki, widząc pędzącego Pliszkę.

Olbrzym z obandażowaną głową nie zwrócił na nich uwagi. Z impetem wpadł przez bramę i rzucił się w najbliższy korytarz.

Wanda biegła przez komnaty i ciągnące się w nieskończoność korytarze. Miała wrażenie, że utknęła w złym śnie. Otwierała kolejne drzwi i znajdowała jakiś gabinecik, salon lub buduar, a najczęściej kolejny korytarz. Jak królowie mogli mieszkać w takim labiryncie?

Miała ochotę wrzasnąć z całych sił, by ten przeklęty budynek zawalił się w diabły. Zamiast tego kopnęła kolejne drzwi i wbiegła do przestronnej komnaty o marmurowej podłodze.

„Jestem blisko” – pomyślała. „Gdzieś tu jest Teofil”.

Nagle rozległ się huk i brzdęk tłuczonej szyby, a potem łomot.

– Strzyga – mruknęła do siebie Wanda. – Hania ruszyła do ataku.

Pognała tam, skąd dobiegał hałas.

Traugutt znajdował się o kilka kroków od ziejącej czernią bezdennej wyrwy w ścianie. Mijał właśnie stojącego nad trupem Pustowójtowa atamana

Krasnowa, gdy raptem w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się przeraźliwy łoskot i brzdęk tłuczonego szkła. Trzasnęły gruchotane meble, a ponad wszystko wybił się wściekły wrzask.

– Idą odmieńcy – ucieszyła się Stołpin. – Wreszcie.

Kozacy odwrócili się w kierunku drzwi prowadzących do pomieszczenia, z którego dobiegał hałas. Na chwilę zapomnieli o cherlawym inteligenciku w okularkach. Traugutt obrócił się na pięcie i zgrabnym ruchem wyciągnął z kabury u pasa Krasnowa jego rewolwer. Kozak uzmysłowił sobie, że coś jest nie tak dopiero wtedy, gdy poczuł dotknięcie lufy na kręgosłupie.

Traugutt strzelił. Zanim ataman padł na podłogę, pułkownik wypalił w łeb najbliższego kozaka, a potem w kolejnego. Ostatnie dwie kulki wpakował w brzuch szarżującego na niego z szablą Dońca i w plecy ostatniego kozaka, który próbował susem za biurko uchronić się przed ostrzałem.

Cisnął bezużytecznym rewolwerem w Stołpin, ale ta uchyliła się bez wysiłku i odpowiedziała niedbałym machnięciem ręki. Czarna kula mutatio pacnęła pułkownika w pierś, zwalając go z nóg.

Strzyga wydostała się ze sterty pogruchotanego drewna, które kiedyś było biblioteką z cennym księgozbiorem. Splunęła mieszaniną drzazg, papieru i śliny. Po pierwsze pomyliła komnaty, po drugie zupełnie straciła panowanie nad lotem i lądowaniem.

Otrząsnęła się z kawałków drewna i kuśtykając, pomknęła do drzwi. Szarpnęła za kłamkę i natychmiast zrobiła unik, żeby uciec spod ostrzału. Z komnaty wystrzeliła czarna smuga, jakby ktoś cisnął zestaloną mocą. Czerń uderzyła w ścianę i z sykiem odkształciła jej fragment, przy okazji nadając nowe barwy wiszącemu obrazowi i zmieniając miejscami postaci na dziele.

– Niewiele brakowało – syknęła Hanka i przycupnęła, zastanawiając się, co dalej.

Nie miała sił na szalone szarże i błyskawiczne ataki. Właściwie to ledwie powłóczyła nogami.

Nagle otworzyły się drzwi na korytarz i do środka wbiegła Wanda. Policzki dziewczyny płonęły czerwienią, a jasne oczy miały gromy. Strzyga na migi zasygnalizowała jej niebezpieczeństwo. Wanda zatrzymała się na środku pomieszczenia i wrzasnęła.



Marmurowy kominek trzasnął i pokrył się siecią pęknięć. Grecka figura w kącie pomieszczenia eksplodowała od drgań przekazanych przez falę dźwięku. Mozaikowe klepki podłogi poderwały się i zawirowały barwną kotłowaną w powietrzu. Strzyga zasłoniła uszy i osunęła się na ziemię. Jej oczy wypełniły łązy bólu.

W Sali Tronowej tymczasem członkowie rządu rzucili się do ucieczki drugimi drzwiami, ale krzyk ściał ich z nóg w połowie drogi. Czarna wyrwa w ścianie zamknęła się, trzeszcząc i plując piorunami. Tylko Maria Stołpin tkwiła prosto, jakby moc Wandy zupełnie na nią nie działała.

Niepozorna kobieta gotowała się z wściekłości. Jej dłonie płonęły czernią mutatio, włosy rozsypały się na ramiona. Dźwięk poderwał je niczym huragan. Wiedźma zaśmiała się z pogardą.

Pustowójtow drgnął, gdy znajomy krzyk wyrwał go z czarnego morza niebytu. Otworzył oczy, w jednej chwili odzyskując przytomność. Czoło bolało go, jakby zostało przypieczone żywym ogniem. Generał przypomniał sobie, że dostał kulę prosto w skroń. Złapał się za głowę. Skórę miał wprawdzie rozerwaną i przypaloną, ale łeb był cały i w jak najlepszym porządku. Chyba jednak zdołał podbić rękę kozaka, bo kula poszła pod kątem i ześliznęła się po czaszce. Co za fart!

Rozejrzał się po komnacie. Kozacy leżeli pokotem, a Traugutt tkwił pod ścianą, ogarnięty pełzającą pajęczyną mutatio. Członkowie rządu kłębili się przy tylnym wyjściu, a po drugiej stronie sali, za otwartymi na oścież drzwiami, stała Wanda. Naprzeciw niej Stołpin formowała w dłoniach kule zmaterializowanej mocy.

Dwie wiedźmy oko w oko. Sam na sam.

Wanda nabrała powietrza do kolejnego wrzasku. Maria cisnęła mutatio. Żydówka jęknęła i padła na wznak, trafiona czernią.

Teofil przekręcił się w bok i złapał Stołpin za nogę. Pociągnął, przewracając ją na podłogę.

Kobieta wrzasnęła z przerażenia, widząc okrwawionego trupa, który pełzł po posadzce. Wyciągał ręce, by ją udusić. Rzuciła mu kulę mutatio prosto w twarz.

Pliszka kopniakiem wywalił drzwi. Wypadły z zawiasów i przygniotły jakiegoś nieszczęśnika, który za nimi stał. Wielkolud skoczył z impetem. Trzasnęły łamane gnaty, ofiara jęknęła głucho i zadygotała w agonii. Kosynier nie wiedział, że właśnie zmiażdżył Karola Ruprechta, członka Rządu Narodowego. Dwaj pozostali przedstawiciele ciała ustawodawczego podziemnego państwa w ostatniej chwili zdołali uskoczyć na boki.

Pliszka zobaczył klęczącą na środku komnaty Marię Stołpin. Kobieta spojrzała na niego, wykrzywiła usta w grymasie nienawiści, po czym drapieźnie rozwartą dłońią szarpnęła przestrzeń i wyrwała z niej kolejny kawał mutatio. Pliszka runął na nią z rykiem. Kobieta pchnęła w niego wydartą z rzeczywistości mocą. Kosynier zaskowytał, gdy gorąca energia uderzyła go w pierś i natychmiast wdarła się do krwi. Poczuł, jak trzewia mu płoną, a krew zaczyna wrzeć. Osunął się na kolana, wyjąc z bólu.

Stołpin rozejrzała się z triumfalnym grymasem. Miała ich wszystkich! Wstała chwiejnie i poprawiła sukienkę. Wprawdzie nadal żyli, obezwładnieni potężnymi dawkami skondensowanej energii, ale nie potrwa to już długo. Teraz zabierze ich do Petersburga, gdzie poznają, co znaczy ból. Każdy z osobna zapłaci za śmierć jej ukochanego.

Majewski, skulony dotąd w kącie, poderwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Stołpin odprowadziła go pogardliwym spojrzeniem. Szczur. Nic więcej, nic godnego uwagi.

Członek rządu zderzył się w drzwiach z niewysoką, krępą postacią. Stanisław Loewenhardt trzasnął go na odlew. Dłoń doktora zamieniła się w płonąca czernią smugę. Trafiona twarz Majewskiego eksplodowała krwią, zębami i kawałkami szczęki. Mężczyzna padł trupem, bryzgając wokół strumieniami posoki.

– Teraz cię dopadnę, wiedźmo – wycedził lekarz.

Stołpin uśmiechnęła się krzywo i zaczęła drzeć przestrzeń drapieźnie wykrzywionymi palcami. Jej dłonie w mgnieniu oka znów napełniły się mocą. Rzuciła nią w nadchodzącego powoli Stanisława. Loewenhardt nie próbował robić uników. Przyjmował uderzenia na wystawioną pierś i z każdą wchłoniętą dawką jego ciało ogarniała migocząca poświata. Z każdym krokiem

niepozorny doktor rósł, jego mięśnie tężały i puchły, a twarz przybierała coraz bardziej krwiożerczy, nieludzki wygląd.

Maria poczuła falę niepokoju, która po chwili zmieniła się w strach. Nie mogła go zatrzymać. Musiała uciekać!

Szarpnęła rzeczywistość, próbując otworzyć tunel. Wytężyła wszystkie siły, czując, jak traci panowanie nad mutatio. Zbyt wiele go dziś wchłonęła. Otchłań się jednak otworzyła.

Loewenhardt wybił się w potężnym susie i złapał kobietę wpół, zanim zdążyła skoczyć w ciemność. Lewą dłonią chwycił ją za twarz i ścisnął z całych sił. Bryznęła krew, trzasnęły miażdżone kości. Kobieta wrzasnęła z bólu i przerażenia. Prawa ręka Stanisława zacisnęła się na jej talii, gruchocząc żebra i wypierając powietrze z płuc. Doktor obrócił się i cisnął zdeformowane, krwawiące ciało w otwartą otchłań. Ta zamknęła się z trzaskiem.

Mężczyzna stał chwilę na pobojowisku, pozwalając, by mutatio z całej okolicy spłynęło do niego i spaliło się w jego gniewie. Czarne smugi frunęły, opuszczając ciała powalonych odmieńców. Stanisław mienił się mocą niczym zapalona żagiew. Mutatio skwierczało i strzelało piorunami. Pomieszczenie falowało i zmieniało kształt, nie mogąc zatrzymać się w rzeczywistości, aż wreszcie wszystko się skończyło.

Pustwójtow wstał i chwiejąc się, przeszedł do sąsiedniej komnaty. Wanda leżała na stercie potrzaskanego drewna i kawałków podłogowej mozaiki. Uśmiechnęła się blado do generała. Ten pochylił się i wziął ją na ręce. Ich usta spotkały się po chwili.

Strzyga patrzyła na nich, krzywiąc się z bólu. Potem na czworaka podpełzła do leżącego na wznak Pliszki. Chłop wyszczerzył do niej zęby i usiadł z trudem. Objął dziewczynę w pasie, a po chwili złapał ją za pośladek.

– Po raz drugi i ostatni oświadczam, że obejmuję władzę w Królestwie – oznajmił Traugutt, poprawiając pognieciony surdut.

Pułkownik zwracał się głównie do skulonego pod biurkiem Agatona Gillera. Ostatni członek Rządu Narodowego po chwili wahania wypełził spod blatu i stanął na baczność przed nowym dyktatorem.

– Oddaję się do pańskiej dyspozycji, Wasza Ekszelencjo – wydukał.

Loewenhardt uściskał rękę nowo mianowanego dowódcy i wyszedł z komnaty. Wreszcie mógł odpocząć. Bitwa o Warszawę ostatecznie się skończyła.

# Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

## **Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH**

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg” oraz „Furia błękitna jak ogień”.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

## **SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH**

**Autorzy:** Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

*Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.*

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

## **Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU**

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną machinę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy

i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

## **Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU**

„Struny czasu” opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po osnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści „Yggdrasil. Exodus”.

## **Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV**

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny zółw”.

## **Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA**

*Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!*

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabl, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugałów i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy

CAIREN!

## **Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA**

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

## **Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA**

*Gdy łowca staje się ofiarą...*

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźnie przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

## **Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY**

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

## **Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON**

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

## **Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE**

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pillonem, Pillonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

## **Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ**

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłani?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andre milem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworowsy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andre mil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andre mil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

## **Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.**

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal



całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

## **Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW**

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezionego w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwyklej podróż wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwanu Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z teraźniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.

# Przypisy

- [1](#) (fr.) O szeleszczącej nazwie.
- [2](#) Odwaga szlachcica.
- [3](#) (fr.) Mizernie.
- [4](#) Sztuciec – tak powstańcy nazywali broń palną (źródło: pamiętnik z epoki).
- [5](#) (fr.) Chcieć to móc.
- [6](#) (fr.) Upadłeś na głowę.
- [7](#) (ros.) Uwaga, zasadzka! Do mnie, wszyscy do mnie!
- [8](#) (jidysz) Nieszczęście, pech.
- [9](#) Dylizans pocztowy produkowany przez fabrykę Piotra Steinkellera znajdującą się na Solcu.
- [10](#) Sążeń = 2,13 metra.
- [11](#) (ros.) Nieładnie!
- [12](#) (fr.) Szybciej!
- [13](#) (fr.) Zrozumiano?
- [14](#) (fr.) Zobacz, majorze!
- [15](#) (fr.) Szalony.
- [16](#) (fr.) Dowodzenie.
- [17](#) (fr.) Trzeba ustalić kompetencje.
- [18](#) Salceson – potocznie policjant.
- [19](#) (ros.) Wszyscy pod ścianę! Jesteście aresztowani!
- [20](#) Dokąd to, moi drodzy?
- [21](#) (fr.) To potężna broń!
- [22](#) (fr.) Mięso armatnie.
- [23](#) (ros.) No, dzieciaki, zamknąć gęby!
- [24](#) (fr.) Zdarza się.
- [25](#) (fr.) Ile?
- [26](#) (ros.) Znać nie znam, widzieć nie widziałem.
- [27](#) Ulice objęte zakazem osiedlania się na nich Żydom. Prawo zniesione

przez cara w czerwcu 1862 roku.

[28](#) (ros.) Bydlę!

[29](#) (fr.) To sabotaż!

[30](#) (fr.) Robisz rewolucję.

[31](#) (fr.) Wszystko razem.

[32](#) (ros.) Co robicie?

[33](#) (ros.) Kim pan jest? Dlaczego ma pan broń?

[34](#) (fr.) Obrzydliwość, plugastwo.

[35](#) (fr.) Idziemy.

[36](#) (fr.) Węzeł gordyjski.

[37](#) (fr.) Szala zwycięstwa.

[38](#) (fr.) Zgoda, słusznie.

[39](#) (fr.) – Och, o nie.

[40](#) (fr.) – Zrozumiałeś?

[41](#) Wielka, średniowieczna armata stojąca na Kremlu.

[42](#) (fr.) Piękny Brzeg (czytaj: Żoli Bord, przez Warszawiaków zniekształcone na Żoliborz).

[43](#) (ros.) Powstańcy w cytadeli! Ratujcie się, bracia!

[44](#) (fr.) Zwycięstwo lub śmierć!

[45](#) (ros.) Wynocha, polska hołoto!

[46](#) (fr.) W tej chwili.

[47](#) (fr.) Wiatr historii.